ILUSTROWANY KALENDARZ ZWIĄZKOWY

POLSKOŚĆ PATRIOTYZM

Z.N.P.

P.N.A. ALMANAC

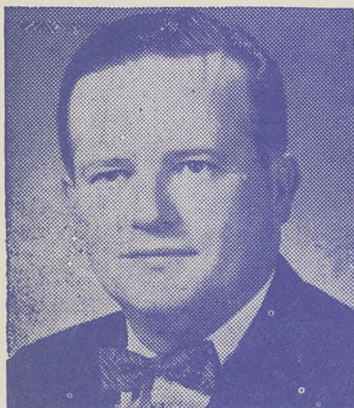
NA ROK 1960

CENA $1.50

Nowa Siedziba Spółki Liberty Savings

Przy Milwaukee Avenue i Fullerton





C. W. SMIGIEL, Prezes

61 Letnia Rocznica Spółki Liberty

Zauważcie Nowy Adres przy Milwaukee i Fullerton

38,000,000 Dolarów Majątku

Przynieście Wasze Pieniądze

i otwórzcie sobie konto w Liberty. Tu gdzie wasze pieniądze przyniosą znaczny dochód (4% bieżąca rata), z zapewnionym bezpieczeństwem. Wszystkie konta są ubezpieczone do $10,000.

W razie potrzeby możecie wycofać swoje oszczędności i gdzie otrzymacie najwyższą ratę Dywidendy.

OSZCZĘDZAJCIE PRZEZ POCZTĘ

Od swego założenia w roku 1898 Spółka LIBERTY przetrzymała wszystkie paniki i kryzysy i NIGDY nie była Zamknięta.

UDZIELAMY POŻYCZKI NA DOMY NA ŁATWE MIESIĘCZNE SPŁATY

LIBERTY SAVINGS and LOAN ASSOCIATION OF CHICAGO



LIBERTY BUILDING

MILWAUKEE AVE. PRZY FULLERTON AVE.

Chicago 47, Illinois **Phone EVerglade 4-4000**

C. W. SMIGIEL, Prezes i Zarządca
F. J. STERMER, Wiceprezes i Przewodniczący Dyrekcji
JAN R. GURBACKI, Sekretarz Skarbnik

Liberty Służy Swoim Akcjonariuszom Przez 61 Lat.

GODZINY BIUROWE:

Poniedziałki od 9-ej rano do 8-ej wieczorem. W piątki od 9-ej rano do 8-ej wieczorem
Wtorki i Czwartki od 9-ej do 4-ej po południu.
W Soboty od 9-ej do 12-ej w południe.
W Środy zamknięte cały dzień.

CAŁA DYREKCJA SKŁADA SIĘ Z POLAKÓW





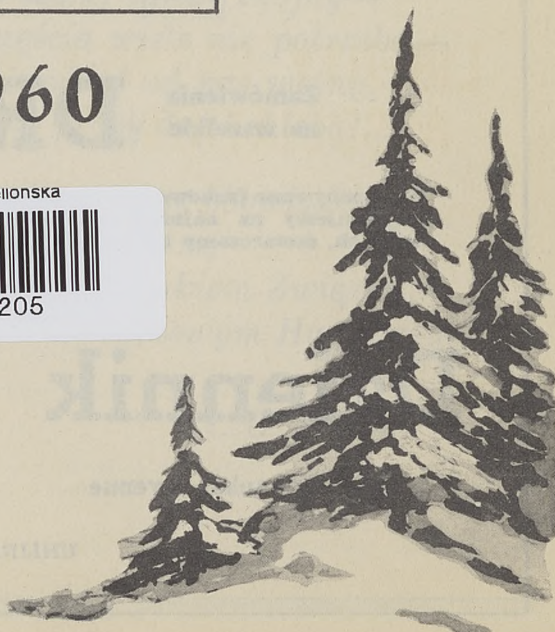
Kalendarz Związkowy



Na Rok

1960





WYDANY NAKŁADEM WYDAWNICTW
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
CHICAGO, ILLINOIS





Nowy Rok—

Władco nasz nowy, co na dziejów karty
Wstępujesz dzisiaj, do czynów gotowy,
Tysiąc dziewięćset trzydziesty i czwarty,
Bądź pozdrowiony!—Witaj Roku Nowy!....

Pełni otuchy, dziś Ciebie witamy,
Że nam pogodne dni znów zajaśnieją,
Których od dawna napróżno czekamy,
Karmieni dotąd zwodniczą nadzieją!....

Daj, by błądzący poznali swe winy,
A nie szukali ich pod cudzym progiem—
Spraw, by wśród wielkiej narodów rodziny
Jeden drugiemu zaprzestał być wrogiem!....

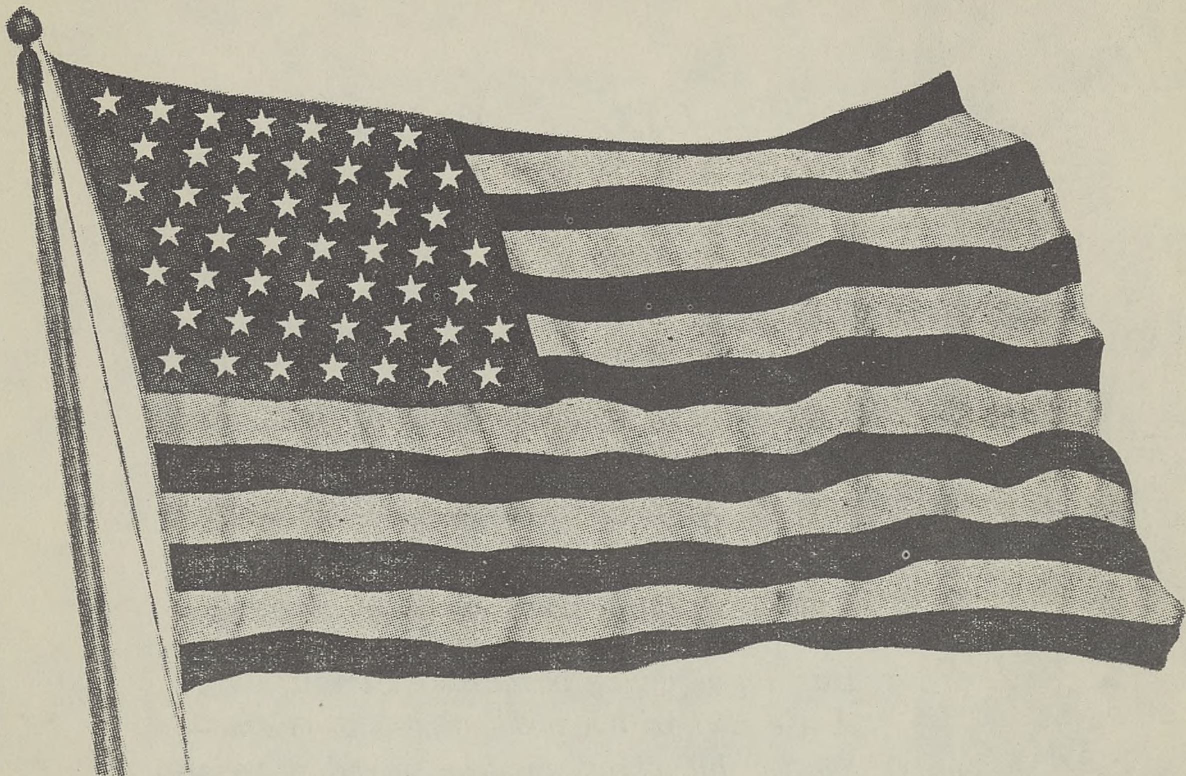
Ojczyźnie miłej pomóż w Jej rozkwicie,
Niech się rozwija w zgodzie i jedności—
Niechaj przez zgodne z sąsiadami życie
Świeci przykładem dla całej Ludzkości!....

Nam na Obczyźnie zelżyj żywot znojny—
Wszak nam do szczęścia wiele nie potrzeba—
Powstrzymaj klęski, oddal od nas wojny,
Zamiast jałmużny — pracy daj i chleba!....

Wskaż naszym Braciom drogę obowiązku,
Że, aby zostać Idei szermierzem,
Każdy tu Polak ma być członkiem Związku,
A Polskie Dziecko — Związkowym Harcerzem

Wł. L. Sikora.

THE STAR SPANGLED BANNER



Nauczcie się słów pieśni—śpiewajcie je—gdy inni śpiewają. Czasami aż przykro, gdy Polacy na zebraniach nie wtórują, gdy hymn narodowy jest śpiewany. To hymn umiłowanej przez nas Ameryki—to hymn wolności—to wyznanie naszej wiary. Każdy Polak w Ameryce powinien znać te słowa—jak zna słowa "Jeszcze Polska nie zginęła—".

Oh, say can you see, by the dawn's early light,
What so proudly we hailed at the twilight's last gleaming;
Whose broad stripes and bright stars, through the perilous fight,
O'er the ramparts we watched, were so gallatnly streaming;
And the rocket's red glare, the bombs bursting in air,
Gave proof through the night that our flag was still there.

Oh, say does the star-spangled banner yet wave
O'er the land of the free and the home of the brave?
Oh! thus be it ever when free men shall stand
Between their loved home and the war's desolation.
Blest with vict'ry and peace, may the heav'n-rescued land
Praise the Pow'r that hath made and preserved us a Nation.

Then conquer we must, when our cause it is just,
And this be our motto, "In God is our trust."

And the star-spangled banner in triumph shall wave
O'er the land of the free and the home of the brave.

Star Spangled Banner w tłómaczeniu na polskie:

Oh, patrz jak dumnie w słońca wczesnym świcie
Powiewa sztandar nasz ze snu zbudzony nocy!
W czerwieni, bieli, błysku gwiazd na baszt obronnych szczycie
Łopotem swym grał w boju więzów kres, przemocy.
Gdy w krwawym blasku rakiet, pocisków tnie ulewa
Oh, patrz jak dumnie sztandar nasz nad nami wciąż powiewa!
I powiedz mi, że wiecznie już na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Czy widzisz, hen na brzegu, gdzie chmury szarpie szkwał
Gdzie pełen pychy wróg w złowrogiej zapadł ciszy
Czy widzisz co na wietrze, na tle wyniosłych skał
Rozwija się i zwija i jak furkoce słyszysz?
Czy widzisz jak się mienią czerwono-białe końce
Jak w gwiazdach i szafirze poranne błyszczy słońce?
To sztandar nasz gwiaździsty! Na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Gdzież chełpliwości pełna i wraża dziś nawała
Co ogniem i co mieczem i co najeźdźczym butem
Ojczystą naszą ziemię grabieżczo tratowała?
Już krwią jej myśmy zmyli te ślady jej zatrute!
Wróg krwawi się i pada tam w pobitewnym pyle
W proch zmienia się najeźdźca i rośnie stos w mogile.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

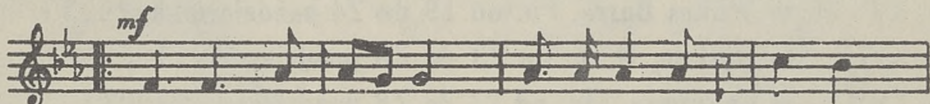
I domostw naszych wolnym po wieki będzie próg!
Bo bronić my od wojny i ognia i od głodu
Będziemy zawsze kraju, by nigdy nie mógł wróg
Puklerza mocy przebić i serca zgnieść narodu.
I bronić naszych praw będziemy my przed wrogiem
Po prostych krocząc ścieżkach i zawsze krocząc z Bogiem.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

HYMN POLSKI

Słowa
Józef Wybicki









Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
będziem Polakami,
dał nam przykład Bonaparte,
jak zwyciężać mamy.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

Jak Czarniecki do Poznania
po szwedzkim zaborze,
dla ojczyzny ratowania
wrócim się przez morze.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

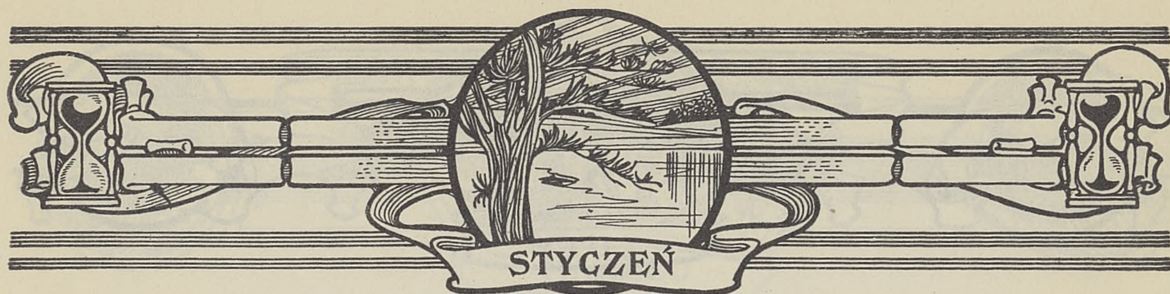
DATY SEJMÓW Z. N. P.

Sejm I w Chicago, Ill. od dnia 15 do 18 września, 1880 r.
Sejm II w New York, od 21 do 24 września, 1881 r.
Sejm III w Chicago, Ill. od 21 do 23 września, 1882 r.
Sejm IV w Milwaukee, Wis. od 21 do 24 września, 1883 r.
Sejm Nadzwyczajny w Chicago, Ill. od 21 do 23 lutego, 1884 r.
Sejm V w La Crosse, Wis. od 14 do 17 lutego, 1885 r.
Sejm VI w Bay City, Mich. od 5 do 7 lipca, 1886 r.
Sejm VII w St. Paul, Minn. od 12 do 15 września, 1887 r.
Sejm VIII w Buffalo, N. Y. od 10 do 15 września, 1889 r.
Sejm IX w Detroit, Mich. od 21 do 29 września, 1891 r.
Sejm X w Chicago, Ill. od 4 do 9 września, 1893 r.
Sejm XI w Cleveland, Ohio, od 9 do 14 września, 1895 r.
Sejm XII w Philadelphia, Pa. od 6 do 11 września, 1897 r.
Sejm XIII w Grand Rapids, Mich. od 16 do 21 października, 1899 r.
Sejm Nadzwyczajny w Chicago, Ill. od 19 do 24 marca, 1900 r.
Sejm XIV w Toledo, Ohio, od 14 do 20 października, 1901 r.
Sejm XV w Wilkes Barre, Pa. od 19 do 24 października, 1903 r.
Sejm XVI w Buffalo, N. Y. od 23 do 28 października, 1905 r.
Sejm XVII w Baltimore, Md. od 23 do 28 października, 1907 r.
Sejm XVIII w Milwaukee, Wis. od 11 do 16 października, 1909 r.
Sejm XIX w St. Louis, Mo. od 9 do 14 października, 1911 r.
Sejm XX w Detroit, Mich. od 15 do 22 września, 1913 r.
Sejm XXI w Schenectady, N. Y. od 27 września do 3 października, 1915 r.
Sejm XXII w Pittsburgh, Pa. od 16 do 21 września, 1918 r.
Sejm XXIII w Toledo, Ohio, od 26 września do 1 października, 1921 r.
Sejm XXIV w Philadelphia, Pa. od 25 do 30 sierpnia, 1924 r.
Sejm XXV w Chicago, Ill. od 19 do 20 września, 1927 i od
27 sierpnia do 1 września, 1928 r.
Sejm XXVI w Scranton, Pa. od 20 do 26 września, 1931 r.
Sejm XXVII w Baltimore, Md. od 15 do 21 września, 1935 r.
Sejm XXVIII w Detroit, Mich. od 10 do 16 września, 1939 r.
Sejm XXIX w Boston, Mass. od 19 do 25 września, 1943 r.
Sejm XXX w Cleveland, Ohio od 24 do 30 sierpnia, 1947 r.
Sejm XXXI w Buffalo, N. Y. od 23 do 29 września, 1951 r.
Sejm XXXII w Minneapolis, Minn. od 18 do 23 września 1955 r.
Sejm XXXIII w Hartford, Conn., od 20 do 25 września 1959 r.



DWIGHT DAVID EISENHOWER

Prezydent Stanów Zjednoczonych.



31 DNI — **Angielski JANUARY—Litewski—SAUSIS**
Niemiecki JANUAR—Ruski SICZEŃ — **31 DNI**

	Dni Tygodnia	Święci Rzymsko-Katoliccy
1szy Tydzień		
1	Piątek	**NOWY ROK**, Mieczysław
2	Sobota	Makary, Bazyli
2gi Tydzień		
3	**Niedziela**	Daniel, Genowefa
4	Poniedz.	Eugeniusz, Tytus, Aniela
5	Wtorek	Telesfor, Emilian, Edward
6	Środa	TRZECH KRÓLI
7	Czwartek	Łucjan, Julian
8	Piątek	Seweryn, Mścisław
9	Sobota	Julian, Bazyli, Marcjanna
3ci Tydzień		
10	**Niedziela**	Agaton, Wilhelm
11	Poniedz.	Feliks, Honorata
12	Wtorek	Arkadiusz, Ernest
13	Środa	Weronika
14	Czwartek	Hilary, Feliks
15	Piątek	Paweł, Marek
16	Sobota	Marcel, Włodzimierz
4ty Tydzień		
17	**Niedziela**	Antoni
18	Poniedz.	Kat. Św. Piotra w Rzymie
19	Wtorek	Henryk, Mariusz, Marta
20	Środa	Fabian i Sebastian
21	Czwartek	Agnieszka, Jarosława
22	Piątek	Wincenty, Anastazy
23	Sobota	Zaśl. N.M.P., Rajmund
5ty Tydzień		
24	**Niedziela**	Tymoteusz, Felicjan
25	Poniedz.	Nawr. Św. Pawła
26	Wtorek	Polikarp, Paulina
27	Środa	Jan Złotousty, Agnieszka
28	Czwartek	Karol, Walery, Piotr
29	Piątek	Franc. Salezy, Zdzisław
30	Sobota	Felicjan, Martyna, Hiacynta
6ty Tydzień		
31	**Niedziela**	Jan Bosko, Ludwik, Marcela

ZAPISKI

Post obowiązuje: 8, 15, 22, 29 Stycznia



29 DNI | Angielski FEBRUARY—Litewski VASARIS
Niemiecki FEBRUAR—Ruski LUTYJ | 29 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Poniedz.	Ignacy, Brygida
2	Wtorek	M.B. Gromnicz., Mirosław
3	Środa	Błażej, Wawrzyniec
4	Czwartek	Andrzej, Weronika
5	Piątek	Izydor, Albin, Agata
6	Sobota	Bogdan Tytus, Dorota
7my Tydzień		
7	**Niedziela**	Romuald, Ryszard
8	Poniedz.	Jan z Malty, Emilia
9	Wtorek	Cyryl, Apolonia
10	Środa	Jacek, Scholastyka
11	Czwartek	Honorata
12	Piątek	**Ur. Lincolna i Kościuszki**
13	Sobota	Grzegorz, Katarzyna
8my Tydzień		
14	**Niedziela**	Walenty, Zenon
15	Poniedz.	Faustyn, Klaudiusz
16	Wtorek	Bernard, Julianna
17	Środa	Donata, Julian
18	Czwartek	Szymona, Marianny
19	Piątek	Konrad, Marceli
20	Sobota	Leon, Zenobiusz, Eustachy
9ty Tydzień		
21	**Niedziela**	Feliks, Robert, Eleonora
22	Poniedz.	**Ur. Washing. i Pułaskiego**
23	Wtorek	Piotr, Roman, Marta
24	Środa	Maciej, Cezary
25	Czwartek	Wiktor, Izabela, Anastazja
26	Piątek	Aleksander, Mirosława
27	Sobota	Gabriel, Nestor
10-ty Tydzień		
28	**Niedziela**	Teofil, Roman, Antonina
29	Poniedz.	Romana

ZAPISKI

Post obowiązuje: 5, 12, 19, 26 Lutego



Angielski **MARCH—Litewski KOVAS**
31 DNI Niemiecki **MAERZ—Ruski BEREZEŃ** **31 DNI**

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Wtorek	Albin, Antonina
2	Środa	**Popielec**, Amelia
3	Czwartek	Kunegunda, Teresa
4	Piątek	Kazimierz
5	Sobota	Wacław, Euzebiusz
11-ty Tydzień		
6	**Niedziela**	Jan B., Wiktor, Róża
7	Poniedz.	Tomasz z Akw.
8	Wtorek	Jan B., Wincenty, Emil
9	Środa	**Suche Dni**, Franciszka
10	Czwartek	40 Męczenników, Cyprian
11	Piątek	**Suche Dni**, Pelagii
12	Sobota	**Suche Dni**, Grzegorza
12-ty Tydzień		
13	**Niedziela**	Marek, Krystyna, Sabina
14	Poniedz.	Leon, Matylda, Bożenna
15	Wtorek	Klemens, Longin
16	Środa	Hilary, Eufrozyna
17	Czwartek	Jan, Patryk, Zbigniew
18	Piątek	Cyryl, Edward
19	Sobota	Józef, Bogdan
13-ty Tydzień		
20	**Niedziela**	Aleksander, Anatol, Teodozja
21	Poniedz.	Benedykt
22	Wtorek	Oktawiana, Katarzyny
23	Środa	Feliks, Wiktor, Pelagia
24	Czwartek	Marka i Gabriela
25	Piątek	ZWIASTOWANIE N. M. P.
26	Sobota	Emanuela, Teodora
14-ty Tydzień		
27	**Niedziela**	Jana z Damaszku
28	Poniedz.	Jana Kapistrana
29	Wtorek	Cyryla, Jonasza
30	Środa	Jan Klimak, Aniela
31	Czwartek	Benjamin, Balbina

ZAPISKI

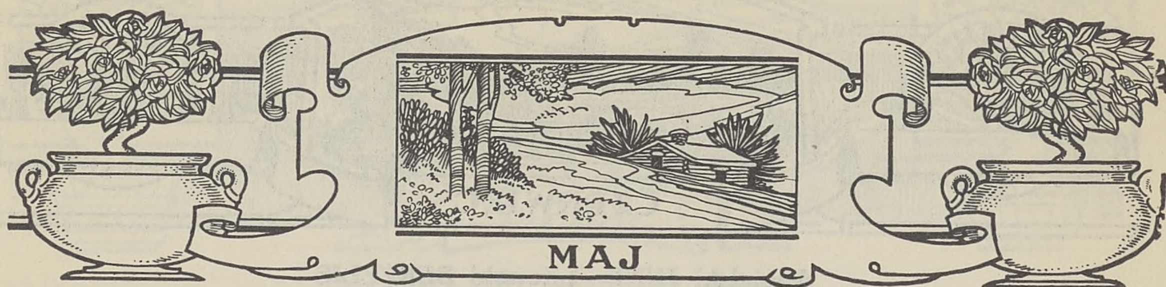
Post obowiązuje: 2, 4, 9, 11, 12, 18, 25 Marca



Angielski APRIL—Litewski BALANDIS
30 DNI Niemiecki APRIL—Ruski KWITEŃ 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Piątek	Hugon, Teodor	
2	Sobota	Franciszek, Leopold	
15-ty Tydzień			
3	**Niedziela**	Ryszard, Pankracy	
4	Poniedz.	Izydor, Benedykt, Ambroży	
5	Wtorek	Wincenty, Irena	
6	Środa	Celestyn, Julianna	
7	Czwartek	Herman, Saturnin	
8	Piątek	Dionizy, January	
9	Sobota	Hugon, Maria	
16-ty Tydzień			
10	**Niedziela**	Michała, **Niedziela Palmowa**	
11	Poniedz.	Filip, Leon	
12	Wtorek	Juliusz, Wiktor, Zenon	
13	Środa	Hermenegilda, Krystyna	
14	Czwartek	Walerian	
15	Piątek	Bazyli, Anastazja	
16	Sobota	Benedykt, Marcelian	
17-ty Tydzień			
17	**Niedziela**	**Wielkanoc**	
18	Poniedz.	Bogumił, Apoloniusz	
19	Wtorek	Zenobiusz, Adolfa	
20	Środa	Teodor, Agnieszka	
21	Czwartek	Konrada, Anzelm	
22	Piątek	Soter i Kajus, Leon, Łukasz	
23	Sobota	Wojciech, Jerzy	
18-ty Tydzień			
24	**Niedziela**	Fidelis, Grzegorz	
25	Poniedz.	Marek, Jarosław, Grzegorz	
26	Wtorek	Marceli	
27	Środa	Teofil, Piotr, Zyta	
28	Czwartek	Witalis, Paweł, Waleria	
29	Piątek	Piotr, Robert, Bogusław	
30	Sobota	Marian, Katarzyna	

Post obowiązuje: 1, 8, 13, 15, 22, 29 Kwietnia



31 DNI — Angielski MAY—Litewski GEGUŻIS / Niemiecki MAI—Ruski TRAWEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
19-ty Tydzień		
1	**Niedziela**	Józefa Robotnika
2	Poniedz.	Zygmunt, Anastazy
3	Wtorek	ROCZ. KONST. 3 MAJA
4	Środa	Florian, Monika
5	Czwartek	Pius, Izydor, Irena
6	Piątek	Jan w Oleju
7	Sobota	Floriana, Benedykta
20-ty Tydzień		
8	**Niedziela**	**Dzień Matek**, Stanisława
9	Poniedz.	Grzegorz
10	Wtorek	Izydora, Antoniego
11	Środa	Filipa, Jakuba
12	Czwartek	Pankracy
13	Piątek	Robert, Serwacy
14	Sobota	Bonifacy
21-szy Tydzień		
15	**Niedziela**	Jan, Izydor, Zofia
16	Poniedz.	Jan Nep., Andrzej Bobola
17	Wtorek	Paschalisa, Brunona
18	Środa	Feliks, Bogdan
19	Czwartek	Piotr, Mikołaj, Celestyn
20	Piątek	Bernardyn, Zuzanna
21	Sobota	Wiktor, Julia
22-gi Tydzień		
22	**Niedziela**	Emil, Helena, Julia, Róża
23	Poniedz.	Dezydery, Jan
24	Wtorek	Joanna, Estera, Zuzanna
25	Środa	Grzegorz, Urban
26	Czwartek	**Wniebowstąpienie**, Filipa
27	Piątek	Jan
28	Sobota	Germana, Małgorzaty
23-ci Tydzień		
29	**Niedziela**	Magdalena
30	Poniedz.	**MEMORIAL DAY**
31	Wtorek	Aniela, Petronela

ZAPISKI

Post obowiązuje: 6, 13, 20, 27 Maja



30 DNI | **Angielski JUNE—Litewski BERŻELIS** | **Niemiecki JUNI—Ruski CZERWEŃ** | **30 DNI**

	Dni Tygodnia	Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Środa	Jakub, Konrad
2	Czwartek	Erazm, Marcelina
3	Piątek	Leszek, Klotylda
4	Sobota	Franciszek, Teodora
24-ty Tydzień		
5	**Niedziela**	**ZIELONE ŚWIĘTA**
6	Poniedz.	Norbert, Łucja
7	Wtorek	Robert, Wiesław
8	Środa	**Suche Dni,** Medard, Elżbieta
9	Czwartek	Felicjan
10	Piątek	**Suche Dni,** Jan, Małgorzata
11	Sobota	**Suche Dni,** Barnaba, Feliks
25-ty Tydzień		
12	**Niedziela**	Jan, Onufry
13	Poniedz.	Antoni z Padwy, Łucjan
14	Wtorek	**DZIEŃ FLAGI,** Bazyli
15	Środa	Witold, Modest, Jolanta
16	Czwartek	**Boże Ciało,** Benon, Justyna
17	Piątek	Adolf, Inocenty, Marian
18	Sobota	Marek, Elżbieta
26-ty Tydzień		
19	**Niedziela**	DZIEŃ OJCÓW, Alojzy
20	Poniedz.	Juliana, Florentyny
21	Wtorek	Janusza, Alojzego
22	Środa	Paulina
23	Czwartek	Zenon, Wanda, Agrypina
24	Piątek	Jan Chrzciciel
25	Sobota	Wilhelm, Łucja
27-my Tydzień		
26	**Niedziela**	Jan, Paweł
27	Poniedz.	Władysław
28	Wtorek	Ireneusz, Leon
29	Środa	PIOTR i PAWEŁ
30	Czwartek	Ernest, Lucyna, Emilia

ZAPISKI

Post obowiązuje: 3, 4, 8, 10, 11, 17, 24 Czerwca





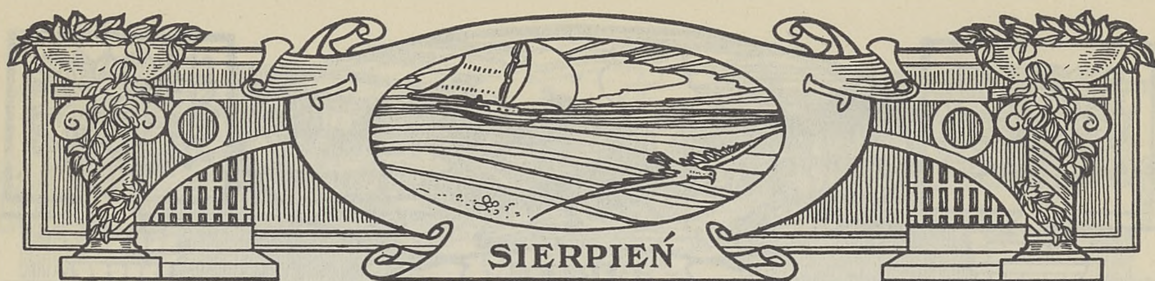
LIPIEC

31 DNI — Angielski JULY—Litewski LIEPOS — 31 DNI
Niemiecki JULI—Ruski ŁYPIEŃ

Dni Tygodnia	Święci Rzymsko-Katoliccy
1 Piątek	Przem. Krwi P. J., Juliusz
2 Sobota	Nawiedz. N.M.P., Urban
28-my Tydzień	
3 Niedziela	Anatol, Leon, Alfred, Jacek
4 Poniedz.	**DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI**
5 Wtorek	Antoni, Filomena
6 Środa	Dominik, Romuald, Łucja
7 Czwartek	Cyryl i Metody
8 Piątek	Prokop, Elżbieta
9 Sobota	Tomasz, Weronika, Mikołaj
29-ty Tydzień	
10 Niedziela	7 Braci Męczen., Amelia
11 Poniedz.	Pius, Olga, Pelagia
12 Wtorek	Jan, Gwalbert
13 Środa	Eugeniusz, Małgorzata
14 Czwartek	Bonawentura, Marceli
15 Piątek	Henryk, Wit
16 Sobota	N.M.P. Szkapl., Andrzej
30-ty Tydzień	
17 Niedziela	Aleksy, Bogdan
18 Poniedz.	Kamil, Szymon
19 Wtorek	Wincenty a Paulo
20 Środa	Czesław, Hieronim, Małg.
21 Czwartek	Wiktor, Andrzej, Prakseda
22 Piątek	Maria Magdalena
23 Sobota	Apolinary
31-szy Tydzień	
24 Niedziela	Kunegunda, Kinga, Kryst.
25 Poniedz.	Jakub, Krzysztof
26 Wtorek	Anna, Mierosława
27 Środa	Pantaleon, Natalia
28 Czwartek	Innocenty, Wiktor
29 Piątek	Urban, Fel. Marta Beatr.
30 Sobota	Abdon, Donat, Rufin
32-gi Tydzień	
31 Niedziela	Ignacy L., Justyn, Helena

ZAPISKI

Post obowiązuje: 1, 8, 15, 22, 29 Lipca



31 DNI — Angielski AUGUST—Litewski RUGPIUTIS / Niemiecki AUGUST—Ruski SERPEŃ — 31 DNI

Dni	Tygodnia	Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Poniedz.	Piotr w Okowach
2	Wtorek	N.M.P. Anielska, Gustaw
3	Środa	Znal. Relikwii św. Szczep.
4	Czwartek	Dominik
5	Piątek	N.M.P. Śnieżna, Stanisława
6	Sobota	Przemienienie Pańskie
33-ci Tydzień		
7	**Niedziela**	Kajetan, Donat
8	Poniedz.	Cyriak, Emilian, Justyn
9	Wtorek	Roman, Jan
10	Środa	Wawrzyniec, Bogdan
11	Czwartek	Tybercjusz, Zuzanna
12	Piątek	Hilary, Klara
13	Sobota	Hipolit, Jan, Helena
34-ty Tydzień		
14	**Niedziela**	Euzebiusz
15	Poniedz.	**WNIEBOWZIĘCIE N.M.P.**
16	Wtorek	Roch, Joachim, Ambroży
17	Środa	Jacek, Paweł, Julian
18	Czwartek	Klary, Włodzimierz
19	Piątek	Bolesław, Ludwik, Marian
20	Sobota	Bernard, Samuel
35-ty Tydzień		
21	**Niedziela**	Daniel, Joanna
22	Poniedz.	Tymoteusz, Hipolit
23	Wtorek	Filip, Apolinary, Wiktor
24	Środa	Bartłomiej, Jerzy
25	Czwartek	Ludwik, Grzegorz
26	Piątek	N.M.P. Częstochowskiej
27	Sobota	Józef Kalasanty
36ty Tydzień		
28	**Niedziela**	Augustyn
29	Poniedz.	Ścięcie Św. Jana, Sabina
30	Wtorek	Feliks, Róża z Limy
31	Środa	Rajmund, Marek

ZAPISKI

Post obowiązuje: 5, 12, 19, 26 Sierpnia



30 DNI | Angielski SEPTEMBER—Litewski RUGSEJAS | 30 DNI
Niemiecki SEPTEMBER—Ruski WERESEŃ

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Czwartek	Idzi, Bronisława	
2	Piątek	Stefan	
3	Sobota	Szymon, Zenon, Izabela	
37my Tydzień			
4	**Niedziela**	Rozalia, Róża	
5	Poniedz.	**Święto Pracy**, Wawrzyniec	
6	Wtorek	Zachariasz, Eugeniusz	
7	Środa	Melchiora, Reginy	
8	Czwartek	Narodzenie N. M. P.	
9	Piątek	Piotr, Sergiusz	
10	Sobota	Mikołaj, Łukasz, Łucja	
38my Tydzień			
11	**Niedziela**	Prot, Jacek, Pafnucy	
12	Poniedz.	Im. N.M.P., Gwidon, Klara	
13	Wtorek	Filip, Eugenia	
14	Środa	Podw. Św. Krzyża, Kalikst	
15	Czwartek	M.B. Bolesnej, Nikodem	
16	Piątek	Kornel, Cyprian, Ludmiła	
17	Sobota	Blizny Św. Fran. Jacek	
39ty Tydzień			
18	**Niedziela**	Józef, Tomasz, Irena	
19	Poniedz.	January, Gustaw, Teodor	
20	Wtorek	Eustachy, Filipina	
21	Środa	**Suche Dni**, Mateusz	
22	Czwartek	Tomasz, Maurycy	
23	Piątek	**Suche Dni**, Tekli	
24	Sobota	**Suche Dni**, N.M.P. od Wyk.	
40ty Tydzień			
25	**Niedziela**	Władysław, Kleofas	
26	Poniedz.	Cyprian, Justyn	
27	Wtorek	Władysław, Damian	
28	Środa	Wacław, Marek	
29	Czwartek	Michał Archanioł	
30	Piątek	Hieronim, Grzegorz	

Post obowiązuje: 2, 9, 16, 21, 23, 24, 30 Września



31 DNI — Angielski OCTOBER—Litewski SPALIUS / Niemiecki OKTOBER—Ruski ŻOWTEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia	Święci Rzymsko-Katoliccy
1 Sobota	Jan z Dukli, Remigiusz
41szy Tydzień	
2 Niedziela	Aniołów Stróżów, Teofil
3 Poniedz.	Teresa od Dziec. Jezus
4 Wtorek	Franciszek z Asyżu
5 Środa	Placyd, Apolinary
6 Czwartek	Brunon, Artur, Emil
7 Piątek	N.M.P. Różańcowa, Marek
8 Sobota	Brygida, Pelagia
42gi Tydzień	
9 Niedziela	Dionizy, Ludwik, Bogdan
10 Poniedz.	Franciszek Borg. Paula
11 Wtorek	**DZIEŃ PUŁASKIEGO**
12 Środa	**COLUMBUS DAY**, Serafin
13 Czwartek	M. B. z Fatima, Edward,
14 Piątek	Kalikst
15 Sobota	Jadwiga, Teresa
43ci Tydzień	
16 Niedziela	Leopold, Gaweł, Florentyna
17 Poniedz.	Wiktor, Małgorzata, Maria
18 Wtorek	Łukasz Ewangelista
19 Środa	Piotr, Pelagia
20 Czwartek	Jan Kanty, Irena
21 Piątek	Hilarion, Urszula
22 Sobota	Filip, Wojciech, Salomea
44ty Tydzień	
23 Niedziela	Seweryn, Ignacy, Roman
24 Poniedz.	Rafał Archanioł, Marcin
25 Wtorek	Kryspin, Bonifacy
26 Środa	Ewaryst
27 Czwartek	Sabina
28 Piątek	Szymon, Tadeusz
29 Sobota	Abraham, Narcyz, Euzebia
45ty Tydzień	
30 Niedziela	Alfons, Edmund
31 Poniedz.	DZIEŃ WILKOŁAKÓW, Antoni, Lucylla

ZAPISKI

Post obowiązuje: 7, 14, 21, 28 Października



30 DNI **Angielski NOVEMBER—Litewski LAKPRITYS**
Niemiecki NOVEMBER—Ruski PADOŁYST 30 DNI

Dni Tygodnia	Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1 Wtorek	**WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH**	
2 Środa	DZIEŃ ZADUSZNY	
3 Czwartek	Hubert, Sylwia	
4 Piątek	Karol Borom., Witalis	
5 Sobota	Zachariasz, Elżbieta	
46ty Tydzień		
6 Niedziela	Leonard, Feliks	
7 Poniedz.	Ernest, Antoni, Salomea	
8 Wtorek	Bogdan, Sewer, Ida	
9 Środa	Teodor, Orest	
10 Czwartek	Andrzej, Lubomir	
11 Piątek	**Święto Niepodl. Polski**	
12 Sobota	Mateusz, Witold	
47my Tydzień		
13 Niedziela	Stanisław Kostka	
14 Poniedz.	Józefat	
15 Wtorek	Leopold, Wojciech	
16 Środa	M.B. Ostrobram., Edmund	
17 Czwartek	Grzegorz, Salomea	
18 Piątek	Katedry Św. Piotra, Roman	
19 Sobota	Felicjan, Elżbieta	
48my Tydzień		
20 Niedziela	Feliks, Edmund, Anatol	
21 Poniedz.	Ofiarowanie NMP., Janusz	
22 Wtorek	Marek, Cecylia	
23 Środa	Klemens, Felicyta	
24 Czwartek	**ŚWIĘTO DZIĘK.**, Jana	
25 Piątek	Katarzyna, Erazm	
26 Sobota	Konrada, Jana	
49ty Tydzień		
27 Niedziela	Walerian, **1 Niedz. Adwentu**	
28 Poniedz.	Grzegorz	
29 Wtorek	Błażeja, Saturnina	
30 Środa	Andrzej, Zbysława	

Post obowiązuje: 4, 11, 18, 25 Listopada



31 DNI | Angielski DECEMBER—Litewski GRUODIS / Niemiecki DEZEMBER—Ruski HRUDEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia	Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1 Czwartek	Eligiusz, Natalia	
2 Piątek	Hipolit, Paulina	
3 Sobota	Franciszek, Ksawery	
50ty Tydzień		
4 Niedziela	Piotr, Barbara	
5 Poniedz.	Anastazy, Saba, Krystyna	
6 Wtorek	Mikołaj, Emil	
7 Środa	Ambroży	
8 Czwartek	**NIEP. POCZ. N. M. P.**	
9 Piątek	Piotr, Wiesław, Leokadia	
10 Sobota	N. M. P. Loret. Julia	
51szy Tydzień		
11 Niedziela	Damazy, Sabina	
12 Poniedz.	Aleksander, Konstanty	
13 Wtorek	Władysław, Łucja, Otylia	
14 Środa	**Suche Dni**, Teodor, Alfred	
15 Czwartek	Walerian, Wiktor, Celina	
16 Piątek	**Suche Dni**, Euzeb., Adela	
17 Sobota	**Suche Dni**, Łazarz, Florian	
52gi Tydzień		
18 Niedziela	Gracjan, Bogusław	
19 Poniedz.	Grzegorz, Urban	
20 Wtorek	Teofil, Juliusz, Bogumiła	
21 Środa	Tomasz, Jan	
22 Czwartek	Zenon, Leon, Honorata	
23 Piątek	Wiktoria, Sławomir	
24 Sobota	WIGILIA, Adam, Ewa	
Ostatni Tydzień Roku		
25 Niedziela	**BOŻE NARODZENIE**	
26 Poniedz.	Szczepan	
27 Wtorek	Jan Ewangelista	
28 Środa	Ś.Ś. Młodziaków, Teofil	
29 Czwartek	Tomasz	
30 Piątek	Eugeniusz, Sabina	
31 Sobota	Sylwester, Melania	

Post obowiązuje: 2, 7, 9, 14, 16, 17, 23, 24, 30 Grudnia

ZWIERZYNIEC NIEBIESKI



(ZODIAK)

Dwanaście gwiazdozbiorów znajdujących po obu stronach ekliptyki (koła), wewnątrz której poruszają się słońce, księżyc i planety.—Koło to podzielone jest na 12 równych części i starożytni nadali poniżej wyrażone nazwy różnym gwiazdozbiorom, jakie się w tych przedziałach znajdują. Początek temu zwierzyńcowi niebieskiemu daje baran.

ARIES — THE RAM — BARAN
Nazwę swoją otrzymał od pierwszego miesiąca babilońskiego, w którym palono barany na ofiarę bogom.

TAURUS — THE BULL — BYK
Nazwany tak przez starożytnych, ponieważ wyrażali oni słońce w postaci byka, któremu oddawali cześć.

GEMINI — THE TWINS — BLIŹNIĘTA
Wywodzą się z legendy o bliźniętach, których wykarmiła wilczyca, którzy potem założyli Rzym.

CANCER — THE CRAB — RAK
Słońce zaczyna swój ruch wsteczny—stąd porównanie i nazwa rak.

LEO — THE LION — LEW
Starożytni używali lwa jako symbolu gorąca, to oznacza upalny miesiąc.

VIRGO — THE VIRGIN — PANNA
Szósty ten znak Zodiaku wzięty został od czci składanej bogini wojny Ishtar—przez babilończyków.

LIBRA — THE BALANCE — WAGA
Noce i dnie równają się prawie ze sobą co do długości—symbolizowane w wadze.

SCORPIO — THE SCORPION — SKORPION
Oznacza ciemność — ponieważ dzień staje się coraz krótszy po jesiennym porównaniu dnia z nocą.

SAGITTARIUS — STRZELEC
THE CENTAUR
Babiloński bóg wojny — wyobrażony w półczłowieku pół-koniu — z łużkiem w ręku.

CAPRICORN — KOZIOROŻEC
THE GOAT
Legenda mówi, że koziorożec był piastunem młodego bożka—słońce.

AQUARIUS — WODNIK
THE WATER BEARER
Bierze swój początek z legendy o deszczach jakie padały i powodowały rozlew Nilu w Egipcie.

PISCES — THE FISHES — RYBY
Symbolizują wiarę starożytnych narodów w życie pozagrobowe.

MODLITWA

Autor jej prágnie pozostać nieujawniony. Uważałby za najwyższą nagrodę gdyby ta modlitwa przyjęła się i upowszechniła wśród emigracji polskiej.

Boże, który jesteś Wolnością, daj nam walczyć o wolność naszą, który jesteś wszechobecnością wolności, spraw abyśmy jej nie zapomnieli w żadnej chwili życia, abyśmy wolni weszli do wolnej ojczyzny, jak zbawieni wejdą do Królestwa Niebieskiego.

Boże, który jesteś Sprawiedliwością, daj nam walczyć o sprawiedliwość dla siebie i dla swoich,

który jesteś najwyższą miarą sprawiedliwości, dozwól, abyśmy ją mogli wydzielić po należnej części wszystkim w ojczyźnie, jak wydzielona będzie w Królestwie Twoim.

Boże, który jesteś Pamięcią świata, daj nam pamiętać o celu i drodze aż do końca naszej drogi przez obce ziemie, aż do spełnienia celu.

który jesteś nieznużoną czujnością pamięci, spraw, abyśmy nie zagubili ani wiary, ani mowy, ani gwiazd, znaczących drogę do kraju naszych ojców i naszych dzieci.

Modlimy się o wolność, sprawiedliwość i wierność Tobie i Polsce.

Prosimy Cię, Panie, abyś wspomniał, że nie skąpiliśmy krwi, potu, tęsknoty ani niczego, co może ze siebie dać człowiek, żeśmy według swoich sił starali się być godni Ciebie i przodków naszych.

Błagamy Cię, abyś raczył pamiętać, że nie ulegliśmy żadnej pokusie, że nie złamaliśmy danego przyrzeczenia, że nigdy nie zawiedliśmy wiary żołnierskiej.

Zaklinamy Cię, abyś nie zapomniał, że nam za wierność odpłacono wiarołomstwem, że za śmiertelny trud nakarmiono nas chlebem zdrady i napojono goryczą zawodu.

Policz Panie, ilu nas padło od kuli skrytobójczej w Katyniu i Palmirach, ilu nas w popiół obróciło się w piecach Oświęcimia, Ravensburck i Belsen, ilu pochłonęła wroga ziemia w tysiącznych łagrach białej Północy, ilu legło na polu bitew Europy, Afryki i Azji, w powietrzu i na siedmiu morzach, w walce jawnej i starciu podziemnym, gdzie bezimienny człowiek stawał sam przeciw całej przemocy zła.

Policz łzy matek, żon, sióstr i dzieci naszych, zmierz ucisk ich serc, dławionych strachem i zgrozą, zważ w sprawiedliwych dłoniach krew przelaną, ogarnij ogrom i daremność naszej ofiary.

Prosimy Cię, błagamy, zaklinamy w pokorze i udręczeniu duszy, uczyń to, uczyń to, abyśmy nie zatracili wiary, abyśmy nie zwątpili w słuszność tego, cośmy czynili, w słuszność, co nam teraz trzeba czynić i co jeszcze czynić przyjdzie.

Daj nam ludziom bez ojczyzny, walczyć o ojczyznę i odzyskać ojczyznę.

Daj nam ludziom ponad miarę doświadczonym przez triumf zła, ujrzeć żywymi oczami spełnienie się dobra.

Modlimy się o całość i wolność Polski.

Modlimy się o wolność i jedność świata. *AMEN.*



Prymas Polski, J. E. Ks. Kardynał Wyszyński.

ŚWIĘTA W STANACH ZJEDNOCZONYCH

W Stanach Zjednoczonych mamy 8 świąt, które przez prawie wszystkie stany są obchodzone.

1. Nowy Rok.

2. Urodziny Washingtona, 22 lutego, obchodzone są uroczyście przez wszystkie stany, ponieważ Washington był twórcą Stanów Zjednoczonych. Washington urodził się w roku 1732 w Bridge Creek, Va., a zmarł w roku 1799 bez potomstwa.

3. Decoration Day, Dzień Wieńczenia grobów, obchodzony jest uroczyście dnia 30 maja w celu wieńczenia grobów tych bohaterów, którzy polegli na polu walki podczas wojny domowej. Stany północne prowadziły wojnę przeciw stanom południowym i dlatego uroczystość ta do stanów: Florida, Louisiana, Mississippi, North Carolina i Texas nie odnosi się wcale. Wieńczenie grobów poległych bohaterów zczasem zamieniło się na dekorowanie grobów własnych krewnych, coś w rodzaju naszych "Zaduszek".

4. Independence Day, Dzień Niepodległości, 4-go lipca (Fourth of July) — jest największem świętem w Stanach Zjednoczonych, obchodzonem na pamiątkę wywalczenia niepodległości kraju. Akt niepodległości przedłożony został Kongresowi 4-go lipca, 1776, chociaż na podpisy wszystkich delegatów było trzeba czekać aż do dnia 2-go sierpnia, ponieważ niektórzy reprezentanci czekać musieli na instrukcje od swoich wyborców.

5. Labor Day, Dzień Robotników, obchodzony w pierwszy poniedziałek miesiąca września. Urzędy federalne są dnia tego pozamykane a organizacje robotnicze paradują po ulicach i odbywają swe zgromadzenia. Jest to święto robotnicze, zaprowadzone staraniem organizacji robotniczej zwanej "American Federation of Labor".

6. Columbus Day, Dzień Kolumba, obchodzony 12-go października na pamiątkę odkrycia Ameryki. — Dnia tego, roku 1492 odkrył Kolumb pierwszą wyspę niedaleko brzegów Ameryki, którą nazwał San Salvador. Święto Kolumba nie jest obchodzone przez wszystkie stany Ameryki.

7. Dzień Pułaskiego 11 listopada.

8. Thanksgiving Day, — Dzień Dziękczynny, jest ustanowiony do składania Bogu podzięki za błogosławieństwo i za urodzaje całoroczne. Jest to właściwie uroczystość rolnicza, proklamowana przez prezydenta i przez gubernatorów, jako święto legalne. Dzień Dziękczynny zaprowadzony został w roku 1621 w mieście Plymouth. Przypada on zawsze na ostatni czwartek w miesiącu listopadzie. — Niektórzy Amerykanie nazywają Dzień Dziękczynny żartobliwie "Turkey Day", ponieważ tego dnia stoły w każdym amerykańskim domu zastawione są pieczonymi indykami, a conajmniej kurami.

8. Christmas Day, Boże Narodzenie, 25-go grudnia.

SZTANDAR STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Sztandar Stanów Zjednoczonych posiada trzynaście równoległych pasów — na przemian siedm czerwonych i sześć białych, i niebieskie pole prostokątne zajmujące czwartą część sztandaru od góry, ze strony drzewca, aż do czwartego czerwonego pasa, licząc od góry. Na tem niebieskiem polu znajdują się białe gwiazdy o pięciu promieniach, umieszczone w sześciu równoległych podłużnych rzędach i w czterech rzędach pionowych. Każda gwiazda przedstawia jeden stan, obecnie więc gwiazd tych jest 48. W razie przyjęcia nowego stanu do Unii, liczbę gwiazd powiększa się zacząwszy od 4-go lipca, po przyjęciu nowego stanu.

Sztandary narodowe, z wyjątkiem sztandarów wojskowych, mają być następujących rozmiarów:

Szerokość sztandaru dowolna (1).

Długość — 1.9 szerokości sztandaru.

Szerokość niebieskiego pola — 7/13 szerokości sztandaru.

Długość niebieskiego pola—0.16 szerokości sztandaru.

Szerokość każdego pasa — 1/13 szerokości sztandaru.

Sztandar Stanów Zjednoczonych może być wystawiony na dworze tylko od wschodu słońca do zachodu słońca. Sztandar ma się podnosić w górę prędko, opuszcza się go zaś powoli. Podczas pochodu, jeżeli niesie się także jakikolwiek inny sztandar, sztandar St. Zj. ma być z prawej strony. Dotyczy to także gdy sztandary są oparte lub przymocowane do ściany. Gdy jest więcej różnych sztandarów, sztandar St. Zj. ma być w środku grupy z przodu, lub w środku na najwyższem miejscu.

Przy podnoszeniu sztandarów zawsze sztandar St. Zj. podnosi się pierwszy, a opuszcza ostatni. Przy wystawianiu sztandarów cudzoziemskich, muszą one być wszystkie jednakowej wielkości i na drzewcach jednakowej długości. Międzynarodowe prawo zabrania wywieszania podczas pokoju, sztandaru jednego państwa ponad sztandarem drugiego państwa.

Jeżeli sztandar ma być wywieszony do połowy drzewca, na znak żałoby, ma się go podciągnąć najpierw do szczytu drzewca, a później opuścić do połowy. Tak samo wieczorem przy opuszczaniu sztandaru, ma się go najpierw podnieść aż do szczytu drzewca, a potem powoli opuścić.

Przy użyciu sztandaru na trumnie, niebieskie pole ma znajdować się nad lewem ramieniem i nad głową nieboszczyka. Przed spuszczeniem trumny do grobu należy sztandar zdjąć tak by nie dotykał ziemi.



NAJWYŻSZE BUDYNKI W NEW YORKU

	Piętr	Stóp
Empire State	102	1,248
Chrysler	77	1,046
RCA Rockefeller Center	70	850
William	66	846
Bank of Manhattan	65	838
Woolworth	60	792
66 Pine Street	63	763
393 Lexington Avenue	80	755
Farmers Trust	59	746
Metropolitan Life	50	700
500 Fifth Avenue	58	697
16 William Street	55	686
Chamin	56	680
Fifth Ave. & 34th St.	55	670
Lincoln	53	638
Irving Trust	50	627
Waldorf Astoria	47	626
Sherry-Netherlands	43	620
10 East 40th Street	44	617
Singer	41	612
New York Life	34	610

Ogółem w New Yorku jest około sto budynków posiadających 30 piętr lub więcej, a około 500 budynków posiadających ponad 20 piętr.

ILOŚĆ GWIAZD W PRZESTWORZU

Wedle obliczeń astronomów, gołem okiem można zobaczyć tylko około 7,000 gwiazd. Przez teleskop od 70,000,000 do 100,000,000. Najnowsze obliczenia wskazują, że ilość gwiazd dochodzi do zawrotnej cyfry 1,600,000,000.

GŁÓWNE WULKANY NA ŚWIECIE

Wulkan i Kraj	Stóp
Sahama, Boliwia	21,000
Pomarape, Chile	20,500
Cotopasil, Ecuador	19,550
Arequipa, Peru	19,200
Demawend, Persja	18,000
Popocatepetl, Meksyk	17,843
Sangay, Ecuador	17,124
Ararat, Persja	17,000
Mauna Loa, Hawaii	13,675
Santa Maria, Guatemala	12,500
Fuego, Guatemala	12,500
Fudżijama, Japonia	12,390
Erebus, Ocean Spokojny	12,365
Semeru, Jawa	12,000
Kirunku-Cza Gunga, Afryka	11,300
Trazu, Costa Rica	11,200
Turri Alba, Costa Rica	10,900
Terror, Ocean Spokojny	10,884
Etna, Włochy	10,755
Ontake, Japonia	10,000
Fateyama, Japonia	10,000
Ruapehu, Nowa Zelandia	9,008
Haalalai, Hawaii	8,275
Coseguina, Nikaragua	5,830
Asa-San, Japonia	5,600
Mont Pelee, Martynika, Indie Zachodnie	5,200
Hekla, Islandia	5,110
Kilauea, Hawaii	4,400
Wezuwiusz, Włochy	4,300
Soufriere, St. Vincent, Indie Zachodnie	4,050
Stromboli, Włochy	3,040
Skaptal, Jokul, Islandia	2,790

TABELKA PORÓWNAWCZA TERMOMETRÓW

Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur
212	100.	80.	122	50.	40.	32	0	0
210	98.9	79.1	120	48.9	39.1	30	— 1.1	— 0.9
208	97.8	78.2	118	47.8	38.2	28	— 2.2	— 1.8
206	96.7	77.3	116	46.7	37.3	26	— 3.3	— 2.7
204	95.6	76.4	114	45.6	36.4	24	— 4.4	— 3.6
202	94.4	75.6	112	44.4	35.6	22	— 5.6	— 4.4
200	93.3	74.7	110	43.3	34.7	20	— 6.7	— 5.3
198	92.2	73.8	108	42.2	33.8	18	— 7.8	— 6.2
196	91.1	72.9	106	41.1	32.9	16	— 8.9	— 7.1
194	90.	72.	104	40.	32.	14	—10.	— 8.
192	88.9	71.1	102	38.9	31.1	12	—11.1	— 8.9
190	87.8	70.2	100	37.8	30.2	10	—12.2	— 9.8
188	86.7	69.3	98	36.7	29.3	8	—13.3	—10.7
186	85.6	68.4	96	35.6	28.4	6	—14.4	—11.6
184	84.4	67.6	94	34.4	27.6	4	—15.6	—12.4
182	83.3	66.7	92	33.3	26.7	2	—16.7	—13.3
180	82.2	65.8	90	32.2	25.8	0	—17.8	—14.2
178	81.1	64.9	88	31.1	24.9	— 2	—18.9	—15.1
176	80.	64.	86	30.	24.	— 4	—20.	—16.
174	78.9	63.1	84	28.9	23.1	— 6	—21.1	—16.9
172	77.8	62.2	82	27.8	22.2	— 8	—22.2	—17.8
170	76.7	61.3	80	26.7	21.3	—10	—23.3	—18.7
168	75.6	60.4	78	25.6	20.4	—12	—24.4	—19.6
166	74.4	59.6	76	24.4	19.6	—14	—25.6	—20.4
164	73.3	58.7	74	23.3	18.7	—16	—26.7	—21.3
162	72.2	57.8	72	22.2	17.8	—18	—27.8	—22.2
160	71.1	56.9	70	21.1	16.9	—20	—28.9	—23.1
158	70.	56.	68	20.	15.	—22	—30.	—24.
156	68.9	55.1	66	18.9	15.1	—24	—31.1	—24.9
154	67.8	54.2	64	17.8	14.2	—26	—32.2	—25.8
152	66.7	53.3	62	16.7	13.3	—28	—33.3	—26.7
150	65.6	52.4	60	15.6	12.4	—30	—34.4	—27.6
148	64.4	51.6	58	14.4	11.6	—32	—35.6	—28.4
146	63.3	50.7	56	13.3	10.7	—34	—36.7	—29.3
144	62.2	49.8	54	12.2	9.8	—36	—37.8	—30.2
142	61.1	48.9	52	11.1	8.9	—38	—38.9	—31.1
140	60.	48.	50	10.	8.	—40	—40.	—32.
138	58.9	47.1	48	8.9	7.1	—42	—41.1	—32.9
136	57.8	46.2	46	7.8	6.2	—44	—42.2	—33.8
134	56.7	45.3	44	6.7	5.3	—46	—43.3	—34.7
132	55.6	44.4	42	5.6	4.4	—48	—44.4	—35.6
130	54.4	43.6	40	4.4	3.6	—50	—45.6	—36.4
128	53.3	42.7	38	3.3	2.7	—52	—46.7	—37.3
126	52.2	41.8	36	2.2	1.8	—54	—47.8	—38.2
124	51.1	40.	34	1.1	0.9	—56	—48.9	—39.1

PORÓWNANIE TERMOMETRÓW

Są trzy rodzaje termometrów czyli ciepłomierzy różniące się skalą stopni, a mianowicie: Najczęściej używany Fahrenheita, Reaumura i Celsiusa. Punkt marznięcia i punkt wrzenia wyrażone stopniami, w trzech wyż wspomnianych termometrach wykazują następującą różnicę:

Nazwa termometru	Punkt marznięcia wody	Punkt wrzenia wody
Fahrenheit	32	212
Reaumur	0	80
Celsius	0	100

Chcąc przemienić stopnie jednego na stopnie drugiego termometru postępuje się jak następuje:

Zamieniając Fahreinheita na Reaumura odciąga się od stopni Fahrenheita liczbę 32 a pozostałość mnoży przez 4/9 n.p. Termometr Fahrenheita wskazuje 68 stopni a chcemy się dowiedzieć ile jest stopni Reaumura więc od 68 odciągamy 32 pozostaje nam 36 te mnoży przez 4/9 i otrzymamy 16.

Przemieniając stopnie Fahrenheita na stopnie Celsiusa odciągamy od nich liczbę 32 a pozostałość mnożymy przez 5/9.

Przemieniając stopnie Reaumura w Fahrenheita mnożymy je przez 9/4 i dodajemy do iloczynu liczbę 32.

Stopnie Reaumura na Celsiusa zamieniamy mnożąc je przez pięć czwartych.

Celsiusa na Fahrenheita mnożąc przez 9/5 i dodając do iloczynu 32.

Celsiusa na Reaumura mnożąc przez 4/5.

Polscy Muzycy i Kompozytorzy

Adamowski Józef, Adamowski Tymoteusz, Bandrowski Aleksander, Barabasz Wiktor, Barcewicz Stanisław, Białkiewiczówna Irena, Biernacki Michał M., Borkowiczówna Marja, Brzezińska Filipina z Szymanowskich, Brzeziński Franciszek, Brzowski Józef, Burda Stanisław, Byk Ryszard, Chojnacki Roman, Szopen (Chopin) Fryderyk, Chybiński Adolf, Cymbaliński Stefan, Danysz Kazimierz, Deszczyński Józef, Didur Adam, Długoraj Adalbert, Dłuski Erazm, Dobrzyński Ignacy F., Dołżycki Adam, Domaniewski Bolesław, Drozdowski Jan, Drzewiecki Zbigniew, Dunecki Stanisław, Dygas Ignacy, Dygat Zygmunt, Eisenberger Seweryn, Elsner Józef Ksawery, Felsztyński Sebastjan, Fitelberg Grzegorz, Friedman Ignacy, Garbusiński Kazimierz, Gawroński Wojciech, Gieburowski Wacław, Gliński Mateusz, Gomółka Mikołaj, Gorczyński Grzegorz G., Gruszczyński Stanisław, Gużewski Adolf, Hoffmann Józef, Huberman Bronisław, Jachimecki Zdzisław, Jaczynowska Katarzyna, Janota Natalja, Jarecki Henryk, Jarecki Tadeusz, Joteyko Tadeusz, Juszkiewicz Antoni, Juszkiewicz Jan, Kamieński Lucjan, Kamieński Maciej, Kania Emanuel, Karasowski Maurycy, Karłowicz Mieczysław, Kaziński Wiktor, Kątski Antoni, Kątski Apolinary, Kątski Karol, Kątski Stanisław, Kazuro Stanisław, Kochańska-Sembrich Marcelina, Kochański Paweł, Kochański Wacław, Koczalski Raul, Komorowski Ignacy M., Korolewicz-Waydowa Janina, Krogulski Józef, Krzyżanowski Ignacy, Kurpiński Karol, Łabuński Wiktor, Łabuński Roderyk, Lachman Wacław, Lachowska Jadwiga, Lalewicz Jerzy, Landowska Wanda, Leopolita-Lwowczyk Marcin, Leszetycki Teodor, Lipiński Karol J., Lipski Stanisław, Ma linowski Stefan, Mann Józef, Marczewski Lucjan, Marek Czesław, Maszkowski Rafał, Maszyński Piotr, Melcer Henryk, Michałowicz Mieczysław, Michałowski Aleksander, Mielczewski Marcin, Mikulì Karol, Mioduszewski Michał M., Mirecki Franciszek, Młynarski Emil, Moniuszko Stanisław, Morawski Eugenjusz, Morelowski Ludwik, Mosheles Ignacy, Moszkowski Maurycy, Moszkowski Aleksander, Mincheimer Adam.

Nidecki Tomasz, Niedzielski Stanisław, Niewiadomski Stanisław, Noskowski Zygmunt, Nowakowski Józef, Nowowiejski Feliks, Ogiński Michał Kazimierz, Ogiński Michał Kleofas, Okoński Adam, Opieński Henryk, Osmański Wojciech, Ottawowa Helena, Ozimiński Józef, Pachulski Henryk, Paderewski Ignacy Jan, Pankiewicz Eugenjusz, Pekiel Bartłomiej, Perutz Robert, Poliński Aleksander, Raczyński Bolesław, Radziwiłł Antoni Henryk, Reszke Edward, Reszke Jan, Rogowski Michał Ludwik, Rosenthal Maurycy, Różycki Ludomir, Rubinstein Artur, Rudnicki Marjan, Rytel Piotr, Sari-Szajerówna Ada, Sarnecka Jadwiga, Sikorski Józef, Śliwiński Józef, Sobolewski Cyrus M., Sokołowski Marek, Sołtys Adam, Sołtys Mieczysław, Sowilski Marceli, Sowiński Adalbert Wojciech, Starczewski Feliks, Statkowski Roman, Stojowski Zygmunt, Studziński Karol, Surzyński Józef, Surzyński Mieczysław, Świerzyński Michał, Szamotulski, Szarzyński Stanisław S., Szeluta Apolinary, Szopski Felicjan, Szulc Bronisław, Szymanowska z Wołowskich Marja, Szymanowska Stanisława, Szymanowski Feliks, Szymanowski Karol.

Tansman Aleksander, Turczyński Józef, Wallek Walewski Bolesław, Wasielewski Józef, Wieniawski Adam, Wieniawski Henryk, Wieniawski Józef, Wójcikowska Bronisława, Wolanek Jan P., Zarębski Juljusz, Zarembski Juljusz, Zarzycki Aleksander, Zboińska-Ruszkowska Helena, Żeleński Władysław, Zientarski Romuald.

Małcużyński Witold, Turel Seweryn, Morsztynówna Helena, Windheim Marek, Prokopieni Paweł, Didur Olga, Muenz Mieczysław, Bogucka Marja, Filar Marjan, Brachocki Aleksander, Kiepura Jan, Kiepura-Ladis Władysław, Bielecki Jan, Bojanowski Jerzy, Legawiec Władysław, Paul Wanda, Półtorak Laszczkowska Henryka, Victoria Halina, Dębicka Jaxa Ewa, Wojewódka Jan, Szczepańska Lucyna.



Dom, w którym urodził się F. Chopin.

ALFABETYCZNY WYKAZ IMION ŚWIĘTYCH

A

Abdona Męczennika 30 Lipca
Adama 24 Grudnia
Adelajdy 10 Grudnia
Adolfa Biskupa 17 Czerwca
Adryana Męczen. 9 Września
Agapita Męczen. 18 Sierpnia
Agatona Papieża 10 Sstycznia
Agnieszki P-ny Męcz. 21 Sty.
Agaty Panny Męcz. 5 Lutego
Agrypiny 23 Czerwca
Albina Biskupa 1 Marca
Albiny Panny 16 Grudnia
Alexandra M. w Rzymie 26 Lutego
Alexandra Męcz. 3 Maja
Alexandra M. w Alex 12 Grudnia
Alexego Wyznawcy 17 Lipca
Alfonsa 2 Sierp. i 22 Paźdz.
Alfreda 3 Lipca
Alodji P. M. 21 Października
Alojzego Gonzagi 21 Czerwca
Amelii księżnej 10 Lipca
Ambrożego Biskupa 7 Grud.
Amalii Panny 2 Marca
Anastazego M. 22 Stycznia
Anastazego Papieża 27 Lutego
Anastazego Wyznaw. 29 Mar.
Anastazji Panny 27 Lutego
Anastazji Rzymian. 26 Paźdz.
Anatoli Męczenniczki 9 Lipca
Anatoliusza Biskupa 3 Lipca
Andrzeja Apostoła 30 Listop.
Andrzeja Polaka Pust. 6 Maja
Andrzeja z Krety 7 Paźdz.
Angeli Mer. P. 31 Maja
Angeli 30 Marca
Anny Matki N.M.P. 26 Lipca
Aniołów Stróżów 2 Paźdz.
Ansgarego Biskupa 4 Lutego
Antoniego Opata 17 Stycznia
Antoniego Padew. 13 Czerw.
Antonina Arcybis. 10 Maja
Antoniny 16 Grudnia
Anzelma 23 Kwietnia
Apolinarego Biskupa 23 Lipca
Apolonii Pan. Męcz. 9 Lutego
Apoloniusza Męcz. 18 Kwiet.
Arkadyusza Męcz. 12 Stycz.
Arseniusza Biskupa 19 Lipca
Artura Biskupa 6 Październ.
Atanazego Biskupa 2 Maja
Augusta Wyznawcy 3 Sierp.
Augustyna Biskupa 28 Sierp.
Aurelii Panny 25 Września
Awita Męczennika 12 Stycznia

B

Balbiny Panny 31 Marca
Barlaama 27 Listopada
Barbary Panny 4 Grudnia
Barnaby Apostoła 11 Czerw.
Bartłomieja Apost. 14 Sierp.
Bazylego Biskupa 14 Czerw.
Beaty Panny 8 Marca
Bedy Kapłana 27 Maja
Benedykta Opata 21 Marca
Benigny Panny 19 Sierpnia
Benona Biskupa 16 Czerwca
Bernarda Opata 20 Sierpnia
Barnarda Seneńskiego 30 Maja
Bibianny Panny 2 Grudnia
Błażeja Biskupa 7 Lutego
Bogumiła 10 Czerwca
Bonawentury Kard. 14 Lipca
Bonifacego Męczen. 14 Maja
Bonifacego Biskupa 5 Czerw.
Bonifacego B. Forent. 30 Maja
Bony Panny 24 Kwietnia
Bronisławy 18 Sierpnia
Brunona Wyznawcy 6 Paźdz.
Brygidy Panny 1 Lutego
Brygidy Wdowy 8 Październ.

C

Cecylii Panny Męcz. 22 List.
Celestyna 6 Kwietnia
Celsa Męczennika 28 Lipca
Cezaryusza Biskupa 27 Sierp.
Cypriana Biskupa 16 Wrześ.
Cypriana Męcz. 26 Września
Cyrylla Biskupa 10 Marca
Cyrylla Biskupa 9 Lipca
Cyrylla Diakona 22 Marca
Cyriaka Kapłana 16 Marca
Cyriaka Męczennika 8 Sierp.
Czesława Wyznawcy 20 Lipca
Czterdziestu Męcz. 10 Marca
Czterech koronatów 8 Listop.

D

Damazego Papieża 11 Grudnia
Damiana Męcz. 27 Września
Daniela Męczennika 3 Stycz.
Daniela Proroka 21 Lipca
Dawida Króla 30 Grudnia
Dezyderiusza Biskup. 21 Maja
Domiceli Panny 7 Maja
Dominika Wyznaw. 4 Sierp.
Dominiki Panny 6 Lutego
Donata Pustelnika 17 Lutego
Doroteusza Męczen. 28 Marca
Doroty Panny 6 Lipca
Dydaka Wyzn. 12 Listopada
Dygny 11 Sierpnia
Dionizego Biskupa 8 Kwiet.
Dionizego Męczen. 9 paźdz.

E

Edmunda Biskupa 16 Listop.
Edyty Królewny 15 Grudnia
Edwarda Króla 13 Paździer.
Eleonory Panny 21 Lutego
Eliasza Proroka 20 Lipca
Eligiusza Biskupa 1 Grudnia
Elizeusza Proroka 2 Paźdz.
Elżbiety Wdowy 8 Lipca
Elżbiety Panny 5 Listopada
Elżbiety Królow. 19 Listop.
Emeryka Królew. 5 Listop.
Emiliana Biskupa 11 Wrześ.
Emilianny 5 Stycznia
Emilii 30 Czerwca
Engielberta 7 Listopada
Epifaniusza Bisk. 7 Kwietnia
Erazma Biskupa 2 Czerwca
Estery Królowej 18 Listop.
Euchariusza Bisk. 20 Lutego
Eudoxiusza M. 5 Września
Eufenii Panny 16 Września
Eufrozyny Męcz. 3 Września
Eufrozyny Panny 11 Lutego
Eugenii P. M. 24 Grudnia
Eugeniusza 18 Listopada
Eugeniusza Bisk. 30 Grudnia
Eulalii Panny 10 Grudnia
Eustachiusza Męcz. 20 Wrześ.
Euzebii P. M. 29 Października
Euzebiusza W. 14 Sierpnia
Euzebiusza Bisk. 16 Grudnia
Ewarysta Papieża 26 Paźdz.
Ewy 24 Grudnia
Ezechiasza Króla 30 Paźdz.
Ezechiela Proroka 20 Kwiet.

F

Fabiana 20 Stycznia
Faustyny Męczen. 15 Lutego
Faustyny Wdowy 19 Grudnia
Felicjana Biskupa 24 Stycznia
Felicjana Męczen. 9 Czerwca
Feliksa Kapucyna 18 Maja
Feliksa Papieża 30 Maja
Feliksa z Noli 18 Stycznia
Feliksa Męczen. 30 Sierpnia
Feliksa Walezy 20 Listopada
Ferdynanda Króla 30 Maja
Filipa Apostoła 1 Maja
Filipa Neriusza 26 Maja
Filipa Benicjusza 23 Sierpnia
Filomeny P-ny Męcz. 5 Lipca
Flawiana Męcz. 25 Lutego
Flawii Panny 5 Października
Floriana Męczennika 4 Maja
Floriana Męcz. 17 Paździer.
Florentyna Bisk. 16 Paździer.
Fortunata Męcz. 26 Lutego
Franciszka Borg. 10 Paźdz.
Franciszka Salezego 29 Kwiet.
Franciszka a Paulo 2 Kwiet.
Franciszka Seraf 4 Paździer.
Franciszka Ksaw. W. 3 Grud.
Franciszki Wdowy 9 Marca
Fryderyka Opata 5 Marca
Fulgentego Biskupa 1 Stycz.

G

Gabriela Archanioła 18 Marca
Gaudencji Panny 30 Sierpnia
Gaudentego Bisk. 12 Lutego
Gawła Opata 16 Października
Gedeona Sędziego 18 Czerw.
Genowefy Panny 3 Stycznia
Gerarda Biskupa 24 Września
Germana Biskupa 24 Wrześ.
Germana Biskupa 28 Maja
Gertrudy Panny 17 Marca
Gerwazego 19 Czerwca
Gotfreda (Bogumiła) 13 Sty.
Gotfreda Biskupa 8 Listop.
Graciana Biskupa 18 Grudnia
Grzegorza Biskupa 4 Stycznia
Grzegorza Papieża 12 Marca
Grzegorza Naziańskiego 9 Maja
Grzegorza Cudotwór. 18 List.
Gustawa 2 Sierpnia
Gwidona Wyznaw. 12 Wrześ.

H

Heleny Cesarzowej 2 Marca
Heleny Królowej 22 Maja
Heliodora 3 Lipca
Henryka Cesarza 15 Lipca
Henryka 19 Stycznia
Hermenegilda M. 13 Kwiet.
Hermogenesa 19 Kwietnia
Hiacynty Panny 30 Stycznia
Higina Papieża 11 Stycznia
Hilarego 14 Stycznia
Hieronima Dr. Kościoła 30 Września
Hipolita 13 Sierpnia
Honoraty Panny 12 Stycznia
Huberta Biskupa 3 Listopada
Hugonota 1 Kwietnia

I

Idy Panny 13 Kwietnia
Idziego Opata 1 Września
Ignacego Biskupa 1 Lutego
Ignacego Lojoli Wyznawcy 31 Lipca
Ildefonsa 23 Stycznia
Imienia Jezus 19 Stycznia
Imienia Marii 14 Września
Inocentego Papieża 28 Lipca
Ireneusza Smyrneńskiego 25 Marca
Ireneusza Męcz. 15 Grudnia
Ireny Panny 20 Października
Iwona Wyznawcy 19 Maja
Izabeli Panny 15 Marca
Izabeli Królowej 3 Września
Izajasza Proroka 6 Lipca
Izydora Biskupa 4 Kwietnia
Izydora Oracza 10 Maja

J

Jacka Wyznawcy 18 Sierpnia
Jadwigi Wdowy 16 Paździer.
Jakóba Apostoła 1 Maja
Jakóba Apostoła 25 Lipca
Jakóba Patriarchy 21 Kwiet.
Jakóba z Nizybu 15 Lipca
Jakóba Pustelnika 17 Lutego
Jana Jałmużnika 23 Stycznia
Jana Chryzostoma 27 Stycz.
Jana Franciszka 16 Czerwca
Jana z Matty Wyzn. 8 Lutego
Jana Bożego 8 Marca
Jana w Oleju 6 Maja
Jana Nepomucena 16 Maja
Jana Papieża 27 Maja
Jana Chrzciciela 24 Czerwca
Jana Męczennika 26 Czerwca
Jana Gwalberta 12 Lipca
Jana z Dukli 7 Lipca
Jana Kantego 27 Października
Jana Kapistrana W. 23 Paźdz.
Jana od Krzyża 24 Listop.
Jana Ewangelisty 27 Grud.
Januariusza Bisk. 19 Wrześ.
Jerzego Męczen. 24 Kwietnia
Joachima Ojca NMP. 1 Wrześ.
Joanny Wdowy 24 Maja
Joanny Fremiot 21 Sierpnia
Jordana Wyznawcy 13 Lutego
Jowity Męczen. 15 Lutego
Józefa Obl. N.M.P. 19 Marca
Józefa Kalasant. W. 4 Lipca
Józefa z Kopertynu 18 Wrześ.
Judy Tadeusza Ap. 28 Paźdz.
Judyty Wdowy 16 Listopada
Juliana Męczen. 27 Stycznia
Juliana Męczen. 13 Lutego
Julianny Panny 16 Lutego
Julii Panny Męcz. 22 Maja
Juliusza Papieża 12 Kwietnia
Julity P. M. 30 Lipca
Justa Biskupa 2 Września
Justyna Męczen. 17 Września
Justyniana Bisk. 5 Września
Justyny Panny Męcz. 7 Paźdz.
Juwencjusza Męcz. 1 Czerw.

K

Kaja Męczen. 22 Kwietnia
Kajetana Wyznaw. 7 Sierp.
Kalixta Papieża 14 Paźdz.
Kamilla Wyznawcy 18 Lipca
Kandyda Męcz. 9 Paździer.
Kanuta Króla 19 Stycznia
Karola W. Cesarza 28 Stycz.
Karola Boromeusza 4 Listop.
Karoliny 5 Lipca
Kassjana Męczen. 13 Sierpnia
Kasyldy 15 Kwietnia
Katarzyny Szwedzkiej 23 Mar.
Katarzyny Seneńskiej 30 Kw.
Katarzyny Panny M. 25 List.
Katedry św. Piotra w Rzymie 18 Stycznia
Kat. św. Pawła w Antiochii 22 Lutego
Kazimierza Królew. 4 Marca
Kiliana Biskupa 8 Lipca
Klary Panny 12 Sierpnia
Kleta Papieża 23 Listopada
Klemensa Bisk. Męcz. 13 Lut.
Klemensa Papieża 23 Listop.
Kleofona Męczen. 25 Wrześ.
Klotyldy Królowej 6 Czerw.
Kolety Panny 6 Marca
Konstancji Panny M. 18 Lut.
Konstantyna Wyzn. 11 Marca
Konstancji 12 Kwietnia
Konrada Wyznaw. 19 Lutego
Konrada Bisk. 26 Listopada
Korduli Panny 22 Paździer.
Korneli Męczen. 31 Marca
Kozmy Męczennika 27 Wrześ.
Kryspina i Kryspianina 27 Października
Krystyny Panny 24 Lipca
Krzysztofa Męcz. 25 Lipca
Kunegundy Cesarz. 3 Marca
Kunegundy Królow. 28 Lipca
Kwiryna Męczen. 20 Marca

L

Lamberta 16 Kwietnia
Larga Męczennika 8 Sierpnia
Leandra Bisk. W. 27 Lutego
Leokadii Panny 9 Grudnia
Leona I Papieża 11 Kwietnia
Leona XI Papieża 8 Czerw.
Leonarda Wyznaw. 5 Listop.
Leonilii Panny M. 18 Stycz.
Leontyny Panny 15 Marca
Leopolda Margr. 15 Listopad.
Longina Męczen. 15 Marca
Lusjana Męczen. 7 Stycznia
Lucyny Panny 30 Czerwca
Lucyny Męcz. 17 Paździer.
Ludgardy Panny M. 16 Czerw.
Ludgera Biskupa 26 Marca
Ludomira 3 Października
Ludwika Wyznaw. 12 Lutego
Ludwika Króla Syc. 19 Sierp.
Ludwika Króla 25 Sierpnia
Ludwiki Panny 15 Kwietnia

Ł

Ładysława z Gieln. 22 Wrześ.
Łazarza Biskupa 17 Grudnia
Łucji Panny 13 Grudnia
Łukasza Ewang. 18 Paźdz.

M

Macieja Apostoła 25 Lutego
Magdaleny 25 Maja i 22 Lipca
Makarego Opata 2 Stycznia
Makryny M. 21 Lipca
Małgorzaty Kr. Węgierskiej 13 Lipca
Małgorzaty Kr. Szw. 10 Czer.
Małgorzaty P. Męcz. 20 Lipca
Mamerta Biskupa 11 Maja
Mansweta Biskupa 28 Listop.
Marcella Papieża 16 Stycznia
Marcelli Wdowy 31 Stycznia
Marcellana Papieża 18 Czerw.
Marcellina Papieża 26 Kwiet.
Marcina Biskupa 11 Listop.
Marcina Papieża 12 List.
Marcjana Męcz. 17 Kwietnia
Marcjanny P. Męcz. 9 Stycz.
Marka Ewangelisty 25 Kwiet.
Marka Męczennika 24 Marca
Marka z Rzymu M. 18 Czerw.
Marty Panny 29 Lipca
Martyny Panny 30 Stycznia
Marty Męczen. 19 Stycznia
Marii Egipcjanki 10 Kwietnia
Marii z Engii 23 Czerwca
Marii Kleofy 9 Kwietnia
Marii Magdaleny we Fl. 31 Maja
Marii Magdaleny w Jeroz. 22 Lipca
Mariusza 19 Stycznia
Mateusza Apostoła 21 Wrześ.
Matyldy Królowej 14 Marca
Maurycjusza 22 Września

Maurycego 13 Września
Maksymiliana Bisk. 12 Paźdz.
Maxymina Bisk. 3 Czerwca
Medarda Bisk. 3 Czerwca
Melanii P. M. 18 Lutego
Metodego B. W. 10 Marca
Michała Arch. 29 Września
Mikołaja z Tolent. 10 Wrześ.
Mikołaja Biskupa 6 Grudnia
Mirona Męczen. 17 Sierpnia
Młodzianków 28 Grudnia
Modesty Panny 15 Czerwca
Moniki Wdowy 4 Maja

N

Narcyza Biskupa 20 Paźdz.
Narodzenie Chrystusa 25 Grudnia
Narodzenie N.P.M. 8 Wrześ.
Natalji Panny 27 Lipca
Nawróc. św. Pawła 25 Stycz.
Nazarjusza M. 12 Czerwca i 28 Lipca
N. M. Anielskiej 2 Sierpnia
N. M. P. Bolesnej 4 Kwiet.
N. M. P. od wyzw. niew. 24 Września
N.M.P. Loretańskiej 10 Grud.
N. M. P. Łaskawej 11 Maja
N. M. P. Różańcowej 6 Paźdz.
N. M. P. Śnieżnej 5 Sierpnia
N. M. P. Szkaplerz. 16 Lipca
Nawiedzenie N. M. P. 2 Lipca
Nemezjusza Męcz. 19 Grud.
Nicefora Męczen. 29 Lutego
Nicefora Biskupa 13 Marca
Niepok. Pocz. N.M.P. 8 Grud.
Nikodema Męcz. 15 Września
Norberta Biskupa 6 Czerwca

O

Oczyszczenie N.M.P. 2 Lutego
Ofiarowanie N.M.P. 21 List.
Oktawiana Męcz. 22 Marca
Olimpji 26 Marca
Onufrego Pustel. 12 Czerw.
Opieka św. Józefa 21 Kwiet.
Opieki N. M. P. 10 Listopada
Optata Biskupa 4 Czerwca
Ottona Biskupa 2 Lipca
Ottona Męczennika 16 Stycz.
Otylji Panny Męcz. 13 Grud.

P

Pafnucego Męcz. 19 Kwiet.
Pankracego 12 Maja
Pantaleona Męcz. 27 Lipca
Paschalisa 17 Maja
Paschazego Bisk. 22 Lutego
Patrycjusza Bisk. 17 Marca
Patrycji Męcz. 13 Marca
Paulina Biskupa 22 Czerwca
Pauliny Wdowy 26 Stycznia
Pawła Biskupa 22 Marca
Pawła Męcz. 26 Czerwca
Pawła I Pustel. 15 Stycznia
Pawła Apostoła 29 Czerwca
Pelagji Panny 11 Lipca
Pelagji Pokutnicy 12 Paźdz.
Petroneli 31 Maja
Pięciu ran. św. Franciszka 17 Września
Piotra Chryzologa 4 Grudnia
Piotra Egzorcysty 2 Kwietnia
Piotra Nolaski 31 Stycznia
Piotra Męczen. 29 Kwietnia
Piotra Celestyna 19 Maja
Piotra z Werony Męczen. 20 Kwietnia
Piotra i Pawła 29 Czerwca
Piotra w Okowach 1 Sierpnia
Piotra z Alkantary 19 Paźdz.
Piusa Papieża 5 Maja
Placydy Męcz. 5 Października
Placydy P. 11 Października
Podwyższenie św. Krzyża 14 Września
Polieukta Męczen. 21 Maja
Polikarpa Bisk. Męcz. 26 Sty.
Praxedy Panny 2 Lipca
Prokopa Męczennika 4 Lipca
Prokula Męczen. 1 Czerwca
Prospera Biskupa 25 Czerwca
Prota Męczen. 11 Września
Protazego 19 Czerwca
Pryma Męczen. 9 Czerwca
Pryski Panny 18 Stycznia
Przeniesienie św. Kazimierza 27 Sierpnia
Przeniesienie św. Wojciecha 20 Października
Pulcherji Męczennicy 7 Lipca
Pulcherji Panny 10 Września

R

Rafała Archanioła 24 Paźdz.
Rajmunda 23 Stycznia
Rajmunda Kard. 31 Sierp.
Reginy Panny 7 Września
Remigjusza Bisk. 1 Paźdz.
Roberta Opata 7 Czerwca
Rocha Wyznawcy 16 Sierpnia
Romana Opata 28 Lutego
Romana Męcz. 9 Sierpnia
Romany Panny 23 Lutego
Romualda Opata 7 Lutego
Rozalji Panny 4 Września
Rozesłanie Apost. 15 Lipca
Róży Panny 26 Sierpnia
Róży Limańskiej 30 Sierpnia
Rudolfa 17 Kwietnia
Rufy Męczenniczki 28 Listop.
Rufina Wyznawcy 19 Sierp.
Rufiny Panny 31 Sierpnia
Ruperta Biskupa 27 Marca
Ryszarda Biskupa 3 Kwietnia

S

Sabby Opata 5 Grudnia
Sabina Wyznawcy 11 Lipca
Sabiny Męcz. 27 Października
Salezego Męcz. 12 Sierpnia
Salomei Panny 17 Listopada
Salwiana 17 Marca
Saturnina Męcz. 29 Listopada
Saturniny Panny i Męczen. 4 Marca
Scholastyki Panny 10 Lutego
Ścięcie św. Jana Chrzciciela 29 Sierpnia
Serapiona Wyz. Męcz. 14 List.
Serca Pana Jezusa 7 Czerw.
Sergiusza Męcz. 24 Lutego
Serwacego Biskupa 13 Maja
Serwiliana Męcz. 20 Kwietnia
Seweryna Opata 8 Stycznia
Siedmiu Braci Śpiących 10 Maja
Sebastjana 20 Stycznia
Sennena Męcz. 30 Lipca
Sotera Papieża 22 Kwietnia
Spirydona Biskupa 14 Grud.
Stanisława Biskupa 8 Maja
Stanisława Kostki 13 Listop.
Stefana Kr. Węg. 2 Września
Sulpicjusza Męcz. 20 Kwiet.
Sygfryda B. M. 25 Lutego
Sylwerjusza 20 Czerwca
Sylwestra Papieża 31 Grud.
Sylwiana Biskupa 17 Lutego
Symforjana Męcz. 22 Sierp.
Synezjusza Męcz. 12 Grudnia
Syxta Papieża 28 Marca
Szczepana 1 Męcz. 26 Grud.
Szczepana Papieża 2 Sierpnia
Szymona z Lipnicy 28 Lipca
Szymona Apostoła 28 Paźdz.
Szymona z Edesy 5 Lipca

T

Tadeusza Apostoła 28 Paźdz.
Tarsylji Panny 24 Grudnia
Tekli Panny 23 Września
Telesfora Pap. Męcz. 5 Stycz.
Teobalda Pustelnika 1 Lipca
Teodora Męcz. 9 Listopada
Teodora Zakonnika 7 Stycz.
Teodory Męczen. 1 Kwietnia
Teodory Pokutnicy 11 Wrześ.
Teodezji Panny Męcz. 29 Maja
Teodozjusza Wyzn. 11 Stycz.
Teodoryka 1 Lipca
Teofila Biskupa 27 Kwietnia
Teofila Męczen. 20 Grudnia
Teresy Panny 15 Paździer.
Tomasza z Akwinu 7 Marca
Tomasza z Wilan. 18 Wrześ.
Tomasza Apostoła 21 Grud.
Tomasza Kantuar. 29 Grud.
Trzech Króli 6 Stycznia
Tyburcjusza 14 Kwietnia
Tymoteusza B. M. 24 Stycz.
Tytusa Biskupa 4 Stycznia

U

Ubalda Biskupa 16 Maja
Urbana 25 Maja
Urszuli Panny 21 Paździer

W

Wacława Króla 28 Września
Walentego Kapł. Męcz. 14 Lut.
Walerego Bisk. 12 Grudnia
Walerego Męcz. 12 Września
Walerji Męcz. 5 Czerwca
Walerji Panny 9 Grudnia
Walerjana Męcz. 14 Marca
Wawrzyńca Męcz. 10 Sierp.
Wenantego Męcz. 18 Maja
Wenefrydy Panny 3 Listop.
Weroniki Panny 13 Stycznia
Weroniki z Julianu 17 Maja
Wiktora 1 Września
Wiktorji Panny 23 Grudnia
Wiktoryna Męcz. 6 Marca
Wiktoryna Biskupa 5 Wrześ.
Wiktora Biskupa Męcz. 2 List.
Wilhelma Arcyb. 10 Stycz.
Wilhelma Opata 6 Kwietnia
Wilhelma księcia 28 Maja
Wilibalda Biskupa 7 Lipca
Wilibrarda Biskupa 7 List.
Wincentego Biskupa 20 Marca
Wincentego Męcz. 22 Stycz.
Wincentego Fer. W. 5 Kwiet.
Wincentego a Paulo 19 Lipca
Wincentego Kadłubka 9 Paź.
Wita 15 Czerwca
Witalisa Męcz. 28 Kwietnia
Władysława Króla 27 Czerw.
Wniebowz. N. M. P. 15 Sierp.
Wojciecha Biskupa 23 Kwiet.
Wolfganga Biskupa 31 Paźdz.
Wszystkich Św. 1 Listopada

Z

Zacharjasza Proroka 6 Wrześ.
Zacharjasza Papieża 5 List.
Zaślubienie N. M. P. 23 Stycz.
Zefiryna Papieża 26 Sierp.
Zenobji Panny 30 Paździer.
Zenobiusza 30 Października
Zenona Żołnierza 22 Grudnia
Znalezienie św. Krzyża 3 Maja
Zofji z 3-ma córkami 15 Maja
Zuzanny P. Męcz. 11 Sierp.
Zwiastowanie NMP. 25 Marca
Zygmunta Króla 2 Maja

KALENDARZYK ŚWIĄT LEGALNYCH W STANACH ZJEDN.

Arbor Day. — Zwykle wyznaczany przez Gubernatora.
Armistice Day (Dzień Rozbrojenia) — 11 listopada.
Christmas Day (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.
Columbus Day — 12 października.
Decoration Day, zobacz: Memorial Day.
Defense Day (Dzień Obrony) — 12 września.
Father's Day (Dzień Ojców) Druga Niedziela Czerwca
Flag Day — 14 lipca.
Independence Day (Dzień Niepodległości) — 4 lipca.
Indian Day. — Czwarty piątek we wrześniu.
Jeffersona urodziny — 13 kwietnia.
Labor Day (Dzień Pracy) — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Lincolna urodziny — 12 lutego.
Memorial Day (Dzień Wieńczenia) — 30 maja we wszystkich stanach; w Alabama, Georgia, Florida i Mississippi 26 kwietnia; w North i South Carolina 10 maja.
Mother's Day (Dzień Matek) Druga niedziela w maju.
Nowy Rok — 1 stycznia.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Ostatni czwartek w listopadzie.
Washingtona urodziny — 22 lutego.

NARODOWE ŚWIĘTA RÓŻNYCH KRAJÓW

Argentyna — 25 maja.
Armenja — 28 maja.
Bałtyckie Kraje — 18 listopada.
Boliwja — 6 sierpnia.
Brazylja — 7 września.
Bułgarja — 5 października.
Chiny — 10 października.
Columbia — 20 lipca.
Costa Rica — 15 września.
Czechosłowacja — 28 października.
Ecuador — 10 sierpnia.
Finlandja — 6 grudnia.
Francja — 14 lipca.
Grecja — 7 kwietnia.
Guatemala — 15 września.
Haiti — 1 stycznia.
Honduras — 15 września.
Liberja — 26 lipca.
Meksyk — 16 września.
Nikaragua — 15 wrzesnia.
Niemcy — 9 listopada.
Norwegja — 17 maja.
Panama — 28 listopada.
Paragwaj — 14 i 15 maja.
Peru — 28—30 lipca.
Polska —3 maja.
Portugalja — 1 grudnia.
Rosja Sowiecka — 7-go listopada.
Salvador — 10 września.
Uruguaj — 28 lutego.
Wenezuela — 4 lipca.

ŚWIĘTA LEGALNE W KANADZIE

Nowy Rok — 1 stycznia.
Popielec.
Wielki Piątek.
Niedziela Wielkanocna.
Empire Day — 24 maja.
Dominion Day — 1 lipca.
Labor Day — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Zwykle proklamowany na ostatni poniedziałek w październiku.
Christmas (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.



Dzisiejsza Warszawa.

CYPRIAN K. NORWID *

PIEŚŃ OD ZIEMI NASZEJ

"Et aux horions, l'on verra qui
a meilleur droit — "
Jeanne d'Arc.

— Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica,
Tam jest mój środek dziś — tam ma stolica,
Tam jest mój gród ?

Od wschodu, mądrość-kłamstwa i ciemnota,
Karności harap lub samotrzask z złota,
Trąd, jad i brud ?

Na zachód, kłamstwo-wiedzy i błyskotność,
Formalizm prawdy — wnętrzna bezistotność,
A pycha pych !

Na północ — zachód z wschodem w zespoleniu,
A na południe, nadzieja w zwątpieniu
O złości złych !

II

Więc — mamże oczy zakryć i paść twarzą,
Wołając, kopyt niech mię grady zmażą
Jak pierwo-traw !

Lub mamże barki wyrzucać do góry
Za lada gwiazdką ze złotemi pióry —
Za sny nieść jaw ?

Więc mamże nie czuć, jaką na wulkanie
Stałem się wyspą, gdzie łez winobranie
I czarnej krwi ! . . .

Lub znać, co ogień z łona mi wypali ?
Gdzie spełznie ? — odkąd nie postąpi dalej ? —
I-zmarszczyć brwi . . .

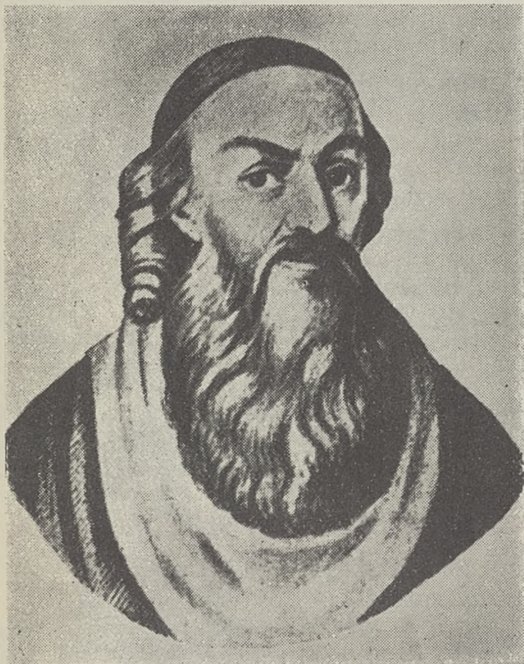
III

Gdy ducha z mózgu nie wywikłasz tkanin,
Wtedy cię czekam — ja, głupi Słowianin,
Zachodzie — ty ! . . .

A tobie, Wschodzie, znaczę dzień widzenia,
Gdy już jednego nie będzie sumienia
W ogromni Twej.

* Ur. 1821 Laskowo-Głuchy pod Warszawą — 1883 r. Zapoznany poeta romantyzmu Zbiorowe wydanie jego poezji wyszło niedawno pod redakcją Miriama Przesmyckiego. Za życia poety ukazały się : "Promethidion," "Wigilia." Wielki myśliciel, prokursor nowej poezji.

GENIUSZ MYŚLI POLSKIEJ



WOJCIECH Z BRUDZEWA



MIKOŁAJ KOPERNIK

MIKOŁAJ KOPERNIK.

Ur. 1473 w Toruniu — 1543 r. Jeden z najgenialniejszych Polaków. Zrewolucjonizował dotychczasowe pojęcia o astronomii, udowadniając istnienie dwu ruchów ziemi: naokoło swej osi i naokoło słońca. Obalił przez to geocentryczny system Ptolomeusza, dając nauce własny system — heliocentryczny. Student Akademii Krakowskiej, wyjeżdża do Bolonii, gdzie zdobywa tytuł doktora w r. 1499; w r. 1499 otrzymuje katedrę astronomii w Rzymie; w Padwie uzyskuje tytuł doktora medycyny. W latach 1504-9 przebywa w Krakowie, potem z przerwami w Fromborku (Warmia) jako kanonik. W roku 1522 bierze udział w sejmiku grudziądzkim, zajmującym się sprawami monetarnymi. Na żądanie króla pisze "Optima monetae cudendae ratio." W Fromborku przeprowadza badania nad swoim genialnym systemem. W roku jego śmierci wychodzi wreszcie rewolucyjne dzieło w Norymberdze pod pełnym tytułem "Nicolai Copernici Toruniensis de revolutionibus orbis coelestium libri VI." Dzieło poprzedza przedmowa papieża Piusa III. Wielka ta praca znajdowała się w latach 1612-1822 na indeksie.

WOJCIECH z BRUDZEWA.

Ur. 1445 — 1497 r. Znakomity uczony polski, którego wykładów matematyki i astronomii w Akademii Krakowskiej słuchał Mikołaj Kopernik. "Comentaria utilissima in theoricis planetarium."

BITWA POD WIEDNIEM

Wiedeń przez Turków z trzech stron otoczony
Przez dwa miesiące znosił oblężenie
I już zabrakło mu sił do obrony
I już z obrońców pozostały cienie,
Które podsycał i swą duszą wspierał
Starhemberg dzielny cesarski generał.

Jedenastego września król Sobieski
Na Kahlenbergu pojawił się wzgórzu —
I wnet podniosła się pod strop niebieski
Chorągiew z białym krzyżem pośród różu,
By dać znać miastu o polskiej odsieczy
W liczbie trzydziestu dwóch tysięcy mieczy.
I tylko Kara Mustafa nie wierzył
W przybycie króla i polskich pałaszy
I w piersi gońca kindżałem uderzył
Zato, że plotką jego wojska straszy,
Ale już wkrótce przeląkł się i zdumiał,
Gdy las wiedeński wojskami zaszumiał.

Nad zjednoczoną armją chrześcijańską
Objął dowództwo bohater Polonji —
Nieraz już dzierżył buławę hetmańską
W walce z Turkami, znał ich rodzaj broni,
Sposób ataku i sposób obrony,
Więc doświadczenie miał Niezwyciężony.

Planem ataku długo się nie bawił:
Niemców pchnął w centrum i na lewe skrzydło,
Na prawem skrzydle Polaków postawił,
Dając dowódcom jasne malowidło
Bitwy, co miała uratować państwo
Loepoldowe oraz Chrześcijaństwo.

Nadszedł pamiętny dzień dwunasty września —
Król się obudził o wschodzie jutrzenki.
Jeszcze las ptaków nie zadzwonił pieśnią,
Gdy pisał sławny list do Marysienki
List "dwunastego septembris" datowany
"O trzeciej przededniem z gór Kahlenberg zwanych".

Chcąc bój z Turkami zacząć od modlitwy
Pod gołem niebem Mszy wysłuchał, potem
Dopiero wówczas dał sygnał do bitwy
Armatnich strzałów potężnym łoskotem
I wojska pośród kurzawy obłoków
Jęły stępować z Kahlenberskich stoków.

Mnóstwem potyczek znaczyła się droga,
O każdy krzaczek toczono bój krwawy
Wreszcie w doliny odepchnięto wroga,
Który się skupił do walnej rozprawy.
Czas już się zbliżył do godziny trzeciej,
Tej, co rozstrzygła o losach stuleci.

Król Jan ustawił na Hernalskich wzgórzach
Pułki husarskie i pułki pancerne,
Te, które wiódł już w tylu wojny burzach,
Te, które były niezłomne i wierne,
Siedm tysięcy tych co przysięgają,
że na swych kopjach niebo zatrzymają.

W dole przed nimi widna jak na ręce
Turecka armja jak morze wezbrana:
Spahów na koniach czterdzieści tysięcy,
Zwarta janczarskich czworoboków ściana
I paszcze armat dymami ziejące,
Jako ogniska pastusze na łące.

Pełniąc powinność wodza i żołnierza,
Sam król na czele staje swych husarzy
W barwnym kontuszu tylko, bez pancerza,
Lecz taka jasność bije z jego twarzy,
Jakby usłyszał śpiew harfy Eolskiej,
że owym bojem wsławi imię Polski.

Król do ataku dał znak — w jednej chwili
Zagrzmiały trąby i kotły w szeregu,
Las długich kopij do ziemi się chyli,
Drgnął mur żelazny od brzegu do brzegu
I krzyk potężny pod niebo się wzbija:
Jezus Maryja!!!

Ruszyli z miejsca, zrazu lekkim kłusem,
A potem pędem jak wicher, jak burza.
żelazna ściana ruszona przymusem
Toczy się z hukiem z Hernalskiego wzgórza.
Krusząc i łamiąc i druzgocąc srodze
Wszystko, co spotka na wytkniętej drodze.

A królewicza chorągiew na przedzie —
Rycerze w skrzydłach, szumiący jak sępy
Dzielny porucznik Zbierzchowski ją wiedzie,
On pierwszy łamie Wezyra zastępy
I wielką bramę wśród wrogów wywala,
W którą chorągwi dalszych wpada fala.

Jako wiatr halny, zerwawszy się z jarów,
Kładzie świerkowy las patrzący w gwiazdy,
Tako się kładzie czarny mur Janczarów
Tako się walą łany Spahów jazdy,
A ziemia bita kopytami koni
Huczy i tętni i jęczy i dzwoni.

Kto do ucieczki nie skręcił wędzideł
Tego żelazna ściana na proch zetrze,
A od husarskich na ramionach skrzydeł
Taki szum wielki płynie przez powietrze,
Jako gdy lecą o jesiennej porze
Klucze żórawi daleko za morze.

Jak stado szczurów wypłoszonych z lochu
Pozostawiając łupy i namioty,
Wojsko tureckie uciekło w popłochu.
Najbardziej bitne rozpierzchły się roty,
Uchodząc śpiesznie lasami i błonią
Przed lekkiej polskiej chorągwi pogonią.

A kiedy zachód krwawo złote plamy
Rzucił na rzekę i wody wśród dołów,
W mieście otwarto postrzelane bramy.
Zagrzmiały dzwony ze wszystkich kościołów
I lud jął tańczyć z radości swawolnej
Po wszystkich ulicach — Wiedeń był wolny!

Henryk Zbierzchowski

Pamiętnik Damy Polskiej o Kościuszce

Dr. A. M. Skałkowski, prof. Uniw. pozn.



E WSPOMNIENIACH z końca 18go w., spisywanych przez Polaków, jest prawie zawsze przynajmniej jakaś wzmianka o Naczelniku insurekcji, ile że był postacią centralną dziejów roku 1794. Miał też przy boku swoim Juljana Niemcewicza, najbardziej powołanego biografa. Natomiast nietylko wcześniejsze, ale i późniejsze lata jego życia nie znalazły wszechstronnego w literaturze pamiętnikarskiej oświetlenia. Jest to zrozumiałem w odniesieniu do epoki "przedhistorycznej" Kościuszki. Lecz i kiedy powrócił do kraju w aureoli uczestnika walk o niepodległość Stanów Zjednoczonych, mało na niego zwracano uwagi. Tylko stary sługa puławski Soroka zainteresował się "generałem amerykańskim", który był wychowankiem jego pana. Nawet gdy objął komendę w armji Sejmu Wielkiego, nie obudził większego swą osobą zajęcia. Dopiero od bitwy pod Dubienką zmienił się zasadniczo ten stosunek opinji publicznej, głównie za staraniem Czartoryskich.

Po katastrofie rozbiorowej ostatni wódz Polski nie przestawał budzić ciekawości lub litości. Wszakże i rodacy na emigracji i cudzoziemcy zatrzymywali się przy nim przeważnie krótko, w przelocie. Z tych niewielu, którzy dłużej z nim żyli i współpracowali zagranicą, tylko późniejszy generał Paszkowski upatrzony na jego biografa, gromadził wiadomości zużytkowania następnie w "Dziejach Tadeusza Kościuszki, pierwszego naczelnika Polaków". Mają one po dziś dzień wartość, o ile zawierają materjał pamiętnikarski. Jednak Paszkowski pisał napuszenie i nie sądził rzeczą godną historyka rozwodzić się o szczegółach w jego mniemaniu błahych, których znaczenia dla charakterystyki swego bohatera nie doceniał. Zapewne przeważnie nawet ich nie dostrzegł, poza publicznym prawie nie widząc człowieka prywatnego.

I trzeba było oczu kobiety, bystrej i współczującej, ażeby nam zachować wizerunek, pełny i prawdziwy, wielkiego patrjoty narodowego z okresu tułactwa, w codziennem obcowaniu z otaczającym go światem.

Obraz ten mamy do zawdzięczenia Wiridjannie z Radolińskich Kwileckiej. Jest ona więcej znana pod nazwiskiem generałowej Fiszerowej. A została żoną dawnego adjutanta Naczelnika, kiedy się przekonała, że niepodobna jego samego dozgonną być towarzyszką. Przynajmniej z jej pamiętniczka wolno nam się domyślać, że takie snuła marzenia. Ta arystokratka, wówczas (w okresie owej próby, w r. 1802) w wieku Balzakowskim, jeszcze dziesięć lat wcześniej ledwie trzymała na wodzy serce wzbierające przy dźwiękach poloneza Pożegnanie Kościuszki. Wtedy, po nieszczęśliwej wojnie w obronie Konstytucji 3 Maja, emigrował, już legendą owiany, bohater Dubienki. Wiridjanna Kwilecka w krótce po nim przybyła do Saksonji, ale ani widziała już pochłoniętego przygotowaniami do powstania. Później dochodziły ją tylko odgłosy jego i ojczystej tragedji. Obowiązki młodej matki i sprawy majątkowe zaprzątały ją następnie, i aż w dobie pacyfikacji, podjętej przez Pierwszego Konsula, dopiero mogła wybrać się do Paryża, aby tam nareszcie poznać osobiście Kościuszkę.

Odwiedza go wśród szpalerów kwitnących migdałów podmiejskich siedziby Zeltnerów. Gości na przyjęciach urządzanych dla grona mu miłych. Towarzyszy na wycieczkach w powozie i pieszo, w teatrze i na wizytach. Ogląda w kaftanie i we fraku, pośród młodzieży rozbawionej i dzieci, albo u znakomitości wojskowych i świata politycznego, u artystów i uczonych z Emilką-Tadeą Zeltnerówną na ręku i na domowych kon-

certach. Obserwuje i słucha, ale i analizuje swoje wrażenia, i, mimo pierwiastkowej egzaltacji, nie traci słabostek człowieczych ani też najboleśniejszej: niestałości uczuć. Wciąż czyta w oczach uwielbianego: jak odejdziesz, zapomnę; zastąpi cię kto inny.

A jednak, mimo doznanego zawodu, dochowała mu przyjaźni i pozostała jego kultowi wierną. Ostrego dowcipu, zwłaszcza w późniejszych latach, kiedy w swym salonie warszawskim uprawiała opozycję przeciw rządom w. ks. Konstantego, umiała przecież zawsze inteligentnie a wyrozumiale tłumaczyć to, co w postępowaniu Kościuszki dawało asumpt do krytyki. N. p. to, że nigdy nie mówił o wielkiej przeszłości, że nie wyjaśniał swej roli historycznej, wynikać miało jej zdaniem nie z nieudolności wrodzonej, albo miało być następstwem maciejowickiej rany, lecz wypływać z chęci uniknięcia odnawiania krwawiących wspomnień kwoli zaspokojenia próżnej ciekawości. Nie chciał też wielu sercowych doświadczeniach, trwale się przywiązywać. Kwileckiej przy rozstaniu wręczył bukiet świeżych fiołków z życzeniem, aby mu je pokazała, gdy się znowu zobaczą. Zamienił także pierścionki: wziął turkusowy a dał ze swemi włosami.

Nie mieli widzieć się już nigdy. Naczelnik po paru latach przerwał korespondencję. — Latem 1806 r. jeszcze przesłał życzenia z powodu ślubu Kwileckiej z Fiszerem, ale gdy ten, jesienią tegoż roku, zaciągnął się pod znaki narodowe na wezwanie Napoleona, jakby skończyła się przyjaźń. Wróg cezaryzmu w uprzedzeniach tak był zapamiętały, że nie odpowiedział nawet kilku słowami współczucia na powiadomienie o zgonie dawnego swego adjutanta, chociaż bardzo kochanego, dlatego bo poległ jako szef sztabu korpusu Wielkiej Armji. Nie dziw, że generałowa Fiszerowa, będąc w Paryżu w r. 1814, nie starała się zetknąć z Kościuszką.

Mimo żalu, wszakże nie przestała interesować się jego losami i zebrała wiele wiadomości i o jego wystąpieniu wobec cara Aleksandra i o ostatnich latach życia. Stąd też, kiedy po śmierci Naczelnika zaczęła pisać jego biografję, do własnych wspomnień mogła dorzucić wiele szczegółów, zaczerpniętych z opowiadania tych, którzy go znali wcześniej lub później. Niemniej najobszerniejszą i najcenniejszą częścią tej pracy jest oparta na spostrzeżeniach samej autorki. — Miała to być "historja moralna" ilustrowana anegdotami, a jest pamiętnik pełen głębokich niekiedy refleksyj. Język (francuski) poprawny, jasny, prosty, bez wszelkiej sztuczności i jałowej frazeologji.

Rękopis jest własnością hr. Dobiesława Kwileckiego, który zezwalając na jego ogłoszenie, wzbogaca naszą wiedzę o Kościuszce źródłem cennem.

Prócz badaczy skorzysta z niego i najszerszy ogół, do którego wiadomości przesączą się różne szczegóły. Np. że Naczelnik był rozmiłowany w muzyce, chociaż sam nie grał na żadnym instrumencie z powodu nadmiernej wrażliwości. Że hodował tysiące róż w swoim ogródku w Berville. Dobroczynność jego najszlachetniej pojętą zilustruje wyposażenie wstępującej z powołania do klasztoru, chociaż sam był przeciwnikiem życia zakonnego. Albo to ofiarowanie się za lektora oślepłemu duchownemu. Jakże znamiennem jest też w okresie Kongresu Wiedeńskiego zajęcie się fabrykacją sabotów. — Przez ich zaprowadzenie w Polsce Kościuszko spodziewał się uchronić ludność wiejską od chorób wynikających ze stąpania po ziemi wilgotnej. Dziecinną mogła się wydawać ta propaganda, kiedy ważyły się największe sprawy świata. A jednak dla zrozumienia istoty duchowej Naczelnika na rys ten powoływać się będzie i uczona historja i gminna opowieść. I z pewnością nie z ujmą dla jego pamięci.

GŁĘBOKOŚĆ OCEANÓW I MÓRZ

	Stóp
Antarctic	10 800
Arctic	5.160
Atlantic	12,200
Indyjski	11,136
Spokojny	12 960
Bałtyckie	122
Beringa	900
Karaibskie	7,614
Chińskie	402
Zatoka Meksyku	4 632
Japońskie	7 320
Śródziemne	4,560
Północne	300
Ochockie	5,040

SKĄD SIĘ BIERZE ŁYSINA U MĘŻCZYZN?

Od wielu lat zajmuje się medycyna zwalczaniem łysiny. Swego czasu wielkie poruszenie wywołały doniesienia, o możliwości wpływania na uwłosienie u mężczyzn przez stosowanie injekcji hormonu żeńskiego. Badania laboratoryjne w kierunku zwalczania łysiny trwają nadal.

Aby badania te i ich skutki możliwie unaocznić i uczynić zrozumiałymi — musimy sobie uprzytomnić, że czaszkę ludzką pokrywa pod skórą jędrna powłoka, zwana czepcem ścięgnistym, który luźno już tylko łączy się z podstawą kostną czaszki zapomocą tkanki łącznej. U przodu, w okolicy czoła, czepiec przechodzi w mięsień czołowy, z tyłu zaś w mięsień potylicowy. Niektórzy nawet anatomowie uważają oba te mięśnie za jeden o dwóch brzuścach. Znajdujący się ponad brzyścami mięśni pas skóry głowy, jest stosunkowo luźniej przymocowany do podłoża, umożliwiając tym samym mięśniom spełnianie ich właściwej roli skurczów i rozkurczów. Inaczej się jednak ma rzecz w samym środku, tam gdzie znajduje się część szczytowa czepca. Tutaj już umięśnienie nie stoi na przeszkodzie zrośnięcia się skóry głowy z jej ścięgnistym podłożem i dlatego cały szczyt głowy przedstawia się jako teren ścisłego zespolenia się tych dwóch warstw w nierozdzielną całość.

Przy omawianiu przyczyn łysienia u mężczyzn bierze medycyna dwa przede wszystkim zjawiska. Pierwsze to właśnie to, że łysina występuje przede wszystkim w tych miejscach, gdzie przyrośnięcie skóry do podłoża jest wyjątkowo silne, w przeciwieństwie do tych miejsc, gdzie mięśnie umożliwiają luźniejszą łączność tych dwóch warstw, tworząc często charakterystyczny jakby wieniec włosów dokoła głowy. Następnie, co uderzało lekarzy, to jakby większe napięcie skóry w miejscach dotkniętych łysiną, z charakterystycznym dla tych miejsc połyskiem i zmniejszeniem zdolności przesuwania się. Tę ostatnią cechę udało się nawet zapomocą pomysłowo urządzonych przyrządów zmierzyć i okazało się, że u jednych i tych samych osobników różnica w przesuwalności skóry łysej a owłosionej wahała się o 50 procent. Wszystkie te spostrzeżenia posunęły sprawę łysiny o znaczny krok naprzód.

Trzeba było jednak jeszcze rozwiązać i przyczynę tak wpadającego w oczy napięcia skóry, dotkniętej łysiną.

Odpowiedzi na to pytanie, szukają uczeni w łatwo dającym się stwierdzić fakcie, że czaszka u mężczyzn nie przestaje rosnąć wraz ze skończonym rozrostem całego organizmu, ale powiększa się w miarę jak następuje coraz to silniejsze skostnienie szwów między poszczególnymi kośćmi czaszki, co z reguły występuje dopiero między 40 a 50 rokiem życia. Nawet pomiary kości głowy, przeprowadzone u wybitnych ludzi w ciągu ich życia wykazały, że powiększanie się czaszki może trwać daleko dłużej, nieomal aż do samego końca życia. Niejeden zresztą dojrzały mężczyzna wie z własnego doświadczenia, że okrycie głowy pochodzące z przed kilku lat, może okazać się za ciasne, znają ten objaw dobrze kapelusznicy, którzy wiedzą, że starsi mężczyźni używają naogół większych numerów kapeluszy czy czapek, aniżeli ludzie młodzi.

Teraz już łatwo zrozumiemy, że tego rodzaju opóźniony jakby rozrost kości czaszki pociągnąć musi za sobą napinanie się coraz to wzmożone niezdolnego do powiększania się, zbudowanego ze ściągnistej tkanki czepca, a wraz z nim przylegającej do niego ściśle skóry uwłosionej. Pociąga to za sobą zmiany w jej charakterze, bowiem z luźnej i grubszej staje się silniej napięta, twardsza i cieńsza. Znajdujące się w jej podłożu naczynia krwionośne, które ją dotychczas dostatecznie odżywiały, ulegają także uciskowi od spodu czaszki, a ścieśnione nie spełniają należycie swej roli, na skutek czego cebulki włosowe degenerują się i obumierają, a to objawia się wypadaniem włosów i tworzeniem się łysiny. Na brzegach natomiast — gdzie skóra głowy tylko luźnie jest związana z podłożem, a równocześnie dostatecznie zaopatrzona w podściółkę tłuszczową i brak tej destruktywnej przyczyny ucisku, podłoże zatem jest nieuszkodzone, nie dziw więc, że zostające na nim włosy tworzą ten charakterystyczny, tak często spotykany przy łysinie "wianuszek". Zdaniem lekarzy właśnie to świadczy najdobitniej o lokalnych przyczynach typowego łysienia, gdyż w razie przyczyn wewnętrznych i pozostałe włosy nie mogłyby się utrzymać.

Brak występowania łysiny u kobiet wytłumaczyć można jako bezpośredni wpływ hormonalny i jako wynik zmniejszonego rozwoju czaszki. Wymiary czaszki u przedstawicieli obu płci przy urodzeniu stosunkowo niebardzo się różniące, osiągają w miarę wzrostu znaczne różnice. W tym fakcie należy szukać ważnej przyczyny braku skłonności łysienia głów kobiecych w przeciwieństwie do męskich.

CO MYŚLELI GRECY O NIEŚMIERTELNOŚCI?

KULT DUSZ — PIEKŁO, CZYŚCIEC I NIEBO — BÓSTWA CHTONICZNE — UROCZYSTOŚCI ELEUZYJSKIE — KULT ORFICKI — MOGIŁY BOGÓW

Jak wyobrażali sobie starożytni Grecy życie pozagrobowe i nieśmiertelność? Pierwszym etapem poglądów tych są czasy opiewane przez Homera. Sięgają w 10-te stulecie przed Chrystusem.

Cechą zasadniczą poglądów tych w owej dobie jest wyobrażanie sobie, że dusze są bezcielesne i że przebywają w bezczynności, w stanie pozbawionym niemal wszelkiej świadomości w królestwie podziemnem, zwanym Hadesem.

Wszystko upoważnia do przypuszczenia, że w dobie przedhistorycznej Grecy podzielali wiarę innych ludów pierwotnych, że dusza może odwiedzać siedziby, gdzie przebywało ciało nieboszczyka i że może dokuczać żyjącym lub szkodzić im, jeżeli nie dostarczyli im pokarmów i ofiar.

Innemi słowy, Grecy, jak i inne ludy na tym stopniu cywilizacji, mieli kult dusz, t. j. starali się ofiarami zjednać sobie ich życzliwość i zabezpieczyć się od szkodliwych oddziaływań.

Domyślać się też można, że przejście od grzebania w ziemi nieboszczyków do palenia ich ciał odbyło się pod wpływem tej myśli, że zniszczenie ciała zrywa związek duszy z mieszkaniami żyjących. Przejście do tej formy pogrzebu zwolniło świat grecki od zabobonnego strachu przed zmarłymi i uczyniło zbytecznym kult dusz, które odtąd przecież pozbawione zostały możności szkodzenia żywym. Kult ten stopniowo też wygasł. Pogodna i słoneczna faza religii olimpijskiej w czasach homerowych jest wynikiem tego przewrotu. Ale w pismach Homera, zarówno jak w całym szeregu późniejszych wierzeń wykryć możemy ślady czci dla dusz.

Hades tłumaczony zwykle bywa jako "piekło".

Tłumaczy się to tem, że dusze głośnych "pokutników", jak Syzyf, Tantal znajdują się tam obok innych. Wszakże w tem samem miejscu znajdują się i dusze najsławniejszych bohaterów, jak Achilles i Ajax, których za grzeszników nikt nie uważał.

Nową fazą rozwoju pojęć o nieśmiertelności jest nawiązanie zbliżenia pomiędzy duszami przebywającemi w królestwie podziemnem a bogami podziemnymi, przedstawiającymi, potęgi przyrodnicze z czynnością ziemi związane: "bóstwami chtonicznemi" (chtonos— ziemia).

Jak wiadomo w najdawniejszych czasach każde państwo greckie miało swoje bóstwo opiekuńcze, lokalne. W miarę jednoczenia się tych kultów lokalnych w grecką powszechność bogów (pandemonium) tracili bogowie miejscowi swe znaczenie i przenoszeni bywali przez wyobraźnię Greków do siedzib podziemnych. Stąd pochodzą paradoksalne nazwy "mogił bogów".

Z drugiej strony liczba bóstw nadziemnych pomnaża się przez wytworzenie pojęcia bohaterów (heroi) niewłaściwie zwanych w literaturze "półbogami". Są to bowiem ludzie urodzeni jako śmiertelnicy, a podniesieni do nieśmiertelności i do godności boskiej, którym przysługiwały równe z bogami ofiary i cześć.

Uroczystości eleuzyjskie stanowią dalszy etap w rozwoju nauki o nieśmiertelności. Są to zgromadzenia członków "Eleuzis" t. j. związku bardzo w Grecji rozpowszechnionego. Specjalna cześć dla bóstw podziemnych zaręczać miała członkom tego związku lepsze nadzieje na błogie pozagrobowe życie.

Przybywający przez Trację do Grecji kult "orlicki" wprowadza nowy etap w rozwoju wiary w nieśmiertelność: "wędrówkę dusz", t. j. przechodzenie ich z ciał umarłych do nowych, t. j. wiecznego istnienia duszy— naukę wykładaną później przez Platona i innych filozofów.

PRODUKCJA MASZYNOWA

Wynalezienie maszyny parowej w roku 1765 uważane jest za początek t. zw. "rewolucji przemysłowej," która dawne rzemiosło rękodzielnicze przekształciła na nowoczesny przemysł kapitalistyczny, oparty na produkcji maszynowej, a w związku z tym uzależniony w swym rozwoju od postępów techniki. Od tego czasu nowe udoskonalenia i nowe maszyny, zastępujące pracę ludzi, pozbawiły zajęcia wielu robotników. Coraz częściej pojawia się postrach ludzi pracy, bezrobocie. Dopóki maszyna służyć będzie bogaceniu się jednostek, a nie zaspokajaniu potrzeb ogółu, całkowite usunięcie bezrobocia będzie niemożliwe.

Eugenjusz Małaczewski

Na Dalekim Cmentarzu

Nad siwą otchłanią oceanu Północnego leży ponury kraj, niegdyś zagarnięty zaborczem ber łem „białego cara". Niezmierny obszar tundry, zasiany drzazgami granitu, porosły karłowatą brzozą, ma nazwę pobrzeża Murmańskiego.

Latem bagna zakisają mokrą pleśnią, a pomimo zieleni wątłej i bladej, jak jesienna ozimina, wieje z obrunionych trzęsawisk przejmujący ziąb, niby z rozkopanej mogiły. Wszędy unoszą się słupy, całe trąby powietrzne, uwiane z niezwykle zajadłych komarów błotnych. Gdy wiatr z morza rozproszy te słupy, czarne kosmate owady spadają na wszystko co żyje, niby samum latającego kopciu. Nie uchroni przepojona dziegciem siatka, wkładana na głowę i szyję: komary tną przez ubranie. Oszalałe reny w ucieczce przed ich napaścią zanurzają się w bagno po szyję: jeno rosochy rogów wznoszą się nad kałużyskiem, jak uschnięty krzak, poruszający się w chmarze zaciekłych owadów. Letnią porą daleka Północ nie zna ciemnej nocy południowej. W ciągu całej doby jest jasno jak w dzień. A w śródleciu bywa kilkutygodniowy okres, gdy słońce trwa na niebie stale: nie zachodząc, wciąż zakreśla olbrzymią elipsę, pochyloną ku zachodowi, w czasie zaś przypadającym na właściwą noc, traci tylko promienie i świeci jak krwawy księżyc w pełni. Ludzie, niewzwyczajeni do takiej długiej jasności, chorują na oczy i wpadają w zdenerwowanie graniczące z obłędem.

Zimą krajobraz się zmienia. Zielonawa smętność obszaru przeobraża się w bezkresną żałobność śnieżnej pustyni. Zamiast nieustannego dnia, bezdenna noc rozpina nad śniegami kolosalny namiot czarnego jak heban nieba, w którem zaprzepaszczają się konstelacje gwiazd, niby łańcuchy mrugających świateł w nocnej dalekości morza.

Pociemku przelatują śnieżnemi zaspami zaprzęgi reniferów, kierowanych długim zaostrzonym kijem i rwących z kopyta, jak wicher, w tumanach śnieżnej kurzawy i w mgle ciepłego oddechu. Od mrozów, które ścinają rtęć w termometrach, szczapami łupie się drzewo i z metalowym jękiem tężeje żelazo.

Rozjaśnia mroki tylko zorza borealna. Jej zjawę zwiastuje rodzaj łuny na północnym horyzoncie, takiej, jaka bywa na naszem niebie przed wzejściem księżyca. Twórcza fantazja natury, wypromieniowującej tę zorzę, nie daje się opisać piórem ani odmalować pędzlem. Zjawisko za każdym razem zmienia postać zewnętrzną i w nowej ukazuje się wspaniałości. Raz objawia się w kształcie słońc; tarczy tych słońc nie widać, są jakby zupełnie zaćmione; natomiast ich aureole, niby szprychy słoneczne, zajmują pół nieba układając się pas nad pasem półkolami, jak szereg koncentrycznych tęcz o barwie blado-różowej i wyblakłofioletowej.

Innym razem od owej łuny na horyzoncie odbywa się w kierunku zenitu nieustanny pochód światła seledynowego w kształcie postrzępionych fal wygiętych w łuki podniebne — wspanialsze od przypływu burzliwych bałwanów morskich gdy potężną tyraljerą. szturmują w brzeg zatoki. Przez seledyn, rozpływający się po niebie, przeświecają gwiazdy blade, jakby widzialne wskroś mgławicę ogonu komety. — Ale znów na kirze nieba wyrasta z widnokręgu fosforyczne drzewo, sięgające wierzchołem do gwiazdozbioru Wielkiej Niedźwiedzicy.

Świetliste drzewo, mieniąc się lśnieniem jak drżąca osika po wiosennym deszczu, przesuwa się wdłuż horyzontu, a za niem szereg takichże drzew, podobnych do chojarów i brzóz, defiluje od prawej strony nieba ku lewej. Na szklistej skorupie śniegu trzepoce się mdły odblask, jak od dalekiego pożaru. A psy, lute jak wilki, jeżąc sierść na chudym grzbiecie, wyciągają ku zjawiska długie szyje i w jakiejś trwodze zabobonnej wyją przeciągle, jakby zwietrzyły nieszczęście.

* * *

W tej to ziemi, gdzie od mrozów jęczy żelazo i niebo wyświeca obrazy dantejskiej grozy i wspaniałości, leżą żołnierze polscy, snem zdjęci wiecznym. Dźwigają na martwej piersi bryłę błota lodowatego, a w zamarzniętej ich czaszce

skamieniał niedośniony sen o Rzeczpospolitej, którą dla żywych wywalczyli, lecz ujrzeć własnemi oczami nie mieli.

Nad brzegiem oceanu w okolicy portu murmańskiego jest cmentarz. Port należy do t. zw. naturalnych; tworzy go długa zatoka, na podobieństwo rzeki wrzynająca się w ląd. Dokoła wody, cichej jak staw, piętrzą się cyple pagórków z granitu. Porasta je rzadką szczecią jedlina-niedojda. Gdy śnieg okryje skały a słońce je zaróżowi, wyglądają dla polskiego oka zupełnie jak zimowe Tatry. Zatoka nie zamarza nigdy; ogrzewa ją płynący oceanem ciepły prąd — Golfstream. Woda w okolu z wysokich cyplów jest zawsze barwy ciemnej, zimą i latem.

Okręty wojenne tkwią w jej głębinach niby czarne rafy, co dźwigają w niebo wymyślną budowę pancernych wież i radjotelegrafów. Kolosy okrętów handlowych, pomalowane na czas wojny dla ochrony od łodzi podwodnych wzorem i barwami fal morskich, wznoszą las kominów, masztów i lin, niby wielce pogmatwane rusztowanie murarskie.

Na wzgórzach dokoła ciemnej wody pobudowano drewniane baraki. Mieszkają w nich ludzie, przyjeżdżający poto, by letnią porą karmić sobą komary, by zimą odmrozić twarz, ręce i nogi, stale zaś przymierać od febry i szkorbutu. Pozatem łowią oni ryby i wyładowują okręty. Na wzgórzu, wzniesionem najwyżej, znajduje się ów cmentarz.

Pośród kilku cherlawych jodeł, których kora wygląda jak odmrożone ludzkie ciało, odpadające kawałkami, sterczą na mogilnych usypiskach zgruba wyciosane krzyże. Starych, wyszarzanych przez czas jest niewiele i bezładnie są rozstawione tam i sam. Więcej nowych, błyszczących świeżo odrobionem drzewem. Te stoją w szyku rozwiniętym, jak pluton na mustrze. Napisy na nich w języku francuskim, angielskim i włoskim mówią, że pod każdym leży żołnierz. Nie brak krzyża z napisem polskim; stoi tam wypisane imię, nazwisko i szarża, a pod tem czterowiersz:

Do Polski drogi nam leżą
Przez równik, to znów przez biegun,
Co krok przez mogiłę świeżą,
W której o Polsce śni legun.

I jest jeszcze jeden krzyż, okazalszy od innych, z tablicą drewnianą, na której starannie wydłubano kilka słów o literach, przypominających alfabet starogrecki.

Pewnego dnia zimą wałęsali się po cmentarzu ludzie, otuleni w jednakowe futra kanadyjskie. Byli to żołnierze koalicji. Gdy w miejscowości, gdzie kwateruje załoga wojskowa brak knajpy i kobiet, w znudzonym żołnierzu budzą się upodobania turysty.

W porcie murmańskim był kinematograf, ale się spalił; była buda po kawiarni, ale właściciel jej powiesił się wskutek rozstroju nerwowego wywołanego bezsennością, gdyż latem w ciągu miesiąca napróżno wyczekiwał zachodu słońca. Najbliższa niewiasta znajdowała się chyba że z drugiej strony oceanu na Grenlandji pośród Eskimosek, nacierających się przez ko kieterję tranem. Więc żołnierze zabijali czas przechadzką po okolicy. Ów cmentarz, zwyczajny jak każde zgromadzenie umarłych, zakopanych w ziemi, był w tamtym kraju rzeczą do zobaczenia najciekawszą. Żywi przechodzili obok szeregu prostych krzyżów odczytując nazwiska kamratów, poległych lub zżartych przez choroby. Myśleli o umarłych towarzyszach z niejakim smętkiem, lecz smętek to był obojętny, jak serce żołnierza, którego obca śmierć nie roztkliwi, bo i swoja nie rozczula. Liczyli oczami krzyże, wcale nie mając do Pana Boga pretensji o to, że ci niegdyś zdrowi i dzielni mężczyźni mknęli pociągiem, przepływali oceany, maszerowali dniami objuczeni rynsztunkiem po bagnie, by lec w tej ponurej ziemi i sieroco w niej leżeć zdala od ojczyzny aż do końca świata. Obok owego najokazalszego krzyża przechodzono jeszcze obojętniej, bo nikt nie mógł wyrozumieć niełacińskich liter w napisie.

Lecz przyszli dwaj młodzi żołnierze. Na głowie mieli uszaste czapy kanadyjskie i takież na sobie futra. Jeno spojrzenie ich było błękitne i po słowiańsku w dalekość zapatrzone. Obejrzeli szereg grobów, nad mogiłą polską podumali dłużej. Potem zbliżyli się do krzyża z niezrozumiałym napisem i powoli go odczytali.

Litery, stylizowane na wzór cerkiewnej cyrylicy, opowiedziały im, że w tej mogile leży DANIŁO MIŁOSZ, Srbin iz Baczke, Pał za Otczíznu, Sława mu..

Wówczas oblicza dwóch żołnierzy, najzwyczajniejsze fizjognomje współczesnych inteligentów, stężały w jakąś spiżową, bohaterską posągowość, a oczy zagrały blaskiem, niby źrenice orła wpatrzonego w słońce.

Odchodząc salutowali mogile serbskiej. Uczcili syna ziemi, zalanej najazdem niemieckim. Złożyli hołd Narodowi, co wszystką nadzieję położył w żelazie rycerskim. Oddali należną cześć bratniej falandze tragicznej, która za żołd przyszłej wolności krew wytoczyła w służbie obcej, a ciałem w obcej legła ziemi, aby w łunach zorzy północnej śnić o dalekiej i wielkiej Ojczyźnie.

JAK POWSTAŁ DAWID

MICHAŁA ANIOŁA?

napisał: Jan Tokarski

JEDNYM z najbardziej charakterystycznych znamion Florencji jest jej przepiękna, średniowieczna katedra. Kiedy zaczęto jej budowę, zawiązało się osobne stowarzyszenie architektów, rzeźbiarzy, kamieniarzy, złotników, malarzy oraz innych fachowców i specjalistów, pod nazwą *„Opera del duomo“*, czyli, powiedzmy „kompania prac przy katedrze“. Kompania zajmowała się nie tylko wznoszeniem świątyni a potem opieką techniczno-artystyczną, lecz również zamawiała u artystów spoza zrzeszenia różne prace potrzebne do wnętrza lub na zewnątrz gmachu.

Ta też kompania dnia 16 kwietnia 1463 roku zwróciła się do niejakiego Augustyna di Antonio di Duci z zamówieniem na wykonanie figury nadnaturalnej wielkości, to jest, jak mówi dokument, „kolosa, który ma być podobny do tego, jaki się znajduje nad wejściem do kościoła serwitów, lub nawet lepszy“...

W listopadzie następnego roku rzeźba została wykonana i to ku takiemu zadowoleniu kompanii, że Messer Agostino otrzymał jeszcze jedno zamówienie. Żeby znów zacytować dokument miał wyrzeźbić „kolosa na podobieństwo i w kształcie proroka, do ustawienia na przyporze katedry, w miejscu przez kompanię wybranym“. A właśnie wydobyto w Carrarze olbrzymi, piękny, ponad pięciometrowy blok marmuru i dano go do obróbki Augustynowi Ducci, który zobowiązał się wykonać figurę proroka „w czterech częściach“, to znaczy — wciąż według wspomnianego dokumentu — tak, że „głowa z szyją będą jedną częścią, ręce dwiema częściami, a reszta jedną częścią“.

Lecz tym razem dobra fortuna opuściła rzeźbiarza. Widocznie geniusz sztuki nie życzył sobie postykanej łataniny „z czterech części“. Messer Agostino tak nieumiejętnie zabrał się do rzeczy, tak spartolił bryłę, że nakazano mu przerwać robotę i kontrakt został unieważniony. Zamiast obiecanego wynagrodzenia, otrzymał tylko zwrot rzeczywistych kosztów. A zniekształcony blok walał się odtąd bezużytecznie na podwórzu warsztatów kompanii, znajdujących się na placu obok katedry.

I tak minęło niemal czterdzieści lat, kiedy w roku 1500 inny rzeźbiarz, Sansovino, wystąpił z propozycją, aby kompania sprzedała mu ów marmur, który zamierzał pociąć na sztuki i wykonać kilka mniejszych rzeźb. Jednak ofertę odrzucono. W rok potem pewien florentyński potentat zapragnął odkupić marmur i podarować go Leonardowi da Vinci. Lecz zanim coś w tej sprawie postanowiono, zjawił się we Florencji przybyły właśnie z Rzymu Michał Anioł Buonarotti di Simoni. Liczył wtedy dwadzieścia sześć lat i słynął już jako wielki mistrz sztuki rzeźbiarskiej.

Prawdopodobnie też około tego czasu marmur przeszedł w posiadanie potężnej gildii fabrykantów wełny, gdyż ta właśnie gildia zwróciła się do mistrza, aby przyjrzał się porzuconemu a nagle tak pożądanemu marmurowi i orzekł czy da się co jeszcze z niego zrobić. Sprawa wyglądała mimo wszystko niezbyt zachęcająco, ponieważ ów blok przed trzydziestu siedmiu laty został już — żeby tak powiedzieć — głęboko „podrzeźbiony“ i przeglądała z niego nieproporcjonalna postać owego nienazwanego proroka.

Michał Anioł przyszedł, spojrzał i — postanowił podbić oporną bryłę. W mgnieniu oka, jednym rzutem swego geniuszu, dojrzał w marmurze, choć częściowo okaleczonym przez cudzą nieudolność, potężne i zarazem chłopięce kształty młodziutkiego Dawida, z procą w ręku, w chwilę po pokonaniu Goliata. A co dopiero Signoria jego ukochanej Florencji pokonała i wypędziła swoich tyranów, Medyceuszów i ujęła władzę w swe ręce. Ponieważ Dawid pokonawszy wrogów rządził potem mądrze i sprawiedliwie swoim ludem, Michał Anioł ujrzał w nim najpiękniejszy symbol, a zarazem napomnienie dla rządów swego miasta. Odrzucił więc bardzo korzystną propozycję prac dla pewnego kardynała i dnia 16 sierpnia 1501 roku podpisał z gildią i kompanią umowę na mocy której zobowiązał się „wykonać w doskonałym sposobie figurę człowieka, zwanego kolosem, i wykuć go z jednej sztuki marmuru siedemnaście i pół stopy wysokiego(...) i to w czasie lat dwu od najbilższego pierwszego września licząc, za wynagrodzeniem sześciu złotych florenów miesięcznie(...). A gdy rzeczona statua zostanie wykonana, zejdą się członkowie gildii i kompanii, aby rozważyć, czy zasługuje na wyższą cenę, która to sprawa ma być pozostawiona ich sumieniu“...

(Były to bowiem czasy, kiedy nawet przemysłowcy i handlarze mieli sumienie, a sprawiedliwość panowała nawet wśród zbójów — jak to nieco później zauważył Sancho Panza).

Michał Anioł zabrał się natychmiast do roboty. Ulepił sobie z wosku mały model Dawida — i to było wszystko. Żadnych urządzeń pomocniczych do mechanicznego powiększenia modelu, żadnych wyliczeń. To, do czego dążył i co chciał wykonać, miał w swym umyśle i w swoich rękach. Atakował marmur z furią i impetem, że

zdawało się, jakby go chciał rozbić na sztuki. Nieraz jeden cios dłuta odrzucał kawały na trzy, cztery palce gubości, a jednak zawsze do tej idealnej linii, do której zmierzał swoją wolą twórczą i którą widział swoim wewnętrznym okiem.

Jak stwierdza jego uczeń i biograf, pracował tak zawzięcie, że choć nie był silnej konstytucji, odciosywał więcej w kwadrans, niż najtęższy kamieniarz w godzinę. Pracował nie tylko od świtu do nastania ciemności, ale często zrywał się nocą. Zrobił sobie specjalne nakrycie na głowę, w którym umieszczał świecę, aby w ten sposób mieć światło potrzebne do pracy i obie ręce wolne.

★

I tak oto ze zniekształconej bryły wynurzało się jedno z największych arcydzieł rzeźby. Mówili współcześni w swoim entuzjaźmie, że kto raz widział Dawida, ten już nie ma potrzeby oglądać innych dzieł ani starożytności ani nowożytności: „albowiem wszystkich mistrzów Michał Anioł przewyższył". A przecież otrzymał niezwykle trudny materiał: bo bryłę nieudolnie zaczętą przez kogoś innego. Przez to był skrępowany w swej wizji, bo tworząc swoje dzieło musiał się trzymać granic zakreślonych w marmurze dłutem cudzym, dłutem partacza, który pozbawił go nieraz bezcennych centymetrów materiału. Był tak zniewolony kroczyć po jego niepewnych śladach, że jak to widzimy do dziś dnia, musiał pozostawić ciosy jego dłuta, na przykład na plecach i tyle głowy posągu. A jednak przemógł i pokonał wszystko.

W niespełna pół roku kolosalny posąg w połowie był gotów. Lecz upłynęły dalsze dwa lata i wa miesiące zanim dzieło zostało skończone. Pewnego dnia niecierpliwy przyjaciel zganił go, że tak powoli postępuje ze swoją pracą, a zatrzymuje się na drobnostkach, zupełnie przecież zbytecznych. Niepotrzebnie traci czas a w ten sposób i pieniądze, bo mógłby od dawna chwycić się za inną robotę.

— Tak, zapewne są to drobnostki — odpowiedział Michał Anioł. Lecz przez drobnostki osiąga się doskonałość, a doskonałość nie jest drobnostką!

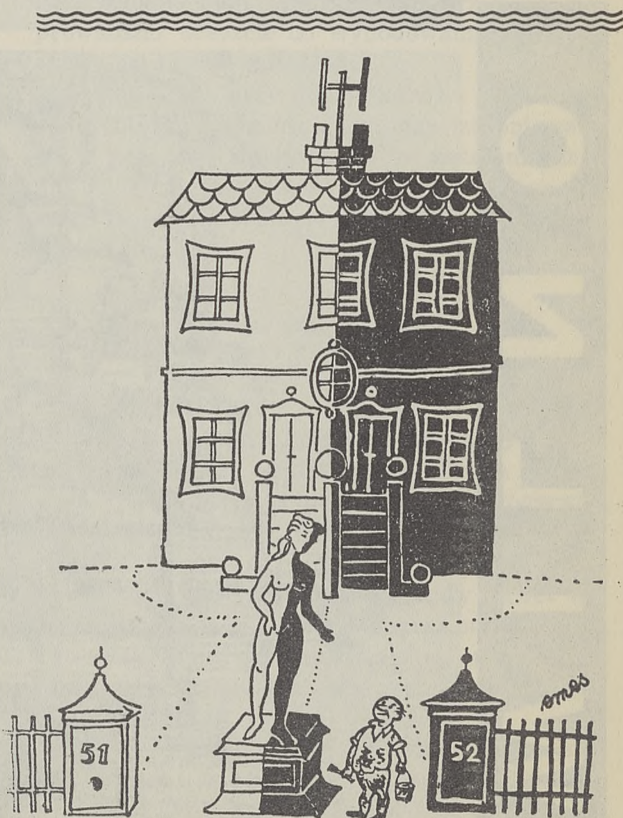
Dawid został potem ustawiony przed wejściem do Signorii, to jest Palazzo Vecchio. Trzeba było 5 dni czasu, nim udało się przesunąć marmurowego giganta, ważącego 18.000 funtów, po naoliwionych belkach i za pomocą systemu dźwigni wprawianych w ruch przez 40 ludzi — z placu przed katedrą na plac prized ratuszem (a nie wielka to przestrzeń). I minęły dalsze trzy tygodnie; zanim wreszcie stanął u wejścia do Palazzo Vecchio, 8 czerwca 1504 roku.

Po całym pierwszym dniu wysiłków przetoczono statutę tylko niedaleko od katedry i pozostawiono na nieoświetlonej ulicy. Korzystając z tego zazdrośni rywale artysty obrzucili dzieło kamieniami, chcąc je zniszczyć. Wobec tego na drugą noc, gdy statua przesunięta już była nieco dalej, postawiono przy niej straż. Lecz napastnicy obezwładnili strażnika i chcieli rozbić Dawida. Ośmiu pochwyconych, wtrącono do więzienia. Trzeba było wzmocnić straże. Gdy wreszcie statua stanęła przed ratuszem, zachwyt władz Rzeczpospolitej Florenckiej i ludności był tak wielki, że rywale musieli dać za wygraną. Po pierwszej nocy znaleziono na Dawidzie ponad trzysta pochwalnych sonetów i innych utworów poetyckich, sławiących arcydzieło. Obyczajem wieku napisane były wprost na marmurze.

★

Dużo byłoby do powiedzenia o dalszych losach Dawida i roli, jaką prześliczne Miasto Kwiatów przypisywało temu pomnikowi we wpływie na swoje koleje. Ale to inna historia. Dodajmy tylko dla informacji Światłego Czytelnika „Pokrzyw", że Dawid, którego dziś widzimy na straży florenckiego ratusza jest kopią oryginału. Oryginał bowiem w roku 1873 przetransportowano do galerii delle Belle Arti — z niemniejszym trudem, niż przetaczano go przed paru wiekami spod katedry na plac Signorii. Musiano wybić jedną ścianę na przyjęcie arcydzieła, aby zapewnić pod dachem osłonę dla delikatnego marmuru.

Jan Tokarski



WILNO

Widok ogólny. *Fot.*

Fronton katedry. *Fot. A. Lenkiewicz.*

RODOWÓD KONIA

W okresie tysięcy lat koń podlegał rozmaitym przemianom. Najdawniejszym jego przodkiem było zwierzę wielkości psa, o nogach z 5 palcami, z których cztery stanowiły oparcie a piąty — wyżej umieszczony — był znacznie słabiej rozwinięty od pozostałych.

Protoplasta konia, zwierzę drobne, roślinożerne, był bezbronny wobec niebezpieczeństwa grożącego mu ze strony zwierząt mięsożernych. Ocalenie przed niemi mógł szukać tylko w ucieczce, a że poszukiwanie paszy wymagało ciągłych wędrówek, nic dziwnego, że przedewszystkiem nogi konia doskonaliły się z biegiem czasu. Środkowy palec, na którym głównie opierał ciężar ciała, stawał się coraz potężniejszy, palce boczne stopniowo zanikały, aż wreszcie w ciągu tysiącleci, po długim procesie doskonalenia się, powstał typ konia pierwotnego.

Pierwotne konie w czasach swych wędrówek znajdowały się w różnych warunkach. Zależnie od tych warunków bytowania, zaczęły stopniowo powstawać typy koni, znacznie się między sobą różniące: konia leśnego, konia stępowego i konia nizinnego. Z biegiem czasu pojawiły się dalsze typy pośrednie.

Oto zarys historji przemian, zachodzących pod wpływem czynników naturalnych, a więc gleby, klimatu, doboru naturalnego oraz ciężkiej walki o byt. Nadszedł wreszcie czas, gdy w bezgranicznie swobodne życie konia wtargnął nowy czynnik, który wywarł decydujący wpływ na jego dalsze losy. Czynnikiem tym był człowiek.

Dla pierwotnego człowieka koń był początkowo zwierzyną. Dopiero w miarę własnego rozwoju i zwiększających się potrzeb człowiek zrozumiał jak wielką pomocą i ułatwieniem może dlań być koń. Nastąpił okres prób oswajania koni.

Z początku koń był zwierzęciem jucznem, stopniowo stawał się wierzchowcem, wreszcie poczęto go używać do pracy w polu i pociągowej.

Koczownikowi, który ze swojemi stadami wędrował z miejsca na miejsce, potrzebny był koń szybki, wytrwały, odporny na chłód i głód, podczas gdy dla plemion osiadłych większą wartość przedstawiał koń mniej szybki, lecz potężniejszej budowy, odpowiedni do pracy w gospodarstwie.

W ten sposób w różnych krajach i w różnych czasach, zależnie od rozwoju kultury, starania człowieka szły w kierunku coraz większego udoskonalania konia, zależnie od potrzeb. To doprowadziło wreszcie do wyhodowania istniejących obecnie ras końskich.

Równolegle z przyrostem ludności w poszczególnych krajach, a co za tem idzie, stopniowem zmniejszaniem się wolnych przestrzeni, znikał koń dziki. Jego ostatnie okazy (tarpany) spotykane w stepach chersońskich, wyginęły w XIX stuleciu.

ZAKLINACZE WĘŻÓW

W krajach podzwrotnikowych, rojących się od jadowitych wężów, zwłaszcza w Indjach i Egipcie istnieją ludzie umiejący siłą woli poskramiać te gady. Na placach publicznych w miastach indyjskich i egipskich widuje się często owych zaklinaczy, popisujących się tą szczególną umiejętnością. Zaklinacz stawia na ziemi płaski, zamknięty koszyk, podnosi następnie szczelnie przylegające wieko, siada obok kosza z podwiniętemi nogami i zaczyna grać na instrumencie, podobnym do naszego fletu, jakąś rzewną monotonną melodję. Wąż leży przez chwilę spokojnie, jakby wsłuchując się, potem zwolna się podnosi, prostuje i „staje", dysząc, w groźnej postawie bojowej.

Poskromiciel ani na moment nie przerywa gry na instrumencie i nie spuszcza wzroku z oczu węża. Po chwili wąż nieruchomieje i pogrąża się jakby w katalepsji. Wówczas zaklinacz wyciąga dłoń, głaszcze głowę węża, owija nim swoje ciało, ale ciągle, bez przerwy nawet na sekundę, gra. Często wąż, pogrążony we śnie kataleptycznym, wyprostowuje się niczem laska. Jest to wspaniałe, ale grozą przejmujące widowisko.

Nie przerywając gry, zaklinacz podstawia kosz i za chwilę wąż zwija się w swem dawnem legowisku. Wówczas właściciel szybko nakłada wieko, z chwilą bowiem, gdy zamiera muzyka, zbudzony gad mógłby zaatakować swojego pogromcę.

Mariensztat Fot; A. Kaczkowski.

Piosenka Mariensztacka

Czy cię spotkam w tym tłumie?
A więc: orzeł czy reszka?
Powiedziałaś: o szóstej,
pod zegarem, Mariensztat.

A w lipcu na Mariensztacie
lampy lśnią pod gwiazdami,
kogo chcecie, spytajcie,
albo przyjdźcie tu sami.
Bo w lipcu na Mariensztacie
młodość jest piękną rzeczą,
kogo chcecie, spytajcie,
tylko głupi zaprzeczą.

Zegar dzwoni i dzwoni,
i wydzwania kwadranse,
tańczą ludzie na rynku,
a ja tylko nie tańczę.

A w lipcu...

Zegar siódmą już bije,
zegar, widać, się spieszy...
Przyszłaś, jesteś nareszcie,
jakże tu się nie cieszyć!

Tempo umiarkowane

Refren

Słowa: A. MIĘDZYRZECKI I T. KUBIAK

Wędrówki PO WARSZAWIE



Pałac w Wilanowie.

JAN III Sobieski wstąpił na tron polski po ciężkim okresie wojen szwedzkich. Zrujnowany zamek warszawski nie mógł przyjąć do swych komnat nowego władcy i jego świty. Nowy król zatroszczył się więc o inną siedzibę i pod budowę swego pałacu wybrał miejscowość podstołeczną — Milanów, przezwany z czasem Wilanowem.

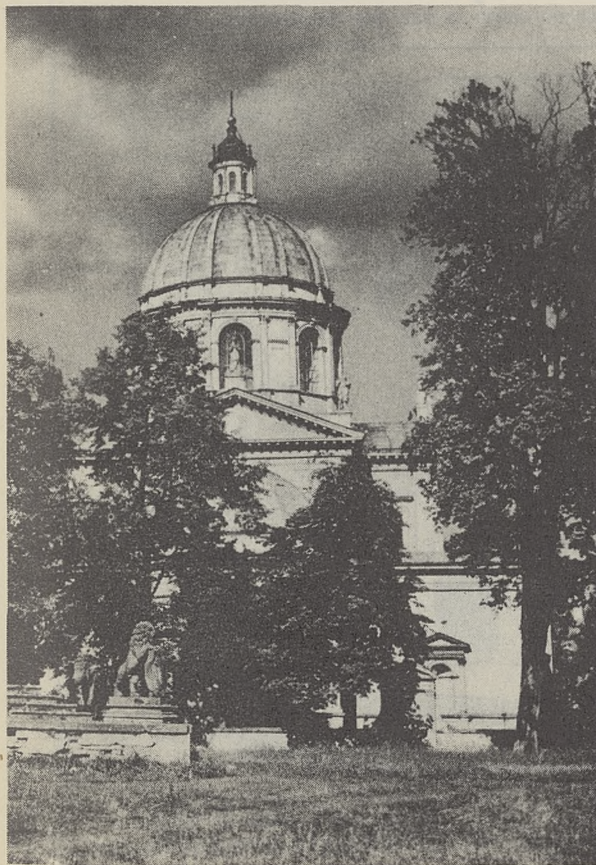
Kształt architektoniczny królewskiej rezydencji stworzył artysta polski włoskiego pochodzenia — Augustyn Locci. Już około 1680 roku gotowy był niewielki budynek, przypominający staropolski dwór ziemiański. Później uzupełniono go półpiętrem dobudowanym do alkierzy podwórcowych i otwartymi galeriami. Wnętrza siedziby zdobili najprzedniejsi artyści owej epoki.

Śmierć Sobieskiego przerwała rozbudowę Wilanowa.

Rezydencja Wilanowska różne przechodziła koleje, wielokrotnie zmieniając właścicieli. Nie zawsze dbano o nią należycie. W roku 1895 Wilanów dostał się w spadku Ksaweremu Branickiemu i jako własność rodziny Branickich przeszedł nowy okres zaniedbania i upadku. Pierwsza wojna światowa znacznie nadwątliła zaniedbane mury. Potem prowadzono wprawdzie niewielkie prace zabezpieczające, ale znów przerwała je II wojna światowa.

Obecnie rezydencja Jana III jest oddziałem warszawskiego Muzeum Narodowego. Trwają tu teraz zakrojone na szeroką skalę prace rekonstrukcyjne, w trakcie których natrafiono na wiele cennych, nieznanych przedtem dzieł sztuki w postaci malowideł ściennych i plafonów zakrytych dotąd tynkiem.

D. K.



Wilanowski kościół



Brama wjazdowa do pałacu.

UŚMIECHNIJ SIĘ

BECZKA WINA

Przedsiębiorca widowiskowy poucza zapaśnika, aby nie pił przed zawodami, ponieważ to osłabia siły i odbiera szanse uzyskania pierwszej nagrody.

— Powinieneś być trzeźwy, aby zachować siły.

— Nonsens! — mówi atleta pokazując na beczkę wina. — Gdy kupiłem tę beczkę nie mogłem jej podnieść oburącz. Zacząłem pić litr wina dziennie i teraz mogę podnieść beczkę jedną ręką bez trudu.

NAUKA PŁYWANIA

Chruszczow daje instrukcje wyższym urzędnikom sowieckim:

— Powinniście być posłuszni, bardzo posłuszni i jeszcze raz posłuszni! Jeżeli jutro każę wam skoczyć do rzeki Moskwy musicie to zrobić bez wahania.

Jeden z obecnych chyłkiem wymyka się z zebrania.

— Dokąd idziesz? — pyta Chruszczow.

— Do szkoły pływania.

NASZE DZIECI

— Tatusiu, co ty robisz w biurze? — pyta córeczka dyplomaty, który wrócił do domu po pracy.

— Nic, moje dziecko.

— A skąd wiesz, w takim razie, że skończyłeś pracę?

ZUPA CZY PIWO?

— Co pan sądzi o potrawach angielskich? — zapytano znanego aktora filmowego Danny Kaye podczas jego ostatniego pobytu w Londynie.

— Jeżeli podają na gorąco — to jest zupa, jeżeli na zimno — to jest piwo.

HISTORYCZNE SŁOWA

Przewodnik po starożytnym zamku we Francji do turystów:

— Z tego zamku Napoleon wyruszał na wyprawę do Rosji. Jego Cesarska Mość wypowiedział przy tej okazji następujące historyczne słowa: „Niech ci, którzy będą zwiedzali ten zamek, nie zapomną o cesarzu i napiwku dla przewodnika".

PRZEZORNOŚĆ

Oficer przeprowadza inspekcję sanitarną w obozie żołnierzy francuskich.

— Czy zachowujecie ostrożność jeżeli chodzi o wodę do picia?

— Tak.

— Co robicie?

— Najpierw wodę gotujemy a potem filtrujemy.

— A co dalej?

— Pijemy wino.



— ŚMIAŁO DO GÓRY! JA TEŻ TAK CHODZIŁEM...



— DZIĘKUJĘ ZA WSZYSTKO, DOKTORZE... PRZEKONAŁ MNIE PAN ŻE NIE JESTEM NAPOLEONEM...

Noc. Balzac leży z zamkniętymi oczami w bezowocnym oczekiwaniu snu. Może myśli o swojej przyjaciółce z dalekiej Wierzchowni, może trapią go zwykłe kłopoty finansowe.

Nagle rozlega się zgrzyt przekręcanego klucza w zamku. Pisarz otwiera oczy i w blasku księżyca widzi złodzieja z wytrychem dobierającego się do jego biurka.

Na ten widok Balzac wybucha niepowstrzymanym śmiechem. Zmieszany złodziej przerywa swą robotę.

— Z czego się pan śmieje? — wybąkał.

— Z czego się śmieję? Z tego, że są tacy idioci na świecie, co przychodzą w nocy, na palcach, z wytrychem, szukać po ciemku z ryzykiem więzienia — pieniędzy w meblu, w którym ja sam nie mogę ich znaleźć w dzień, przy świetle, otwierając go prawdziwym kluczem.

MĘŻCZYŹNI O KOBIETACH

Kobieta, którą uczyniono równą mężczyźnie, staje się jego przełożoną.
Sokrates

Zawsze sądziłem że każda kobieta powinna wyjść za mąż, ole żaden mężczyzna nie powinien się żenić.
Disraeli

Jakkolwiek szczęśliwa jest w małżeństwie kobieta, to jednak zawsze jej przyjemność sprawia myśl, że istnieje jakiś miły mężczyzna, który życzyłby sobie by nią nie była.
H. L.Mencken

Zbójcy żądają pieniędzy albo życia; kobiety chcą i jednego i drugiego.
S. Butler

Niewolnictwo jest jedyną formą życia jaką kobieta uznaje; jeżeli nie może jej stosować, to przynajmniej chce jej doznawać.
Pièrre Louis

KOBIETY O KOBIETACH

Każda kobieta pragnie być jedyną kobietą w życiu możliwie największej liczby mężczyzn.
Pani de Stael

Kobiety są może idiotkami, ale Bóg je uczynił takimi, aby dorównywały mężczyznom.
George Elliot

Kobiety wpadłyby w rozpacz, gdyby natura uczyniła je takimi, jakimi je czyni moda.
Panna de Lespinasse

Jeżeli mężczyźni więcej cenią piękność kobiety niż jej inteligencję, to świadczy to o tym, że na ziemi więcej jest glupich niż ślepych.
Louise deVilmorin

Kobiety nie myślą o niczym albo myślą o czymś innym.
Ann Nielsen

DISRAELI O PEWNEJ PANI

To jest bardzo inteligentna osoba, ale nigdy nie może sobie przypomnieć, kto był wpierw: Grecy czy Rzymianie.

HEINE O INNEJ

Nie wiem czy jest cnotliwa; ale wiem że jest brzydka, a to już trzy czwarte zwycięstwa.


— Trzeba go będzie podnieść, kiedy zagrają hymn.


— Czy mógłby pan zanieść jeden mojemu mężowi?
— A gdzie jest, łaskawa pani?
— Właśnie wypadł przez okno!


— Nie, dziękuję, nic mi nie trzeba.


— Potrzebny nam jest właśnie pracownik, który by zaczął od najniższego szczebla i ... pozostał już na nim do końca ...


— OBIAD GOTÓW. PROSIMY!

NASI ZAŁOŻYCIELE I PIERWSI PIONIERZY Z.N.P.

JULIAN SZAJNERT — Jeden z Twórców Związku Narodowego Polskiego

Napisał Karol Piątkiewicz

W galerii wielkich związkowców i twórców naszej potężnej organizacji jedno z najprzedniejszych miejsc zajmuje Julian Szajnert, mąż wielkiego serca, wielkiego umysłu, zdolny do ujmowania wydarzeń i wypadków w jedną całość, przewidujący przyszłość. Zrozumiał on konieczność, aby na ziemi amerykańskiej powstało trwałe, silne i liczne zrzeszenie imigrantów polskich, które by pracowało nietylko nad swym własnym podniesieniem na ziemi przybranej, ale także stało na straży polskości i przewodziło w pracach nad wywalczeniem Polsce niepodległości.

Było to w roku 1871 w mieście Filadelfii. Liczna wówczas gromada polskich emigrantów, patriotów i prawdziwych pracowników społecznych zorganizowała w tym mieście Towarzystwo Bratniej Pomocy im. Tadeusza Kościuszki, powołując na swego sekretarza Juliana Szajnerta, wówczas 23-letniego młodziana, pełnego zapału i chęci do pracy narodowej.

Szajnert był idealistą i marzycielem, jednym z tych rzadkich patriotów, którzy myśli potrafią ucieleśniać i zamieniać w czyn, którzy nie kończą na obmyśleniu oczyma duszy obrazu akcji jaka powinna być zamierzana, ale to marzenie potrafią urzeczywistnić.

Szajnert widział przybywających co tydzień czy co miesiąc nowych imigrantów, z Polski, rozpraszających się potem po całej Ameryce, widział naszych starych wiarusów z Wielkopolski, dawnego Królestwa, Galicji z tobołami i walizami w ręku, z małemi dziećmi ciągniącymi z przystani do stacyj kolejowych i rozjeżdżających się po całej Ameryce.

Całymi latami studiował i robił zapiski, notatki i kreślił uwagi na ten temat, marząc o stworzeniu kiedyś jakiegoś wielkiego jednego towarzystwa, któreby objęło wszystkich tych imigrantów nie tylko w Filadelfii, ale także w pobliskim Nowym Yorku, odległym Buffalo i bardzo dalekim, położonym gdzieś na "Dzikim Zachodzie", jak im się wtedy wydawało, w Chicago.

Tak długo Szajnert chodził, starał się, szukał, badał, aby zebrać wszystkie adresy wszystkich polskich skupień i towarzystw w Filadelfii i okolicy i zwołał na dzień 14go lutego 1881 roku wspólne zebranie do kuchni swego mieszkania. Po długich obradach, po wywodach za i przeciw zebrani patrioci zadecydowali utworzyć centralną organizację dla wszystkich osad polskich pod nazwą "Związku Narodowego Polskiego", organizację, któraby jednoczyła nietylko poszczególne jednostki ale także istniejące już i rozwijające się towarzystwa narodowe.

Pierwszym sekretarzem Związku Narodowego Polskiego wybrano Juliana Szajnerta, gdyż on był duszą i twórcą, on o stworzenie zabiegał i starał się. On to podpisywał pierwsze odezwy wraz z pierwszym prezesem Andrzejkowiczem, on jeździł po osadach okolicznych i organizował pierwsze grupy związkowe, zachęcał do zbiorowych wystąpień i do wspólnej pracy w imię starej maksymy: "W jedności Siła".

Znamienne są słowa jednej odezwy napisanej przez Szajnerta, w której czytamy między innymi te wzniosłe i natchnione słowa:

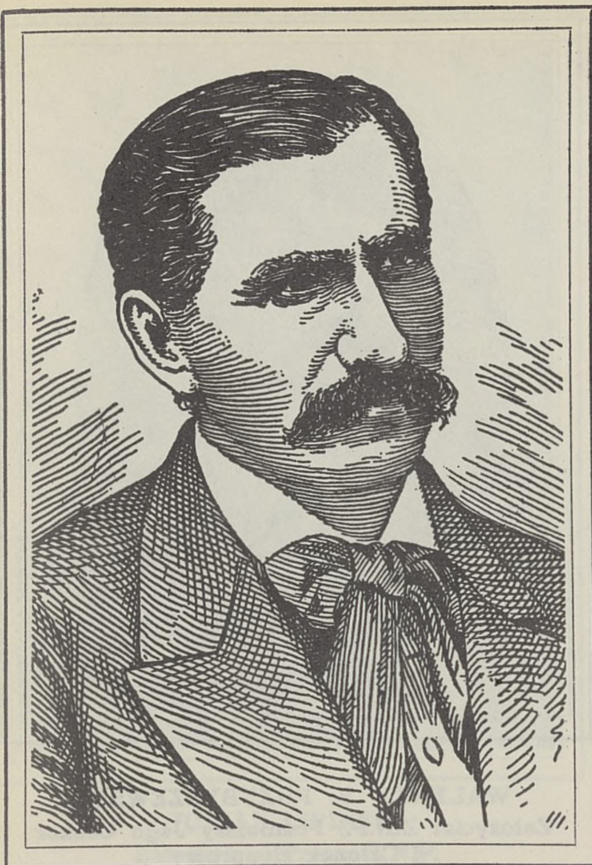
"Rodacy. Mamy tu punkt oparcia, mamy wolność stowarzyszania się, mamy wolność prasy i słowa, mamy liczbę, tylko brak nam siły, bo jesteśmy jak ziarnka grochu rozsiane po powierzchni ziemi. Zebrane w kupę, wsypane do miny, te ziarnka utworzą wielką siłę, co góry rozsadza. W rozsypce, w osamotnieniu jesteśmy niczym, niezdolni poradzić sami sobie, ani pomóc krajowi. Zebrani i zorganizowani w potężny Związek nie tylko dźwigniemy sami siebie, moralnie i materialnie, ale utworzymy potężną siłę, której będziemy mogli użyć dla dobra Ojczyzny..."

Jakże proroczymi stały się słowa tego wielkiego męża, wielkiego ojca Związku Narodowego Polskiego. Jakżeż wiele też Związek zdziałał w przeszłości i jak wiele działa dzisiaj dla sprawy polskiej, walcząc o Polskę na forum świata, śląc narodowi polskiemu pomoc i przedstawiając postulaty Polski przed mocarstwami.

Żadnych stanowisk organizacyjnych w ZNP Szajnert nie pragnął i zadowolił się godnością komisarza, żadnego innego urzędu nie przyjął. Radowała go myśl, że jego marzenie ziściło się i spełniło, że z luźnych towarzystw powstał wielki Związek Narodowy Polski.

W miarę jak wzrastał Związek Narodowy Polski tak wzrastało przywiązanie i miłość ludu związkowego do Juliana Szajnerta, który zawsze przez cały okres swego życia, spieszył chętnie swej ukochanej organizacji z serdeczną radą w chwilach przełomowych, z zajętego raz stanowiska nigdy się nie cofał, a w chwilach krytycznych dla naszej organizacji zawsze potrafił bronić jej mienia z godnością i odwagą. W uznaniu jego wielkich zasług sejmy związkowe obdarzyły go godnością honorowego komisarza ZNP. na wszystkie stany.

Zmarł w dniu 20 października 1928 roku, doczekawszy się odbudowy niepodległości Polski po pierwszej wojnie światowej, zmarł na 11 lat przed wybuchem drugiej wojny światowej, zyskując w sercach wszystkich związkowców miłość i uznanie za swe prace dla powstania naszej organizacji położone.



AGATON GILLER

Ojciec Duchowy Związku Narodowego Polskiego

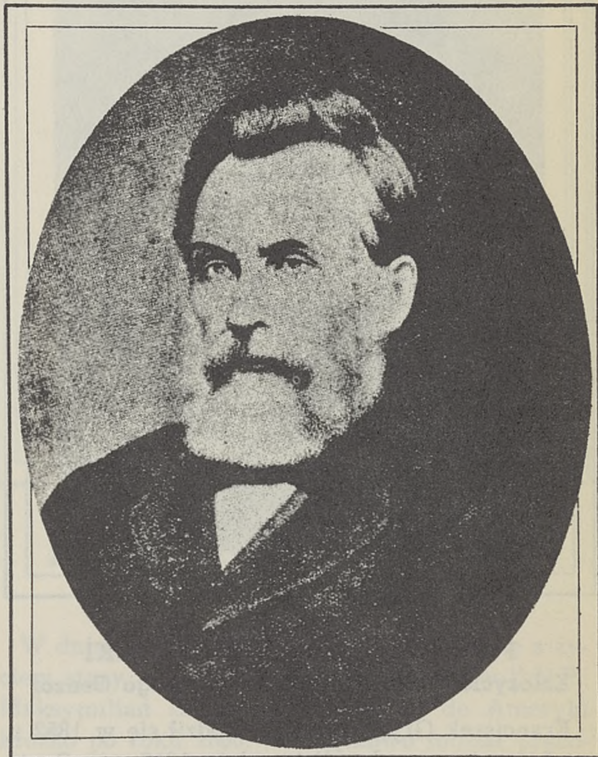
Nie odrazu, nie w jednym dniu ani miesiącu założonym został Związek Narodowy Polski. Wiele starań, wiele zabiegów i wysiłków całego grona ludzi wybitnych przez czas dłuższy tak tu, jak i w Polsce złożyło się na to, że po sześćdziesięciu sześciu latach możemy się pochwalić istnieniem największej polskiej organizacji w świecie, która coraz bardziej rozwija się i rośnie w potęgę.

Zasługa inicjatywy w tym dziele należy się jednak niewątpliwie Agatonowi Gillerowi, wielkiemu patriocie, człowiekowi wielkiego serca, byłemu członkowi Rządu Narodowego, który wypdzony z Galicji, osiadł w Szwajcarii w Rapperswilu i stamtąd śledząc wszystko co się dzieje w Ameryce, wystąpił z listem o potrzebie organizacji amerykańskiej Polonii, którego właściwy tytuł brzmiał: **"O organizacji Polaków w Ameryce."**

List ten pierwotnie opublikowany w "Gazecie Narodowej" we Lwowie, ukazał się we wrześniu 1879 roku w "Gazecie Polskiej" w Chicago, a później w osobnych odbitkach i był jednym z najgorętszych powodów, że już w roku przyszłym powstał Związek Narodowy Polski.

Gdy obecnie setki spraw wielkich i ważnych przedsiębierzemy, powinniśmy całą duszą wniknąć w to, co Agaton Giller o celach narodu powiedział, a to:

"W wielkiej sprawie narodu, to tylko kierownictwo jest rozumne, które żadnej siły pojedyńczej lub zbiorowej nie traci z oczu, żadnej nie uznaje za mało znaczącą lub nie do użycia, a rozproszone lub zbłąkane zagarnia do gromady i prowadzi właściwymi drogami do służb, które podnoszą znaczenie, potęgę, blask ojczyzny, oraz jej niepodległość."



DR. HENRYK KAŁUSOWSKI

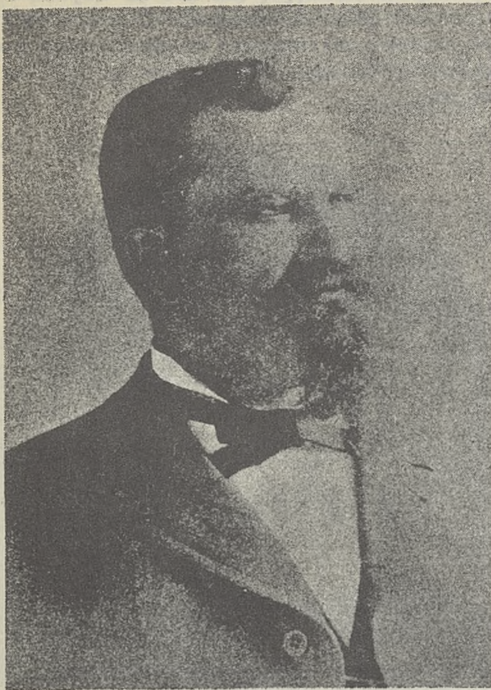
Fundator Biblioteki i Muzeum Z.N.P.

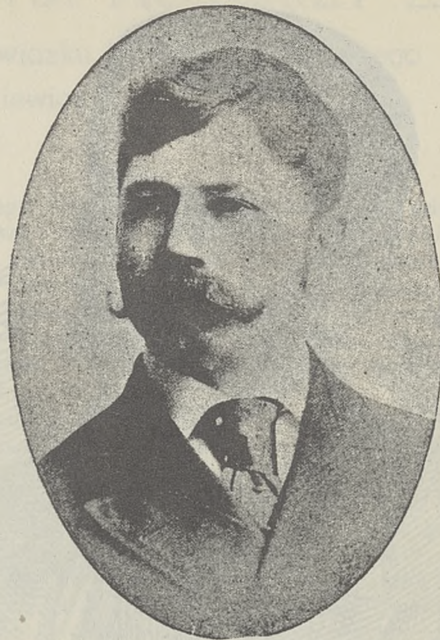
Niezmiernie doniosłym i ważnym krokiem w pracy oświatowej Związku Nar. Pol. było założenie biblioteki i czytelni Z.N.P. w roku 1892.

Inicjatorem i fundatorem jej był człowiek wielkiego serca, emigrant po roku 1831, poniekąd patron naszego Związku Narodowego Polskiego, dr. Henryk Kałusowski. W historii naszej emigracji zapisał się on chlubnie—jak chlubnym było całe jego życie.

Od dnia bodaj wstąpienia na ziemię Washingtona—oddał się niezmordowanie pracy organizacyjnej rozproszonych i nielicznych naonczas Polaków,—on to stał się twórcą pierwszego polskiego towarzystwa narodowego w Ameryce, którego był też gwiazdą najjaśniejszą.

Dla Polski bowiem tylko żył. Wszechstronnie wykształcony, zamiłowany i sumienny badacz przeszłości, ukochał wszystko, co go łączyło z przeszłymi dziejami narodu, skrupulatnie zbierał wszelkie pamiątki, gromadził u siebie, otaczał staranną opieką z ojcowskim umiłowaniem; a gdy zbiory dosięgły cyfry pokaźnej—wraz z bogatą biblioteką, oddał je na usługi naszego wychodztwa pod opieką Z.N.P., w przekonaniu, że należą się one narodowi,—by czerpał z nich każdy wiedzę i wiarę w lepszą przyszłość.





FRANCISZEK GRYGLASZEWSKI

Założyciel Z.N.P. i Pięciokrotny Jego Cenzor

Franciszek Gryglaszewski urodził się w 1852 r. we Lwowie, umarł w listopadzie, 1918 r. w Santa Fe, New Mexico. Był on jednym z założycieli Związku Narodowego Polskiego, później pięciokrotny jego cenzor, następnie członek honorowy i do zgonu krzewiciel idei związkowej.

Gryglaszewski nie zrażał się największymi nawet przeciwnościami, lecz wytrwale, z zaparciem się samego siebie dążył do wytkniętego celu — do zbudowania potężnej organizacji, której na imię było **Związek Narodowy Polski . . .** Doskonały organizator, ofiarny na rzecz Związku bez granic, bowiem prawie cały swój majątek dlań poświęcił, był również jednym z faktycznych założycieli urzędowego organu "Zgody".

On to przez osiem lat (1883-1891) cenzorstwa swego poświęcił Związkowi wszystko na co go stać było, aby ukochana przez niego organizacja stała się największą i pierwszą z polskich nie tylko w Ameryce ale i w Europie. Z dumą też później oglądał rezultaty swej skutecznej działalności, gdyż Związek dzięki właśnie działalności takich ludzi, wyrósł na olbrzyma organizacyjnego, na chlubę Polonii amerykańskiej. Sejm IX w Detroit, 1891 r., w uznaniu jego zasług, mianował go swym honorowym członkiem.

WALENTY V. PRZYBYSZEWSKI

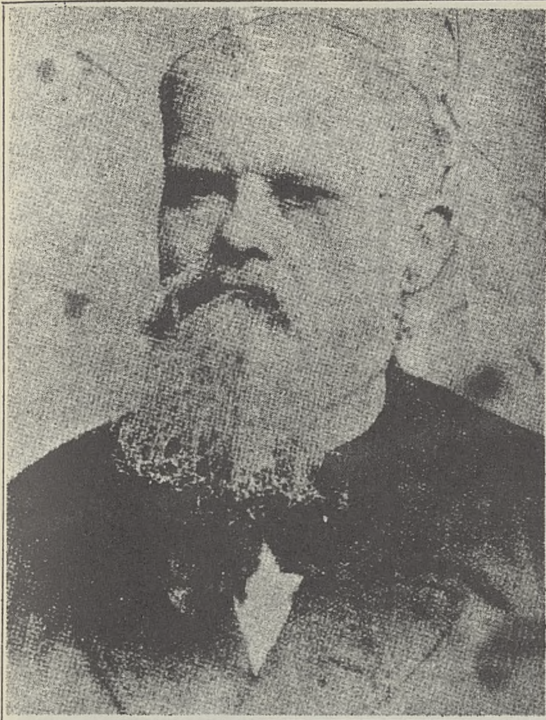
Założyciel Z.N.P., Późniejszy Jego Cenzor i Członek Honorowy

Z nazwiskiem Walentego Przybyszewskiego łączy się szereg prac narodowych i społecznych, jakim się zawsze oddawał z całym zapałem do końca swego pracowitego życia.

Do Stanów Zjedn. przybył w roku 1873 i osiadł w Bay City, ich., gdzie od razu zabrał się do pracy narodowej, w której wykazał wielkie zdolności, oraz wielką dozę energii. Założył on w Bay City Tow. Narodowe im. św .Kazimierza w r. 1880, które przystąpiło do Związku Nar. Pol. jako grupa dwunasta i w tej grupie przetrwał do końca życia. Był on więc jednym z pierwszych założycieli Z.N.P., gdyż miał numer porządkowy 312.

Zasługi dla Związku przy organizowaniu się, położył ogromne, za co został zaliczony w poczet członków honorowych, a w Filadelfii założyło się towarzystwo jego imienia jako grupa 192 Z.N.P.

W. V. Przybyszewski wybrany został cenzorem Z.N.P. na Sejmie V., odbytym w 1885 r. w La Crosse, Wis., a na następnym Sejmie, który odbył się w Bay City, Mich., dokąd też przeniesiono Zarząd Centralny, Przybyszewski zostaje wybrany prezesem. Urząd ten piastował do następnego Sejmu, gdy Zarząd Centralny przeniesiono do Chicago. Na Sejmie IX, odbytym w Detroit, w 1891 r., Przybyszewski zostaje wybrany cenzorem po raz drugi. Godność tę piastował przez dwa lata—do Sejmu w Chicago. Był on posłem wielu Sejmów związkowych, na których brał czynny udział w różnych komisjach.



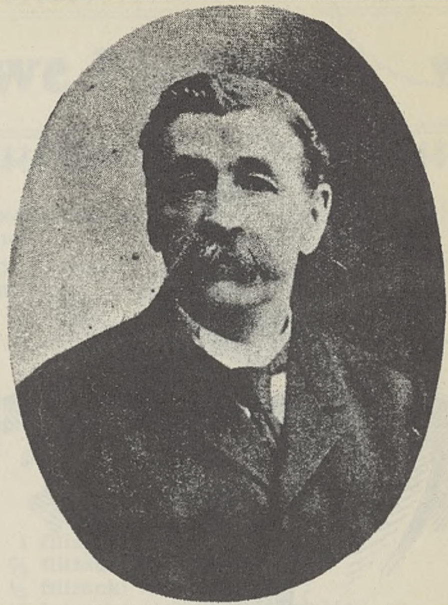
JULIAN LIPIŃSKI
Założyciel i Prezes Z.N.P.

Julian Lipiński urodził się w 1834 roku w Królestwie Polskiem, umarł w Buffalo, N. Y., dnia 26-go marca, 1898 roku. Otrzymawszy domowe wychowanie, poświęcił się fachowi krawieckiemu. Wybuch Powstania Styczniowego pociągnął go, jak tysiące innej młodzieży polskiej do walki za świętą sprawę Polski. Służył w oddziale policji powstania, w t. zw. "żandarmach wieszających."

Po upadku powstania razem z innymi wychodźcami uszedł szczęśliwie rąk siepaczy moskiewskich i osiedlił się w Paryżu, gdzie przebywał długie lata. Stamtąd wyemigrował do Ameryki, przybywszy do Filadelfii, zamieszkał tam czas dłuższy. Dopiero na dwa lata przed śmiercią przeniósł się do Buffalo, gdzie też dokonał tułaczego życia.

Julian Lipiński należał do liczby tych prawych Polaków, którzy do ostatniego swego tchnienia wierzą w świętość sprawy polskiej, którzy w każdej chwili gotowi życie swoje złożyć na ołtarzu Ojczyzny.

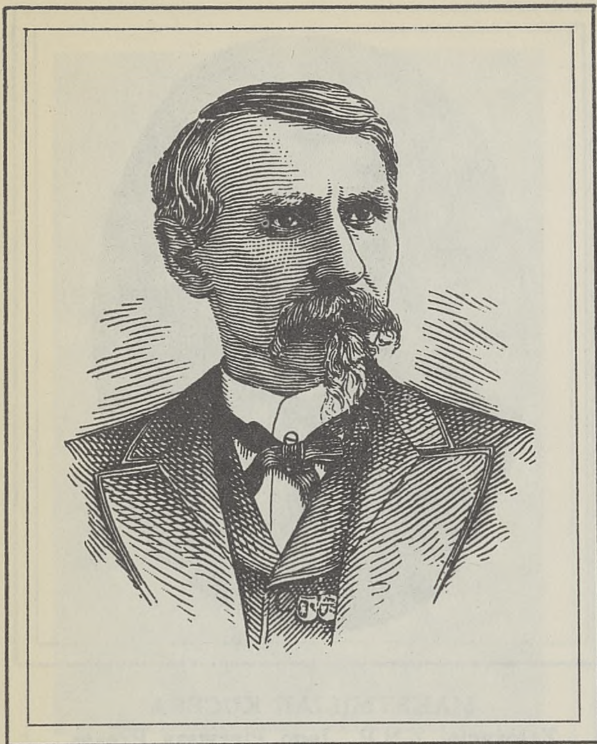
To też przybywszy na obczyznę, nie uciekał od braci swoich, nie rozczarowywał się do nich. Gdy więc wielki nasz patriota Agaton Giller rzucił myśl połączenia istniejących wówczas w Ameryce towarzystw polskich w jedną ligę, czyli związek, Julian Lipiński pośpieszył razem z kilku innymi dzielnymi rodakami pod wodzą J. Andrzejkowicza do wprowadzenia tej myśli w czyn i takim sposobem został jednym z założycieli największej dziś polskiej organizacji w świecie, Związku Narodowego Polskiego.



MAKSYMILIAN KUCERA
Założyciel Z.N.P. Jego Pierwszy Prezes, Następnie Kasjer, Wreszcie Członek Honorowy

W dniu 4-ym marca 1904 roku, rozstał się z życiem stary i zasłużony członek honorowy Z.N.P., Maksymilian Kucera. Przybył on do Ameryki krótko po roku 1860. Początkowo musiał pracować po lejarniach i fabrykach, a następnie wziął się w Chicago do interesu. Tutaj odegrał wybitną rolę wśród garstki Polaków i był duszą nie tylko życia towarzyskiego„ lecz dał inicjatywę do założenia Gminy Polskiej, a następnie brał wybitny udział w pracach przygotowawczych około założenia Z.N.P. Na pierwszym sejmie Zw. Nar. Pol. 20-go września, 1880 roku, został obrany pierwszym prezesem Zarządu Centralnego. Na sejmie drugim w Nowym Yorku 1881 roku, zostaje wybrany ponownie prezesem, a w 1885 roku pełni przez rok obowiązek skarbnika Związku. Przeniósłszy się do Milwaukee brał zawsze czynny udział w życiu związkowym i społecznym Polonii miejscowej.

Jedną z ostatnich jego służb publicznych był urząd dyrektora budowy pomnika Kościuszki w Milwaukee. Przed śmiercią wieczorem jeszcze był na posiedzeniu dyrekcji i brał czynny udział w dyskusji. Po posiedzeniu udał się do domu, gdzie mieszkał samotnie. Nazajutrz rano znaleziono go nieżywego w mieszkaniu. Sejm XV-ty w uznaniu zasług Kucery mianował go członkiem honorowym. W Milwaukee był prezesem Grupy 54-tej, im. Moniuszki.



STANISŁAW KOCIEMSKI

Były Kasjer i Prezes Z.N.P.

Stanisław Kociemski urodził się w 1827 roku w Krotoszynie w W. K. Poznańskiem, gdzie też uczęszczał do szkoły, później przebywał dłuższy czas w Poznaniu i Wrocławiu. Do Ameryki przybył w 1854 roku i osiedlił się na stałe w Chicago, gdzie z powodzeniem prowadził fabrykę ramek. Gdyby nie pamiętny w 1871 roku pożar, który zniszczył doszczętnie cały jego dobytek, byłby prawdopodobnie jednym z najmajętniejszych Polaków w Chicago.

Dom Kociemskiego był środowiskiem całej ówczesnej Polonii, gdzie schodzono się stale i układano plany założenia pierwszego towarzystwa Polaków "Gmina Polska", które też Kociemski założył 7-go października, 1866 roku i które dziś jako grupa Z.N.P. nosi Nr. 2-gi. Kociemski był jednym z pierwszych pionierów polskich. Ze współczesnych Polaków, którzy brali udział w ruchu narodowym polskim są znani: Tomasz Brzeziński Nr. 23 Związku, Michał Cetka Nr. 37, August Klimkel Nr. 48 i Roman Stobełki Nr. 99 Z.N.P.

Stanisław Kociemski zmarł w Chicago 15-go lutego, 1904 roku. Pogrzeb jego był niemal manifestacją narodową, w którym wzięła udział cała Polonia chicagoska.

St. Kociemski zapisał się wybitnie jako niezmordowany pracownik dla idei Z.N.P., któremu poświęcił wiele cennego czasu. Był on jednym z czynnych założycieli Związku. On pierwszy sprawował urząd kasjera przez dwa terminy, t. j. od 1880 do 1882 roku, następnie zaś od roku 1882 do 1891 zaszczytny urząd prezesa Zarządu Centralnego Z.N.P.



WALERIA LIPCZYŃSKA

Pierwsza Wice-Cenzorka i Długoletnia Honorowa Komisarka Z.N.P.

Jedną z czołowych kobiet i najzasłużeńszych pracownic w Związku Narodowym Polskim, była Waleria Lipczyńska. Szczera patriotka całe swe życie poświęciła pracy narodowej i związkowej, nigdy niestrudzona, gdy szło o sprawy wielkie i święte. Była ona pionierką ruchu kobiecego w Z.N.P., zachęcając swym przykładem inne kobiety do wstępywania do Z.N.P. oraz zawsze pierwszą w pracy dla Polski i Wychodztwa. Za to też otrzymała zaszczytne dekoracje od Rządu Polskiego jakoteż od Związku Narodowego Polskiego, któremu do dni ostatnich życia swego wiernie służyła.

Waleria Lipczyńska urodziła się w Polsce dnia 4-go października w 1847 roku, zakończyła zaś swój doczesny żywot dnia 16-go lutego 1930 roku, w Grand Rapids, Mich.

Przepisy na Domowe Pieczywo

CIASTO GABKOWE

⅔ filiżanki jaj
½ filiżanki cukru
⅔ filiżanki zimnej wody
2 filiżanki mąki
2 równe łyżeczki proszku do pieczenia

Odmierzyć jaja i ubić osobno. Stopniowo dodawać cukier do ubitych żółtek i ubijać dalej, Przesiać mąkę raz, zmierzyć i przesiać trzy razy z proszkiem. Stopniowo dodawać do tej mieszaniny mąkę i wodę na przemianę. Oblać dobrze ubitymi białkami. Piec w umiarkowanie gorącym piecu (350° Fahrenheita=140° Reaumura) przez 40-45 minut.

BUŁKI WIEJSKIE CODZIENNE

3⅔ filiżanki mąki
3⅔ równej łyżeczki proszku do pieczenia
½ łyżeczki soli
1 filiżanka mleka
2 łyżki roztopionego masła
1 jajko

Przesiać mąkę raz, zmierzyć i przesiać trzy razy z proszkiem i solą. Ubić jajko, dodać mleko, roztopione masło i materjał suchy. Wywałkować ciasto do pół cala grubości. Wyciąć okrągłe placki, posmarować masłem i złożyć we dwoje. Piec w gorącym piecu (425° Fahrenheita=175° Réaumura) przez 25 minut.

MAZUREK POLSKI

1⅓ filiżanki masła
1½ filiżanki cukru
2 jaja
½ filiżanki mleka
2 filiżanki siekanych migdałów
5⅓ filiżanki mąki
5⅓ równej łyżeczki proszku do pieczenia
2 łyżeczki cynamonu
2 łyżeczki gwoździków

Przesiać mąkę raz, odmierzyć i przesiać trzy razy z proszkiem, cynamonem i gwoździkami. Rozrobić masło, dodać cukier, migdały, ubite jaja, mleko i suchy materjał. Wkładać po łyżce na wysmarowaną blachę. Piec w gorącym piecu (425° Fahrenheita=175° Reaumura) przez 15 minut.

MAZURKI KRAKOWSKIE

1 filiżanka masła
⅔ filiżanki cukru
1 jajko
3 filiżanki mąki
3 równe łyżeczki proszku do pieczenia
½ filiżanki mleka
1 łyżeczka wanili

Przesiać mąkę raz, odmierzyć i przesiać wanilę trzy razy z proszkiem. Rozrobić masło z cukrem. Dodać ubite jajko, i materjał suchy na przemianę z mlekiem. Rozwałkować do ½ cala grubości i włożyć do okrągłej blachy. Piec w umiarkowanie gorącym piecu (375° Fahrenheita=150° Réaumura) przez 25 minut.

Wyjąć z pieca i przekładać marmeladą i następującą masą:

2 filiżanki siekanych migdałów
2 filiżanki miałkiego cukru
2 białka

Ubić białka, dodać migdały i miałki cukier. Gotować nad gorącą wodą przez kilka minut, mieszając ciągle.

BABA UKRAIŃSKA

1 filiżanka żółtek
⅔ filiżanki miałkiego cukru
½ filiżanki masła
1 łyżeczka siekanych migdałów
2 filiżanki mąki
2 równe łyżeczki proszku do pieczenia
⅓ równej łyżeczki soli
1 filiżanka gorącego mleka
¼ filiżanki białek

Przesiać mąkę raz, zmierzyć i przesiać trzy razy z solą i proszkiem. Ubić żółtka, dodać miałki cukier, siekane migdały i roztopione masło. Dodawać przesiany suchy materjał na przemianę z gorącem mlekiem. Ułożyć w dobrze na sztywno ubite białka. Włożyć do dobrze wysmarowanej blachy. Piec w gorącym piecu (400° Fahrenheita=165° Réaumura) przez 30 minut.

PLACEK PO KRAKOWSKU

Umieszać ciasto tak samo jak do Wybornych Bab Domowych. Na wierzch ułożyć następującą mieszaninę:

1 filiżanka rodzynków
½ filiżanki siekanych migdałów
Cokolwiek cukrzonej skórki pomarańczowej
⅔ filiżanki cukru
1 łyżeczka cynamonu
2 białka

Mieszać kolejno jak podano, dodać do ubitych białek i posmarować na wierzchu ciast. Piec w umiarkowanie gorącym piecu (375° Fahrenheita=150° Réaumura) przez 35-40 minut.

MAZUREK MIGDAŁOWY

2 filiżanki masła
2 filiżanki cukru
8 jaj
1 filiżanka migdałów
4 filiżanki mąki
4 równe łyżeczki proszku do pieczenia

Przesiać mąkę raz, zmierzyć i przesiać trzy razy z proszkiem. Utrzeć masło, dodać cukier, ubite jaja, siekane migdały i suche materjały. Włożyć do dobrze wysmarowanej blachy, posypać na wierzchu migdałami i cukrem. Piec w gorącym piecu (400° Fahrenheita=165° Réaumura) przez 25 minut.

Królowa Marysieńka Sobieska

MIŁOWANA żona króla polskiego Jana IIIgo Sobieskiego, pogromcy Turków pod Wiedniem, była zupełnie odmiennym typem od szlachetnych postaci kobiecych, których historja polska posiada więcej może, aniżeli jakikolwiek inny naród. Kilka szczegółów o tej kapryśnej kobiecie i ujemnym wpływie, jaki wywierała na króla Jana podajemy poniżej.

* * *

Na królewskim dworze króla Jana Kazimierza w Warszawie odbywała się świetna zabawa. Wśród zebranej młodzieży wyróżniał się dorodny starosta jaworowski, 25 letni Jan Sobieski.

Jako pierwsza gwiazda przybocznic królowej jaśniała Marja Kazimiera d'Arquien, wychowanka i ulubienica królowej Marji Ludwiki.

Czarowi niepospolicie pięknej Francuski uległ młody Sobieski. Podobno Marja Kazimiera zakochała się również w chorążym wielkim koronnym, niezbyt jednak silne musiało być to uczucie, skoro w trzy lata później, znęcona stanowiskiem i fortuną poślubiła Jana Zamojskiego, ordynata na Zamościu.

Ordynat zakochany był niebywale! Świadczą o tem najlepiej dwa hojne zapisy na sumę 600.000 złotych polskich oraz starostwo kałuskie, ofiarowane nadobnej oblubienicy na jej osobiste wydatki.

Nie zaznał jednak szczęścia Zamojski z ubóstwianą kobietą. Zepsuta, kapryśnica i chociaż młoda jeszcze lecz już wyrafinowana, nudziła się Marja Kazimiera w Zamościu, a tęskniąc za życiem dworskiem zbyt często uciekała do Warszawy.

Podczas jednego z pobytów wojewodziny w Warszawie nastąpiło zbliżenie z Sobieskim i wówczas w kościele Karmelitów w Warszawie poprzysiągł on jej dozgonną miłość.

Niech nas nie dziwi tajemniczy charakter tej przysięgi. Żył przecież wojewoda a Marysieńka rozwodu nie chciała, obawiając się utraty hojnych zapisów, poczynionych przez męża.

Kiedy w kwietniu 1665 roku umarł Zamojski, Marja Ludwika skojarzyła owdowiałą wojewodzinę tak rychło po śmierci jej męża, że wywołało to wiele niechęci i sarkania.

Związany nietylko ślubem, ale i prawdziwem uczuciem z panią swego serca, stał się Sobieski powolnem narzędziem Marysieńki, a mieczem w dłoni ambitnej i żądnej władzy Marji Ludwiki.

Ileż to błędów popełnił Sobieski zaślepiony tą miłością! Oto popadł w kolizję z własnemi przekonaniami, przyjmując laskę marszałkowską wydartą Lubomirskiemu; zadając kłam swemu prawemu charakterowi został zausznikiem dworu królowej, tej kuźni szalbierstw agendy rządu francuskiego.

W jedwabnych pętach wiodła sprytna dwórka kochającego małżonka dokąd chciała. Lekki grymas jej uroczych ust był dla niego najwyższym rozkazem, chęć dogodzenia kapryśnej kobiecie celem życia.

O wielkiej miłości Jana do żony świadczyć może drobny ale znamienny fakt, jeden z wielu zresztą ogniw w łańcuchu dowodów niespotykanego często uczucia. Kiedy doszła go wieść o chorobie Marysieńki, dał nietylko tysiąc dukatów na ufundowanie klasztoru Bernardynów; drugi zaś na dokończenie murów klasztoru Karmelitanek Bosych we Lwowie; nietylko zakupił w dziewięciu kościołach po dziewięć mszy przez dziewięć tygodni, lecz i sam przepędzał dziewięć sobót na surowym poście o chlebie i wodzie, podczas ciężkich terminów w Podhajeckim obozie.

Z jej to powodu truł się atmosferą intryg dworskich; na jej prośbę przyjął buławę polną, naruszając zasadę niepołączalności urzędów.

Nie na tem jednak koniec.

Ulegając wpływowi ukochanej Marysieńki brał udział w spisku detronizacyjnym, skierowanym przeciwko Michałowi Wiśniowieckiemu. Za jej też podszeptem dostał się w "opiekę" posła francuskiego, który w roku 1674 począł pieniężnie popierać kandydaturę Jana Sobieskiego, chociaż szlachta polska i bez tego, zakochana w swym dzielnym wodzu, który miał sławę nietylko zdolnego organizatora, lecz miał za sobą Podhajce i waleczne czyny na Ukrainie, byłaby i tak oddała mu w rękę berło.

Zdala od ukochanej kobiety, sączącej mu do duszy truciznę, budził się w nim duch przodków, grać poczynała krew rycerska. Gdy nadchodziła chwila działania, wybuchł jak proch poświęceniem, poczuciem honoru i ukazywał się światu w blaskach bohaterstwa.

Swemi wiekopomnymi czynami walczył wówczas najskuteczniej ze społeczeństwem, budząc je z letargicznego snu, w jaki poczęło je pogrążać zepsucie.

Nawet odsiecz wiedeńska, której 250 rocznicę obchodziliśmy, nie obyła się bez wpływu ambitnej i próżnej Marysieńki. Oto zapamiętała zwolenniczka partji francuskiej, przerzuciła się nagle do obozu przeciwnego. Cóż było przyczyną tej nieoczekiwanej zmiany? Oczywiście błahostka!

Ludwik XIVty król francuski czując wyjątkową niechęć do ojca Marji Kazimiery, Henryka d'Arquien, odmówił mu tytułu księcia. Oburzona tem królowa, skłoniła Jana IIIgo, zmęczonego zresztą już przewagą rządu francuskiego i rwącego się do walki z wrogami wiary, do zawarcia sojuszu z Austrją.

I tak wykwitł najpiękniejszy kwiat w wieńcu zwycięstw, zdobiących naszą historję.

Po śmierci króla Jana, któremu ostatnie chwile zatruła swem dokuczliwem postępowaniem, pozbawionem odrobiny cieplejszego uczucia, rozpoczęła Marysieńka walki o spadek po mężu z królewiczem Jakóbem oraz walki o koronę to dla zięcia Maksymiljana Emanuela, elektora bawarskiego, to dla Jabłonowskiego, którego zamierzała poślubić, to wreszcie nawet dla znienawidzonego syna Jakóba, byleby tylko utrzymać się przy władzy. Gdy wszystkie plany i intrygi elekcyjne zawiodły, opuściła Polskę, udając się do Rzymu, gdzie ojcu jej wyjednał zwycięzca z pod Wiednia kapelusz kardynalski.

Przyjmowana wszędzie z hołdami, należnemi panującej, rej wodziła jeszcze wśród rodziny, tkając przędzę intryg, siejąc z upodobaniem waśnie i spory.

Śmierć ukochanego syna Aleksandra skłoniła Marysieńkę do wyjazdu z Rzymu. Udała się do Francji i w tym samym roku zmarła w zamku de Blois, ofiarowanym jej przez Ludwika XIVgo.

Tak minęło życie Marysieńki Sobieskiej, życie, w którem nie dostrzegła ścielącego się pod jej stopy wielkiego uczucia. Odeszła, pozostawiając żal, że zabrała Polsce spokój i logikę największego bohatera chylącej się do upadku Rzeczpospolitej, najszlachetniej czującego i myślącego człowieka w społeczeństwie XVIIgo stulecia.

Juljusz Słowacki

MOWA POLSKA

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny jak Aniołów mowa....
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem,
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą
Potem z niej łyskać błyskawicą całą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą
Potem nadętą dawnych przodków pychą,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze, przybite do drzewa,
Co sobie słońcu wschodzącemu śpiewa....

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał, on toby zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski,
Mową, którą sam przed wiekami umiał
Potemby, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej—w grobie.

Dzieje Walk Żmudzi z Krzyżactwem

A LITWIE królował Gedymin; Teodoryk z Altenburga był Mistrzem Zakonu.

Żmudź cała prawie pokryta była jeszcze ciemnym, dziewiczym lasem. Szczupła liczba mieszkańców miała osady nad brzegami rzek: Niemna, Dubiszy i Jury. I czcili jeszcze dawne ojców bogi: Praamżu, Perkuna, Kowasa, Welonę.

Nad Niemnem, na wysokiej górze, świeciły mury świetnego przybytku bogów, a koło niego, wyniosłe wieżyce zamku Wielońskiego; dalej Bissena, Junigeda, Wowno, twierdze Litwinów, a po drugiej stronie Chrystomemel, Ragneta i Tylża, warowne grody Krzyżaków.

Żmudzkie łany od dawna leżały odłogiem, bo częste napady rabusiów niemieckich pracę rolników obracały w niwecz.

Od świętej góry Rambinus, aż po Niewiaże, rozciągał się las Wintis, poświęcony bogom, gęsty, ciemny, ponury; ludzka siekiera nigdy go nie tknęła. Przecinały go liczne wąwozy, parowy. Pod konarami kilkuwiekowych dębów stały posągi rozmaitych bogów; a ptactwo leśne wesoło śpiewało, bezpieczne, że go myśliwy nie spłoszy.

Do tego lasu uciekali mieszkańcy podczas napadu Krzyżaków — niewiasty i dziatwa — a mężowie, co mogli władać berdyszem, biegli bronić ognisk domowych.

Bronili mężnie, bo po półwiekowej walce zrozumiał Zakon, że swojemi siłami nie zdoła Żmudzi ujarzmić.

Więc Wielki Mistrz ogłosił krucjatę na Litwę.

Było to r. 1337. Rycerze przybywają do Malborga. Na ich czele jest Jan król Czeski, syn jego ks. morawski Karol, Henryk Bawarski, synowiec cesarza Ludwika, Ludwik Burgundzki, król Tessaloniki i wielu jeszcze książąt i rycerzy. Król Czeski doprowadził wojsko aż do brzegów Wisły; — powołany do Pragi przez ważne sprawy swojego państwa, zlał prawa głównego dowódcy na Henryka Bawarskiego. Ten wkroczył do Litwy i stanął nad Niemnem. Niski stan wody dozwolił mu rzekę przejść brodem, w miejscu, gdzie dzisiaj Iłgów. W miejscu tem była wyspa obszerna. Pod osłoną licznego wojska, zbudował Henryk na tej wyspie zamek Romayn-Werder. O pół mili zaledwie od nowej twierdzy, na górze, z której się rozległy widok rozciągał nad Niemen, stała obszerna warownia Wieluńska, zbudowana z drzewa, ale silna, bo dotąd nigdy zdobytą nie była.

Henryk obległ Wielonę. Załoga niezbyt liczna broniła się zajadle. Niemcom posiłki nadeszły. Przywieziono bombardy. Żmudzini jeszcze prochu nie znali. Piorunujący skutek broni palnej przeraził ich i zachwiał. Zdawało im się, że wrogowie gromów używają u Perkuna zdobytych podstępem. — Ogromne kamienne kule rozbijają dębowe ściany... Henryk zdobył Wielonę i ogniem



ZIMA W BESKIDACH.—Okolice podtatrzańskie przedstawiają w zimie niezwykle uroczy widok, zwłaszcza w czasie większych opadów śnieżnych. Na zdjęciu naszem widzimy piękny obrazek, przedstawiający las w szacie śnieżnej z okolic Zawardonia, w Beskidach.

zniszczył gród Witenesów. Na stosie popiołów i gruzów wzniósł warowne mury, na wzór niemieckich feodalnych zamków, a jakby na urągowisko, miejsce to, na którem tyle krwi się przelało, nazwał Górą Pokoju — Friedeberg.

Jakkolwiek ważne było dla sprawy Zakonu zdobycie Wielońskiego zamku, Henryk, biegły w sztuce wojennej, pojmował, że Litwini usilnie starać się będą, aby nim znowu zawładnąć. Gedymin, zajęty bojem z Tatarami, nie mógł mu stawić należytego oporu. Ale skoro sprawa z chanem będzie ukończona? Czy szczupłe załogi Romayn-Werder i Friedebergu zdołają się oprzeć potędze litewskiego władcy? Henryk pojmował niebezpieczeństwo; był zanadto dobrym wojownikiem, ażeby się łudzić nadzieją. Wielona była sercem Żmudzi, a mądry Gedymin łacno jej z rąk nie wypuści. Tylko władając Wieloną, mogli kusić się Krzyżacy o ujarzmienie Żmudzi.

Ale Gedymin daleko; zanim nadejdzie, wiele jeszcze uczynić można. Pojął Henryk, że większych sił potrzeba dla utrzymania tej ważnej pozycji, aniżeli załogi dwóch tylko zamków. O milę od Wielony było miejsce, które natura zdawała się sama przeznaczać na silny gród warowny. Nie była to góra wysoka, ani stromemi opatrzona skałami, ale panowała daleko, w obie strony, nad Niemnem. To miejsce obrał Henryk na budowę twierdzy.

Śpiesznie wzięto się do pracy. I stanął zamek. Na cześć ojczyzny swojej nazwał go Henryk — Bayern, ale okoliczni mieszkańcy, brzydząc się obcem mianem nadali mu imię Raudonpillis, — twierdza Raudony. — Tak powstał Raudań.

Z wyniosłej wieżycy zamku rozciągał się widok obszerny na znaczną część Żmudzi, aż po Rosienie, i na przeciwległe Zapuszczańskie ziemie.

Sprawy domowe wzywały jednak Henryka w rodzinne strony. Odjeżdżając, rozkazał, aby pieczęć i chorągiew zamku nosiły herb Bawarji, to jest tarczę, podzieloną na błękitne i srebrne pola, opatrzył go dostateczną załogą, zostawił w nim zapasy wielkie, oraz wszystkie bombardy, i pożegnał go na zawsze. W przejeździe przez Malborg, sprzedał Romayn-Werder, Friedeberg i Bayern, Wielkiemu Mistrzowi za znaczną kwotę pieniężną, którą mu Teodoryk z radością wyliczył, łudząc się marną nadzieją, że wkrótce zostanie władcą Żmudzi, a może i Litwy całej.

Równocześnie Krzyżacy po całym świecie otrąbili sławę bawarskiego księcia. Wieść o jego czynach doszła do stolicy Niemiec. Siedział wówczas na tronie Ludwik, stryj księcia. Sława młodziana przejęła go radością. Chcąc jej jeszcze przysporzyć świetności, wydał przywilej na imię Wielkiego Mistrza Teodoryka, (datt. Monachi XVII Non. Decembr. Anno Domini 1337), którym, jako władca świata całego, czyni Zakonowi darowiznę z całej Litwy, z ziemi Żmudzinów i Karsów, rozkazując, aby twierdza Bayern stała się stolicą nowego państwa.

Tymczasem w pierwszych dniach 1338 roku, wrócił Gedymin z wyprawy tatarskiej, poczem zaczął gromadzić w Wilnie wojska, czekając stosownej pory, dla wygnania Krzyżaków ze Żmudzi.

Wkrótce zdarzyła się oczekiwana okoliczność. Rycerze Zakonni, w celu pomnożenia swoich zastępów, zmuszali panów pruskich, do walczenia w ich szeregach z pocztem dworskiej służby. Prusacy czynili to z największą niechęcią i korzystali z każdej okoliczności, dla szkodzenia swoim ciemiężycielom i okazania im nienawiści, którą ku nim pałali.

Otóż w załodze zamku Bayern znajdowali się dwaj bracia Prusacy, członkowie jednej z zamożniejszych rodzin tej krainy. Powzięli oni śmiały zamiar skorzystania z pobytu swojego w tej twierdzy, żeby ułatwić Litwinom jej zdobycie. Ułożyli plan w tajemnicy i zaraz przystąpili do wypełnienia jego.

Jeden z nich otrzymuje pozwolenie od dowódcy zamku oddalenia się na dni kilka; pędzi do Wilna, staje przed Gedyminem, wykłada mu plan swój; skoro wojsko litewskie stanie pod murami grodu, a trzeba to uczynić nagle i niespodziewanie, brat jego skorzysta z popłochu i bramy zamkowe otworzy.

Gedymin niezwłocznie spełnić postanowił ten plan. Jednemu z synów swoich powierzył dowództwo wojska.

Podczas rozmowy Gedymina z pruskim wojownikiem, obecny był, paź jednego z królewiczów. Porwany przez Litwinów, od dziesięciu lat chował się na dworze wileńskim. Nikt się go nie wystrzegał, bo sądzono, że nie wie o tem, że jest Niemcem. Więc kiedy paź usłyszał o zdradzie Prusaka, wymknął się i znanemi sobie leśnemi drogami popędził na Żmudź. Pyłem pokryty wpada do Bayern, odkrywa zdradę i zdrajcę wskazuje. Prusak drugi wzięty na męki, do wszystkiego się przyznał.

Kiedy dnia 15 czerwca, wojsko litewskie stanęło pod szańcami zamku, zamiast bram otwartych, ujrzano wiszącego na wieży Prusaka.

Nie chcąc ustąpić, młody Gedyminowicz przystąpił do oblężenia zamku. Brat powieszonego był przy jego boku. Znając dokładnie wszystkie tajemnice twierdzy, kierował szturmy na punkty słabsze.

Załoga stawiała jednak opór. Dnia 7 lipca, po dwudziestu dwu dniach ustawicznej walki, gotowali się Litwini przypuścić szturm ostateczny.

Chcąc przystąpić do dzieła ze świeżemi siłami, ściągnęli wodzowie litewscy wojsko całe do oszańcowanego obozu, żeby mu dać chwil kilka odpoczynku. Nagle rozlega się krzyk wielki: Niemcy nacierają na obóz od strony zachodniej. Była to odsiecz, którą prowadził Dussmer, marszałek Zakonu, i wojewoda Renu.

Królewicz Gedyminowicz stara się wojsko ustawić w szyki bojowe, co widząc, załoga zamku robi wycieczkę i z tyłu uderza na Litwinów.

Pomimo całej waleczności, nie zdołali Litwini oprzeć się z obydwóch stron nacierającym wrogom. Gedyminowicz dał hasło odwrotu. Wojsko w porządku bojowym, poczęło się cofać. Dussmer, dumny ze zwycięstwa, zaniechał pościgu. Dowódca zamku zaprosił go na ucztę, i obaj noc całą wesoło spędzali przy pełnym kielichu i śpiewach truwerów.

Był już wieczór, kiedy ustał zgiełk boju. Gedyminowicz ciągnął gąszczem leśnym. Noc już była kiedy się do Wielony zbliżono. Przy bladem świetle księżyca, było już widać mury Friedebergu. Wszystko w nim było pogrążone we śnie. Niedbałe warty drzemały na szańcach. Książę nagle twierdzę otacza. Na hasło, wdzierają się Litwini na wały, na szańce na mury. Zaspana załoga strwożona, biega nieprzytomnie, powstaje zgiełk okropny, wrzawa; i w chwil kilka stają się Litwini panami Wielony.

Zanim załoga Ramoyn-Werderu spostrzec zdołała, że na wieży Friedeberga błękitna chorągiew zastąpiła białą, już Litwini byli pod murami, i szturmem zdobywali twierdzę. Romayn-Werder, staje się pastwą płomieni.

Chociaż dzieje nie podają imienia Gedyminowicza, który tej świetnej wyprawie przewodniczył, ale po samej prędkości i energji działania, łatwo poznajemy Kiejstuta, równie śmiałego, jak przebiegłego w boju.

Opowiedziana przez nas wyprawa Gedyminowego syna była tylko przedświtem dalszych bojów i ważniejszych jeszcze wypadków. Stary władca Litwy zaprzysiągł, że wygna Niemców ze Żmudzi, i zniszczy Bayern, ostatnie ich gniazdo w tym kraju.



RAID DLA NARCIARZY.—Na zdjęciu naszem widzimy pokryte śniegiem góry w okolicach Davos, w Szwajcarji, do którego zjeżdżają się zwykle z całej niemal Europy tysiące narciarzy.

Zebrał liczne wojsko w Wilnie, na czele którego miał stanąć z synami Olgierdem, Kiejstutem i najmłodszym Jawnutem. Czekał tylko wiosny, bo już pora była spóźniona. Tymczasem nadeszły Niemcom posiłki; głośny w dziejach awanturnik, wojewoda Renu, szukając przygód po świecie, zabłądził do zamku Bayern i przywiódł ze sobą znaczną liczbę krzyżowców, takich, jak on, błędnych rycerzy - rabusiów. — Starszyzna zamku postanowiła użyć nadreńskich posiłków na odebranie Litwinom Wielony.

Roztoczyli Niemcy wielki obóz nad Niemnem, opatrzony szańcami i przystąpili do oblężenia. Załoga wysłała potajemnie gońca do Wilna, prosząc o pomoc. Tymczasem stawiła opór waleczny.

Gedymin miał wojska gotowe, prędkiemi marszami przebywa dwudziestomilową przestrzeń i o wieczornej godzinie staje w lasach pod Wieloną.

Nie dając wojsku chwili spoczynku, przypuszcza atak na szańce niemieckie,. Niespodziewany napad Litwinów tak wielki sprawił popłoch i zamieszanie, że zatrąbiono do odwrotu, i Niemcy schronili się za mury Bayern.

Oswobodzona Wielona otworzyła bramy zwycięzcy, i cała załoga wyszła z zamku powitać swojego monarchę.

Było to na początku 1339 r.

Gedymin pozostał dni kilka w Wielonie. Znużone wojsko potrzebowało odpoczynku. Potem całą potęgą uderzył na Bayern.

Tu, w czasie walki, pod murami zostaje ciężko ranny kulą bombardu.

Gedymin zażądał by go odwieziono do Wielony. Tu najmłodszemu Jawnutowi oddał berło Litwy, obudwu dzielnym synom wyznaczył dzielnice.

— "Jeżeliby — rzekł — losy wojny oddały w ręce wasze mojego zabójcę, za śmierć moją nie szukajcie zemsty, puśćcie go wolno, niech wraca do swoich!"

Ciało Gedymina spalono na stosie.

Po odbytym pogrzebie Gedyminowicze zebrali się w Kownie, i postanowili sprowadzić bombardy, podobne do tych, których używali Niemcy. Montwid, najstarszy syn Gedymina, za zgodą braci, objął dowództwo wojskowe.

Po kilkudniowych zaledwie bojach, zamek Bayern zdobyty został, a załoga wzięta w niewolę.

Pomiędzy jeńcami znajdował się rycerz Tileman v. Sumpach, zabójca Gedymina. — Montwid nie uszanował ostatniej woli umierającego ojca, i Tilemana rozkazał powiesić.

Po zdobyciu Bayern, książę wkroczył do Prus. Odniósł tu dwa świetne zwycięstwa, pod Ragnetą i pod Tylżą. Zamierzał iść dalej, kiedy otrzymał poselstwo od nowego Mistrza, Ludolfa Koenig v. Weizau, który prosił o rozejm na tak korzystnych dla Litwy warunkach, że niepodobna było odmówić.

Rozejm trwał aż do r. 1343. W międzyczasie potrafili Krzyżacy skierować na Litwę całą krucjatę.

Gdy tylko mrozy osuszyły bagna, Mistrz Wielki, na czele świetnej drużyny, przybył pod twierdzę Bayern, i zdobył ją za pierwszym szturmem.

Poczem wydał razkaz zburzenia zamku.

O milę, poniżej miejsca, gdzie się wznosił Bayern Ludolf v. Weizau zbudował zamek o dwóch wieżach ze strzelnicami, kształt krzyża mającemi, a przez pamięć na księcia Henryka nadał mu miano Bayerburg. Twierdza ta długo jeszcze istniała, zwano ją zamkiem Giełgudów.

Kto na wieczne wszedł rozłogi
Kogo światłość zórz przenika,
Ten nie będzie pytał drogi
U ziemskiego przewodnika.
"Głosy ciszy."

M. Konopnicka.

Niektórzy wystawiali na pokaz swoje nagie dusze, których nie byliśmy ciekawi, każąc nam je podziwiać, niby jako pustynie, tratowane przez dzikie i wyuzdane tabuny instynktów—ale nie było w tem ani szczerości, ani siły. Dusze były wprawdzie dość puste, lecz nie rozległe, a natomiast dzikie rzekome tabuny podobniejsze były do robactwa mrowiącego się w nawozie, niż do rozkiełzanych rumaków.

H. Sienkiewicz.

Ambicja bogactw nie zna granic; najmożniejsi chcą jeszcze więcej. Ktoby mógł zaspokoić to łakomstwo nienasycone!... Nie szanują oni ani własności świętej, ani skarbu publicznego, rabują wszystko, lekceważąc wszelkie prawa sprawiedliwości.

Solon.



Słońce, drzewa w kwiatach, uśmiech dziewczyny — na Ziemi Lubuskiej wiosna już w pełni...

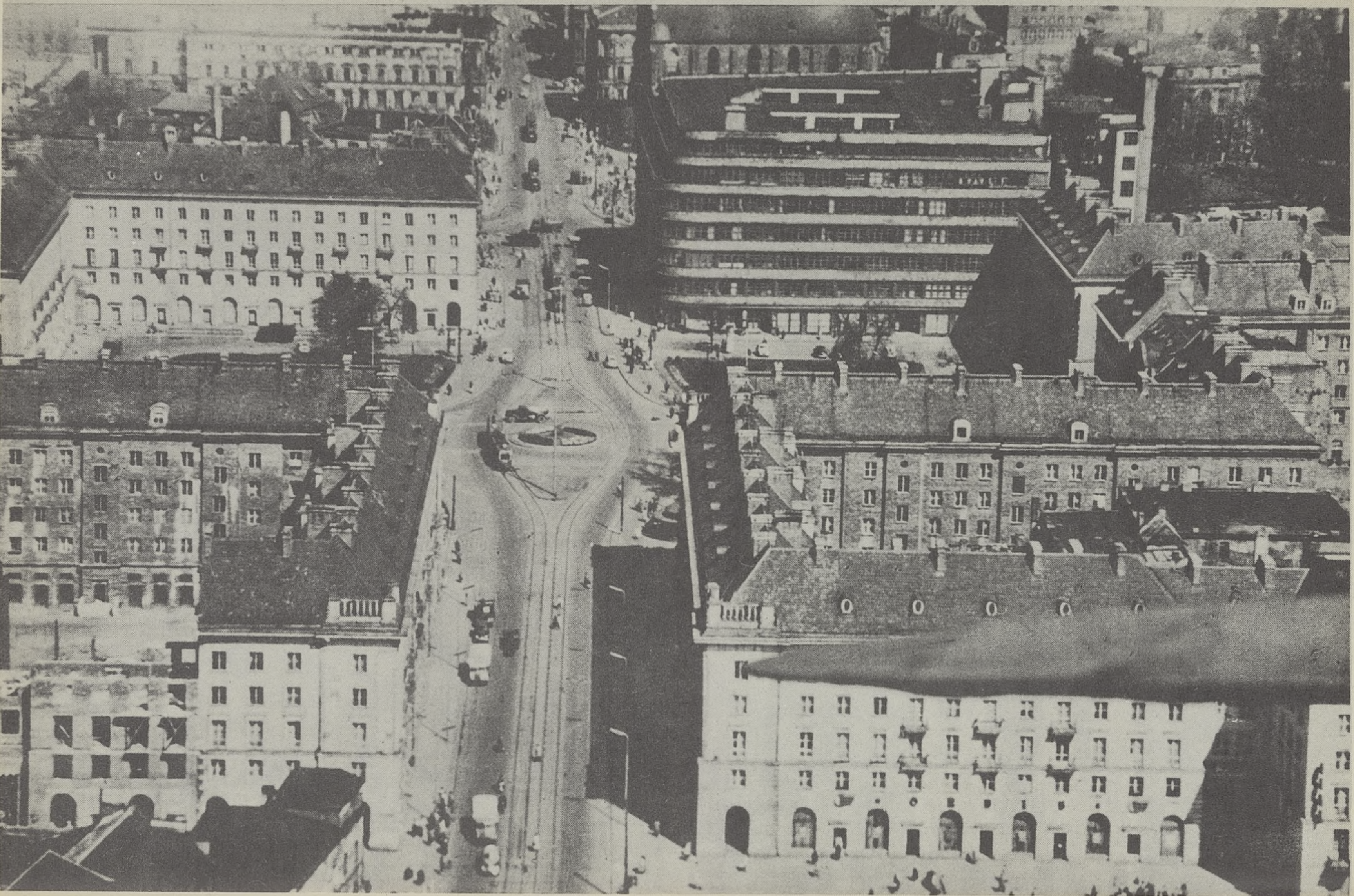
Fot. F. Zwierzchowski

Uniwersytet we Lwowie

Katedra w Pelplinie

W czasie wojny Wrocław został straszliwie zniszczony. Dziś miejsce ruin zajęły odbudowane lub nowowzniesione domy.

Fot. CAF





Historia z czekami

Pewien bankowiec przekonał handlarza bydłem, że bezpieczniej jest lokować większą gotówkę w banku, aniżeli przechowywać ją u siebie w domu, a co najgorzej, nosić ją przy sobie.

— A jak mam więc postąpić przy płaceniu za bydło lub przy innych zakupach, nie mając gotówki? — pyta handlarz, wręczając swoją gotówkę kasjerowi.

— Rzecz bardzo prosta! — odpowiada bankowiec. — Zamiast płacić gotówką, wystawia pan czek na kwotę, którą pan ma do zapłacenia, to znaczy, płaci pan czekiem, zamiast gotówką.

Po tych słowach bankowiec wręczył handlarzowi karnet czekowy, zawierający większą ilość blankietów.

Handlarz postąpił tak, jak kazał bankowiec, to znaczy, zamiast płacić gotówką, wystawiał czeki.

Ale już po kilku dniach spostrzeżono w banku, że ów handlarz wypuścił czeków na wyższą kwotę od tej, którą ulokował w banku. Wobec tego zawezwano go telefonicznie do banku, celem uregulowania różnicy.

— Ulokował pan u nas w banku 10 tysięcy dolarów, a wystawił pan już dotychczas czeków na przeszło 15 tys. dolarów — mówi zdenerwowany bankowiec. — Brak wobec tego panu przeszło 5 tysięcy dolarów na pokrycie... Czy chce pan pokryć tę kwotę?...

— Ależ naturalnie!... Nic łatwiejszego!... — odrzekł handlarz. — Przecież to drobnostka... Zaraz panu wystawię czek!

Na seansie u spirytystów

Mistrz: — O co się pan chciał zapytać swej zmarłej żony?

Gość: — Chciałem ją poprosić, aby dała mojej drugiej żonie przepis na robienie pasztetu cielęcego.

W restauracji



Gość (z oburzeniem) do kelnera: — Ależ to jest nie do wybaczenia! W „bifsteku" znajduję kawałek opony...

Kelner: — Takie to już czasy... Samochód coraz więcej zastępuje konia...

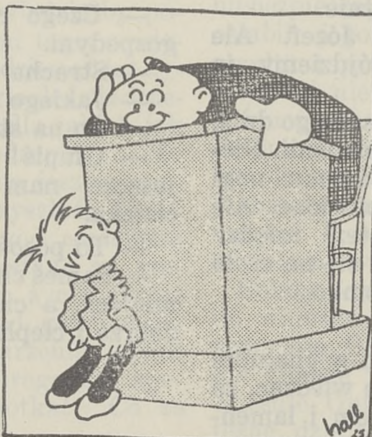
Pewna sprawa

Na ulicy spotyka się dwóch spekulantów. Jeden z nich po przywitaniu się mówi:

— Chodź ze mną do banku, mam pewną sprawę do załatwienia.

— Słuchaj — odzywa się drugi — czy doprawdy ta sprawa jest pewna, bo ja już drugi raz nie chcę siedzieć w więzieniu.

W szkole



Nauczyciel: — „Nie wszystko złoto, co się świeci". Proszę dać na to jakikolwiek przykład.

Uczeń: — Łysina pana profesora!

W kawiarni



Gość (zniecierpliwiony): — Kelner! Zamówiłem wino i już przeszło godzinę czekam...

Kelner: — Niech pan nie narzeka, bo wino czym starsze, tym lepsze...

Życzliwa rada



— Jak sądzisz, czy Bonifacemu mam pożyczyć pieniądzy, o które mnie wczoraj prosił?

— Ależ naturalnie! Koniecznie!

— A to dlaczego?

— Bo inaczej gotów do mnie przyjść z tą propozycją...

Kosztuje za trzech



— Nie ma pan co narzekać, ma pan przecież tylko jednego syna.

— To racja, ale syn mój kosztuje mnie za trzech.

JAK WE WIOSCE DIABŁA WYPĘDZANO?

— Jak się macie, kumie Józefie?

— Chwalić Boga, niczego nie brakuje, kumie Wojciechu.

— A co tam słychać?

— Wszystko dobrze, ino straszy . . .

— Straszy? A gdzieżto?

— U mnie w chałupie, na strychu. Jak dziś w nocy tupnięto, to aż kurz poszedł z powały. I Mańka słyszała. Przyjdźcie dziś późno wieczorem, to zobaczycie.

— Przyjdę, ale z Walkiem, moim bratem.

— Pamiętajcie! Czekamy! A teraz bywajcie zdrowi! Już na mnie pora!

Obaj gospodarze ukłonili się i rozeszli każdy w swoją stronę. Wojciech, wróciwszy do chaty, opowiedział żonie i Walkowi, Walek opowiedział Stachowi a Stach Piotrowi, Piotr, Janowi. W godzinę cała wieś już wiedziała, że u Józefa na strychu straszy.

— Święty Antoni, święty Janie . . . — dziwowały się kobiety, a Janowa, że to z całej wsi najbardziej wygadana, pobiegła do organisty (bo proboszcz wyjechał).

— Ach, panocku, co się dzieje . . . W całej wsi lamenty . . . Djabeł się u Józefa w chałupie pokazał na strychu i co noc straszy . . . Na łbie ma rogi, a z pyska mu piekło bucha . . . Cały kosmaty i pryszczaty . . . Wielki jak góra . . . Ryczy niby smok i językiem mlaska . . . Bucha od niego smoła i siarka tak okropnie . . . że Józef musiał się z rodziną z chałupy wyprowadzić i w stodole mieszka.

Organista przeżegnał się nabożnie.

— Wielki to grzesznik, ten Józef. Ale Józefowa to dobra kobieta. Pójdziemy ją wieczorem ratować.

Około dziewiątej wieczór tego samego dnia, cała wieś zgromadziła się wokół plebanii. Niejednemu łydki dygotały, niejednemu nogi latały, trzeszcząc niby wrota nieoliwione. Ale wszyscy udawali zuchów. W tem między ludzi wszedł organista i wysunął się na czoło gromady. — Idźmy—zawołał gromko.

Józef z żoną i dziećmi siedzieli w chałupie i gwarzyli ze sobą wesoło, nic nie wiedząc, że do nich cała wieś wali ze śpiewem i lamentem.

Ciepło było w izbie i ogień w kominie trzaskał przymilnie.

Mańka, Józefowa córka, piękna i dorodna dziewucha, rozwieszała świeżo uprane ścierki nad kominem. Nagle zawołała:

— Ojciec! A co to za hałas? Gdziesik śpiewają?

— Pewnie pogrzeb, procesja, albo co, już późno, wyjdę zobaczyć . . .

Wyszedł Józef przed przyzby — patrzy — a tu cała wieś przez wrota na podwórze wali.

Organista miał coś rzec. Ale Janowa go wyprzedziła. Wyskoczyła naprzód—i jak nie ryknie:

— Kajaj się grzeszniku! Idziemy djabła wykurzyć z twego paskudnego legowiska. Dalej, dalej ludzie, nie bójcie się. Naprzód!

Ludzie zaczęli się tak pchać, że wypchnęli Józefa ze drzwi i wpadli hurmem przez sień do izby.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — wrzasnęła przerażona Józefowa.

Ale ludzie stanęli w milczeniu—jak wryci i nagle przerażenie ścisnęło ich za serce.

Z góry ze strychu, dały się słyszeć regularne, jednostajne, a dość silne uderzenia.

— "To" straszy — wszeptała zbielałemi wargami Janowa i pierwsza też cicho, niespostrzeżenie, wysunęła się za drzwi. Za nią powoli, powolutku, jeden za drugim, jedna za drugą po kolei, pomaleńku wysunęli się i inni — a gdy stojący przed chałupą dowiedzieli się co się dzieje, prysnęli we wszystkich kierunkach, jakby wiatr zdmuchnął.

Po chwili, prócz oszołomionego Józefa i przerażonej Józefowej — w chałupie — i całem obejściu nie było żywej duszy.

— Czego chcieli ci ludzie? — wyjąkała gospodyni.

— Stracha wypędzić.

— Jakiego stracha?

— Co na strychu stuka.

— Głupiś! Przecież to nie strach. Rety, jeszcze nam zabiją świeżo zakupionego cielaka.

— To pocoś go aż na strych zaciągnęła?

— Sameś chciał! Mówiłeś, że nigdzie niema miejsca, a cielak, jak wiadomo, musi mieć dobrze i ciepło.

Miał szczęście.

Profesor budzi się w nocy i widzi, że ktoś stoi w rogu pokoju. Niewiele myśląc chwyta za rewolwer i strzela. Zapala zapałkę. Okazuje się, że to tylko jego palto na wieszaku. — Mam szczęście — mruczy — gdybym je miał na sobie, byłbym trup.

PERCIVAL WILDE

DROGA DO WOLNOŚCI

Obydwaj mężczyźni nie mieli na pozór nic wspólnego z sobą. Maynard wyglądał jak poważny businessman, zaś Guthrie — jak jego urzędnik. Maynard był doskonale ubrany. Począwszy od jedwabnych skarpetek a kończąc na gustowym krawacie, wszystko świadczyło, iż troszczył się wielce o swój zewnętrzny wygląd. Guthrie nosił stare ubranie, marynarkę na łokciach powycieraną, a spodnie pomarszczone, wypukłe na kolanach, najwidoczniej dawno już nie prasowane.

Taksamo różniły się ich twarze. Pierwszy, świeżo wygolony, miał rysy żywe, rozkazujące, wyraźne, świadczące o wysokiej inteligencji i sprycie. W łagodnych niebieskich oczach Guthrie'go zaś leżał wyraz posłuszeństwa, a usta były otoczone licznemi i głębokiemi zmarszczkami.

A jednak Maynard mówił "panie Guthrie", podczas gdy tamten nie zaszczycał go tytułem "pan". Siedzieli w niezbyt schludnym, oddzielnym pokoiku podrzędnej restauracji. Guthrie zamawiał potrawy, a Maynard siedział smutny, pochmurny i milczący.

Kelner rozłożył mocno przybrudzony obrus, postawił przed nimi marne chińskie potrawy i zostawił ich samych.

Maynard niechętnie spojrzał na jedzenie.

— Nie będę mógł tego jeść — wyjąkał półgłosem.

Guthrie uśmiechnął się pobłażliwie. Gdyby był innym człowiekiem, — odpowiedziałby poprostu: "To jest o wiele lepsze od tego, co dostaniesz w więzieniu". Lecz sześćdziesiąt lat życia nauczyło go cierpliwości. Długie doświadczenie wyrobiło w nim pobłażliwość dla takich jak Maynard. Nie smakowało mu jedzenie.... To jasne. Ten człowiek, przed godziną jeszcze wolny, planował dalszą swobodną przyszłość. Skandal wywołany jego ucieczką przed sześcioma miesiącami ucichł zupełnie. Przestano go szukać. Marzył o nowem, wygodnem życiu. Świat wydawał mu się piękny... przed godziną jeszcze. Idąc ulicą i snując złote marzenia, wpadł wprost w objęcia człowieka, którego nie spodziewał się nigdy w życiu napotkać. Co za obrzydliwe spotkanie!

— Powinien byłem to przewidzieć — dumał Maynard ponuro.

Czasami dzieją się rzeczy najmniej spodziewane. Przez pięć długich miesięcy nie ruszył się z ciemnego hotelu, gdzie znalazł samotne schronisko. Przez pięć miesięcy, udając inwalidę, nudził się niewypowiedzianie. Powinien był wytrwać jeszcze drugie tyle. A wszystkiemu była winna wiosna, złote blaski słońca, powietrze pełne wiosennych zapachów, wesołe krzyki dzieci. Nie mógł usiedzieć w domu, był przecież jeszcze młody! Wszak nie mógł przypuścić, że wykryją go tu, w odległości pięciuset mil od rodzinnego miasta.

Postąpił nierozważnie, a jednak nie był głupim człowiekiem. Gdyż człowiek głupi nie potrafiłby tak mądrze prowadzić książek, nie mógłby przygotować tak pomysłowego fałszywego bilansu, nie umiałby natrafić na odpowiednią chwilę, by kupić bilet do New Yorku a wsiąść do pociągu, idącego w przeciwnym kierunku.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie powinien był zostać wykryty. A jednak... W tej chwili spożywał chleb w towarzystwie człowieka, który miał go oddać w ręce sprawiedliwości.

— Nic dziwnego, że jedzenie nie przypada mu do gustu — pomyślał Guthrie i dodał głośno:

— W pociągu dostaniemy lepszy obiad.

— Hm... — ponuro mruknął Maynard. — Czy wyjeżdżamy dziś w nocy?

— Popołudniu o czwartej — oświadczył Guthrie.

Maynard przyjrzał mu się uważnie. Wysoki, silny, sześćdziesięcioletni człowiek mógł być niebezpieczny przed dwudziestu laty. Ale wiek osłabił jego mięśnie. Maynard nienawidził gwałtu i przemocy, a jednak dla odzyskania wolności nie zatrzyma się przed niczem. Musi coś uczynić, zanim tamten odda go władzom. Będą sami całe popołudnie, całą noc, może nawet dłużej. Przez ten czas napewno nadarzy się jakaś okazja, którą potrafi odpowiednio wykorzystać. Z przyjemnością patrzył, jak ubranie wisiało na wychudzonem ciele Guthrie'go.

Robiąc porównanie między nim a sobą, doszedł do wniosku, że okoliczności bezwzględnie mu sprzyjają. Guthrie był o wiele cięższy od niego, ale czemże jest waga wobec wyrobionej siły! Mięśnie Guthriego, niegdyś bezwątpienia potężne, dziś były osłabione. Natomiast on, Maynard, był silny, wytrenowany, gdyż nawet przez całe pięć miesięcy samotności poświęcał codziennie pół godziny ćwiczeniom gimnastycznym.

Uśmiechnął się pogardliwie. I ten człowiek miał zamiar pilnować go przez pięćset mil! Co

za niedorzeczność! Maynard nie troszczył się nawet o broń, którą tamten nosił przy sobie. Wybierze odpowiednią chwilę, a zwycięży z pewnością. Te myśli wprowadziły go w dobry humor. Uśmiechnął się i począł zajadać z apetytem.

— Tak, to dobrze — rzekł Guthrie z dobrodusznym uśmiechem. — Zresztą niema jeszcze powodu do zmartwienia. Nic nie wiadomo co będzie w sądzie. Sędziowie mogą ułaskawić...

Sąd! Sędziowie! Dwa czynniki, które nie mieściły się w głowie Maynarda. Ale jego nie złapią. Tak postanowił, gdy mądrze planował przestępstwo. Mądrze!. Ta myśl prześladowała go. Nie chciał przekroczyć prawa, chciał jedynie być mądrzejszym od swoich mądrych wierzycieli, którzy zmiażdżyliby go, gdyby mieli pojęcie o prawdzie! Wówczas był pewny, że oszustwo nie wyjdzie na jaw. Interesy poprawiłyby się napewno i nikt nie wiedziałby o tem, iż był bliski ruiny.

Jednak wpływy były coraz mniejsze, czeki nie napływały. Wkrótce miał zdawać sprawę, co mogło pociągnąć za sobą fatalne następstwa. Powoli lecz pewnie zbliżał się do ruiny. Wówczas to uciekł się do sfałszowania książek i kwitów. A teraz nie było dla niego ratunku; groziło śledztwo, kara i długie lata więzienia. Czy minie go kara? To pytanie dotychczas nie dawało mu spokoju. Lecz teraz, wobec tak słabego przedstawiciela sprawiedliwości, był pewny, że nie da się odstawić do rąk władzom i zamknąć w więzieniu.

Nagle chrapliwy, rzężący głos wyrwał go z zadumy.

— Wody... wody...

Guhtrie ciężko dyszał. Maynard poskoczył doń z wodą.

— Serce kiepskie — wyszeptał detektyw, przełknąwszy kilka kropel. — Lekarze mówią, że niedługo przestanie zupełnie pukać. Słabo... słabo mi...

Maynard, zaskoczony zasłabnięciem Guthriego, nie pomyślał o korzystaniu ze sposobności i ucieczce. Ogarnięty nagłą sympatją dla swego wroga, usadowił go na krześle, rozpiął mu odzież i otworzył okno.

— Biegnę po lekarza — rzekł.

Odpowiedziało mu głuche rzężenie, a potem cisza zupełna.

— Biegnę po doktora, panie Guthrie... — powtórzył.

Było już zapóźno. Guthrie leżał martwy na podłodze.

Maynard stanął osłupiały. Śmierć, to ogólnoludzkie prawo, zatarła wszelkie ślady nienawiści. Własne nieszczęście wydało mu się śmiesznie małem wobec jej potęgi. Niedawno chciał walczyć z tym człowiekiem, dopuścić się gwałtu, użyć fizycznej przemocy... Wyższa siła wyprzedziła go. Uderzyła go tak, jak on nie śmiałby go uderzyć.

I nagle, jakby zbudzony ze snu, zaczął myśleć szybko i dokładnie. O ucieczce w tej chwili niema mowy. Widziano ich, gdy wchodzili razem do restauracji. Ludzie pomyślą, że go zabił. Po dziesięciu minutach zaczną go ścigać. Uciec, to znaczy przyznać się do najstraszniejszej zbrodni—do morderstwa. Zostać,—również jest niebezpiecznie. Gdy dowiedzą się, że Guthrie był przedstawicielem prawa, a on, Maynard, ściganym przestępcą, co wówczas nastąpi?

Maynard drżał na całem ciele. Wiedział, że dopuścił się przestępstwa i pociągano go za nie do odpowiedzialności, a teraz mogą go posądzić o większą zbrodnię, i kto wie, czy potrafiłby wykazać swoją niewinność co do śmierci Guthriego.

Trzeba działać, i to natychmiast.

Na progu stanął kelner, niosący kawę. W tej chwili Maynard powziął postanowienie.

— Poślij po policję — zawołał ostro, zatrzaskując kelnerowi drzwi przed nosem.

Myśl, którą powziął, była logiczna i, jak mu się zdawało, jedynie zbawienna i moliwa do przeprowadzenia. W tej miejscowości, gdzie przypadkowo spotkał go Guthrie na ulicy, nikt nie znał nieboszczyka, jak i jego. Szybko pochylił się nad trupem, opróżnił jego kieszenie a ich zawartość włożył do swoich i odwrotnie. Westchnął z ulgą, gdy znalazł najpotrzebniejszy przedmiot — małą blaszaną gwiazdę, znak agenta policji.

Zaledwie skończył, drzwi się znów otworzyły.

— Jestem detektyw Guthrie z Madisonu — rzekł bez wahania, pokazując blaszkę. — Aresztowałem tego człowieka przed godziną. To poszukiwany przez policję stanu Wisconsin oszust Maynard. Zmarł nagle.

Policjant spokojnie kiwnął głową, jakgdyby przyznawał, że więźniowie wogóle umierają nagle.

— Pan go tu aresztował? — zapytał.

— Tak. Spotkałem go przypadkowo na ulicy miasteczka. Nie szukałem go, ale poznałem przypadkowo. Chciałem odwieźć go do Madisonu, jako poszukiwanego za oszustwo.

I zachwycony własnym sprytem, dodał:

— Niestety, minęła mnie nagroda, przeznaczona za jego aresztowanie.

— Przypuszczam, że i tak nagrodę pan otrzyma -- odrzekł policjant, — natomiast zaoszczędzi pan sobie trudu odwożenia. Niemłody, musiano mieć z nim już niemało kłopotu.

Następnie zwrócił uwagę na Maynarda.

— A więc pan jest detektywem Guthrie?

— Tak — odpowiedział krótko.

— Doskonale. Czekaliśmy na pana. Nasz człowiek siedzi pod kluczem. Będziemy szczęśliwi, gdy pozbędziemy się tego łajdaka. Mieliśmy tu niejednego niebezpiecznego gościa w naszem mieście, ale żaden nie dałby się porównać z tym ptaszkiem.

To było coś nowego. Sprytny Maynard o nic

nie pytał. Domyślił się, że widocznie Guthriego przysłano tu w określonym celu. Każde pytanie mogłoby go zdradzić.

Przyszło mu do głowy, że papiery znalezione w kieszeni zmarłego wyjaśnią mu całą sprawę. Wyjął je z kieszeni i z udaną pewnością siebie począł je przeglądać. Duża urzędowa koperta zawierała jakiś papier zaopatrzony pieczęcią i podpisem.

— To jest — rzekł policjant, biorąc z ręki Maynarda dokument — oryginalny rozkaz wydania przestępcy w pańskie ręce. Zrobi nam pan wielką grzeczność, jeśli skorzysta jaknajprędzej z tego papieru.

Teraz wszystko było jasne dla Maynarda. Człowiek, którego miejsce zajął, miał rozkaz zabrania przyłapanego zbrodniarza. Nie pozostawało nic innego, jak grać rolę detektywa do końca. Będzie pilnował powierzonego mu zbrodniarza i wywiezie go za obręb miasta. Zdala od pogoni puści go na wolność, a sam pójdzie swoją drogą. I znowu przyszłość przedstawiała się różowo Maynardowi.

Zanim opuścili pokój restauracji, Maynard pomyślał z podziwem o człowieku, który będąc słaby i schorowany, miał odwagę transportować nie jednego, ale dwóch aresztowanych więźniów.

— Co za nerwy miał ten Guthrie! — pomyślał z uśmiechem.

Policjant spojrzał na niego i rzekł:

— Nie zazdroszczę panu przyjemności przejażdżki z Tosellim. Sam jego widok wystarcza do wprawienia człowieka w niepokój.

Wszystko szło jaknajskładniej. Jutro Maynard zniknie jako Guthrie, zarówno jak Toselli. Władze pokręcą głową i pożałują, że wysłały starego człowieka w tak niebezpiecznej misji. Sprawa Maynarda znów ucichnie i zginie w zapomnieniu.

W głównej kwaterze policji spisano odpowiedni protokół.

— A teraz wydamy panu więźnia.

Zaprowadzono go do małej, wybielonej celi.

— To jest Toselli.

Maynard spojrzał przez kratę. Pierwszy rzut oka potwierdził wszystko, co o tym człowieku słyszał. Krótki, krępy tułów na krzywych nogach, o długich, małpich rękach, nosił ogromną, kulistą głowę, a w niej tkwiły małe, złowrogie oczy.

— Cóż pan na to? — spytał jeden z obecnych policjantów. — To przyjemność spotkać takiego wśród ciemnej nocy!

Maynard drgnął. Taki okaz widział po raz pierwszy w życiu.

— Boi się pan?

— Miałem z gorszymi do czynienia — odparł wymijająco Maynard.

Więzień podniósł cię ciężko i przysunął do kraty. Maynard spostrzegł z przerażeniem, że mierzył wzrokiem jego siły, jak on to robił przed dwiema godzinami z Guthriem.

— Ten djabeł patrzy, czy poradzi panu!

Włoch wykrzywił twarz w uśmiechu i pokazał zęby.

— Wychodź, chcemy spojrzeć na ciebie — rozkazał jeden z detektywów, otwierając drzwi celi.

Toselli z łagodnością poskromionego goryla wyklókł się na korytarz. Maynard czuł, że ten potwór działa na jego nerwy. Gdyby przynajmniej co mówił. Gdyby okazał jakieś podobieństwo do człowieka...

Maynard był sześć cali wyższy od więźnia. W tylnej kieszeni ciężył mu przyjemnie rewolwer Guthriego. Pierwszy raz w życiu miał świadomość, że prawo jest po jego stronie.

Gwałtownie chwycił więźnia za rękę i z trudem pokonał mimowolny dreszcz, wywołany dotknięciem szorstkiej skóry. Wyjął z kieszeni kajdanki Guthriego i skuł swoją lewą rękę z prawą przestępcy.

— Tak — rzekł, zdziwiony własną pewnością siebie. — To cię utrzyma, przyjacielu.

Zamiast odpowiedzi Toselli znów wyszczerzył zęby.

— Niech pan będzie ostrożny, — rzekł ktoś z obecnych.—Jeśli zechce uciekać, to niech pan strzela!

Maynard uśmiechnął się. Włoch ucieknie bez strzałów. W odpowiedniej chwili zdejmie mu kajdanki. Ucieczka będzie podwójna.

Pożegnał się z policjantami i zabrawszy Tosellego wyszedł z budynku.

Przechodzili przez ulicę. Ciężki wóz właśnie przejeżdżał. Chcąc go wyminąć, Maynard usunął się na stronę, gdy nagle silna ręka Włocha pchnęła go wprost pod koła. Z trudem uniknął przejechania. Szarpnął się i w jednej chwili był z więźniem na chodniku...

— Bydlę! — krzyknął. — Wstrętne bydlę!

Włoch spojrzał nań i wyszczerzył zęby.

Gdyby mógł mu powiedzieć, że nie jest detektywem, że nie jest wrogiem jego... Gdyby mógł pozbyć się jaknajprędzej tego niebezpiecznego towarzysza! Lecz za nimi szły tłumy ciekawych gapiów. Maynard spieszył w stronę dworca.

Usiedli w poczekalni. Do odejścia pociągu zostawało przeszło pół godziny. Niczego Maynard nie pragnął tak gorąco, jak pozbycia się tego groźnego i wstrętnego zarazem towarzystwa. Ilekroć dotknęła go szorstka ręka Włocha-mordercy, przez ciało jego przebiegał dreszcz wstrętu i obrzydzenia.

Z papierów zabranych Guthriemu przekonał się, że Toselli był podwójnym mordercą. Wycinek z gazety zawierał szczegóły zbrodni.

Zdarzyło się to pewnej zimowej nocy. Nie było rabunku, była jedynie nienawiść. Chcąc pomścić zniewagę prawdziwą czy też urojoną, Toselli zakradł się nocą do samotnej willi. W łóż-

ku spała żona jego chlebodawcy z dzieckiem w objęciach. Zbrodniarz, uzbrojony w siekierę...

Gazeta opisywała barwnie zbrodnię i jej ofiary.

Maynardowi zrobiło się niedobrze. Bezmyślnie sięgnął po klucz, który miał go oswobodzić od tego dzikiego wyrodka. Już chciał otworzyć zamek kajdanków, gdy nagle usłyszał szelest sukni kobiecej. Młoda kobieta prowadziła śmiejące się dziecko. Widocznie spieszyła się do pociągu. Pomyślał, że jeżeli przekręci klucz, — ta kobieta i to dziecko mogą być następnemi ofiarami potwora.

— Boże, Boże! — wyszeptał, ukrywając twarz w dłoniach.

Zajęli miejsca w pociągu. Więzień potrząsnął kajdankami i wyszczerzył zęby.

Maynard zrozumiał.

— Zdejm to — mówiły oczy zbrodniarza.

"Zdejm to!" Sam tego pragnął. Jego wolność była związana z wolnością mordercy. Lecz to, co przed kilkoma godzinami wydawało się tak łatwe, jakże trudne teraz się wydało!

"Zdejm to!" — to znaczy wolność dla niego, lecz i wolność dla potwornego zbrodniarza. Kpił sobie z prawa. Sam je złamał. Lecz teraz chodziło mu o inne prawo, — o to, które drzemie w głębi duszy ludzkiej, które mówi: "nie zabijaj!" i które szanował. Jeżeli oswobodzi tego zbrodniarza, jeżeli stanie się nieszczęście,—czy nie będzie ponosił części winy, może całą winę?

A pospieszny pociąg wiózł go z powrotem do miejsca, z którego uciekł. Szczęście sprzyjało mu tedy. Czy miałby teraz sam je odtrącić?

— Nie, nie! — buntował się w duszy.

Musi dokonać rzeczy niemożliwej, to jest oddania złoczyńcy w ręce sprawiedliwości, a sam ratować się ucieczką. A może przykuć go do siedzenia i zostawić w pociągu? Lecz i ten plan był beznadziejny. Z chwilą, gdy będzie miał ręce wolne, Toselli nie pozwoli zakuć się na nowo.

Podjeżdżali do jakiejś stacji i pociąg zwalniał biegu. Włoch podniósł się z siedzenia i wskazał głową, że tu mogą wysiąść. Wówczas Maynard z siłą, której sam w sobie nie znał, rzucił go na ławkę. Właśnie na tej stacji miał zamiar go wypuścić. Lecz widok ładnych, białych domków, czystych ulic, małego wiejskiego kościołka zdenerwował go do reszty. Jeżeli odzyska wolność, to kosztem jakich tragedyj? Może kosztem życia kilku niewinnych osób... Czy miał do tego prawo? Pozbędzie się osobistych prześladowców, ale odpowiedzialność za możliwe zbrodnie szaleńca będzie go dręczyć do końca życia.

Więzień siedział obok niego skurczony i świdrował go złośliwym wzrokiem. Dotychczas nie przemówił ani słowa. Bo i poco? Jego oczy mówiły aż za dużo. Było w nich obłąkanie, nieufność i dzika, paląca nienawiść.

— Co on zrobił? — spytał jeden z pasażerów Marynarda.

— Zamordował — brzmiała krótka odpowiedź.

W wagonie rozległy się szepty.

— Patrz, są skuci.

— To morderca.

— Co by zrobił, gdyby był wolny?

— Który z nich jest mordercą?

Maynard słuchał. A więc przypadała mu nowa rola. On, do niedawna wyrzutek społeczeństwa, dziś był tego społeczeństwa opiekunem. Zauważył, jak przyjazne spojrzenia były skierowane w jego stronę. Lecz nie czuł sympatji do tych ludzi. Wiedział, że przy pierwszej sposobności, gdyby wiedzieli jak się rzeczy mają, przełożyliby kajdanki z jego lewej ręki na prawą. Wolałby, żeby Guthrie nie umierał. Dałby sobie z nim rady i wszystko odbyłoby się poprostu. A teraz coś w głębi jego duszy pytało bez końca i nie dawało spokoju.

Począł liczyć mile. Własne bezpieczeństwo jego zmniejszało się z każdą chwilą; możliwość, że wkrótce zostanie poznany, stawała się coraz większą.

Zapadł zmrok. Pociąg pędził.

Dotychczas nic nie jedli. Guthrie na jego miejscu zaprowadziłby więźnia do wagonu restauracyjnego. Przy przechodzeniu przez platformy między wagonami byłoby łatwo wykonać plan. A potem wolność!

W nocy wagon opróżniał się powoli. Zaspani pasażerowie wychodzili, żegnając Maynarda przyjaznem skinieniem głowy.

Nad ranem dojeżdżali do miejsca przeznaczenia. W prawie pustym wagonie drzemało tylko paru pasażerów. Wówczas Toselli przemówił. Przysunął się do Maynarda i syknął mu do ucha:

— Ty nie jesteś Guthrie!

Maynard był tak wyczerpany, że nawet się nie zdziwił.

— Nie — przyznał szczerze. — Nie jestem Guthrie.

— A więc dlaczego mówisz, że jesteś Guthrie? — spytał Włoch zjadliwie, szczerząc zęby. — Guthrie aresztował mnie przed pięciu laty i znam go dobrze.

— I co z tego?

— Może ty go zabiłeś?

Maynard uważał, że odpowiedź byłaby zbyteczna.

— Możeś go zabił? — powtórzył więzień, patrząc nań uporczywie. — Dobrze. Jeżeli mnie puścisz, będę milczeć.

— Nie mam zamiaru uwolnić cię — odparł spokojnie Maynard.

— To zaaresztują i ciebie. Powiem... wszystko.

— Tak — uśmiechnął się Maynard. — Naturalnie, że powiesz.

Więzień znów nachylił się do niego i znów syknął:

— Puść mnie!

— Nie — była stanowcza odpowiedź. — Nie, Toselli.

Nagle prawa ręka Włocha zarzuciła łańcuch naokoło szyi Maynarda a wolna ręka zaciskała ten łańcuch coraz mocniej. Maynard bił na oślep, lecz bezskutecznie. Płuca mu pękały, oczy wyszły na wierzch. Upadł, pociągając za sobą mordercę. Nadludzkim wysiłkiem odrzucił ohydny ciężar przez głowę. Toselli runął na podłogę wagonu z hukiem, który na chwilę ogłuszył Maynarda. Poczem kocim ruchem zerwał się z podłogi, przesunął do drzwi, otworzył je i zeskoczył z platformy. Kajdanki pękły...

Maynard stał jak oszołomiony. Zbolałą piersią chwytając powietrze, patrzył na pęknięte kajdanki, których połowa zwieszała się z jego ręki. Nagle rzucił się ku platformie i błyskawicznym rzutem zeskoczył z pociągu w pełnym biegu. Za chwilę biegł za uciekającym.

Na głównej ulicy Madisonu panował niezwykły ruch. Człowiek podobny do goryla, z siniakami pod oczyma, z śliną na ustach, płakał, brzyczał i błagał o łaskę. Jego ręce bezwładnie zwisały, na jednej z nich pobłyskiwało złamane ogniwo stalowych kajdanków. Za nim szedł człowiek i popychał go ztyłu, kiedy przystawał.

Człowiek ten miał ubranie podarte, kołnierzyk rozerwany, twarz pokaleczoną, ociekającą krwią i tak gęsto pokrytą pyłem i sadzami, że rysów jego nie można było rozpoznać. Usta miał zaciśnięte, dziwny blask w oczach. Na ręku jego wisiała druga połowa kajdan.

Tłum przepuszczał go naprzód. Nie zwalniając kroku i patrząc prosto przed siebie, prowadził człowieka, podobnego do goryla, wprost do biura policji.

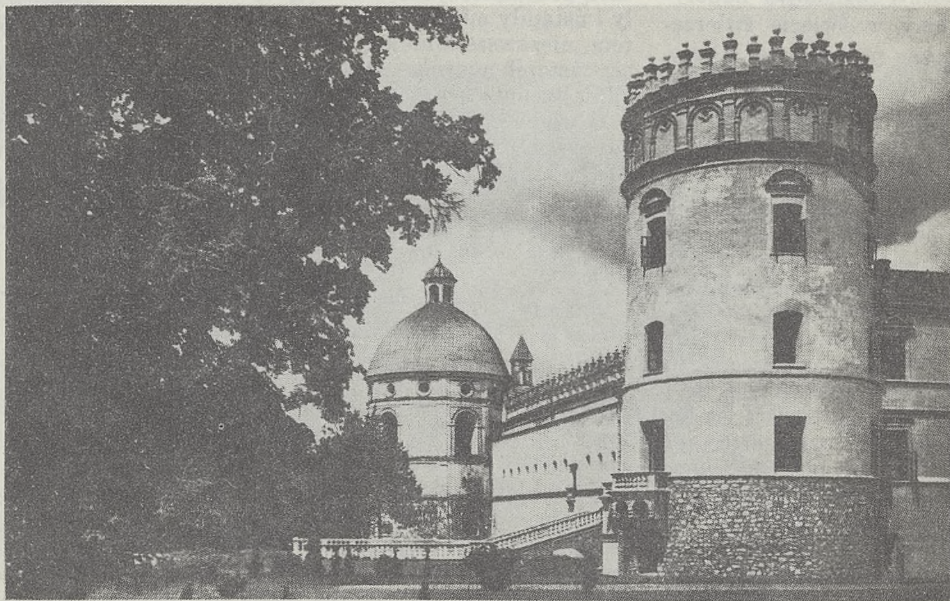
— To jest Toselli — rzekł, wszedłszy do biura.

Pół tuzina silnych rąk przytrzymało mordercę.

Maynard spojrzał na tłum, który wtoczył się za nim do pokoju. Mógł nazwać prawie każdego z tych ludzi po imieniu. Ale był tak bardzo zmieniony przez krew, kurz i sadze, że nikt z obecnych go nie poznał. A więc droga do wolności stała jeszcze otworem!

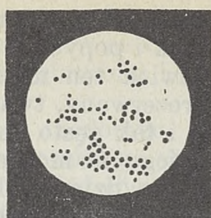
A jednak zwrócił się bez namysłu do siedzącego przy biurku urzędnika i rzekł, pochylając głowę:

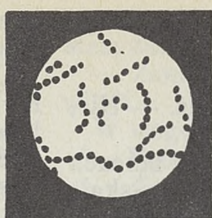
— Proszę i mnie aresztować. Jestem Maynard — poszukiwany oszust i złodziej.



Krasiczyn koło Przemyśla. Zamek Krasickich

KARŁY

















No. 1. *Bakterje powiększone tysiąc razy.*

I OLBRZYMY

KRÓLESTWA ROŚLINNEGO

JAKŻE wielką rozmaitość form i rozmiarów napotykamy w świecie zwierzęcym! Patrząc na mrówkę, wiemy, że to stworzonko żyje, porusza się, pracuje i troszczy się o pożywienie, rozmnaża się i walczy o byt, na równi z największemi zwierzętami znajdującemi się na kuli ziemskiej. Począwszy od żyjątek najniższego rzędu, od najmniejszych robaczków, owadów, mikroskopijnych rybek, skorupiaków i mięczaków, widzimy dokoła siebie tysiące najróżniejszych stworzeń, żyjących życiem zwierzęcem, a różnice między temi przedstawicielami zwierzęcego świata są kolosalne, tak pod względem ich sposobu życia, jak pod względem wyglądu i wielkości.

Z biegiem tysięcy lat zwierzęta przekształcają się, powiększają się lub stają się mniejszemi, czyli karłowacieją. Pojawiają się nowe przemiany, jedne zwierzęta wypierają drugie z powierzchni ziemi lub z wód rzek, mórz i oceanów. Niezliczone gatunki zwierząt, znanych i szeroko rozpowszechnionych po całym świecie w czasach przedhistorycznych, wyginęły i ustąpiły miejsca innym. Przytem, niezawsze mniejszy lub słabszy ustąpił miejsca większemu i silniejszemu.

O wiele większe jednak różnice form i rozmiarów napotykamy w niesłychanie bogatem królestwie roślinnem. Tu wszechwładna matka natura szczodrzejszą jeszcze miała rękę niż w królestwie zwierząt.

Istnieją ustroje roślinne tak małe, że wobec nich najmniejsze żyjątko wydawać się musi olbrzymem. Najmniejsze, to jest takie, jakiego bez pomocy mikroskopu dostrzec nie można. Jakże więc małe muszą być najmniejsze okazy świata roślinnego?

Ilustracja nasza oznaczona No. 1 przedstawia właśnie najdrobniejszych karlików roślinnego świata. Są to bakterje, tak małe, że tylko przez bardzo dobry mikroskop i to przy stosowaniu szczególnych sposobów można je widzieć.

Pomimo swej małości, bakterje



Drzewo mamutowe (Sekwoja).

odznaczają się niezmierną wytrzymałością we wszelkich warunkach życiowych. Nie wytrzymują wprawdzie bardzo wielkiego zimna lub silnego gorąca, ale zawsze przetrzymają warunki, w jakich przedstawiciele świata zwierzęcego niechybnie zginąć by musiały.

Mnożność bakteryj jest niesłychana. Dlatego też jest ich wszędzie bardzo wiele. Wszędzie gdzie spojrzymy, na każdej rzeczy, na najdrobniejszym przedmiocie, znajdują się setki tysięcy bakteryj. Między bakterjami są większe i mniejsze, a niektóre wielkości swoją nie sięgają nawet jednego mikrona, czyli jednej tysiącznej cząstki milimetra. Takich bakteryj możnaby pomieścić na powierzchni pudełka od szwedzkich zapałek niemniej jak dwa miljony!

Porównajmyż tę roślinkę, bo bakterja nie jest czem innem, jak tylko jednokomórkową roślinką, do olbrzymiego drzewa mamutowego, inaczej sekwoji, znajdującego się w rezerwacie parku Generała Granta i noszącego nazwisko słynnego tego wojownika. Drzewo generała Granta ma wysokości dwieście sześćdziesiąt sześć stóp, a przeszło trzydzieści stóp średnicy u dołu pnia.


No. 2. *Caulerpa. Wielkość naturalne.*

Największą jednokomórkową rośliną, podobną ustrojem do bakteryj, jest wodorost morski, "pełzatka", zwana w botanice "Caulerpa", którą przedstawia w naturalnej wielkości ilustracja No. 2. Chociaż części tej rośliny mają kształty liści, korzeni i łodyg, pełzatka jest tylko jednokomórkową rośliną, na podobieństwo bakteryj.

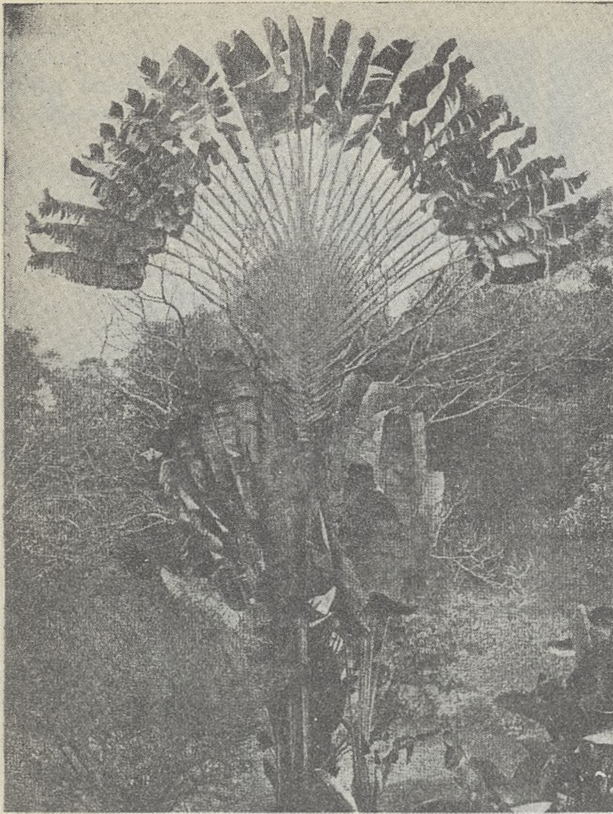
Bakterje dzielą się na bardzo wiele gatunków. Jedne z nich są plagą rodzaju ludzkiego, jako roznosiciele chorób, inne wyświadczają nam wielkie przysługi, pomagają do trawienia pokarmów lub służą do zwalczania pierwszych.

Do najokazalszych olbrzymów świata roślinnego należą przedewszystkiem eukaliptusy i drzewa mamutowe czyli sekwoje.


Drzewo smocze (Dracena).


Olbrzymia dracena.

Eukaliptusy tworzą wspaniałe lasy w Australji i Tasmanji. Niektóre dorastają do pięciuset stóp wysokości przy trzydziestostopowej średnicy pnia. Potężne te drzewa stoją zdaleka od siebie. Rozgałęziają się dopiero w najwyższej części. Liście mają twarde, barwy sino-zielonej, zwisające ku ziemi na długich ogonkach. Rosną bardzo szybko. Eukaliptus w trzech latach dosięga pięćdziesię-



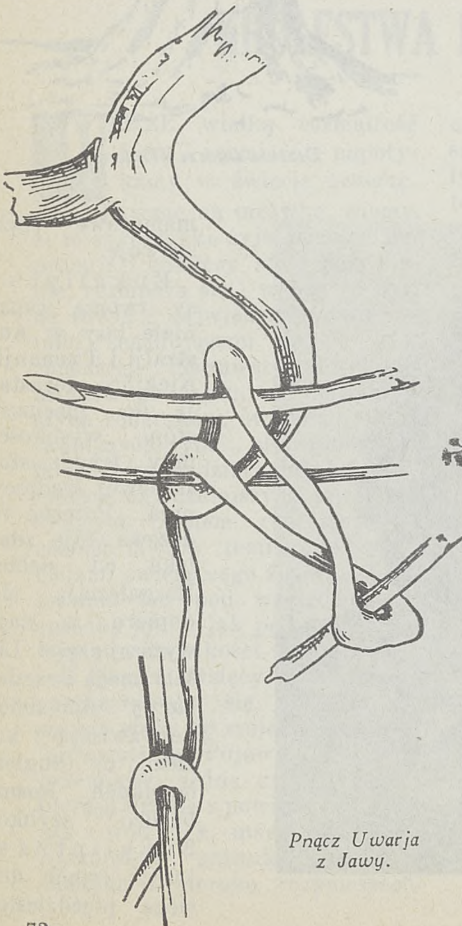
Drzewo podróżnicze z Madagaskaru.

ciu stóp wysokości.

Drzewa mamutowe, sekwoje (ilustracja, str. 21), rosną na zachodnich stokach gór Sierra Nevada w Kalifornji, na znacznej wysokości nad poziom morza. Drzewa te podlegają obecnie ochronie rządowej Stanów Zjednoczonych. Dla zachowania tych olbrzymów założono osobny rezerwat "Sequoia Park" niedaleko słynnego parku Yosemite, w środkowej Kalifornji.

Następne miejsce w rzędzie drzewnych olbrzymów roślinnego świata zajmuje drzewo smocze, zwane w botanice draceną. Dracena jest drzewem egzotycznem, rosnącem powoli, ale wytrzymującem tysiące lat. Napotkany przy odkryciu wysp Kanaryjskich okaz draceny, mierzony kilka set lat temu, miał osiemdziesiąt stóp wysokości i przeszło trzydzieści stóp średnicy pnia. Pomiary dokonane po blisko trzystu latach nie wykazały dalszego wzrostu tego drzewa. W Ameryce i Europie hodują draceny w cieplarniach jako rośliny ozdobne.

Malownicze, o bardzo oryginalnem ulistnieniu "drzewo podróżnicze", napotykane przeważnie na Madagaskarze, także należy do olbrzymów. Liście tego drzewa, rozłożone w kształcie kolosalnego wachlarza, mają po kilkanaście stóp długości. Ilustracja (obok) przedstawia wspaniały okaz drzewa podróżniczego.



Pnącz Uwarja z Jawy.



Sosna skarłowaciała.



Staśmiona łodyga Ganu.

Do olbrzymów świata roślinnego należy także zaliczyć pnącze, czyli ljany. Niektóre z nich dochodzą siedmiuset stóp długości. Oplatając drzewa, wyrastają często ponad korony i zagłuszają swe podpory. Ljany pojawiają się tam, gdzie wiecznie zielone lasy dają im możność ciągłego rozrastania się i pięcia w górę. Spajając olbrzymiemi splotami gałęzie i wierzchołki drzew, ljany tworzą malownicze festony, altany i łuki, i bardzo często tak zarastają całe przestrzenie leśne, że w zupełności utrudniają przeprawę. Podróżnicy po krajach podwzrotnikowych nieraz musieli toporami wyrębywać drogę wśród dziewiczej puszczy, zatrzymani kłębowiskami poplątanych pnączy.

Natura wyposażyła ljany w doskonały aparat chwytny jak wąsy, kolce, korzenie chwytne lub haki, któremi zaczepiają się o gałęzie drzew. Ilustracje No. 7, 8 i 9 przedstawiają kilka odmian pnączy.

Nietylko na lądzie stałym znajdujemy olbrzymie okazy roślin.

Na wodach południowych w mórz, pomiędzy Ziemią Ognistą a Nową Zelandją rozrasta się poziomo olbrzymi glon wielokomórkowy, wielkomarszcz. Roślina ta dorasta siedmiuset stóp długości. Na powierzchni wody utrzymuje się przy pomocy wydętych pęcherzów pławnych znajdujących się u nasady liści.

Słynny grzybień Victoria regia wydaje największe ze znanych liści. Liście jej mające często dwadzieścia stóp obwodu, mogą z łatwością unieść wielkie żerujące ptaki. Można nawet posadzić na liściu tej rośliny kilkoletnie dziecko bez obawy zatonięcia. Victoria regja pojawia się przeważnie na spokojnych zatokowych wodach wielkich rzek brazylijskich.

Z roślin trawiastych największych rozmiarów dosięgły bambusy. Na wyspach Jawie i Cejlonie, bambusy dorastają nierzadko stu stóp wysokości.



Wielkie ljany zwisające z drzewa.

Największy owoc na świecie wydaje pewien gatunek dyni, zwany w botanice Cucurbita maxima. Potężne owoce tej rośliny nierzadko dochodzą do więcej niż dwustu funtów wagi.

Wielkie Myśli Wielkich Ludzi

Wszystko na świecie zależne jest od woli.
Disraeli.

"Zestąp się i zrośnij w jedno, o rozszarpany polski duchu!" **Stefan Żeromski.**

Wiedza jest dla społeczeństw narzędziem potężnem do zdobywania wyższych szczebli. **Eliza Orzeszkowa.**

Gdzie są granice zupełnej już niemożliwości, tam dopiero kończą się obowiązki obywatela. **Walerjan Dzieduszycki.**

Powiedz mi, z kim przestajesz, a ja ci powiem kim jesteś; gdy wiem czem się zajmujesz, to wiem także co z ciebie być może.
Goethe.

Fanatyczna nienawiść wzniosła przeciwko nam prawdziwy mur uprzedzeń. Szkalowano nasze dzieje, szkalowano triumfy, zwłaszcza epokę upadku i życie porozbiowe. Przekręcano fakta i szkalowano na własny użytek historję. Byliśmy społeczeństwem wyjątkowo przez los prześladowanem, a czyniono nas prześladowcami; byliśmy rozbici, a przedstawiano nas jako rozbijających. Byliśmy niejednokrotnie zawiedzeni, a czyniono z nas przeniewierców. Obok kłamstw historyczno-politycznych wznosiły się i wznoszą, nie z jednej, ale ze wszystkich stron, całe góry uprzedzeń, zmyśleń i fałszów, nawet etnograficznych, społecznych i wszelkich innych. Obecnie należy je zwalić.

Henryk Sienkiewicz.

MAX WIT

ANTYCHRYST

SIOSTRA ANNA długo i uważnie przyglądała się ranionemu. Mógł mieć dwadzieścia pięć, może dwadzieścia siedem lat, w każdym razie nie przekroczył trzydziestki, ale na jego glinianej, prawie martwej twarzy zastygł wklejony w nią bolesny grymas, ironiczny, jeśli spojrzeć wprost zgóry, stary, żałosny i rozbity z profilu.

Oddychał z przyświstem, drapieżnie wciskając ręce w twardy, stytłany wojłok okrycia. Trzymał się szponiastemi placami tego kawałka materji, niby ostatniej ostoi życia, ciągnął go bezwiednie wciąż wyżej i wyżej, pod szyję, aż odsłonił stopy zzieleniałe, skostniałe, pokryte resztkami skorupy brudu, której nijak nie można było odmyć w doraźnej kąpieli.

Mieli go właśnie zepchnąć do kostnicy wraz z innymi martwymi, gdy spostrzegła iskrę życia w tych piersiach niewyraźnie wzdymających dziurawy płaszcz okrycia. Z wysiłkiem odciągnęła go z szeregu i przylgnęła uchem do cuchnącej, rdzawej od zaskrzepłej krwi koszuli. Nawykła do ciężkich wyziewów tej izby, nie zwracała uwagi na woń, badając słaby oddech mniemanego trupa.

Żył.

Zarządziła więc co potrzeba i teraz z dumą niejaką przyglądała się częściowo odmytemu, wracającemu do przytomności pacjentowi. Wiedziała, że będzie chwilowo żył, chociaż rany należą do groźnych. Głodny, wyczerpany, zagnany "biały". Musiał wpaść do niewoli po ostatniej potyczce. Oficer. Ten mundur zresztą niczego nie dowodzi, różnie się tacy nosili, może i oficer — twarz jego nie była zwyczajna.

— Tem lepiej — myślała łagodnie. — Jeszcze jednego wydarłam śmierci, chwała Najwyższemu.

Obejrzała się dokoła po wielkiej, płaskiej izbie z rozstawionemi tapczanami, zatęchłej oparem wszelakiego schorzenia, przesyconej gęstem, ciężkiem powietrzem trzydziestu zamierających oddechów. To było jej królestwo: małe, ciemne, obrzmiałe wielokształtnym bólem człowieczym i męką. Tu panowała wszechwładnie nad ludzkiem cierpieniem, z którem zmagała się uparcie, wciąż pełna nadziei mimo beznadziejność sytuacji.

Przez miasto przeszła burza walk "czerwonych" z "białymi". Od tygodnia krwawe rządy komisarza Siwkina utwierdzały stalowe ramy regimu rewolucji. Od tygodnia widmo teroru, "porządku i prawomyślności" ustalało ład w zdemoralizowanem przez "białą swołocz" miasteczku.

Od pięciu dni siostra Anna, doktor Mikulina, zaliczona w poczet przymusowych urzędników sowietów, pełniła obowiązki generalnego lekarza lazaretu wojennego szybkiej pomocy. Z dwoma sanitarjuszami i posługaczką zarządzała jak mogła tą norą, przemianowaną wyższym rozkazem na "Łazowoskop". W ciągu tych dni nie rozbierała się jeszcze. Nie było na to czasu.

Nie poznała w lustrze swej twarzy: czyjeś głębokie, bolesne oczy patrzały z wnętrza bladej, kamiennej maski, ledwie ożywionej drobną blizną przedziwnie wykrojonych ust, okolonych łagodnym cieniem słodyczy, zaciętych w tej chwili surowo i mocno. Gdy chwilami, wbrew woli, zapadała w senne odrętwienie znużenia, ostatnim wysiłkiem porywała się z krzesła, by nie zasnąć. Nie miała prawa do snu.

W przeciwnej sieni wciąż piętrzyły się nosze rannych, których nie mogła zostawić bez doraźnego przynajmniej opatrunku. Dopiero dzisiaj zrozumiano w komendzie frontu, że niema celu zawalać rannymi tego nędznego lazaretu, nie mogącego wszystkich pomieścić. Zawiadomiono ją o tem, więc ten oficer należał do ostatniego transportu. Jeszcze jednem spojrzeniem ogarnęła ponurą izbę i wysunęła się do siebie. Po pięciu dniach czuwania mogła się wyciągnąć i zasnąć mocno na twardem polowem łóżku urzędowej kancelarji.

. . . .

— Siostro Anno, siostro Anno! — budziła ją gruba posługaczka Pelagja, — goniec od komisarza Siwkina czeka z bumagami... Siostro Anno, wstawajcie!

— Co się stało, Pelagjo? Czy umiera ktoś?... Która godzina?...

— Czego tam umiera... — zrzędziła stara. — Żyją i cuchną czerwone gady. Cóż im teraz umierać? Toć psie czasy, ich rządy paskudne. Choćby pozdychali, jeszczeby drjań etaka do mordowni się wzięli.

— Dosyć tego — strofowała Anna z uśmiechem — jesteśmy przecież w tej chwili na posterunku rządowym, nasza sprawa: ratować cierpiących. Dla nas tu wszyscy jednacy, równy ich ból, równa męka... Kto przyszedł od Siwkina? Chyba wypadnie przygotować raport. Wprowadzisz go za chwilę, tym czasem się umyję.

Rozkaz był wyraźny: "W lecznicy znajduje się były kapitan lejb-gwardji Protasow, przetransportować go natychmiast do komendy miasta. Podpisano: Komisar komendant miasta Siwkin".

Siostra Anna spokojnie przyjrzała się opiętemu w skórę adjutantowi. Tępa twarz byłego marynarza nie budziła grozy, zapytała więc łagodnie:

— Jak się nazywacie, towarzyszu?

— Kunin, do usług, siostro doktorze — zaraportował rezolutnie.

— Czy wy macie transportować rannego?

— Tak, doktorze. Mam rozkaz.

— Więc zameldujcie komisarzowi, że chory w tym stanie nie zniesie transportu, wypadnie zaczekać parę dni. Mogę to zresztą napisać.

Skreśliła kilka słów i podała kartkę Kuninowi, który z zadowoleniem przyglądał się białej, czystej postaci siostry Anny, doktora Mikuliny.

— Żegnajcie, towarzyszu — podała mu rękę, do której pochylił się pokornie w potrzebie pocałunku, przecież przypomniał sobie odrazu, że osoba urzędowa nikomu rąk nie całuje, więc tylko zasalutował służbowo i wycofał się tyłem.

Pelagja poiła rannego herbatą. Na glinianych zasiadłych policzkach chorego zjawiły się dwie róże podejrzanego rumieńca.

Błagalnie spojrzał na Annę.

— Wiem... Pelagja mówiła... W Imię Boże, siostro, nie wydawajcie. Jestem Protasow... wiadomo... Siwkin—to bestja...—jęczał zduszonym głosem. — Zlitujcie się, dajcie choć trochę wydobrzeć. Muszę zginąć, ale chcę mu napluć w jego pysk plugawy, zanim umrę... Muszę, za wszystkie zbrodnie, za wszystką krew przelaną przez tego antychrysta... Ściany jego pokoju płaczą krwią, na suficie zbryzgane mózgi... Śmieje się, śmieje i strzela... Ot... tak... nagan opiera o czoło i wali raz, raz, raz... — liczył nieprzytomnie. — A później kopie i bije trupy... Antychryst... Siostro, pomiłujcie — błagał.

Przyrzekła.

Opadł na poduszki zlany potem. Pelagja drżącemi rękami nakrywała go ciężkim, mokrym od potu wojłokiem.

. . . .

Kunin wrócił rozpromieniony i zdyszany.

— Dobrze,—meldował już na progu. — Towarzysz komisarz wzywa do siebie. Chce, powiada, podziękować za ofiarną pracę. Przyszedłby sam, ale wiecie, siostro, nie ma czasu, wciąż doprosy, wyroki, ukazy. "Bolno" białe miasto. Niebłagonadieżne. Trzeba mocno trzymać. Kiedy przyjdziecie, siostro?

— Za godzinę.

Zlękła się bardzo tych zaprosin. Siwkin zdobył sobie w ciągu siedmiodniowych rządów sławę bestji apokaliptycznej. Zawisł jak cień złowieszczy nad miastem, pisząc mu kolbą nagana nowe czerwone prawa równości, wolności i braterstwa. Rozumiał je po swojemu: pełen nienawiści do podejrzanych o bunt mieszkańców, surowy fanatyk sprawy, której służył, nie znał litości i nie miał przebaczenia.

Ze zgrozą myślała o tem spotkaniu, ubierając się staranniej niż zwykle.

— Muszę panować nad sobą — przekonywała się, idąc niepewnie za prowadzącym ją marynarzem poprzez zaśmiecone korytarze komendy.

— Tutaj, doktorze, — pokazał jej umeblowany jakąś zbieraniną wytwornych mebli pokój. — Zaczekajcie. Chyba jest na podwórzu. Dzisiaj silnie napaskudzili oficerki, więc siostra rozumie... malutkie pif, paf... — przyłożył nawet z łobuzerskim uśmiechem wskazujący palec do czoła. — Oh, towarzysz Siwkin twardy orzech, nie lubi duraczyć się i fintit'... On z miejsca naganik, — cudna sztuczka, ładno, składno i... jednego białego mniej...

Suchy trzask dwóch salw gdzieś za ścianą dopełnił miary zachwytu Kunina. Anna zadrżała na stołku. Nogi jakoś zmiękły pod nią, musiała im dać oparcie.

Kunin tymczasem usunął się nieznacznie, salutując kogoś za drzwiami. Anna ucieszyła się, że już poszedł, ale nie mogła nakazać krwi, by spłynęła z serca. Wciąż biło w niej gęstą, zwartą falą nieokreślonego przerażenia.

Wsunął się znienacka jakimś cichym, lisim chodem. Zdawało się, że nie spostrzegł jej zupełnie. Gwizdał przez wargi starą, zapomnianą melodję, a w ręku trzymał, jak młotek, duży oficerskie nagan. Rzucił go niedbale na biurko zawalone papierami i nieoczekiwanie odwrócił się do Anny (zdecydowała później, że musiał ją zauważyć odrazu).

Okno było poza nim; na jego mętnem, szarem tle rozrosłe bary zdały się jeszcze szersze. Dostrzegła ze zdumieniem, że nie nosi zwykłej skórzanej marynarki bolszewickiej, tylko świetnie skrojone szare ubranie; czarna chusteczka w kieszonce i czarny krawat podkreślały doskonale tę wyszukaną elegancję, lekceważoną naogół w tych czasach.

— Ach! Doktor Mikulina — powiedział jakimś niskim, wnikliwym głosem i postąpił parę kroków z wyciągniętą do przywitania ręką.

— Dopiero z niej wypuścił dymiący rewolwer — pomyślała przelotnie, podając mu swoją suchą, zniszczoną dłoń.

— Miło poznać — dodał tym swoim przenikliwym głosem. — Taka młoda... Sądziłem, że spotkam starszą, solidną osobę... Co za niespodzianka! Proszę tu bliżej, do światła, niechże się z wami zapoznam, siostro doktorze..

Drgnęła. W tej prośbie, poprzez wnikliwe ciepło jego głosu zawibrowały nici rozkazu, nie znoszącego sprzeciwu.

— Tutaj— podsunął do okna wygodny fotel.

Nie zauważyła, kiedy siadł naprzeciw. Teraz dopiero spojrzała mu w twarz.

Z pod wysokiego, sklepionego czoła patrza-

ła na nią pełna ciekawości para niebieskich oczu o szerokich, ciemnych źrenicach, kryjących smutne, niepewne błyski. Różowe, świeże usta, wypełniające uśmiech równemi białemi zębami, i miękkie, zaczesane do tyłu włosy blondyna, zamykały całość jego pięknej twarzy, łączącej wdzięk chłopca z twardą surowością mężczyzny.

Jakby odczuł chwilę nieoczekiwanego wrażenia, rozchylił usta w uśmiechu, budząc zupełnie bez woli uśmiech odpowiedzi.

Poczuła się nieswojo i zatarła scenę słowami:

— Właściwie nie wiem z kim mam przyjemność. Przyszłam z raportem do towarzysza komendanta Siwkina.

— Właśnie nim jestem — odpowiedział sucho. I uśmiech spełzł z jego twarzy. — Mniejsza o raport. Macie u was białego oficera Protasowa. Uciekł z aresztu na linji, ale postrzelony został z transportem i przekazany do naszego lazaretu. To szpieg i oficer... sąd będzie krótki, siostro Anno. Szkoda waszych zachodów, jego życie wypisane jest tu, w tym otworze, — położył nieznacznie rękę na lufie rewolweru... Więc jutro zabierze go Kunin. Musimy go przedtem wybadać... Ten ptaszek wyśpiewa gdzie zakopali swą kasę w czasie odwrotu... Czy bredzi? — zapytał znienacka, nachylając się nad nią.

W tej chwili jego niebieskie czyste oczy stały się przezroczyste, nabrały głębi, tem bardziej im głębsza była czerń szeroko otwartych źrenic, w których na mgnienie oka ujrzała swą bladą twarz.

— Bredzi? — powtórzyła za nim, nie mogąc oderwać swych oczu od chłonnej czerni jego źrenic. — Nie, towarzyszu, nie bredzi, ale to ruina. Dobro sprawy wymaga, by nieco wydobrzał, jest nieprzytomny i nie zniesie śledztwa... — kłamała z przekonaniem, z małą iskrą nadziei, że go przekona.

Przynajmniej w tej chwili postanowiła ratować tamtego straceńca. To życie miało także swoją wagę. Nie mogła wyrywać je jednej śmierci, by oddawać drugiej, więc grała na zwłokę. Zresztą przyrzekła solennie. Nie wolno było łamać przysięgi.

— Macie rację — zgodził się odrazu, — ale przyślę dla porządku Kunina, siostro doktorze.

Wstała.

— Już? — zapytał miękko. — Czy aby wiem wszystko? Ach, tak... — gorączkował się.—Zapomnielibyśmy o raporcie, więc...

Usiadła pokornie i suchym, drewnianym głosem streszczała przygotowany starannie raport.

Słuchał. Nie, udawał, że słucha. Jego oczy błądziły po niej, to znów zapalały się jasnemi błyskami. W miarę jak mówiła, jak jej blade zmęczone policzki pokrywały się rumieńcem napięcia i zacierały się smugi zmęczenia pod oczami, zaduma i zachwyt zmiękczały rysy jego twarzy.

— Dziękuję — przerwał. — Widzę, że dajecie sobie, towarzyszko, doskonale radę z temi trudnościami. Czy aby wszystko macie co potrzeba?... Mieszkanie przyzwoite, meble, odzież i bieliznę?

Uśmiechnęła się cierpko:

— Oczywiście puchowych pierzyn nie mamy, ale żyć można, żyją gorzej ludzie.

— Żyją! — wybuchnął. — Żyją, to właśnie źle... Nie wszyscy mają prawo do życia, ale na szczęście ten błąd dotychczasowy bytu naprawiamy, siostro. Tym oto młoteczkiem wbijamy gwoździki w trumnę niesprawiedliwości... Tuk, tuk, tuk... — stukał po biurku naganem. — Cudny i radykalny młoteczek. Cha! cha! — zatrząsł się wściekłym, nieopanowanym śmiechem.

— Żegnam was, towarzyszu Siwkinie.

Porwał jej obie ręce i uścisnął silnie. Spostrzegła teraz, że sięga mu ledwie do brody, a ręce jej giną w jego wielkich, silnych dłoniach.

— Żegnam was,siostro Anno,doktorze Mikulino. Jesteście cudna, cudna kobieta — dodał niespodziewanie i natychmiast twardym głosem zawołał:

— Kunin, odprowadzić doktora!

Skórzany marynarz wyrósł niby wyczarowany rozkazem komendanta i w milczeniu odprowadził Annę do bramy szpitala.

Powoli przeszła przez izbę chorych, chwilę wsłuchała się w świszczący oddech Protasowa i weszła do swej komórki. Teraz dopiero uprzytomniła sobie, że wizyta u Siwkina wyczerpała ją bardziej niż wielonocne dotychczasowe czuwanie.

...Cudna jesteście kobieta... powiedział niespodziewanie, on, Siwkin, arcybestja z oczami Adonisa.

— Cudny jesteście mężczyzna — powtórzyła Anna przed lustrem, przyglądając się swej zmęczonej twarzy dłużej niż zwykle.

Tej nocy nie spała już takim kamiennym snem. Siwkin stukał o kant jej leżaka kolbą rewolweru i mówił z zachwytem: "Cudna jesteście kobieta! Położymy was w trumnę i powbijamy tym oto młoteczkiem piękne gwoździki..." Przykryli ją wiekiem ciężkiej skrzyni, przez którą patrzały w twarz Anny niebieskie, przezroczyste oczy Siwkina.

. . . .

Oczywiście nie zapomniał o niej. Wielki ciężarowy samochód, wypełniony najlepszemi meblami miasteczka, wyładowywano pod bacznem okiem Kunina przed przewiewnym korytarzem lecznicy. Zjawiły się czarodziejskie kufry. Jeden wypełniony temi wszystkiemi drobnostkami, które podnoszą wartość życia kobiety w oczach jej własnych, oraz w oczach jej przyjaciółek, a więc zawierający od dziesiątków pudełek pudrów, perfum i wszelkich kosmetyków, aż po kilkanaście par pajęczych jedwabnych pończoch, pomieszanych z całym stosem najwytwor-

niejszych dessous, na widok których gęstym rumieńcem oblekła się twarz Anny.

Gdy wreszcie z drugiego kuferka Kunin wyładował srebrny serwis z emalją, opakowany w nurkowy płaszcz i królewskie szynszyle, Anna zbladła znowu. Przysięgłaby, że ten płaszcz już kiedyś widziała. Znało go wszak całe arystokratyczne miasteczko, podziwiały na balach wszystkie miejscowe strojnisie: należał do żony generała Filipowa, pięknej kobiety i frejliny dworu.

Kunin, cmokając z uwielbieniem ustami, rozwijał kołnierz swemi wielkiemi, sztywnemi paluchami i gładził lubieżnie włos futra.

— Wot fason — przygadywał. — Nu, siostro, towarzysz Siwkin potrafi być galanty i grzeczny, to się widzi. Cha! Cha! Pelagjuszka! — błaznował przed Pelagją, która powtarzała jeno tępym głosem:

— Boże upasi, Boże upasi, siostro Anno.

Wreszcie Kunin podał jej białą wielką urzędową kopertę. Na dużym, twardym arkuszu odczytała tylko jedno zdanie: "Nie wszyscy mają prawo do życia. Niech te drobiazgi służą wam, siostro, która jedynie macie do nich prawo. Przyjaciel Wasz M. G. Siwkin".

Wszystka krew spłynęła z serca Anny. Szukała całą mocą myśli wybrnięcia z fałszywej sytuacji. Mogłaby wprawdzie wszystko odesłać natychmiast, a wówczas,—tak, to było do przewidzenia,—bała się jasności jego oczu i ostrych nici rozkazu w miękkości wnikliwego głosu.

Doprawdy nie myślała w tej chwili o sobie, musiała tylko ratować Protasowa, wierzącego jej przyrzeczeniu. Nie mogła pozwolić, prosto tak, by zginął strasznie, jak ci wszyscy, których tak przeraźliwie krótko osądzał Siwkin. Czyż życie rannego nie było warte tego płaszcza?

Nie mogła go oddać właścicielce, rozstrzelanej haniebnie wraz z mężem, a zwrócić go komendantowi — to podpisać wyrok śmierci na rannego, który z ufnością powierzył się jej opiece. Decyzja była prosta. Zresztą nie tknie tych rzeczy.

— Podziękujcie komendantowi — powiedziała szoferowi, doręczając mu kartkę dla Siwkina. "To doprawdy zbyt wiele łaski, towarzyszu Siwkin" pisała. "Musiałabym chyba pałac budować, aby te wszystkie skarby pomieścić. Dziękuję i proszę nadal nie przeceniać mojej osoby. Doktor Mikulina".

Następnego dnia zjawił się kosz niewidzianych dawno owoców i skrzynka wytrawnego wina.

— Przyda się dla chorych — decydowała z uporem i przyjęła dar.

Pierwszą szklankę ogrzanego wina dostał bardzo osłabiony Protasow na wzmocnienie sił,—udający po naradzie z Anną wciąż nieprzytomnego, gdy tylko Kunin zbliżał się do jego przegródki. Anna umieściła go umyślnie w niszce sanitarjusza, niby dla łatwiejszej obserwacji, w rzeczy samej nie chciała go trzymać w ogólnej sali, gdzie towarzystwo wracających do sił towarzyszy stałoby się zbyt natarczywem.

O zmroku zawarczało wielkie auto Siwkina. Tym razem obciągnięty w nieskazitelny czarny wizytowy garnitur, zdawał się nieco szczuplejszy, a jego cera jasnego blondyna ze złocistemi cieniami na gładko wygolnej twarzy oszałamiała wykwintnem pięknem.

— Cudny jesteście mężczyzna — tłukło się serce Anny, gdy oczy szły jego śladem podczas wizytacji lecznicy. Przesuwał się miękko swym tygrysim tropem między kojami chorych, czasami nachylał się nad kimś i rysiem spojrzeniem zgarniał twarde skaliste gęby ranionych, czasami uśmiechał się przyjaźnie, a wtedy czytała w jego profilu dobroć dziecinną, wylewną i ciepłą, spychającą gwałtownie tego innego Siwkina gdzieś poza nawias jej wiedzy i prawdy.

Pelagja szła obok, ciężko dysząc, i Anna słyszała, jak jej zbielałe z przejęcia wargi powtarzają stare, odwiecznie bolesne:

— Boże pomiłuj, Boże pomiłuj! Lico boże, a dusza czartowska. Tak jest i Antychryst sam w człowieczem ciele, matkę ziemię schodzący.

Jej błędne oczy szukały w Annie odpowiedzi na dręczące ją pytania.

Stanął wreszcie przed niszką i odchylił jednym ze swych nagłych, nieobliczalnych ruchów zasłonę. W mdłem świetle lampy ziemista twarz Protasowa zdała się kościana i martwa, nos dziwnie zaostrzony przypominał trupa. Leżał nie dysząc prawie. Krzywy, bolesny uśmiech zadrgał gdzieś w duszy Anny... Świetnie udawał, świetnie... Tak wyglądają tylko trupy, lub ci, co nimi mają się stać za chwilę.

Siwkin błyskawicznie wyrwał z kobury rewolwer Kunina i wprawnym, brutalnym ruchem odwinął lufą wojłok pokrycia, połuskał zimną jej stalą nagą lewą pierś ranionego.

Anna przestała oddychać, ale Prostasow wytrzymał tę próbę. Ani drgnął. Anna bez kropli krwi w twarzy musiała się oprzeć o Pelagję.

— On tak cały dzień bez czucia leży — objaśniał Kunin, zapinając pochwę rewolweru. — Nie wiele mu brakuje do śmierci.

Siwkin odwrócił się do Anny, a twarz jego znowu błyszczała spokojem.

— Widzę, żeście nie przesadzali, siostro...

Przeszli do gabinetu.

Zostali sami. Rozejrzał się po natłoczonych meblach, przysłanych onegdaj, i zdecydował:

— Ciasnowato... Proszę o księgę chorych.

Podała mu ją. Poszukał numeru Protasowa i... jednem szarpnięciem skrzypiącej stalówki wykreślił całą rubrykę.

— Zabierzemy go teraz. Auto wygodne, siostro Anno, nawet się nie obudzi... Nasz felczer da mu właściwy zastrzyk. Wróci do przytomno-

ści, wróci, a sąd będzie krótki, siostro Anno, — ciągnął zimno.

— Towarzyszu Siwkinie! — powiedziała, może nawet krzyknęła, nie zdając sobie zresztą sprawy z tego co czyni. — Towarzyszu Siwkinie! Darujcie życie temu człowiekowi!...

Ledwie zawołała te słowa, już ich żałowała.

Uderzył w nią jasnością swego spojrzenia i zapytał:

— Co mam zrobić?... Darować tej białej swołoczy? Cha! Cha! Cha! Ja mam darować? Siwkin—darować?... Nie darowałem jeszcze nikomu...

Spojrzał na nią podejrzliwie.

— Znajomy? — syknął.

— Nie!... Przysięgam, że nie! Ale chcę mu darować życie. Ten człowiek uwierzył mi, przyrzekłam mu pomoc. Pozwólcie dotrzymać słowa, towarzyszu!

Ciężkie łzy płynęły jej z oczu na załamane spazmatycznie ręce.

Siwkin patrzał z wyrazem upojenia na ból kobiety. Podniósł się i stanął piękny z oczyma pełnemi zachwytu przed nią. Podniosła na niego zalane łzami oczy.

— Cudna jesteście kobieta, cudna — szepnął i pochylił się nad nią.

Mimowoli odstąpiła krok do tyłu. Nie ruszył się z miejsca, tylko tym swoim nieoczekiwanym rzutem rąk pochwycił ją wpół i zanim pojęła co się stało, poczuła jego usta na twarzy.

— Nie, nie! — broniła się rozpaczliwie, wyrywając z mocnych rąk, zabierających przytomność. — Nie! — wyrwała się wreszcie i opadła złamana na tapczan.

Odczytała wyrok w jego oczach.

— Kunin! — zawołał nie znającym oporu głosem.

Gdy marynarz stanął przed nim, wycedził spokojnie:

— Zabrać Protas...

— Nie!! — rzuciła się ku niemu Anna. — Nie trzeba, towarzyszu Siwkinie!

Spojrzał na nią i uśmiech zmiękczył zarys jego szczęk.

— Dobrze. Kunin — godził się miękkim, wnikliwym głosem — doktor Mikulina ma rację, zaczekajcie na mnie w aucie.

Kunin, nie spuszczając zdumionych oczu z komendanta, wycofał się tyłem z pokoju.

— Więc, — zwrócił się Siwkin do Anny. — Stało się, słucham.

Patrzał teraz na nią ciężkim, twardym wzrokiem, który ją gniótł ku ziemi.

Podniosła się i sztywno zbliżyła do niego.

— Zgodzę się na wszystko... na wszystko, towarzyszu Siwkin, za cenę tego życia. Przyrzekłam i dotrzymam słowa.

— Ja dotrzymam także! — wyrzucił z suchym charkotem przez zaciśnięte zęby... Uniósł ją jak piórko z ziemi i zaniósł na tapczan. Drapieżnie stargał biały, czysty fartuch i rzucił się na nią, jak chciwe krwi zwierzę...

....

Gdy siostra Anna obudziła się w nocy, była sama. Zdawało się jej, że zdusił ją ciężar dławiący, przemożny. Westchnęła, zbierając w płuca powietrze, i podniosła się półprzytomna.

Niby w hypnozie obciągnęła starganą odzież i przez zimny korytarz weszła w zaduch mdło oświetlonej izby. Przesunęła się obok śpiącego sanitarjusza i pochyliła nad Protasowem...

W mętnem świetle ziemista twarz chorego zdała się kościana. Nos dziwnie zaostrzony przypominał trupa. Leżał, nie dysząc wcale, jak przed kilkoma godzinami w czasie wizytacji Siwkina.

Teraz oprzytomniała zupełnie, jednym rzutem pamięci ogarnęła wszystko co się stało... Ale dotrzymała przysięgi. Życie tego człowieka należało do niej, spełniła się czara ofiary.

— Protasow! — zawołała radośnie. — Protasow! Jesteście wolni. Protasow!...

Chory nie drgnął. Przegięła się nad nim i pociągnęła za rękę. Na skroniach pod włosami zjawiły się dwie zimne krople potu... Ręka była sztywna i zimna...

Protasow nie żył.



WŁ. POPŁAWSKI

ZWYCIĘSTWO

WOJNA schwytała Miltona Brook'a na gorącym uczynku sięgania na najwyższy szczebel żmudnej, ale upojnej karjery bokserskiej.

Był w "formie", jak rzadko który pięściarz w jego wieku.

Bo Milton Brook miał dopiero dziewiętnaście lat, gładko przyczesaną blond czuprynę, blade "dystyngowane" oblicze, melancholijne spojrzenie jasno błękitnych źrenic i... wogóle niczem nie zdradzał swego groźnego fachu.

Można było domyślać się, że ten bladolicy, szczupły, średniego wzrostu młodzieniec jest co najwyżej jakimś praktykantem bankowym, podrzędnym urzędniczkiem linji okrętowej, czy wreszcie początkującym, b a r d z o jeszcze nieśmiałym dziennikarzem. Wszystkiem, tylko nie — bokserem.

Śladu atletycznej budowy, mięśni rozpierających tkaninę garnituru. Nos nawet był idealnie prosty, wcale nie przetrącony, a uszy jak u normalnego, przyzwoitego gentlemana.

Nic.

Ręce — raczej małe, kobiece, zawsze starannie utrzymane, prawie wypielęgnowane bez najmniejszych śladów zdrapań, skaleczeń, tak nieodzownych w bokserskim zawodzie.

A jednak to małe pięści potrafiły bić niczem wielkie, djabelnie ciężkie, twarde młoty. Trafnie i błyskawicznie. Te pięści knock-out'owały jednego po drugim, wszystkich mniej lub więcej groźnych przeciwników.

Milton Brook szedł naprzód bez chwili wahania, prawie bez odpoczynku.

Dzienniki śpiewały mu hymny pochwalne, każde spotkanie musiało być filmowane. Coraz bardziej wzmagało się zapotrzebowanie na fotografje "Bladego chłopca" (tak go popularnie nazywano). Rósł popyt na autografy...

A wszystko to mógł Milton Brook zawdzięczyć tylko swemu ojcu.

Stary Tom na ringu już nie pokazywał się. Miał bezmała sześćdziesiąt lat, po kościach tłukł się reumatyzm, słabły starcze oczy.

Syn musiał przejąć od ojca świetne imię Brook'ów — bokserów. Było ich bowiem w tej rodzinie przedziwnie dużo.

Tom zanim oddał chłopaka w ręce menagerów, ćwiczył z nim całe dnie. Całe dnie mijały na gimnastyce, na ćwiczeniach, lub bardzo plastycznych i namacalnych wykładach ustnych.

Chłopak wyglądał na światło dzienne najczęściej tylko poto, aby przebiec swoje ileś tam metrów, trochę poskakać, przerobić parę ćwiczeń. To wszystko.

Ojciec trzymał go krótko.

Potem, kiedy przyszły pierwsze występy, a zaraz po nich zupełnie niespodziana, odurzająca sława... nic w życiu Miltona Brook'a zasadniczo nie zmieniło się. Było o tyle gorzej, że prócz ojca strzegł go teraz i menager.

W tej atmosferze, zupełnie pozbawionej cieplejszych, słoneczniejszych przebłysków, zawsze narażony na zły humor starzejącego się ojca i ordynarne szykany menagera, chłopak rósł, tężał, krzepł, a jednocześnie coraz silniej, coraz głośniej krzyczała w nim nieutulona tęsknota za swobodą wesołego, radosnego życia.

Za samodzielnością!

Zwyciężał coraz częściej.

Brał coraz wyższe honorarja.

Aż... wojna!

Milton Brook życie znał problematycznie. Przez pryzmat czytanych gazet i ojcowskich opowieści.

Milton Brook nie mógł pić, broń Boże palić, a już z dziewczętami...

Tymczasem wojna otwierała szersze, radośniejsze prospektywy. Przed oczyma "Bladego chłopca" przesuwały się cudowne, kuszące czarem samodzielności i "innego" życia, obrazy.

Więc poszedł, a raczej... uciekł im.

— — — — — — — — — —

Co było i jak było na tej wojnie, czy rzeczywiście Milton Brook uzyskał wreszcie tak upragniony, wytęskniony samodzielny byt — nie wiadomo.

Próbował coprawda pić i palić, ale... jakoś nie bardzo smakowało. Wrócił do dawnego żucia gumy.

A jak wepchnęli go w cuchnące, pełne nigdy niewysychające błota i dokuczliwego robactwa, rowy strzeleckie — to gdzie tam szukać dziewczyn...

Był dobrym żołnierzem.

Kazali bić, bił. Kazali uciekać, uciekał. Jak zegarowy, precyzyjny mechanizm.

— — — — — — — — — —

Tom Brook nie poznał swego syna.

Stała przed nim w słonecznej poświacie lipcowego poranku, jakaś potworna maszkara. Jakaś niesamowita, straszna zmora. Delikatnie potrząsał wiatr pustym rękawem, druga ręka

niepewnie błądziła po framudze drzwi. Twarzy Milton Brook nie miał. Ani jasno-błękitnych, melancholijnych źrenic, ani ładnie wykrojonych, prawie kobiecy warg.

Czerwieniał tylko wielki płat jakgdyby oparzonego mięsa, pełen czarnych, obrzydłych dołów, w których kiedyś tkwiły źrenice, czy uśmiechały się zdrowe, mocne zęby.

Eh!

Pieniądze rozlały się dziwnie prędko. Nikt przecież świeżych nie dostarczał. Zaczęła gnieść bezlitosna nędza. Inwalidzka emerytura była przedziwnie mikroskopijna.

Sprzedawali więc, co się dało. Począwszy od małego domku-willi, kupionego jeszcze przed wojną za Miltonowe zarobki, a skończywszy na ubraniach.

Podczas wyborów partja pacyfistyczna zaangażowała inwalidę. Dali sto dolarów i obwozili po kraju jako jaskrawy, druzgocący przykład okropności wojny...

Ale — wybory skończyły się, dolary także, a nędza nie ustępowała ani na krok.

I przyszedł wreszcie dzień, kiedy prócz skrzynki radjo-odbiornika, w małej klitce — poddasza jedenastopiętrowego kolosa Tom Brook nie znalazł już nic do sprzedania.

A aparatu znów syn nie dawał. Całemi dniami siedział przy nim, nocami — spał obok niego.

Ta mała, niepozorna skrzyneczka była dla niego jedyną radością, jedyną osłodą.

Mówił do niego z niewidzialnego głośnika cały wielki i piękny świat.

Świat słoneczny, roześmiany. Świat najwyższych radości, najcudniejszych przygód. Świat, którego zasadniczo nie znał, a mimo to kochał gorąco całem, biednem sercem. Na ekranie wiecznej nocy czyjeś dobrotliwie dłonie malowały miljardami baśnianych błysków te wszystkie czary dalekich krain. Jak ranne mgły płynęły pieszczotliwe szemrania dalekich, obcych pieśni, słowa niezrozumiałe, a tem samem dziwne, urocze, drażniące. Muzyka to tęskna, łkająca, to trzaskająca rakietami synkop, to znowu przewalająca się jak daleka, groźna burza. Całe godziny tkwił ex-bokser przed tym czarodziejskim sprzętem, a w głębiach duszy działy się rzeczy zgoła dziwne.

I radość warjacko hasała i zarazem rył, szarpał podły, wnikliwy smutek, że inni to wszystko słyszą bezpośrednio własnemi uszami, własnemi oczami widzą, że przecież mógłby i on, gdyby nie...

Zarabiał kiedyś stosy pieniędzy, był zdrów.

— — — — — — — — — —

— Pojutrze idę na ring.

Skoczyły chropowate słowa ojca do uszu ślepca.

Aż zakołysał się całym swym kalekim kadłubem.

— Dokąd? — wyszeptał z trudem.

— Na ring. Coś jeść musimy.

Wtedy zrozumiał. I już o nic nie pytał, przywarł tylko wspomnieniem młodzieńczych, pełnych warg do suchej, twardej ręki starca.

Tom Brook wiedział, jak się urządzić. Nie poszedł walczyć, gdzieś w jarmarcznej budzie. Pogadał z Mac Croml'em i... jakoś się udało.

Croml był menagerem sprytnym. Wybrał na przeciwnika Bena Hicks'a, asa wschodnich Stanów. Spotkanie rozreklamował, jak nikt.

Tom Brook, ojciec Miltona, contra Ben Hicks.

Szlagier!

Chicago zarumieniło się miljonem afiszów. Na pierwszych kolumnach wszystkich czasopism znalazły się podobizny dwóch bokserów. Tom prawie po dwudziestu latach milczenia wracał na... ring.

Tom, dawny champion Stanów Zjednoczonych, gigant niezwyciężony!

Tom Brook... "znakomity" ojciec biednego Miltona!!

— — — — — — — — — —

W dniu walki ani stary nie żegnał się z kaleką, ani tamten nie składał ojcu życzeń.

Tom Brook poszedł na ring, jak na spacer. Zwyczajnie.

A ślepiec już na godzinę przed rozpoczęciem walki usadowił się przy aparacie.

Dziś nie obchodziły go ani koncerty, ani śliczny śpiew jakiejś "gwiazdy" niewidzialnej.

Czekał.

I nagle: — SWS, mikrofon sprawozdawcy w Garden Hall. Match Tom Brook contra Ben Hicks. Rundy trzy minutowe. Widownia przepełniona, ani jednego wolnego miejsca, obaj zapaśnicy w doskonałej formie. Wygrana 50 tysięcy dolarów — chrobotał z głośnika wyraźny głos sprawozdawcy.

Chwila ciszy i... mocny, dolegliwy głos dzwonka.

— Pierwsza runda zaczęta — informował Stany Zjednoczone sprawozdawca.

Słychać było tylko szelest pantofli walczących, czasami głośniejsze tupnięcie lub mocniejsze uderzenie. Ale Milton widział wszystko. Jakby tam był. Jakby sam uwijał się po deskach ringu.

Dłonie zamarły na manetkach aparatu.

Brzęk dzwonka i zaraz w ślad głos sprawozdawcy.

— Jednominutowa przerwa.

Z głośnika delikatnie szeleściał szmer ręczników, ocierających spotniałe torsy, plaskanie masażystów, miarowe kroki arbitra.

Znów początek rundy. Ktoś atakuje z pasją, z wściekłością. To napewno nie ojciec, to Ben. Głośny trzask. Dłonie na manetkach stężały jeszcze bardziej.

Nic. Nikt nie upadł.

I szła tak runda za rundą. Trzecia, czwarta, piąta. Milton widział wszystko. Każdy krok, każde przesunięcie, uderzenie najmniejsze odparowanie. Ktoś w puste, czarne oczodoły wstawił nowe źrenice.

Ktoś pozwolił widzieć cały przebieg walki. Ktoś kazał cieszyć się i męczyć.

Ósma runda.

Drobny, matematycznie wprost obliczony krok ojca, przytłumiony łomot, i huk padającego na deski ciała.

To nie ojciec. To nie może być ojciec. To Ben.

Słychać głos sędziego:

— Ben Hicks zknock'outowany, raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

Po grzbiecie Miltona Brook'a pędzi miljon mrówek. Hurra!!!

— Siedm, osiem, dziewięć...

I nagle dzwonek. Runda skończyła się.

Wzmożony chlupot wody, plaskanie niezmęczonych masażystów. Djabli nadali przerwę.

Gwar!

Dzwonek.

Czyjeś nogi idą pewnie, spokojnie, jak na przechadzkę, czyjeś stąpają ciężko, chybotliwie, pijano...

To Hicks jeszcze nie zupełnie oprzytomniał. Knock'out starego Brook'a to grom, to furja! Milton mimowoli wstrząsnął się. Pamiętał jeszcze ojcowskie treningi.

Znów rozgłośny, dzwoniący plask i... czyjeś ciało wali się na skrzypiące deski ringu.

Serce chwytają twarde, stalowe pazury. Ojciec czy nie...

Liczy sędzia. Długo, długo. Cyfry padają jak nielitościwe krople dżdżu na spalone gorączką wargi.

— Dziesięć!!!

I głos sprawozdawcy:

— Tom Brook w dziewiątej rundzie pokonał knock'outem Bena Hicks'a, dotychczasowego championa Stanów Zjednoczonych. Hip, hip — hurra, hip, hip, hurra, hurra, hurra, hurra...

Już teraz nie słychać głosu speakera, wali się z głośnika jakiś obłędny, furjacki, wrzask, łomot, burza, siekąca miljonem piorunów.

Już wie ulica. Już drapie się na jedenaste piętro oszałamiający wrzask gazeciarzy.

Już wiedzą całe Stany. Już zdumiała się Europa. Już warczą w szaleńczym pędzie rotacyjne maszyny!

A dłonie ślepca delikatnie, delikatnie błądzą po gładkiej, łabędziej szyi głośnika, tuli się do niego krwawa maska twarzy, a z czarnych oczodołów zsuwają się srebrne perły łez...

MARJA KONOPNICKA

PÓJDĘ JA...

Pójdę ja, pójdę drogą daleką
Po górach wichrem, po niźniach rzeką,
Po chatach pieśnią, popolach ciszą,
Gdzie się na roli zboża kołyszą.

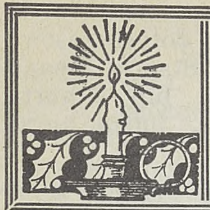
Po sercach pójdę snami cichemi,
Po myślach, gwiazdą, co w dali mruga...
I tak po całej obejdę ziemi,
Jaka szeroka i jaka długa...

Pójdę ja, pójdę szumem po boru,
Jasnością we dnie, cieniem z wieczoru,
Po łąkach pójdę przędzą pajęczą,
W pogodę zorzą, po deszczu tęczą...

I łzy pozbieram, jak gorzką rosę,
I w obu dłoniach pełnych poniosę
Do tych dalekich świtu promieni,
Co się to od nich wschód rankiem mieni.

Pójdę ja, pójdę po miastach onych,
Co stoją w potu kroplach czerwonych,
I jako szare, znajome ptaszę
Oblecę każde nędzne poddasze...

Może mnie dojrzy przyszłych dni słońce,
Nad mogiłami w dali wschodzące,
Może wypije łzy jasność cicha
Z rąk mych, jak rosę z kwiatów kielicha.



JAN SOKOLICZ WROCZYŃSKI

WIGILJA



PUNKTUALNIE o dwunastej w południe Jerzy wyszedł z banku.

Zapinając futro, mimowoli przymknął oczy, gdyż zabolała go opalowa, oślepiająca migotliwość śnieżnej bieli... Jeszcze boleśniej skurczył się w sobie, spojrzawszy po chwili na ciemną, szmaragdową plamę choinek, oblepiających ogromny plac przed bankiem.

Znowu z silniejszą i jeszcze tylko ostrzejszą wyrazistością uprzytomnił sobie, że to jest wigilja, której nadejścia oczekiwał już od kilkunastu dni z bolesną świadomością, oczekiwał jako czegoś bardzo bolesnego i przykrego, a czego odsunąć od siebie nie będzie można.

Nakładając rękawiczki, zszedł z szerokich schodów, idąc machinalnie przed siebie.

Ulice drgały świątecznem, radosnem podnieceniem. Mijał obarczonych paczkami przechodniów, na których twarzach malował się pośpiech i zmęczenie. Na oścież otwarte drzwi sklepów wchłaniały i wyrzucały gromadki kupujących, którzy rozbiegali się w różnych kierunkach. Na rogu jakiejś ulicy ujrzał, jak kilkunastoletni chłopak przy pomocy doróżkarza borykał się, by umieścić na koźle olbrzymie drzewko świerkowe.

Tu i ówdzie uliczni sprzedawcy zachwalali głośno ozdoby choinkowe, świeczki, lub potrząsali mieniącemi się pasmami srebrnych i złotych nici.

Jerzy szedł zgarbiony, stępiały na wszystko. Od chwili wyjścia z biura, ból, na którego wybuch przygotowany był od kilku dni — wżerał się w duszę, strzępiąc ją ustawicznie, zaciekle, wolno, na krwawe pasma wspomnień.

Bezlitosna dłoń świadomości rozpruła nieco zabliźnione rany, które trysnęły cierpieniem.

Jeden po drugim przesuwały się w mózgu obrazy i obrazki, jedne ładniejsze od drugich, a straszniejsze i boleśniejsze swoją bezpowrotnością.

Rok temu, taksamo o tej porze wyszedł, a raczej wybiegł z biura. Uporawszy się jako tako z kilkunastoma paczkami, które wypełniały mu obie ręce, spieszył do jubilera, przypominając sobie, bez czego jeszcze nie pozwoliła się pokazać w domu jego ukochana Julja.

— Bibułki, świeczki, orzechy, rękawiczki odebrane z pralni, są... Kupić likieru, książkę dla Władzia, zatelefonować do ciotki. Chyba już wszystko? Ach, prawda — jeszcze kawa i papierosy...

Wreszcie zmęczony, z lekkiemi rumieńcami na bladej zwykle twarzy rzucił kilkanaście pakunków w głąb samochodu i usiadł z zadowoleniem.

Z bocznej kieszeni wyjął maleńkie pudełeczko i uśmiechnął się do pierścionka ze ślicznym szmaragdem.

— Ani domyśla się moja Jula, jaką gwiazdkę dostanie... Moje ukochane maleństwo — cieszył się i, wyprzedzając auto, całem rozkochanem sercem był przy tej, która przed dwoma laty została jego żoną.

Już drugą wigilję obchodzili razem, sami, we dwoje, szczęśliwi w swojem skromnem lecz czyściutkiem mieszkanku. Po spożyciu wigilji, która była dumą i przedmiotem specjalnej zapobiegliwości młodej gosposi, zapalali świeczki na choince i przytuleni do siebie, złączeni cichym, serdecznym uściskiem, w milczeniu wsłuchiwali się w rzewne nuty kolędy, dobiegające z sąsiednich mieszkań.

A potem szli na chwilę do rodziny lub na pasterkę.

W domu zastawał przedświąteczne zamieszanie.

Jego Jula, z lekka zaledwie przyczesaną wichurą złotych włosów, owinięta w ciepły szlafroczek, wypadała na chwilę z kuchni i szybko podając wargi do pocałowania oświadczała, że obiadu nie będzie, że trzeba skończyć ubierać choinkę i z surową minką kontrolowała zawartość paczek i ścisłość wykonania swoich poleceń.

Z całem przejęciem, z właściwą sobie powagą, dokonywał przeglądu choinki, a potem skonstruowawszy wielce złożoną piramidę z krzeseł, zawieszał ostatnie cacka, słodycze i świeczki, co chwilę wołając Juli, by spytać o radę, gdzie umieścić jakieś ładniejsze cacko, a właściwie, aby spojrzeć w jej radosną, rozognioną twarzyczkę.

I w taki dzień wigilijny przesycało Jerzego jakieś dostojeństwo i powaga szczęścia.

Życie, które aż nazbyt hojną dłonią darzyło go cierniami i zawodami — pozostawiło dwie rzeczy: kult i gorącą tradycję dla wigilijnego dnia i wielką miłość dla Juli.

Wyczekiwał z niecierpliwością wigilji — tygodnie całe przedtem rozmawiając o świętach z żoną, czyniąc drobne oszczędności i przestrzegając wszystkich obrzędów i zwyczajów.

A kiedy zapłonęła choinka, na duszę jego spływała rzewna radość. Czuł się małem dobrem dzieckiem, któreby pragnęło przytulić do

serca wszystkich ludzi i świat cały. Nieznane myśli, którychby nie potrafił wypowiedzieć, niby słowa modlitwy przepływały mu przez duszę.

W dniu tym stawał się jeszcze bardziej małomówny, dobrem, radosnem spojrzeniem ogarniając najdrobniejszy kątek mieszkania—wszystkie przedmioty — okalając niem swoją jedyną, słoneczną Julę.

A kiedy odświętnie przybrani stawali przy stole, pokrytym śnieżysto - białym obrusem, którego skromną zastawę upiększały pęki kwiecia, i Jula z opłatkiem w drobnej ręce podchodziła do niego poważna i widocznie wzruszona, — ciepła, dusząca fala podpływała mu pod gardło i tylko silnem ramieniem otaczał żonę i okrywał twarzyczkę pocałunkami.

Potem, radnośni i bardzo głodni rozpoczynali wieczerzę. Przyczem Jerzy wychwalał i delektował się naprawdę godnemi uznania potrawami, co Julę wprawiało w pogodną dumę i zadowolenie.

W oglądaniu i cieszeniu się podarunkami nie było końca. Bo choć zawsze dyskretnie musieli wybadać swoje pragnienia, to jednak jedno i drugie kupowało jakiś dodatkowy drobiazg, który był radosną niespodzianką i rzewnym dowodem wzajemnej pamięci.

Wtedy też — Jerzy, wybadawszy żonę, iż najmilszym podarunkiem byłby zdawna już upatrzony materjał na suknię — oglądał z zadowoleniem kosztowny pierścionek, który stał się owym dodatkiem gwiazdkowym, a który kupił za pieniądze otrzymane nadetatowo, jako prowizję od korzystnego dla banku interesu, o którym jednak Juli nie wspomniał ani słowem.

Aż potem stało się coś, czego dotychczas jeszcze zrozumieć nie mógł, choć ustawicznie starał się zrozumieć.

W niedługi czas po ostatnich świętach Bożego Narodzenia zaczął spostrzegać w zachowaniu się Juli jakąś nieuchwytną, ledwie widoczną zmianę.

Miał wrażenie, że między nią a nim rozpościerać się poczęła cienka sieć, grubiejąca i tężejąca z każdym niemal dniem. Na pozór nic się nie zmieniło. Żona otaczała go tąsamą troskliwością, serdeczną pieszczotą — a jednak wiedział, że jest coś, co przeszkadza temu bezwzględnemu zbliżeniu się, jakie dotąd między nimi panowało, — coś niewypowiedzianego, oddalającego Julę coraz bezpowrotniej.

Chwytał ją na momentach dziwnego roztargnienia lub zamyślenia. Wyrwana z niego otrząsała się gwałtwnie, starając się przybrać w wesołą beztroskę.

Gdy zapytywał o powód zadumy, dawała mu odpowiedzi niejasne, ogólnikowe, najczęściej żartobliwie gromiąc za zbytnią ciekawość.

Lecz Jerzy wyczuwał, że w chwilach tych nie była szczera — i że Jula już nie jest tą dawną, swobodną Julą.

Jakiś czas łudził się, iż może niezadługo dowie się od żony, że w cichem ich mieszkanku zjawi się maleńki przybysz, będący przyczyną zmiany usposobienia Juli, lecz było to tylko jedno z przypuszczeń.

Podwajał swoją troskliwość, czułość, zainteresowanie, skrywając głęboko na dnie duszy niepokój i smutek — lecz bez najmniejszego skutku.

Owa niewidoczna zapora wzrastała między nimi coraz bardziej, coraz wyraziściej. Jula już nie umiała maskować zmian, które w niej zachodziły, stając się z każdym dniem coraz smutniejszą, zdenerwowaną, niespokojną.

Jerzy czuł, że szczęście ich jest zagrożone, że dawna atmosfera pogody i radości minęła. Stał w oczekiwaniu czegoś nieznanego, a jednak groźnego, czego bał się instynktownie.

Wreszcie nadszedł ten dzień.

Kiedy wrócił z przechadzki, żona nie powitała go jak zwykle pocałunkiem, lecz głosem stłumionym, drżącym od wewnętrznego wzruszenia, stanowczym jednak, poprosiła o chwilę rozmowy.

Skupiwszy się cały w sobie, zdławiwszy siłą woli nerwy, posadził ją koło siebie. W tej chwili jak błyskawica olśniła go świadomość. Wiedział prawie co żona mu powie — oczekiwał w milczeniu.

I padły te straszne, nieubłagane słowa, które zadały mu cios największy, jaki go spotkał w życiu, — które bezpowrotnie zdruzgotały jego szczęście, wtrącając w otchłań straszliwej, niemożliwej do zniesienia samotności.

W tydzień potem już Juli nie było.

Z poczuciem wielkiej winy i krzywdy wyrządzonej odeszła. Gdy widzieli się po raz ostatni, z opuszczoną głową powiedziała mu prosto:

— Wiem, jak bardzo cię krzywdzę... Wierzaj mi, że pokochać kogo innego nie chciałam, broniłam się jak mogłam, ale stało się... Kłamać i oszukiwać nie umiem...

Popłynął łańcuch bolesnych, szaleńczych nieraz wspomnieniami dni. Aż przyszedł też jeden z najboleśniejszych — Wigilja.

Pierwsza Wigilja bez Juli...

Myśl o zbliżającym się wieczorze napawała go wprost zwierzęcym lękiem i rozpaczą. O tem, by mógł przepędzić go w domu, w pustem a pełnem wiecznie żywych wspomnień mieszkaniu, nie myślał nawet przez chwilę. Odrzucił również wszystkie zaproszenia, czując, że gdyby znalazł się w atmosferze wigilijnego wieczoru, ból złamałby wolę i wybuchłby z nieposkromioną siłą na zewnątrz.

Odruchowo szedł w stronę restauracji, w której stołował się od kilku miesięcy.

W stępionej męką świadomości, którą co chwila przeszywały krótkie lecz dziwnie plastyczne i wyraziste obrazki minionych przeżyć, szukał gorączkowo pomysłu, który dopomógł-

by do przebycia dnia i choć częściowego zapomnienia.

Od nocy dzieliło Jerzego kilka jeszcze długich godzin, których nie miał czem wypełnić. Kurczowo ściskając zęby, kulił się w sobie, — szepcząc suchemi, rozgorączkowanemi wargami — ukochane imię.

Nasuwały się jakieś projekty, które jednakże natychmiast odrzucał, jako nieodpowiednie i chybione. Ze wzrastającem zdenerwowaniem szukał szczęśliwej myśli, zagłuszając wysiłkiem mózgowym ostry ból. Wreszcie przypadek przyszedł mu z pomocą.

Przed jedną z bram lokowano właśnie na auto duży kufer.

Dwoje młodych ludzi w podróżnych strojach cierpliwie czekało na ukończenie tej operacji.

Jak błyskawica przemknęła mu myśl:

— Wyjadę... — szepnął prawie głośno.

Wszystko jedno mu było dokąd. Pojedzie do takiej miejscowości, dokąd będzie mógł przybyć późną nocą. Zatrzyma się w hotelu, a następnego dnia powróci.

Pomysł ten wydał mu się bardzo odpowiedni. Najboleśniejsze godziny spędzi, o ile można użyć tego wyrażenia, w przestrzeni, bez określonego miejsca. Może nastrój wagonu odpędzi wspomnienia, może pozostaną one poza nim, razem z kilometrami przebytej drogi.

Na samą myśl o rozporządzeniu w ten sposób wigilijnym wieczorem uśmiechnął się z ulgą.

Wszedłszy do restauracji i zamówiwszy jakąś postną potrawę, zażądał rozkładu jazdy i począł go pilnie studjować.

Wkrótce miał już wytkniętą marszrutę. Może wyjechać za godzinę, na miejsce przyjedzie dopiero około północy. Naumyślnie wybrał pociąg pospieszny, by jego szybkość działała prędzej na oddalenie się od bolesności wspomnień.

Zająwszy miejsce w przedziale, zaczął przerzucać pisma i tygodniki, których pokaźną ilość nabył na stacji. Lecz po chwili odrzucił je. Tytuły artykułów i nowe ilustracje, poświęcone uroczystemu świętu, drażniły go i znów czuł wzrastanie potęgującego się bólu.

Wyciągnął z kieszeni również przed chwilą kupiony banalny francuski romans i usiłował czytać. Po przerzuceniu jednak kilku kartek, odłożył książkę i lekko przymknąwszy oczy, zapatrzył się w okno.

W gęstniejącym zmierzchu krótkiego dnia przesuwała się szarzejąca biel ośnieżonych pól, grupki chat, w których okienkach tu i owdzie błyskały światełka.

Czasem pociąg wpadał między dwie ściany poważnych, zakopanych w śniegu lasów, czasem mignęła się mała stacyjka, czasem zatętniły koła po moście. W czasie krótkich postojów widział sylwetki wysiadających pasażerów, których, w miarę jak zbliżał się wieczór, było coraz mniej.

Po upływie kilku godzin był niemal sam w całym wagonie. Przedziały na pobliskich stacjach opustoszały, w pociągu znajdowało się zaledwie kilkanaście osób.

W miarę jak gęstniał mrok, potęgował się ból Jerzego. Nieubłaganie, z minuty na minutę zbliżał się moment tak uroczysty i wielki dla niego jeszcze przed rokiem.

Z całą siłą i wyrazistością powracały wspomnienia, którym miarowy łoskot kół szybko pędzącego pociągu dodawał jeszcze wyrazistszej plastyki.

Zda się monotonna jakaś melodja, osnuta na jednym refrenie, wbijała się krwawemi szponami w mózg, każąc się zwijać z bólu i tęsknoty za straconem szczęściem.

Nie mogąc usiedzieć w przedziale, wyszedł na korytarz i jął go przemierzać nerwowemi krokami.

Jak fragment filmu ujrzał w naturalnych kolorach ich dawny stołowy pokój, — odświętny, cierpły, przytulny. Po chwili zamajaczyła złota głowa Juli w obcisłej, głęboko wyciętej sukni.

Z głuchym jękiem zagryzł wargi i wpił paznokcie w dłonie. W szerokich, bólem otwartych oczach, zamigotał, przygnieciony wielkim grzybem śniegu, dach jakiejś stodoły, — kępa nagich drzew i znowu długi, plaski, monotonny pas pola.

Pragnąc orzeźwić się kawą, poszedł do wagonu restauracyjnego, lecz zobaczywszy zasłane białemi obrusami stoliki, cofnął się szybko. Na to, by usiąść chociaż przy takim stole, nie miał siły.

Wrócił więc na korytarz i odruchowo spojrzał na zegarek.

— Siódma...

Nowy paroksyzm bólu zdławił go.

— O tej godzinie siadaliśmy do stołu. O, Boże, Boże...

Wyczerpany zupełnie, dygocąc wewnętrznem łkaniem, oparł rozgorączkowane czoło o zimną szybę okna i opuścił powieki.

Nagły wstrząs oprzytomnił go.

Nim się zorjentował, usłyszał głuchy łoskot — wagon przechylił się gwałtownie w bok.

Chwytając rękami próżnię, zwalił się plecami na drzwi przedziału i wśród brzęku szkła jął spadać w jakąś próżnię. Uderzył bardzo mocno głową o coś twardego; ciepła, gęstawa ciecz zaczęła zalewać mu oczy. Dość już niewyraźnie usłyszał odgłos jakiegoś zwierzęcego krzyku, uczynił rękoma kilka niezdecydowanych ruchów i otoczyła go ciemność zupełna.

W mózgu wirowały coraz szybciej, coraz mgliściej duże koła, jedne po drugich, malejąc i zacierając się coraz bardziej. Pogrążał się w szary, przepastny lej. Jeszcze raz ujrzał twarzyczkę Juli. Złota gwiazda oderwała się od choinki i poczęła spadać w jego kierunku. Czarne koła zawirowały szybciej i zgasły.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał nad głową po-

chyloną, dobrą, łagodną, zoraną licznemi zmarszczkami twarz starej kobiety, obramowaną falbanami białego czepka.

Skupił cały wysiłek, by uświadomić sobie co się z nim dzieje. Poruszył głową i uczuł dotkliwy ból w tyle czaszki. Powoli, powoli zorjentował się, że leży rozebrany w jakiemś łóżku, z nad którego spoglądały nań dobrotliwie naiwnie malowane twarze świętych w jaskrawych szatach.

Ciepłą atmosferę izby przesycał zapach świeżej choiny i gotowanych ryb. Na środku stał okryty płóciennym obrusem stół, zastawiony grubemi fajansowemi talerzami. Z kąta śmiała się ostrokolorowemi łańcuchami i czerwienią jabłek — choinka.

Wpatrując się w dobrotliwą twarz kobiety, zapytał cicho:

— Gdzie ja jestem?...

Z mroku izby podniósł się mężczyzna, krępy, przysadkowaty, o krótko przystrzyżonej czuprynie i owalnem, sympatycznem obliczu.

— A u nas, proszę pana. Jestem Grzesiak, dróżnik. W piątce popsuły się hamulce i była katastrofa. Trzy wagony na drobniutkie drzazgi połupało. Łaska boża, że nieszczęście nie stało się wczoraj. Pociąg był nabity, po korytarzach stali. Ileby to było kalectwa i niedoli ludzkiej.

— Ale dzisiaj wigilja — mówił dalej. — Jechali już tylko ci, co się zapóźnili na święta, albo musieli jechać po służbie. Paru pasażerów zaledwie i bez większego nieszczęścia się obeszło. Jest tam kilku pokaleczonych i potłuczonych, ale wymigali się. Ino o pana, jak pana wyciągnęli, był strach. Oczy zamknięte, zalane krwią, a pary to się ani dopatrzeć. Więc tamtych zostawili w wagonie i czekają aż przyjdzie pomoc ze stacji, a pana tośmy do nas przynieśli i jako tako opatrzyli.

— Ale Boga chwalić, że panu przeszło. Za jakie dwie godziny przyjedzie sanitarka z doktorem — to pana opatrzy jak się należy, bo myśmy ta niezwyczajni...

Słuchając opowiadania, zaczął przypominać sobie szczegóły. Tak, pociąg się wykoleił. Pamięta, że spadał i zranił się.

— Dlaczego się nie zabiłem?—pomyślał z goryczą. — Skończyłoby się wszystko.

A dróżnik, widząc iż chory jest przytomny, ze szczegółami opowiadał, jak to usłyszał łoskot rozwalającego się pociągu, opisywał niezbyt odległe miejsce wypadku, akcję ratowniczą. Żona jego z przejęciem spoglądała to na Grzesiaka, to na Jerzego, kiwając żałośnie głową.

Jerzy błądził oczyma po izbie. Czysto tu było, odświętnie i ciepło. Dotknął spojrzeniem stołu, choinki, wreszcie przez długą chwilę zatrzymał wzrok na młodej, dorodnej dziewczynie, która wpatrywała się weń otchłanią ciemnych, błyszczących źrenic. Obok niej stał smukły chłopak, wystrojony odświętnie.

Dróżnik zauważył spojrzenie Jerzego.

— To moja córka, proszę pana, Wita, a to jej narzeczony. Ślub będzie zaraz po Trzech Królach. Dostał dobrą posadę, to mogą się już pobrać.

Blady uśmiech rozchylił wargi Jerzego. Lekko skinął głową ku dziewczynie.

— A może pan głodny, może chce pić? — po raz pierwszy odezwała się Grzesiakowa.

— Daj, matka, co gorącego panu, co się tam pytać. Wiadomo, że i zziębnął i nacierpiał się, to poje. Jak ja byłem w wojsku i armata ci mnie przygniotła... — rozpoczął nową opowieść, lecz żona przerwała mu ruchem ręki.

Podszedłszy do stołu, wzięła talerzyk, na którym bielała paczka opłatków, i zbliżyła się do łóżka Jerzego.

— Wigilja dziś święta, proszę pana — zaczęła. — Jechał pan pewnie do swoich. Ale Pan Bóg inaczej widać chciał i dopust boski trzeba przyjąć. Zobaczy pan, że Pan Jezus wynagrodzi go za to nieszczęście i łaska Jego czuwa nad panem. Bo i zabić mogło. Więc skoro ostał pan już z nami, niech pan i naszą wieczerzą nie pogardzi.

— Lepiej by było panu przy swoich, ale boskich wyroków nie odmieni... Więc niech panu da Pan Jezus i Matka Jego święta wszystko dobre, i szczęśliwość i zdrowie...

Jerzy, patrząc w dobrą twarz kobiety, czuł, jak jakieś ciepłe, serdeczne ukojenie napełnia mu piersi. Po raz pierwszy od wielu miesięcy usłyszał dobre słowa, które kojącym balsamem padały na zbolałą, rozgorączkowaną duszę.

Oparłszy się na łóżku, z trudem podniósł głowę i patrzył na kobietę i wyciągającą się z opłatkiem rękę.

Jakieś nieznane mu od dawna uczucie z każdą chwilą wzrastającego spokoju rozpierało serce, przynosząc coraz większą ulgę.

Patrzał na dobrą twarz kobiety — i oto zrozumiał, że nie jest tak bardzo opuszczony, jak przypuszczał, iż te proste serca przygarniają go ku sobie i darzą swem ciepłem.

Coraz gęstsza, szklistsza mgła przysłaniała mu oczy, ale równocześnie ból malał i rozpływał się w cieple prostych słów.

I nagle pochylił się nisko i przylgnął wargami do spracowanej, twardej ręki Grzesiakowej.

ADAM POLEWKA

ON I MASZYNA

Łoskot maszyn, dzwonki telefoniczne, stuk maszyn do pisania, słowem całe piekło biura fabrycznego, stało się życiową potrzebą dla inżyniera fabrycznego, Wareckiego. Tylko w tym hałasie i ruchu mógł pracować spokojnie. Nie znosił ciszy.

To też codzień, gdy z uderzeniem godziny czwartej turkot i warkotanie maszyn zapadało się pod ziemię i cichło zupełnie, biegł do miasta, gdzie istotnie odpoczywał, przechadzając się po gwarnym ogrodzie publicznym lub po najruchliwszych ulicach.

Warecki urodził się, wychował i trzy czwarte części życia spędził w mieście. Tempo wielkomiejskiego życia unosiło go spokojnie, jak rwąca fala unosi dobrego pływaka, bez najmniejszego wysiłku z jego strony.

Wyrwany z miasta i rzucony przypadkiem w spokojne ustronie, w niezmąconą ciszę, męczył się, jak męczy się człowiek, pływający w spokojnej wodzie stawu. Cisza krzyczała mu w uszy tysiącem szmerów i głosów tak przenikliwie i wyraziście, jak obojętnie przelatywał mu mimo uszu zgiełk i gwar uliczny

Ale tego dnia, w szary, ołowiany poniedziałek, stało się z nim coś dziwnego. W uszy zaczęły go kąsać dzwonki telefoniczne, stukot fabryki setką młotów wybijał takty po jego czaszce, a maszyny do pisania szczękały zębami i klapały jedno i to samo w kółko. Owładnęło nim ogromne pragnienie ciszy, od której zawsze tak skrupulatnie uciekał. Kiedy sobie to uświadomił, zrozumiał, że jest nerwowo chory.

— Czas już gdzieś wyjechać na odpoczynek... czas... — pomyślał.

— Czas-czas-czas-czas — przytaknęła mu szczękiem najbliższa maszyna, na której ruda Bronka pisała list do jakiejś firmy.

— Czemu pani tak wali w maszynę? — burknął na maszynistkę.

Maszyna i pisząca, obie naraz zaniemówiły. Brunatne, kocie oczy panny Bronki rozszerzyły się bezgranicznem zdumieniem.

Warecki wyszedł do drugiego pokoju, ale tam zaszczękała na niego maszyna bladej panny Kazimiery.

— Bodaj was piorun trzasł — klął w duszy.

— Trzasł-trzasł-trzasł — przedrzeźniała go maszyna.

Ogarnęła go wściekłość. W tej chwili otwarły się nagle drzwi od hali maszyn i wszedł robotnik w niebieskiej bluzie.

— Panie inżynierze! Pas transmisyjny znów spadł. Zatrzymać motor?

— Do djabła! Co wy dziś wyrabiacie? Nie zatrzymywać, sam założę.

Wyszedł za robotnikiem i za chwilę wrócił.

Ta maszyna naprawdę go rozzłościła. Przed kilku dniami odszedł stary robotnik, który ją przez dwadzieścia lat obsługiwał. Od tego czasu maszyna dosłownie wściekła się. Kilka razy na dzień zrzucała z siebie pas transmisyjny, choć wszystko było w porządku, albo też zacinała się i nie chciała chodzić. Tamten stary przesiedział przy niej dwadzieścia lat, a maszyna chodziła jak bajadera w tańcu. Teraz w kilku ostatnich dniach trzy razy zmieniała się obsługa, a mimo to, szło coraz gorzej. Maszyna wyraźnie zdradzała zdenerwowanie. Złościła się i zrzucała z siebie jarzmo transmisyjnego pasa.

Warecki poszedł powtórnie do fabryki, stanął przy maszynie i okiem pogromcy patrzał na stalowego potwora.

Od lat dwudziestu czynność obsługującego maszynę robotnika polegała na dwóch ruchach: robotnik ujmował płytę blachy za dwa rogi i rytmicznie podsuwał ją pod tłocznię, potem naciskał nogą pedał, a tłocznia wygniatała z blachy dno pudełka. Wyrzucała z rynienki, niby z obwisłej wargi jedną sylabę — dno pudełka. Inne maszyny dodawały resztę sylab lub liter, aż złożyło się pełne słowo — pudełko.

Warecki bacznie przyglądał się maszynie.

Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk. Tłocznia obcięła robotnikowi dwa palce. Znowu zmieniono obsługę, a koło rozpędowe zawirowało z obłudną niewinnością i aż dwie godziny nie zrzuciło z siebie pasa transmisyjnego. Maszyna przyczaiła się.

Kiedy Warecki wrócił po obiedzie do biura, zastał tam starego, który od dwudziestu lat obsługiwał niesforną maszynę.

— Czego wy chcecie, ojciec? — zapytał go, choć dobrze wiedział, z czem stary przyszedł, bo od kilku dni chodził codziennie prosić o powtórne przyjęcie go do pracy przy owej maszynie.

Stary przychodził codzień w niebieskiej bluzie, wysmarowanej oliwą i zakurzonej pyłem opiłków, gotów natychmiast do pracy.

— Panie inżynierze... Ja nie mogę tak żyć... ja bez maszyny żyć nie potrafię...

Wyciągnął ku inżynierowi ręce, tym samym ruchem, którym wsuwał blachę pod tłocznię.

— Macie pensję, nie cierpicie głodu, więc nie zawracajcie mi głowy.

— Panie inżynierze... ja nie dla pieniędzy...

Warecki szedł do drugiego pokoju. Nagle,

mimowoli odwrócił się w progu i spojrzał na starego. Ten stał wyprostowany i groził inżynierowi ponurym blaskiem wypełzłych oczu. Wareckiemu zdawało się, że te oczy mówią do niego: maszyna mnie pomści...

— Czego tu stoicie? — wrzasnął, skoczywszy ku robotnikowi.

Stary przerażony i skulony cofał się ku drzwiom.

Warecki siedział przy biurku i palił papierosa.

— To dziwne — myślał. — Miłość dwóch automatów. Maszyna nie chce chodzić, obsługiwana przez kogo innego, a stary żyć nie może bez maszyny. Zabrakło staremu do wypełnienia życia dwóch automatycznych ruchów.

* * *

Przez całe popołudnie dręczył Wareckiego nieokreślony lęk. Przed wieczorem spadł znowu pas transmisyjny. Śmierć w niebieskiej, robotniczej bluzie wezwała inżyniera do fabryki

Robotnik dostał się przy zakładaniu pasa w tryby maszyny i uległ zupełnemu zmiażdżeniu.

* * *

Po dwóch dniach rozpędowe koło maszyny rwało wesoło na wyścigi z pasem transmisyjnym. Na stołku przy maszynie siedział uśmiechnięty, stary robotnik i, zapatrzony w ukochaną maszynę, karmił ją płytami białej blachy, a ona wesoło wypluwała idealne równe dna pudełek.

Przyjęto starego z powrotem, bo nikt nie mógł sobie dać rady z maszyną.

* * *

Tak pracował stary robotnik jeszcze przez siedem lat. Aż pewnego razu wypuścił z rąk blachę i głowa opadła mu na maszynę. Zauważył to przechodzący inżynier. Skoczył ku niemu i znieruchomiał z przerażenia...

Noga starego naciskała pedał, więc tłocznia powinna była zmiażdżyć opadłą głowę. Ale oto zatrzymała się nieruchomo o kilka centrymetrów od głowy starego...

— Popsute tryby — pomyślał inżynier.

* * *

Starego pochowano na koszt fabryki, a maszyna poszła do remontu.



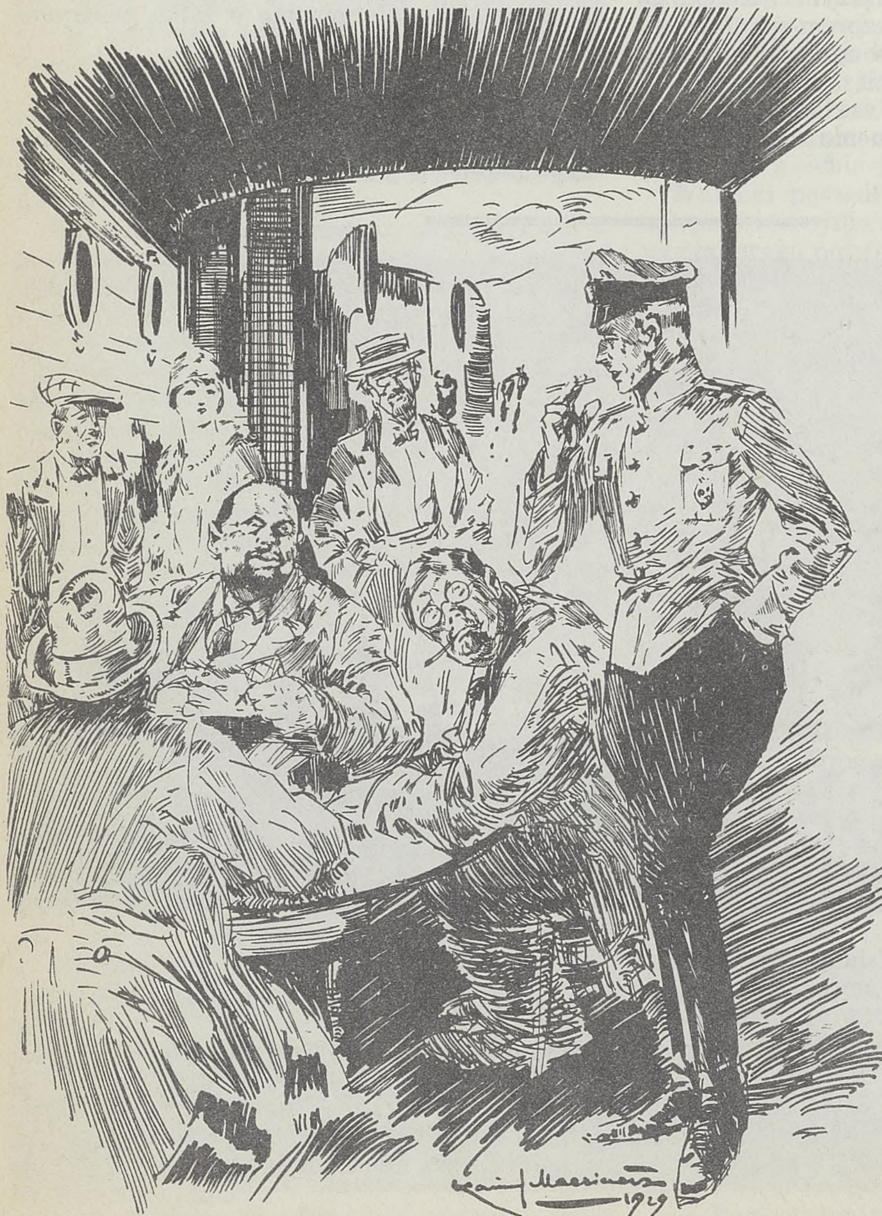
Pałac Wilanowski pod Warszawą w zimie.

JAN SOKOLICZ WROCZYŃSKI

GRA NA DNIEPRZE

CZERWCOWE, popołudniowe słońce inkrustowało migotliwemi deseniami srebrnołuskie fale leniwie toczącego się Dniepru. Nad brzegami, wyszytemi tęskną zadumą stepu, unosiła się opalowa poświata upalnej nudy i senności. W od czasu do czasu w przesuwających się sadach wiśniowych, na przysadkowatych, bizantyńskich kopułach drzew krwawiły się dojrzewające cierpko-słodkie owoce, pełne oczekiwania i podświadomej tęsknoty, jak budzące się do życia usta dziewicze.

Nic jeszcze nie zapowiadało, że zbliża się szybkim krokiem godzina, która wszech-potężną, bogatą i niezwyciężoną Rosję zamieni w morze krwi i łez, wylanych potwornym sadyzmem kilku tysięcy cuchnących brudem desperatów.



— A pan dlaczego nie zagra?...

Toczyły się sennie fale Dniepru, jak toczyło się sennie, leniwie, opieszale życie tajemniczego Molocha, życie niezbadanej i nieprzeniknionej legendy — Rosji.

Na górnych pokładach luksusowego statku spacerowego "Bohatyr", jakich zresztą wiele kursowało po falach rosyjskich rzek, było dość tłumnie, choć apatycznie i sennie. Kilkudziesięciu próżniaków, czy prawdziwych ludzi pracy, którzy wyrwali się z jazgotu miast na krótki tydzień wypoczynku na falach Dniepru, rozkładało się w błogiej bezmyślności na trzcinowych fotelach, sącząc przez słomki kruszony z kaukaskich win, kilka par błądziło po pokładzie, starając się banalnym flirtem rozproszyć nudę upalnego popołudnia, lub też oparte o burtę statku, apatycznemi spojrzeniami mijały bezmyślnie, znany im dobrze, senny, monotonny, poprzecinany krwawemi wargami dojrzewających wisien, krajobraz brzegów.

Przy jednym ze stolików, rozwalony, w pozie całkowitego niedbalstwa, nudził się czarnobrody ku-

piec gruziński. Mnąc czerwonemi, niezgrabnemi palcami żarzącego się papierosa, ścigał półsennym wzrokiem pasażerów górnego pokładu.

Monotonny warkot kół, prujących srebrną łuskę Dniepru, somnambuliczny, kataleptyczny dźwięk bałabajki, dolatujący gdzieś z zakamarków trzeciej klasy i leniwa pieszczota ostrych promieni słońca, napełniała statek apatyczną, marjonetkową tępotą.

Gruzin, przeciągnąwszy się niedbale, odpiął gruby, bęcwałowaty pas, okalający biodra, rzucił go z grymasem lekceważenia na stolik i tonem zachęty wyjęknął w przestrzeń:

— Panowie, a może tak małego baka?...

Pytanie nie pozostało bez wrażenia. Kilka postaci oderwało się od burty, kilka spacerujących par zbliżyło się do stolika. Żółty wąż pękatego pasa, złocący się na stoliku, mienił się w słońcu, jak migotliwy uśmiech fortuny.

Usłużny kelner przyniósł na srebrnej tacy parę talij kart, na stolikach zjawiły się nowe kieliszki z kruszonem, nudę monotonnej podróży przeszył dreszczyk lekkiego zainteresowania.

Przy stole, zajętym przez Gruzina, zasiadło parę chętnych hazardu. Przetasowano i przełożono karty. Rozpoczął się bakarat.

Lecz gra była senna, jak wszystko zresztą na pokładzie "Bohatyra" w owo upalne, czerwcowe popołudnie.

Sennie przerzucano karty. Sennie szeleściały dwudziestopięcio - i sturoblowe banknoty — sennie toczyły się fale Dniepru.

Dokoła grających przystawano. Białe mundury majtków przeplatały uśmiechami barw lekkie suknie kobiet, o wilgotnych, jakby zawsze zamglonych oczach i jeszcze wilgotniejszych, pełnych nieświadomego oczekiwania wargach.

W monotonny szept fal wpadały apatyczne, bezwyrazowe zdania:

— Sto do bicia...

— Biję...

— Daję...

— Dziękuję... sobie...

— Dwa...

— Sześć...

I znowu szelest kart i znowu śpiący dźwięk:

— Pięćdziesiąt...

— Pokryte...

Po godzinie, może dwóch, oderwała się od burty smukła, wytworna sylweta młodego korneta, który podszedł niedbałym krokiem do grających i stanąwszy naprzeciwko Gruzina, kładł martwe spojrzenia na przerzucane karty i banknoty.

W oczach Gruzina zapaliła się iskierka ciekawości.

Na rasowej, doskonale opanowanej twarzy, rozpościerała się nuda. Gruzin, bez przerwy trzymający bank, raz i drugi musnął źrenicą malowaną twarz korneta, a wreszcie, korzystając z jakiejś krótkiej przerwy w grze, zwrócił się z zapytaniem:

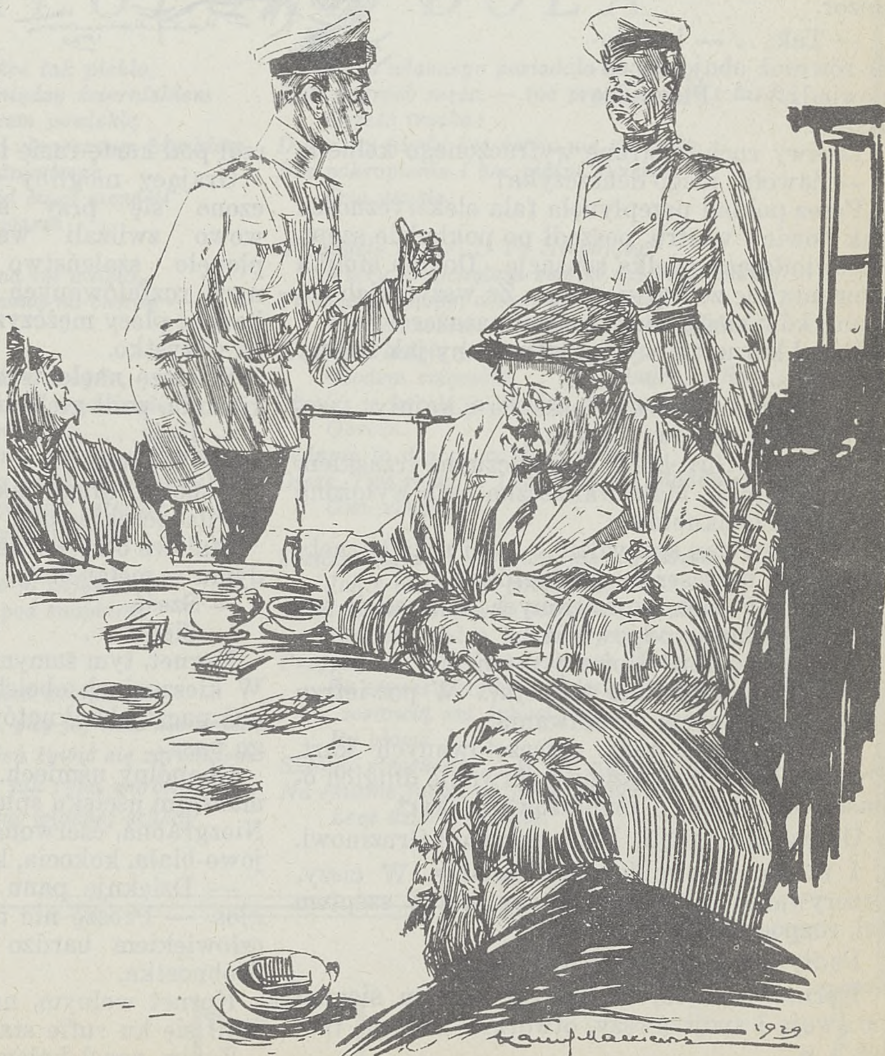
— A pan, dlaczego nie zagra?

Kornet, wskazawszy nonszalanckim ruchem na kilka walających się na stoliku błękitnych banknotów, odrzucił lekceważąco:

— O to? To nie jest gra...

— A co pan nazywa grą?...

Znowu nonszalancki gest wypieszczonej ręki



Przed kornetem wyrósł wyprężony jak struna ordynas...

i chłodne, cedzone przez ustnik papierosa słowa:

— Mogę zagrać... o pański pas...

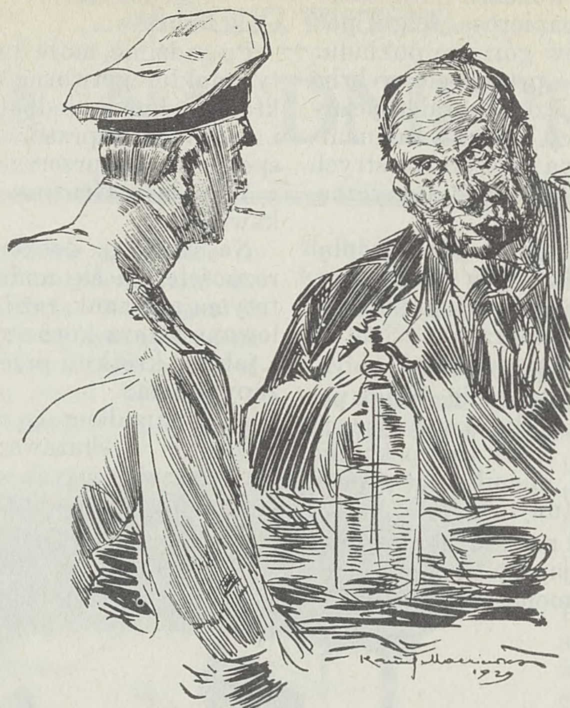
— Czy pan wie, ile w nim jest? Pięćdziesiąt tysięcy rubli...

— To drobiazg...

Nozdrza Gruzina rozdęły się. W nieznajomym począł rasowego gracza, przeciwnika, z którym warto się zmierzyć. Nieznacznym ruchem oka objął całą postać korneta w odłamku sekundy, zda się, wbił wzrok pod czaszkę, pokrytą złotawą, lekko falującą czupryną.

— Więc pan chce?... — zapytał obojętnie napozór.

— Tak... — brzmiała również obojętna odpowiedź. — Pieniądze mam...



Daję...

W zbitej, cisnącej się gromadce zcichy oddechy. Na policzkach wykwitły ciemno - krwiste rumieńce — w oczach płonęły gorączkowę połyski. Gdzieś, na dolnym pokładzie płaczliwie, jęcząco, monotonnie szlochała bałabajka.

Śliski, nerwowy szelest padających kart.

Kornet z tą samą nonszalancją, która zamieniała twarz jego w marmurową rzeźbę, a każdemu ruchowi nadawała stygmat nudy, obejrzał drugą kartę.

Z wnętrza munduru wyjął srebrną, kobiecą papierośniczkę i, zapaliwszy papierosa, wpatrzył się w błąkitny obłoczek dymu.

Na twarzy Gruzina wykwitło wahanie. Zajrzał pod kartę razie i drugi.

Grający mogliby usłyszeć bicie serc. Tłoczono się przy stoliku. Mężczyźni nerwowo zwilżali wargi, w oczach kobiet płonęło szaleństwo emocji. Szczyty bujnych rozfalowanych piersi kobiecych muskały karki i plecy mężczyzn, obojętnych w tej chwili na wszystko.

W ciszę naelektryzowanego, napiętego oczekiwania, padł głęboki, basowy głos Gruzina:

— Daję...

— Dziękuję...

I znowu, długa jak wieczność, nieskończona chwila oczekiwania.

Stalowe oczy korneta zapatrzone przez smugę dymu w melancholję przybrzeżnego stepu.

— Sześć...

— Siedm...

Kornet, tym samym leniwym ruchem powstał. W kieszeniach obcisłego munduru poczęły znikać paczki banknotów, wyłuskane ze skórzanego pasa.

Obopólny uśmiech. Nad stolikiem w gentlemańskim uścisku splotły się wyciągnięte dłonie. Niezgrabna, czerwona gruzińskiego kupca i liljowo-biała, kokocia, korneta.

— Dziękuję panu... — zabrzmiał basowy głos. — Proszę nie myśleć o tej grze. Jestem człowiekiem bardzo bogatym. Dla mnie to drobnostka.

Kornet wolnym, nonszalanckim krokiem oddalił się ku rufie statku.

Zanim zgasł koloryt rumieńców, żar podniesionych źrenic i opadła gorączkowa gestykula-

Leniwy ruch w stronę wyfraczonego kelnera.

— Zawołać mego denszczyka!

Przez pokład przepłynęła fala elektryczności. Jak powiew wiatru, poszedł po pokładzie szept, zapowiadający wielką sensację. Dokoła stolika momentalnie zebrał się tłum. Ze wszystkich zakamarków biegli zaciekawieni pasażerowie.

Przed kornetem wyrósł wyprężony jak struna ordynans.

— Przynieś bronzowy nesseser z kajuty... — padł krótki, matowy rozkaz.

Za chwilę brzęknęły metalicznym trzaskiem srebrne zamki. Mała walizeczka była wyłożona paczkami banknotów.

— Zechce pan sprawdzić... — i ręka korneta podsunęła nesseser ku partnerowi.

Kilka szybkich, wprawionych do liczenia ruchów i spokojna odpowiedź:

— W porządku. Możemy zacząć...

Dokòła stolika tłum wzrastał. W powietrzu prężyła się emocja oczekiwania.

Podano parę talij opieczętowanych kart. Dwóch panów poproszono o zerwanie długich opasek, obejrzenie i przetasowanie kart.

Gracze pociągnęli. Bank przypadł Gruzinowi.

I znowu tasowanie, przekładanie. W ciszy, przerywanej jedynie postękiem kół i szeptem fal, rozpoczęła się gra.

Padły wolno pierwsze dwie karty.

Kornet wolnym, obojętnym ruchem sięgnął po swoją i spojrzawszy, otworzył. Figura. Walet.

Przed sobą Gruzin położył damę.

cja rąk, na tyle statku rozległ się głuchy strzał.

Na pokładzie zawrzało. Brzęk chaotycznych nerwowych rozmów, jak brzęk poruszonego gniazda os, rozdarł na strzępy leniwą tępotę czerwcowego popołudnia.

Jedną z pasażerek sprowadzono do kajuty i zawezwano lekarza.

— Gruzin!... — zadygotało w tłumie.

Oparty o burtę rufy, z rewolwerem w ręku, gwiżdżąc najmodniejszy romans cygański, stał kornet. Zrozumiał widocznie nieme pytania, czające się w kilkudziesięciu osłupiałych źrenicach, gdyż tym samym zimnym, nonszalanckim tonem, rzucił:

— Musiałem wystrzelić kulę, która była przeznaczona dla mnie... Pieniądze były rządowe...

Prute stalowemi kołami "Bohatyra" fale Dniepru szumiały monotonnie, sennie, apatycznie...

JAN KASPROWICZ

CHŁOPSKA DOLA

Ona usnęła... Dziś słońce tak piekło,
Że wszystkie trawy pomiędzy ścierniskiem
Nawpół powiędły i kurzem powlekłą
Skroń swoją kryły przed słonecznym błyskiem.
Wiązaniem żyta zajęci żniwiarze
Poszli wypocząć śród cieni mendeli
I ogorzałe przysłonili twarze
Weseli,
Gdy siły praca nadmierna im wzięła,
Że choć z południa odetchną na chwilę —
Ona usnęła.

Mąż ukochany spoczywa w mogile,
Drugie już żniwo, a od syna dzieli
Ziemi ją tyle, ach! i wody tyle,
Że okiem ludzkiem nie zmierzysz topieli.
Kto wie, czy wróci? Czy zamknie jej oczy?
Wczoraj mu talar posłała ostatni:
Dziś i za morzem przybysze roboczy
Niepłatni!...
Pot jej wystąpił i boleść ją zdjęła,
Rzuciła wiązkę i siadła pod snopkiem
I tak usnęła.

Ciężka to dola zawisła nad chłopkiem,
Cięższa nad wdową, gdy jej nikt nie bratni,
Krwawym z dnia na dzień żywić się zarobkiem
I tak wciąż dyszeć, jak ryba wśród matni.
Dawniej to jeszcze kawał własnej schedy
I kęs własnego posiadała chleba,
Lecz pogrzeb męża — toć przecie, choć z biedy,
Grześć trzeba:
Dusza by nigdy bez świec nie spoczęła,
Bez pokropienia i bez pieśni świętej...
Ona usnęła.

O Chryste Panie! O Ty Niepojęty!
Który przychylasz swoim dzieciom nieba!
Tu ciężkie snopy, a tam łan pocięty
Leży pokosem — bogactw pełna gleba,
A jednak ludzie jak bedłki padają
Głodem zmęczeni... Ty jednych, o Boże,
Stroisz w korale, a drudzy dźwigają
Obroże.
Jednym to dajesz, co drugim ujęła,
Ojcze, Twa ręka... Lecz któż Cię odgadnie? —
Ona usnęła...

Została chata... Bóg wie jak wypadnie,
Jakie biednemu gotuje się łoże?
Świat wobec biednych postępuje zdradnie:
Już może jutro, lub dziś jeszcze może
Przyjdą z urzędu i na drzwiach chałupy
Za czynsz przylepią znaczki urzędowe
I nie zostawią ani śmieci kupy,
By głowę
Skłonić stroskaną... W lód się myśl jej ścięła
Na smutne jutro, na jutro lodowe,
Lecz dziś — usnęła.

MACIEJ WIERZBIŃSKI

ECHO MIŁOŚCI

NOWELA

W BIAŁY dzień styczniowy roku 1897, gdy sanki mknęły po Warszawie, dzwoniąc jej coś o karnawale, w świetnym saloniku magnackiego domu pp. Lechowiczów, błyszczącym od mahoni i kryształów, jakby według obrazu Czachórskiego urządzonym, rozmawiały dwie strojne damy, tualetą tak z otoczeniem sharmonizowane, że zdały się gigantycznemi kwiatami, nieodzownemi jako pointe'a w tem skończenie wykwintnem wnętrzu, lub barwnie przybranemi cukierkami w bonbonierce.

Zwiędła, a pachnąca modnemi perfumami pani Teresa Podlipska odbywała przy czekoladzie przegląd spraw karnawałowych z królową salonów, zawsze jeszcze piękną panią Hanną Lechowiczową, do której przywiązały ją kult blasku i zwykły snobizm.

— Moja droga — mówiła, atakując herbatniki — wspominałaś mi kiedyś, że znałaś dawnemi czasy Lucjana Choronieckiego, tego krezusa kaukaskiego, o którym opowiadają sobie bajkowe rzeczy.

— Choronieckiego? — Nazwisko to działało rozciekawiająco — znałam go przed laty... Ale skąd nagle wpadłaś na niego?

— Bo przyjechał do Warszawy.

— Przyjechał?!... — padła szybko, bez tchu.

— Arcyciekawy jakiś człowiek. Wiedzie żywot mizantropa, czy księcia z bajki w cudownej wili na Kaukazie, jeździ wspaniałym jachtem po Morzu Czarnem, potrącając o brzegi Turcji, Grecji, Egiptu, i znów zamyka się w romantycznych górach z jakąś cudnej urody Gruzinką... Ale któż to może wiedzieć? Otacza go mgła tajemniczości.

Pani Hanna, biorąc w siebie każde słowo przyjaciółki, zapatrzyła się martwo w wazon kwiatów.

— Nie ożenił się?

— Nie.

— A co go tu sprowadziło?

— Zapewne interesy naftowe, może też zatęsknił za rodakami. Mąż, pan Karol — poprawiła się pani Teresa — będzie ci mógł zapewne coś o tem powiedzieć.

— Czy zamierza bywać w świecie?

— Jutro będzie na raucie u Zaworskich. Więc zobaczymy go. Podobno jeszcze wcale nie stary, a bardzo, bardzo przystojny. Przypominasz go sobie?

— Trochę... To już dawno... Pochodzi z Odesy. Nie słyszałam o nim prawie nic od lat dwudziestu i dwóch czy trzech.

Pani Teresa musiała zadowolić się półsłówkami i czekoladą. Ale, nim odeszła, pani Hanna ozwała się do niej:

— Czy nie spotkasz dzisiaj gdzie pana Choronieckiego?

— Mogłabym może dowiedzieć się od mego kuzyna gdzie on będzie z wieczora i... tak manewrować, by się do niego zbliżyć — odrzekła usłużna pani Podlipska, wyczuwając w pytaniu przyjaciółki gorące życzenie, i zatopiła w nią ciekawe spojrzenie.

— Jeśli go spotkasz, Tereniu, to... wspomnij mu o mnie.

— Dobrze, dobrze... A zatem do jutra, u Zaworskich.

Ale pani Lechowiczowa nie ukazała się tam wcale, z tej przyczyny, że tak ogromnie zapragnęła ujrzeć zmartwychwstałego pana Lucjana, tak ogromnie, że pragnęła, aby on zapragnął ją ujrzeć i przyszedł do niej z wizytą, nim spotkają się w towarzystwie. Tego oczekiwała, o to modliła się wszystkiemi fibrami serca.

Państwo Lechowiczowie przybyli do Warszawy przed dziesięciu laty i prowadzili dom otwarty na wielką skalę. Pan Karol, inżynier i finansista o niepozornej powierzchowności, zrobił w Rosji wielki majątek i w finansierze warszawskiej zajął wybitne miejsce. Swego czasu ożenił się z uroczą panną Hanną Gryliński, urodzoną w Odesie z matki Rosjanki, i miał dwie córki, które wyszły za mąż na wieś i nie często pojawiały się na świetnych przyjęciach u rodziców, gdzie w całem tego słowa znaczeniu królowała ich matka, czterdziestoletnia, a ponętna, urocza, przemiła pani Hanna.

Wiek nie wyrządził jej wielkiej ujmy. Gdy w paryskiej tualecie, z jasnemi włosami wysoko uhełmionemi, z perłami na ślicznie utoczonej szyi, z diademem nad śnieżnem czołem wchodziła na posadzkę salonu, lubo nie wysoka, a w biodrach za szeroka, wzbudzała dreszcz zachwytu, jako czarowna zjawa brylantowej kobiecości. Rysy jej twarzy zwłaszcza z frontu — przypominały kameę i bił od jej postaci fascynujący wdzięk, płynęły smugi łagodności i uśmiechy słodyczy. Drżał w niej ton liryki buduarowej i miała moc nastrajania ludzi na nutę dolce far niente. Przy niej życie wydawało się słonecznym snem bez chmurki.

Jeszcze w tym wieku pani Hanna miała gorących wielbicieli i złe języki opowiadały o jed-

nym jej zięciu, że "kochał się w niej na zabój, aż w końcu wziął sobie nieszczególną jej imitację za żonę", przyczem określenie "w końcu" komentowano rozmaicie.

A o mężu jej nie wspominano nigdy. Istniał on jakby góra niewzruszona i niema, złocistym blaskiem oświetlająca nadobną tą istotę. To było jedyną jego funkcją. Nie wchodził w ramy jej istotnego życia. Stosunek ich, zawsze wolny od gorącego afektu, nacechowany był chłodną poprawnością ludzi kontraktem związanych, a nie przeszkadzających sobie wzajemnie. Byli żywym sprawdzianem aforyzmu: z każdym można być szczęśliwym, byle go nie kochać".

Los szczodrobliwy złożył pani Hannie u stóp najcenniejsze dary: zdrowie, fortunę, niepospolitą krasę, powodzenie w świecie i hołdy giermków. Czepiały się jej zatem zazdrość i plotki, ale mężczyźni, łatwo wdziękiem rozbrajani, odnosili się do niej z bezbrzeżną pobłażliwością i sympatją. Na szczęściu jej istniała tylko jedna plama o tyle, że między nią a córkami panował rozdźwięk i na tem tle rozwinęła się w pannach Lechowiczównych animozja do matki, zabierającej im sukcesy towarzyskie. Odkąd jednak wyszły one za mąż i ten cierń znikł ze złotem przetykanego pasma jej dni.

Mimo to z przesytu wysnuwał się niekiedy cień smętku i dnia tego popielatą pajęczyną omotał słowiańską duszę pani Hanny, pogrążył ją w zadumę. Zwabiły go dwa magiczne słowa: Lucjan Choroniecki.

Przecież to był jej młody i wonny poemat miłosny... A czar jego spłynął z wyspy Cytery i zamykał jej oczy na wszystko, co leżało między nim a dziwnie spłowiałem dzisiaj.

Chociaż ojciec Lucjana długo nie chciał słyszeć o amorach i małżeństwie syna z córką pana Grylińskiego, który nieosobliwą miał reputacje w odeskiej kolonji polskiej, a zdał się spekulować na dobrą partję dla urodziwej córki, uległ wreszcie rozbrajającej miłości młodej pary. Atoli chłopak był młody i nieskończony. Kazał mu tedy wpierw wyjechać na półtora roku do Stanów Zjednoczonych na studja w kopalniach nafty. Więc Lucjan ze ściśnionem sercem pożegnał się ze swą bogdanką, mówiąc:

— Jeżeli pani nie posłyszy ode mnie, nie moja będzie wina. Przyrzekłem ojcu, niema rady. Ale panno Haniu (tak ją zawsze nazywał) pani wie... wie wszystko... Ja tak panią kocham..."

Odjechał.

"Ja tak panią kocham". Ileż to razy słyszała ona ten dźwięk gorący! A jednak wówczas brzmiało to niby upojny akord miłosny w uszach prymitywnej istoty co jeszcze nigdy nie słyszała muzyki. On przez to brał ją na własność, powoływał z sobą na ucztę pełnego życia, w kwiecisty gaj czarów.

A jednak tak się stało, że w kilkanaście miesięcy po wyjeździe Lucjanna Hania została panią Karolową Lechowiczową. Czemu? Bo, jak ojciec jej, nie miała charakteru. Osaczono ją swatami, wytworzono dookoła niej atmosferę zwątpienia o sercu i pragnienia złota. Zamiast życia obiecywano jej użycie i sprzedano ją poprostu.

Odtąd życie jej było festynem. Pierwsza miłość sczezła w wirydażu serca, zamarła pod snopem kwiatów miłosnych, które wnet wydawały się festonami z sali balowej, papierowemi naśladownictwami pachnących róż, co niegdyś kwitły w jej sercu dla niego.

Lucjan! Jej młodość, jej miłość, jej szczęście! Jedyny jej wybraniec i kochanek! Boże jak cudną była ich sielanka! Jak ona go kochała!

Na wieść o jego przybyciu i w poczuciu, że ujrzy go, dotknie jego ręki, spojrzy w jego oczy, rozmarzyła się jej głowa i miłość przyszła znów do niej powrotną falą, by odmłodzić ją i wonią swą napełnić jej duszę. Odczuła czar miłości — czar, bez którego miłość nie jest miłością, i skupiła się w namiętnem oczekiwaniu czegoś, co miało zapoczątkować nową erę jej dni.

Wszystko dookoła postradało nagle swą wartość, obnażyła się konwencjonalność jarmarku jej bytowania, jego jałowa, bezkrwista treść. Zapragnęła wstrząsu, co wyzwoliłby z niej potęgę jej uczuć, a nić jej życia, jednostajnie biegnącego po posadzce salonu, wzniósł na wyżyny miłości. Nie zabawy, miłostki, rozkoszy — zapragnęła szczęścia i poczęła kochać Lucjana już nie zwiewnem majowem uczuciem dziewiczem, lecz upragnieniem całej duszy.

Echo bywa potężniejsze i piękniejsze od tonu, który je stworzył.

Pan Lucjan nie pojawił się u niej. Ale nie mógł nie wiedzieć o jej istnieniu przy boku p. Lechowicza, o jej urodzie i powodzeniu. (Od czego była pani Teresa?) Więc przyjdzie jutro. A jeżeli w jego pamięci przechował się cień żalu i urazy, zwieje go płomienna ciekawość — echo miłości.

Pani Hanna spędziła wieczór ze swemi myślami o tem, co będzie, gdy zobaczą się sam na sam. Zaświeciła swą nieobecnością u pp. Zaworskich, bez względu na przystojnego p. Edwarda, który oczekiwał jej tam, by wybłagać i ukartować z nią nową schadzkę. Uwikłała się w ten romansik dlatego, że on pożądał jej tak płomiennie, dawał jej złudę miłości, a bez tego życie przybierało tak pastelowe barwy.

Niechaj Edward przetęskni za nią ten wieczor. Niechaj umizga się do złotodajnej panny Satymberżanki, a nawet z nią zaręczy! Wszystko było przelotne — prócz jej miłości do Lucjana, która, bądź jak bądź, spoczywała w nurcie jej słowiańskiej duszy przez te wszystkie lata, niby nasienie skruszonego maku w ziemi, jeśli rozwinął się w niej taki bujny wspaniały kwiat.

Około południa wtargnęła z niemałym poszu-

mem pani Podlipska, wielce zaintrygowana kwestją, dlaczego pani Hanna nie ukazała się na raucie. Zaspokojona jakokolwiek w swej ciekawości, miała sobie za obowiązek opowiedzieć o tem zebraniu "wszystko".

— A ten Choroniecki... — jechała z coraz większym rozpędem — kto wie, czy cię nie oczekiwał, bo (nie mówiłam ci jeszcze) widziałam go już przedtem i przygotowałam... Wie jaką rolę grasz w świecie i wie, że pragniesz zobaczyć u siebie dawnego znajomego.

— Co mówił?? — wpadła pani Hanna.

— Co mówił? — stropiła się pani Teresa — przyznam ci się, że nie umiałabym tego powtórzyć. Mówił, że poznał twego męża, że ma z nim jakieś interesy, bąknął coś o twej córce. Zresztą... przywtarzał mi: "słyszałem, słyszałem". Pytał się, kto malował twój portret, który był w Zachęcie.

— A skąd o tym portrecie posłyszał?

— Widział go swego czasu w Tygodniku.

— I co o nim mówił?

— "Zdaje się dobry portret, doskonały..." wycedził. Bo, muszę ci powiedzić, to strasznie zrównoważny człowiek. Każde słowo kładzie na jakąś wagę, podpisuje niem jakiś cyrograf, a przez to egzotyczne robi wrażenie. Powiedziałabym: Anglik. Ale ogromnie dystyngowany, "portretowy" (powiedział o nim Ignaś) i... ładny. Może się bardzo podobać. Notabene pan Edward dopytywał się o ciebie.

— I co mówił jeszcze Choroniecki?

— O tegorocznych modach. O sobie ani słowa. Wybiera się dzisiaj na operę z Kaunitzami, którzy paradują z nim i pokazują siebie w jego dostojnem towarzystwie, ha, ha!

Tu pani Podlipska rozgadała się o owych Kaunitzach. A pani Hanna uleciała od niej myślami. Z wieczora, gdy pan Lucjan zawiódł ją w oczekiwaniu, zamówiła lożę w operze.

Wystawiano "Trawiatę". Pani Hanna w towarzystwie pani Podlipskiej słuchała, nie słuchała, bo z muzyką Verdi'ego plątala się muzyka rozkołysanego serca. Była jakby w stanie hypnozy. Dominowało nad nią napięte oczekiwanie, a gdy ujrzała "go" za błękitnemi jedwabiami pani Kaumitzowej naprzeciwko w loży, wpadła w stan upojenia. Podniosła lornetkę.

Zmienił się bardzo, czoło wyrosło w górę, wkradło się dwoma językami w niesiwe, ciemne, przygładzone włosy. Twarz wygolona z suchym nosem, nabrała ogromnej wyrazistości swoistej. Dawny Lucjan był tylko szkicowem przeczuciem tego mężczyzny. Tak, mężczyzny. Bo z tych rysów wyzierał mężczyzna, który wie czego chce i umie chcieć. A więc był jeszcze piękniejszy...

On skierował na nią lornetkę. Przyknęła powieki; jakby pod potężnego reflektora działaniem, a po nerwach jej rozkołysanych szło drżenie, pełne lęku i radości. Dawno nie czuła się tak piękną, taką królową. Wzniesiono ją ponad świeczniki świata wysoko i rozkwitała wiośnianie.

Kurtyna zapadła. Pauza. Pan Choroniecki wyszedł z loży. Serce pani Hanny załomotało młotem. Przybladła, gdy zaskrzypiały drzwiczki i nieprzytomna podała rękę dystyngowanemu panu, który stanął przy niej, świecąc tarczą koszuli.

— Przypominam się pani — ozwał się do niej spokojny, dźwięczny głos i usta musnęły jej palce. — Cieszy mnie, że spotykam panią w miłym świecie warszawskim...

— Pan przyjechał na długo?

— Jeszcze zabawię kilka dni.

Pani Hanna opanowała się trochę, lecz nie śmiała spojrzeć jeszcze wprost w jego oczy. Chciała powstać, przejść w głąb loży, by tam swobodniej z nim rozmawiać, lecz przypomniała sobie, że ładniej wyglądała w siedzącej postawie. Została na miejscu. Ale subtelna pani Teresa znikła z loży w czasie ich konwencjonalnego dialogu i p. Choroniecki siadł tuż przed nią ciekawie a uważnie zapatrzony w jej twarz niezmiernie ożywioną dziewiczym półśmiechem.

Zwiesiła głowę w czarownem zalęknieniu.

— Mam nadzieję, że pan mnie odwiedzi...?

— Niestety, nie wiem, czy czas mi pozwoli, bo...

Umilkła. Westchnęła całą piersią, zebrała odwagę i spojrzała w jego wyraziste, kasztanowate oczy.

To był "on" i ona kochała go jak nigdy w życiu.

— Panie Lucjanie, czy my nie mamy porachunków z sobą?

— Nie sądzę, proszę pani — odrzekł bez wahania stanowczo. — Ja nie mam żadnych długów.

— Ale... ja...! — szept blady spadł z jej warg i wsparła zwieszoną główkę na ręku.

— To rzeczy przedawnione...

— Ale nie umarłe... wyszeptała po chwili cichuteńko w bolesnym skurczu serca.

On poruszył się w krześle, ramię jego zadrżało na pluszowej rampie loży, lecz mówił spokojnie słowo za słowem:

— Pani zapewne czytała to kiedyś w jakiejś powieści niezapomnianej... a nie całkiem dokończonej. Finał jej był taki, że młodzieniec powrócił do Odesy sześć tygodni przed zgóry wyznaczonym terminem swego powrotu, a dwa tygodnie... po ślubie panny Hani...

— Oh!...

— Poszedł wtedy nad morze...

— Oh, panie Lucjanie!... — zawołała nieprzytomna dama żarliwie, jakby chciała zasłonić się przed ciosem.

— ...nad morze i powiedział sobie te słowa: Już nigdy... nigdy...

— O, panie Lucjanie! To okropne. Gdybym ja pana spotkała dzisiaj na ulicy w łachmanach,

nie ujrzałabym w panu nic, tylko dawnego Lucjana... — wytrysło z głębin duszy.

Milczenie padło między dwie marmurowe twarze.

— Powiedziałem sobie wtedy: już nigdy! A ja nigdy nie złamałem słowa... Nigdy...

Czas stanął w biegu i skamieniało wszystko.

Weszła do loży pani Teresa. Ozwała się orkiestra. Podniosła się kurtyna. Wyfrakowany mężczyzna powstał szybko, skłonił się i wyszedł z loży bez szelestu.

— — — — — — — — — — — — — — —

W tych czasach zbieraliśmy się przy marmurowym, jak uprzywilejowanym stole w cukierni Lourse'a. Otaczał go pewien nimb, jakby nasze grono składało się z elity obywateli, piastunów i twórców opinji publicznej i Bóg wie jakich prowodyrów, filarów, dostojników. A tymczasem przeżuwało się tam dzienne sprawy, nie tyle Warszawy ile Warszawki, nie zatykając uszu na dobry żart i koncept.

I tak w styczniu tegoż roku 1897 gawędziliśmy swobodnie nad czarną lub białą, gdy zbliżył się do nas z ogromnie zafrasowaną miną Adaś Witkowski. Instynktownie zwróciły się na niego oczy. A on, naładowany widocznie wstrząsającą wiadomością, zlustrował zebranie, zatrzymał wzrok na twarzy młodego przystojnego adwokata, pana Edwarda, zawahał się i dopiero po długiej chwili ozwał się:

— Niema co chować tego pod korcem. I tak spiorunuje to całą socjetę... Powiem wam nowinę sensacyjną... Otóż nasza urocza pani Anna Lechowiczowa odebrała sobie życie. Znaleziono ją dziś rano na otomanie, bez życia, z próżną buteleczką trucizny, zaciśniętą w dłoni... Straszne! Rzecz niepojęta, zgoła niepojęta!...

Przykre osłupienie zamknęło nam usta, a potem wylał się wraz z niesłychanem zaciekawieniem szczery żal. Nie wszyscy zauważył, że p. Edward pobladł śmiertelnie, skamieniał, a po chwili znikł do stołu.

Pogoniły za nim spojrzenia i, gdy później po tłumnym pogrzebie pięknej pani Hanny (jak opiewały klepsydry "zmarłej po krótkiej chorobie") łamaliśmy sobie zawsze jeszcze głowę nad rozwiązaniem trudnej łamigłówki, nad przyczyną samobójstwa pełnej życia kobiety, której życie dało wszystko, wnikliwy pan rejent K. pouczył nas uroczyście:

— A ja wam powiem, że jeden pan Edward zna tę tajemnicę. Ot co było! Począł smalić cholewki do... pewnej panny, myśleć o dobrym ożenku, a miłość, panie dzieju, miewa różne drażliwości.

Wszyscy przyjęli to za fakt. Utwierdził ich w tem przekonaniu sam pan Edward; jeździł bowiem często na grób uroczej, nieodżałowanej pani Hanny i składał na nim wieńce najpiękniejszych kwiatów.

Ludzie wszystko wiedzą o bliźnich, ale prawie zawsze źle.

REMIGJUSZ KWIATKOWSKI.

Z AFORYZMÓW WSCHODNICH

Nie ten cnoty wzorem,
Kto ma wór pieniędzy
i potrząsa worem,
nie ten cnoty wzorem...

Lecz ten, kto jej torem
zdąża, chociaż w nędzy —
nie ten cnoty wzorem
kto ma moc pieniędzy.

Burza trzcin nie tyka,
jeno dęby wali
i dalej pomyka,
ale trzcin nie tyka...

Czuwaj! Stąd wynika,
gdy ważysz na szali —
burza trzcin nie tyka
jeno dęby wali.

I na rumowiskach
wschodzi kwiat lotosu
w barwy swej pobłyskach
i na rumowiskach...

Dzieci, gdy w kołyskach
nieświadome losu —
i na rumowiskach
wschodzi kwiat losu.

Wzorem bądź samemu sobie,
nie innych papugą,
nic nie wskórasz w tym sposobie,
wzorem bądź samemu sobie...

W naśladownictw złej chorobie
zmarniejesz niedługo —
wzorem bądź samemu sobie
nie innych papugą.

W ZARANIU ŻYCIA

Dzieckiem nazywamy każdą jednostkę ludzką w pierwszym okresie jej życia. Pojęcie dziecka oznacza więc nie taką czy inną jednostkę ludzką, lecz tylko pewien okres, który przeżywa każdy człowiek. Można wyróżnić w nim pewne podokresy, a mianowicie: okres niemowlęctwa, dalej okres wczesnego dzieciństwa, okres późnego dzieciństwa, kończący się wielostronną przemianą ustroju dziecka w momencie dojrzewania czyli pokwitania.

Niemowlę przychodzące na świat jako noworodek, zmienia zasadniczo swój dotychczasowy mechanizm życia. W okresie poprzedzającym narodziny, żyło w łonie matki, chronione warstwą wód płodowych i błonami ochronnemi. Nie traciło ono w tym okresie ciepła. Płód odżywiał się kosztem substancyj pobieranych wprost z krwi matki, a jego przewód pokarmowy, podobnie jak płuca, nie rozpoczął jeszcze swych niezbędnych dla dalszego samodzielnego życia czynności. Z chwilą przyjścia na świat, płód przestał być tworem żyjącym kosztem ustroju matki, a stał się w danej chwili „dzieckiem". Tuż po urodzeniu następuje pierwszy głęboki wdech dziecka, któremu towarzyszy też pierwszy krzyk. W tym momencie pęcherzyki płuc wypełniają się tlenem, a naczynia krwionośne płuc rozpoczynają swoją niezwykle ważną dla życia pracę dostarczania tlenu dla tkanek. W pierwszym okresie życia niemowlę karmi się wyłącznie płynami.

Noworodek wykazuje niezwykłą energję wzrostu. W okresie pierwszych miesięcy życia, przybiera on codziennie na wadze. Rosnący tak szybko organizm niemowlęcia oddycha szybciej, niż człowiek dorosły. Także ilość uderzeń serca, dająca się stwierdzić przez badanie tętna, jest znacznie wyższa niż w latach późniejszych.

W ciągu pierwszych 7-9 miesięcy niemowlę nie posiada zębów, tylko bardzo twarde wzniesienia błony śluzowej, ułatwiające mu ssanie. Z chwilą pojawienia się zębów mlecznych, niemowlę uzyskuje aparat do rozgryzania stałych części pokarmowych.

Przez cały okres niemowlęctwa trwa wzmożona wrażliwość odruchowa, która prowadzić może w wypadku choroby do ogólnych kurczów ciała.

Wedle opinji fachowców, dziecko tylko stopniowo uzyskuje zdolność orjentowania się w świecie zewnętrznym i na przykład całe bogactwo kolorów otoczenia rozróżnia i pojmuje w pełni dopiero w 5 lub 6 roku życia.

Niemowlę nastawione jest początkowo na odbieranie wrażeń ustrojowych, jak głód, pragnienie, nudności, duszność, zmęczenie, senność i t. d., a dopiero stopniowo staje się wrażliwe na dziwy świata.

Niemowlę śpi prawie całą dobę z małemi przerwami. Budzi je uczucie głodu. Dziecko sypia 12-14 godzin, młodzieniec lub dorastająca dziewczyna 8-9 godzin, podczas gdy osobnikowi dorosłemu wystarczy 6-8 godzin snu na dobę. Pierwszy więc okres życia, to okres intensywnej choć ukrytej pracy wewnętrznej, przygotowującej pierwotny ustrój dziecka do życia.

Rozbudowa złożonego narządu trawienia wraz z jeszcze więcej złożonym układem przyswajania nie wyczerpuje pola przygotowania się dziecka do życia. Aby utrzymać się przy życiu, nie wystarczy być przygotowanym jedynie do trawienia otrzymanego pokarmu. Należy być też przygotowanym na odcinku zdolności znalezienia tego pożywienia. Dla tego celu ustrój ludzki posiada osobny narząd. Narządem tym jest mózg.

Cały ciężar ilościowej rozbudowy mózgu przypada na miesiące życia płodowego i pierwszych lat życia dziecka. W pierwszym roku życia dziecku przybywa stale substancja mózgowa. Również pod względem jakościowej budowy mózgu ustrój dziecka dokonywa niezwykle wielkiej pracy prowadzonej w niezwykle pospiesznem tempie.

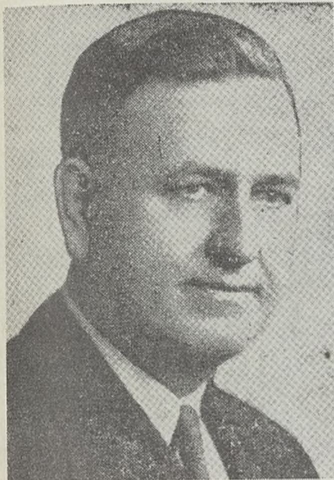
Taka sama praca, jak przy rozbudowie narządu mózgu, odbywa się w ustroju dziecka przy rozbudowie innych narządów i układów: kostnego, mięśniowego, krwionośnego, krwiotwórczego, układów wydzielania doustrojowego i wydalania pozaustrojowego, układów obronnych i t. d.

Zawrotne tempo rozbudowy ustroju dziecięcego jest korzystne, ale jednocześnie kryje w sobie wiele niebezpieczeństw. Dziecko przychodzi na świat z szeregiem narządów rozbudowanych jakby na zapas (mózg, płuca, przewód pokarmowy). Jednocześnie ustrój dziecka rozbudowuje się dalej, nie przerywając swego udziału w życiu.

Krótka Historia Kolegium Związkowego

w Cambridge Springs, Pa.

NA SEJMIE XV Związku Narodowego Polskiego, odbytym w Wilkes-Barre, Pa., w r. 1903, rzucono fundamenty pod dzisiejszą Szkołę Związkową, przez powołanie do życia między innymi tak zw. "Komisję Oświaty i Szkolnictwa", która miała się zająć zorganizowaniem podstaw finansowych przyszłej te instytucji szkolnej. Członkowie komisji, rozwinęli energiczną działalność, którą ukoronowała uchwała Sejmowa, opodatkowując członków Zw. Narod. Polskiego po cencie miesięcznie na ten cel. Podatek ten, na następnym Sejmie, w Buffalo (1905), podniesiony został do 2-centów miesięcznie. Kiedy następnie przelano do kasy Komisji resztę funduszu z budowy pomników Kościuszki i Pułaskiego w Waszyngtonie, Komisja już na Sejmie w St. Louis (1911), mogła się wykazać poważnym funduszem dochodzącym do $75,000.00.



ARTHUR P. COLEMAN
Prezydent Kolegium Związkowego

Chodziło już teraz o konkretne plany budowy gmachu szkolnego. W tym właśnie czasie Ks. Seweryn Niedbalski z Erie, zwrócił uwagę Cenzora p. Antoniego Schreibera, na wspaniały budynek hotelowy w Cambridge Springs, Pa., który był do nabycia za okazyjną cenę $175,000.00. Cenzor zwołał zjazd Komisji Szkolnictwa, Rady Nadzorczej i całego Zarządu Głównego, do Cambridge Springs, na 4-go grudnia, 1911 r. i na tym to zjeździe kupno budynku "Vanadium" zostało jednogłośnie uchwalone i przeprowadzone. Kolosalny, kilkaset pokoi liczący gmach, górujący nad całą okolicą, wraz z 160 akrową farmą, stawami, laskiem, wraz z całym komfortownym urządzeniem, musiał zaimponować przybyłym i też uznany został jednomyślnie za świetną okazję zrealizowania upragnionej wizji. W następnym roku, przystąpiono do przeprowadzenia koniecznych przeróbek pod kierunkiem p. Marjana Stęczyńskiego, który zrezygnował był z urzędu prezesa Związku, aby osobiście dopilnować materjalnej strony instytucji. Stronę wychowawczo-naukową, powierzono profesorowi Romualdowi Piątkowskiemu, który już wtedy cieszył się reputacją świetnego i światłego pedagoga, reputacją, zdobytą długoletnią pracą wychowawczą w Orchard Lake. Wśród skompletowanego przez rektora Piątkowskiego fakultetu, znajdowali się również doświadczeni na niwie pedagogicznej nauczyciele, jak prof. Piwowarski, Dolewczyński, Fijałkowski, Janusz Ostrowski i inni.

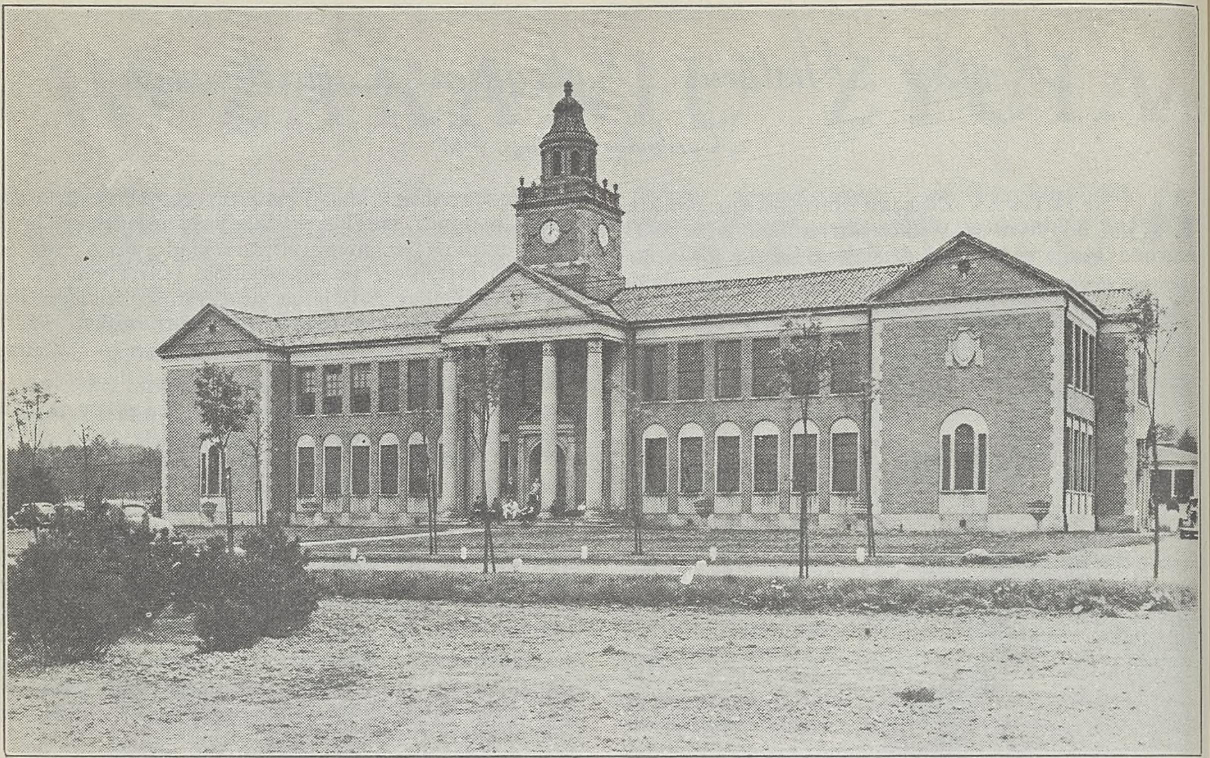
Z otwarciem nowej uczelni, natychmiast napłynęła w mury szkolne wielka ilość młodzieży, bo aż 326 uczniów; co niewątpliwie świadczyło o tym, jak bardzo instytucja ta odpowiadała potrzebom Polonii Amerykańskiej. Oficjalna uroczystość otwarcia Kolegium, odbyła się dnia 26-go października, 1912 r., w obecności ówczesnego Prezydenta, ś. p. Williama Howarda Tafta.

Spokojny i ewolucyjny tryb życia i pracy w Szkole w pierwszych latach nie pozbawiony był i silniejszych momentów. Działalność Szkoły Związkowej zaznaczyła się szeregiem posunięć o dużej wartości wychowawczej i ideowej. Na terenie Szkoły i przy czynnym współdziałaniu władz szkolnych, przeprowadzono w Cambridge Springs, Kurs Podoficerski Sokolstwa, Szkołę Podchorążych Ochotniczej Armii Polskiej z Ameryki, kurs zawodowego wykształcenia żołnierzy Armii Amerykańskiej. Po wojnie, Szkoła Związkowa zaopiekowała się czynnie dziesiątkami polskich sierot z Syberji, przysłanych tu z Mandżurji, dając im fachowe przygotowanie w zakresie mechanicznym i technicznym.

Wspomniane wyżej kursy zawodowego wykształcenia dla kilkuset żołnierzy Armii Amerykańskiej, oraz techniczne przygotowanie młodzieży polskiej z Syberji, stały się możliwe, dzięki temu, że w r. 1915, założono przy Kolegium, Instytut Rzemieślniczy, którego celem było i jest kształcenie młodzieży polskiej na fachowych i lepiej płatnych rękodzielników i mechaników na gruncie tutejszym. Inicjatorem tej wysoce pożytecznej instytucji był prof. Zwierzchowski, organizatorem prof. Gwiazdowski, — a długoletnim kierownikiem prof. Kozaczka, którego funkcje obecnie chlubnie sprawuje prof. E. Kruszka.

Wojna światowa wywołała oczywiście poważne przeobrażenia także w założeniach ideowych i programie Szkoły. Pierwotną ideą założycieli i kierowników tej Szkoły było uczynić z instytucji tej naszej zakład naukowy i wychowawczy w duchu rdzennie polskim, służący zasadniczo sprawie krzewienia i pogłębiania tradycyj kulturalnych Ojczyzny, wzorowany na zakładach naukowych w Polsce. — Językiem wykładowym był oczywiście język polski. — Ideologia ta nie dała się długo utrzymać i to z wielu powodów. — Przedewszystkiem w grę weszły uprawnienia i słuszne wymagania samej młodzieży, która ze studiów naukowych w Kolegium Związkowym pragnęła czerpać pewne praktyczne korzyści życiowe. Dopóki zaś instytucja nasza nie była zatwierdzona przez oficjalne amerykańskie władze szkolne, dyplomy Szkoły naszej nie dawały młodzieży koniecznej rękojmy, że będą mogli korzystać z pełni przywilejów, gwarantowanych przez amerykańskie instytucje szkolne.

Następnie, wobec zanikającego z każdym rokiem dopływu rdzennej młodzieży z Polski, a zwiększającej się liczby młodzieży urodzonej w Ameryce, językiem wykładowym musiał stać się język angielski, co ostatecznie nastąpiło w roku 1919, pozostawiając jedynie przedmioty polskie wykładom po pol-



Budynek Szkolny

sku. Rzecz zrozumiała, że zmiany te dokonywały się przy akompaniamencie ostrych tarć, dyskusyj i walki ideowej, między zwolennikami różnych koncepcyj wychowawczych. W rezultacie tych tarć, prof. R. Piątkowski, którego działalność pedagogiczna zaznaczyła się tak chwalebnie, złożył swą rezygnację z kierownictwa. Przez kilka lat po jego ustąpieniu, nastąpiło pewnego rodzaju prowizorium w kierownictwie ideowym Szkoły. Wyrazem wysiłków i dążeń do uzgodnienia różnych poglądów i kierunków, były częste zmiany na stanowisku kierowniczym Kolegium, oraz szukanie najodpowiedniejszego rozwiązania drażliwej a trudnej sytuacji.

Pewnym wyjściem z położenia tego było zamianowanie rektorem Szkoły znanego wybitnie działacza narodowego i pisarza, Wacława Gąsiorowskiego, który stanowisko to piastował przez siedem lat. Konieczności zmuszały Szkołę do pełnego rozwinięcia normalnych trybów działalności naukowej, w języku angielskim, wskutek czego cały program ideowy, działalność narodowa i obywatelska przeszły automatycznie, na departament polonistyczny. Równocześnie dla ułatwienia młodzieży polskiej wyższego wykształcenia, zaprowadzono w roku 1925, tak zwany "Junior College", czyli podstawę do regularnych kursów uniwersyteckich.

Zmiany te, odpowiadały najwidoczniej wymaganiom młodzieży, która znów zaufanie swoje zamanifestowała wyjątkowo znacznym dopływem nowych studentów do naszej uczelni. Lustracja Szkoły przez władze szkolne stanu Pennsylvania, wypadła dla naszego zakładu pochlebnie, wobec czego jego byt został przez autoratywne czynniki Związku, utrwalony jako dla przyszłości naszej konieczny. Zaczęto więc rozbudowywać laboratoria, powiększono znacznie bibliotekę szkolną, oraz zabrano się do wypracowywania planów, zmierzających do rozszerzenia działalności naukowej i wychowawczej Kolegium, na znacznie większą skalę.

Wobec wyłonionej potrzeby rozbudowy Szkoły, oraz uzgodnienia jej programu i charakteru z wymaganiami władz amerykańskich, zaszła logiczna potrzeba skoncentrowania w jednych rękach różnych departamentów działalności Szkoły, a więc zarówno administracyjno-gospodarczych, jak i naukowo-wychowawczych. Ustępują wtedy autonomiczni kierownicy dwóch niezależnych od siebie departamentów, — mianowicie dyrektor Akademii i Junior College, p. W. Gąsiorowski, oraz kierownik Instytutu, p. Kozaczka, całą zaś odpowiedzialność za zbiorowy wysiłek rozbudowy bierze na siebie mianowany przez Komisję Szkolnictwa, Prezydent szkoły, ówczesny Prezes Rady Szkolnej, prof. Stefan Mierzwa, inicjator Fundacji Kościuszkowskiej.

Pod jego kierownictwem, ustalono plany dalszej rozbudowy Szkoły i przystąpiono do budowy nowoczesnego, ogniotrwałego dormitorium. W trakcie wytężonych prac przygotowawczych, i zanim jeszcze wykończono budowę wspomnianego dormitorium, nastąpiła katastrofa pożaru, która pochłonęła kompletnie cały dotychczasowy dorobek materialny Szkoły. Katastrofa ta odbiła się bolesnym echem po całym Wychodźtwie, ponieważ ofiarą jej padły również świeżo i bogato urządzone laboratoria przyrodnicze, biblioteka o 12.000 tomach, oraz nadzwyczaj cenne archiwum i muzeum Związkowe.

Dzięki wielkiej energii ówczesnego Prezydenta Szkoły, prof. S. Mierzwy i żywej, czynnej pomocy ludności miasteczka, nauka szkolna nie została prze-



Dormitorium im Tad. Kościuszki

rwaną i podjętą została już na drugi dzień po pożarze w wnętrzach tutejszych kościołów. Równocześnie odchodziła dalsza praca nad dokończeniem nowego ogniotrwałego i wspaniałego dormitorium, które ostatecznie wykończono w lecie 1931 roku. Dla kontynuowania regularnej pracy szkolnej, wybudowano wkrótce po pożarze budynek szkolny, który ostatecznie zastąpiony został nowym i okazałym budynkiem szkolnym, ukończonym w roku 1934.

Po Sejmie w Scranton, zaszła zmiana w stanowisku kierowniczym Szkoły, które objął ówczesny dziekan, prof. E. Kuberski. Był on pierwszym kierownikiem Szkoły, jaki wyszedł z łona Alumnów Kolegium. Tu godzi się zaznaczyć, i z najwyższym podnieść uznaniem, że Alumni Kolegium zaczynają odgrywać coraz żywszą i czynniejszą rolę w dziejach i życiu Szkoły, co daje rękojmię, że potrzeby Szkoły, w jej różnych dziedzinach, znajdą bardziej bezpośredni oddźwięk w szerokich masach Związkowych, a Szkoła sama stanie się centralnym instytutem pracy ideowej i naukowej Polonii amerykańskiej. Sejm Związku Narodowego Polskiego w Baltimore, wykazał niezbicie, że idea Szkoły Związkowej ma wielkie rzesze gorących i ofiarnych zwolenników i że zapuszcza coraz głębsze korzenie w świadomość ogółu polskiego w Ameryce.

W czerwcu 1937 roku, przeżyło wychodztwo polskie, przedewszystkiem zaś ogromne rzesze Braci Związkowej, doniosły Jubileusz 25-cio lecia istnienia Kolegium Związkowego w Cambridge Springs, Pa. Był to prawdziwie moment historyczny. Nie w tym znaczeniu, oczywiście, by Szkoła Związkowa była już uwieńczeniem wszystkich dążeń i aspiracyj kulturalno-oświatowych Polonii naszej, ile dla tego, że istnienie jej i nieustanny choć powolny rozwój świadczą o tym, jak głęboko wdarła się w serce i świadomość ogółu polskiego i tęsknota za własnym ogniskiem pracy ideowej na polu kultury narodowej.

W roku 1936, kierownik Szkoły, dziekan Kuberski, z powodu złego stanu zdrowia, złożył swą rezygnację. Przez szereg miesięcy, funkcje jego pełni zastępczo szef departamentu chemii, prof. Wm. Powers, poczem Rada Szkolna na zebraniu kwietniowym roku następnego, powołała na to odpowiedzialne stanowisko, p. Jana Kolasę, doświadczonego na niwie pedagogicznej profesora z Kolegium św. Jana Kantego, w Erie.

Ostatnie dwa lata zaznaczyły się w historii Kolegium ważnymi i doniosłymi posunięciami, w kierunku równo-uprawnienia Szkoły i uzyskania potrzebnych akredytacji i reform. Na skutek starań prezydenta Kolasy, w kwietniu 1938 roku, Kolegium uzyskało akredytację "Middle States Association of Colleges and Secondary Schools". Członkostwo w tym stowarzyszeniu stawia naszą uczelnię na równi z pierwszorzędnymi amerykańskimi instytucjami naukowymi. W grudniu zaś, stanowe biuro edukacyjne, aprobowało nasz wydział kolegialny.

Akredytacja i aprobata Kolegium mają wielce doniosłe znaczenie przez to iż przyśpieszą tempo rozpoczętego ulepszenia i reformy w curriculum Szkoły Związkowej. Równouprawnienie otwiera w historii Kolegium Związkowego nową erę, a zarazem kładzie pod jej dalszy rozwój najtrwalszy i najbardziej wartościowy fundament, gdyż teraz dopiero Kolegium nasze zdobywa pełną rację bytu. Zdążając konsekwentnie do celów nakreślonych mu przez jego pionierów i twórców; spełniając swe zadanie wobec



Aleja Obok Szkoły Prowadząca do Parku

kraju tutejszego i społeczeństwa polskiego, spłacając dług wdzięczności zaciągnięty wobec Braci Związkowej, której ofiarności uczelnia nasza byt swój zawdzięcza.

Krótka ta historia Szkoły Związkowej, nie byłaby kompletną, bez przypomnienia i złożenia z tego miejsca hołdu Człowiekowi, który tak dla Szkoły Związkowej, jak i dla Związku Narodowego Polskiego, wielkie położył zasługi.

Mowa tu naturalnie o ś. p. Marjanie Stęczyńskim, byłym prezesie Z. N. P., pierwszym prezesie Szkoły Związkowej i długoletnim jej zarządcy, który odszedł od nas, ostatnimi czasy.

Brakłoby może miejsca w tym "Pamiętniku", gdybyśmy usiłowali skreślić działalność ś. p. Marjana Stęczyńskiego, w rozbudowie naszej Szkoły.

Od pierwszej chwili powstania Szkoły Związkowej, aż do chwili zgonu, żył on jej ideą, dla niej pracował, jej, całe swe jestestwo poświęcił.

My, którzy pracy tej przypatrywaliśmy się z bliska; cała Brać Związkowa, z długoletnich relacyj, dostatecznie jest pracy tej świadoma.

Wierzymy, że jak długo istnieć będzie Związek Narodowy Polski, a przy nim Szkoła Związkowa, nazwisko Marjana Stęczyńskiego, zawsze będzie z nimi chlubnie złączone, a wdzięczne serca Polonii amerykańskiej na zawsze zachowają w serdecznej pamięci zasługi Marjana Stęczyńskiego.

Cześć i hołd Jego pamięci!

W. SZALAY-GROELE

PIEŚŃ ŻEGLARSKA

Od zórz porannych płonie gór szczyt,
światło się białe rozlewa wkrąg...
Dalej, żeglarze! Wiosła do rąk!...
Dalej, hej, dalej w-promienny świt!

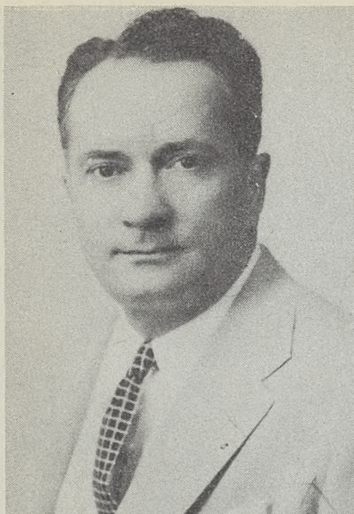
A czyj wzrok czysty, jak wodna toń,
komu swych dłoni, ni bark nie żal,
komu nie straszne kaprysy fal,
ten ster niech w silną pochwyci dłoń!...

Naprzód!... Już rączy chwyta nas nurt,
za łodzią srebrny pieni się szlak...
Z pieśnią szybujmy jak wolny ptak!
Naprzód! Niech wiosła gną się u burt!...

Śpiewu niech żaden nie mąci zgrzyt!...
Za nami troski, boje i trud,
przed nami marzeń ziszczonych cud!...
Dalej, hej, dalej w promienny świt!...



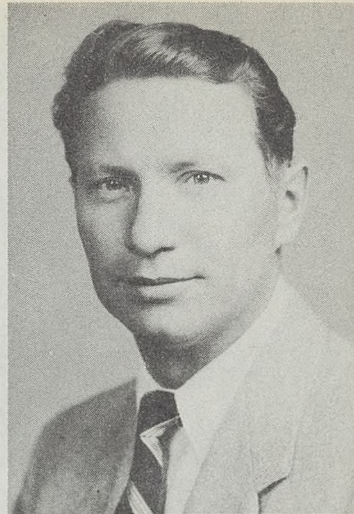
Z Zakończenia Roku Szkolnego w Kolegium Z. N. P.



Edward P. Kozmor
cenzor ZNP



Karol Rozmarek
prezes Z.N.P.



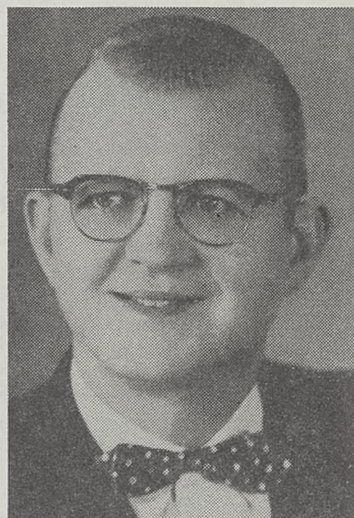
Władysław L. Dworakowski
wicecenzor Z.N.P.



Franciszka Dymek
wiceprezeska Z.N.P.



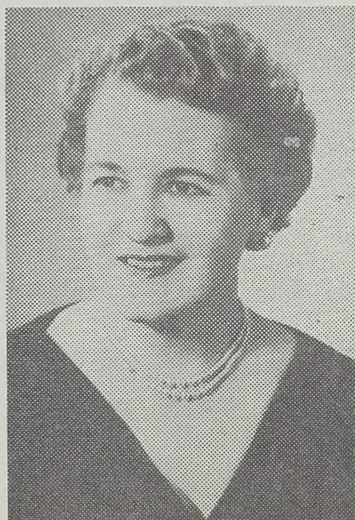
Franciszek M. Prochot
wiceprezes Z.N.P.



Józef Foszcz
sekretarz gen. Z.N.P.



Jan Ulatowski
skarbnik Z.N.P.



Bronisława Helkowska
dyrektorka Z.N.P.



Katarzyna Ziemba-Dienes
dyrektorka Z.N.P.


Bonawentura Migała
dyrektor Z.N.P.

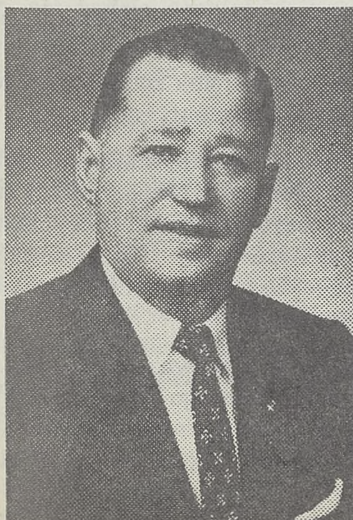

Karolina Spisak
dyrektorka Z.N.P.


Michał Hołodnik
dyrektor Obwodu "C"


Jan J. Ziemba
dyrektor ZNP


Irena Wallace
dyrektorka Obwodu "D"

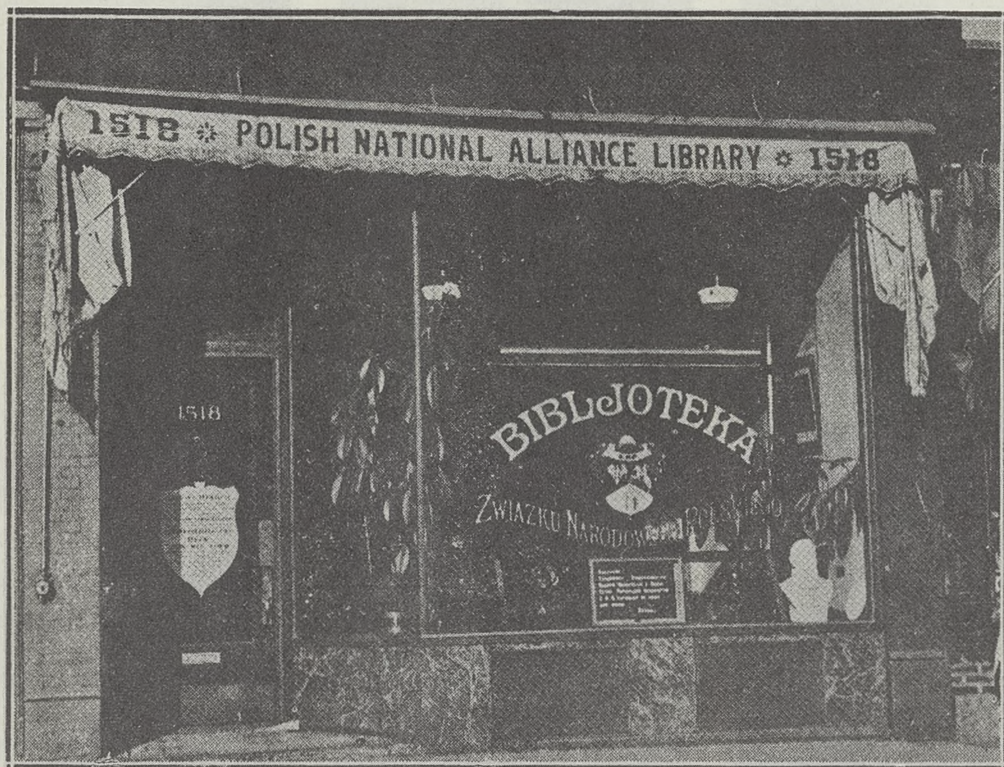

Adolf Pachucki
dyrektor Obwodu "B"


Henryk J. Spindor
dyrektor ZNP


Edward S. Gembara
dyrektor ZNP


Dr. Antoni Sampoliński
lekarz naczelny ZNP

BIBLIOTEKA ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO



Czy pamiętacie tę fasadę budynku, który stał w dawnymi laty w miejscu, na którem stoi obecnie nowy gmach Z. N. P.? przy ulicach Division i dawniejszej Dickson, a obecnie Bosworth? Pamiętacie dawnymi laty sunące szeregi naszych starszych związkowców i związkowczyń z książkami pod pachą, czerpiącymi pełną dłonią ze źródła polskiej literatury, jaką była, jest i zawsze będzie biblioteka Z.N.P.

Wszak biblioteka ZNP to jedna z pereł w koronie zasług związkowych. Wszak ona podtrzymywała polskość na ziemi amerykańskiej, ona była ośrodkiem, w którym skupiała się polskość. Założona po otrzymaniu bogatych zbiorów po ś. p. Kałusowskim, biblioteka związkowa liczy przeszło 16,000 tomów, z których poważna część jest w języku angielskim, większa część w języku polskim. Biblioteka związkowa zawiera bezcenne zbiory najlepszych dzieł polskiej literatury, nietylko belletrystycznej, ale także naukowej ze wszystkich dziedzin, czy to nauk społecznych, historycznych, religijnych, dramatycznych itd.

Po za bogatą kolekcją książek, starannie utrzymywanych przez bibliotekarza w porządku i czystości, znajduje się czytelnia, gdzie pożyczający książki mogą je czytać w ciszy i skupieniu. Ponadto czytelnia zawiera szereg ważniejszych pism dziennych i periodycznych.

Obecnie biblioteka związkowa mieści się na dolnem, niższem piętrze nowego Gmachu ZNP.

PRZEPIĘKNA KARTA Z. N. P.

Związek Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki — jak brzmi jego urzędowa nazwa — posiada przepiękną kartę w dziejach narodu polskiego, a zwłaszcza w historii odrodzenia Polski z czasów wojny światowej.

W roku 1910 z okazji odsłonięcia pomników Pułaskiego i Kościuszki w stolicy Stanów Zjednoczonych Washingtonie, a więc na cztery lata przed wybuchem wojny światowej (1914 r.) dzięki wielkiej inicjatywie Z. N. P., z ówczesnym Cenzorem ś. p. Antonim Schreiberem na czele, został zwołany (przez Z. N. P. do Washingtonu PIERWSZY KONGRES NARODOWY POLSKI, w którym wzięli udział nietylko przedstawiciele wszystkich organizacyj i zrzeszeń polskich ze wszystkich Stanów Unii i Kanady, ale i przede wszystkiem ze wszystkich ziem polskich t. j. z Królestwa Polskiego, Małopolski, Poznańskiego i Śląska, a który to Kongres, reprezentujący wszystkie stronnictwa, partie, instytucje etc., na ziemiach polskich pod trzema zaborami, oraz wszystkie organizacje i zrzeszenia polskie w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, zbiorowym głosem w pamiętnej rezolucji, rozesłanej do ambasadorów i poselstw wszystkich państw, nie wyłączając ambasadorów rządów zaborczych: Niemiec, Rosji i Austrii — rozbiór Polski nazwał zbrodnią dokonaną na narodzie polskim i zapowiedział, iż o pokoju w Europie nie może być mowy, dopokąd krzycząca o pomstę do nieba niesprawiedliwość, nie będzie usuniętą i dopokąd naród polski nie odzyska niepodległości i miejsca należnego wśród narodów wolnych.

Związek Narodowy Polski był więc pierwszy od upadku Polski, który pamiętną tą rezolucją rzucił niejako rękawicę państwom zaborczym, a przedstawicielom państw cywilizowanych narodów przypomniał zbrodnię, jakiej dokonały na narodzie polskim państwa zaborcze, a temsamem idąc po myśli swych założycieli, powstańców 1863 roku, wypowiedział nieubłaganą walkę aż do odniesienia ostatecznego zwycięstwa.

I Związek Narodowy Polski w cztery lata później po wybuchu wojny światowej w r. 1914, znalazł się w szeregach Polski walczącej, o czem świadczy nie tylko grosz ofiarnie przez Związek i wogóle przez Związkowców złożony, ale niezmordowana praca, wysiłki i zabiegi w organizowaniu armii polskiej.

We wszystkich osiedlach polskich Brać Związkowa otworzyła na oścież swe Domy Związkowe, zwane Polskimi, które zamienione zostały na stacje rekrutacyjne.

I nie tylko lud Związkowy otworzył swe Domy dla wielkiej i świętej sprawy, ale swoje serca i kieszenie. Płynęły jakby wezbranym potokiem tysiące dolarów do Centrali Wydziału Narodowego i rosły szeregi błękitnej Armii Polskiej, która we Francji przekroczyła liczbę 100,000 i przy budowie gmachu państwowości polskiej, pod który kładła fundamenty, dzielnie reprezentowała Związek Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki.

Pokoleniu młodszemu, należy jeszcze z czasów wspomnianego Kongresu w Washingtonie przypomnieć znamienny fakt.

Były prezydent Stanów Zjednoczonych, Theodore Roosevelt, w tym czasie bawił w Europie, składając wizyty panującym. Zaproszony został do Berlina, gdzie na tamtejszym uniwersytecie Niemcy mieli go doktoryzować. Wszystko było przygotowane, ale w przeddzień tej uroczystości, wysłał do Prezydium Kongresu Narodowego Polskiego depeszę o następującej treści;

BERLIN 10-GO MAJA, 1910

"Przyjmijcie moje życzenia dla wszystkich Amerykanów Polaków z urodzenia lub pochodzenia, w dniu dedykacji pomników dwóch wielkich Polaków: Kościuszki i Pułaskiego, których zespolone imiona na zawsze zajmować będą zaszczytne miejsce na kartach Historii Amerykańskiej.

THEODORE ROOSEVELT."

Skutek tej depeszy był taki, że Niemcy go nie tylko "nie doktoryzowali", ale poprosili, by opuścił ich kraj w 48 godzinach, co też Roosevelt z przyjemnością uczynił.

WICEPREZYDENT STANÓW ZJEDNOCZONYCH Richard Nixon na Sejmie 33ym ZNP w Hartford, Conn. Od lewej do prawej:— wiceprezeska ZNP Franciszka Dymek; prezes Zw. Nar. Pol. i prezes Kongresu Pol. Amer. mec. Karol Rozmarek; pani Patrycja Nixon, małżonka wiceprezydenta; Richard Nixon, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych. Za nim stoi—mec. Stanisław Grudziński, przewodniczący Komitetu Przedsejmowego w Hartford.



Posłanki Sejmu 33-go ZNP serdecznie podejmowały w pierwszym oficjalnym dniu obrad — wiceprezeska ZNP p. Franciszka Dymek i p. Wanda Rozmarek, żona prezesa ZNP. Powyżej widzimy urzędniczki Zarządu Centralnego i urzędniczki Rady Nadzorczej. Siedzą od lewej — dyr. Bronisława Helkowska; komisarka Okr. 10-go Józefa Wolas; b. komisarka Okr. 2-go Teodora Drozd-Żegota; naczelna organizatorka Wydz. Kobiet ZNP Wiktoria Pietkiewicz; wiceprezeska Franciszka Dymek; p. Wanda Rozmarek; b. komisarka Okr. 6-go Leokadia Misiora; dyrektorki — Katarzyna Ziemba-Dienes i Karolina Spisak. Drugi rząd, od lewej — redaktorka Helena Moll; komisarka Okr. 11-go Maria Godlewska; komisarka Okr. 16-go Ludwika Kobylak; komisarka Okr. 4-go Maria Tuchewicz; komisarka Okr. 3-go Anna Tuman; komisarka Okr. 5-go Felicja Żochowska; komisarka Okr. 1-go Bronisława Niemyska; komisarka Okr. 14-go Władysława Podkomorska; była komisarka Okr. 7-go Helena Dworczak; b. komisarka Okr. 15-go Konstancja Czarnecka i komisarka Okr. 12-go Maria Gierut-Szeląg.



PRZED HOTELEM STATLER W HARTFORD, CONN. urzędnicy i urzędniczki ZNP w oczekiwaniu na rozpoczęcie pochodu do kościoła Ś. Ś. Cyryla i Metodego na nabożeństwo sejmowe. Widzimy od lewej: byłego wiceprezesa ZNP dr Stefana Lisowskiego; panią Wandę Rozmarek; prezesa ZNP i prezesa Kongresu Pol. Amer. mec. Karola Rozmarka; za prezesem Rozmarkiem dr. Artur Coleman, prezydenta Kolegium Związkowego; wiceprezeska ZNP Franciszka Dymek; Stanisław Borsa, członek Rady Szkolnej ZNP; mec. Stan. Grudziński, przewodniczący komitetu przedsejmowego w Hartford, Conn.; cenzor ZNP Edward Kozmor; sekretarz generalny ZNP Józef Foszcz, a za nim Leopold Babirecki, komisarz Okr. 3go Zw. Nar. Pol.







POSŁOWIE I POSŁANKI SEJ MU 33go ZNP z głębokim zrozumieniem spraw organizacyjnych słuchali sprawozdań urzędników i poszczególnych komitetów, biorąc żywy udział w obradach. Powyżej widzimy trzy fragmenty sali sejmowej podczas jednej z sesji Sejmu 33go ZNP.

Roślina "Silnej Świątobliwości"

Jemioła to zawsze zielony krzew o żółto-oliwkowej korze, zaokrąglonej linji pieńka i gałęzi. Rozsiada się on na konarach drzew liściastych i iglastych, żywiąc się ich sokami i powodując z czasem ich uschnięcie. Choć jemioła jest szkodnikiem i wprost zabija drzewa (głównie owocowe), człowiek otaczał ją w przeszłości wyjątkową czcią jako roślinę „silnej świątobliwości" i jako wszechstronny środek leczniczy.

W mitologji greckiej i rzymskiej gałązka jemioły odgrywała rolę „magicznej laski" otwierającej bogom i duszom zmarłych bramy podziemnego Hadesu. Z licznych wzmianek, pozostawionych przez pisarzy starożytnych o jemiole, na specjalną uwagę zasługują zapiski Pliniusza („Historja naturalna"). Z dzieła tego i innych dowiadujemy się, że w rodzinie ludów indoeuropejskich, jemioła posiadała największe znaczenie dla Celtów, którzy zdobili nią swoje świątynie, a proszek z jej liści nosili jako amulety chroniące ich przed wszelakiem złem. Druidzi celtyccy uważali za „świętość nad świętościami" jemiołę rosnącą na dębie, drzewie w ich pojęciu również świętem. Taką jemiołę zbierano podczas okazałych ceremonij w przełomowych okresach roku słonecznego, szóstego dnia po nowiu. Zbioru dokonywano złotemi sierpami. Później biało ubrani druidzi składali bóstwu ofiarę z dwóch byków.

Celtycki kult jemioły opierał się na odwiecznej wierze w niezniszczalną i dobroczynną moc „różdżki zielonej", nie zamierającej na okres zimy, a więc zawsze żywej, ciągle odradzającej się, a obecnością swoją ożywiającej i uzdrawiającej wszystko dokoła. Przez całe wieki średnie stosowano jemiołę jako wszechstronny lek, a w wielu krajach drewno jej nazywano „drzewem krzyża świętego", przypisując mu cudowne właściwości uzdrawiania epileptyków.

Do dziś dnia zachował się w wielu krajach, również w Ameryce, zwyczaj wieszania jemioły w pokojach. Jeśli pod zawieszoną tak gałązką jemioły stanie nieopatrznie niewiasta, to każdy mężczyzna może tę kobietę bezkarnie ucałować.

HISTORJA AMULETU

Przypisywanie przedmiotom ochronnych właściwości i noszenie takich przedmiotów przy sobie, by strzegły właściciela od „zła", datuje się od niepamiętnych czasów. Sama nazwa „amulet" pochodzi prawdopodobnie z arabskiego „hamalet". Słowem tem określali Arabowie wisiorki.

Amulety noszono najczęściej zawieszone na szyji. Amulety znane były u wszystkich narodów, niezależnie od rasy i wyznania.

Amulety podzielić należy na dwie grupy: te, które chronią noszącego je od nieszczęścia oraz te, które działając na świat zewnętrzny, przynoszą ponoć szczęście, dają jakąś specjalną moc lub uzdolnienia.

Były na przykład amulety wyrabiane z drzewa, liści, korzeni lub z kości zwierząt. Takie amulety miały chronić noszącego je przed chorobą.

Procedura wyrabiania amuletów była wielce skomplikowana. Aby amulet miał swoją „cudowną moc", jego części składowe musiały schnąć lub moczyć się dłuższy czas. Inni sporządzali amulety jedynie w okresie pełni księżyca. Przy wyrabianiu amuletów obowiązywały specjalne modlitwy i „zaklęcia". Zęby hieny, uszy szczurów, język lisa, główki nietoperzy, skóra czarnej antylopy, używane przy wyrobie amuletów, miały posiadać specjalnie wielką „moc".

Inne amulety wyrabiano z metali, terakoty, kości słoniowej i szlachetnych kamieni. Jeśli dany kamień czy szlachetny kamień posiadał, wedle ówczesnych wierzeń, jakąś „siłę magiczną", noszono go bez specjalnych znaków. Jeśli chciano taką „siłę" zwiększyć, ryto na nim rysunki bożków lub symbolów, a także „zaklęcia". Do kamieni o podobnej „nadprzyrodzonej mocy" zaliczano w zamierzchłych czasach agaty, strzegące właściciela przed ukąszeniem skorpiona, diamenty „usuwające melancholję", ametysty „chroniące przed zatruciem", jaspisy „wywołujące deszcze podczes posuchy".

Przesąd o niezwykłej mocy amuletów wyzyskiwali sprytnie jubilerzy, wyrabiając kolce, naramienniki, bransolety, pierścienie wysadzane odpowiedniemi kamieniami i ozdobnie ryte.

O Trawieniu i Dietach

Wszystkie procesy życiowe, które zachodzą w ustroju człowieka, dokonują się kosztem przetwarzania energii zawartej w pokarmach. Jest więc bardzo ważne dla sprawnego funkcjonowania całego organizmu, aby pokarm, wprowadzany do przewodu pokarmowego, był dobrze strawiony a następnie jak najbardziej wykorzystany dla potrzeb ustroju.

Jakie są warunki dobrego trawienia?

1) Pokarm powinien być sporządzony ze świeżych i dobrych produktów.

2) Rozkład posiłków w ciągu dnia powinien być racjonalny (zależnie od godzin pracy), a godziny jedzenia muszą być dokładnie przestrzegane. W angielskich warunkach głównymi posiłkami powinno być śniadanie, spożywane przed pójściem do pracy i obiad.

3) Każdy posiłek swym wyglądem powinien pobudzać apetyt. Ładnie zastawiony stół i przyjemny zapach pokarmów powodują poprzez wzrok i węch pobudzenie apetytu, a zatem lepsze wydzielanie soków trawiennych i lepsze trawienie.

4) Posiłek winien być spożywany w spokoju. Nerwowość pośpiech, zajmowanie się innymi sprawami w czasie jedzenia mają bardzo ujemny wpływ na proces trawienia. — Stan podniecenia nerwowego powoduje zwiększenie perystaltyki jelit, t. zn. szybsze posuwanie się pokarmu w jelitach. Często u osób nerwowych może występować nawet biegunka w połączeniu z bólami brzucha. Odwrotnie bywa w stanach przemęczenia fizycznego czy umysłowego. Perystaltyka jelit jest zwolniona, pokarm zbyt wolno przechodzi przez jelita, w rezultacie powstają zaparcia, często łącznie z bólami głowy i brakiem apetytu.

Objętość pokarmu ma także duże znaczenie. Kto przyzwyczaił się do pokarmu roślinnego, posiadającego znaczną objętość, ten nie będzie nasycony po spożyciu pokarmu treściwego, złożonego z mięsa i tłuszczów, a więc o małej objętości. Przeciwnie, kto przyzwyczaił się do pokarmu treściwego, czuje nieprzyjemne przepełnienie żłądka, gdy spożywa pokarm o znacznej objętości. Naogół przyjmuje się, że objętość pokarmu codziennego wynosi od półtora do 2 litrów. Nie bierze się tutaj pod uwagę objętości napojów, co czasem może wynosić kilka litrów — zależnie od przyzwyczajenia. Pamiętać trzeba, że oprócz objętości pokarmu na uczucie sytości wpływają i inne czynniki. Pokarm obfitujący w tłuszcze pozostaje w żołądku dłużej i wywołuje długotrwałe uczucie sytości.

Poniższa tabela przedstawia w przybliżeniu czas przebywania pokarmów w żołądku:

Woda (szklanka)	½—1 godz.
Herbata (szklanka	1—2 godz.
Kawa (szklanka)	1—2 godz.
Kakao (szklanka)	1½—2 godz.
Mleko (szklanka)	1—2 godz.
Piwo (szklanka)	1—2 godz.
Rosół czysty	1—2 godz.
Jajko surowe	1½—2½ godz.
Jajko na miękko	2—3 godz.
Jajko na twardo	3—4 godz.
Móżdżek cielęcy	2—3 godz.
Cielęcina got. (250 g.)	2—3 godz.
Cielęcina piecz. (250 g.)	4—5 godz.
Wieprzowina got. (250 g.)	3—4 godz.
Wieprzowina piecz. (250 g.)	4—5 godz.
Wołowina got. (250 g.)	3—4 godz.
Wołowina piecz. (250 g.)	4½—5½ godz.
Befsztyk (250 g.)	5½—5½ godz.
Szynka (250 g.)	3—4 godz.
Nóżki cielęce	3—4 godz.
Kura gotowana	3—4 godz.
Kura pieczona	4—5 godz.
Gołąb got.	3—4 godz.
Gołąb piecz.	4—5 godz.
Ryba gotowana	2—2½ godz.
Ryba smażona	3—4 godz.
Kleik z ryżu	2—3 godz.
Ryż gotowany	3—3½ godz.
Chleb biały czerstwy (100 g.)	2—3 godz.
Chleb biały świeży	3—4 godz.
Chleb ciemny	2½—3 godz.
Kartofle got.	2—3 godz.
Kalafior got.	2—3 godz.
Szparagi	2—3 godz.
Jabłko	2—3 godz.

Polskie Pomorze Zachodnie

Jak Rycerz Bartłomiej z Dębogóry Wypędził Brandenburczyków

Było to przed blisko 500 laty. Pomorze Zachodnie toczyło wówczas ciężkie boje z Brandenburczykami, którzy chcieli zagarnąć Szczecin i w ten sposób uzyskać dostęp do Bałtyku. Polska wspomagała książąt zachodnio - pomorskich w ich walce, ale warunki polityczne nie układały się pomyślnie dla władców ziem nad Bałtykiem i Dolną Odrą.

Pomorze Zachodnie było politycznie rozbite. W Szczecinie zmarł mając zaledwie 20 lat książę Otto III. Nie pozostawił on następcy tronu, toteż Brandenburczycy postanowili wykorzystać tę okazję i zagarnąć Szczecin. Ale drobna szlachta pomorska i lud uniemożliwili realizację tych zamierzeń. Tron szczeciński objęli słowiańscy książęta pobliskiej Wołogoszczy — Warcisław i Eryk. Lud Szczecina złożył im hołd poddańczy, wierząc, iż będą oni dobrze rządzić pomorską ziemią.

Brandenburczycy nie chcieli się pogodzić z tym stanem. Już w r. 1468 opanowali Gardziec, miasto nad Odrą, uważane za klucz do Szczecina. Podeszli i pod Szczecin, starając się zająć miasto podstępem, ale czujność ludu szczecińskiego uniemożliwiła te zamiary. Żona księcia Eryka, słynna z urody Zofia, miała wielki wpływ na króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka i interweniowała w Polsce o pomoc. Polska nie dopuściła do zabrania Szczecina przez Brandenburczyków, ale wojna wisiała stale w powietrzu.

Pomorzanie dążyli przede wszystkim do odebrania Brandenburczykom Gardźca. Ale dowódca wojskowy Gardźca Werner Schulenburg pilnie strzegł bram miasta i udaremniał wszelkie próby zaskoczenia. Wojsk miał dużo, miasto było silnie ufortyfikowane, więc napadu się nie obawiał.

I dopiero przypadek sprawił, iż Pomorzanie zdobyli Gardziec i oddali go pod zwierzchnictwo księcia Warcisława.

Wernerowi Schulenburgowi urodził się syn. Ojciec postanowił urządzić huczne chrzciny z zabawą i tańcami. Na ucztę zaprosił wielu gości z bliskiej i dalszej okolicy. Przybywali znajomi z wszystkich stron, a każdy konno, razem ze sługami i taborem. Zabawa zapowiadała się doskonale. Bito woły i barany, przygotowywano beczki z piwem. Również i dla koni trzeba było przygotować większą ilość obroku; w mieście bowiem zabrakło owsa.

Schulenburg polecił swoim pachołkom zgromadzić większe zapasy owsa. Obrok postanowiono nabyć w pobliskiej wsi, położonej po wschodniej stronie Odry, u rycerza Bartłomieja w Dębogórze.

Bartłomiej chętnie się zgodził na dostawę i obiecał, iż obrok dostarczy w poniedziałek wcześnie rano. Tłumaczył, iż chce przywieść owies wcześnie, ponieważ pragnie jeszcze tego samego dnia udać się na targ do Szczecina. A przecież do stolicy pomorskiej jest dość daleko. Prosi więc, by wyjątkowo w tym dniu bramy grodu otwarto mu nocą.

Posłaniec zgodził się na warunki Bartłomieja i wrócił do Gardźca. Bartłomiej natomiast — sługa książąt pomorskich — dał znać o wszystkim do Szczecina i zaproponował szczecińskiemu mieszczaństwu wykorzystanie tej okazji dla zdobycia Gardźca. W krótkim czasie ułożono wspólny plan i przystąpiono do jego realizacji.

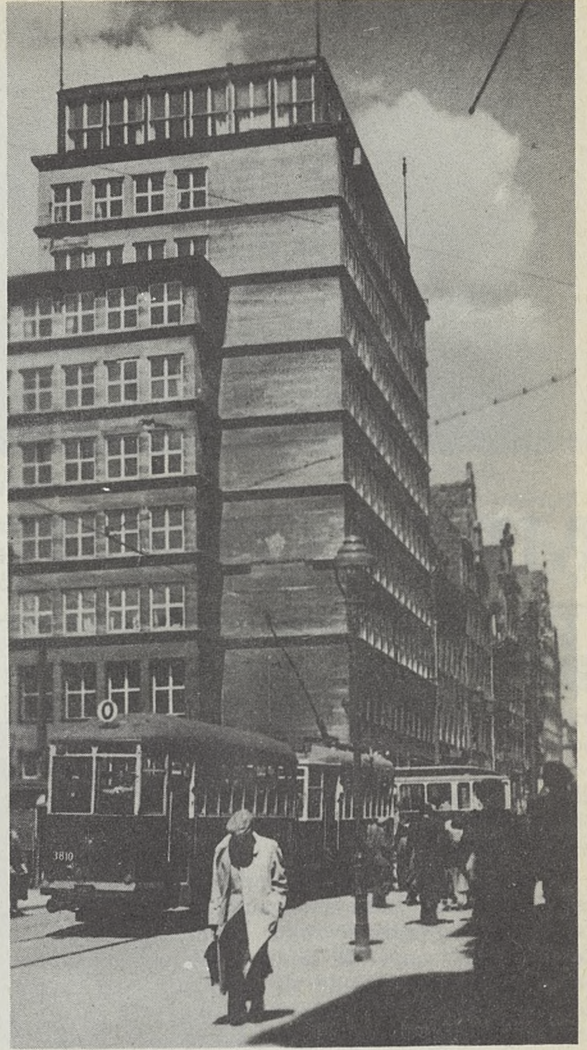
Bartłomiej załadował na 8 wozów drobną szlachtę z okolicy i przykrył ludzi workami z otrębami. Na kozłach usiedli również młodzi wojownicy. Jeszcze w nocy wyprawa ruszyła w kierunku Gardźca. Droga wiodła najpierw około 6 km. lewym brzegiem Odry a następnie groblą przez dwa koryta rzeki i Międzyodrze. Łącznie do Gardźca trzeba było przebyć około 10 km. Tymczasem w Gardźcu trwała uczta. Bawili się wszyscy, szlachetnie urodzeni goście, żołnierze, mieszczanie i słudzy. Po zabawie i tańcach cała załoga mocno zasnęła. Toteż gdy wozy rycerza Bartłomieja dotarły do pierwszej strażnicy, trudno się było dobudzić mocno śpiących żołnierzy.



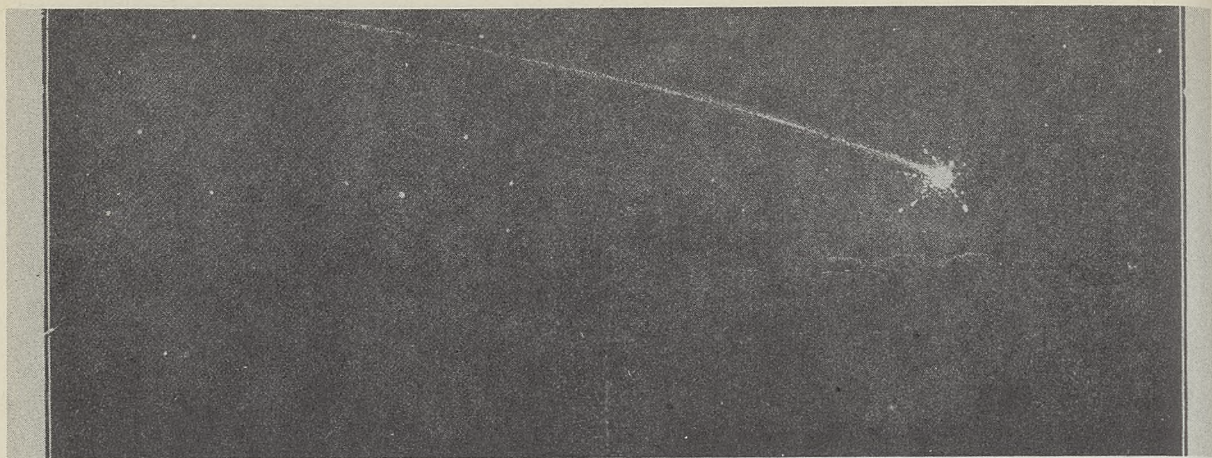
Jedlina — Zdrój w Polsce

Widok Warszawy









Meteoryt biegnący w nocy po niebie.

METEORY I METEORYTY

PODCZAS pogodnych i bezksiężycowych nocy często można widzieć, jak po ciemnem, usianem gwiazdami sklepieniu nieba przebiegają szybko błyszczące punkty, które następnie nikną bez śladu. Są to tak zwane meteory, znane pod nazwą ludową gwiazd spadających.

W niektórych miesiącach, zwłaszcza w sierpniu i listopadzie, gwiazdy spadające ukazują się bardzo obficie, ale i w tych miesiącach nie zawsze się pojawiają w jednakowej ilości.

Meteory listopadowe, tak zwane "Leonidy", które mają punkt promieniowania w gwiazdobiorze Lwa, spowodowały w roku 1798-ym prawdziwy deszcz gwiaździsty. W latach następnych, pomimo regularnego powtarzania się, zjawisko gwiazd spadających osłabło, aż dopiero w roku 1833-im otworzyło się z poprzednią wspaniałością.

W roku 1866-ym zjawisko to było znów bardzo świetne. Ilość meteorów nad ranem 14-go listopada wynosiła, według obliczeń obserwatorjum w Greenwich, blisko 8,000. Zjawisko wystąpiło najwspanialej w Europie i wywarło ogromne wrażenie.

Spadające meteory nigdy nie dosięgają powierzchni ziemi. Nie znaleziono bowiem dotychczas żadnych śladów gwiazd spadających, gdyż z powodu swych małych rozmiarów ulegają podczas przelatywania przez atmosferę zupełnemu spaleniu. Możliwe jednak, że znajdywany na śnieżnych polach Spitzbergu i Grenlandji drobny pył żelazny pochodzi z tych meteorów, które, mając większe rozmiary, zdążyły przed zupełnem swem spaleniem dosięgnąć ziemi.



Zdjęcie fotograficzne spadającego meteorytu.

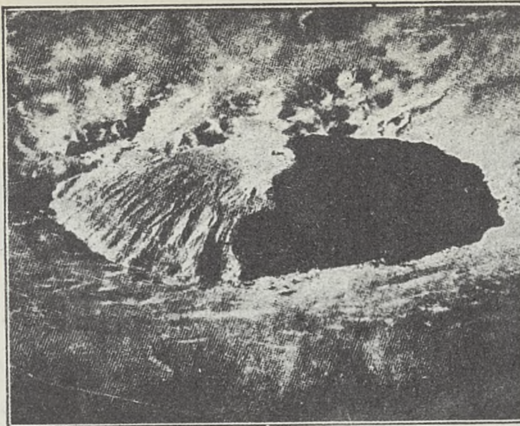
Meteory krążą w przestrzeni międzyplanetarnej, ale gdy napotkają naszą planetę, — wpadają do jej atmosfery z szybkością kilkudziesięciu mil na sekundę i, wskutek oporu powietrza, zamieniają siłę swego ruchu na ciepło, które je rozpala aż do świecenia, powodując zjawisko gwiazd spadających.

Zdarza się jednak, że atmosfera ziemi spotyka się z większemi odłamami meteorów, a wówczas noszą one nazwę "kul ognistych" i są o wiele świetniejsze niż zwykłe meteory. Nazywamy je meteorytami. Pojawiają się rzadko i nagle, biegną wolniej, pozostawiając za sobą błyszczącą smugę, widoczną niekiedy przez kilka minut, i w końcu pękają z hukiem, zasypując odłamkami znaczne przestrzenie. Zjawisko zyskuje jeszcze na wspaniałości, gdy zajdzie podczas ciemnej nocy. Wówczas pękaniu meteorytu towarzyszy zawsze oślepiający blask, silny do tego stopnia, że oświeca ziemię na znacznej przestrzeni prawie dziennym blaskiem.

Starożytne kroniki przechowały wzmianki o podobnych "kamieniach niebieskich". Kroniki chińskie mówią o wypadkach spadnięcia meteorytów znacznej wielkości na wiele set lat przed naszą erą. W roku 476-ym w Tracji nastąpiło spadnięcie kamieni meteorycznych. Gęsty deszcz kamieni z nieba spadł w roku 823-im w Saksonji, zabijając lub raniąc wiele ludzi i zwierząt. W roku 1492-im spadł w Alzacji z ogromnym hukiem ogromny meteoryt wagi około 600 funtów. Największy meteoryt, którego spadnięcie widziano, ważył 700 funtów, spadł na Węgrzech w roku 1866-ym. Olbrzymi kawał meteorycznego żelaza znaleziono w stanie Oregon. Odłam ten

ważył około 10 ton, a jeszcze większy, ważący 15 ton, znaleziono w Meksyku.

Meteoryt pułtuski, który spadł w Polsce dnia 30-go stycznia 1868-go roku, nie był bardzo wielki, ale pękając z wielkim hukiem zasypał okolicę Pułtuska mnóstwem kamieni. Podczas pękania meteoryt ten zajaśniał tak wielkim blaskiem, że w okolicy zrobiło się widno jak w dzień.

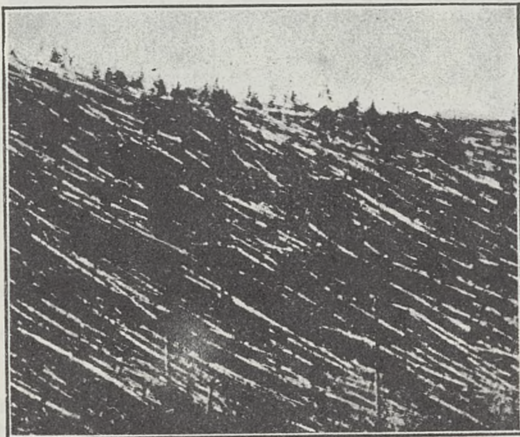


Krater meteorytowy w Arizonie.

Meteoryty składają się z tych samych składników co nasza ziemia. Jedne z nich zawierają kamienie krzemionkowe, wapienne i magnezjowe, inne zaś — żelazo z niklem, przyczem żelazo meteoryczne wypolerowane i napuszczone kwasem azotowym pokazuje krzyżujące się w różnych kierunkach linje, tak zwane figury Widmanstaedta.

O ile spotkanie się ziemi z rojem małych meteorów nie przedstawia dla ludzi żadnego niebezpieczeństwa, powodując conajwyżej imponujące zjawisko gwiazd spadających, o tyle zderzenie się z większym meteorytem groziłoby poważną katastrofą.

Może się zdarzyć, że olbrzymi meteoryt dostanie się w sferę przyciągania ziemi i ze straszną siłą spadnie na naszą planetę, niszcząc wszystko dokoła. Że takie spadnięcie miało już miejsce, świadczy o tem ślad uderzenia, znajdujący się na powierzchni ziemi w postaci olbrzymiego krateru. Krater ten jest na równinie w pobliżu Devils Canyon w stanie Arizona. Przedstawia prawie okrągły otwór o średnicy około trzy czwarte mili i głębokości przeszło 400 stóp. Nie powstał ten krater wskutek działania sił wulkanicznych, gdyż w pobliżu nie znaleziono żadnego śladu tych sił, prócz licznych odłamków żelaza meteorycznego, ważących rozmaicie, aż do kawałów po pół tony. Krater mógł się wytworzyć tylko przez potężne uderzenie jakiegoś ogromnego twardego ciała, naprzykład, meteorytu.



Las zniszczony przez meteoryt syberyjski. Odległość 10 mil od miejsca spadnięcia. Zdjęcie fotograficzne.

Meteorytowe pochodzenie krateru w Arizonie znajduje jeszcze potwierdzenie w pewnej legendzie, krążącej wśród okolicznych plemion indjańskich: jakoby powstał wskutek zejścia z nieba boga na wozie ognistym. A więc świadczyłoby to również i o niedawnem spadnięciu meteorytu.



Fragment spalonego lasu w pobliżu miejsca spadnięcia meteorytu syberyjskiego.

Według obliczeń uczonych amerykańskich meteoryt arizoński musiał mieć około 700 stóp średnicy i ważyć coś w pobliżu 400,000 ton.

Badania składu znalezionego żelaza meteorycznego wykazały obecność niklu i nieznacznej ilości platyny (23 gramy na tonę).

Zawartość tych cennych metali pobudziła przedsiębiorczych Amerykan do poszukiwań meteorytu i w razie znalezienia go — do eksploatacji. Po dokonaniu licznych wierceń udało się w końcu natrafić na meteoryt. Znajduje się podobno w głębokości około 1,000 stóp pod kraterem. Wydobycie go jest tedy już tylko kwestją czasu.

Następnym potężnym pociskiem niebieskim, który trafił w naszą planetę, jest poszukiwany obecnie meteoryt syberyjski.

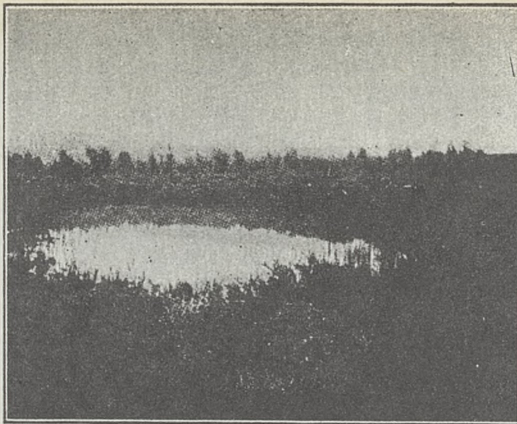
Dnia 30-go czerwca 1908-go roku w północnej Syberji, w dzikiej i bezludnej tajdze niedaleko rzeki Rodkamennaja Tunguska, spadł ogromnych rozmiarów meteoryt. Spadaniu jego towarzyszyły nadzwyczaj ciekawe zjawiska: słyszano huki, podobne do grzmotu dział na znacznej przestrzeni między rzekami Jenisiejem, Leną i jeziorem Bajkalskiem, czyli na obszarze około trzy ćwierci miljona mil kwadratowych. Widziano słupy ogniste i odczuto wstrząśnienia ziemi. Sejsmograf w Irkucku zanotował lekkie wstrząsy a barograf w Kireńsku — silne drgania fal powietrza.

Najciekawsze są opowiadania naocznych świadków tego zdarzenia: Między godziną 7-ą a 8-ą rano dały się słyszeć głuche huki, podobne do odległych strzałów karabinowych, a równocześnie ukazał się stożkowy słup ognia. Kiedy zniknął, usłyszano znów kilka potężnych huków, poczem wystrzelił w górę olbrzymi słup dymu. Huki potwórzyły się jeszcze

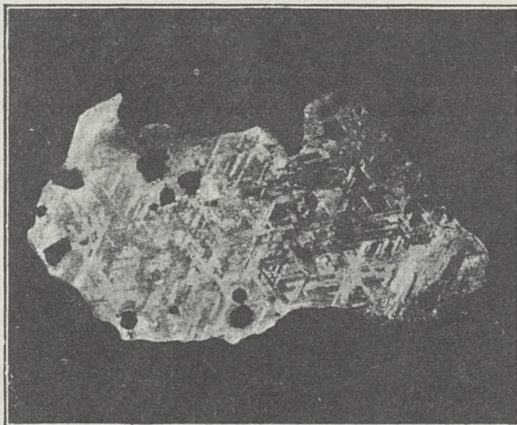
kilkakrotnie, poczem ucichły. Niektórzy widzieli jakby ognistą kulę, poruszającą się ukośnie w stosunku do powierzchni ziemi. Inni znów opisują zjawisko w ten sposób: Usłyszano straszny grzmot, las zaczął płonąć, ludzi i zwierzęta przewracało, szałasy zostały obalone. W kilka dni potem przejeżdżający przez las Tunguzi widzieli liczne doły, wytworzone, jak się zdaje, odłamkami spadłego meteorytu.

Od czasu spadnięcia upłynęło już dwadzieścia trzy lata, tak, że miejsce katastrofy zarosło młodym lasem i przez to odszukanie meteorytu jest utrudnione.

W celu zbadania tego niezwykłego zjawiska i sprawdzenia wszelkich wersyj, wyruszyła w roku 1927-ym specjalna wyprawa naukowa pod kierunkiem profesora Kulikowa. Wyprawa ta dotarła do miejsca spadnięcia meteorytu. Z badań członków wyprawy okazało się, że meteoryt spadł rzeczywiście. Na przestrzeni wynoszącej tysiące kilometrów kwadratowych leżą wyrwane, gołe pnie drzew, jakby je przewrócił jakiś straszny orkan. Kierunki przewróconych drzew schodzą się ku pewnemu środkowi. Bliżej tego środka, na przestrzeni kilkuset kilometrów widać stojące samotnie opalone pnie drzew, a w samym środku, wśród obszczernych torfowisk, znajdują się liczne doły, wypełnione wodą, niektóre mające po 100 stóp średnicy.



Jeziorko kraterowe, powstałe skutkiem spadnięcia meteorytu syberyjskiego.



Meteoryt z figurami Widmanstaedta.

Samego jednak meteorytu lub jego odłamów dotychczas nie znaleziono. Być może, że podczas padnięcia meteoryt uderzył w jedno z pobliskich wzgórz i rozbił się na kilkadziesiąt części, które leżą głęboko zaryte w napotkanych dołach. Wyniki badań wyprawy stwierdzają spadek meteorytu niezwykłych rozmiarów.

Że musiał to być olbrzymi pocisk kosmiczny, świadczy jeszcze znaczna powierzchnia spalonego lasu, wynosząca około 400 mil kwadratowych, oraz słyszane zjawiska akustyczne na przestrzeni blisko miljona kilometrów kwadratowych.

Nietrudno jest przedstawić sobie, jak straszną katastrofę wywołałby spadek takiego meteorytu, gdyby nastąpił nie w bezludnej, a przynajmniej bardzo rzadko zaludnionej tajdze Syberji, lub w pustkowiach Arizony, ale w kraju gęsto zaludnionym, lub na wielkie miasto, gdzie koncentrują się miljony lub choćby setki tysięcy ludzi.

Dla uczonych przedmiotem wielce ciekawym jest każdy meteoryt, dający się odszukać, odfotografować, zważyć, zbadać za pomocą rozbioru chemicznego. A to przedewszystkiem dlatego, że każdy taki "kamień spadły z nieba" — to próbka materjału, z jakiego są utworzone ciała niebieskie, zwłaszcza należące do układu słonecznego, a więc przedewszystkiem komety i planety. Otóż znamiennem jest, że rozbiór chemiczny meteorytów, za każdym razem, kiedy go dokonano, wykazał, że meteoryt składa się z tych samych substancyj, jakich pełno jest na naszej kuli ziemskiej. Rozpatrywane z punktu widzenia składu chemicznego, meteoryty dzielić się dają na dwie klasy: skalnych i metalicznych. Pierwszych jest więcej niż drugich. Meteoryty skalne zawierają w sobie krzem i inne pierwiastki nam znane. Meteoryty metaliczne składają się zawsze z żelaza, z małą domieszką niklu.

MARJA KONOPNICKA

WIDZENIE MORZA

Szmat nieba się oderwał z kraju widnokręga,
Zadrgał, zalśnił, zamarszczył łusk świetnych tysiące,
Wklęsnął, zamodrzał, ziemię opasał jak wstęga
I w głębokie mgły wnurzył obydwa jej końce.

Już na kraniec zachodu i wschodu przesięga,
Rozkrysztala powietrza kopuły wiszące,
Już tchnął, już poszła z niego świeżość jakaś tęga,
Zakołysał się z szumem i odstrzelił słońce.

Już otwarł się w niezmierność otwartą i siną,
Pół globu uczyniwszy lazurów łupiną,
Srebrem orzeźbia brzegi po ciemnej jej korze.

Już porwał oczy. Oczy moje we mgłach giną...
Już myśl porwał. Myśl w otchłań zapada szczeliną
I pierwszą perłą z głębin wybłyska. — To morze!

humor

NIEDOWIAREK

— Ja wierzę, że tylko to istnieje co ja widzę.

— Te, te, te. A nigdy nie wyrżnąłeś głową w ciemności.

NIEPOPRAWNY

Dwaj wrogowie spotkali się na Sylwestra. Popili razem i pogodzili się.

— Zapomnijmy dawne urazy.

— Masz rację. Więc życzę ci, by w przyszłym roku powodziło ci się tak, jak ty mnie życzysz.

— Znowu zaczynasz?

POCIESZYŁ

— Nie. Dziękuję. Nie będę pił. Lekarz zakazał mi pić do końca życia.

— To bardzo przykre. Niech się pan jednak nie martwi. Może pan nie będzie długo żył.

PRZEWIDUJĄCA

— Dlaczego sądzisz, że to niedobrane małżeństwo?

— Bo ona go już przedstawia „To jest mój pierwszy mąż".

LOGICZNE

— Co pan dobrodziej pozwoli dobrego na obiad?

— Nic, dziękuję. Nie jestem głodny.

— Może coś do picia?

— Nie, dziękuję.

— Czy pan szanowny czeka na kogoś?

— Na nikogo.

— Czemu pan zatem przyszedł do restauracji w porze obiadowej?

— Jakto czemu? Przecież to moja przerwa obiadowa.

ZBYTNIE WYMAGANIA

— Cóż ty mi robisz za scenę, że ja nie pamiętam daty naszego ślubu? Jak ja mam pamiętać kiedy się ożeniłem skoro ani rusz nie mogę sobie przypomnieć dlaczego się ożeniłem.

OSZUST

Rozeszłam się z mężem, bo mnie oszukiwał przy kartach.

Sama się przekonałam.

— Co? Miał asa w rękawie?

— Nie. Weszłam jak grał w karty i miał damę na kolanach.

ON BYŁ CICHY

Mąż budzi się po przepitej nocy trochę niespokojny:

— Duszko! Czy ja zachowałem się wczoraj cicho jak wróciłem do domu?

— Ty byłeś cichuteńki, ale ci dwaj przyjaciele, co cię przywlekli byli strasznie hałaśliwi.

NISKIE UCZUCIE

— Nie chcę znać takiego męża! Policjant zabrał cię gdy o trzeciej rano obejmowałeś latarnię.

— Zazdrość jest bardzo przykrą wadą, moja droga.

ZNAMIENNY REPORTAŻ

„Znali się od lat dziecinnych. Wczoraj się pobrali i tak skończyła się przyjaźń z ławy szkolnej".

TO CO INNEGO

— Jak pan mógł pozwolić żonie, by pozowała malarzowi w stroju Ewy?

— To nieprawda! Zapewniała mnie, że on ją namalował z pamięci.

TAK SIĘ BUDZI

— Żonuś kochana! Już ósma godzina. Czas wstawać i zacząć gadać.

STRASZNA AWANTURA

— Nie rozmawiam z mężem. Mieliśmy straszną awanturę.

— Jak na pierwszy miesiąc po ślubie to wcale ładnie małżeństwo się zapowiada. A o co wam poszło?

— Kłóciliśmy się o to, które z nas bardziej kocha drugie.

WSZYSTKO MUSI WIEDZIEĆ

— Tatusiu! A na co umarło Morze Matwe?

— Nie wiem syneczku.

— Tatusiu! A dokąd idą sny jak się człowiek budzi?

— Nie wiem syneczku.

— Tatusiu! A kto cię zrobił redaktorem?

KTO LEPIEJ BLAGUJE

— Tak było zimno, że aż światło świeczki zamarzło i nie można było jej zgasić.

— U nas było gorzej. Gdy myśmy rozmawiali, to słowa z ust wychodziły jako kawałki lodu i musieliśmy ję topić, ażeby zobaczyć o czym mówiliśmy.

JEJ TEŻ NIE

Lakarz do żony chorego:

— Przyznam się, że mi się mąż pani nie podoba.

— Mnie też nie. Ale dobrze zarabia i lubi dzieci.

DOBRA PAMIĘĆ

— Jak u ciebie z pamięcią?

— Bardzo dobrze- Tylko nie pamiętam trzech rzeczy: nazwisk, twarzy i jeszcze czegoś, co zapomniałem.

DAĆ MU JEŚĆ

Po obiedzie jeden z gości palnął mowę, śmiertelnie nudną i nie chce skończyć. Zaczyna znów rozwodzić się nad obiadem:

— Doprawdy takie były wspaniałości i tak się najadłem, że gdyby ktokolwiek zjadł więcej, nie mógłby mówić.

Na to jeden z niecierpliwszych gości zawołał:

— Daj mu pani jeszcze kanapkę.

BEZ PODPISU

Angielski zwyczaj wymiany kart świątecznych jest doprowadzony do dużej przesady. Mąż posyła życzenia żonie, żona mężowi i im pełniejszy parapet kominka, tym dumniejsi gospodarze. Sąsiad pyta:

— Od kogo ta kartka zupełnie bez słowa i podpisu?

— To od mojej teściowej. Ja jej także wysłałem życzenia bez podpisu, bo my nie rozmawiamy z sobą.

DOŚWIADCZONA

Pewien pan odwoził z zabawy poznaną tam pannę własnym samochodem. Ciemno, deszcz pada, ulice opustoszałe. Nagle samochód się zatrzymuje. Po krótkim badaniu właściciel powiada:

— A to pech. Woda dostała się do benzyny i nie możemy ruszyć dalej.

— Prosze sobie z tego nic nie robić. Mnie się to już przydarzyło. Porszę wejść do środka. Pan będzie próbował mnie pocałować, ja panu dam w twarz i od razu woda zpowrotem zamieni się w benzynę.

BENEDYK HERTZ

KOZAK Z PIKĄ

HUMORESKA

W DZIUROWIE, mieście nietyle wspaniałem, ile ambitnem, ukazali się niesumienni agitatorzy i jęli namawiać stu dwudziestu czterech robotników tartaku do obalenia caratu. Przy tej sposobności, radzili także (już za jednym zachodem) obalić i ustrój kapitalistyczny. A wszystko to zapomocą strejku.

Zawrzał tedy gniewem najbliższy gubernator, wczas powiadomiony o knowaniach wywrotowych, i przysłał do Dziurowa "sotnię" skośnookich kozaków. Każdy z nich miał kolczyk w lewem uchu, małego kudłatego konika, nahajkę z ołowianym końcem i długą pikę. Kozacy ci, podzieleni na dziesięciny, jęli objeżdżać miasto i wypatrywać wrogów wewnętrznych. Zadanie było dosyć trudne, ile że niesumienni agitatorzy nie posiadali żadnych oznak szczególnych i wyglądali, jak zwykli, najsumienniejsi śmiertelnicy.

Jednocześnie z pojawieniem się siły zbrojnej, ponaklejano na rogach ulic wielkie plakaty, gdzie stało — najpierw po rosyjsku, a potem po polsku — wypisane, co wolno, czego nie wolno i jakie grożą nieposłusznym kary.

Miejscowa inteligencja: doktór, aptekarz, rejent i t. p., a przedewszystkiem dyrektor tartaku, p. Inocenty Wąski, uznali najazd kozacki za "malum nesessarium" czyli zło konieczne. Jedno wszakże miano za złe władzy: mianowicie, zakaz wydalania się z mieszkań po godzinie 10-tej wieczorem. Pozwolenie na swobodną cyrkulację uzyskał tylko dr. Kurzyłło, który miał kilka zatargów z pacjentami o to, że nawet do najnaglejszych wypadków w nocy chodzić nie chce. Z pewnej swobody ruchu mógł też korzystać dyrektor Wąski. W jego bowiem domu zamieszkał essauł kozaków, którego "deńszczyk" (ordynans), oddany do dyspozycji gospodarza, w razie potrzeby, służył za asystę.

Życie towarzyskie w Dziurowie prawie zamarło.

Bo co to za przyjemność — rozchodzić się o dziesiątej! Dziecinna godzina. Ten punkt "stanu wyjątkiowego" usposabiał opozycyjnie nawet rejenta, nie mówiąc już o panu Walentym Szypułce, właścicielu apteki, który wogóle miał markę zakapturzonego masona, radykała i dziejowego materjalisty.

Mimo to, gdy po szóstwm robrze rejent zaproponował jeszcze partyjkę, aptekarz spojrzał na zegarek i rzekł tonem ostrzeżenia:

— Panowie, za pięć dziesiąta.

— Bardzo to panu na rękę — odezwał się rejent. — Wygrał conajmniej pięćdziesiąt rubli, więc mu pilno do domu.

— Pięćdziesiąt?... Jakie pięćdziesiąt? — bąkał nieco zażenowany Szypułka, poprawiając złote okulary. Wciąż mu one zjeżdżały z płaskiego nosa, wtłoczonego między tęgie, różowe policzki.

— Tak, tak, porachuj pan — upierał się notarjusz. — Ja sam jestem bilsko trzydzieści rubli przegrany.

Skąpiec nie lubił przegrywać i tracił panowanie nad sobą, ilekroć mu się to zdarzyło. Zwłaszcza irytowało go powodzenie w kartach aptekarza. Z Szypułką miał bardzo stare porachunki. Kiedy był ongi studentem, kochał się w pani Walentowej (wtedy jeszcze pannie Heli), ale dostał kosza. Byłoby o niej zapomniał, gdyby nie przybył na rejenturę do Dziurowa, gdzie zastał swój dawny ideał, jako panią aptekarzową. Wprawdzie teraz trudno było zgadnąć, co się w niej komukolwiek mogło podobać, ale obrażona duma odpalonego konkurenta nie pozwalała spokojnie patrzeć na zwycięskiego rywala.

Mówią, że kto ma szczęście do kart, nie ma szczęścia w miłości.

A tu tymczasem...

I to kto?... Taki Szypułka!... taka słonina z oczami...

Wąskie wargi notarjusza wykrzywiał uśmiech pogardliwy, a na jego suchej, pergaminowej twarzy siekanina drobnych żyłek napełniała się krwią.

— Więc gramy dalej, czy nie gramy? — ziewając zapytał lekarz. Wielką dłonią pogładził się po gęstej, czarnej czuprynie i wyblakłemi oczami spojrzał na gospodarza.

Dyrektor uczynił niewyraźny ruch, jakby

chciał powiedzieć: wasza wola, panowie; poczem wszyscy, nic już nie mówiąc, znów zabrali się do "roboty".

Było dobrze po pierwszej, kiedy towarzystwo uznało, że ma dość tej zabawy. Rejent był wściekły: zamiast odegrać się, przerżnął jeszcze 15 rubli.

Aptekarzowi, zwycięzcy, nie wypadało inaczej, jak zaprosić całe towarzystwo do siebie.

— A więc, panowie — rzekł, wkładając palto — jutro czekam ze skromną herbatką i rewanżem.

— Jutro? — zamyślił się dyrektor tartaku — hm, nie wiem, czy będę mógł...

— E, co takiego?

— Może mi wypadnie wyjechać do Sandomierza. W każdym razie dam kochanemu panu znać z samego rana.

Ulice Dziurowa tonęły w głębokim mroku. Gdzieniegdzie tylko latarnia-sierota rzucała niewielki krążek żółtawego światła na otaczające ją błoto, nie dbając o sprawy dalszego sąsiedztwa. Latarnie tutejsze wyznawały starą — i przez carskie rządy mocno popieraną zasadę — "czyń, każdy, w swem kółku, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży". Całość jednak sama złożyć się nie chciała i dlatego mieszkańcy Dziurowa wieczorami łamali nogi, rozbijali nosy, a conajmniej zapadali po kolana w błoto, ilekroć należało przejść z jednego trotuaru na drugi. Teraz jednak zamilkły skargi ofiar magistrackiej oszczędności; wypadków nie było, bo wystraszeni stanem wyjątkowym, ludzie wieczorami nie wysuwali się z mieszkań, z czego skwapliwie korzystały koty, wyśpiewujące dziecięcemi głosy swoje serenady miłosne.

Na najbliższym rogu doktór i rejent pożegnali Szypułkę.

Aptekarz pozostał sam.

Zrobiło mu się niewyraźnie na duszy. Bo choć z natury był śmiały, a z przekonań — opozycją, jednak nie życzył sobie spotkania z patrolem kozackim o zakazanej porze, bez przepustki w kieszeni. Cichutko więc, jaknajostrożniej sunął tuż pod ścianami domów. Uważał, by nie wstępować w kręgi latarnianych świateł i złorzeczył księżycowi, ilekroć zachciało mu się wyjrzeć z poza gęstych obłoków.

Na następnem skrzyżowaniu ulic powiodło się panu Walentemu bez szelestu przejść środek jezdni, poczem oparł się plecami o drewniane sztachety, taki był zmęczony. Chciał chwilę odpocząć, ale podłe jakieś psisko zaczęło, z głośnem ujadaniem, tarmosić mu palto.

— Pójdziesz! Niech cię jasny piorun... — zaklął przerażony Szypułka.

Miał wrażenie, że słyszy już tętent nadjeżdżających kozaków. Nie oszczędzając więc palta, szarpnął się i odskoczył od zdradzieckiego płotu, za którym przeklęty brytan tem gwałtowniej zaczął ujadać.

Aptekarz krokiem przyspieszonym oddalił się od psiej posesji i odetchnął z ulgą dopiero, gdy szczekanie ustało. Ledwo jednak uspokoił się nieco, raptem znów zadygotała w nim dusza. Bo oto, w świetle niezbyt dalekiej latarni dostrzegł dwa człapiące konie i kiwających się na nich jeźdźców.

Chciał w pierwszej chwili zawrócić, ale przypomniał sobie czujnego brytana. Zdrętwiał na chwilę. Wkrótce jednak opamiętał się i ciałem przylgnął do jakiegoś namacanego drzewa. Kozacy tymczasem zdążyli tak się przybliżyć, że słychać było nietylko pluskanie kopyt w kałuży, ale nawet skrzypienie kulbak i brzęk uderzanych o siebie strzemion.

— Eto, każetsia, łajała sabaka? (To, zdaje się, tutaj szczekał pies) odezwał się jeden z żołnierzy.

— Niet, po mojemu, jeszcze dalsze. (Nie, podług mnie, jeszcze dalej) — odpowiedział drugi.

Szypułka wstrzymał dech w piersi. Zdawało mu się, że zatrzymano konie. Pień drzewa był wystarczająco gruby, więc starał się tak stać, aby zasłona była zupełna. Tymczasem jeden kozak zeskoczył z konia.

— Przepadłem — pomyślał pan Walenty.

Rozległ się chlupot kroków ludzkich po błocie. Zamajaczył cień żołnierza, a po krótkiej chwili, z drugiej strony drzewa, za którem drżał przerażony aptekarz, odezwało się charakterystyczne i zgoła nie dwuznaczne stękanie.

Szypułka nie odważył się wysunąć głowy z za pnia, ale i tak — poniekąd przy pomocy nosa — domyślił się, że kozak w tym momencie nie pracuje głową. Wreszcie, po paru minutach, które końca nie miały, zaczęło znów pluskać błoto pod ciężkiemi buciorami oddalającego się człowieka. Mimo unoszącą się w powietrzu bardzo niemiłą woń, pan Walenty odetchnął pełną piersią i — poczekawszy jeszcze trochę — wolno ruszył w drogę.

Szedł teraz szybko, jak koń, czujący bliskość stajni. Istotnie bowiem nie więcej, niż pięćdziesiąt kroków, dzieliło go od domu. W końcu namacał furtkę swego ogródka i nacisnął klamkę. Zamknięte. Sięgnął do kieszeni po klucz, gdy nagle rozległ się krzyk:

— Ej tam! Stoj! Kto idiot?

Równocześnie zadudniła ziemia pod końskim galopem.

Jakimś cudem trafił odrazu kluczem do dziurki. Bezszelestnie otworzył furtkę i zamknął ją cichutko. Chwila jeszcze i znalazł się we własnym pokoju. Teraz dopiero poczuł walące w piersi serce. Nie zapalając lampy, na drżących nogach zbliżył się do okna. W ciemnościach nic widać nie było. Tylko zdawało mu się, że słyszy jakieś głosy, powtarzające:

— Stoj!... Gdie prapał?... Gdie diewałsja?... (Stój! Gdzie przepadłeś? Gdzieś się podział?)

A potem doleciał go oddalający się tętent i zapanowała cisza.

Spiesznie rozebrał się i wlazł do łóżka.

Gdy nazajutrz obudził się, przez nieszczelne brzegi rolet wdzierały się do pokoju jasne, wesołe promienie słońca. Odrazu dodały one panu Walenty ducha. Przeżyte wzruszenia ustąpiły zupełnie uczuciu głębokiego zadowolenia. Jest u siebie, bezpieczny... Ładny pokój, wygodne łóżko...

Czy te rzeczy może ocenić człowiek, który nie przeżył strachu?... który nie wie, co znaczy ryzykować życie?

Kozak mógł przecież strzelić, trafić i pan Walenty Szypułka leżałby teraz na ulicy zimny, nic nie czujący... Ofiara stanu wyjątkowego i własnej odwagi. Tak, odwagi! Bo w całym Dziurowie niema drugiego śmiałka, coby się zdecydował chodzić po mieście o drugiej w nocy, gdy kozactwo urządza na ludzi obławy.

Rejent?... Przedewszystkiem poszedł z doktorem, posiadającym przepustkę. Mógł więc podać się za felczera, albo powiedzieć, iż prowadzi lekarza do chorej żony. Zresztą, rejent działał nie pod wpływem odwagi, ale chciwości i skąpstwa. Żal mu było przegranych pieniędzy, sądził, że je odzyska...

Nic z tego! Cała wygrana suma jest w portfelu aptekarza. O, tam, w bocznej kieszeni marynarki. Wysunął się z pod kołdry, wyjął pugilares i sprawdził.

Jest. Wszystko. W porządku. Sześćdziesiąt trzy ruble.

Z tem większą przyjemnością wodził pan Walenty zadowolonem okiem po pokoju. A w miarę, jak orjentował się w wielkości swego triumfu, ogarniał go podziw dla własnej dzielności.

Często człowiek sam nie wie, że jest bohaterem. Brak mu perspektywy. Zajęty całkowicie realnym czynem, nie ma możności analizowania go, ani oceniania. A przecież ta nocna przygoda była nietylko takim sobie zwyczajnym wypadkiem. Miała ona pewną logikę, sens głębszy. Była protestem przeciw gubernatorskiej samowoli, przeciw krępowaniu wolności obywatelskiej...

I kto się na to zdobył?

Nikt — tylko on, Walenty Szypułka. Jeden jedyny w całem mieście, liczącem około czternastu tysięcy mieszkańców.

"Ja jestem miljon, bo za miljony kocham i cierpię katusze" — powiedział Mickiewicz. Z równą słusznością pan Walenty dziś może o sobie powiedzieć: ja jestem czternaście tysięcy.

— Proszę pana...

W uchylonych drzwiach ukazała się niebrzydka główka służącej.

— Co tam? Czego chcesz?

— Przed naszym domem stoi na koniu kozak i czeka na pana.

— Co?!

Aptekarzowi pociemniało w oczach. Po głowie zaczęły cwałować najrozmaitsze myśli, a rozkoszny spokój, co mu dotąd otulał duszę, ulotnił się raptownie.

— Jakto, czyżby ten człowiek sterczał całą noc, aby przyłapać winowajcę?

— Kiedy i jak mógł wyśledzić kryjówkę zbiega?...

— Przecież wyraźnie słychać było, że się oddala. Miałby wrócić i trafić akurat na właściwe miejsce? Nie, niemożliwe!

— Chyba ci się, Marysiu, przywidziało — rzekł wreszcie stłumianym głosem.

— Ale co znowu!... Przeciem go na własne oczy widziała.

Pan Walenty mocniej owinął się kołdrą. Postanowił nie dać się. Niech przyjdą nich gwałtem wywloką go z łóżka. Będzie się bronił, będzie strzelał... Strzelał?... No, tak dalece, to nie. Wprawdzie jest tam w którejś szufladzie biurka jakieś starożytne rewolwerzysko, ale pozwolenia na broń niema, więc lepiej z kanonadą się wstrzymać.

Tak czy owak, bohater nasz zaciął się.

Na ten heroizm w swoim rodzaju, zdobył się w głuchej nadziei, że jednak Marysia uległa złudzeniu... Bo przecież to być nie może.

— Wynoś się! — krzyknął.

Lecz kiedy przestraszona dziewczyna zamknęła drzwi za sobą, Szypułka wetknął bose nogi w pantofle i ostrożnie zbliżył się do okna. Końcem palca uchylił nieco brzeg rolety i wyjrzał jednem okiem.

Tuż za furtką ogórka, otaczającego posesję aptekarza, stał bury, kudłaty kozacki mierzynek, przywiązany lejcami do parkanu. Koń obskubywał liście akacji, gwałtownie tarmosząc niższę gałęzie drzewa. Tuż obok stał oparty o sztachety żołnierz. Czapka bez daszka, otoczona czerwonym lampasem, opadała mu na prawe ucho, nad lewem zaś sterczał gruby pęk włosów. Szeroka twarz, o mocno zarysowanych kościach policzkowych, bezmyślnie patrzała w przestrzeń wąskiemi szparami oczu.

Atoli grozę budziła nie ta mongolska gęba, nie zbakierowana czapa i nie dziwaczna koafiura... Najstraszniejsza była długa, cienka pika, stercząca obok spieszonego jeźdźca. Na jej widok, pan Walenty przypomniał sobie szereg opisów kozackiego okrucieństwa: jak nadziewali na te swoje rożny odbierane matkom niemowlęta, jak przybijali do ziemi schwytanych jeńców i Bóg wie co jeszcze. Małoż to powiadano, naprzykład, o słynnym pogromie kiszyniowskim?

Pan Walenty już wyobrażał sobie, co czuć musi człowiek, na wylot przekłuwany takim szpikulcem, przez dzikusa, dla którego rozkoszą jest torturowanie bliźniego.

— Maryśka! — wrzasnął, cofając się do łóżka.

Drzwi znów się uchyliły.

— Idź, zapytaj, czego on chce!

Dziewczyna znikła.

Znów po głowie aptekarza jęły hasać najrozmaitsze domysły i przypuszczenia.

...Musiał kozak zakarbować sobie w pamięci dom, do którego skrył się nocny włóczęga... Potem odjechał, zdał raport zwierzchności... Teraz wrócił z rokazem aresztowania. Bo przecież trudno podejrzewać, aby tu przez całą noc wyczekiwał. Ale co za oczy!...

Ta Maryśka siedzi tam i siedzi!... Godzinę będzie siedziała.

...Zaaresztują. Ale to byłoby głupstwo. Zaczną wypytywać, podejrzewać o jakieś konszachty z wywrotowcami. Przy stanie wyjątkowym niema czasu na wykazywanie alibi, powoływanie świadków... Raz, dwa, trzy — gotowe. Zakują człowieka w kajdany wyprawią do wschodniej Syberji.

Aptekarz — nie prawnik. To też pan Walenty miał bardzo mgławicowe pojęcie o konsekwencjach spełnionego przestępstwa. Wielkooki zaś strach malował obrazy, godne pióra Dantego, przedłużając jednocześnie w nieskończoność chwile oczekiwania.

Nakoniec wróciła służąca.

— Musi się z panem widzieć, powiada.

Szypułka jął drżącemi rękami wciągać spodnie. A tu, jak na złość, guziki nie trafiały do właściwych dziurek, szelki się jakoś pokręciły, sznurowadła u trzewików posupłały... Wszystko stawiało opór i zdawało się ostrzegać: "nie wychodź! nie wychodź!"

— A może, istotnie, lepiej nie wychodzić? — pomyślał. — Może ukryć się w piwnicy?... Albo wymknąć się tylnem wyjściem i szukać schronienia w jakim innym domu?...

Możnaby nawet zwiać gdzie na wieś... schować się u którego ze znajomych włościan... Nie odmówią przecież parodniowej gościny. A tymczasem porobi się przez adwokata starania.

Czuł jednak taki upadek sił i energji, że przerażeniem napełniała go perspektywa najrozmaitszych niebezpieczeństw, które niewątpliwie towarzyszyłyby ucieczce.

Krokim skazańca, idącego na ścięcie, wyszedł z pokoju, w którym jeszcze przed kilkunastoma minutami tak był bezpieczny i szczęśliwy. Przed zamknięciem za sobą drzwi, raz jeszcze rzucił okiem na szerokie, wygodne łóżko, na piękne mahoniowe biurko, na stolik do kart, przy którym dziś wieczorem zasiąść mieli przyjaciele... Westchnął głęboko i pomyślał:

— Azali zobaczę was jeszcze?

Nawet suchy, złośliwy rejent był mu teraz bliski i drogi.

— Ha, trudno! Co będzie, to będzie — szepnął, by dodać sobie ducha.

Wyszedł przed dom i blady zbliżył się do kozaka.

Na widok pana Walentego, żołnierz wyprostował się, chwycił prawą ręką pikę i pchnął furtkę.

— Cze... cze... czego chcecie... — zaczął, jąkając się, aptekarz.

— Wy Walentin Ignatjewicz Szypułka?

— Ja.

Kozak spojrzał nań zpodełba, jakby nie dowierzał. Potem zdjął czapkę i wyjął z pod niej zaklejoną kopertę.

— A wot pan dirièktor prosili pieradać...

Nic jeszcze rozumiejąc, aptekarz rozerwał. Dobrą chwilę trwało, nim zdołał uspokoić skaczące mu przed oczami litery.

Dyrektor Wąski donosił, że jedzie do Sandomierza, więc na karty wieczorem nie przybędzie.



PIŃSK. — Kościół OO. Jezuitów widziany od prezbiterium

W. WIRCH POPŁAWSKI

SALON FRYZJERSKI BENIA MICMANA

"Z ULIC nowojorskich codziennie można z łatwością zebrać conajmniej kilka dolarów. Nawet pracować bardzo nie trzeba. Zresztą — o pracę nie trudno. Głodu nikt tam nie zna. Wszyscy golą się z 'adekolonem', czeszą z 'weżetalem'.

A po półrocznym pobycie najbiedniejszy człowiek jeździ własnem autem."

To Benia przekonało ostatecznie.

Zresztą agent prezentował się dość uczciwie, a przytem sam był Żydem...

Ukłonił się więc Benio staremu Haftmanowi i powiedział "do widzenia, jadę do Ameryki".

Benio Haftmana obchodził tyle co zeszłoroczny śnieg, ale cenił go jako pracownika. Benio był fryzjer- złoto. Komendant policji nikomu nie powierzał swego dostojnego oblicza, tylko właśnie Beniowi, i burmistrz także, i doktór, i obaj aptekarze. Nawet redaktor miejscowego rachitycznego dziennika, nie mając nic jeszcze konkretnego do golenia, czarował suwałczanki bujnemi lokami, które zwykle misternie układał — Benio.

Bo Benio już miał takie szczęście. Jego brzytwa nigdy nie drapała, broń Boże kaleczyła, maszynka nie strzępiła włosów, a "adekalon" nie szczypał oczu.

Przytem Benio był chodzącą informacją we wszystkich dziedzinach. On wszystko wiedział pierwszy i wszystko... lepiej.

Mógł się wielu ciekawych rzeczy dowiedzieć od niego i sam komendant policji i burmistrz i redaktor, zwłaszcza, że Benio mówił chętnie i obficie.

Wiedział nawet co się dzieje w województwie, co słychać w stolicy. Wiedział wszystko, chociaż gazet nigdy nie czytał i nigdy poza obręb rodzinnych Suwałk nie wyjrzał.

Nic też dziwnego, że Haftman go cenił i bał się postradać. Ale cóż zrobić, jak kto jest "myszygene".

Chce jechać — niech jedzie.

I Benio Micman pojechał.

Agent okazał się zwykłym, stuprocentowym bandytą.

Bo chociaż na nowojorskich ulicach można było znaleźć i stare gazety, i niedopałki cygar czy papierosów i ogryzki owoców lub skórki bananowe, o dolarach nie było nawet mowy.

Dawać robotę też nikt się nie kwapił, a mimo to jeść trzeba było. Kontury bajecznych zarobków i lśniącego samochodu, takiego, jakim jeździł wojewoda, zacierały się coraz bardziej. Chodził więc Benio pieszo po długich, równych ulicach, chociaż nogi coraz dokuczliwiej bolały i coraz dokuczliwiej jeść się chciało.

Po lśniących asfaltach ulic turlały się setki tysięcy samochodów, z ulicy w ulicę przesypywał się groch rozpędzonego, rozgorączkowanego tłumu. Na Broadway lśniły piękne, strzeliste drapacze chmur, w Bowery straszyły paskudne, brudne kamienice, w niechlujstwie swem gorsze od suwalskich domów.

Było źle — i Benio coraz bardziej żałował, że ukłonił się staremu Haftmanowi, że przestał golić komendanta policji, redaktorowi fryzować tlenione kosmyki i co piątek jeść przy świecach "kugiel".

Głodował tedy Benio w krainie dolara, bezmała trzy tygodnie, ale niedarmo mówił suwalski komendant policji, że Benio jest "cwaniak nielada".

W jakimś obskurnym "saloon'ie" w Bowery, dokąd wstąpił Benio, aby za kilka centów pokrzepić odrobiną fasoli wątłe ciało, poznał wielkiego, czarnego jak smoła, murzyna.

Jak wynikało z rozmowy, Negr był posługaczem w dużej i solidnej firmie fryzjerskiej: "Max Corn Hairdressers Shop" na Broadway'u. Wstąpił do salunu, aby zjeść "śniadanie", a potem na ósmą do roboty.

Murzyn jak murzyn. Ma czarną skórę, a w głowie także czarno. Benio zorjentował się szybko i na poczekaniu miał plan gotowy.



...poznał wielkiego, czarnego Murzyna.

Zrezygnował z fasoli, natomiast zaproponował murzynowi szklaneczkę ginu.

W Stanach Zjednoczonych obowiązuje coprawda prohibicja, ale niedarmo włóczył się Benio przez długie trzy tygodnie po ulicach New Yorku.

Do ósmej na zegarku Benia były jeszcze dwa kwadranse, murzyn zgodził się chętnie.

Po szóstej szklance był wykończony.

Jak bela.

Na jego miejsce zgłosił się do firmy "Max Corn Hairdressers Shop" Benio Micman, mały, trochę garbaty, chuderlawy Żydek, pierwszy fryzjer "salonu" Motka Haftmana w Suwałkach.

Nie zrażał się tem, że zamiast strzyc, golić, czesać czy masować gości rozwalonych w białych misternych fotelach, zamiast skrapiać ich

twarze "adekolonem" a głowy "weżetalem", musi ograniczać się do odkurzania posadzki jakąś dziwną, piszczącą maszyną, czyścić klientów, podawać im palta i kapelusze...

Benio doskonale wiedział, że nie wszystko można odrazu zdobyć, że nieraz na dolara trzeba czekać trzy tygodnie albo i więcej, zwłaszcza jeżeli się chce strzyc i golić w takim zakładzie, gdzie jest aż... czterdzieści foteli i tyleż wielkich, kryształowych luster, gdzie po ścianie wije się cała sieć przeróżnych kabli, sznurów, drutów, kontaktów, uruchamiających setki cudownych urządzeń, gdzie człowiek po gładkiej, lustrzanej posadzce ślizga się niby po lodzie, gdzie bezustannie warczą elektryczne propelery i bezustannie biegają palce niezmęczonych, zręcznych manikurzystek.

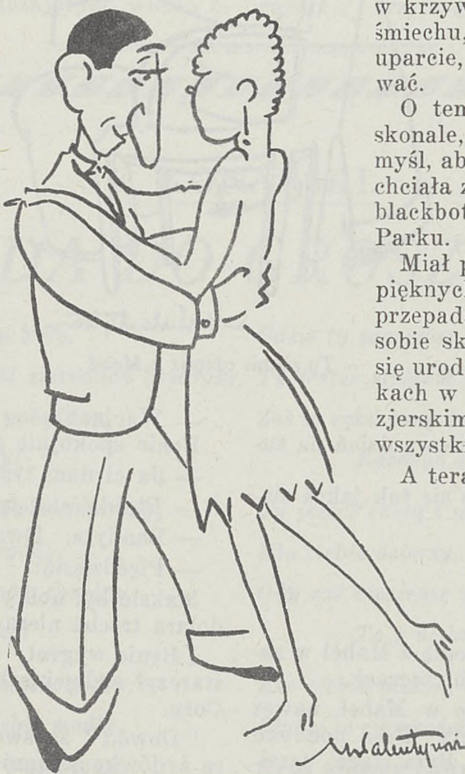
Po trzech miesiącach Benio awansował. Okazało się bowiem, że niewidzialny prawie szef, który do zakładu zaglądał bardzo rzadko, jest Maksiem Kornem z rodzinnych Suwałk i doskonale znał starego Micmana.

Odtąd wszystko szło jak z płatka.

Benio wyjątkowo szybko przyzwyczaił się do manipulowania lśniącym pełnym śrubek fotelem i bezszelestną, elektryczną maszynką do-strzyżenia włosów. Benio znów z wdziękiem i humorem pozbawiał brody i policzki Yankesów mniej lub więcej szczecinowatego zarostu, znów skrapiał je "adekolonem", który coprawda inaczej się tu nazywał, ale pachniał taksamo kiepsko.

Benio wiedział dokładnie jak idą interesy "Red-Star Line", w której gmachu mieścił się zakład. Wiedział ile na Wall street płacą za akcje "Investing Co.", a ile za "Manhattan Pictures", wiedział ile kosztowała budowa subway'u na Coney Island, wiedział wszystko...

Tak jak w Suwałkach.



...*blackbottomowała do zmęczenia.*

Zeszła w nim tylko jedna, zresztą na pozór minimalna zmiana.

Benio, który w zakładzie starego Haftmana zawsze paradował z melancholijnie rozburzoną czupryną, który najmniejszej wagi nie przywiązywał do stroju, w firmie "Max Corn Hairdressers Shop" z błyskawiczną szybkością zakasował wszystkich swych kolegów piękną linją dobrze skrojonych garniturów, wzorzystemi krawatami, wytwornemi kołnierzykami marki "Lincoln" i nieskalanym, golonym przedziałkiem lśniącej jak krucze skrzydło czupryny.

A to wszystko dlatego, że mały, cherlawy Benio Micman zakochał się w Miss Mabel.

Miała ona śliczne, fiołkowe oczy, ładne łuki brwi, jeszcze ładniejsze gorąco-purpurowe wargi, białe, długie dłonie i smukłe kolumienki zgrabnych nóżek.

Manicure robiła tak świetnie, jak żadna z jej dziewięciu koleżanek.

Benio zakochał się w niej od pierwszej chwili, ale mimo, iż mówić lubił i potrafił, nigdy nie miał odwagi wszcząć rozmowy z Miss Mabel.

W tak zwanych sprawach miłosnych był zupełnym laikiem. Wystarczało mu, że może na ukochaną patrzeć, że może słuchać jej głosu, kiedy rozmawiała z klientami, że może podziwiać szybkie i pewne ruchy jej palców podczas manicure, że wogóle jest tak blisko niej przez cały dzień. Od rana do wieczora.

Wiedział, że lubi kino, że chętnie chodzi na filmy z Mary Pickford czy Rudolfem Valentino, wiedział, że w sobotę wieczorem, po pracy, biegnie zwykle do "dancing roomu", że przepada za black-bottomem i umie na pamięć wszystkie melodje ostatnich szlagierów. Wiedział wreszcie, że cieszy się niby małe dziecko, kiedy może w niedzielę pójść do Luna-Parku na West Brighton, jeździć alpejską kolejką, oglądać się w krzywem zwierciadle, turlać w beczce śmiechu, jeść "ice-cream-soda" i... znów uparcie, aż do zmęczenia, blackbottomować.

O tem wszystkiem wiedział Benio doskonale, ale nigdy nie przyszło mu na myśl, aby Mabel, smukła, śliczna i dumna, chciała z nim pójść do kina, z nim tańczyć blackbottoma, jeździć i "szaleć" w Luna-Parku.

Miał przecież garb i nos krzywy i mimo pięknych kołnierzyków marki "Lincoln" przepadał za... cebulą. Wogóle był takim sobie skromnym, małym żydkiem, który się urodził w Suwałkach i w tychże Suwałkach w pierwszorzędnym "salonie" fryzjerskim Motka Haftmana strzygł i golił wszystkie miejscowe znakomitości.

A teraz... Mabel...

Benio śmiał się sam z siebie. Ale nie tracił nadziei. Nieraz na dolara trzeba czekać aż trzy tygodnie, a co dopiero na taką śliczną kobietę, jak Mabel...

Ot, gdyby miał taki zakład jak Maksio Korn, gdyby tak jak on nosił na palcach brylantowe pierścienie, jadał obiady u Wertinga i jeździł ciemno-błękitną limuzyną Moon'a,—wtedy co innego.

A kiedy tak sobie pomyślał, coś go zabolało. Bo dopiero wtedy zauważył, że Mabel przychodzi do zakładu znacznie później niż wszyscy pracownicy, a mimo to Jim Hervick nigdy jej nie strofuje, przeciwnie — zawsze uśmiecha się do niej przymilnie, jakby nie był kierownikiem firmy, lecz chłopcem Mabel.

Zauważył także, że bardzo często, wyszedłszy wieczorem z zakładu, Mabel, zamiast iść do subway'u, wsiada do oczekującej na pobliskiem skrzyżowaniu ulic ciemno-błękitnej limuzyny, że na długich, ładnych paluszkach skrzy się tysiącem blasków duży, ładnie oprawiony brylant...

Zauważył to wszystko i... uczuł dziwnie dotkliwy, dolegliwy ból.

Ale nie... Przecież Korn ma żonę. Benio doskonale pamiętał grubą, małą Pesę, której Maksio przysłał "szyfkartę". Mówiły o tem całe Suwałki.

Nie. Korn jest naprawdę dobrym, uczciwym mężem.

Nonsens.

Była akurat sobota. Wieczorem, kiedy już zakład zamykano, Benio z udaną fantazją zapalił papierosa i, nie patrząc na Mabel, rzucił:

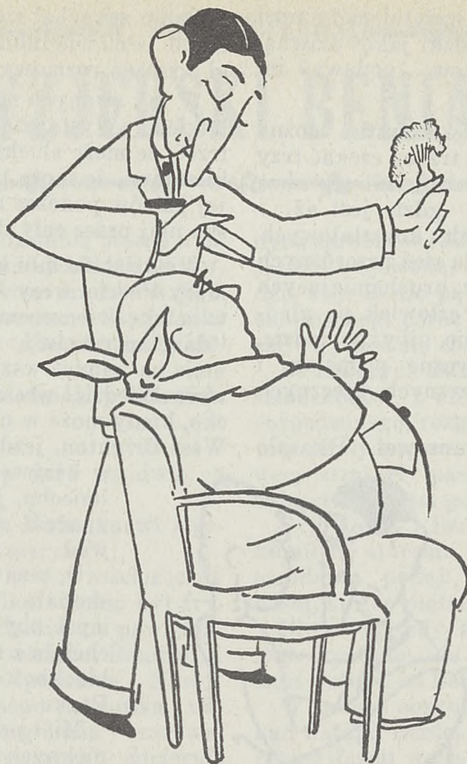
— Pójdziemy potańczyć, miss Mabel...

— Myyy???

— Nno... tak...

— Nie!

Leciutko szemrała woda w pięćdziesięciu lśniących kranach, szczękały chowane narzędzia, pod sufitem błąkały się siwe tumany dymu tytoniowego, potu ludzkiego, wody kolońskiej, brylantyny. Z za wielkich lustrzanych szyb stukotał przedwieczorny rozgłośny hałas, rozpoczynały swą gonitwę miljardy świateł reklamowych. W długich, karnie wyciągniętych szeregach śmigały torpeda i limuzyny, za ścianą szumiały bezustannie elewatory, pokrzykiwały chrobotliwe dzwonki telefonów. Cichły Remingtony i Underwoody, tchu nabierały błyszczące saksofony.



— *Ty się nie ożenisz z Mabel...*

A jednak było cicho.

Tak cicho, jak w mroźny styczniowy dzień na suwalskich uliczkach.

Tylko Beniowi w oczach zrobiło się tak jakoś ciepło i wilgotno.

Ale Benio był mądry. Ho, ho...

* * *

W parę tygodni po rozmowie Benia z Mabel w zakładzie zaczęto szeptać o dziwnych rzeczach.

Więc jednak Maksio kochał się w Mabel, nawet chciał się z nią żenić, ale niestety Pesa podobno ani słyszeć chciała o rozwodzie. Była starą, uczciwą żydówką, której nawet przez myśl nie mogło przejść, aby po dwudziestokilkuletniem pożyciu można było rozwodzić się.

A Benio taksamo golił, strzygł, czesał. Masował twarz i suszył włosy. Tak samo opowiadał gościom długo i obszernie o nowych posunięciach giełdowych, o sytuacji politycznej w Meksyku, ekonomicznej na Węgrzech. O racjonalności ustroju komunistycznego i doskonałości nowego typu samochodów marki "X".

Wszystko było taksamo. Bez żadnej specjalnej zmiany, bez najmniejszego odchylenia.

Taksamo jak codzień o godzinie dziesiątej rano dzwonił Benio do pięknych, rzeźbionych drzwi apartamentu Corn'ów. Taksamo jak codzień delikatnie owiązywał szyję szefa śnieżno-białą serwetką, takąż bielą pokrywał grube, krwiste policzki i delikatnie, pieczołowicie golił.

Tylko w pewnej chwili zapytał cicho, z grzeczniutkim uśmiechem:

— Czy pan szef wie, że żona go zdradza?

Pan szef nie wiedział, ale tem niemniej radość jego była wielka, chociaż zewnętrznie wyglądało raczej przeciwnie, bo nawet Benio przezornie cofnął się. Ale szef niedarmo przeszedł długą drogę, dzielącą suwalskiego biedaka od nowojorskiego prawie miljonera.

— Skąd ty wiesz? — zapytał delikatnie Benia.

— Już ja wiem.

Corn, poczciwy Maksio Korn, zerknął uważnie na Benia.

— Ty byś chciał zarobić?

— Ojoj!

— Ja ci dam sto dolarów, ale ty musisz dać dowód dla rabina, że Pesa...

Benio uśmiechnął się lekceważąco.

— Ja taki dowód mogę mieć jutro, ale nie dam.

Corn aż usta otwarł ze zdumienia.

— A dlaczego ty nie dasz?

— Bo się nie opłaci. Sto dolarów... Phi, też pieniądz...

— No, to ile ty chcesz?

— Pięćdziesiąt tysięcy.

— Warjat?

Benio spokojnie golił tłuste policzki.

— Ja ci dam tysiąc.

— Pięćdziesiąt tysięcy.

— Bandyta. Dwa tysiące...

— Pięćdziesiąt.

Maksio był dobrym kupcem, Benio wiedział, że na dolara trzeba nieraz czekać i trzy tygodnie...

I Benio wygrał. Więcej — Benio rzeczywiście dostarczył sądowi rabinackiemu dowód zdrady Pesy Corn.

"Dowód" za swoje kompromitujące wysoce starą żydówkę zeznania dostał — sto dolarów.

A Benio, mając w kieszeni książeczkę bankową na pięćdziesiąt tysięcy dolarów, przyszedł ostatni raz golić swego szefa, który był już teraz kawalerem i śmiało mógł się żenić ze złotowłosą, zgrabną i mądrą Mabel.

Maksio Korn był w szampańskim humorze, mydlana pianka spadała na czerwone policzki niczem śniegowe płatki, klinga brzytwy lśniła w słońcu wiosennego dnia jak kawał srebra.

Wogóle było radośnie.

Tylko Benio Micman smutniał coraz bardziej, bo widział, że Maksio Korn jest już tak blisko Mabel, tak blisko, że wystarczy mu dłoń wyciągnąć...

Mordując więc starannie rude włosy zawieruszone na podgardlu miljonera, Benio szepnął mu cichutko, tak jakby w wielkiej, stylowej sypialni był tłum ludzi:

— Ty się nie ożenisz z Mabel...

Korn szarpnął się oburzony. Ale Benio mocniej przycisnął klingę brzytwy do tłustego podgardla.

— Ty się nie ożenisz, bo ja cię...

Ostra stal cisnęła tłuszcz nieustępliwie...

I nagle... stała się rzecz dziwna. Twarz Korn'a okryła się rubinowym pokrowcem, usta rozwarły się szeroko, jakby chciały rozerwać się na strzępy i...

Benio wrzasnął przeraźliwie.

Lekarz policyjny nie znalazł żadnych śladów zabójstwa, czy samobójstwa. Nie było nawet najmniejszego skaleczenia. Max Corn zmarł na zwykły, prozaiczny anewryzm serca.

''Red-Star Line Building'' ma trzydzieści sześć pięter, osiemnaście luksusowych elewatorów i ileś tam stopni szerokich, marmurowych schodów.

Co wieczór, na wysokości ósmego piętra wykwita legjon purpurowych gwiazd otaczających wielki okręt, który płynie betonową fasadą, rozbijając ostrym dziobem fale niewidocznego oceanu.

Trochę niżej, na wysokości trzeciego piętra, jaskrawy skaut pisze wielkim palcem na ekranie, że najlepsze kapelusze do ''camping'u'' wyrabia fabryka Stetsona.

A jeszcze niżej, na pierwszem piętrze, olbrzymia dłoń uzbrojona w olbrzymią brzytwę goli misternie olbrzymią twarz i wieści wszem wobec, że na Broadway, Red Star Line Building, w parterowych salonach mieści się okazała firma ''Ben Micman Hairdressers Shop''.

Po zamknięciu zakładu przed lustrzanemi drzwiami zatrzymuje się ciemno-błękitna limuzyna i Mrs. Mabel Micman z niecierpliwością oczekuje niepozornej, chuderlawej sylwetki garbatego męża, który osobiście przelicza codzienny zarobek.

Bo tylko na pierwszego dolara trzeba czekać nieraz aż... trzy tygodnie.

F. KONARSKI.

ODA DO GROSZA.

O najcenniejszy upominku boży,
Gwiazdo przewodnia wśród ziemskich bezdroży,
Kotwico szczęścia, porcie pożądany,
Groszu miedziany!

Ciebie, jak bóstwo, czczą świata narody,
Boś ty aniołem pokoju i zgody,
Lub — miljonami karabinów zbrojny
Tyś bogiem wojny!

U stóp twych leży i pan i gmin podły,
Nieuk i mędrzec śle do ciebie modły,
Młody czy stary, mąż czy białogłowa,
Cześć twoją chowa.

Ty jesteś ojciec, tyś jest matka czuła —
Wszak ojca, matkę zastąpi szkatuła,
Ona zastąpi — utrzymuję śmiało,
Rodzinę całą!

Tyś przyjacielem najszczerszym w niedoli,
Człek wielbi człeka twej miłości gwoli,
Tyś jest magnesem i, co idzie za tem,
Najpierwszym swatem!

Gdzie ty zagościsz, tam i spokój gości,
Ty jesteś stróżem niewieściej miłości,
Zaś w ręku żony twoja moc zwycięża
Każdego męża!

Ty jesteś cnotą i wiedziesz do nieba,
Kto ciebie dzierży, temu kraść nie trzeba,
Gdy zaś kieszenie nawiedzisz posuchą,
To z niebem... krucho!

Kto ciebie niezna, ten każdego czasu
Błądzi w ciemnościach, jak łódź bez kompasu,
Ślepy i niemy próżno myśli skupi —
Zaginie głupi!

Tyś charakterem, rozumem, szacunkiem,
Tyś dla występków zapomnienia trunkiem,
Wdziękiem, talentem i wawrzynu listkiem —
Ty jesteś wszystkiem!

Ludzkości całej, o mocarzu wielki,
Wysłuchaj pienia Muzy wielbicielki
I w dom mój, gdzie się pustki rozgościły,
Zejdź, gościu miły!

ANTONI CZECHOW

REKLAMA

Obrazek z Dawnej Rosji

JERSZAKÓW, właściciel wielkiego składu herbaty, siedzi w swym kantorze za wysokiem biurkiem. Jest to człowiek jeszcze niby młody, ale zwiędła jego twarz, rysy jakby zblazowane i pozbawione blasku oczy, każą przypuszczać, że Jerszaków pędził życie burzliwe, i że nie żałował sobie użycia. Znać przytem, że otarł się o cywilizację Zachodu, czego dowodem modny strój, doskonale skrojona marynarka, wonny dymek dobrego cygara i wogóle sposób zachowania się. Okazało się to najwidoczniej, gdy chłopiec sklepowy oznajmił przybycie człowieka pióra, czyli literata.

— Prosić. Tylko powiedz, żeby zdjął kapelusz i wytarł buty.

Za niedługą chwilkę wsuwa się pokornie do gabinetu odziany w brązowe wytarte palto, siwy, łysy starzec, z twarzą mocno czerwoną, pomarszczoną jak pieczone jabłko, na której maluje się jakaś niepewność siebie, właściwa ludziom skłonnym do pijaństwa, ale nie nałogowym alkoholikom.

— A... moje uszanowanie— wita go Jerszaków, nie odrywając oczu od leżącej przed nim na biurku księgi handlowej. — Co mi pan powie dobrego, panie Hajnim?

— Ano, właśnie przyniosłem zamówioną robotę. Proszę, już gotowa...

— Co, tak prędko?

— Trzy dni. Przez ten czas możnaby całą powieść napisać, a cóż dopiero ogłoszenie reklamowe. Na to i godzina czasu starczy...

— Taak? A zawsze się pan tak targujesz jakby taka rzecz najmniej rok czasu pracy wymagała. Ale zobaczmy, co pan tam nagryzmolił.

Hajnim dobył kilka pomiętych, ołówkiem pozapisywanych kartek i podszedł do biurka.

— To dopiero szkic na brudno — mówi. — Ja będę czytał, a pan niech mówi, co się może panu niepodobać. Być może, że jest w tem coś nieodpowiedniego... Czy pan uwierzy, że równocześnie pisałem reklamy aż dla trzech firm? Toż to nawet i Szekspirowi mogłoby się w głowie poplątać.

Tu Hajnim nałożył okulary i zaczął czytać żałosnym głosem, jakby deklamując:

— "Sezon 1885-6. Z. C. Jerszaków, dostawca chińskiej herbaty na całą europejską i azjatycką Rosję, jak również i dla zagranicy. Firma istnieje od 1804-go roku". Tu, widzi pan, jabym cały ten ustęp dał większem, ozdobnem pismem i to, dla większego efektu, z kliszami herbów różnych miast. Ja już jednemu kupcowi taką reklamę pisałem i herby doskonale zrobiły, dlaczegóż więc i pan nie ma mieć herbów. Dla pana zaś, a raczej dla firmy pańskiej, obmyślę jakiś odpowiedni a piękny herb. Naprzykład lew z lirą w paszczy? Co? Cóż pan na to? No, idziemy dalej. "Do naszych odbiorów. Panowie! Ani wypadki polityczne ostatnich czasów, ani też coraz większe zobojętnienie naszego społeczeństwa, ani nawet zaniesienie koryta królowej rzek naszych, Wołgi, piaskiem, o czem doniedawna jeszcze poważniejsze gazety nasze szeroko się rozpisywały, słowem nic nie zdoła zepchnąć nas z obranej raz drogi. Uznanie, jakie sobie nasza firma w ciągu długoletniego istnienia zdobyła, nakazuje nam trzymać się ściśle raz obranego kierunku, i ani na jotę nie odstępować od naszej metody prowadzenia interesu, tak w stosunku do właścicieli plantacyj, jak również i w sumiennem załatwianiu wszelkich dawanych nam zleceń. A któż w całym kraju nie wie o tem, że od pierwszej chwili powstania firmy naszej, hasłem jej było, jest i będzie: sumienność niskie ceny, punktualność i grzeczna, szybka i uczciwa usługa". No, co? Słów tak mało, a jakże wiele one mówią!

— Doskonale, wybornie! — chwali Jerszaków, unosząc głowę z nad księgi i prostując się zlekka na krześle. — Wcale się nie spodziewałem, że pan to tak ładnie i wymownie ułoży. Sprytnie, ani słowa! Tylko tu trzebaby jeszcze jakoś zręcznie wykręcić... no już pan rozumie... Bo donosimy przecież, że firma ostatnio dostała olbrzymi transport świeżej, tegorocznego zbioru herbaty. Czy tak? Dobrze, ale pisząc o tem, należy zarazem powiedzieć, a jednak nie mówić, że ta niby cotylko sprowadzona herbata już od trzech lat leży u nas w składach, a mimo to, dopiero w zeszłym tygodniu prosto z Chin nadeszła... Rozumie pan? Trudno wymagać od nas, byśmy wyrzucili herbatę dawniej sprowadzoną. Toż dziesiątki tysięcy rubli leżą w tym towarze. To już pana rzecz napisać wszystko tak, żeby nie można były znaleźć kłamstwa a prawdy także żeby nie powiedzieć. Jako literat...

—Rozumiem w zupełności. Niech pan zostawi to mnie. Publiczność wcale nie zauważy sprzeczności. Z a r a z zgóry uprzedzi się czytających, że herbata cotylko nadeszła, a na zakończenie podamy tak: "Posiadając większe zapasy herbaty, opodatkowane według da-

wniejszej stopy celnej, możemy temsamem sprzedawać podług starego cennika i tu odbiorcy nasi mają znakomitą sposobność nabywania pierwszorzędnego towaru po nieprawdopodobnie niskiej cenie.'' Cennik damy po odwrotnej stronie, także zdobny herbami i z wielkim tytułem: ''Cennik wyborowych gatunków chińskiej i czarnej herbaty, pierwszego wiosennego zbioru, z nowonabytych plantacyj!'' A zaraz p o d t e m napiszemy: ''Prawdziwym a m a t o r o m zwraca się uwagę przedewszystkiem na ulubione przez znawców gatunki jak: ''Smok chiński'', czyli ''Zazdrość konkurentów'', cena 2 ruble za funt, ''Róża Bogdyhana'' — 4 ruble funt. A szczególniej możemy polecić gatunek znany pod nazwą: ''Oczy Pięknej Chinki'' w śmiesznie niskiej cenie zaledwie półtora rubla.'' U dołu damy maleńkiem pismem coś o wadze i wysyłce, jakoteż o ustępstwach r a b a t u i premjach, o których trzeba tak powiedzieć: ''Niejeden z naszych konkurentów, aby przyciągnąć łatwowierną publiczność, obiecuje najrozmaitsze premje. Przeciw takiemu bałamuceniu odbiorców zawsze protestowaliśmy i protestujemy. My ze swej strony ofiarujemy naszym odbiorcom rzeczywiście bezpłatnie wszystko to, co oni tylko dla przynęty obiecują. Każdy więc kupujący niemniej jak za 50 rubli, otrzyma od nas bezpłatnie i do wyboru albo czajnik z metalu Britanica, albo setkę kart wizytowych, czy też inny jakiś przedmiot cenny, pożyteczny i praktyczny. Bez żadnych zastrzeżeń, bez podstępów i łudzenia publiczności, premje prawdziwie, rzeczywiście i nieodwołalnie dajemy zupełnie bezpłatnie i tak dalej''.

Po kilkakrotnem przeczytaniu bruljonu, po zrobieniu jeszcze kilku uwag i poprawek ze strony Jerszakowa, Hajnim zasiadł przy bocznym stoliku w gabinecie, szybko przepisał na czysto i oddał rękopis kupcowi.

Obaj zamilkli na chwilę i spojrzeli niewyraźnie po sobie, jakby zakłopotani. Najwidoczniej czuli, że popełniają szelmostwo.

— A co do honorarjum... — przerwał kłopotliwe milczenie mistrz pióra — czy mogę je otrzymać zaraz, czy też mam czekać?

— To już jak pan sobie życzy — odparł Jerszakow. — Można i zaraz. Proszę iść do sklepu. Tam wydadzą panu towaru za pięć i pół rubla.

Hajnim podrapał się w głowę.

— Ja... ja proszę pana, wolałbym... tego. ..gotówką...

— Nie panie. Nikomu gotówką nie płacę. Mniej pijaństwa w tén sposób... Każdy, kto u mnie pracuje, dostaje wynagrodzenie w towarze, nawet stróże...

— Ależ panie! Jakże może pan równać mnie ze stróżem! Przecież to praca umysłowa... Jestem pisarzem, nie wyrobnikiem dziennym. Nazwisko moje kiedyś złotemi głoskami będzie wypisane na kartach historji literatury! Praca moja...

— Jaka tam praca! Siadł, napisał i gotowe. Pisaniem nikt się nie naje ani nie napije. Taka praca i rubla nie warta.

— Hm... jakto pan lekceważy sobie pracę umysłową! — obraził się Hajnim. — Nie naje się ani nie napije! Czy pan tego nie rozumie, że może dusza moja we łzach się rozpływała, kiedy pisałem tę reklamę, czując, że całą ojczyznę naszą, całą Rosję przez to w błąd wprowadzam. Hm... świeżo sprowadzona herbata od trzech lat w składzie leżąca... Proszę, zapłać mi pan gotówką! Tak drobna kwota...

— Nudzisz pan. Nieładnie tak naprzykrzać się komu. W sklepie wydadzą panu towaru za...

— Hm, dobrze już, dobrze. Wezmę cukru. Odprzedam go w drugim sklepie. Stracę przez to ze czterdzieści kopiejek, ale cóż z panem robić! Moje uszanowanie!

Zawrócił ku drzwiom, ale się jeszcze na progu zatrzymał i rzekł smutnym głosem:

— Tak, panie! Rosję, całą Rosję... moją ojczyznę oszukuję... dla kawałka chleba... Ech...

A Jerszakow zapalił nowe cygaro i w kantorze jeszcze silniej czuć było woń kultury.

MARJA KONOPNICKA.

WEZWANIE

Nie przychodź do mnie w jasny dzień,
w poranek róż majowy,
nie przychodź do mnie w jasny dzień,
bo ci na drogę padnie cień
mej cichej, smętnej głowy.

Ale przyjdź do mnie w chmurny czas,
w jesienne, mroczne rano,
ale przyjdź do mnie w chmurny czas,
niech blade niebo skryje nas
w swą płachtę z mgły utkaną.

Nie przychodź do mnie w szczęścia dnie,
w jutrzenne życia zorze,
nie przychodź do mnie w szczęścia dnie,
gdy dłoń i serce kwiaty rwie,
a ust puharem — morze.

Ale przyjdź do mnie w zmierzch i w noc
gdy rosa padnie chłodna,
ale przyjdź do mnie w zmierzch i w noc,
kiedy się życia wytli moc,
a dusza wyschnie do dna.

Ale przyjdź do mnie wpośród dum,
w rozmyślań wielką ciszę,
ale przyjdź do mnie wpośród dum,
gdzie czarnych sosen szmer i szum
mogiłę mą kołysze.

Jak Żyli Starożytni Rzymianie

Co jedli starożytni Rzymianie? Na śniadanie obywatel Rzymu spożywał chleb, wino, owoce, kasze, jaja mleko, naleśniki i kiełbaski. Herbata, kawa, cukier, ziemniaki nie były, oczywiście, znane. Obiad lub kolacja składały się z wielu, często wykwitnych, dań: wędzona szynka, pieczone bażanty, perliczki, pawie, rozmaity inny drób, rybatuńczyk, kawior, ostrygi, grzyby, szparagi, karczochy, ciastka i melony. Na bankietach arystokracji podawano przysmak: języki flemingów.

Ogrzewanie Centralne

Rzymianie i Rzymianki spali na materacach wybitych wełną. W mieszkaniach ludzi bogatych było centralne ogrzewanie. Niemal w 20 wieków później, za czasów Mussoliniego spuszczono w górach albańskich wodę z jeziora Nemi, na którego dnie odkryto dwie wielkie łodzie rozrywkowe, używane przez Kaligulę. Łodzie te miały centralne ogrzewanie, aby cezar i jego goście nie marzli w zimne wieczory.

Łaźnie rzymskie były nie tylko miejscem mycia się ale także klubami towarzyskiemi. Miały one natryski zimne i gorące. Rzymianki myły się perfumowemi mydłami, czyściły zęby perfumowym proszkiem i wodą do ust, czesały się pięknemi grzebieniami i szczotkami, a w razie chorób zażywały mnóstwo środków, które dzsiaj określamy jako patentowane lekarstwa.

Rzymianie znali piwo i zapałki siarczane. Rzymianki nosiły piękne pantofle, a wielu mężczyzn — nakrycie głowy z filcu. Łazienki miały ściany z polewanych cegieł.

Prawie Kino

Sekretarze bogatych Rzymian pisali pod dyktando na papirusach egipskich trzcinowem piórem umaczanem w atramencie z sadzy i gumy arabskiej. Sekretarze znali stenografię. Było również znane urządzenie przypominające kino: serja obrazków wymalowanych na szybko obracającej się kolumnie dawała widzom złudzenie ruchu postaci.

W sklepach można było nabyć artystyczne wyroby szklane z Egiptu, jedwabie chińskie, korzenie indyjskie, śliwki z Syrii, figi z Jerozolimy, trufle afrykańskie, ogórki, które uchodziły wtedy za egzotyczną jarzynę oraz importowaną cebulę.

W szpitalach były pomieszczenia dla zakaźnie chorych. Municipium rzymskie zastanawiało się nad budową nowego Colosseum, które pomieścić mogłoby 80,000 widzów. Nad areną miała być zasłona zasuwana w razie deszczu.

Ruch uliczny w Rzymie nastręczał wiele zmartwień ojcom miasta. Kierownik ruchu ulicznego nakazał, aby wszystkie ciężkie wozy z cegłami, drzewem, cementem i kamienia dla budowy, przyjeżdżały do miasta tylko w nocy. Ale wtedy Rzymianie skarżyli się, że nie mogą spać z powodu hałasu tych wozów.

Narzekano na to, że kobiety używają za dużo kosmetyków. Moraliści wysuwali projekt ażeby ograniczyć wagę klejnotów, które kobieta może nosić na sobie.

Na forum rzymskiem były tablice, na których ogłaszano najnowsze wiadomości ze stolicy, kraju i świata.

W palacu Nerona był dźwig, który podnosił się na wysokość 120 stóp. Neron miał organy automatyczne, grające przy pomocy ściśnionego powietrza. Lubił pić zimne wino i kazał zawsze podawać sobie butelkę wina w metalowym kuble ze śniegiem, tak jak dzisiaj podaje się mrożony szampan.

Ćwiczenia Fizyczne

W starożytnym Rzymie panował kult ciała a Rzymianie byli zaprawiani za młodu w ćwiczeniach fizycznych dla rozwinięcia harmonijnego wszystkich mięśni. Znane były zawody bokserskie i zapaśnicze, walki gladjatorów i wyścigi kwadryg. Nie znano natomiast piłki nożnej.

Popularna była gra, w której na arenę występowało 100 mężczyźn, po 50 w każdej grupie. Walczyli oni ze sobą kopiąc się wzajemnie: w twarz, w brzuch i inne części ciała. Zwyciężała ta grupa, która zdołała obezwładnić swych przeciwników. Uważano tę walkę podówczas za "przyjemną" rozrywkę dla widzów.

CELINA MORSKA

SZKATUŁKA Z LAKI

MAJĄTEK bogatej i urodziwej, młodej wdówki, pani Werner, był szacowany różnie. Mówiono, że w samych kosztownościach miała przeszło pół miljona funtów, prócz tego zaś — kopalnie złota w południowej Afryce, dom w Londynie na Lowndes Square, piękną jak marzenie posiadłość pod Florencją, willę w Nicei...

Bez troski też młoda kobieta pędziła życie, pełne przyjemności i rozrywek, otoczona gronem wielbicieli, których zresztą traktowała dość lekko. Głębszą sympatją darzyła dwóch mężczyzn.

Jeden z nich, Emil Krauss, utalentowany dziennikarz, był nieodstępnym towarzyszem jej ustawicznych podróży, kochał się w niej oddawna i czekał cierpliwie na chwilę, w której wreszcie pani Mary zgodzi się oddać mu swą rękę. Proponował jej to stale przy każdej sposobności, ale jak dotąd bezskutecznie. Pani Werner miała dla niego serdeczne i głębokie uczucie, na to jednak, by wyjść za niego zamąż nie mogła się jakoś zdecydować, — sama nawet nie wiedziała dlaczego. Może poprostu nie chciała się z tem spieszyć, wiedząc, że uczucia jego i tak nie straci.

Młody dziennikarz zdawał sobie doskonale sprawę z jej stosunku do siebie i dlatego też nic sobie nie robił z koszów, które od niej dostawał.

Dopiero ostatnia znajomość pani Mary zastanowiła go i nawet zaniepokoiła trochę.

Był to pan de Chatriand, którego pani Werner poznała na ostatnim balu. Wysoki, przystojny, bardzo elegancki, robił wrażenie światowca, stworzonego na to, aby uświetniać swoją obecnością salony, ogrody zimowe, modne plaże i letniska. Poruszał się z niedbałą swobodą człowieka, który zawsze robi właściwe rzeczy we właściwym czasie, władał niezliczoną ilością obcych języków bez cienia cudzoziemskiego akcentu i potrafił z równą swobodą mówić o wszystkiem — o sztuce, nauce, sporcie...

Nie podobało się Emilowi, że pani Mary w sposób zupełnie widoczny wyróżniła pana de Chatriand z pośród wielu przedstawionych jej na balu mężczyzn. Biedny dziennikarz byłby prawdopodobnie nie na żarty zatroskany, gdyby wiedział, że pani Mary była poprostu oczarowana urokiem hrabiego, — pan de Chatriand używał bowiem hrabiowskiego tytułu. I o tem również nie wiedział dziennikarz, że hrabia, który na balu nie odstępował pani Mary ani na krok, przy wyjściu, z największą troskliwością otulił ją w kosztowne jej futro i, wziąwszy pod rękę, odprowadził do czekającej na nią lśniącej limuzyny, szepcząc jej po cichu jakieś, zapewne miłe, słówka, na pożegnanie zaś długo i przeciągle pocałował ją w rękę.


Hrabia odprowadził panią Mary do lśniącej limuzyny.

Pewnego popołudnia pani Werner i Emil Krauss siedzieli w jej salonie, prowadząc ożywioną przyjacielską gawędę, gdy otwarty się cicho drzwi salonu i w progu ukazał się pan de Chatriand.

— Proszę mi łaskawie darować opóźnienie, — rzekł, wchodząc miękkim, elastycznym krokiem.

Dziennikarz na widok hrabiego skrzywił się z nieukrywaną niechęcią, pani Werner zaś wskazała przybyłemu miejsce obok siebie.

— Kochany hrabio, — zaczęła z ożywieniem, — pan tak uprzejmie zachwycał się kolją, którą miałam na sobie na balu. Otóż dziś pragnę pokazać panu coś stokroć piękniejszego.

Mówiąc to, otworzyła stojącą przed nią szkatułkę z laki. Hrabia na widok tego, co ujrzał, wydał okrzyk zachwytu. Na białym atłasie leżał wspaniały djadem z platyny i zielonego złota, wysadzany olbrzymiemi brylantami, — obok niego zaś takiż naszyjnik, broszka i kolczyki. Brylanty były tak wielkie, a robota tak misterna, że trudno było wprost oczy od tych klejnotów oderwać.

— Ależ to skarby Sezamu! — zawołał z nieudanym zachwytem hrabia.

— Doprawdy? —

ucieszyła się pani Werner. — Cieszę się, że się panu podobają. Jak pan sądzi, ile zapłaciłam za te cuda? Przypuszczam, że pan zdoła to okiem znawcy ocenić.

Hrabia przysunął się bliżej do stolika, brał kosztowności do ręki i przyglądał im się uważnie.

— Jeżeli to wszystko jest prawdziwe, same brylanty warte są przeszło piętnaście tysięcy funtów, nie licząc złota i platyny, — no i nie biorąc w rachubę wykonania i to takiego wykonania. Toż to są arcydzieła!

— A widzisz, Emilu, że nie przepłaciłam, — zwróciła się pani Werner do dziennikarza z tryumfującym uśmiechem, poczem, widocznie uszczęśliwiona, ciągnęła dalej do hrabiego: — kupiłam to wszystko razem za trzynaście tysięcy funtów. Jest to suma, za którą sprzedałam swoją willę w Nicei.

— Bajecznie tanio, — zdumiewał się coraz bardziej hrabia, oglądając wciąż jeszcze klejnoty. — Za te cacka mogłaby pani nabyć dwie wille i jeszczeby się pani reszta została. O ile tylko są one prawdziwe, — powiedział znów z naciskiem.

Pani Werner zbladła.

— Jakto, więc pan w to wątpi? — zawołała.

Bynajmniej, łaskawa pani, tylko ostrożność nigdy nie nie zawadzi, zwłaszcza, jeżeli chodzi o rzeczy tak wielkiej wartości. Mógłym jednak panią całkowicie uspokoić. Mam tu znajomego jubilera i jeżeli pani rozkaże, sprowadzę go tu w tej chwili.

— Ach, dobrze, drogi hrabio, sprowadź go pan natychmiast. Rozchorowałabym się chyba z niepokoju, gdybym dłużej niż godzinę była w niepewności.

— Za pół godziny będę z powrotem z jubilerem, — rzekł, wstając spiesznie z krzesła, hrabia, — i niech pani będzie zupełnie spokojna, że nie zabawię dłużej ani pół minuty.

— Ach, Boże! jestem tak zdenerwowana! — mówiła pani Mary, rzucając się po wyjściu hrabiego na otomanę. — Ale jaki to uprzejmy i uczynny człowiek! Doprawdy coraz więcej mi się zaczyna podobać.

— A mnie coraz mniej, — pomyślał dziennikarz, ale nie powiedział tego głośno.

Istotnie, nie upłynęło jeszcze pół godziny, gdy hrabia wrócił w towarzystwie sztywnego jegomościa, który wchodząc złożył zebranym głęboki ukłon.

— Pan Rene Golden, najsłynniejszy znawca klejnotów z Amsterdamu, — przedstawił hrabia przybyłego.

Pani Werner lekko skinęła głową.

— Oto są kosztowności, — rzekła zdenerwowanym głosem, — zechce pan stwierdzić, czy brylanty są prawdziwe.

Jubiler jeszcze raz ukłonił się i zbliżył się do stołu.

— Pozwoli pani, że usiądę. — Wyjął lupę z kieszeni i zaczął pilnie przyglądać się brylantom. Trwało to pewnie nie więcej, niż dziesięć minut, — dla pani Werner czas ten wydał się wiekiem.

— Najprawdziwsze! — zawyrokował wreszcie pan Golden, odejmując lupę od oczu. — Są to niebywałe wprost okazy. Słyszałem



od pana hrabiego o cenie, jaką szanowna pani za nie zapłaciła. Jest ona bagatelką wobec istotnej wartości brylantów. A co za robota!

Jubiler z zachwytem pokiwał głową. Pani Werner promieniała.

Po odejściu taksatora zwróciła się do hrabiego z rozkosznym uśmiechem.

— Jakże mam podziękować panu za tyle uprzejmości? — zapytała.

— Pani! — ukłonił się hrabia, — jestem szczęśliwy, że mogłem oszczędzić jej niepokoju.

Tydzień upłynął jak sen. Towarzystwo bawiło się zapamiętale. Hrabia bezustannie towarzyszył pani Werner. Krauss chodził z miną coraz bardziej nachmurzoną. Znienawidził hrabiego całą duszą. Pani Werner zauważyła chmury, jakie od pewnego czasu stale osłaniały oblicze dziennikarza, nie przejmowała się tem jednak, przypisując to zazdrości Emila o hrabiego.

Tymczasem Ostenda, to miasto zbytku i użycia, formalnie tonęła w powodzi słońca i kwiatów; czas płynął wszystkim wśród nieustannych zabaw, rozrywek, wycieczek, balów i spotkań. Pomysłowość zarządu kąpielowego była niewyczerpana.

Pewnego wieczoru siedziała pani Werner w teatrze w loży, w towarzystwie hrabiego de Chatriand i Emila. Była poprostu obsypana brylantami, jak bożek indyjski. Miała również na sobie niedawno nabyte kosztowności. Hrabia patrzył na nią z nietajnonym zachwytem.

Po przedstawieniu Pani Werner i Emil udali się do hotelu, w którym zajmowali pokoje. Hrabia odprowadził ich, poczem zaczął się żegnać; mieszkał w sąsiednim hotelu.

— A zatem spotykamy się jutro na plaży? — zapytała młoda kobieta, podając mu rękę na pożegnanie.

— Niestety, nie będę mógł być, — westchnął hrabia, — adwokat mój wezwał mnie do natychmiastowego przyjazdu do Brukseli.

— Niedobry, — odpowiedziała mu nadąsana, — tak łatwo panu przychodzi pozbyć się mego towarzystwa.

Hrabia schylił głowę z komiczną rozpaczą i uczynił gest rezygnacji.

— Czy pani nie domyśla się, że czuję się za to dostatecznie ukarany, nie mogąc towarzyszyć pani na plaży?

Pani Werner zaśmiała się swawolnie.

— A ty, Emilu, też masz jakie pilne sprawy? — zwróciła się do dziennikarza.

— Niestety, Mary, mam jutro do załatwienia pilną korespondencję, która zajmie mi całe przedpołudnie.

Z obrażoną minką pożegnała pani Werner obu panów.

Emil postał jeszcze przez chwilę, patrząc za oddalającym się hrabią, a następnie wszedł zamyślony na stopnie, prowadzące do hotelu. Zamiast jednak udać się do swego pokoju, na parterze, poszedł do biura hotelowego, gdzie,

po daniu pewnych wyjaśnień, otrzymał klucz od pokoju, sąsiadującego z pokojem młodej wdowy.

Dziennikarz, wszedłszy do owego pokoju, zamknął drzwi na klucz, przysunął sobie fotel do drzwi, po za któremi było mieszkanie Mary, i usadowił się wygodnie.

— Na wszelki wypadek spędzimy tu noc, — mruknął, przykładając oko do dziurki od klucza.

Sypialnia pani Werner była wąska i długa tak, że doskonale widział ją całą wraz z oknem. Mary stała właśnie przy nocnym stoliku, chowając do stojącej na nim szkatułki dopiero co zdjęte kosztowności. Zamknąwszy szkatułkę, zaczęła się rozbierać. Emil rozumiał, że honor gentemana nakazywał odsunąć się od drzwi, jednak instynkt detektywa, którym w mniejszym lub większym stopniu obdarzony jest każdy dziennikarz, nie pozwolił mu na to. To, co ujrzał było tak niesłychanie ponętne, że krew uderzyła mu do głowy. Trwało to jednak sekundę tylko, gdyż w następnej już był opanowany i spokojny jak zwykle. Nagle drgnął. Na szybie okiennej od strony parku ujrzał jakąś ciemniejszą plamę, podobną do ludzkiej twarzy. Wytężył wzrok. Tak, ktoś zaglądał przez szybę do pokoju.

— Pokój jest na piętrze, więc ktoś się dostał po drzewie na balkon, — pomyślał Emil i, jak mógł najciszej, wybiegł z pokoju. Wpadł pędem do parku, ale już, widać, zapóźno, gdyż na balkonie nie było nikogo.

— Nie omyliłem się więc, — szepnął. — Gra rozpoczęta, trzeba się mieć na baczności.

I wrócił na swoje obserwacyjne stanowisko pod drzwiami Mary.

* * *

PANI WERNER źle spała tej nocy. Przewracała się niespokojnie po łóżku, budziła, zdawało jej się, że ktoś jest w pokoju. Nękały ją jakieś okropne sny.

Nazajutrz wstała z bólem głowy i podkrążonemi oczyma.

— Dobrze, że hrabia ani Emil nie zobaczą mnie dzisiaj, — pomyślała przypatrując się sobie w lustrze.

Po śniadaniu poszła na plażę, ale czuła się tak jakoś zmęczona i senna, że, nie kąpiąc się, wróciła do domu. Powrót jej był tak niespodziewany, że mieszkanie nie było jeszcze sprzątnięte, choć w sypialnym pokoju kręciła się nieznana jej dotąd pokojówka, która, ujrzawszy panią Werner, zaczerwieniła się raptownie.

— A gdzie jest Betty? — zapytała zdziwiona pani Werner.

— Betty jest chora, proszę jaśnie pani, ja ją dziś zastępuję. Czy jaśnie pani przebierze się teraz? Co mam podać?

— Dziękuję, przebiorę się sama, — odpowiedziała sucho pani Werner, której ta nowa pokojówka nie przypadła do gustu. — A co to za list?

To mówiąc, wskała na leżącą na stoliku wąską, długą kopertę bez marki.

— List ten przynieśli przed chwilą z hotelu "Palais-Royal", właśnie weszłam do pokoju, aby go położyć na stoliku.

Zaraz po wyjściu pokojówki pani Werner zajrzała do szkatułki z kosztownościami — wszystko leżało na swojem miejscu.

— Co za nieostrożność! — zgromiła się, — zostawiłam szkatułkę z klejnotami na stoliku!

I zabrała się do czytania listu.

List był pełen delikatnych wynurzeń. W słowach pełnych uwielbienia i szacunku wyrażał hrabia swoją miłość dla Mary, pisał o zazdrości, jaka go trawi z powodu jej przyjaźni z Emilem Kraussem i błagał o jej wzajemność. Jeśli ją uzyska — zjawi się natychmiast i padnie do jej nóg w przeciwnym zaś wypadku nigdy go już nie ujrzy, zniknie jak cień z jej życia. Adres brzmiał: Bruksela, Poste-restante, Hrabia de Chatriand. W dopisku prosił o zachowanie w tajemnicy jego oświadczyn, jakakolwiek byłaby jej decyzja.



Pani Werner bez zdziwienia przyjęła treść listu. Adoracja okazywana jej przez hrabiego była tak wyraźna, że w każdej chwili była przygotowana na usłyszenie jego wyznań. Teraz, kiedy je otrzymała, uczuła się zakłopotaną. List hrabiego zrobił jej przyjemność. Jej kobieca ambicja zadowolona była, że ten wykwintny, rozrywany przez kobiety arystokrata do niej uczucia swe zwrócił; przytem pan de Chatriand bardzo jej się podobał, bardziej od Emila, — zwłaszcza, gdy była w jego obecności, czuła się jakbyskrępowana jego urokiem. Ten odczuwany przez nią urok odsunął na plan dalszy jej myśli o Emilu, z którym przedtem gotowa była lada chwila się zaręczyć. Wszystko to prawda. Tylko ta konieczność nagłej decyzji, której hrabia żądał... Mary zła była o to na hrabiego, popsuło jej to całe wrażenie. Gdyby nie to, byłaby uszczęśliwiona i kto wie, czy hrabia nie uzyskałby odrazu tego, o co prosił. Mary sama siebie dobrze nie rozumiała, czuła jednak, że nie może odpowiedzieć na list hrabiego tak, jak on tego chciał.

— Widocznie ja go jednak nie kocham, — pomyślała z pewnym zdziwieniem, — ale przecież on mi się bardzo podoba. Co tu począć? — głowiła się.

Najchętniej byłaby się poradziła Emila tak, jak to czyniła w każdej sprawie, ale w tej...

Nadeszła już pora obiadu, więc nic nie wymyśliwszy, pani Werner przebrała się bez pomocy pokojówki i zeszła do restauracji, w której zawsze jadała obiad wspólnie z Emilem i panem de Chatriand.

Miejsce hrabiego było puste, natomiast dziennikarz czekał już na nią. Był w znakomitym humorze, co nie zdarzało mu się od dłuższego już czasu, jadł z wielkim apetytem, pił i jej raz po raz dolewał. Wydał się pani Werner dnia tego wyjątkowo miłym.

— Brawo Emilu, — zawołała — to rozumiem, takiego Emila zawsze lubiłam.

Zamiast odpowiedzi rzucił jej szelmowskie spojrzenie.

— Czeka cię wielka niespodzianka, — powiedział wreszcie,



Dziennikarz stanął przed panią Werner patrząc się na nią badawczo.

patrząc na nią uśmiechniętemi oczyma.

—Co takiego? — zaciekawiła się pani Werner.

— Cierpliwości. Dowiesz się wkrótce o wszystkiem. Najprzód zjedz obiad.

— Emilu, taka jestem ciekawa, — prosiła go Mary, ale dziennikarz był nieubłagany.

Rzadko kiedy jadła obiad z takim pośpiechem. Gdy skończyli, Emil ujął ją pod rękę i poprowadził do parku. Na obszernym tarasie wielkiej oranżerji, skąd rozciągał się śliczny widok na hotel i park oraz połyskującą w oddali błękitną wstęgę morza, dziennikarz posadził panią Werner na szerokiej, kamiennej ławce, sam zaś stanął przed nią, patrząc się na nią badawczo.

— Co się stało, Emilu? — spytała Mary, którą zakłopotał nagle badawczy wzrok.

— Mary! — roześmiał się dziennikarz, — chciałem cię prosić, żebyś została moją żoną.

— Więc to ma być ta niespodzianka? — roześmiała się ona z kolei. — Mój drogi, dawniej oświadczałeś mi się raz na miesiąc, a przecież upłynęło dopiero trzy tygodnie.

— Czy kochasz pana de Chatriand? — spytał nagle poważnym głosem dziennikarz.

Pani Werner zarumieniła się.

— Nie wiem, — odpowiedziała z wahaniem, zdaje mi się, że nie.

Dziennikarz odetchnął z ulgą.

— To dobrze. Bałem się tego, gdyż muszę ci powiedzieć coś, co, gdybyś ,go kochała, byłoby dla ciebie bardzo ciężkie do zniesienia.

Mary podniosła na niego zdziwione oczy.

— Pan de Chatriand nie jest hrabią, co więcej nazwisko, którego używa, prawdopodobnie nie jest jego nazwiskiem. Jest to zwykły aferzysta znany dobrze międzynarodowej policji.

Zdumienie pani Werner graniczyło z osłupieniem.

— Znasz mnie Mary, że nigdy nie mówię o tem, czego prawdziwości nie jestem pewien. Zresztą przekonasz się zaraz sama. Szkatułkę z laki wraz z kosztownościami kupiłaś u jubilera, który jest takim samym aferzystą jak hrabia i oczywiście jego wspólnikiem. Brylanty warte są o wiele więcej, niż za nie zapłaciłaś, pozwolili ci jednak nabyć je tak tanio, gdyż, mając tyle klejnotów, za droższą cenę pewniebyś ich nie kupiła, a przytem byli pewni, że wkrótce będą je mieli z powrotem. Taksator, którego fałszywy hrabia sprowadził, to trzeci członek szajki. Należy mu to jednak przyznać, że jest mistrzem w swoim fachu: wykonał on imitację twoich brylantów tak świetną, że, gdy ta nowa twoja pokojówka, a w rzeczywistości wspólniczka tych łotrów, wyjęła ze szkatułki brylanty, kładąc tam ich imitację, nie domyśliłaś się tego.

Pani Werner siedziała jak ogłuszona.

— Więc ona mi je zabrała? — wyjąkała wreszcie.

— Tak, ale uspokój się, gdyż obecnie są one już w mojem posiadaniu. List, który otrzymałaś od hrabiego, miał na celu danie mu możności bezpiecznej ucieczki z brylantami. Oddawna miałem go na oku. Wczoraj po rozstaniu się z nami dostał się na twój balkon, by się przekonać, gdzie chowasz szkatułkę. Dziś od rana nie opuszczał hotelu.

— Jakto, więc on nie wyjeżdżał?

Dziecko z ciebie. Po twojem wyjściu na plażę, posłał do ciebie z listem ową niby — pokojówkę, która, sądząc, że nikt jej nie śledzi, zamieniła brylanty. Nie mogła wiedzieć o tem, że ja z drugiego pokoju ją obserwowałem. Rozumiesz, że odebranie skradzionych brylantów nie było już rzeczą trudną. Oto są, — dodał wyjmując je z kieszeni.

Wrażenie, wywołane słowami dziennikarza powoli mijało. Pani Werner wzięła do rąk brylanty, ciesząc się migotliwym ich połyskiem.



— A co się stało z... — Mary nie wiedziała, jak nazwać tego, którego słowa miłosne czytała jeszcze dziś rano. — No z tym panem...

— Niestety ulotnił się bez śladu, pozostawiając jedynie nieopłacony rachunek w hotelu oraz wspólniczkę, która już siedzi pod kluczem.

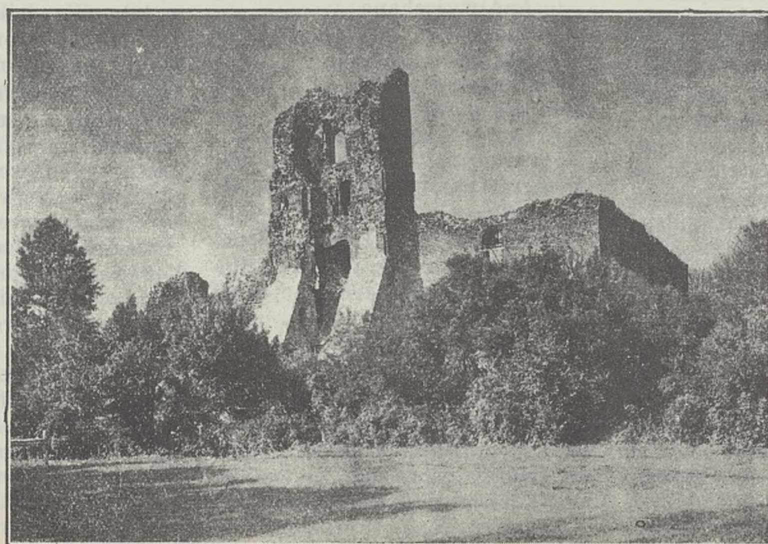
Mary zamyśliła się. Rumieniec wstydu i gniewu pokrył jej oblicze.

Dziennikarz patrzył z zachwytem na jej śliczną twarzyczkę.

— A teraz, droga Mary, podaj mi swą rękę i pozwól, że ci już jej nie oddam. Porozumiałem się już telegraficznie z twoim ojcem i zapraszam cię na godzinę ósmą do mera. Na tę bowiem godzinę zapowiedziałem mu naszą wizytę w celu załatwienia formalności ślubnych.

A gdy młoda kobieta podniosła na niego rozjaśnione błyskiem uczucia oczy, uśmiechnął się do niej i zawołał:

— Tym razem nie mogłem czekać cały miesiąc i oświadczyłem się już po upływie trzech tygodni. Chyba mi to darujesz, Mary?...



Wileńszczyzna. Troki. Zamek na wyspie.

S. BOŻYDAR

Ucieczka Pana Olka

WARSZAWA, jak każde większe zbiorowisko ludzkie, miała i ma swoich wybrańców losu, ludzi, co to ani sieją ani orzą, a którym manna niebieska hojnym deszczem łaskawie spada z nieba. "Szczęściarzy" takich łatwo można poznać po zadzierżystej fantazji i wieczyście niefrasobliwym uśmiechu. Śmieją się oni zawsze poprostu dlatego, że nie mają nigdy powodów do płaczu, bo i czegoż u djabła zalewać się łzami, skoro faktycznie życie jest piękne. Trzeba przyznać, że i tacy są potrzebni. Nawet jako rozrywka dla tych, którym złe losy kazały stąpać poprzez ciernie i boleśnie kaleczyć sobie stopy. Mała to zasadniczo rola na scenie żywota, ale zawsze...

Po tym, o mało co nie filozoficznym wstępie, przystąpimy do skreślenia portretu naszego bohatera. Pan Olek, imiennik sławnego króla Aleksandra Macedońskiego, oprócz, przyznajmy niedyskretnie, szeregu niewiast (niech mu i im to Bóg przebaczy) żadnych krajów, ani ziem nie zdobył, ani też zdobywać nie myślał. Miał lat 26, lekko, bez trudu ukończony Wydział Nauk Społeczno-Politycznych i, co najważniejsza, sporą fortunkę, którą skrzętny i zapobiegliwy papa zdołał ocalić z wojennej zawieruchy i przeróżnych rewolucyj, aż do bolszewickiej włącznie, któremi stara Rosja, kraina carów , mrozu i ciemnoty ludzkiej, obdarzyła Europę. Do tego należy dodać beztroską fizjognomję, bez zastrzeżeń przystojną, niedbały uśmiech i równie niedbałe ruchy, humor najprzedniejszego gatunku, duszę jak na dłoni, tudzież wytworną sylwetkę. Słowem Warszawa i ta mała swawolna Warszawka, dla której dzień kończy się rankiem, a zaczyna wieczorem, mogły być dumne ze swego obywatela. —

Życie to było radosne, opromienione wszystkiemi blaskami wiosny, szczęśliwe, jak śpiew słowika świtaniem. Ludzie szarzy ze swoimi troskami i kłopotami byli odlegli od niego o całe setki kilometrów. Pan Olek szumiał jak dobre, stare wino, żył pełną piersią, bo i cóż miał innego z wolnym czynić czasem. Nikt inny lepiej od niego największych nie potrafił dokonywać szaleństw, grupować wedle doboru i uznania towarzystwa, stawać się duszą i motorem wszelakiego rodzaju rozrywek. Zresztą co tu gadać, dał się lubić. Ze świecą w ręku trzebaby naprzykład szukać człowieka, któremu by przyjacielskiej odmówił pożyczki do jutra, które nigdy nie miało nastąpić.

Ze smutkiem jednak dnia pewnego stwierdzić dał się fakt, że Olek się popsuł... Niby ten sam, a niby nie... Jakieś tajemnicze wyjazdy, znikania z Warszawy, na tydzień, dwa. —

Dokąd? — Po co? — Gdzie? — nikt nie wiedział i co gorsza nikt nie mógł się nic dowiedzieć. —

Troskliwi znajomi (no i znajome) troszkę zaskoczeni zachowaniem się Olka próbowali pukać do przytulnego mieszkania przy ulicy Małachowskiego. Ale rezydował tam czujny jak żóraw, stary, siwy Jacenty, trochę sługa, trochę przyjaciel swego pana, z zasady zbytecznych pogawędek nie lubiący. —

Gadano sobie tedy melancholijnie przy drzwiach, bo w czasie nieobecności pańskiej, wstęp do środka był wzbroniony surowo. —

— Oleś wyjechał?

— Ano wyjechano...

— Dokąd?

— Nie mówiono.

— Kiedy powróci?

— Nie mówiono.

— Cóż u djabła, nigdy go zastać nie można.—Tu gość o ile był niecierpliwszej natury poczynał się złościć.

— Żegnam dobrodzieja—zwykł był mówić wówczas Jacenty i starannie zaryglowywał wrota Sezamu. —

W końcu ktoś tam komuś na ucho powiedział, że to kobieta, przeszłość tragiczna, grzech wojenny... Plotka urosła jak lawina, jako że słówko motylkiem wyleci, a mamutem powróci.... Że jednak kobieta, jest rzeczą w życiu często spotykaną, zaprzestano jakoś daremnych dociekań, uznając całą sprawę za dostatecznie wyjaśnioną.

Ale pozostały panie... Wiadomą jest rzeczą, że każdą kobietę najwięcej interesuje druga kobieta, szczególniej jeśli sprawa ewentualnie jest pikantna... Odbyły tedy się dwa czy trzy posiedzenia i cztery poufne konferencje, na których szczegółowo rozważano całą sprawę, sumiennie i dokładnie na wszelki wypadek oczerniając tajemniczą nieznajomą, przepowiadając smutny koniec naszemu młodzieńcowi. Padło hasło szczytne, samarytańskie, wielkie: "ratować zbłąkanego". Ale była to kwestja trudna i skomplikowana. —

Kiedy rozprawiano przy niej o tajemniczych wyjazdach Olka, pani Helena uśmiechała się ironicznie, niecierpliwie przygryzając swe ponsowe, zlekka tylko podmalowane usteczka, kiedy dociekano gwałtownie gdzie on też się może podziewać, machała swą czarująco ufryzowaną główką.

— Cóż mnie to może obchodzić właściwie — zauważyła kiedyś z niekłamanym przekąsem. Ale mimo to obchodziło to ją bardzo. —

Pani Helena była apetyczną, dwudziesto-trzyletnią wdówką, po starym mężu, który coś po dwóch latach znośnego pożycia uważał za stosowne i właściwe przenieść się w lepsze światy, porzucając młodą małżonkę, nie tyle nieutuloną w żalu, ile zdziwioną początkowo tym obrotem sprawy, pozostawiającym jej zupełną, nie tak bardzo zresztą upragnioną swobodę.

Pani Helena nie odrazu zorjentowała się w sytuacji. Po kilkunastu tygodniach melancholijnej, płynącej z obowiązku raczej żałoby (małżeństwo było zawarte z rozsądku), serce Heleny poczęło dopominać się o swoje prawa, bić coraz silniej i mocniej. I oto spotkała na swej drodze Olka. Rozpoczęła się snuć zwykła salonowa znajomość, kilka wspólnych spacerów, wszystko poparte paroma bardzo gorącemi pocałunkami. Pan Olek udawał zgryźliwego cynika, pani Helena żartowała z niego szczerze i wesoło. Wogóle nie traktowała tego wszystkiego poważnie.

Pewnego dnia bomba pękła. Olek zupełnie szczerze i serjo poprosił o ofiarowanie mu pięknej rączki młodej wdówki. Ba, nawet wyznał, że trochę mu zbrzydło to pustawe i bezcelowe życie, że ma szczery zamiar rozpalić domowe ognisko, że chciałby popracować poważniej, coś zrobić ze swoim dyplomem uniwersyteckim.

Pani Helena odpaliła go zwyczajnie prosto z mostu. "Smarkacz" był dobry, miły, przystojny i usłużny, ale pozatem, tak na stałe: Nie! Widoczny nonsens... Zresztą swoboda, jest to rzecz nader przyjemna, której naprawdę szkoda się tak łatwo i bez oporu pozbywać. Zobaczy w przyszłości, może? Narazie trzeba i należy poczekać.

Wszystko to opowiedziała mu tonem swawolnym i bagatelizującym, przetykając całą perorę dorosłej już i znającej sumiennie życie osoby, żartami, a potem zupełnie po macierzyńsku pocałowała go w czoło.

Ale Olek pocałunku nie oddał, siedział markotny i nachmurzony. Potem wstał, pocałował ją w rękę bardzo zimno, aż ją to zabolało, i poszedł, pogwizdując jakąś arję, zupełnie nieprzyzwoicie.

I tak między nimi zostało.

****

Spotkali się coś w miesiąc potem w "Meduzie" na dancingu.

Złożyło się tak, że po jakiemś dobroczynnem zebraniu, stary mecenas, prezes i dyplomata, z amatorska kochający się w pani Helenie już od lat paru, bogaty aż do nieprzyzwoitości, poprosił liczne grono najbliższych znajomych na kolację.

W "Meduzie" spotkali Olka. Siedział przy bocznym stoliku, wciśniętym w mroczny kąt rzęsiście oświetlonej sali i zatruwał się czarną kawą, od czasu do czasu mieszając ją z koniakiem. Na wchodzące towarzystwo nie zwrócił najmniejszej uwagi. Ale stary dziadyga-prezes, chociaż domyślał się potrosze w nim rywala, miał dobre serce.

— Zaproście go, — oznajmił uroczyście — przecież to mój kuzyn. — Stary czuł dziwną słabość do kuzynostwa ze wszystkiemi.

— Po co — mruknęła niechętnie pani Helena — zatruje nam zabawę swoim dzisiejszym upiornym wyglądem.

— Pani Heleno, to nie po chrześcijańsku bliźniego w smutku zostawić i złym myślom na pastwę rzucać. Idę.

— Jak pan chce — wzruszyła ramionami.

Więc stary poczłapał się ku Olkowi. Widać było jak przedkładał mu coś gorliwie, wreszcie ujął bezceremonjalnie i w triumfie poprowadził do loży.

Olek wbrew przewidywaniom Heleny bynajmniej humoru towarzystwu nie zepsuł. Przysiadł się odrazu bezceremonjalnie do złotej Niusi, lwicy warszawskich salonów, przetańczył z nią parę razy, szepcząc coś zapamiętale na ucho, całemu towarzystwu bardzo przyzwoicie opowiedział kilka dość pikantnych kawałów (sam prezes uśmiał się do łez), potem znowu wrócił do Niusi, która coraz życzliwiej patrzyła na niego. Pani Helena, choć ją to przecież nic nie obchodziło, poczęła zżymać się z irytacji i żałować, że tu przyszła. Spróbowała kilku powłóczystych spojrzeń na mizernym i anemicznym literacie, wziętym z litości, piszącym tomy przez nikogo nie czytanych wierszy, ale literat był tak pochłonięty przebiegłem operowaniem zwłok leżącej przed nim na talerzu ryby, że nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Kiedy zaś Helena zwróciła się doń z zapytaniem, co ma zamiar dorzucić w najbliższej przyszłości do laurowego wieńca swej poetyckiej chwały, poeta raczył ledwie uśmiechnąć się błogo, dusząc się zapamiętale ością, która niebacznie uwięzła mu w gardle. Z drugiej zaś strony Heleny usadowił się wyższy urzędnik z jakiegoś ministerstwa, łysy jak kolano, spełniający bez wahania wszystkie toasty, które pito i których nie pito, śmiejący się hałaśliwie i serdecznie ze wszystkiego co mówiono i patrzący na Helenę z głupkowatym zachwytem, wywołanym zapewne przez nadmiar alkoholu.

Zrozpaczona Helena szepnęła sobie tylko cichutko na pocieszenie — "błazen" — pod adresem p. Olka i pogrążyła się w rozmyślaniach, z nienawiścią patrząc na obżerającego się poetę, który konsumował wprost niewiarygodne ilości wszelakich potraw.

Tymczasem Niusia śmiała się coraz głośniej, coraz bliżej przysuwała się do Olka, tak, że Helena w pewnej chwili zauważyła, jak ich ręce splotły się z sobą.

— Błazen — powtórzyła — idjota. — Łza zakręciła się jakoś jej dziwnie pod powieką.

Przy szampanie stary mecenas zaintonował bardzo nawet fałszywie jakąś niezwykle sprośną piosenkę, którą z zapałem cienkim dyszkancikiem podchwycił łysy urzędnik. Zaśpiewali wszyscy z wyjątkiem Heleny i poety, który znać zmęczony trawieniem usnął snem sprawiedliwego, przechylając wdzięcznie miniaturową główkę na poręcz kanapy. Jazzband szalał i nęcił, chrapał, wył, gwizdał tonami i melodjami pozbieranemi ze spelunek całego świata. Na sali unosił się specyficzny odór jadła, alkoholu, ludzkiego potu i chmur tytuniowego dymu.

Potem mecenas rozczulił się nad Olkiem.

— Ty się nie marnuj, kuzynie,— powtarzał czule patrząc na niego z iście ojcowską miłością — ty się nie marnuj, powiadam ci zostań dyplomatą, masz wszelkie dane, nam potrzeba zdolnych ludzi, ty się nie marnuj. Znasz kobiety, marki win, tańczysz. Co więcej trzeba? Zrób to dla mnie, kuzynie. Mam stosunki, za tobą pójdę choćby do ministra. Jak Boga kocham pójdę, tylko się nie marnuj. Kelner! palto! idę do ministra — rzucił ostro i powiódł groźnie oczyma po zgromadzonych.

— Toć to druga w nocy — zauważył ktoś nieśmiało i żałośnie.

— Dla niego pójdę w nocy. Kelner! palto!—powtórzył żałośnie— palto, bo mi się Olek zmarnuje. Cobym ja za kuzyn był, żebym krewniakowi nie dopomógł. Przecież moja babka, była Iwuniec z domu, a twoja babka?

Olek uśmiechnął się w milczeniu, tem rozkoszniej, że Niusia w tej chwili dobrze już "wstawiona", poczęła pocałunkami okrywać jego czuprynę.

Pani Helena poczuła w tej chwili, że ma migrenę i że dłużej w tem towarzystwie nie wytrzyma ani sekundy. Kobieta zasadniczo powinna się szanować. Wstała groźna i pochmurna. Usłużnie podjął się ją odwieźć łysy urzędnik.

Olek pozostał.

****

Przychodzą czasem na człowieka w życiu złe chwile. Chwile, w których bez powodu kopie się niewinnego psa, albo tłucze lustro drogocenne, do którego przyzwyczajało się od lat kilkunastu. Takie momenty przechodziła Helena. Przesiadywała całemi dniami

zła i osowiała, wciśnięta w róg szerokiej tureckiej otomany, nie myśląc literalnie o niczem.

Olek zniknął ostatecznie. Czasami zjawiał się jak po ogień na bruku warszawskim. Zamieniał kilka słów ze spotkanym w przelocie znajomym i uciekał czemprędzej. Wieści przychodziły coraz dziwniejsze, niepojęte.

Chwała i ozdoba warszawskiego beztroskiego świata wałęsała się po jakichś zapadłych kątach, wsiach i miasteczkach, nieznanych przeciętnemu warszawiakowi z dziada pradziada nawet z imienia, wożąc się z przenośnem kinem i projekcyjną latarnią, tudzież stosami broszur, traktujących o sztucznych nawozach, prawidłowem nawadnianiu roli, racjonalnem budowaniu chałup i tem podobnych interesujących sprawach, urządzając amatorskie przedstawienia, moknąc w czas deszczu na wynajętych chłopskich furmankach, spędzając noce po proboszczoskich plebanjach i żydowskich hotelikach. Myślano że to chwilowe zaćmienie umysłu.

Niestety Olek ani myślał się poprawiać... Ba, nawet pewnego dnia zlikwidował swoje zaciszne, przytulne, kochane, warszawskie mieszkanko, zebrał całą rozporządzalną gotówkę i powędrował gdzieś zagranicę, na kilka miesięcy.

Powróciwszy, kupił gdzieś w zapadłym kącie kraju, jakieś parę włók ziemi szumnie nazwanych majątkiem ziemskim, zagrzebał się ostatecznie, orząc, siejąc, bronując i szerząc zajadle kulturę między okoliczną biedotą.

Ba, nawet jedna z gazet w długiej, sążnistej korespondencji z prowincji wymieniła jego nazwisko, jako wzorowego społecznika i obywatela kraju, "jednostkę będącą chlubą okolicy", niosącą przed ludem "oświaty kaganiec" i t. d. Pani Helena przeczytawszy wzmiankę mruknęła lekceważąco:

— Blagier — ale wycięła artykuł starannie i schowała troskliwie.

Tegoż wieczoru w "Meduzie" była naprawdę czarującą, tak czarującą, że nawet mizernego poetę upoiła w widoczny sposób... Biedaczysko obiecał i przysiągł jej najbliższy tom swoich wierszy. Stary mecenas, dyplomata, wodził za nią rozpromienionymi oczyma... Pani Niusia siedziała zielona i zła z zazdrości. Łysego urzędnika tak oszołomiła i wzięła w jasyr, że ten wypiwszy przez pomyłkę o parę toastów za dużo, począł opowiadać jakieś swoje przedwieczne historje miłosne, w których autentyczność nikt nie wierzył i z których śmiać się nikt nie chciał prócz niego samego.

Mecenas wspomniał Olka... Rozrzewnili się wszyscy... Porządny chłop... Niema co mówić... Dużo pięknych i wesołych chwil się z nim przeżyło. I tak nagle bez powodu wynieść się, porzucić serdecznych i oddanych przyjaciół. Przecież to świństwo do pewnego stopnia.

— Kochałem go jak syna — mówił mecenas — kochałem jak syna... I zmarnował mi się chłopak... A krwi bym dla niego nie poskąpił... Rodzonej krwi...

— Swoją drogą ta ucieczka jego dość oryginalnie wygląda — zauważył ktoś.

— Wiecie co? Pojadę i sprowadzę go — z wypiekami na twarzy przerwała Helena.

— Oto! — zdziwił się mecenas.

— Tak, pojadę i to zaraz jutro pańskim samochodem. Oczywiście, że go dostanę?

— Ależ naturalnie...

— I przywiozę zbłąkanego grzesznika.

— Niech żyje pani Helena! — zapiał łysy urzędnik.

— Niech żyje...

⁂

Przyjechała sama, samiuteńka. Fiatem pożyczonym od beznadziejnie bogatego mecenasa, który, nie zważając na djablo zazdrosną małżonkę, chciał koniecznie towarzyszyć. Oczywiście, propozycja starego idjoty została kategorycznie i bezapelacyjnie odrzucona. Misję swoją Helena traktowała zupełnie poważnie, niemal po apostolsku. Wrócić stolicy i kulturze zbłąkaną owcę... Chłopi chłopami, ale wszak i dla bliźnich trzeba coś zrobić od czasu do czasu. O sobie prawie nie myślała zupełnie... Każden człowiek w życiu ma szczytne i piękne chwile, zwłaszcza kobieta.

Oczywiście, że ubrała się zupełnie skromnie. Kostjum sportowy na drogę, parę sukienczyn do walizki.

Ranek był wiosenny, pogodny, ciepły, kiedy opuszczała Warszawę. W pustych jeszcze ulicach pachniało słońcem i weselem. Ale już na moście Poniatowskiego ogarnęła ją refleksja. Właściwie poco, dlaczego? Niby odrzuciła go przed rokiem, ale żeby zaraz tak uciekać... Przecież powinien się przynajmniej wytłumaczyć... Zobaczymy...

⁂

Pola kąpały się w słońcu. Przelatywali z wiatrem w zawody pola, miasteczka i wioski. W zawrotnym pędzie mijali stada krów szczypiących trawę i przyglądających się melancholijnie przejeżdżającemu samochodowi. Chude chłopskie szkapy ciągnęły pracowicie przeładowane po brzegi furki. Dym przejeżdżającego pociągu wlókł się leniwo nad lasem. Na rynkach pokrzywionych pokracznie mieścin, przed sapiącą niecierpliwie maszyną ustępował lękliwie tłum żydziaków i chłopstwa. Przydrożne topole kłaniały się im w pas, zdając się pytać:

— Dokąd, dokąd?

I nagle pani Helena, zajadła warszawianka, poczuła, że ją upaja ta podróż. Z prawdziwem zainteresowaniem poczęła się przyglądać chłopskim, zgarbionym, zapadłym w zieleń, chatkom. Wyobraziła sobie nagle Olka stojącego na ich progu ze swymi broszurami i wędrownym aparatem kinematograficznym i zdało się jej, że poczyna coś rozumieć... A jednak, kto wie, czy nie ma on trochę racji... Bo niekiedy nawet to prawdziwe, bujne, bez troski o jutro życie, jest w rezultacie takie głupie, takie głupie, głupie... Aż ziewnęła.

Gdzieś za Komarowem wypadło skręcić na okropną boczną dróżynę, szumnie nazwaną szosą. Samochód trząsł się galaretowato, warczał, rzęził, chrapał, dygotał jak człek w agonji. W lesie na jakimś korzeniu, który trafunkiem wyrósł na środku drogi, trzasła jedna opona, potem na kamieniu figlarnie ustawionym na skręcie — druga. Szofer klął jak pijany majtek, nie zwracając wcale uwagi na zieloną z nawału wrażeń i wstrząśnień Helenę.

Potem pili dziwnie gęste mleko u poczciwego wieśniaka, który im je łaskawie za podwójną cenę zgodził się odsprzedać. Potem dowcipny pastuszek - niecnota cisnął za jadącymi kamieniem, tłukąc szybę. I przejechali dwie kury, tudzież potrącili jedną krowę, która ani rusz nie chciała im ustąpić z drogi. Potem były ze dwa kilometry piachów, że Sahara zapłakałaby z zazdrości. Żelazne serce motoru zaniosło się nie-

wypowiedzianie żałosnem szlochaniem na sam widok tego żółtego oceanu piasków, który grubą warstwą kurzu pokrył delikatną twarzyczkę pani Heleny.

—Daleko do Dębowej Górki?— pytała już nie głosem, a łzami i rozpaczą, zadumanego izraelitę, który odpoczywał dostojnie w przydrożnym rowie.

— Do Dębowej Górki — zainteresował się żydowina — może pięć wiorst jeszcze, może troszki więcej... Tylko czy to przez mostek za laskiem przejedzie? — dodał lekceważącym ruchem wskazując spracowanego ciężko i ledwie dyszącego fiata.

Te "troszki więcej" to było akurat drugie pięć. Szofer patrzał na panią Helenę pogardliwie, z uczuciem niekłamanej nienawiści. Ona zaś na niego żałośnie, pokornie, z prośbą o przebaczenie, bo czuła, że nie przeżyje i umrze na rękach choćby pana Olka, o ile wogóle dojadą do tej przeklętej Górki Dębowej. Ów tajemniczy mostek okazał się w rzeczywistości sprytnie i przebiegle zainscenizowaną pułapką. Pod automobilem coś chrobotnęło okropnie, poczem motor zaraz zdecydowanie odmówił posłuszeństwa...

— Cholera! — wymownie zreferował katastrofę szofer.

Było już dobrze szarawo, kiedy jakimś cudem udało się go naprawić, a ciemno "choć oko wykol", gdy nareszcie wjechali do Dębowej Górki, zatrzymując się przed widoczną w świetle reflektorów okazałą chałupką, szumnie reklamowaną przez wylęknioną dziewczynę, jako "właśnie dwór".

Na rozpaczliwe, żałośne niemal trąbienie nikt nie zareagował zupełnie... Drzwi pozamykane szczelnie, w oknach ciemno. Wściekłe, potępieńcze ujadanie rozjuszonych psów podwórzowych dookoła automobilu... Dopiero po kwadransie zdecydowała się podejść jakaś nieokreślona bliżej postać, stróż nocny, czy coś w tym rodzaju...

— A do kogo tam? — zapytał leniwo i niemrawo i melancholijnie...

— Do... do dziedzica — zaryzykowała odpowiedź pani Helena.

— Dziedzica? Dziedzica to nimo...

— A kiedy będzie?

—A dyć ja wiem, pewno po północku.

Szofer nie rzekł ani słowa, tylko spluwał sobie dla ulżenia raz po raz gdzieś w ciemność...

W końcu chłopek dawszy się przekonać, że przybyli nie mają złych zamiarów, odegnał wielkim krzykiem kłębiący się tłum psów, poczem rozpoczęło się długie walenie do drzwi, mogące z powodzeniem obudzić umarłego. Jakoż zaczął się za niemi zagadkowy ruch, zajaśniało w jednym z okien mdłe światełko świecy, wkońcu dwie nawpół ledwo ubrane, a nieufnie się patrzące dziewki, po długich ceregielach wpuściły panią Helenę z szoferem do wnętrza Olkowego schroniska. Dano im zaraz jakiejś podejrzanej, nieco mętnej herbaty, okropnych, niemożliwych do zjedzenia, (choć szofer konsumował wszystko z zapałem godnym lepszej strawy) jakichś przysmaków, wkońcu ułożono do snu panią Helenę, na jedynem, zdaje się, łóżku gospodarza. Szofera ulokowano na kanapie w sieni. Usypiając momentalnie i automatycznie pod wpływem wściekłego zmęczenia, przez krótką chwilę zrozumiała pani Helena całą śmieszność swego pobytu w jego domu, tej awanturniczej i ryzykownej wyprawy. Dopiero teraz zrodziło się w obolałej głowie smętne, rzewne pytanie: co też on sobie pomyśli. Żeby jej starczyło sił, zbudziłaby szofera i kazała wracać. Jednak usnęła...

****

Jednostajne, monotonne warczenie much, natrętnie wciskających się do oczów... Przez uchylone okno wślizgnął się promień słońca i pocałował rozkosznie Helenę w same usta... Wiatr poruszył niecierpliwie firanką, jakby ją chciał zachęcić do wstawania. W pokoju umeblowanym ze spartańską prostotą (prócz stosów książek, umywalni i łóżka nic w nim właściwie nie było) zrobiło się jasno i wesoło. Z za okna dochodziły zmięszane odgłosy końskiego rżenia, śmiechów i pokrzykiwań dziewek, gdakania kur. Na zegarku była dziewiąta. Helena, mimo, że łóżko było wprost potwornie twarde i kości ją trochę bolały przeciągnęła się z lubością... Ani myślała wstawać.

Zapukano do drzwi.

W Helenie serce przerwało na chwilę swą czynność, znieruchomiawszy w oczekiwaniu. On czy nie on? Ale była to tylko dziewczyna, odnosząca oczyszczone starannie obuwie i suknie.

— Dziedzic wrócił? — pytała podenerwowana trochę.

— A juści.

— I cóż robi?

— Z pola wrócił. Siedzi teraz na ganku obłożony gazetami i czyta...

Nawet nie przyszedł jej powiedzieć "dzień dobry". Nie raczył się pofatygować... Czyta... Na ganku... Pani Helena zerwała się jakby poruszona sprężyną... Czyta na ganku. Ubrała się rekordowo szybko, coś wszystkiego w pół godziny, przejrzała się w pokracznem, zawieszonem na ścianie lusterku, zjadła stojące obok na stoliku śniadanie (gniew zaostrza apetyt) i z groźną, obrażoną miną, wyruszyła na spotkanie przyczyny swych cierpień.

Jakoż znalazła Olka na owym ganku, wcale ładnie obrośniętym przez pnące się wino, zatopionego w lekturze.

— Dzień dobry panu — powitała go możliwie zimno.

— To pani? Ranny z pani ptaszek, ale cóż za niespodziewana wizyta...

— To przejazdem, do krewnych.

— Daleko?

— Bardzo daleko.

Z całą grzecznością, ale taką chłodną, zwyczajną grzecznością, ucałował jej rękę.

— Bardzo przepraszam za tak sobie, średnio gościnne przyjęcie, ale trzeba było choć depeszę... Czyż mogłem się spodziewać. Taki gość w pustelni samotnika?

— O depeszy zapomniałam zupełnie... Sprawiłam panu duży kłopot tym najazdem?

Pan Olek usiłował być wytwornym.

— Cóż za kłopot? Żaden... Proszę się rozgościć jak u siebie w domu. U mnie ubogo jak pani widzi, ale może jakoś miejsca starczy.

Odziany był do tego wszystkiego w jakieś niemożliwe, płócienne, snać gospodarskie ubranie. Spoważniał, zmężniał, ogorzały, wyglądał jak typowy hreczkosiej.

No i to przywitanie! Pani Helena zagryzła wargi do krwi. Głupia, łudziła się, że zastanie tego dobrego, złotego, kochanego Olka, a to jakieś zwyczajne chamisko... I warto też było dla takiego kompromitować się?

Chciało się jej poprostu płakać głośno, bezsensownie jak smarkatej, jak pensjonarce, jak porzuconej kochance. Zresztą niechby

tam, ale powinien się chociaż trochę ucieszyć.

Pan Olek tymczasem przyglądał się jej bardzo poważnie i wypytywał bez żadnego zaciekawienia, tak aby coś powiedzieć, o znajomych w Warszawie.

❖❖❖❖❖❖❖❖❖❖

Obiad jedli w zupełnem milczeniu, bo wszystkie tematy się wyczerpały i naogół mało patrzyli na siebie. Zupa była bardzo kwaśna, kurczaki przypalone i twarde, wiśnie niedojrzałe, kawa podobna raczej do smoły, niż do kawy. Pani Helena czuła, że siły ją zupełnie opuszczają, i że powinna natychmiast stąd pojechać, przed siebie, dokąd ją oczy poniosą, w świat.

Więc gorączkowym głosem poczęła wydawać dyspozycje szoferowi, aby za godzinę nieodwołalnie był gotów z automobilem do drogi, za godzinę, ani minutę później...

—Pani już wyjeżdża?—zauważył Olek.

— Przecież tu nie zamieszkam — wybuchnęła.

— Ach tak... A jednak tu można się dużo pożytecznych rzeczy nauczyć.

— Od pana? no, no.

Ale Olek nic nie odpowiedział, bo zdyszany chłopak przybył z hiobową wieścią ze stajni, że kary okulał na zadnie kopyto. Udał się niezwłocznie oglądać chorą szkapę, skląwszy po drodze dokładnie i sumiennie stangreta, w tak ordynarny sposób, że aż Helenie zrobiło się nieprzyjemnie.

Przed samym odjazdem spotkali się w ogrodzie, pod rozkwitłą jabłonią, która sypała im pod nogi białe płatki kwiecia.

— Ochwacił mi konia, łajdak — rzucał się Olek.

— Rzeczywiście przykre — zauważyła z przekąsem.

— Ale pani ma tonik! Żadnej zmiany, urocza pani, zawsze urocza pani Helena tylko.

— Jakto tylko... A cóż pan...

— Ja pracuję, widzi pani i wrastam w ziemię, spełniam twarde posłannictwo pracy, ot co jest.

— Słyszałam, owszem, pan i filmuje...

—Ironja, rozumiem, pani Helena zagniewana. Trudno, proszę panią. Wszystko przemija, zmienia się, ludzie stają się ludźmi naprawdę.

— Naprawdę? — zdziwiła się i przystanąwszy pod drzewem, podniosła nań swe duże oczy i ubrała je w najładniejsze ze swoich spojrzeń. Niech tam! jaki on tam jest, to jest, ale przecież to zawsze kochany jej chłopak. Niech tam!

Pan Olek poczuł się nieswojo... Więc aż tu przyjechała zburzyć mu spokój i rozkosz chwil samotnych.

— Czy ty naprawdę już nic nie pamiętasz?

— Cóż mam pamiętać?

Głos pani Heleny począł być niby płynąca z oddali muzyka, cicha, powiewna. — Te nasze godziny, dawniej, przed dwoma laty.

— Poco mi to przypominasz? Przecież odjeżdżasz już, a ja mam tyle do zrobienia tu jeszcze. Tu biedna okolica i tyle biednych ludzi wokoło.

Złoty, głupi chłopak. Pani Helena podeszła doń cichutko, zarzuciła mu mocno ręce na szyję i pocałowała jeszcze mocniej.

— Więc tyś przypuszczał, że ja stąd chcę odjechać, że chcę uciec od ciebie, że ja jestem już naprawdę taka zła, że ja może do tych krewnych jadę...

I rozpłakała się...

Olek spoważniał. Wziął ją za rękę i prawił jej dużo mądrych rzeczy, o tem, że trzeba się nareszcie ustatkować, że życie jest coś warte, jeśli się go właściwie używa, że on ją bardzo kochał i kocha, że tęskni ogromnie, ale przecież ona sama winna tylko temu, że nie mógł sobie poprostu dać rady bez niej, ale cóż miał począć...

Ale ona słyszała tylko jego głos, nie rozumiejąc słów zupełnie i widziała nad sobą jego twarz i czuła usta na oczach, któremi gorliwie osuszał jej łzy...

Wiatr figlarz sypał na nich, coraz gęściej białe płatki kwiecia...

"Fiata", który już zrywał się do lotu, zatoczono z powrotem do szopy. Szofer pomaszerował z ochotą do kuchni, bo mu tam jakaś dziewoja wpadła w oko... Bocian na stodole kiwał się melancholijnie na jednej nodze... Wrony się darły, jak opętane. Wróble zaćwierkiwały się radośnie, urządziwszy sobie five o'clock, czy inne garden-party na rozłożystej gruszy przed domem. Żaby zanuciły z przejęciem wieczorny hymn. Bydło, pędzone z pola, truchcikiem biegło do studni po wodę, jako że dzień był upalny, nad podziw. Na ganku zaś pan Olek sumitował się pokornie pani Helenie, ze swego naprawdę głupiego (sam to musiał przyznać) wyjazdu i tej niezwykłej ucieczki od świata... Na przeproszenie pani Helena pozwoliła mu się wspaniałomyślnie ucałować, ale stanowczo nie więcej niż pięć razy i broń Boże! nie za mocno. Wkońcu obeszli Olkowe gospodarstwo.

— Prosiaki są cudne! — z przejęciem zaopinjowała pani Helena, a Lorda pocałowała w rozdęte chrapy (Anglika przecież!), poczem poszli hen przed siebie w pole, ująwszy się bratersko pod ręce i nie wrócili, aż późnym dobrze wieczorem. Krokodylowe pantofelki zniszczyły się na nic na rosie.

❖❖❖❖❖❖❖❖❖❖

Ślub brali w wiejskim, drewnianym kościele. Było dużo słońca i polnych kwiatów... Stary, siwiuteńki proboszcz, aż się zachłysnął wzruszeniem, paląc mówkę, że ha! Przeróżne okoliczne mamuty i mastodony, zabytki szacowne minionych dawno epok, ściskały im kordjalnie i czule ręce... Pijaństwo potem nastąpiło niezwykłe i powszechne. Tylko bogaty mecenas-dyplomata był niezwykle przez cały czas czegoś zamyślony, i ponury, chociaż pozostawił młodej parze na pamiątkę owego "Fiata", razem z szoferem, który się definitywnie rozmiłował, bodaj że w Marysi.

❖❖❖❖❖❖❖❖❖❖

"Czy wiesz — pisała pani Helena w miesiąc później, do jednej z półtora tysiąca swych najserdeczniejszych przyjaciółek w odpowiedzi na jej trochę "cięty" list z życzeniami — że "mężczyzna, który trochę zwarjuje, jest daleko więcej niekiedy interesujący od normalnego?... Z całego serca Ci życzę, aby Twój stary zwarjował. A co do handlu świniami, o którym mi piszesz, to sama prowadzę nawet rachunki, bo Olek jest okropnie przepracowany. Swoją drogą, chcę na zimę koniecznie wybrać się do Was, do Paryża, oczywiście z mężem. Podobno "charleston amerykański" wygląda daleko bardziej efektownie niż francuski...

Jeżeli Ci chodzi o te świnie zawsze byłaś głupia, moja drogą, to trudno, Olek zorganizował handel z Anglją. Cała okolica patrzy na niego, jak w tęczę... Napewno nie wiesz co to bekony. Jest to coś, co można wymieniać na perfumy, mydełka paryskie i jedwabie, jednem słowem to co was bawi jeszcze. A mnie bawi tylko Olek... On jest naprawdę kochany..."



Laponja. Las na granitowych pagórkach.

LAPONJA

KRAJ I MIESZKAŃCY

Na północy Europy leży kraj nazwany Laponją, tworzący równinę z lekka pochyłą ku Oceanowi Lodowatemu. Tundry czyli błota pokryte mchem, karłowatemi krzewami i przez większą część roku zamarznięte pokrywają cały ten kraj od grzbietów i pochyłości gór północnej Norwegji aż do brzegów morza Białego w Rosji.

Lapończycy, naród pochodzenia mongolskiego, są małego wzrostu, zaszyci w futra, zamieszkują tę rozległą płaszczyznę, pokrytą w przeciągu 9-ciu miesięcy śniegiem. W tym kraju wieczystej bieli i wieczystej ciszy przez pół roku stale świeci zorza północna, roztaczająca uwodzicielsko piękny czar kolorów na płaszczyznach śniegiem uśpionych.

Przedziwną jest cisza równin Laponji. Nie słychać nic. Nawet psy na uwięzi nie ośmielają się wyć, skarg żałosnych zanosić w przestworza na swą niewolę. Wieczorami, przed otworem jurty, zasiadają rodziny Lapończyków i zahypnotyzowane patrzą w przepiękne promienie zorzy północnej, wielkim wachlarzem rozpostartej od krańca do krańca horyzontu. Nikt słówkiem się nie odezwie, nikt się nie porusza. Wszyscy, nawet dzieci małe, ulegają czarodziejskiemu władztwu ciszy.

Jeden z nielicznych podróżników po Laponji opowiada charakterystyczne zdarzenie: "Pamiętam dobrze taki obrazek. Przed ubogą chatą lapońską, dymną, rozpadającą się, sterczącą jak obrzydliwy wrzód na śnieżnem polu, leży na kilku deskach starzec ubrany w nędzne, wyleniałe futro z renifera. Karmazynowa rogata czapka dawno straciła swój kolor. Wyciągnięty niedbale, podparty na łokciu, pali fajkę i patrzy w dużą rdzawą plamę tarczy słonecznej, świecącej nisko nad widnokręgiem.

"Zajechaliśmy o krok od niego. Musiał słyszeć obcy język, zauważyć niezwykły dla tych okolic ruch, a mimo to nie zmienił pozycji, nie zaszczycił nas jednem nawet spojrzeniem. Przeszło dwie godziny spędziliśmy koło niego i nie potrafiliśmy zwrócić na siebie uwagi. Dopiero, gdy chcąc go sfotografować zasłoniłem mu słońce, wstał i powolnym krokiem wszedł do chaty.



Podróżowanie po Laponji. Zmiana zaprzęgu.



Pustkowia nad wybrzeżami morza w Laponji.

“O czem myślał? Co mu się marzyło?

“Może, że niezadługo przyjdzie koniec życia, że zbiją mu trumnę z kilku desek, zrobią w niej otwór od spodu, aby mógł przezeń wyjść i własnemi rękoma wgrzebać się do wnętrza ziemi, gdzie oczekuje wieczy spokój wolny od trosk. Może namyślał się czy prawdą jest, że gdy w trumnie nie zrobią otworu i zmarły z niej wyjść nie może, wówczas wraca jako upiór na ziemię i przeszkadza żywym.”



Typy krajowców.

Istotnie, Lapończycy są ogromnie zabobonni, wielu z nich jeszcze dziś, pomimo, że oficjalnie, prawie wszyscy, przynajmniej w Szwecji i Finlandji wyznają chrześcijaństwo, wierzą w czary, w zaklęcia, posiadają niezliczone talizmany — zabezpieczenie przeciwko złym i przynęta dla dobrych duchów. Lapończycy posiadają piękne klechty i bajki, które z ust do ust, z ojców na dzieci, opowiadane w czasie długich wieczorów i nocy przy ogniskach przechodzą z pokolenia na pokolenie.

Smutną i naiwną, jest klechta o zorzy północnej. Było to ongiś, na dzień wtóry po stworzeniu świata. Zeszedł się “Dzień” z “Nocą” i gwarzyć poczęli, a uradzać jak tu pozbyć się uporczywej nudy. “Dzień” biadał, że za długo musi być sam, a “Noc” też się skarżyła i lamentowała, że nie ma ochoty przez długą noc okrywać wszystko czarnym nieprzejrzystym tumanem. Rada w radę i wyjście znalazły. “Noc” dała ze swej ciemność i trochę “dniowi” i stał się szary, “Dzień” zaś użyczył nieco światła “Nocy” a ta przerobiła je na zorzę, stworzyła piękne srebrzyste zasłony oraz rozlała po niebie krwawe fantastyczne pochodnie. Zobaczywszy to “Dzień” żałował swojej lekkomyślności, klął swe lenistwo i swą głupotę, że wymyślał na długość jasnego światła. Dziś od tego czasu dzień jest krótszy, ale szary i jeszcze bardziej, aniżeli przed wiekami męczy go nuda.

Mieszkańcy Laponji pięknie się ubierają, stroje ich są długie, z futra renifera, przybrane pięknemi wypustkami na ramionach i plecach, dołem bramowane bogatemi haftami, przepasane bardzo szczodrym, bardzo ładnym, misternie utkanym drobnemi rączętami Laponek kolorowym paskiem. W lecie noszą Lapończycy granatowe obfite sukmany, wciągane przez głowę, także wyszywane i bramowane kolorowo. A na głowach — zdziwią się czytelnicy — czapy futrzane, podobne do polskiej rogatywki, latem zaś głowę przykrywa czapka, która także łudząco przypomina polską narodową rogatywkę.

Pięknie na śniegu wygląda sylwetka Laponki lub Lapończyka. Wyglądają ni-



Typowy krajobraz górzystej części Laponji.

by małe barwne żuki o szaro - brunatnej osnowie futra, mieniące się przy zwrocie kolorami czerwieni, granatu lub jaskrzące się żółcią.

Nogi obute w miękkie obuwie z zawiniętemi w górę z fantazją nosami, albo skórzane ciżmy, przewiązane w kostce kolorowemi ręcznie tkanemi paskami. Ręce kryją się w olbrzymich futrzanych rękawicach. Na plecach granatowy kaptur zwisa, jako zabezpieczenie na głowę od śniegu i uzupełnia ten wdzięczny strój.



Ren, wygrzebujący mech z pod śniegu.

Dawni polscy kronikarze wspominali "monstra dziwnie małe o wąskich krzywych ślepiach, nieufnie pozierające dokoła, od septentrionów (tak nazywali Polacy dawniej Rosjan i Szwedów, zamieszkałych na północy) przywiezione, a przez panów w domu utrzymane i wszelki starunek o siebie mające od służby pańskiej, gwoli swej znajomości sztuki czarnoksięskiej i kumania się z djabłem". Nie bardzo mylili się ci kronikarze, bo na dworach magnatów i dostojników dawnej Rzeczypospolitej chętnie trzymano różnych karłów, murzynków i t. p. W czasach wojen Szwedzi przywieźli z sobą wielu Lapończyków i używali ich do lżejszych posług w obozie oraz do usług osobistych mniej zamożnych oficerów.

Mali mieszkańcy cichych równin północy, jeszcze przed laty 20-tu wszyscy prawie bez wyjątku byli ludem pasterskim, koczowniczym. Ze stadami renów, z jurtami na ich grzbietach, z rodzinami przenosili się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu lepszej paszy dla swych żywicieli — stad reniferów.

Renifer jest wszystkim dla Lapończyka. Jego mięsem i mlekiem się żywi, jego skóry i futra służą mu do wyrabiania ubrań, z kości i rogów wyrabia przeróżne narzędzia domowego użytku, z kiszek wyciąga mocne struny do łuków; renifer jest także jego siłą pociągową, towarem wymiennym na produkty, których dostarcza mu ręka białego kupca.

W ostatnich jednak czasach zmienia się forma koczowniczego życia wielu grup pasterzy lapońskich, zwłaszcza tych, którzy mieszkają na południu, bliżej cywilizacji zachodu. Mieszkańcy tych kresów Laponji posiadają już stałe domy w stałych wioskach. Na czas wygonu reniferów w góry względnie na pastwiska, gdzie mech jest obfity, w chatach pozostają tylko kobiety, starcy i dzieci, gdy ojcowie rodzin w sile wieku i młodzież męska udaje się na pastwiska ze stadami reniferów.



Typowa para lapońska na saniach.

Podróżnicy opowiadają, że rodziny koczujących grup z ogromną wprawą i zadziwiającą wprost szybkością przenoszą swe ruchome wioski, złożone czasami z kilkudziesięciu jurt z miejsca na miejsce. Rankiem w osiedlu płynie jeszcze życie zupełnie normalne. Około południa na dane hasło — w przeciągu godziny jurty znikają, sanki są załadowane i cała wieś rusza wielkim długim wężem za stadami idącemi

na przedzie w poszukiwaniu nowych pastwisk. Na miejscu gdzie stała wioska, na bieli śnieżnej pozostały tylko brudne plamy miejsc zajmowanych przez jurty i ogniska. Z taką samą szybkością jak znikają tak i powstają nowe osiedla. Po dwu lub trzech godzinach po zatrzymaniu się sań, wioska jest gotowa, życie poczyna płynąć cichym, równym, spokojnym trybem.



Reny na pastwisku.

W wioskach stałych, Lapończyk zmuszony jest przez cały rok prowadzić życie bardzo czynne, pełne pracy i troski w przeciwieństwie do wędrującego, więcej na północ w tundrach mieszkającego sąsiada. Mianowicie musi on na czas zimy zgromadzić zapasy mchu, by starczyły na czas najgroźniejszy dla licznego stada reniferów, musi umocnić i uszczelnić dom mieszkalny, zwieźć zapasy drzewa, a na czas wyjścia z wioski ze stadami na pastwiska, pozostawić rodzinie zapasy żywności. Nie zna tego koczujący bez troski sąsiad-nomada. Postawi jurtę, wypuści renifery, które same starają się o pożywienie, usiądzie na progu jurty, słucha ciszy północnej i pali fajkę. To osiedlanie się na stałe Lapończyków, którzy od wieków są narodem koczującym, stwierdza, że zgiełkliwa krzątanina ludzi cywilizacji i tam dotarła i tam zmienia istniejące od wieków tradycyjne formy bytu tamtejszego człowieka.

Lapończycy, również Sanelandami zwani (nazwę Lapi uważają za ubliżającą), obok hodowli renów trudnią się także myśliwstwem i rybołóstwem. Przemysł ogranicza się wyrobem przedmiotów na potrzeby domowe. Garbują skóry, kręcą nici z kiszek renów, przyrządzają ubrania, rękawice, naczynia drewniane, sanki. Większe lasy w południowej części Laponji kryją w swem wnętrzu stosunkowo bogaty zwierzostan, na który składają się niedźwiedzie, wilki, rysie, gronostaje, wydry i kuny. Jakkolwiek lato trwa tu tylko dziewięć tygodni i jest bardzo gorące, grunta na południowych stokach nadają się pod uprawę zboża, które siane w maju, zbierane jest już w połowie sierpnia. Zwłaszcza w ostatnich czasach, gdy wiele klanów lapońskich porzuciło życie koczownicze, potworzyły się tu i owdzie osady rolników. Staje się to głównie pod działaniem napływowej ludności z Szwecji i Finlandji, która granicząc z Lapończykami, nieprzyzwyczajona do życia koczowniczego, skłania swych sąsiadów do zakładania stałych osiedli. W osiedlach takich chodują nawet konie, bydło i owce.

Ale najważniejszem jest tu renifer, wierny sługa, przyjaciel, dobrodziej, żywiciel i źródło bogactwa Lapończyka. Zwierzę to jest ogromnie wytrzymałe i mało wymagające. Po długiej podróży, czasami kilkunastogodzinnej, wyprzężony z sanek zdobywa sobie pożywienie, w najgorszym razie wykopując z pod śniegu, czasami głębokiego na 6 do 8 stóp, mech, który jest jego głównem pożywieniem, a później wraca na spoczynek w pobliżu jurty swojego pana.

O ile renifer jest bardzo mało wymagający, jeśli chodzi o pożywienie, o tyle pan jego odznacza się zadziwiającym wprost apetytem. Lapończyk na jedno posiedzenie może zjeść do 10 funtów mięsa i tłuszczu. Nie należy się jednak dziwić. Tamtejszy klimat niesłychanie mroźny zmusza człowieka do silnego odżywiania się, gdyż organizm w celu wytworzenia ciepła wymaga bardzo dużo materjału a zwłaszcza tłuszczu do naturalnej walki z zimnem.

Lapończyk odznacza się spokojem, prostotą oraz ponurą zawziętością. Rzadko kiedy się gniewa, lecz kiedy już z pochwy wyjmie nóż, to napewno ubroczy go we krwi. Małych mieszkańców białej krainy prawie nic nie może wyprowadzić z równowagi: zawsze są spokojni, zawsze opanowani i nic ich nie dziwi. Prócz tego specjalnie wybija się ich gościnność. W każdej porze dnia i nocy podróżny czy zbłąkany, znajomy czy obcy, może wejść do jurty i zagospodarować się w niej jak u siebie w domu. Ciekawem jest, że Lapończycy nie znają tak często przesadnych w krajach cywilizacji form i reguł grzeczności i gościnności. Ktoś wszedł do jurty w nocy, gospodarz Lapończyk śpi nadal, lecz zostawia do dyspozycji gościa wszystkie istniejące zapasy żywności i mienia. W dzień gospodarz zajmuje się pracą, a gość sam gospodaruje w chacie. Jeśli mają czas, pomagają mu kobiety, nie zamieniając zbytecznych słów.

Lapończycy nie znają złodziei. Chaty w osiadłych wioskach lapońskich i jurty u koczowników są zawsze otwarte. Nikt ich nie pilnuje. Wiadomo, że jak ktoś przyjdzie, to skorzysta z ognia i jadła, lecz sprzętów nie ruszy. Złodziejstwo, wynalazek nędzy i cywilizacji jeszcze nie dotarło do cichej, milczącej, gościnnej Laponji.

KURT MÜNZER

SIOSTRA

BYŁO już dobrze po północy. O spóźnionej porze świadczył stół zastawiony pokaźną baterją wypróżnionych butelek. Gospodarz skończył właśnie opowiadanie.

— Zatem pozostał nam tylko Robert — dodał. — Dalej, chłopcze, wyjeżdżaj ze swoją przygodą. Ukoronuj ten wieczór jakąś tragiczną historją. No, wal! Czekamy!

Robert mniej cyniczny, niż jego przyjaciele, spojrzał zadumany w mroczną głąb ogrodu. W cieniach nocy letniej jaśniały białe kwiaty oleandrów i migotały dalekie gwiazdy. Raz wraz któraś z nich spadała bezszelestnie, przecinając niebo nagłą błyskawicą.

— Chciałbym — zaczął Robert cicho — opowiedzieć wam jednę z mych niewielu przygod i to przygodę tragiczną. Ale nigdy nie miałem sposobności wystwienia na próbę mego talentu naratorskiego i dlatego nie wiem, czy sprostam zadaniu. Historja moja rozgrywa się, zupełnie zresztą przypadkowo, we Włoszech. Sądzę bowiem, że Włochy nie są krajem specjalnie uprzywilejowanym pod względem przygód i cierpienia. Wszędzie przypadek może zrobić z uczciwych ludzi zbrodniarzy, głód złodzieji, a miłość boharterki z kobiet.

— Moja opowieść, historja wielkiej miłości, nie ma określonego czasu ani miejsca. Nie jest ona wyjątkowym przypadkiem, przeciwnie, możnaby ją nazwać typową dla wszystkich wielkich cierpień.

Młody monachijczyk, Karol, który miał zamiar odejść, zatrzymał się, zaciekawiony słowami Roberta. Inni, zmęczeni winem, oraz wysłuchanemi dotąd historjami o miłości, słuchali od niechcenia. Mimo to Robert mówił dalej:

— Jednej z pierwszych wiosen pobytu we Włoszech opuściłem moją pracownię przy Via del Popolo i wybrałem się na Sycylję, gdyż uśmiechała mi się myśl malowania złocistej doliny Palermo. Wabił mnie czarodziejski obraz pomarańczowych drzew okrytych owocami, cudne niebo i śnieżysty szczyt Etny. Wobec złocisto-błękitnego celu ogarnęła mnie jednak rozpacz bezsilności. Jakże mogłem porywać się, przy pomocy jedynie marnej palety, na odtworzenie tych blasków, tych istnień przedziwnych, tych woni, tego bujnego, wrzącego życia!

Zamieszkałem w małej wiosce w chacie pasterza, który całe miesiące spędzał ze swoją trzodą na zielonych łąkach, rozciągających się u stóp Etny. Byłem zatem całemi dniami sam zupełnie — gospodarza mego widywałem jedynie w porze obiadowej, gdy dostarczał mi pożywienia. Chatę sprzątała jedna z miłych sąsiadek, uproszona przez mego gospodarza. Wkrótce zbliżyłem się z pięknemi wesołemi chłopkami, one zaś polubiły młodego malarza, który z takiem zamiłowaniem i zapałem malował ich czarującą dolinę.

W czasie jednej z mych wycieczek artystycznych odkryłem na końcu wsi mały, odosobniony domek, otoczony dzikim, zaniedbanym gajem pomarańczowym, przez który przepływał strumień, spadający z niedalekich skał. Domek był zupełnie ukryty w zielonej gęstwinie i migotał w słońcu blaskami skał, złotych promieniami słońca. Złocistość ścian w połączeniu z żywym błękitem ram okiennych i drzwi, oraz gorącą czerwienią róż kwitnących w ogródku pociągała mój zmysł artystyczny. Następnego dnia wróciłem, niosąc z sobą palety, pędzle, sztalugi i płótna i rozłożyłem wygodnie cały mój warsztat pracy.

Malowałem zapewne od godziny lub dłużej i obraz był już naszkicowany, gdy naraz otwarły się błękitne drzwi i wybiegła młoda dziewczyna, niosąc dwa duże, bronzowe dzbany na ramionach. Prawdopodobnie zauważyła mnie już wcześniej, gdyż nie okazała najmniejszego zakłopotania ani zdziwienia i przyjaźnie mi skinąwszy główką, zniknęła poza domem.

Zapewne pobiegła zaczerpnąć wody ze srebrzystego strumyka, którego szmer zakłócał złocistą ciszę tonącej w słońcu i woni kwiatów doliny.

Rrzeczywiście, wróciła po chwili z dzbanami pełnemi wody, lecz zamiast wejść do chaty, postawiła je na progu i zbliżyła się do mnie. Swobodnie obejrzała mój obraz, roześmiała się wesoło na widok szkicu swego domku i uprzejmie odpowiadała na pytania, które jej zadawałem. Po chwili poprosiłem ją o kąt w domku, gdzie mógłbym złożyć tymczasowo moje malarskie przybory. Po pewnym czasie dowiedziałem się od niej wszystkiego.

Miała czternaście lat. Mieszkała zupełnie sama w domku o dwóch izbach i kuchence. W obórce miała kozę i parę królików. Jej jedyny brat pracował o parę godzin drogi, w głębi wyspy, u starego drwala. Spodziewała się jego powrotu w najbliższych kilku tygodniach. Utrzymywała się ze sprzedaży pomarańcz, które nosiła na targ do Palermo.

Nie znała zupełnie świata, całe życie swoje spędziła na wsi i zmiany wcale nie pragnęła.

Poprosiłem ją o jakikolwiek napój. Przyniosła mi kubek zimnego, koziego mleka i parę dojrzałych pomarańcz.

— Obierz mi je — poprosiłem i z przyjemnością patrzyłem, jak rozdziedała skórkę szczupłemi, smukłemi paluszkami. I wtedy ujrzałem, że była piękna.

Wysoka, silna, o ciemno-złotawej cerze i kurczo-czarnych, o metalicznym połysku włosach, miała oczy ogromne i mroczne. Zamiast owocu chwyciłem silnie jej ramię.

Musiała wyczytać coś złego w mojej twarzy, gdyż odepchęła mnie od siebie zdumiewającą siłą i odskoczyła wtył.

— Nie chcę ci zrobić nic złego — powiedziałem szybko — tylko... jesteś taka piękna!

— Jestem sama — zawołała. — Ale uważaj! strzeż się! Mam przy sobie nóż!

— Chciałbym, żebyć mnie pokochała — uśmiechnąłam się.

Ciągle była jeszcze zachmurzona. Spojrzała ma mnie z dziwnym wyrazem w czarnych oczach, tłumiąc oddech, jakby się bała spłoszyć trwożliwe zwierzątko. Nagle przycisnęła obie race do piersi i oczy jej zabłysły.

— Być może... — szepnęła cicho i uciekła.

Nazywała się Diomira. Miała czternaście lat i nigdy jeszcze nikt tak do niej nie mówił. Była, jak jeden z jej owoców drzew pomarańczowych, miała równie złocistą skórę, równie słodkawy zapach, jędrność i świeżość owocu.

Osiem dni malowałem jej domek. Gdy ostatniego ranka chciałem, jak zwykle, uścisnąć jej rączkę, nie podała mi jej.

— Czy ci zrobiłem jaką przykrość? — spytałem zmieszany — dlaczego nie chcesz podać mi ręki?

— Nie chcę się z tobą żegnać — powiedziała chmurnie, niechętnie, przez zaciśniętę zęby.

Nie rozumiałem.

— Diomiro! — wykrzyknąłem.

— Musisz tutaj zostać! — zawołała nagle. — Tu zostać! Zostać!

I tak gwałtownie zarzuciła mi ręce na szyję, że zachwiałem się pod jej ciężarem i upadłem na ziemię. Ona rzuciła się obok mnie na trawę, otoczyła mnie ramionami, gwałtownie, namiętnie przycisnęła się do mnie i poczęła krzyczeć z całych sił, jak gdyby krzyk ten od lat całych tłumiła w swej piersi:

— Tadoro! Tadoro! Kocham cię!

Byłem jak bezradne zwierzę zdane na łaskę węża. Bawiła się mną, zawładnęła mną zupełnie, dławiła mnie w uściskach, zwalniając chwilami dla zaczerpnięcia oddechu i nabrania dalszych sił. Kochała mnie!

Kochała mnie do szaleństwa, z najzupełniejszem oddaniem i namiętnością palącą... kochała mnie, jak gdybym był życiem, a ona pragnęła go całą duszą. To już nie była miłość, to był żywy płomień, który mnie ogarnął.

A ja? Nie, nie kochałem jej, napawałem się tylko niewysłowionym czarem jej młodości i urody, napawałem się aż do utraty świadomości, aż do zapamiętania. Zatopiłem się w bezbrzeżnem morzu rozkoszy tak dalece, że stałem się bezwolnem narzędziem w rękach tej dziewczyny.

* * *

Miłość, tkliwość i czar Diomiry były niewyczerpane. Byłem z nią już czternaście dni a namiętność jej bynajmniej się nie uciszała. Ustawicznie trwała w najwyższem natężeniu.

Była to jedyna i najwyższa miłość z tych, jakie spotkałem w ciągu czterdziestu lat mego zmiennego życia, potężne uczucie nie znające słowa "ofiara", gdyż każda, nawet najcięższa była jedynie aktem najwyższej miłości.

. . . .

Pewej nocy, z najgłębszego zapamiętania wyrwał nas głuchy łoskot. Ktoś pukał z całej siły do drzwi naszej chaty.

Dziewczę zadrżało w moich ramionach. Milczała, lecz słyszałem, jak serce poczęło trwożnie trzepotać się w jej piersi. Otoczyła mnie ramionami i szepnęła:

— Ercole, mój brat! Mój brat! Zabije cię!

Skoczyła ku stołowi, zdmuchnęła lampkę, wróciła i rzuciła zdyszanym głosem:

— Za późno! Widział światło! Zabije nas!

W tej chwili rozległ się donośny, męski głos:

— Wstawaj, Diomiro! Kto jest u ciebie? Jesteś w domu, widziałem światło! Otwieraj, inaczej wywalę drzwi!

Była bezradna. Sądzę, że nie lękałem się wcale w tej strasznej chwili. Zdawało mi się wprost, że śnię i czekałem momentu ocknienia...

Nagle drzwi zatrzeszczały pod uderzeniem silnej pięści.

— Gdzież cię mam ukryć — szeptała Diomira przerażonym głosem. — Znajdzie cię wszędzie.

— Otwórz! — powiedziałem. — Pomówię z nim.

Zaśmiała się głośno i ironicznie.

— Pomówisz! On ci nie pozwoli... zabije cię! Najpierw ciebie, potem mnie!

Potem, jak obłąkana pobiegła ku drzwiom i odsunęła rygiel. Skoczyłem ku niej i odepchnąłem ją od otwierających się drzwi.

Noc była jasna. Na progu stał wysoki, silny mężczyzna. W rękach trzymał dużą siekierę do rąbania drzewa. Twarz jego była tak blada, że zdawała się jaśnieć w mroku nocy. W tym samym momencie, gdy mnie ujrzał, podniósł w górę siekierę... Byłby mi roztrzaskał czaszkę, gdyby nie to, że Diomira szarpnęła mnie w bok.

Żelazo padło na lewe ramię. Poczułem przeszywający ból i gorąca fala krwi buchnęła mi prosto w twarz. Zalała mi oczy i uszy, że stałem się ślepy i głuchy na wszystko dokoła mnie.

W tem poczułem , że ktoś wciska mi w rękę nóż. Była to Diomira.

Zacisnąłem na nim palce,

podniosłem rękę i na ślepo pchnąłem w próżnię...

Nie, nie w próżnię. Straszliwy, nieludzki ryk rozdarł powietrze. Otarłem krew z oczu i spojrzałem: — na progu leżał bez ruchu wielki, silny mężczyzna. Straciłem przytomność.

* * *

Dopiero nad ranem przyszedłem do siebie. Diomira siedziała przy łóżku i patrzała na mnie twardo i chmurnie. Ramię moje obandażowane nie krwawiło już wcale. Rana kryła się pod bandażem.

Rozejrzałem się dokoła za tamtym... za tamtym... umarłym. Nie było go; izba była pusta, na białych deskach nie było śladów krwi. Zatem to był sen?

— Gdzie on jest? — spytałem.

Dopiero teraz spostrzegłem, jak słaby byłem. Z trudem wymówiłem te słowa.

Położyła palec na ustach. Niezmiennie patrzała na mnie ponuro i zagadkowo. Wyczytała z moich oczu, że pragnę jej ust, wstrząsnęła się i z śmiertelnym smutkiem powiedziała:

— Oh, gdybym to ja go zabiła... ja... Wtedy mogłabym cię całować!

Niczego więcej nie mogłem dowiedzieć się od niej. Przypuszczałem, że zaniosła sama ciało swego brata, jak mogła najdalej i ukryła w jakiejś rozpadlinie. Tam pozostanie ukryty na zawsze i nikt, nigdy nie odgadnie, co się z nim stało.

A mnie uratowała w ten sposób. Bo czyż ja byłem mordercą?

Wielka była jej miłość, ale to jeszcze nie był najwyższy jej wyraz.

Pielęgnowała mnie, póki nie wróciłem do zdrowia. Znała się na ranach i ramię goiło się szybko. Pomału odzyskiwałem siły.

Ale nie mogłem pocałować Diomiry. Widziałem, że z trudem zmusza się, żeby mnie dotknąć. A mimo to — czułem, że miłość w niej nie wygasła. Jej ogromne oczy pełne były najwyższego oddania, Błagałem ją o zmiłowanie... Oddzielona odemnie długością izby stanęła i spoglądała ku mnie...

— Kocham cię — rzekła raz. —Kocham cię więcej, niż mogę wypowiedzieć!

I uciekła z domu, jak gdyby ścigana bólem.

Wyzdrowiałem i wróciłem do mojej wioski, gdzie przywitano mnie z radością.

— Kiedy mogę wrócić do ciebie? — spytałem Diomiry odchodząc.

— Dziś wieczorem — powiedziała, patrząc mi w oczy. — Dziś wieczorem!

Wyciągnąłem ku niej ramiona. Krzyknęła boleśnie i uciekła.

— Dziś wieczorem — powtórzyła jeszcze. — Dziś wieczorem będę całkiem twoja, na wieki...

O zmroku, niespokojny, stęskniony pobiegłem do niej. Zatem miłość jej była większa niż zbrodnia i śmierć! Nie mogła poprzestać na uratowaniu mordercy swego brata, gdyż go kochała, kochała mimo wszystko.

Dobiegłem do jej domu. Stał cichy w złotych promieniach zachodzącego słońca. Błękitne drzwi stały otworem.

W tej chwili poczułem, że kocham Diomirę — kocham prawdziwie. W godzinie tej urodziła się moja miłość do niej... Kocham ją dziś jeszcze.

Zawołałem. Nie było jej. Białe prześcieradła na łóżku poruszyły się. To wiatr ruszył niemi, mnie jednak wydało się, że Diomira tam leży i wzywa mnie do siebie.

Skoczyłem ku niej, pełen miłości i tęsknoty...

Tak... leżała tam, uśmiechnięta, kochająca — moja zupełnie...

Tylko... nóż tkwił w ostygłej już piersi. Nie żyła.

ZYGMUNT MICHAŁOWSKI.

JUŻ KWITNĄ WRZOSY...

Już kwitną wrzosy...
Jesień złota
Czai się w lesie — hasła czeka.
Babiego lata nić się mota...
Snów niespełnionych czas — tęsknota
Dalekim echem gra daleka...

Już kwitną wrzosy...
Rdzawe rżysko
Mgła w siwe srebro rankiem skrywa...
Czai się jesień blisko... blisko...
Leśne ją kryje uroczysko
Spowitą w srebrnych mgieł przędziwa...



Już kwitną wrzosy...
Drobny lila
Rozsiał się kwiat wśród leśnych wzniesień.
Próżno się mrąca myśl wysila...
Dzień jeszcze tylko — tylko chwila...
Już kwitną mrzosy...
Idzie jesień...



ARTUR GRYF

WYRAFINOWANA ZEMSTA

SŁUCHAJ, Berner, byłoby mi bardzo miło, gdybyś nieco więcej mi dowierzał, — odezwał się Kącki.

Pięknie urządzone mieszkanie Kąckiego wychodziło wprost na Plac Marszałka Piłsudskiego. Znani szeroko w Warszawie archelodzy siedzieli naprzeciw siebie i rozmawiali. Był już wieczór, przyczem odczuwało się pewien chłód. Piec w mieszkaniu Kąckiego był marny. Wiało od niego nie ciepłem, ale zaduchem. Jasne, zimne gwiazdy błyszczały już nad Warszawą. We wszystkich kierunkach błyszczały złote łańcuchy elektrycznych świateł, restauracje i kawiarnie tonęły w potokach światła, ulicami przemykały samochody i powozy, chodniki zatłoczone były przechadzającą się publicznością.

Tutaj, w przytulnym gabinecie sławnego archeologa można było rozkoszować się widokiem najstarszych zabytków słowiańszczyzny i wykopaliskami wymarłych Jadźwingów pińskich. Na ścianach wisiały stare, połamane freski antycznej epoki, z węgłów wyglądały zniszczone biusty odtworzonych dawnych rycerzy i wodzów. Cóż to za surowe i marsowe twarze!

Z sufitu zwisały starożytne amfory; piękny turecki dywan, zakrywał prawie całą podłogę i był całkowicie zasypany starożytnemi wykopaliskami. Wszystko tu było niezwykłe, drogocenne i rzadkie.

Prawda, czasem Kąciki lubił, mimo prawdziwego zamiłowania do swego zawodu, uciekać od badań i nauki i oddawał się wtedy zabawom, ale okresy takie trwały niedługo. Znowu powracał do swych umiłowanych wykopalisk.

Towarzysz Kąckiego, Max Berner, był zgoła odmiennego charakteru. Jego smagła twarz błyszczała parą niebieskich oczu. Kwadratowe, masywne czoło obramowane było kręconemi włosami. Silne, muskularne szczęki były zawsze gładko wygolone. Kącki często mawiał, że Berner podobny jest do tych antycznych biustów, które wyzierały z kątów jego gabinetu.

Z lat i opinji Berner był rówieśnikiem Kąckiego, ale życie układało mu się daleko trudniej, dlatego pracować musiał więcej.

W okresie, gdy się opowiadanie nasze zaczyna, Kącki od szeregu miesięcy nie pokazywał się nigdzie w publicznych lokalach, przestał się bawić i całkowicie oddał się nauce. Przyczyną tego była miłosna historja, w której Kącki zdradził swój niezwykły sceptycyzm i nawet brutalność charakteru.

Swego czasu historja ta była dość głośna w Warszawie, ale nikt nie znał dokładnie jej szczegółów. Wiedziano tylko, że Kącki zniknął ze stolicy na pewien czas, wyjeżdżając razem z pewną młodą i piękną osóbką, poczem wrócił — sam. Wiedziano tylko tyle i tem się musiano kontentować, kiwając z niedowierzania głowami. Nie sądzono jednakże Kąckiego źle za to. Przeciwnie — interesowali się nim jeszcze więcej. Niektórzy nawet próbowali odwiedzić go w jego pracowni, lecz dostęp był niezwykle trudny, gdyż archeolog nikogo więcej prócz Bernera nie przyjmował.

Kącki znów przyjrzał się twarzy swego przyjaciela i zagadnął.

—Słuchaj, Berner, pragnę, byś mi dowierzał więcej, niż dotąd.

Wyrzekłszy to, wskazał ręką niewielki kobierzec. Na kobiercu stał niewielki pleciony koszyk. Koszyk ten napełniony był wszelkiego rodzaju rzadkościami wykopaliskowemi. Dla profana wszystkie te przedmioty były bezwartościowe i nic mu nie mówiły, ale doświadczone oko specjalisty odrazu odgadywało, że ma przed sobą niebylejaki skarb archeologiczny.

Koszyk ten przyniósł tutaj Berner.

Kącki spoglądał nań z zachwytem.

— Słuchaj, Berner. Niemam wcale zamiaru robić ci konkurencji, ale powiedz mi, gdzie ty zdobywasz te wszystkie skarby?

Berner wolno zapalił cygaro.

—Jestem pewien—mówił Kącki — że odkryłeś gdzieś niezwykłej wartości wykopaliska. Czyżby tu, w Warszawie, gdzie zdaje się nie być nieznanego mi miejsca? Przecież te wykopaliska wywołają pierwszorzędną sensację w całej Europie!

— Jest to tylko tysiączna część tego, co się tam znajduje, — odrzekł Niemiec — tam są nieprzebrane skarby. Aby móc obejrzeć wszystkie tam się mieszczące zabytki starożytności, potrzeba przynajmniej tuzin uczonych, a i ci pracowaćby musieli nad ich segregacją do końca swojego życia.

Kącki zamyślił się. Siedział ze zmarszczonem czołem i pocierał bezwiednie nos.

— Jak wnioskuję z twoich słów — odezwał się w końcu Kącki — odkryłeś gdzieś starożytny i niezwykle bogaty słowiański grobowiec?

— Sądziłem, że domyślałeś się tego już dawniej. A przynajmniej, gdyś zobaczył ten kosz skarbów.

— Owszem, owszem, ale miałem wątpliwości, które jednak teraz, gdyś mi powtórzył moje domysły, wątpliwości te bezapelacyjnie rozwiały się.

—Otóż tak. Powiem ci całą prawdę. Odkryłem grobowiec starożytny tuż pod Warszawą, ale do czasu trzymam wszystko w tajemnicy.

— Gdzież ten grobowiec?

— A ot, właśnie na tem polega cała tajemnica, kochany Leonie. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że odnalezienie go jest niemal niemożliwe. Grobowic, który odkryłem, należy do najstarszych z dotychczas na terenie ziem polskich odkrytych grobowców. O ile się domyślam, w tym grobowcu chowano tylko najdzielniejszych wojowników słowiańskich — oto dlaczego wykopaliska, które tam można znaleźć, są tak rzadkie i niezwykłe! Gdybyś ty niebył archeologiem, powiedziałbym ci mój sekret, ale boję się ciebie, jako zawodnika. Ty masz wiedzę rozległą i niebylejakie doświadczenie. Z tych powodów postanowiłem sam napisać broszurę o nowym grobowcu.

Kącki wprost fantastycznie kochał swój zawód. Miłość do archeologji zmieniła się u niego w manję. Mimo swych ziemskich nawyczek i orgjastycznych szaleństw, Kącki zawsze powracał do swego umiłowanego zawodu.

Z tego powodu ogromnie zapragnął spojrzeć własnem okiem na niezwykłe wykopaliska, które odkrył jego przyjaciel.

— Słuchaj, Berner, możesz mi całkowicie zaufać, daję ci najuczciwsze słowo honoru uczonego, że możesz mi całkowicie zaufać — powtórzył z mocą w głosie. — Przyrzekam ci, że bez twego pozwolenia nie wezmę pióra do ręki i nawet myśleć o twoich odkryciach nie będę. Przecież całkowicie rozumiem cię. I ja inaczejbym nie postąpił, gdyby to mnie taka gratka się trafiła. Tyś pierwszy odkrył ten grobowiec, więc tobie należy się pierwszeństwo przy zbieraniu plonów swego odkrycia. Jeśli jednak nie zechcesz mi pokazać tego grobowca, a ja odnajdę go sam, wtedy już nie możesz rościć sobie do mnie pretensji.

Berner uśmiechnął się w zamyśleniu.

— Kochany Kącki, dawno już zauważyłem, że jednak nie jesteś zbyt szczery z przyjaciółmi, podczas gdy sam od nich żądasz szczerości.

— Bredzisz! Zawszem ci opowiadał o wszystkiem, o coś mnie pytał. Czyś już zapomniał? Czyż nie dałem ci materjału, gdyś pisał o uzbrojeniu starożytnych Słowian?

— Et, to nie było takie ważne, ale gdybym cię teraz zapytał o cokolwiek, czy odpowiedziałbyś mi szczerze na pytanie? Jeżeli chcesz, żebym ja był z tobą szczery — płaćże mi i ty tą samą monetą.

— Nie rozumiem cię. Jeżeli chcesz, bym ci opowiedział cokolwiek wzamian za twój grobowiec, to ja się chętnie na to godzę. O cokolwiek mnie zapytasz odpowiem na twoje pytanie z całą szczerością.

— Wspaniale! — zawołał Berner, poprawiając się na krześle i zasłaniając się kłębami cygarowego dymu, — zatem opowiedz mi o swojej historji z Haliną Berską!

Kącki zerwał się z krzesła i gniewnie spojrzał na towarzysza. Berner siedział dalej nieruchomo.

—Idź do djabła, z takiem pytaniem! Cóż to za głupie pytanie, — zawołał — jeśliś chciał zażartować, to muszę ci powiedzieć, że to nędzny żart.

— O, przepraszam, wcale nie żartuję — odrzekł spokojnie Berner — poprostu ciekawią mnie szczegóły tej historji. Nie znam świata, nie znam kobiet, więc ich upodobania i obyczaje ogromnie mnie interesują. Twoja historja, okryta tajemnicą, ogromnie mnie zaciekawia. Ciebie znam dobrze, ją widziałem parokrotnie. Ogromnie więc chciałbym posłyszeć wprost od ciebie, co takiego między wami zaszło?

— Ja ci tego nie powiem.

— Doskonale. Ot widzisz: żądałeś, bym ci odkrył tajemnicę starego grobowca. Zgóry to przewidziałem. Powiedzże mi teraz zatem, Kącki, dlaczego ja ci mam powierzać wszystkie moje tajemnice?... Oho... Zegar katedralny wybił dziesiątą. Czas do domu.

— Posiedź jeszcze chwilę, Berner — odezwał się Kącki, kładąc dłoń na jego ramieniu. — Nie rozumiem co za dziwaczna myśl przyszła ci do głowy. Cóż, u djaska, jest ciekawego w starej miłosnej historji, która się zakończyła przed paru miesiącami? Czyż ty nie rozumiesz dlaczego ci tego nie chcę opowiedzieć? Wiesz dobrze o tem, że tylko łotr i szubrawiec może rozpowiadać o swoim stosunku z uczciwą niewiastą.

—No, ale zasada ta ma zastosowanie tylko w tych wypadkach, gdy opinja kobiety jest całkowicie czysta. O pannie Berskiej tego powiedzieć nie można. Cała Warszawa wiedziała o waszym stosunku, więc czego się tu krępować?... A zresztą, podoba mi się, że tak postępujesz,— dobranoc!

I wziąwszy koszyk, zabierał się do wyjścia.

— Zaczekaj chwilę, Berner!—zawołał Kącki, — widzisz, ogromną mam chęć obejrzeć odkryty przez ciebie grobowiec, ja cię tak puścić nie mogę. Słuchaj, przyjm odemnie jakąkolwiek inną rekompesatę. Pierwsze twoje żądanie było za bardzo ekscentryczne.

— O, nie, nie! Odmówiłeś mi i koniec całej sprawy — zaprzeczył Berner; — miałeś rację, Kącki, ale i ja mam rację. Dowidzenia.

Berner zbliżył się do drzwi i wziął za klamkę. Kącki machnął ręką beznadziejnie i rzekł:

— Zaczekaj. Żądasz ode mnie śmiesznych wprost wyjaśnień, ale co robić, muszę się zgodzić. Nie znoszę tego, by opowiadać o kobietach, ale, zdaje mi się, że w tym wypadku nikomu krzywdy opowiadaniem tem nie wyrządzę, więc ci opowiem o tem, co cię tak ogromnie interesuje. Masz rację, w Warszawie wiedzą wszyscy o tem, co ci mam opowiedzieć. A zatem, cóż cię najbardziej ciekawi?

Berner znowu podszedł do komina, a postawi-

wszy koszyk z wykopaliskami na podłodze, usiadł na krześle.

— Wypalę jeszcze cygaro — rzekł. — Uważasz, nie mogę teraz palić, gdy pracuję, ale w czasie wypoczynku ogromnie lubię palić cygara... A więc, teraz przejdziemy do tej młodej osóbki... Jakąż to miałeś z nią historję? Powiedz mi, z łaski swojej, co się z nią stało?

— Znajduje się w domu, pojechała do rodziców.

— Dokąd?

— Do Zakopanego.

— Cóż tam jej rodzice porabiają?

— Prowadzą pensjonat.

— Przepraszam cię za zbytnią ciekawość, kochany Kącki, ale przecież znasz mnie — nie znam dobrze jeszcze świata od strony kobiet. Zdaje mi się, że w tym świecie, gdzie ty tak często przebywasz, uważają za zabawkę namawiać dziewczynę do ucieczki, przeżyć z nią trzy, cztery tygodnie, a następnie odprawić do rodziny. Dokąd ona, powiadasz, wyjechała? Do Zakopanego?

— Tak, do Zakopanego.

— Tak, tak, prawda, do Zakopanego. Chcę cię prosić o małe wyjaśnienie. Wyobraź sobie, że w tym wypadku zgoła cię nierozumiem. Zdaniem mojem nie przypuszczam nawet żebyś się zakochał w tej dziewczynie. Boć przecie gdybyś się w niej kochał — nie porzuciłbyś jej po trzech, czterech tygodniach. Znaczy to, żeś jej nie kochał. Ale jeśli nie było miłości, to po licha było urządzać cały ten skandal? Przecieżeś ty jej zniszczył całe życie...

Kącki niewyraźnym wzrokiem spoglądał na dogorywające węgle w piecu.

—Patrzysz na życie zbyt logicznie, Berner — odezwał się — miłość jest zbyt rozległem pojęciem. Są rozmaite stopnie miłości. Co się zaś tyczy panny Berskiej, to ona... podobała mi się. Powiadasz, żeś ją widywał. Czasami bywała ona czarująca... Ale miłość?... Czasem myślę o moich z nią stosunkach i zdaje mi się, że nigdym jej nie kochał.

— Czemuż zatem tak postąpiłeś, kochany Kącki?

— Uważasz, lubię przygody.

— Jak? Jak to powiedziałeś? Aha, zrozumiałem — jesteś miłośnikiem przygód.

— Oczywiście. Jednostajność zabija duszę, dlatego dla człowieka przygody są konieczne. Właśnie w tym celu zawiązałem stosunek z panną Berską. Ja, mój przyjacielu, jestem zamiłowanym myśliwym na wszelkiego rodzaju dzicz, a najlepszą dziczą jest piękna niewiasta. Stosunek mój z panną Berską był tem przyjemniejszym, że miały tu miejsce pikantne przeszkody. Wszak wiesz, że była ona przyjaciółką księżnej Bogorodzkiej. Zobaczyć się z nią na osobności było prawie niemożliwem. Ale co mnie najwięcej utwierdzało w mojem postanowieniu zdobycia jej, to jej własne wyznanie. Dziewczątko to powiedziało mi kiedyś, że jest zaręczone.

— Nie może być! Z kimże ona była zaręczona?

— Nie wymieniła imienia narzeczonego.

— No, ale czy to ktokolwiek o tem wie?... Dowiedziawszy się o tem jeszcześ więcej utwierdził się w swojem postanowieniu zgubienia dziewczyny?

— Tak, wydało mi się to bardzo romantycznem. A ty inaczej myślisz?

— Ja ci już powiedziałem, że nic nie rozumiem się na sprawach podobnych.

— Ależ, mój kochany, to takie łatwe do zrozumienia! Swoje jabłko nie jest tak smaczne, jak jabłko skradzione u sąsiada. Przytem, zauważyłem, że jej się podobam.

— Zdobyłeś jej serce odrazu?

— O nie, prawidłowe oblężenie ciągnęło się trzy miesiące, zanim twierdzę zdobyłem. Panna Berska wiedziała, że jestem żonaty, dlatego nie liczyła na małżeństwo. I oto wyjechaliśmy razem. O, cudneż to były trzy tygodnie!

— A gdzież się podział narzeczony dziewczyny? Nie żałowałeś go?

Kącki wzruszył ramionami.

— Cóż robić! Silniejszy zwycięża i to tak powinno być. Gdyby ten człowiek był lepszym odemnie, Hala nie porzuciłaby go dla mnie. Ale, porzućmy tę rozmowę. Nudzi mnie ona.

— Jeszcze jedno pytanie. Interesuje mnie, w jaki sposób wyrwałeś się od niej?

— O, wzajemnie ochłódliśmy do siebie. Ona za nic nie chciała wracać do Warszawy, wstydziła się znajomych, a ja przeciwnie, tęskniłem do Warszawy. Pragnąłem wznowić swoje archeologiczne prace. Był to doskonały powód do zerwania, nieprawda? Nadto zaszła jeszcze inna historja. Mieszkaliśmy w Poznaniu w jednym hotelu. I oto pewnego pięknego dnia przybył do nas jej ojciec, staruszek... Musiałem wysłuchać całej sceny, bardzo nieprzyjemnej sceny... W pierwszych dniach tęskniłem, brakowało mi Haliny, a potem... potem... Ha, ha, ha, cieszyłem się i dziękowałem niebu za to, że szczęśliwiem się rozszedł. Oto i wszystko, Maksie. Mam nadzieję, że nie powiesz tej historji nikomu.

— Uchowaj mnie od tego Boże, kochany Kącki, nie pomyślę o tem. Opowiadanie twoje ogromnie mnie zaciekawiło. Kącki, zdaje się, że zrozumiałem twoje postępowanie. Ja mam zupełnie inne usposobienie, ale to inna rzecz. I tak mało znam świat. A teraz przejdziemy do tematu o nowym grobowcu. Pragniesz go obejrzeć. Ja ci nie mogę powiedzieć, gdzie on się znajduje. Wszystko jedno nie znajdziesz go. Będzie znacznie lepiej, gdy ja cię tam sam zaprowadzę. Dobrze?

— O, to będzie wspaniale!

— Kiedyż tam pójdziemy?

— Im prędzej, tem lepiej. Płonę z niecierpliwości.

— Zatem czego odkładać? Dziś wprawdzie nieco chłodno, ale jakaż cudna noc! Proponuję ci poczekać chwilę, a potem ruszymy na miejsce. Musimy być ostrożni, przyjacielu, nikt prócz nas nie może znać tej tajemnicy. Jeśli nas ujrzą razem, mogą się domyśleć o co chodzi,

— Tak, tak — potwierdził Kącki — musimy zachować największą ostrożność. A daleko od miasta ten grobowiec?

— Parę kilometrów.

— Pieszo można dojść?

— Zupełnie wygodnie.

— Pójdziemy piechotą.

— To bardzo dobrze. Najlepiej będzie, gdy o północy spotkamy się w umówionem miejscu, naprzykład w okolicy fortu Legjonów. Ja tam czasem chadzam na przechadzkę. Trzeba zabrać zapałki i inne potrzebne rzeczy.

— Doskonale. Jestem ci niezmiernie wdzięczny, Berner, że wtajemniczasz mnie w swoje sekrety. Daję ci słowo, że nie spożytkuję tego na złe dla ciebie... No, narazie do widzenia, idź do siebie i wracaj prędko.

Gdy przyszli na oddalony cmentarz wiejski zapuszczony i zarosły, na którym od dziesiątków lat nie grzebano zmarłych, Berner zapalił latarnię poczem obaj przyjaciele ruszyli wąską ścieżką przez błota. Warszawa błyszczała słabemi blaski w dali.

—Domyślam się, że twój grobowiec znajduje się na tym pagórku? — zawołał wesoło Kącki.

— Rzeczywiście tutaj. Mój grobowiec zamknięty jest na klucz i oto dlaczego nie może się do niego nikt dostać prócz mnie.

— A zatem jesteśmy już na miejscu?

— Tak. Pomóż mi, Kącki, trzeba odwalić tę płytę.

Kącki zaczął szybko pierwszy schodzić do podziemia, skoro tylko odwalono głaz.

— Bądź ostrożny!—krzyknął Berner — to swojego rodzaju pułapka! Jeśli tam zabłądzisz, to można postawić sto za jeden, że nie wyjdziesz z powrotem. Zaczekaj, póki nie zapalę świecy.

— Ale jakże ty obracasz się tutaj w takim razie? — zapytał Kącki.

—Wprawiłem się. Z początku i ja gubiłem się parokrotnie w tym labiryncie. Zwolna zacząłem badać to podziemię i teraz mogę się w niem już jako-tako orjentować. Podziemię to ma pewien system, ale choćbyś znał ten system, w ciemności wszystko jedno zginiesz.

Ruszyli w głąb podziemia. Berner postępował naprzód w milczeniu oświecając drogę towarzyszowi. Wreszcie znaleźli się w obszernej pieczarze i tutaj Niemiec przystanął.

— Ciemność podziemi — odezwał się Kącki— robi jednak zawsze przygnębiające wrażenie, nawet na archeologu.

Berner w milczeniu pochylił się nad latarnią. I nagle jakby czyjaś niewidzialna ręka zasłoniła oczy Kąckiego. Dotąd nie miał nawet pojęcia, aby podobna ciemność była możliwa. Zdawało mu się, że go poprostu ktoś dusi, niebezpiecznie było zrobić jeden krok, zdawało się, że lada moment uderzy się o ścianę, która go zmiażdży.

— Dosyć, Berner, zapal latarnię — odezwał się Kącki.

Berner zaczął się śmiać. Śmiech jego, rozbijając się o mury okrągłej pieczary, rozdzielał się na tysiączne dźwięki i zdawał się ze wszystkich stron otaczać Kąckiego.

— Jak widzę, czujesz się nieszczególnie, kochany Kącki! — rozległy się słowa.

— Dosyć głupstw, zapal latarnię! — krzyknął Kącki.

— Jakież to dziwne, Kącki; po dźwięku twego głosu nie mogę rozróżnić miejsca, gdzie się znajdujesz, a i ty napewno nie wiesz, gdzie ja stoję.

— Nie wiem, zdaje mi się, że przemawiasz do mnie ze wszystkich zakątków tej pieczary.

— Słusznie; gdyby nie linka w mych rękach, nie wiedziałbym gdzie iść.

— Masz rację, ale zapal latarnię. Mam dosyć tych głupich żartów!

— Zaczekaj, przyjacielu, teraz widzę, żeś większy myśliwy na dwie rzeczy: po pierwsze lubisz ogromnie przygody, a powtóre lubisz niezwykle romantyczne historje z dziewczętami. Otóż wymyśliłem dla ciebie doskonałą przygodę, — znajdź, proszę, sam, bez mej pomocy, wyjście z tego podziemia. Na brak przygód nie będziesz narzekał; będziesz brodził w nocnym mroku, błąkając się w niezliczonej ilości korytarzy. Przed tobą trudne zadanie, przyjacielu Kącki, ale nie spiesz się. Masz do rozporządzenia wiele czasu. Od czasu do czasu możesz wypoczywać i w takich chwilach radzę ci myśleć o twojej historji z panną Berską. Być może, że dobrze pomyślawszy, dojdziesz do wniosku i zrozumiesz, żeś postąpił z nią nie całkiem uczciwie.

— Do czego zmierzasz, do stu piorunów? — krzyknął Kącki i rzucił się naprzód, łowiąc rękami otaczający go ze wszystkich stron mrok.

— Do widzenia! — doleciał doń już zdaleka ironiczny śmiech Bernera, — zdaje się, przyjacielu Kącki, że nawet z twojego punktu widzenia postąpiłeś z tem dziewczęciem nieuczciwie. Nie znasz przytem jednej maleńkiej okoliczności, ale ja ci zaraz powiem, o co chodzi. Panna Berska była zaręczona, jej narzeczonym był biedny, niezaradny student, a nazywano go Maksymiljanem Bernerem.

Słowa umilkły, dał się słyszeć skrzyp i słabe dźwięki oddalających się kroków, a w starym słowiańskim grobowcu zapanowało głębokie milczenie.

Milczenie to było niewymownie ciężkie i zamknęło się ono nad Kąckim, jak fale morskie zamykają się nad tonącym okrętem.

CELINA MORSKA

BŁOGOSŁAWIONY DESZCZ



BYŁA iście jesienna, beznadziejna plucha. Deszcz lał od rana jak z cebra. Ciężkie ołowiane niebo formalnie przytłaczało ziemię — zdawało się, że lada chwila zawali się i przygniecie swym ciężarem miasto. Nie wielu było przechodniów na ulicach Chicago, a ci, którzy byli zmuszeni wyjść na ulicę, wyglądali jak czarne, ogromne, ruchome grzyby, pod czapkami otwartych parasoli. Parno było i duszno, a deszcz wcale nie odświeżał powietrza.

Profesor Stefan Mirski stał we framudze okna i patrzył na ulicę. W dole szumiało miasto, mknęły błyszczące, lakierowane pudła samochodów, świeciły okna mrocznych domów i migotały w deszczu mdłe światła latarni ulicznych. Wyglądało conajmniej na późny listopad, a był dopiero początek września.

Na zegarze wybiła czwarta.

— Jakże to ró˙ne od złotej polskiej jesieni, — pomyślał z gorzką ironją Mirski.

— Jest poczta dla ciebie, Stefanie, — rozległ się za nim melodyjny głos kobiecy.

— Dziękuję Ci, mateczko! Ale jak ty lekko stąpasz — nie słyszałem nawet twoich kroków — odwrócił się do wysokiej, siwej pani w czarnej sukni.

— Nie lubię, chłopcze, tej twojej kamiennej zadumy — czuję, że mi się wymykasz wtedy z rąk i jesteś tak daleko, że nawet moje matczyne serce nie może cię dogonić...

— Masz słuszność, mateńko! Poddałem się nastrojowi. Dzisiejsza pogoda nie uspasabia do wesołych myśli.

Pani Mirska zapaliła boczne światło i wyszła z pokoju. Błękitny półmrok osnuł ściany, dotknął bliżej stojących mebli, rzucając tajemniczy cień na resztę przestrzeni. Profesor przetarł ręką czoło, usadowił się wygodnie w fotelu i zabrał się do przeglądania poczty. Czynił to machinalnie i bez zainteresowania. Wieści z kraju nie spodziewał się, a cóż mogą go obchodzić te wszystkie listy, jeżeli od Niej nigdy już listu nie otrzyma. — Pachnące koperty, adresowane rękami obcych kobiet drażniły go tylko — gniótł je i nie czytając rzucał do kosza.

Wiedział, że ma szczęście do kobiet, ale cóż, kiedy do wszystkich prócz tej, której pragnął. Podobał się kobietom — był przecie młody, przystojny, bogaty; rokowano mu świetną przyszłość. Pomimo młodego wieku piastował już godność profesora filozofji, miał za sobą kilka wielkich, drukowanych prac naukowych. Słowem, czekała go karjera i sława na polu nauki.

Ale on był poważny, surowy zamknięty w sobie i jak głaz zimny. Od czasu jak żona opuściła go dla innego, zamieszkał z matką i czteroletnią córeczką, zdala od ludzi i oprócz pracy naukowej o niczem nie chciał wiedzieć. Wychowaniem dziecka zajmowała się babka.

Napróżno przyjaciele starali się wciągnąć go w wir zabaw .

— Dajcie pokój! — mawiał. — Dwa razy się człowiek nie rodzi, a ja już umarłem dla życia. Zresztą mam dziecko!

Zrozumieli w końcu, że na nic się nie zdadzą ich wysiłki i zostawili Mirskiego w spokoju. Otoczył się książkami i po uszy zatonął w ciszy gabinetu, wszystkie zaś wolne od pracy chwile poświęcał dziecku. — Ale tego dnia dziwnie mu nie szła praca. Jakiś ciężar przytłaczał mu piersi, uszy miał pełne plusku i szmeru, — serce pełne tęsknoty.

Odsunął książkę i, zamknąwszy oczy, rzucił się w nurty wspomnień. A na falach myśli ukazywała się Ona — niezmiennie i zawsze tylko Ona.

Westchnął i otworzył oczy, ażeby znów pławić się w bólu wspomnień, tym razem już z otwartemi oczami — z okrutną i nieubłaganą świadomością.

— Nie łudził się! Kocha ją i nigdy kochać nie przestanie. Nigdy, nigdy żadna inna kobieta nie zajmie jej miejsca. Spojrzał na stojącą na biurku fotografję dziecka. — Tasama twarz, — pomyślał i po raz nie wiedzieć który sięgnął do szuflady.

Ze złotej, owalnej ramki zakwitła oczom jego takaż dziecinnie uśmiechnięta twarzyczka. Tensam delikatny owal, tesame wielkie, marzące oczy, tesame lśniące kędziory... Postawił obie fotografje obok siebie. Ostry spazm tęsknoty ścisnął go za gardło — zatrzasnął szufladę i zerwał się z miejsca.

— Duszno! — Pociągnął za storę i otworzył okno. Deszcz lał nieustannie. Kilka kropel wpadło do pokoju. Wychylił się przez okno — światła — samochody, przechodnie pod parasolami — wszystko szare, jednakowe, beznadziejnie nudne i smutne.

Pospiesznie zamknął okno i wybiegł z gabinetu.

— Pójdę do dziecka, — pomyślał. — Może mnie to uspokoi.

Wszedł do dziecinnego pokoju.

Mała siedziała na dywanie otoczona wszystkiemi swojemi zabawkami i lalkami. Nieopodal przy oknie siedziała pani Mirska — u nóg jej leżał ogromny, szary pies wilczek.

Profesor ogarnął wzrokiem ten śliczny obrazek i westchnął.

Na widok pana wilczek zerwał się na równe nogi i jednym skokiem stanął przy nim jak posąg, oparłszy się przedniemi łapami o



Długo tak stali pod ulewnym deszczem, nie mogąc zdobyć się na słowa. Mężczyzna oprzytomniał pierwszy.

jego ramiona. Profesor poklepał psa po lśniącym grzbiecie, za co otrzymał miłosne liźnięcie językiem.

—— Idź sobie, Medor! Wynoś się — to mój tatuś — nie całuj mojego tatusia — wołało dziecko, usiłując odepchnąć psa, ale ten nie dawał za wygraną i skakał dokoła pana jak opętany.

Profesor wziął dziewczynkę na rękę i serdecznie ucałował. Spojrzała nań para Jej oczu...

Posadził dziecko na dywanie.

— Baw się Krysieńko, tatuś musi odejść. — Mam coś pilnego do załatwienia, wrócę na kolację — rzekł, całując matkę w rękę.

Było mu tu zaciężko. Nie mógł znieść widoku dziecka — nazbyt przypominało mu matkę.

Po chwili szedł już pod parasolem, z podniesionym u palta kołnierzem. Ale tęsknota wlokła się za nim jak wierny pies. Szedł wolno, ociężale. Bo jakiż miał cel?

Wtem ujrzał przed sobą jakąś postać. Była to kobieta, która mimo ulewnego deszczu szła bez parasola. Deszcz smagał jej wiotką postać, a wiatr targał jej przemoczoną suknią. Wiedziony uczuciem litości, Mirski przyspieszył kroku, chcąc służyć kobiecie swym parasolem.

Nagle przystanął.

— Czy mu się przywidziało? Przecież to Jej kroki — Jej chód!

— Oszalałem — pomyślał. — Zaczynam śnić na jawie. Przecież ona teraz w Polsce — z nim. — Ostry ból przeszył mu serce.

Przyspieszył kroku i chciał ominąć idącą przed nim kobietę, ale coś go wstrzymywało.

— Nie poddam się głupim nerwom — mruknął. Lecz jakiś mus, coś co było silniejsze od niego, odwróciło mu głowę i kazało spojrzeć w twarz idącej.

— Jezus, Marja! — krzyknął, — Widmo! — i chciał uciekać, ale nogi jakby wrosły mu w ziemię. Ze wzruszenia osłabł i musiał oprzeć się o latarnię.

Kobieta spojrzała nań z lękiem i zdumieniem, lecz ujrzawszy w świetle latarni jego rysy, stanęła jak wryta...

Długo tak stali pod ulewnym deszczem, nie mogąc zdobyć się na słowa. Przechodnie poczęli zwracać na nich uwagę.

Mężczyzna oprzytomniał pierwszy.

— Jula! Ty tu, w Chicago! — krzyknął niemal, a potem — Jak tyś się zmieniła!

Chodźmy stąd — rzekł, widząc, że przemokła do nitki, — drżysz cała — i nieprzytomną parwie ujął pod rękę.

— Ja tylko raz jeszcze chciałam popatrzeć na ciebie — choć zdaleka — na Krysię... wyszeptała.

Pozwoliła się prowadzić pokornie jak dziecko.

Patrzył teraz chciwie w jej drogą, zbiedzoną twarz i o nic już nie pytał.

— Pójdziemy do domu — dobiegł jej uszu błagalny niemal szept.

Skinęła głową ze łzawym uśmiechem.

— Mama będzie ci rada... I



Krysia się ucieszy — dodał po chwili, jakby zawstydzony. Na dźwięk tych imion cichy szloch targnął wiotką postacią kobiety. Tych łez jej nie bronił. Trzymał ją mocno, sam sobie nie wierząc, że to Ona.

Ona!... tęsknota tylu dni i nocy — żywa, płacząca, skruszona. Czuł, że tuli się do niego, jakby szukając w nim obrony. Z tem mu było dobrze.

Prowadził ją leciutko, ostrożnie...

U drzwi mieszkania zatrzymała się, jakby jej tchu nie stało, i przycisnęła ręką mocno bijące serce. Spojrzała nań tak nieśmiało, a zarazem z taką miłością i bólem, że niepomny chwycił ją w ramiona i jął okrywać pocałunkami jej mokrą od łez i deszczu twarz.

Po upływie kilku chwil zadzwonił do drzwi.

Musiał to być niezwykły jakiś dzwonek, bo na odgłos jego wybiegły do przedpokoju prócz służącej matka i Krysia, a za niemi w podskokach Medor.

— Matko Boska! — zawołała przestraszona pani Mirska, ale spojrzawszy w promieniejącą szczęściem twarz syna, wyciągnęła ramiona do synowej. — Medor szczekał jak oszalały — służąca ocierała łzy fartuchem, a maleńka Krysia, nie mogąc zrozumieć o co chodzi, zalewała się rzewnemi łzami.

W sercu Mirskiego rozlały się szczęście i błogość.

Wątłe zdrowie kobiety nie mogło znieść tylu naraz wzruszeń. Zapadła w długą i ciężką chorobę. — Mirski ani na chwilę nie odstępował od łóżka chorej. Krzyczała w gorączce — zrywała się z łóżka i chciała uciekać. Przywoływała męża i dziecko. Odpychała kogoś. Często płakała tak rozdzierająco, tak żałośnie, że serce się krajało.

— Puść mnie do niego! Dlaczego mnie więzisz! Ja ciebie nie kocham — nigdy nie kochałam! Pocoś mnie zabrał z domu!

Mirski tracił głowę z rozpaczy.

Lekarz uspakajał go, jak mógł, zalecając przedewszystkiem spokój. Wierzył, że młody organizm przezwycięży chorobę.

Istotnie po dwóch tygodniach kryzys minął. Gorączka ustąpiła i chora zaczęła powoli wracać do zdrowia. Była lekka jak piórko, a słaba jak dziecko i tem droższa Mirskiemu.

Pewnego popołudnia siedział właśnie przy łóżku chorej i czytał jej głośno, gdy rozległ się dzwonek.

— Jakaś pani pragnie widzieć się z panem porfesorem — oznajmiła służąca. — Czeka w gabinecie.

Mirski niechętnie zamknął książkę.

— Pewno jakaś studentka — mruknął. — Proszę powiedzieć, że zaraz przyjdę.

Pocałował żonę w czoło i powstał.

— Za chwilę wrócę, kochanie.

W gabinecie czekała jakaś nieznajoma pani.

— Jestem siostrą Jerzego Sławickiego — oznajmiła cichym głosem.

— Czego chce jeszcze odemnie ten człowiek — gorzko zapytał profesor. — Czy nie dosyć mnie skrzywdził?

— Jerzy Sławicki już nie żyje — brzmiała odpowiedź. — Nazajutrz po wyjeździe pańskiej żony, wystrzałem z rewolweru usiłował pozbawić się życia. Kula przeszyła płuca, miesiące całe męczył się, aż kilkanaście dni temu litościwa śmierć powołała go do siebie. Umarł przytomnie. Dziś przysłano mi wiadomość o jego śmierci wraz z listem adresowanym do pana. — To mówiąc, podała Mirskiemu opieczętowaną kopertę i skłoniwszy się w milczeniu, bez słowa pożegnania wyszła.

Drżącą ręką rozdarł kopertę i zaczął czytać:

Serdeczny druhu!

Niech mi wolno będzie po raz ostatni tak Cię nazwać. Przebacz człowiekowi, który śmiercią okupił swą winę. Znałeś mnie i wiedziałeś, że życia mego starczy nie nadługo, że nurtująca we mnie choroba nie pozwoli przeżyć mi nawet roku od czasu, kiedy Ciebie ostatni raz widziałem. I lekarze wyraźnie mi to powiedzieli. Bywałem w Waszym domu, czciłem Was i szanowałem; znękanemu chorobą umysłowi memu zdawało się, że Julja żywi dla mnie coś więcej prócz litości... Wiedząc, że dni moje są policzone, chciałem je opromienić szczęściem, jakiego los mi nie użyczył... chciałem je opromienić bodaj okruszynami Waszego szczęścia!

Wmówiłem w Julję, że może uratować mi życie, jeżeli wyjedzie ze mną do Europy, do Polski. Zagroziłem jej samobójstwem, błagałem, przekonywałem, aż wreszcie wiedziona uczuciem litości, poświęciła się i zgodziła na wyjazd. Szalałem ze szczęścia, ale jakże bardzo się omyliłem!

Karty okrętowe miałem już przygotowane, a przez znajomości potrafiłem w ciągu kilku godzin dostać paszport dla siebie i dla niej, jako żony mojej. Zdawało mi się, że gdy opuści dom Twój, mnie pokocha, ale wkrótce przekonałem się, że ani cienia nadziei mieć nie mogłem. Otwarcie powiedziała mi, że chce ratować mi życie, że lituje się nademną, ale Ciebie jednego tylko kochała i kocha. Byliśmy już w kajucie okrętowej i statek miał za chwilę odbić od brzegu... Oszalały z rozpaczy i żalu, że złamałem szczęście przyjaciela, wybiegłem z kajuty i opuściłem okręt. Po chwili stałem na brzegu i patrzałem



Mirski ani na chwilę nie odstępował od łóżka chorej.

jak statek odpływał unosząc Julję.

Stała na pokładzie, piękna, poważna i jak lilja czysta — ofiara mojego magnetycznego wpływu i wrodzonej sobie litości i szlachetności. Zapóźno było wracać Jej do Ciebie. Pojechała pod mojem nazwiskiem i jak się dowiedziałem z listu jednego z przyjaciół, który znał i Wasz dom, zapadła w ciężką chorobę nerwową.

Nie wiedziałbym o tem, gdyż w kilka godzin po odpłynięciu okrętu, kulą z rewolweru który kiedyś od Ciebie w darze otrzymałem, usiłowałem odebrać sobie życie. Nie udało mi się. Zraniłem się ciężko i wzięty do szpitala, przez całe miesiące cierpiałem niewypowiedziane męczarnie. Ludzie nie pozwalali mi skończyć. Leczono mnie i pilnowano — wszak mam majątek!

Przyszły wiadomości z kraju. Dowiedziałem się, że Julja wyzdrowiała i wraca do Ameryki. — Przyjaciel mój, lekarz który ją leczył, pisał, że przez cały czas jej pobytu w Polsce ani razu nie zajaśniał uśmiech na jej twarzy, że w gorączce tylko o Tobie mówiła, Ciebie wzywała i do Ciebie się rwała...

Niewypowiedziana rozpacz mnie ogarnęła, poznałem całą podłość mojego postępku, poznałem, że złamałem życie dwojga ludziom — Tobie, serdecznemu przyjacielowi i tej niewinnej szlachetnej istocie. Czego nie dokazała kula rewolwerowa — zrobiło wzruszenie i żal. Stara choroba wznowiła się spotęgowana — po przeczytaniu listu o Julji, dostałem ataku sercowego. Przywołany lekarz mógł tylko stwierdzić, że mam zaledwie kilka godzin do życia. Przytomny jestem i szczęśliwy, że śmierć przetnie moje cierpienia. Ostatnie chwile życia poświęcam na napisanie tego listu do Ciebie. Testament mój, zapisujący córeczce Waszej wszystko co posiadam, razem z tym listem będzie doręczony siostrze, po mojej śmierci. Ona ci to odda.

Żegnaj przyjacielu i przebacz, jeżeli możesz, że kochałem Twoją żonę więcej niż życie kochać można.

Jerzy Sławicki.

Mirski siedział jak skamieniały. List wypadł mu z ręki. Z głębokiej zadumy wyrwał go głos matki.

— Stefanie! - Jula pyta się o ciebie. Czy pójdziesz do niej?

Mirski ocknął się i nie mówiąc słowa podał list matce. Powstał i wolno skierował się do pokoju żony.

Na dworze padał deszcz już od rana. Szaro i smutno było na świecie i beznadziejnie nudno. Ale w sercu Mirskiego pogoda panowała i szczęście.

Deszcz, który dawniej napawał go smutkiem i melancholją, dziś był dlań błogosławionym..... wszak dzięki niemu spotkał on Julję!



Wołyń. Ruiny zamku i cerkiew w Ostrowiu.

KSIĄŻKI I JANOWA

NOWELA KONKURSOWA

KILKAKROTNIE musiałem nacisnąć dzwonek, zanim drzwi zostały otwarte. Ku memu zdziwieniu na progu stał sam Miączyński.

"Przepraszam cię bardzo, żeś tak długo musiał czekać, ale służąca wyszła, a ja zdrzemnąłem się trochę. Dlaczego tak dawno cię nie widziałem?" zapytał po chwili z niebywałą, jak na niego, uprzejmością.

Przyjęcie to kompletnie mnie oszołomiło: nie byłem przyzwyczajony do takiej serdeczności z jego strony. Łączyło nas wprawdzie wspomnienie przyjaźni z lat dziecinnych, ale od tego czasu tyle wody upłynęło, tyle niechęci zebrało się między nami. Nie cierpię manjaków, a Miączyński i jego bibljoteka... Wystarczało poprosić go o pozwolenie przeczytania jakiejkolwiek z jego książek albo nawet tylko przyjść do niego, by narazić się na niegrzeczność z jego strony. Poprostu podejrzewał każdego o złe zamiary względem swego zbioru i nie zadawał sobie najmniejszego trudu dla ukrycia swoich podejrzeń. Każde jego spojrzenie, każdy ruch niemal mówił wyraźnie niepożądanemu gościowi: "Jesteś złodziej!", a ironiczne półsłówka, kunsztowne niedopowiedzenia nie mogły nawet wyjątkowo niedomyślnemu człowiekowi zostawić najmniejszych wątpliwości co do tego, jak Miączyński zapatruje się na jego wartość moralną.

Ale dziś zachowywał się zupełnie inaczej niż zwykle. Był rozpromieniony, wesoły, uprzejmy i szczerze zadowolony z moich odwiedzin. Bez żadnych trudności wprowadził mię do jednego ze swych bibljotecznych pokojów, wyszukał natychmiast potrzebne mi broszury i wreszcie zaproponował pożyczenie ich do domu. Zaniepokoiłem się nie na żarty.

"Stanisławie!" rzekłem uroczyście, wstając i biorąc go za rękę, "nie jestem lekarzem i nie znam się na chorobach... nerwowych. Ale czy nie widujesz od czasu do czasu czerwonych myszy, czy nie odczuwasz potrzeby szczekania? Czy nie wydaje ci się, że jesteś cesarzem chińskim?"

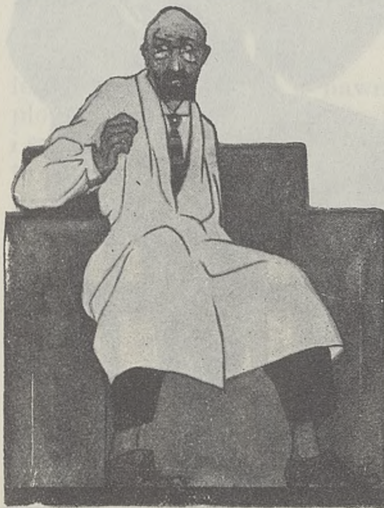
Roześmiał się głośno i wesoło.

"Nie masz pojęcia o objawach obłąkania, inaczejbyś, przy mojej przysłowiowej abstynencji, nie wspominał o czerwonych myszach, które występują przy delirium tremens. Zresztą uspokój się, mój drogi! Jestem zdrów, tylko bardzo, bardzo szczęśliwy!"

"Żenisz się?" zapytałem trochę niepewnie, bo doprawdy nie mogłem wyobrazić sobie kobiety, zdolnej wzbudzić choćby cień zainteresowania w sercu Miączyńskiego.

Wzruszył ramionami, nie racząc nawet odpowiedzieć.

"Kupiłeś za psie pieniądze jakiegoś białego kruka" — zgadywałem dalej: "Zostałeś mianowany bibljotekarzem w British Museum".



Był twoim przyjaacielem! — dokończył

"Eh! co tam cudzych książek pilnować, gdy się ma własne."

"Piętnaście tysięcy tomów?"

"Tylko 13,527" — odpowiedział skromnie. "Z pomocą Boską dociągnę może z czasem do 15,000. Ale mniejsza z tem. A teraz olśnię cię ostatecznie. Każę podać herbatę z ciastkami. Przyznaj, że tego się nie spodziewałeś?"

"Prędzej wybuchu wulkanu w Warszawie".

Miączyński zadzwonił, do pokoju weszła niemłoda kobieta o miłej powierzchowności. W jednej chwili zrozumiałem wszystko.

"Aha! Pozbyłeś się Janowej. Dlatego rozpromieniona twarz, dlatego propozycja pożyczenia książek, dlatego herbata z ciastkami. Jaki sąd był o tyle łaskawy i rozsądny, że cię uwolnił od tego potwora?"

"Sąd, po którym się już żadnej apelacji ani kasacji obawiać nie potrzebuję. Sąd Boski".

"Umarła?"

"Właśnie".

"Co jej było?"

"Hm, co jej było? Spotkała ją kara boska za jej liczne zbrodnie. Pan Bóg nierychliwy,ale sprawiedliwy,mówi stare przysłowie, a przysłowia— to mądrość narodów, albo i objaw ich głupoty. Może Marjanna postawić herbatę na stole i odejść, sami sobie usłużymy" —zwrócił się do służącej."Zresztą, mój drogi, wszystko jedno na co chorowała. Grunt, że mniej więcej miesiąc temu miałem przyjemność odprowadzenia jej na cmentarz".

Nie jestem specjalnie wrażliwy, ale głębokie zadowolenie, z jakiem słowa te zostały wypowiedziane, dotknęło mię niemi-

le. Mimowoli odsunąłem się od Miączyńskiego i spojrzałem na niego z niechęcią.

Spostrzegł to natychmiast.

"Oho, widzę, że nie podoba ci się mój brak hipokryzji. Wolałbyś zapewne, bym, przewracając oczyma, oświadczył ci z ciężkiem westchnieniem, że śmierć tego szkodliwego bydlęcia dotknęła mnie głęboko, bym zalewając się łzami..." (tu wyjął chustkę od nosa, przytknął ją do jednego oka, podczas, gdy drugie patrzyło na mnie z prawdziwie djabelską złośliwością) "wyznał ci, że dręczą mię wyrzuty sumienia, bo nie zawsze znosiłem krzyż, który mi Bóg zesłać raczył w postaci tej wiedźmy, z należytą chrześcijańską pokorą."

"Nie błaznuj!" przerwałem mu trochę zniecierpliwiony. "Należy we wszystkiem utrzymać miarę".

"Jaką?" zapytał, "Nie, mój drogi", dodał po chwili, widząc, że mu nie odpowiadam. "Nie mów mi o mierze, gdy jestem bezmiernie uradowany. I nie żałuję niczego, oprócz czasu, straconego w niedoskonałych sądach ludzkich. Należało odrazu zwrócić się do Najwyższego Sędziego, który jak wiadomo, dopomaga każdemu, kto sam sobie pomoże."

"Przepraszam, ale jak to mam rozumieć?"

"Jak ci się podoba".

"Szczerze powiedziawszy, mógłbym z twoich słów wyciągnąć wniosek, żeś zamordował Janową, pokrajał na kawałki i wyekspedjował w koszu do Ameryki".

"Czyś zwarjował? Nie mówię, gdybyśmy mieli sądy przysięgłych, to by mię prawdopodobnie uniewinniły, ale ryzykować dla takiej Janowej 10 do 12 lat ciężkiego więzienia!... Niema głupich! Jestem w porządku z prawem, tak mi się przynajmniej zdaje. Chociaż nie przeczę, że pomogłem babie do przeniesienia się na tamten świat".

"W takim razie musiałeś wejść w kolizję z prawem. Oczywiście mogą być okoliczności łagodzące, ale chyba sam wiesz, że zabijać nie wolno".

"Ale wolno mi dla ochrony mojej własności trzymać np. psy, choćby dość silne i złośliwe, by przy okazji zagryzły człowieka. Wolno, moja ty przyszła gwiazdo sądownictwa polskiego".

"O ile ostrzeżesz wszystkich o grożącem niebezpieczeństwie"...

"Janowa była ostrzeżona, nawet przy świadkach, więc jeśli ją moje psy rozszarpały"...

"Jakto, trzymałeś tutaj psy dla obrony przed Janową?"

Roześmiał się znowu.

"Jesteś dzisiaj dziwnie niedomyślny... Mówię w przenośni. Ale widzę, że jeśli ci tyle powiedziałem, to najlepiej zrobię, gdy opowiem ci wszystko. Choćby dla zasięgnięcia twojej opinji, jako prawnika, czy czyn mój podlega karze. O, nie mam żadnych wyrzutów sumienia, ani obaw, pytam jedynie z ciekawości".

Zerwałem się z krzesła.

"Dość tej rozmowy! Przypuszczam, że to, co zrobiłeś, nie jest tak niewinne, jak sobie wyobrażasz... A ja nie chcę, ani przez milczenie stać się wspólnikiem twojej zbrodni, ani oskarżać człowieka, który"...

"Był twoim przyjacielem", dokończył Miączyński z pewnym naciskiem na słowie "był" "bo teraz"... Urwał i zamyślił się głęboko. "Nie bój się", rzekł po chwili, "na wszystko sposób się znajdzie. Daję słowo, że nie postawię cię wobec niemiłej alternatywy, a jednak wysłuchasz mojej historji, zresztą, zdaje się, pouczającej. Zbyt wielką mam o-



Jesteśmy solą ziemi!

chotę na jej opowiedzenie. Akurat dziś, akurat tobie. Łatwo się oburzasz, Adamie, i taki jesteś wtedy śmieszny. Ale nie odbiegajmy od tematu, to jest od Janowej. Dla jasności zacznę od początku.

Na początku była ciotka, niestety moja, niestety poczciwa, niestety lubiąca uszczęśliwiać ludzi cudzym kosztem. W jaki sposób Janowa trafiła do niej, nie wiem, ale ciotka trafiła do mnie bardzo łatwo. Przyszła, i była, i suszyła mi głowę, bym oddał jakiemuś niesłychanie, wprost fantastycznie przyzwoitemu małżeństwu, kuchnię za usługę. Zrobię dobry uczynek, który mi w niebie policzony będzie, a nadto zaoszczędzę pensję i utrzymanie służącej. Broniłem się jak lew, tak, że trwało wszystko przeszło miesiąc, zanim skapitulowałem, i Janowa z całym swoim inwentarzem żywym, t. j. z mężem, pluskwami i karaluchami, wprowadziła się do mnie. Dość prędko zacząłem żałować swej lekkomyślności. Chociaż z początku stanowczo starała się pokazać w jaknajlepszem świetle, miodowe miesiące, a raczej dnie, trwały krótko. Już po tygodniu spostrzegłem, że ze wszystkich kocmołuchów warszawskich, które mnie unieszczęśliwiały od czasu, gdy sam prowadzę gospodarstwo, Janowa była najgorsza, a po dwóch tygodniach dałem jej niedwuznacznie do zrozumienia, że może sobie poszukać innej ofiary. Ale wtedy spotkała mię niespodzianka nielada, Janowa oświadczyła mi, że się nie wyprowadzi. Sprawa oparła się o sądy, gdzie ku wielkiemu swemu zdziwieniu dowiedziałem się, że moja posługaczka jest właściwie moją sublokatorką.

Do dzisiejszego dnia nie wiem, w jaki sposób metamorfoza ta dokonana została, przypuszczam nawet, że nikt tego punktu sprawy dobrze nie rozumiał, ani świadkowie, ani adwokaci, ani sędziowie, ale ponieważ u nas gospodarz domu nigdy nie ma racji w stosunku do lokatora, a lokator w stosunku do sublokatora, więc przegrałem sromotnie we wszystkich trzech instancjach. W rezultacie bez żadnej winy z mojej strony skazano mię na dożywotnie mieszkanie pod jednym dachem z Janową. Podobno dusze szlachetne wspaniałomyślne są względem pokonanych. Jeśli tak, to moja eksposługaczka, a późniejsza sublokatorka do nich nie należała. Triumf swój wykorzystała w całej pełni, już nawet dla pozoru nie oddawała mi żadnych usług, natomiast kręciła się po mieszkaniu, zabierając bez ceremonji wszystko, co



Janowa prawdopodobnie by umarła.

leżało na wierzchu, a nawet plondrując w moich szufladach i szafach. Moje skromne zresztą protesty spotykały się z pogardliwem milczeniem, albo ze stekiem obelg, zależnie od humoru jaśnie pani, a gdy doprowadzony do ostatnich granic zamknąłem na klucz drzwi od kuchni. sprowadziła policję, która kazała mi je otworzyć.

Chciałem nawet kupić babie jakieś mieszkanie, ale gdy pewna swojej pozycji zażądała trzech pokojów z kuchnią w centrum miasta, zrozumiałem, że tylko śmierć mię od niej uwolnić może. Jej śmierć, albo moja. Doprawdy, w owych czasach przygnębienia i zdenerwowania myślałem raczej o samobójstwie, gdy nagle zaszedł wypadek, który obudził we mnie całą moją dawną energję, zmusił nieomal do działania. "Nie"... przerwał. "Musisz poczekać trochę, jeszcze teraz po tylu tygodniach nie mogę mówić o tem spokojnie"... Przeszedł kilkakrotnie przez pokój, wreszcie zatrzymał się przede mną i ciągnął zmienionym głosem dalej: "Uważasz mię za manjaka, wiem o tem, trwonię w twojem mniemaniu czas, pieniądze i uczucia na rzecz pożyteczną zapewne, ale nie zasługującą na tak wyłączną namiętność, jak moja. Rozumiem doskonale, dlaczego mię nie rozumiesz i nie doceniasz. Niegdyś wielki poeta grecki, opisując jakiegoś pasorzyta, powiedział, że składał się wyłącznie z brzucha i z tego, co się pod brzuchem znajduje. Dosadne wyrażenie, ale głęboko i trafnie charakteryzujące nietylko grubego obrzydliwca, beznadziejnie zakochanego w Dafnisie, lecz i każdego przeciętnego człowieka.

Zaspokojenie głodu i popędu płciowego, — oto wszystko, do czego dąży znakomita większość ludzi. Dlatego rozumieją i pochwalają czyny, zmierzające bezpośrednio lub pośrednio do tego celu, a potępiają każdego, kto wyłamuje się z pod tego odwiecznego prawa, ma jeszcze inne pragnienia i ideały. Wszystko jedno, czy będzie to natchniony prorok", czy tylko taki nieszkodliwy dziwak jak ja. A jednak nie samym chlebem człowiek żyje. A jednak, gdyby nie my, którzy umiemy zdobyć się na bezinteresowne namiętności, ludzkość byłaby po dziś dzień hordą małpoludów, gnieżdżących się na drzewach. Jesteśmy fundamentem każdej kultury, solą ziemi, tymi sprawiedliwymi, dla których nie zostanie zniszczona Sodoma. Cóż dziwnego, że stado ludzkie ma nas w nie-

nawiści i w pogardzie''.

''Nie zawsze'', przerwałem. ''Zapominasz, że są ludzie, jak ty ich nazywasz, bezinteresownych namiętności, którym za życia stawiano pomniki''.

''Zapewne, jeśli przez swą pracę ułatwiali tłumowi spokojne obżeranie się i rozmnażanie... Przecież i ja miewam czasami, że tak powiem, praktyczne zastosowanie. Czy naprzykład w tej chwili nie pomagam młodemu ambitnemu prawnikowi do napisania pracy, która może otworzy mu drogę do uniwersytetu, zapewni stanowisko i dochody, pozwoli na ożenienie się z młodą, piękną, bogatą panną''.

Rozgniewałem się nie na żarty.

''Jakiem prawem przypisujesz mi wyłącznie tego rodzaju poziome pobudki? Powinieneś był pamiętać z dawnych czasów, że umiem również bezinteresownie pracować naukowo, jak ty zbierać książki''.

''Dawniej, może... Ale dziś... Dlaczego jesteś dziś dla mnie obcy, wrogi niemal? Co stanęło między nami, jeśli nie poczucie odrębności, dzielące nas nieprzebytym murem? Nie ja się zmieniłem, jeno ty. Masz dla mnie wzruszenie ramion typowego zjadacza chleba, nie pozostało w tobie ani śladu szacunku dla tego niesłychanego wysiłku, jaki reprezentuje nasza bibljoteka. Cztery pokolenia... Nie byliśmy nigdy bogaci. Uświadom sobie, ile ofiar, ile zaparcia się siebie, ile wytężonej woli tkwi w tych książkach. Pamiętasz jak wyśmiewano się w szkole z naszych wykrzywionych butów i łatanych spodni. Bibljoteka już wtedy była warta kilkadziesiąt tysięcy rubli, —majątek dla takich nędzarzy, jak my. A później po śmierci ojca, gdyśmy byli na uniwersytecie, gdyśmy przymierali głodem, gdy siostra nasza umarła na suchoty, bo nie było jej za co leczyć... Nie sprzedaliśmy ani jednej książki, ani jednej, nigdy do głowy nam to nie przyszło, nawet Michałowi, który się od nas odrodził i całą duszę wkłada w swą głupią bakterjologję. Przyznaj, że mam prawo być dumnym z tego zbioru''.

''Zapewne'' potwierdziłem trochę zawstydzony, rozumiejąc doskonale, że dla nikogo i niczego nie byłbym się zdobył na tyle abnegacji.

''Oczywiście jestem tylko dumny z niesłychanej wytrwałości, z jaką zbieraliśmy książki, a nie z samej bibljoteki, która, Bogiem a prawdą, niewiele jest warta. Dobrych rzeczy mamy mało, bardzo mało, niestety. Nie byliśmy, jak powiedziałem, nigdy bogaci, a szczęśliwe przypadki nie zdarzają się, niestety, nigdy''...

''Musiały wam się jednak zdarzać, widziałem w twojej bibljotece kilkanaście rzeczy pierwszorzędnych, za któreście napewno nie zapłacili ceny rynkowej, bo was na nią stać nie było. O ile sobie nawet przypominam, ty sam kupiłeś za psie pieniądze pierwsze wydanie 'Flisa' Klonowicza''.

''Prawda. Była to najszczęśliwsza chwila w mojem życiu. Ale skąd ci właśnie 'Flis' na myśl przyszedł? Czy wiesz, że go już nie mam?''

''Sprzedałeś go, zgubiłeś?'' Tu zawahałem się i dodałem powątpiewająco: ''Podarowałeś?''

''Ani jedno, ani drugie, ani trzecie. Pewnego pięknego dnia zauważyłem, że niema go na jego zwykłem miejscu. Przez dwa dni szukałem go napróżno, trzeciego doszedłem do wniosku, że musiała go ukraść Janowa''.

''A niech ją djabli wezmą!'' zawołałem poruszony do żywego. ''Czyś go odnalazł?''

''Nie!... Szukałem sam i dałem polecenie szukania, ale nic nie znaleziono''.

''Wywieziono go zagranicę?''

''I to nie... Myślałem i ja tak, chociaż od pierwszej chwili wydawało mi się to nieprawdopodobne. Nie wyprzedzajmy jednak wypadków... Zauważyłem, że i na tobie zniknięcie 'Flisa' zrobiło odpowiednie wrażenie, więc możesz sobie wyobrazić, w jakim byłem stanie... Nie szło mi już o 'Flisa', którego uważałem, słusznie zresztą, za straconego, ale jak zabezpieczyć się przed dalszemi stratami. Pozbyć się jej nie mogłem, zamknąć przed nią mieszkania również nie...''

''Dlaczego nie dałeś znać policji?''

''Zupełnie bezcelowe... Jeszczeby, wobec moich uprzednich procesów z Janową, padło na mnie podejrzenie, że chcę się pozbyć sublokatorki, i mnieby zapakowano do kozy. Nie, o tem nawet myśleć nie mogłem. Prędzej wskazane było przyjęcie kogoś do pilnowania bibljoteki. Ale gdzie tu, u nas, znaleźć człowieka, który nie kradnie? Musiałbym trzymać kogoś do pilnowania mego stróża i tak dalej w nieskończoność...''

''Więc co zrobiłeś?''

''Przedewszystkiem zawezwałem Janową na konferencję. Przyszła zuchwała i bezczelna, jak zwykle.

''Janowa ukradła mi książkę'' rzekłem zimno. Byłem niesłychanie zdenerwowany, serce biło mi jak młotem, ale udało mi się zachować pozory spokoju.

Mój śmiały atak stropił ją trochę, po chwili jednak odzyskała zwykłą pewność siebie i obsypała mię gradem najwyszukańszych obelg.

''Dość tego'' zawołałem po kilku minutach. ''Dość zanieczyszczania powietrza plugawemi słowami. Chcę się raz na zawsze rozmówić z Janową. Przedewszystkiem proszę oddać książkę''.

''Ktoby się tam łakomił na pańskie obdarte książki''.

''Wzięła mi Janowa książkę'' powtórzyłem z naciskiem. ''Póki Janowa kradła moją bieliznę, ubranie, porcelanę, srebro, nie mówiłem nic, tak samo to wam, jak mnie, potrzebne... Ale Janowej nic po książkach, a mnie...'' Nie dokończyłem, nie chcąc zdradzać

przed nią, jak bardzo mi na moim zbiorze zależało. "Zresztą wszystko jedno, nie dam się dłużej okradać i kwita".

Zaczęła się rzucać po pokoju, jak wyciągnięta z wody ryba na piasku nadbrzeżnym. Wreszcie wybiegła i wróciła po chwili z dwiema okropnemi megerami, które czasami widywałem u niej w kuchni.

"Słyszałyście!" zawołała, skoro tylko weszły do pokoju. "Co pan Miączyński znowu wymyślił, żeby mię się pozbyć... Powiada, że mu książkę ukradłam".

Zrozumiałem odrazu do czego zmierzała, chciała widocznie skonstruować przeciwko mnie proces o oszczerstwo.

"Nie powiedziałem, że Janowa ukradła mi książkę", skłamałem przytomnie a bezczelnie. "Utrzymywałem i utrzymuję, że Janowa ruszała moje książki, a ja sobie tego nie życzę".

Zamruczała coś o konieczności wycierania kurzu.

"Niech Janową o to głowa nie boli... Sam sobie dam radę. Zabraniam dotykania się moich książek raz na zawsze! Zrozumiane? A jeśli Janowa mię nie posłucha, to jej ręce zgniją i będzie z temi kikutami żebrać pod kościołem".

Słowa moje zrobiły na wszystkich trzech babach pewne wrażenie. Nie zadowoliłem się jednak tą rozmową. Jeszcze tego samego wieczoru sporządziłem napisy grożące najsroższemi karami za dotykanie książek, zaopatrzyłem je znakami magicznemi i rozwiesiłem na półkach. Czułem jednak, że to wystarczyć nie może. Janowa była niestety kobietą rozsądną, dla wszelkich przesądów miała pogardę osoby praktycznej, realnie oceniającej życie. Jak zaraz zobaczysz, poglądy swoje przypłaciła życiem, ale o tem później... Oczywiście byłem przygotowany na tę ewentualność, że nie uda mi się jej zastraszyć, postanowiłem jednak czekać, póki nie rozpocznie na nowo kroków zaczepnych.

Nie trwało to długo. W tydzień mniej więcej po naszej pamiętnej rozmowie zauważyłem brak jednego tomu wielkiego Larousse'a z r. 1889. Kradzież wydała mi się idjotyczna. Było niemożliwością, by ktokolwiek kupił od niej jeden tom starej encyklopedji, przypuszczałem nawet, że mi go odda po pewnym czasie, możesz więc wyobrazić sobie moje zdziwienie, gdy w kilka dni później ulotnił się bezpowrotnie drugi tom tego samego dzieła. Co u licha? Czy Janowa postanowiła powoli skompletować sobie całego Larousse'a? Nie miałem zamiaru czekać na to. W godzinę po skonstatowaniu drugiej kradzieży byłem już u mego brata i opowiedziałem mu wszystko. Jak wiesz, ten nieszczęśliwy manjak zajmuje się bakterjologją i nigdyby zbytnio się naszą bibljoteką nie interesował. Ale tym razem... Zresztą, co tu długo mówić? Nawet ciebie, obcego, obojętnego człowieka poruszyła wiadomość o kradzieży 'Flisa', a Michał jest bądź co bądź Miączyńskim. Po raz pierwszy w życiu widziałem go naprawdę wzburzonego. Ale może cię nudzę?"

"Nie, opowiadaj dalej".

"Gdy wróciłem od Michała, przyniosłem sporą paczkę szpilek i flaszkę, zawierającą... Nie, mniejsza z tem co zawierała, dość, że według zapewnień brata, najmniejsze draśnięcie palca szpilką, umoczoną w tym preparacie, doprowadziłoby niechybnie do amptucji ręki. Na półkach moich jest zwykle dość luźno, ale przez ustawienie obok książek, broszur, złożonych zwykle w szufladach, zrobiło się tak ciasno, że niepodobieństwem było wyjęcie jakiegokolwiek tomu inaczej, niż przez podważenie go od strony wewnętrznej, a między kartki, właśnie w to miejsce, na które musiał nacisnąć palec złodzieja, włożyłem... Straszna robota przy kilkunastu tysiącach tomów, i ostrożność, jakiej wymagała!

Raz jeden wydało mi się, że się skaleczyłem... Dwie noce później nie spałem. Janowa mię przez ten czas nie okradła, bo wziąłem urlop z biura i literalnie nie wychodziłem z domu, ale patrzała na mnie drwiąco i przy każdej sposobności podsuwała mi pod nos swoje czerwone łapska, które ani myślały gnić. Nie umiem ci powiedzieć, ile nienawiści do tej baby zebrało się wówczas w mojem sercu. Podeszła mię, zrobiła piekło z mego domu, przyczyniła mi niepowetowane szkody, a w dodatku zmusiła do kłamstwa, do podstępu, do życia, niegodnego człowieka. Nareszcie wszystko było skończone. Teraz ogarnął mię gorączkowy niepokój. Czekałem, drżąc z niecierpliwości, rezultatu moich trudów. Wpatrywałem się w Janową, jak pająk w muchę, codziennie badałem oczyma jej ręce, aż wreszcie... Odetchnąłem z prawdziwą ulgą, gdy spostrzegłem pewnego wieczoru, że ma obwiązany palec.

"Co się Janowej stało?" — zapytałem uprzejmie.

"A nic, proszę pana. Musi, skaleczyłam się w palec przy praniu."

"Aha" — pomyślałem. Zwróciłem się do niej z najsłodszym uśmiechem, na jaki mię stać było: "Nie ruszała przecież Janowa moich książek?"

"Znowu pan ze swymi książkami wyjeżdża! Nie ruszałam ich i tyle. Co mi po nich?"

"Bardzo dobrze" odpowiedziałem. "W każdym razie niech Janowa pójdzie do lekarza."

"A mam tam czas po dochtorach łazić" odburknęła ze złością.

W dwa dni później sama mię zaczepiła. Ręka jej widocznie spuchła.

"Pan powiedział, że mi ręce zgniją, jeśli będę pańskie książki ruszała."

"Tak, ale Janowa przecież tego nie robiła."

"Niech z tego miejsca nie zejdę, jeślim choć spojrzała na

nie!... Ja się tylko tak pytam, z ciekawości... Bo jakże: zgniją, odpadną same, czy jak?"

"Nie, trzebaby je było odjąć."

"A gdybym odjąć nie dała."

"W takim razie Janowa prawdopodobnie by umarła."

Zbladła śmiertelnie ze strachu i wyraziła gotowość pójścia do doktora. Dałem jej list do znajomego lekarza, w którym wskazywałem na konieczność amputacji ręki. Wieczorem Janowa wróciła triumfująca.

"Doktór powiedział, że nie trzeba ręki odejmować, i tak mię uleczy."

Wiedziałem, że lekarz nie zdaje sobie sprawy z sytuacji i postanowiłem jeszcze raz ją ostrzec.

"Naturalnie, o ile Janowa nie dotykała moich książek..."

"Znowu te książki! Nawet do tych półczysków nie doszłam. Skaleczyłam się przy praniu". Tu dodała kilka niepochlebnych epitetów pod adresem ludzi, zostawiających szpilki w bieliznie.

Nazajutrz rano, jeszcze leżałem w łóżku, gdy Janowa zjawiła się u mnie. Musiała bardzo cierpieć w nocy, bo miała twarz zupełnie białą, sine usta i mocno zaczerwienione oczy.

"Ja", zaczęła po chwili. "Ja ruszałam pańskie książki... Ale jak zbawienia duszy pragnę..."

Nie dałem jej skończyć.

"Niech Janowa nie grzeszy i nie kłamie dłużej, bo to nic nie pomoże."

"A no więc ukradłam panu te książki... Ważna rzecz! Mało to ich pan ma? Wielkie nieszczęście, żem jedną albo dwie wzięna."

"Ma Janowa słuszność, nieszczęście naprawdę niewielkie. Proszę odejść i nie przeszkadzać". Odwróciłem się na drugi bok, udając, że zasypiam.

"Pan śpi, a mię tak ręka boli, że mało nie zdechnę."

"Ważna rzecz! Mnie to do snu nie przeszkadza."



Powiada, że mu książkę ukradłam.

"Już się do wszystkiego przyznałam, to mi tera pan pomóc powinien."

"Nie" odparłem chłodno.

"Więc co będzie?"

"Pewno Janowa umrze za kilka dni, kiedy sobie ręki odjąć nie dała."

"Pan tak straszy tylko."

"Jakem groził, że ręka zgnije, to mi też Janowa wierzyć nie chciała."

Widocznie ten argument trafił jej do przekonania, bo nagle padła na kolana przed mojem łóżkiem i zaczęła błagać mię o zmiłowanie. Ku wielkiemu memu zdziwieniu nie sprawiło mi to żadnej przyjemności, odczułem nawet coś w rodzaju litości nad nią. Trudno, jesteśmy przyzwyczajeni od dzieciństwa do uważania każdego stworzenia, chodzącego na dwóch nogach i mówiącego głosem ludzkim, za swego bliźniego. Postanowiłem jej pomóc. Ręka była bezpowrotnie stracona, ale przez natychmiastową amputację utrzymanoby prawdopodobnie babę przy życiu. Miałem zamiar ponieść koszty operacji i wezwać do niej jednego z najpoważniejszych chirurgów w mieście. Jednocześnie jednak chciałem, korzystając z okazji, wydostać od niej swego "Flisa".

"Dobrze!" powiedziałem wreszcie. "Zrobię wszystko, by Janowę uratować, ale pod jednym warunkiem: proszę mi oddać pierwszą książkę, którą mi Janowa ukradła."

"Kiej jej nie mam."

"To się wie... Niech Janowa tylko powie komu ją sprzedała, to już ja sobie dam radę..."

"Bo widzi pan, ja mam znajomego introligatora. Kupuje okładki. Nawet prosił, żeby więcej przynieść, bo dobre".

"A co się z książkami stało?"

"Ktoby tam dbał o taką starzyznę? I wyszarpane i podklejone. Wiele to warte... A zresztą, niech broń Boże rewizja!... W piec cisnęłam i tyle."

Rozumiesz, zniszczyła rzecz, mającą dla mnie, i nietylko dla mnie, nieocenioną wartość, dla kilku groszy, które dostała za okładkę. I żeby choć nędza pchnęła ją do tej zbrodni, albo jakaś przemożna namiętność do pieniędzy, do alkoholu, do czegokolwiekbądź na świecie, to bym mógł zrozumieć i przebaczyć. Ale nie, Janowej nie mogło zależeć na tej drobnej sumce, którą płacił jej introligator za okładki; kradła z długoletniego przyzwyczajenia, z potrzeby wewnętrznej, ot kradła poprostu, bo zdawało jej się, że może ukraść bezkarnie. I ja, sentymentalny głupiec, litowałem się nad nią, chciałem nawet uchronić od zasłużonej kary. Na szczęście opamiętałem się w porę. Wzruszyłem ramionami i oświadczyłem, że na pomoc moją liczyć nie może.

Przez pół godziny naprzemian błagała mię o ratunek i przeklinała, ale jęki rannego śmiertelnie krokodyla, o ile krokodyle wogóle głos wydają, większeby na mnie zrobiły wrażenie niż jej płacz i obelgi. Wyszła wreszcie, zatrzaskując drzwi i wrzeszcząc, że sobie da radę beze mnie. Co do tego, myliła się.

W cztery dni później operowano ją w szpitalu, a po tygodniu pochowano. Zapłaciłem za pogrzeb. Ostatecznie nie miałem prawa narażać na koszty Jana, który jest człowiekiem przyzwoitym i nic mi złego nie zrobił."

Miączyński skończył i, wpatrując się we mnie swemi rybiemi oczyma, zdawał się czekać odpowiedzi.

W pierwszej chwili nie byłem w stanie słowa przemówić. To otwarte cyniczne przyznanie się do zbrodni zrobiło na mnie piorunujące wrażenie. Od dwudziestu lat przeszło znałem Miączyńskiego i nigdy podobnych możliwości w nim nie podejrzewałem. A przytem zanosiło się na djablo nieprzyjemną sprawę. Nie prosiłem go o zwierzenia, ostrzegłem go nawet, nie mógł więc mieć pretensji, jeśli teraz zrobię właściwy użytek z jego spowiedzi, ale jednak...

"Słuchaj, Miączyński! Czegoś mi to u licha opowiedział? Mnie, prawnikowi, w dodatku. Czy nie rozumiesz..."

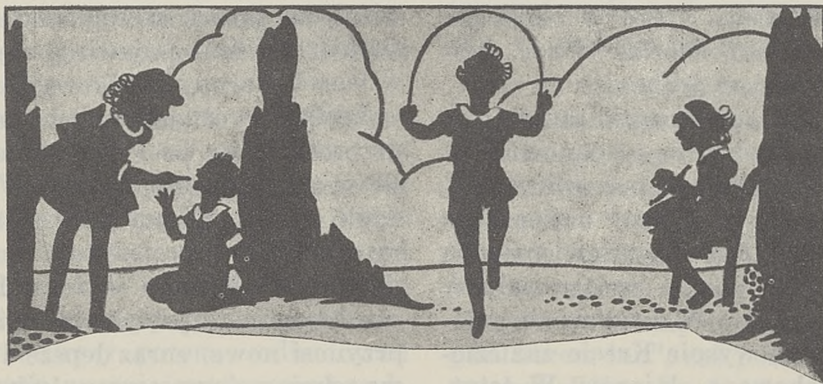
"Że będziesz musiał zawiadomić o wszystkiem prokuratora," przerwał, uśmiechając się ironicznie. "Proszę bardzo. Uprzedzam cię jednak, że zblamujesz się nieśmiertelnie. Gdzie dowody? Postawię dwudziestu świadków, którym Janowa przed śmiercią mówiła, że skaleczyła się, piorąc bieliznę. Nawet lekarze nic innego nie będą mogli zeznać."

"Twoje własne słowa..."

"A ba! Nie wolno mi może zażartować z przyjaciela, opowiedzieć mu efektowną bajeczkę, "pociągnąć go za nogę", jak mówią Anglicy..."

"Opowiadałeś z takiemi szczegółami..."

"Które wszystkie mogą być zmyślone. Co naprzykład w moje opowiadaniu ukradła mi Janowa? Pierwsze wydanie "Flisa" Klonowicza i dwa tomy wielkiego Larousse'a. Dojdź do półek, mój drogi. Książki te stoją najspokojniej w świecie na swoich miejscach, a nie przypuszczasz chyba, że miałem je w dwóch egzemplarzach".



Pochodzenie Owoców

Winogrona, najcenniejszy owoc strefy umiarkowanej, rozpowszechniły się w Europie w VI-ym wieku przed Narodzeniem Chrystusa. Ojczyzną winogron jest Kaukaz, gdzie przetrwały do dzisiejszych czasów dzikie krzewy, rodzące słodki owoc. Zależnie od warunków klimatycznych i gleby, winogrona rozrodziły się na liczne odmiany, znane obecnie. Egipcianie, Grecy i niektóre narody azjatyckie uprawiały winogrona od niepamiętnych czasów. W Polsce hodują winogrona tylko w okolicy Zaleszczyk.

Śliwki miały prawdopodobnie swój początek na Kaukazie. Pestki śliwek napotyka się nierzadko w wykopaliskach z epoki bronzowej oraz w przedhistorycznych grobowcach dokoła osiedli nadwodnych. Dzikie śliwki dotychczas rosną obficie w krajach Europy południowej. Najszlachetniejsze odmiany śliwek rosną w południowej Francji i w niektórych okolicach Węgier. Stąd nazwa "Węgierki". Nie mniej cenione są odmiany francuskie, zielone i białe, tak zwane "renklody".

Morele pochodzą według wszelkiego prawdopodobieństwa, z Armenii. Drzew morelowych w stanie dzikim nie znaleziono jeszcze w żadnym kraju na świecie. Rzymianie sprowadzili pierwsze drzewka morelowe z Armenii i przez szczepienie i troskliwą hodowlę otrzymali kilka znakomitych odmian. Z Włoch przedostały się morele do reszty krajów Europy południowej i środkowej. W Polsce morela dojrzewa tylko w okolicach Zaleszczyk, lecz i tam, chociaż owoc jest smaczny, to jednak jest drobny.

Oliwki rosną do dzisiejszych czasów w krajach swego pochodzenia, a mianowicie w Azji Mniejszej i w krajach południowej Europy. Owoc ten dostarczający najlepszego tłuszczu roślinnego, jest błogosłowieństwem Wschodu, a drzewa oliwne zawsze były w wielkim poszanowaniu. W zwaliskach pałacu króla Minosa na wyspie Krecie znaleziono doskonale zachowaną olejarnię. W ostatniem stuleciu zaprowadzono drzewa oliwne w południowych stanach Ameryki Północnej i w niektórych Południowej.

Gruszka pochodzi z Azji Wschodniej, skąd przedostała się do Europy. W stanie dzikim pojawia się bardzo obficie na ziemiach Europy środkowej. W Polsce wiele zdziczałych lub dzikich grusz rośnie na miedzach pół. Gdzie i kiedy zaczęto uszlachetniać ten owoc, nie wiadomo. Rzymianie znali już 35 odmian szczepionych gruszek, a Kartagińczycy przyrządzali z gruszek zaprawę, którą dolewano do wina, dla wzmocnienia aromatu. Najcenniejsze są odmiany zrywane późną jesienią.

Brzoskwinie zawdzięczamy Chińczykom, którzy zaczęli je uprawiać przed pięcioma tysiącami lat. Owoc ten ukazał się w Europie w czasach upadku cesarstwa rzymskiego. Posuwając się ze wschodu na zachód, rozpowszechnił się początkowo w Indiach, następnie z karawanami dotarł do Persji i morza Śródziemnego. Stąd łatwo już przedostał się do krajów europejskich i do Ameryki. W Polsce brzoskwinie dojrzewają tylko wyjątkowo, a hodowla na szerszą skale jest niemożliwa.

Wiśnie sprowadził do Rzymu największy smakosz starożytności, Lukullus, z nad morza Czarnego. Drzewka wiśniowe rozpowszechniły się szybko po całej Europie i Ameryce i teraz corocznie powstają nowe odmiany tego owocu. Dzikie wiśnie istniały w czasach przedhistorycznych w Alpach i Pirenejach, jakoteż w lasach Ameryki Północnej. Czereśnie powstały prawdopodobnie z wiśni, na skutek szczepienia i przesadzania. Dzikie czereśnie pojawiają się dosyć obficie w lasach Europy środkowej.

Jabłka, owoc znakomity i najbardziej rozpowszechniony po całym świecie, napotyka się w stanie dzikim po lasach od niepamiętnych czasów. Drogą przesadzania, szczepienia i krzyżowania powstało mnostwo odmian jabłek. We Francji w roku 1650-ym znano już 600 odmian jabłek. Obecnie każdy sezon przynosi nowe, coraz lepsze i wykwintniejsze odmiany tego owocu, którego źródło pochodzenia jest dotychczas nieznane. Obecnie istnieje już blisko 2.000 skatalogowanych odmian jabłek.

Upadek Jerycha

Badania nowoczesnych archeologów, ich wykopaliska, odczytywanie przedhistorycznych napisów, anatomiczne nawet badania mumij egipskich, miały jeden przeważnie skutek, że potwierdzały najbardziej podawane w wątpliwości ustępy Biblji, która w ten sposób uzyskała naukowe potwierdzenie swej godności, jako istotnie prawdomównej księgi.

Do tych potwierdzeń przybyło obecnie nowe, co do upadku i spalenia miasta chanaańskiego Jerycha, zdobytego przez Jozuego, przy dwięku trąb kapłańskich.

Opis biblijny rozumiano w ten sposób, że mury Jerycha padły od dźwięku trąb i wielce się tem nieraz gorszono w rzeczywistości jednak ustęp odpowiedni "Księgi Jozuego" brzmi skromniej:

"Gdy tedy wszystek lud krzyczał, a w trąby trąbiono, skoro w uszach mnóstwa głosy trąbienia zabrzmiały, natychmiast mury upadły i wszedł każdy przez miejsce, które przeciw niemu było, i wzięli miasto".

Nieco poniżej, Biblja mówi o Izraelitach: "A miasto, i wszystko co w nim było, zapalili..."

Otóż obecnie archeologowie, a mianowicie ekspedycja naukowa Martson-Melchetta, dobrali się do Jerycha, a dzięki temu, że pagórek, na ktorym było położone, jest dziś prawie dwa razy wyższy, niż za czasów Jozuego, wskutek ziemi, naniesionej, nawianej, namulonej przez wieki, więc przewracając jej pokłady, jak kartki olbrzymiej księgi, odczytali z niej dzieje Jerycha, aż do 2100 lat przed Chrystusem.

A więc w okresie wczesnych wieków bronzu było to miasto najpierw niewielkie, ale już obronne. W średnim okresie bronzowym rozrosło się i umocniło bardzo, tak, że objęło cały pagórek, ale około roku 1600 przed Chrystusem zburzyli je i zniszczyli prawdopodobnie faraonowie egipscy, zaś jego mieszkańcy, powróciwszy potem, odbudowali miasto, napowrót w mniejszych rozmiarach, nad jego najpierwotniejszemi śladami.

Takiem też było Jerycho w chwili najazdu Izraelitów. Otoczone było podwójnym murem ceglanym, przyczem mur wewnętrzny dosięgał grubości 4 metrów, miało kształt prostokątny, a mury dłuższych boków zostały zupełnie zniszczone, prócz czterech wież i krótszych boków, zaś ruiny samego miasta wykazują ślady strasznego pożaru który najwidoczniej tygodniami przygotowywano, jako ofiarę całopalną dla Bóstwa.

Przypuszczano dawniej, że mury Jerycha padły od trzęsienia ziemi. Archeologowie stwierdzali wprawdzie, że ślady takiego trzęsienia istnieją niewątpliwie, ale ostateczne zburzenie muru nosi charakter dzieła rąk ludzkich.

Badanie wykopaliska doprowadziło do ciekawego odkrycia, że mury były podminowane od wewnątrz, poczem obalone.

Gdy przypuścić, że podminowanie to nastąpiło przed zdobyciem miasta, to odgłos trąb uważać należy za sygnał, po którym usunięto podpory, czy dokonano jakiegoś innego uderzenia, tak, iż obwarowania padły. W takim razie staje się zrozumiałam, dlaczego Jozue przez 7 dni z rzędu za każdym razem siedmiokrotnie oprowadzał wojsko i cały lud izraelski przy dźwiękach trąb, dokoła Jerycha, bo to byłoby tylko środkiem odwrócenia uwagi obleganych od niszczycielskiej roboty przy murach. A kiedy ta robota była ostatecznie gotowa, głos trąb stał się szczególnie jaskrawy, a towarzyszący mu wrzask całego ludu oblegającego dawał znak sprzymierzeńcom i szpiegom w samem Jerychu, że atak się rozpoczyna.

Ale do tego potrzeba było, aby tam Jozue miał swoich sprzymierzeńców i szpiegów. Otóż księga jego otwarcie to przypuszczenie potwierdza w opowiadaniu o tem, jak jego szpiegowie "weszli w dom niewiasty wszetecznej, imieniem Rahab i stanęli u niej", jak zarządzono pościg za nimi, "a ona ich uwiodła na altanę domu swego i nakryła je paździerem lnu", zaś później, podczas szturmu Izraelitów, "uwiązała powrózek czerwony w oknie", co było umówionym znakiem na oszczędzenie jej samej, jej rodziny i jej mienia, przez zdobywców.

Polacy w Paragwaju

Prymas Paragwaju z Wdzięcznością Przyjął Obraz M. B. Częstochowskiej

Dzień 30 czerwca 1957 był historycznym dniem dla Polonii w Paragwaju. Zapisał się on złotymi zgłoskami w pamięci i sercach wszystkich obecnych na uroczystości wręczenia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Polski, narodowi Paragwajskiemu.

Dzięki staraniom pułkownika Włodzimierza Białobłockiego, kierownika Szkoły Kadetów w Asuncionie, Polonia z Chicago ofiarowała obraz Matki Boskiej Częstochwskiej, malowany w Meksyku przez światowej sławy malarza katalońskiego, Hiszpana, Miguel'a Baquidano Camps.

W Asuncionie, stolicy Paragwaju, delegacja miejscowej Polonii witała przybywających delegatów z Chicago: ks. Witmańskiego, p. Hostyńskiego i p. Cicha. Przywitanie jak też i następnego dnia cała uroczystość była sfilmowana i fotografowana. W tym samym dniu, nieco później, została powitana również delegacja z Posadas Argentyny. Na czele sześcioosobowej delegacji z Posadas przybył prezes Związku Polaków, p. Kowalczyk.

Poświęcenie Obrazu

Uroczystości, i całość obchodu udała się wspaniale. Obraz czasowo był umieszczony w kościele Chrystusa Króla, gdzie też odbyła się ceremonia poświęcenia obrazu.

O godz. 3-ej po południu na placu kościelnym rozpoczęła się zbiórka wiernych. Przybyły szkoły katolickie, organizacje Maryjne, delegacje z 15 parafii, kompania marynarki z orkiestrą, oddział Kadetów z Korpusu ACOSTA NU jako honorowa straż obrazu, oraz rzesze wiernych.

Delegacje polskie stanowiły odrębną grupę. O godz. 3.30 po południu ruszyła procesja z obrazem Matki B. Częstochowskiej, przybranym w kwiaty i polskie sztandary, umieszczonym na specjalnym rydwanie.

O godz. 4.45 pochód dotarł do katedry. Polacy wnieśli obraz do wnętrza. Po ceromonialnym przywitaniu obrazu przez ks. arcybiskupa i prymasa Paragwaju, Anibala Mena Porte, nastąpił uroczysty akt wręczenia Votum przez ks. Witmańskiego narodowi Paragwajskiemu, poprzedzony przemówieniem w języku angielskim.

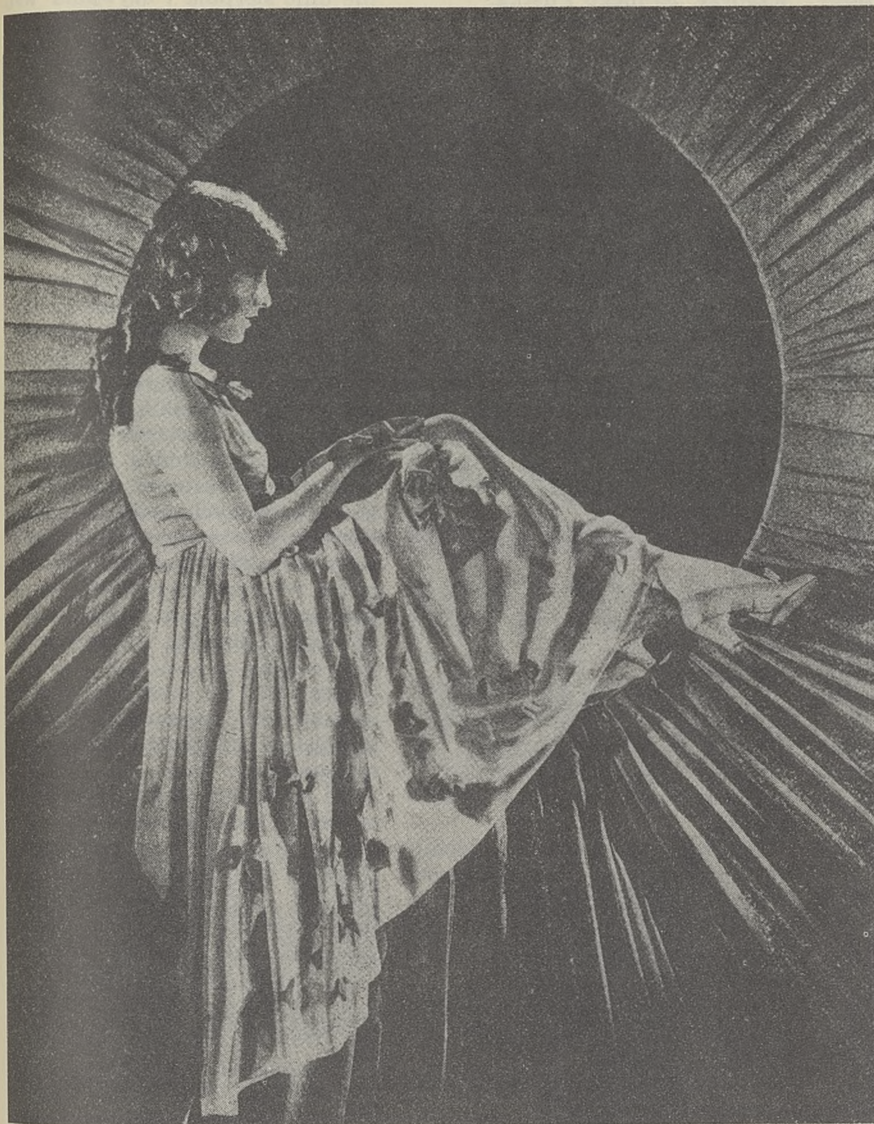
Następnie został odczytany, przetłumaczony na język hiszpański, list od przeora klasztoru na Jasnej Górze, O. Jerzego Tonosińskiego. List ten nadszedł na ręce p. pułkownika W. Białobłockiego. Z kolei przemówił ks. prymas Anibal Mena Porte, dziękując Polonii Chicagoskiej za ten wspaniały dar dla katolickiego narodu Paragwaju, wyrażając swoje współczucie dla umęczonego Narodu Polskiego i życząc mu prawdziwej wolności.

Na Intencję Polski

Po przemówieniach została odprawiona solenna msza na intencję Polski i za Kościół Milczący. Mszę celebrował sam ks. Prymas.

Wieczorem odbyła się wspólna kolacja w restauracji polskiej p. Błaszczyka, na której miejscowi Polacy podejmowali gości przybyłych na uroczystość. Podczas kolacji pułkownik Białobłocki wygłosił przemówienie, w którym między innymi powiedział: "Obecnie w Kraju powtarza się o polskiej drodze do socjalizmu. Takiej drogi polskiej nie ma. Jest tylko jedna droga polska: droga wiodąca do Chrystusa. Tą drogą nasz naród kroczy od wieków pod opiekuńczym skrzydłem Matki Boskiej Królowej Polski. Trzysta lat temu król Jan Kazimierz oddał naród nasz we władanie Matki Boga, a w 1920 roku biskupi nasi z Kardynałem Katolickim poświęcili Polskę Sercu Jezusowemu. Od wieków Polska jest przedmurzem chrześcijaństwa w Europie. Polska nie ma innej drogi jak tylko pod opieką naszej Niebieskiej Królowej dojdziemy do Wolnej Niepodległej, Całej Chrystusowej Polski!"

Dnia 2-go lipca delegacje zostały pożegnane na lotnisku. Delegacja z Chicago odjeżdżając, zabrała se sobą zdjęcia i nakręcony film kolorowy z całej uroczystości. Ze zdjęć fotograficznych ma być zrobiony album pomiątkowy, który następnie będzie przekazany ks. Kardynałowi Wyszyńskiemu w Polsce.



ARTUR GRYF

WRZOSY

KAROL od blisko miesiąca bawi na wywczasach letnich. Po całorocznej ciężkiej orce w uniwersytecie wypoczynek należy mu się słusznie, jakżeż tu jednak na tej wsi nudno. Karol nudzi się okropnie. Jakaś zakazana wieś ten Oleandrów. Żadnego towarzystwa, żadnej rozrywki. Sąsiedztwa pod psem, a i na miejscu nie lepiej. Wprawdzie są siostry Stacha, u którego bawi w gościnie, ale to takie... kozy.

Zadudniało na rozklekotanym mostku. We wjazdowej bramie zamajaczyły poprzez kłęby kurzu końskie łby. Z bryczki wysiada chmara dzieci. Jest i Jadzia, i Leonka, Henia i Olek.

Idą w pole. Dzieci trajkoczą, że mało zrozumieć je można. Do Karola przypada Henia i zaglądając mu filuternie w oczy, mówi:

— Wie pan, panie Karolu, że tu straszy?

— Straszy?

— A tak. Mówią, że w nocy widać jakieś cienie na tem wzgórku i słychać takie szmery, jakby chór pacierze odmawiał. To ma być podobno litanja za konających, odmawiana przez zmarłych na cholerę i tutaj dawno już pogrzebanych.

— Opowiadania babilońskie — zaprzecza Karol.

— Kto wie? — mówi zamyślona Jadzia. — Umierali tak nagle, niespodziewanie.

— Wstydziłaby się pani, panno Jadziu. Czy tu mogą być jakieś wątpliwości?

— No, przecież ja nie mówię, że wierzę. Takie się czasem dziwne rzeczy dzieją na świecie.

— W wyobraźni ludzkiej... — dopowiada drwiąco.

— O, wcale nie! Ile ja już słyszałam...

— Bajek — wtrąca w tym samym tonie.

— E, nieznośny pan i koniec. Niech będzie, że bajki. Dużo mnie obchodzi, co pan o tem myśli.

— Doprawdy? A swoją drogą, ja mam rację. Dowiodę pani, jeśli pani chce.

— Ciekawam, jakim sposobem?

— Bardzo prostym. Przyjdę tu o północy.

— Tu? Nie będzie się pan bał?

— Czego? Ładne ma pani o mnie wyobrażenie.

— Zawsze to nieprzyjemnie... Może się wszyscy wybierzemy?

— Nie, co znowu! Takie rzeczy trzeba badać w pojedynkę. Duchy gromady nie lubią. Więc zakład?

— Zaraz zakład! Pan wiecznie z temi zakładami!

Karol nic nie odpowiedział, lecz szybko zbiegł ze wzgórza między głazy.

— Przepraszam, biegnę po kwiaty.

— Na cóż panu kwiaty? — zapytuje go Jadzia po powrocie.

— Muszę pani przecież przynieść jakiś dowód, że tu naprawdę byłem. Niema pani kawałka wstążki, albo czego?

Przewiązano wiązankę kwiatów wstążeczką i ułożono je między głazami.

Po powrocie do domu, projekt Karola nie znalazł uznania u starszych. Odradzają mu na wszelkie sposoby, tłumaczą, że nie trzeba nigdy swoim nerwom za bardzo dowierzać, ale Karol się uparł, więc dali mu wreszcie spokój i po wieczerzy zasiedli na ganku, wyczekując północy.

Noc ciemna, bez gwiazd. Wiatr się zrywa. Nie pospuszczano psów, szarpią się na łańcuchach, ujadając zjadliwie.

W ostatniej chwili Jadzię chwyta niepokój.

— Niech pan nie idzie, próbuje tłumaczyć.

— Dlaczegoż to?

— Jeszcze się panu co stanie...

— Naprzykład?

— Ach, czy ja tam wiem. Słyszał pan przecież, że swoim nerwom nie trzeba dowierzać.

— Ja mogę. Moje nerwy starczyłyby na dwóch.

Karol przygotowuje się do drogi. Jadzia gdzieś znikła. Wreszcie i Karol wbiega w ciemność, czyhającą na niego już u ostatniego stopnia kamiennych schodów.

Minąwszy bramę, zatrzymuje się na środku drogi, żeby zapalić papierosa.

Przed nim szara, mętna przestrzeń, tajemnicze połączenie bezbarwnego nieba i bezbarwnych ściernisk.

Zaledwie rozróżnia wąski pasek ściernisk.

W sztywnych źdźbłach powstają jakieś metaliczne chrzęsty, przebiegają w suchych akordach całą tę nierozeznaną szarość i wracają zciszone, bardziej głuche.

Na czoło Karola występują wielkie krople potu. Już widać poszarpany kontur cholerycznego wzgórza, zwanego Pustką.

Jeszcze parę kroków.

Wreszcie dotarł na sam szczyt i, rozglądając się wciąż za kwiatami, nasłuchuje. Cicho. Naraz w głazach parowu i tej liljowej, a niewidzialnej teraz gazie dzwonków i ostróżek, zaczerniało coś lekko, słychać nawpół niby stłumione westchnienie. Stanęło mu na sekundę serce. A tam już się płacze jakieś rozełkały i wiążą w jeden oddech wszystkich pod ziemią śpiących. Oprzytomniał.

— Wiatr — mruczy przez zęby.

Zapalił zapałkę i zabrał się na dobre do szukania kwiatów, lecz zapałka nie zdążyła się wypalić nawet do połowy, ginąc w mchu, upuszczona przez zdrętwiałe raptownie palce.

Na skraju urwiska zamajaczył cień.

— Pan szuka pewnie kwiatów? Tu są. Wiatr je uniósł, leżały na samym brzegu.

Odskoczył.

— To pani? Co pani tu robi?

Jadzia nic nie odpowiedziała.

— Po co pani tu przyszła?

— Ja... ja myślałam, że pan... będzie się bał — wyrzuca z determinacją.

Ogarnęło go zdumienie, z leciutką przymieszką rozrzewnienia. Widzi myślą dziecko, idące tu, w tę Pustkę, małe, samo w mętnej, szarej przestrzeni, samo... żeby on nie był sam.

— Ale po co pani właściwie przyszła tutaj? — wraca znów do swego.

— Już mówiłam — rzuca prawie szorstko.

— Kiedy ja nic nie rozumiem — upiera się natrętnie.

— Mógł się pan czego przestraszyć, zemdleć...

Wybuchnął krótkim, serdecznym śmiechem. W jodłach zrywają się szumy, między głazami wiatr poszczekuje. Jadzię przebiega dreszcz. Teraz dopiero zaczyna się bać.

— Straszno tu... Chodźmy, tam się już pewnie dziwią, że tak długo.

Wracają w milczeniu. Jadzi zimno. Karol nie otrząsnął się jeszcze ze zdziwienia. Królewna, dla której przez cały miesiąc nie istniał, poszła sama w noc i Pustkę, gdzie setki padłych podczas cholery litanję za konających odmawia... dla niego. Niebywałe.

Wakacje na ukończeniu. Ostatnie dnie sierpnia i używania wsi. Wreszcie nadeszła wilja powrotu do Warszawy. Karol rad, jakby go kto na sto koni wsadził. Brak mu już ulicznej wrzawy, wiekuistych dysput z kolegami, przemarkowywanych nocy i innych tego rodzaju przyjemności. Od rana włóczy się po całym Oleandrowie, żeby jakoś zabić czas, dzielący go jeszcze od chwili wyjazdu. Już zawczasu cieszy się myślą tej jazdy. Mają wracać razem ze Stachem, u którego właśnie w gościnie na wakacjach bawi.

Pogwizdując, Karol wszedł do zagajnika. Zagajnik szepce, jakby pacierze wieczorne odmawiał przy gasnącem słońcu, które złote i świetliste pocałunki swe kładzie na odwróconych skibach świeżo zaoranego pola, na źdźbła seledynowe, wychylające się gdzieniegdzie, w prątki migotliwe je przedzierżgnąwszy, pod gałęzie świerków się podkrada, w kępy wrzosów wpełza.

I zapaliły się wszystkie koniuszeczki igieł, zapłonęła codzienna iluminacja, codzienne pożegnanie odchodzącego dnia.

Na wrzosach siedzi Jadzia. Osypało ją światło rzęsistemi deszczami, rzęsy złotem poznaczyło. Naokoło niej wrzosy, jak kwietna powódź. Utkwione w słońce źrenice przenosi na Karola prawie posępnie. Karol usiadł obok.

— O czem pani tak myśli?

— O panu — usłyszał śmiałą odpowiedź, rzuconą bez chwili namysłu.

— Czyżby?... — zauważył niedowierzająco.

— O panu — potwierdziła spokojnie...

— Wolno wiedzieć, co?

— Wolno. Myślałam, czy ja też kiedy pana jeszcze zobaczę. Stachowi już pan przecie nie będzie potrzebny, bo szkołę w tym roku szkolnym kończy i korepetycyj brać już nie będzie... Jutro o tej porze będzie pan już w Warszawie.

— Żal mnie pani?

— A żal...

— To mnie pani widać troszkę lubi?

— Lubię...

— Za cóż mnie tak pani lubi? — dopytuje się, ubawiony szczerze.

— Czy ja wiem...

— Ciekawym, czy jak się za jakie parę lat spotkamy, będzie mnie pani jeszcze lubiła.

— Będę.

I teraz też się roześmiał, sięgnął tylko po leżącą opodal czapkę i podnosząc się z ziemi, wyjął jej z dłoni gałązkę wrzosu, mówiąc:

— Biorę sobie od pani tę gałązkę. Jak się kiedy spotkamy, to ją pani pokażę i zapytam, czy mnie pani lubi.

Nie jeden już raz od tej pory zakwitły wrzosy w zagajnikach Oleandrowa. Karol zapomniał, właściwie nie pamiętał nigdy, a przynajmniej bardzo krótko ową rozmowę z Jadzią. Takie chwile przechodzą wspomnieniami w dnie zwątpień, albo w ostatnich majaczeniach. Życie je płoszy — za dziecinne są, za czyste, a on przecie żył, żył całą piersią, wszystkiemi siłami.

Ze Stachem widywał się rzadko, po skończeniu przezeń gimnazjum —wcale. Wyjechał podobno gdzieś do stryja. W dwa lata później znalazł jego nazwisko w kronice wypadków, w trzy dni — na słupie ogłoszeniowym, w czarnej obwódce klapsydry. Stał mu później długi czas na myśli.

W drugie dwa lata, między wyjętemi z puszki listami, zwróciła jego uwagę długa, wąska koperta, z maleńką literą "P" na skos. Przyjrzał się jej ciekawie. Rozmaite koperty odbierał, ale takiej jeszcze nie zna. Oderwał powoli brzeg, wysunął blady arkusik, zapisany drobnem, śpiczastem pismem, odszukał krótki podpis "Jadzia" i... nie czyta.

Co ona od niego może chcieć? Wreszcie zaczyna czytać:

— "Biorąc odemnie gałązkę wrzosu, powiedział pan, że jeżeli się kiedykolwiek spotkamy, zapyta mnie pan, czy pana jeszcze kocham. Nie spotkaliśmy się, a teraz, choćbyśmy się i spotkali, nie zapyta mnie pan, bo ja już nie mogłabym odpowiedzieć — jutro mój ślub.

Ale ja z tem nie mogę iść do ołtarza. Kocham pana. Kocham i musiałam to napisać, chociaż wiem, że mi pan słówkiem jednem na wyznanie nie odpowie, chociaż wiem, że jestem szalona, posyłając je panu.

Muszę. Żyć mi trudno i smutno. Trudno i smutno od dnia, w którym pan odjechał. Pięć lat, całe pięć lat, dla mnie wieki. Kochałam pana jeszcze dawniej. Na Pustkę już mnie kochanie prowadziło. I jeszcze dawniej, wcześniej, o godzin parę, kiedym zobaczyła pana blisko Heni, ach! i jeszcze wcześniej, kiedym pana jako dziecko na krok nie odstępowała. Nic o tem nie wiedziałam, aż raz, bezwiednie zupełnie zwykłą formułkę w pacierzu o zdrowie pana i szczęście, zmieniłam w krótkie: "Daj mi go"... Czekałam. Tak bardzo, tak ufnie, tak całą swoją istotą prosiłam. Zdawało mi się, że takiej prośby Bóg nie będzie mógł nie wysłuchać. A jednak nie wysłuchał. Nie kocha mnie pan. Gdyby pan mnie kochał, nie czekałby pan, aż nas losy z sobą zetkną. Przyszedłby pan za mną, do mnie... po mnie. Więc dłużej nie czekam i list ten w dziewiczy mój wieczór piszę. Dziś mi jeszcze wolno. I już nigdy nie powiem: "Daj mi go". O szczęście też pana prosić nie mogę, nie umiałabym. Ach, nie! Niech pan będzie szczęśliwy bezemnie, niech pan będzie szczęśliwy, choć ja płaczę i smutno mi... ale modlić się



o szczęście pana nie będę, nie mogę... Bo widzi pan, szczęścia można żebrać dla kogoś swojego, albo kogoś obcego, a pan mi obcym nie jest, a "swoim" — nie będzie. Więc jutro pierwszy raz powiem, a potem już zawsze, zawsze, codzień: — Nie dopuść, Panie, żebym go miała kiedyś spotkać..."

Zapomniał, że czyta. Przed nim na wrzosach klęczy Jadzia. To ona mówi. Usteczka drgają przy każdem silniejszem słowie. Czuje na sobie rozszerzone źrenice. Przy tem rezygnacyjnem "niech pan będzie szczęśliwy bezemnie, choć ja płaczę i smutno mi..." stała się dziwnie przezroczysta, a kiedy kończył list modlitewną formułką: "nie dopuść, Panie, żebym go miała kiedy spotkać" — z rzęs stoczyło się kilka drobniutkich łez...

Uśmiechnął się. Pogłaskałby z przyjemnością tę kasztanowatą główkę i zapytał żartobliwie: skądże to panienka wzięła? Z czegoż to taki stylowy wyjątek? Ale prawda, dziecka już niema, to mówi kobieta. Pięć lat minęło i Karol jest już dzisiaj lekarzem, więc i to dziecko wyrość już musiało. Tak, to mówi kobieta, którą sobie już kto inny wziął na własność.

— Żyć mi trudno i smutno...

Biedna mała. Dopiero kiedy przebrzmiał ten zdawkowy frazes, mózg Karola przeszyła zupełna świadomość, ostra, przykra. Przez niego. Wszystko przez niego i dla niego. Więc co on temu winien? Co winien, że się w nim dziecko zakochało?

Spojrzał na datę. Z przed trzech dni. I tak już po wszystkiemu, a gdyby i nie, to co?

Karnawał był. Na jednej z zabaw Karol zobaczył dziecko z wrzosów. Stali tuż koło siebie. Zbladła i przymknęła oczy, jak przed zbyt jaskrawem światłem. Jemu zamarły naraz wszystkie uczucia. Poszedł za nią z wewnętrznym krzykiem — krzykiem nerwów, krzykiem rozbudzonej świadomości, krzykiem duszy.

Ona... ona. Zgubił ją wreszcie w tłumie. Stanął przy wyjściu. Ocierały się o niego dziesiątki i setki osób. "Jej" nie było. Otrząsnął się. Właściwie po co on tu stoi? Na co czeka? Za nią chce iść? I dokąd? Już nie można. "Już". Takie marne "już", a dla człowieka rozpaczą może być, zabić może. Przed trzema miesiącami można było, dziś — "już" nie. I co on temu winien? Co winien, że w piersiach rósł mu cudowny kwiat i on go złamał? Nie wiedział, że — rósł, nie wiedział, że — złamał. Posiał go tam ktoś bez jego wiedzy, a zamiast powiedzieć mu w chwili, gdy płatki rozchylał: patrz i raduj się — złamał jego własnemi rękami. Jednej chwili mu tylko było trzeba, jednej chwili takiej, jak ta dzisiejsza, jednego spotkania z dzieckiem z wrzosów, aby rozbudzić płomień miłości ogarniającej całe jego jestestwo. Ale nie dziś, nie dziś.

Zawlókł się do domu, przeszukał drżącemi rękami wszystkie szuflady w biurku, natrafił wreszcie na długą, wąską, bladą kopertę i przycisnął do niej usta. Później znowu szukał, szukał długo, a niezmordowanie, póki na list Jadzi nie posypały się ze sczerniałej gałązki wrzosu drobniuchne, pokurczone kwiateczki.

Na falach Bałtyku kołysze się statek spacerowy. Karol cofa się w głąb parowca, ucieka przed samym sobą, ucieka, żeby spragnione ramiona Jadzi nie wyciągnęły się ku niemu tu, wobec tych obcych.

Bałtyk układa się do snu, rozprostowywa, wygładza, cichnie.

Naraz z kajuty wychodzi ona, Jadzia. Karol pobladł i oparł się o bort. Dziwny traf. Spotkali się na tym statku spacerowym, choć nie umawiali się przecie, nie wiedzieli wcale o sobie.

Przystanęła i ona. Po chwili podeszła do niego. Karol błędnym wzrokiem muska usypiające fale Bałtyku, poczem z determinacją szaleńca zaczyna mówić:

— Więc to ja jestem winien, powiedz, Jadziu... Więc to ja?

W zdumionym głosie lęk ma i przerażenie.

— Nie.

— Więc kto? Jadziu, powiedz, kto?

Zamiast odpowiedzi, Jadzia podnosi raptownym ruchem ręce i, zaciskając w nich głowę, wyrzuca rozpaczliwie:

— Boże!... Boże!... Boże!...

— Jadziu!... Jadziu!... Przestań, to boli...

— Boli? O, tak, boli. Okropnie boli...

— I dlaczego to się tak stało? Nic nie wiedziałem, dopiero wtedy, na balu... To było jak błyskawica, oślepiająca, fatalna... I to także boli. Moja wtedy, kiedy mi po nią nie wolno sięgnąć. Jadziu, ja ciebie...

— Cicho. Niech pan nie kończy. Szalałam ze szczęścia, chociaż to chyba nieszczęście było... Boć jakże inaczej to nazwać? Widziałam pana, alem go zabrać sobie nie mogła, nie... Wróciłam wtedy do domu, rzuciłam się do nóg mężowi, mówiłam mu, że cię kocham, jeszcze kocham, wciąż kocham, ale... cóż z tego... przepadło wszystko. Nam nie wolno się połączyć. Nie wolno. Tylko Bóg mógł mi pana dać, wbrew woli nawet, ale nie dał. Czekałam na pana ze spokojem dziecka, dla którego jeszcze świat — to słońce. Dnie mijały — nie przychodziłeś. Coś tam majaczeć zaczęło... Broniłam się, wtedy się Stach zastrzelił — wiara i ufność odbiegły... Musiałam wyjść za Kazika, aby rodzinę od śmierci głodowej ratować. Nie wolno mi było inaczej postąpić. Nie wolno, bo to byłoby, jak morderstwo z premedytacją.

O bort parowca uderzyła silniej fala. Jadzia, z rękami opartemi o bort, wodzi oczami po srebrnej toni. Usnęła im u stóp, pomarszczona w drobną łuskę. Na niebie korowody chmur.

— Śliczny wieczór...

Głos Jadzi ma rzewne, pożegnalne tony, ale Karol nie uważa.

Wyjął z portfelu długą, wąską, bladą kopertę, wysunął z niej brzeg arkusza i gałązkę wrzosu i zapytuje, pochylony nad Jadzią:

— Pamiętasz?

— Pamiętam. Ta miłość do ciebie, to mój wielki grzech. Nie widziałam przez nią nic i nikogo. Przez nią nie dałam szczęścia Kazimierzowi... A jednak dał mi cię, dał. Duszę zaprzepaściłam, siły zużyłam, co spokój nie wiem, ale mi cię dał.

— Dał nas sobie wzajemnie, pozwolił się nam łaskawie spotkać, aby ożyło to, co zastygło. Duszy nie porwiesz w kawałki bezkarnie, jeśli żyć chcesz. Serca nie utrzymasz na uwięzi, jeśli wolnem ono być ma, by miłowało tego, kogo sobie upodobało. Trudno, zamiast my oboje cierpieć, niech cierpi sam Kazimierz. Zamiast dwojga — jedno...

— Nie, Karolu... to nasz pierwszy i ostatni dzień, to ostatnie nasze chwile. Przysięgłam wierność do śmierci i tego nikt już zmienić nie potrafi... nikt...

— Ostatni... — powtórzył za nią bezdźwięcznie. — Tak, musimy się rozejść, rozejść na zawsze... a mogło być inaczej, gdyby...

— Gdybyś ty był przyszedł...

To była ostatnia ich rozmowa.

ECHA ZE WSI.

— O jej, gospodarzu — skarżyła się raz letniczka — lubię śpiew ptasząt, ale to gdakanie kur i gęganie gęsi pod oknem bardzo jest nieprzyjemne.

— A cóż mam robić? Przecie kanarki kurzych jajków nie niosą, proszę pani, — odpowiada rezolutny kmiotek.

OMYŁKA.

— Złapałem cię, drabie, na kradzieży mojego zegarka. I śmiesz jeszcze mówić, że to omyłka?

— Stanowczo omyłka. Myślałem, że to złoty zegarek.

WYROZUMIAŁY KREWNY.

Do pewnego magnata słynnego z hojności zwrócił się jakiś młodzieniec z prośbą o posłuchanie. Magnat przyjął go i po przywitaniu pyta:

— Czegoż pan sobie życzy odemnie?

— Jestem w krytycznem położeniu z powodu braku pieniędzy...

— Aha... Ale z jakiej racji zwraca się pan do mnie? Przecież nie znam pana. Nigdy nawet nie słyszałem pańskiego nazwiska...

— A jednak mam prawo do spodziewania się pomocy od pana — odpowiada młodzieniec. — Jestem pańskim krewnym.

— Moim krewnym! Jakto? W jakim stopniu?

— No, przez Adama i Ewę...

— Aha... Słusznie — odpowiada magnat i dając grosz proszącemu, rzecze:

— Drogi kuzynie, więcej nie mogę panu dać, ale niech pan obejdzie całą rodzinę, a każdy da ci tyle, zbogacisz się napewno!

ZŁAPAŁA SIĘ.

Mąż: — Zdaje mi się, że w całem mieście jest tylko jeden mąż, którego żona nie zdradza.

Żona: — Proszę! Któż to taki?

Mąż: — Jakto, nie wiesz?

Żona: — Absolutnie nie mogę się nawet domyśleć, kto by to mógł być.

DOBRA PORADA LEKARSKA.

— Dobrze, że usłuchałem rady mego lekarza i codziennie rąbałem przez dwie godziny drzewo.

— I odzyskał pan zdrowie?

— Zdrowia nie odzyskałem, ale mam dosyć drzewa do palenia przez całą zimę.







I.

NA imię mi "Governoor Paar".

Jestem pięknym żaglowcem o przepysznych proporcjach i ciężki swój ładunek dźwigam jak piórko. Pojemność moja wynosi 1,000 ton, a we wnętrzu swojem przewożę najczęściej drzewo. Odkilu aż po same czuby masztów przepełnia mnie radosna duma i sprężystość. Marynarze, którzy zetknęli się ze mną, objawiają zawsze niedwuznacznie swój podziw i, rzucając sobie nawzajem porozumiewawcze, zachwycone spojrzenia, szepcą: "Oto jest statek".

Zadaniem mojem — cierpliwa tułaczka po morzu, chwytanie w żagle pomyślnego wiatru i staczanie zawziętych utarczek z nadąsanemi bałwanami. Spełniam je chętnie, bo żywot taki odpowiada mi najzupełniej.

Gdy pod wszystkiemi żaglami, łopocząc triumfalnie, podnoszę kotwicę i wysuwam się na pełne morze, doznaję uczucia niewysłowionej rozkoszy. Przenika ona nawskroś moje drewniane ciało, pulsuje w masztach i dygoce we wrażliwych nerwach olinowań.

Mam tylko jedną wadę, o której nie wie nikt.

Jestem marzycielem.

Ta żmudna a bezbarwna praca ciąży mi. Ustawiczne wchłanianie i wypluwanie ładunków w hałaśliwych, rojnych portach rozdrażnia mnie i wtrąca mnie w bezgraniczny "spleen". Co więcej: z usposobienia jestem samotnikiem. Załoga nie rozumie tego, co nie dziwota, bo ludzie są przeraźliwie tępi. Są święcie przekonami, że ja, "Governoor Paar", jestem tylko martwem, bezdusznem, drewnianem pudłem, które posłuszne woli tej okrętowej czeladzi i jej szypra skazane jest na długą, znojną służbę bez wytchnienia i bez nagrody.

Są oni nieznośni.

Te nieokrzesane, muskularne postacie, mrowiące się ustawicznie po moim pokładzie i w moich wnętrznościach, mącą mi spokój. Stukot ich bosych pięt, wrzaski poważnionych w kasztelu i mlaskanie pożerających strawę codzienną mierzi mnie.

O jakże chętnie strąciłbym ich wszystkich poza burtę jednym mocarnym wstrząsem! Z jakąż lubością pozbyłbym się tego szwargocącego balastu, aby popłynąć sam pod gwiazdami i słońcem, wyzwolony, rozpląsany i zabłąkany na lazurowem rozlewisku! Bez kapitana z cybuchem i rozwichrzoną brodą, bez sternika spojonego nierozerwalnie ze szprychami koła sterowego i bez majtków obsiadających bezkarnie moje maszty i bocianie gniazda.

Samotność na morzu, cóż może być cudniejszego?...

Porwie mnie, rozkołysze mnie, owionie swoim surowym oddechem. Zboczę nareszcie z tej głupio wytyczonej drogi, porzucając nędzny kabotaż, i polecę oślepły, zadyszany, krzyczący w śreżogę niezbadanej dali.

Szerokie, swobodne, potoczyste fale będą się ocierać o moje biodra. Na mojem gnieździe bocianiem zagości księżyc, przechadzający się ponad wodami, i noce rozpuszczą srebrne warkocze gwiazd, otulając mnie swoją słodyczą. Będę już sam na sam z Oceanem wiódł długie, dostojne rozmowy, a wichrom pozwolę gwizdać na śniadych palcach pomiędzy żaglami.

Taka mnie trawiła tęsknota, o takiej śniłem swobodzie.

Aż raz stało się.

Wypłynęliśmy z portu Ingram, pławiąc się rześko w słońcu i w pianach. Przez miesiąc cały pomyślnie szła żegluga i już się nachylały ku nam podzwrotnikowe lasy Brazylji z przeciągłym, budzącym dreszcze szelestem. Atlantyk był słodki i pieszczotliwy, a smakował delikatnie i soczyście, jak złoty banan.

Ale na morzu rządzi kaprys.

Burza, która osaczyła nas pod zwrotnikiem, była straszliwsza od wszystkich, na jakich wypróbowałem dotąd odporności mojej powłoki cielesnej. Maszty moje trzeszczały jak członki w stawach, liny pękały jak konopne sznurki, a wściekłe huczące bluzgi przelewały się przez mój pokład, aż zachłystywałem się ich słonym haustem. Jęcząc i miotając się, kłaniałem się nawałnicy, a załoga była pewna, że nadszedł kres jej żywota.

Toteż widząc, żem doznał niepokojących uszkodzeń, skorzystała skwapliwie ze sposobności przeniesienia się na wielki transatlantycki parowiec, który brnął majestatycznie przez rozhuśtaną przestrzeń tuż obok.

Uciekli, a ja zostałem sam.

Ich rozszerzone, zafrasowane oczy śledziły mnie zapewne długo, dopókim nie zniknął poza spienionym widnokręgiem. Sądzili, że odmęt połknie mnie, jak wieloryb bezbronnego skorupiaka, i że szczątki moje spoczną na mrocznem dnie Oceanu na przeznaczonem dla siebie miejscu wśród olbrzymiego cmentarzyska zatopionych w ciągu stuleci okrętów.

Zostałem sam wobec pieśni rozszalałych falowań i gnałem przez szkarłatną kurzawę pian, jak widmo...

2.

Był to pochmurny dzień listopadowy.

Statek angielski "Saksonja" mknął chyżo po średnicy ogromnego koliska wód. Surowy, słony przeciąg dął ponad kominami i masztami. Ponure, granatowe wały szły, hucząc. Dokoła, jak okiem sięgnąć, szalały błędne piany.

Miało się już ku zachodowi i słońce, przenikając szarugę chmur, posłało w dół trzy groźne smugi przydymionego złota. Potem przeciągłe westchnienie fali zmieszało się z nadpływającą zewsząd krwią. Jedna połowa morza pokryła się mnóstwem kołyszących się plam szkarłatnych, druga powlekała się przerażającą sinością pełną złowrogich ostrzeżeń.

Naraz oficer strażujący dojrzał ze swego pomostu na tle czerwonej pożogi zachodu ciemną sylwetkę żaglowca.

— Okręt przed nami!

Gdy "Saksonja" zbliżyła się na odległość mili morskiej do tego statku, zauważono rzecz dziwną.

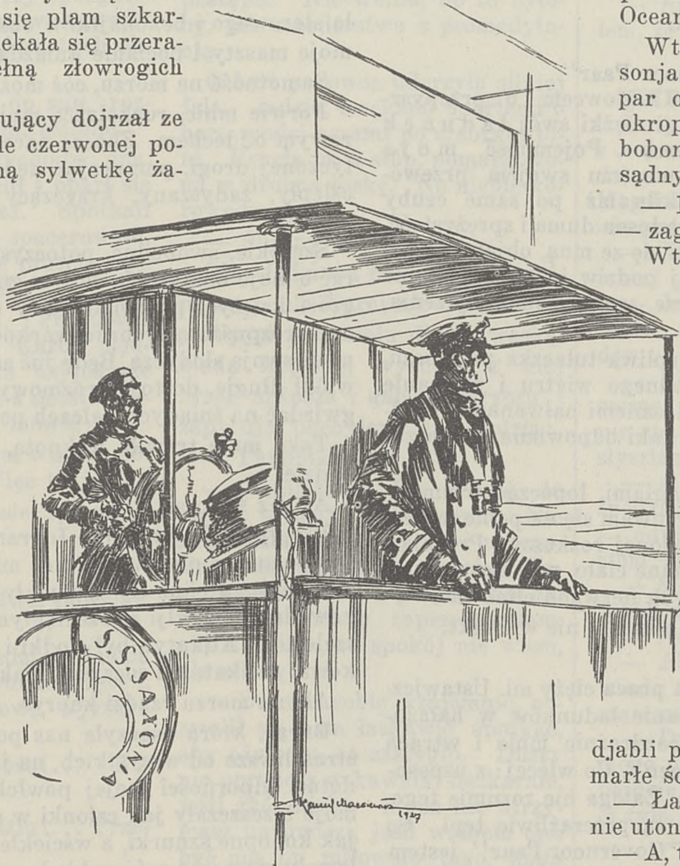
— Ależ on jest bez załogi — zdumiał się kapitan.

— I pokaleczony szpetnie.

— Bezanmaszt całkiem zniosło.

— A żagle podarte, jak łachmany.

Istotnie nieopodal od prawej burty "Saksonji" kołysał się bezwładnie na falach opustoszały okręt. Obwisłe były jego żagle, splątane liny i kadłub zanurzony po sam pokład dziobem tylko wychylał się wysoko ponad powierzchnię morza, a czarna włócznia bukszprytu godziła w niebo jak rozpaczliwe bluźnierstwo. Ociężale słaniał się nieszczęśliwy żaglowiec, przewalając się poprzez dźwigające się grzbiety bałwanów.



—Okręt przed nami!

— Dziw, że nie zatonął dotąd.

— Trzeba zbadać, co się stało z załogą.

Spuszczono szalupę.

Pierwszy oficer wsiadł do niej wraz z pięciu majtkami i łódź odbiła od "Saksonji", dążąc ku nieznajomej fregacie. Jak śmieszny korek huśtała się na hamakach wzdętych wód, wznosząc się ponad różowe grzebienie pian i zapadając w otchłanie. Widać ją było, jak dosięgła burty żaglowca i przykleiła się do niej, jak ostryga do skały wybrzeża. Maleńkie postacie ludzi wbiegły na pokład, znikając pomiędzy szczątkami strzaskanej nadbudowy.

Myszkowali tam długo, a kapitan niecierpliwił się.

Łuny zagasły, słońce poszło na dno, jak kamień rzucony z nieba, a noc rozpylała kurzawę ciemności.

Statek-widmo zbliżał się coraz bardziej i wnet tuż nad głowami załogi zamajaczały jego wyniosłe, tajemnicze maszty. W mrokach, przy wtórze poświstów wichrowych głucho łopotały, szamotając się, łachmany jego żagli jak gromady nadlatujących skądś upiorów. Coraz to pochylał się na ukos, ku powierzchni morza w straszliwym pokłonie i wyglądał wtedy, jak czarny sztandar zniżany ręką piekielnego chorążego przed srogim włodarzem — Oceanem.

Wtedy usuwająca się "Saksonja" z trwogą wlepiała sto par oczu w zamiatające niebo okropne zjawisko, a dreszcz zabobonny wstrząsał ciałami przesądnych majtków.

— Hej tam! Wracajcie już! — zagrzmiał kapitan.

Wtedy nad głównym lukiem ukazał się porucznik i odkrzyknął:

— Wracamy zaraz!

— Cóż to za przeklęty truposz?

— To "Governoor Paar". Załoga opuścił go.

— "Governoor Paar"? Pamiętam. Miesiąc temu rzucono go na pastwę losu.

— Trzyma się dobrze...

— Jakim sposobem? Dawno już djabli powinni byli wziąć to obumarłe ścierwo...

— Ładunek drzewa... Z tem nie utonie.

— A, to co innego. A jak tam we wnętrzu?

— Wszystko w porządku. Maszty tkwią mocno, kabiny w doskonałym stanie, a co dziwniejsza, kotwica nie naruszona...

Z takim wynikiem oględzin mała załoga szalupy zrejterowała na swoje macierzyste pudło.

— Cóż z nim uczynimy?

— Sądzę, że nic — odburknął szyper. — Nie będziemy chyba wlekli tego rumowiska przez tysiąc mil aż do wybrzeża!

— Tedy jedziemy dalej!?

I "Saksonja" rozpędziła się znowu i poleciała, jak nocny, szeleszczący ptak długiemi skokami w głąb nieprzebitych ciemności.

"Governoor Paar", szalony pływak, śmiał się urągliwie chichotem swoich rozwianych łachmanów.

A morze wydało głuchy namiętny okrzyk i runęło

nań w ponownym wybuchu drapieżnej pieszczoty...

Gdy "Tampa" podczas swojego spaceru z Waszyngtonu do Rio de Janeiro spotkała się w noc księżycową z błędnym statkiem, kapitan jej aż w dłonie klasnął ze zdziwienia.

— Halloo! — zawołał.—Czyżby to był ten szaleniec "Governoor Paar", o którym opowiadali nam ludzie "Saksonji"? To chyba nie możliwe... Nigdy w to nie uwierzę, żeby takie strzaskane pudło mogło się trzymać przez cztery miesiące na morzu!

Ale zbliżenie się do okrętu-widma na mały dystans przekonało nietylko jego, ale i całą załogę o możliwości tego faktu.

— Ani chybi, biesy opiekują się nim — szeptali marynarze.

— Chłopcy! — rzekł kapitan. — Nuże wziąć się do tego gratu! Nie możemy pozwolić, żeby ta nędzna skrzynia z drzewem straszyła wszystkie uczciwe okręty. Weźmy go na liny i przyholujmy go do najbliższego wybrzeża...

— Szyper dobrze mówi — przytwierdził po cichu bosmanmat. — Warto się trochę pomozolić, a uwolnić Ocean od zmory. Musi on mieć jak najgorsze zamysły, — ten dziki żaglowiec, skoro dotąd nie poszedł na dno pomimo burz i gór lodowych.

"Governoor Paar" wkrótce potem zakołysał się gwałtownie pod mocnem szarpnięciem i przytroczony do "Tampy", jako do holownika, podążył za nią rzekomo posłuszny i pozbawiony życia.

Ale naraz stało się coś dziwnego.

Lina holownicza pękła, jakby ucięta nagle, i z brzękiem odprysła. Marynarze krzyknęli, a "Governoor Paar" zatrzymał się nieruchomy i urągał skrycie.

— Co to ma znaczyć?—krzyknął kapitan.—Czyżby ta lina była ukręcona z końskiego ogona?

— Lina jest dobra — potrząsnął głową bosmanmat.

— Brać tedy drugą! Przecież nie ustąpimy...

Po raz drugi jęto się pracy i gruba, stalowa lina, naprężona sztywnie jak struna pomiędzy rufą "Tampy" a dziobem żaglowca, zabrzękła na wietrze.

Naraz załoga wzniosła okrzyk stokroć donośniejszy od poprzedniego i nabrzmiały przesądną trwogą.

— Urwała się! Znów się urwała!

A wtedy rozległ się ochrypły i nieco drżący głos kapitana:

— Jazda! To djabelska sprawka...

I uciekli, a "Governoor Paar" milczał wzgardliwie.

3.

Było to dla mnie wprost niezwykłe odkrycie.

Nigdy bym się nie był spodziewał, że nie jestem samotny. Tyle miesięcy minęło już przecież od chwili rozstania się ze mną załogi, że nieprawdopodobieństwem było, by ktoś z niej mógł się zataić pod pokładem tak, bym go nie spostrzegł. Wprawdzie składy żywności były pełne i można z nich było czerpać obficie, czem tłumaczę sobie przeżycie tak długiego okresu przez tę ludzką istotę, ale zdumiewającem było to, że w ciągu tylu dni i nocy nie pokazał on się na pokładzie.

Że nie pokazał się, to pewna, bo w przeciwnym razie nie byłby uszedł mojej uwagi.

Dopiero, gdy ten amerykański natręt zczepił się ze mną, aby mnie przyholować do portu (o zgrozo!), dopiero wtedy człowiek ten wypełzł na pokład środkowego trapu. Na ten widok wzdrygnąłem się cały. Skąd, jak?! Gdzie ukrywał się?

Jego czarny, schylony cień przekradał się ostrożnie na bok do braszpilu. Tam go śledziłem uważnie, patrząc, jak skulony u nasady bukszprytu majstruje coś u liny holowniczej.

Osłupiałem.

Tajemniczy upiór ludzki odcinał mnie od obcego okrętu.

Chociaż obecność jego na moim pokładzie przejęła mnie obrzydzeniem i gniewem, nie mogłem nie poczuć pewnego rodzaju wdzięczności dla oswobodziciela. Podziw mój i szacunek dla niego zwiększył się, gdy po powtórnym zabiegu amerykańskiego natręta wziął się znowu do dzieła i po raz drugi przeciął holowniczą linę.

Obcy statek przeraził się widać, bo umknął i swoboda moja nie została ukrócona. Wtedy człowiek ów wyprostował się dumnie i, wyrzucając ramiona w niebo, począł śpiewać głosem ochrypłym i fałszywie jakąś dziką, niezrozumiałą pieśń.

Kroki jego zadudniły po mokrych deskach. Powracał na śródokręcie. Tu powałęsał się chwilę w milczeniu, poczem zniknął w czarnym otworze trapu do kajut- kompanji.

Nocy tej pijany szkwał wziął się do mnie i dął w poskręcane szmaty żaglowe, zrywał mi liny i przewalał mnie z boku na bok. Czarny widnokrąg raz dźwigał się z zawrotną szybkością w górę, a razem z nim gnały gwiazdy, poczem wszystko to zapadało się gwałtownie z powrotem.

Nad ranem mróz powlókł mnie całego szronem, a na pokładzie uczyniła się istna ślizgawica. Pogoda była psia, co nie dziwota, bo niosło mnie coraz dalej ku północy. Świt był ponury i słone, obryzgane pianami słońce było jakieś okopcone i ledwie się tliło. Fale szumiały, przelewając się przez rufę, i były szare, jak roztopiony ołów. Kostniałem dosłownie.

Wtem wyszedł na pokład mój człowiek.

Wolałbym się go doprawdy pozbyć, bo nie potrzeba mi świadka mojej rozpasanej wolności, ale to, że jest on samotny, jak i ja, nastraja mnie ku niemu uczuciem przyjaźni. Przyglądam mu się z bliska i naraz żagle moje łopocą okrzykiem zdumienia.

Jest to mój szyper.

Widzę oto tę chudą, wyniosłą postać, te ramiona, które tyle razy wznosiły się rozkazującym gestem, tę głowę siwą, głowę starego wilczura Oceanów, który tak jak ja nieraz już zawarł bliższą znajomość z wściekłością nawałnicy. Siwa jego broda okrutnie splątana rozwiewa się, z pod brwi krzaczastych łyskają niesamowitym blaskiem jego ślepia. Obrosłe, poorane bruzdami oblicze ogorzałe, zczerniałe od wi-

chrów, poddaje znów słonym biczowaniom mroźnego powietrza.

A więc, gdy uciekali, on został! Dlaczego?

I czemu odciął linę holowniczą, która mu niosła ocalenie? Stoi u bakbortu, ramiona na piersi założył i wlepił spojrzenie w posępne omglenie widnokręgu. Ten sam niby, ale jakiś inny. Źrenice jego płoną nieznanym mi pożarem myśli rozszalałych, a postać cała nadaje mu pozór raczej jakiegoś morskiego straszydła, niż szypra uczciwego okrętu. Odzież jego w łachmanach, na barkach ma kapotę z podartego żagla.

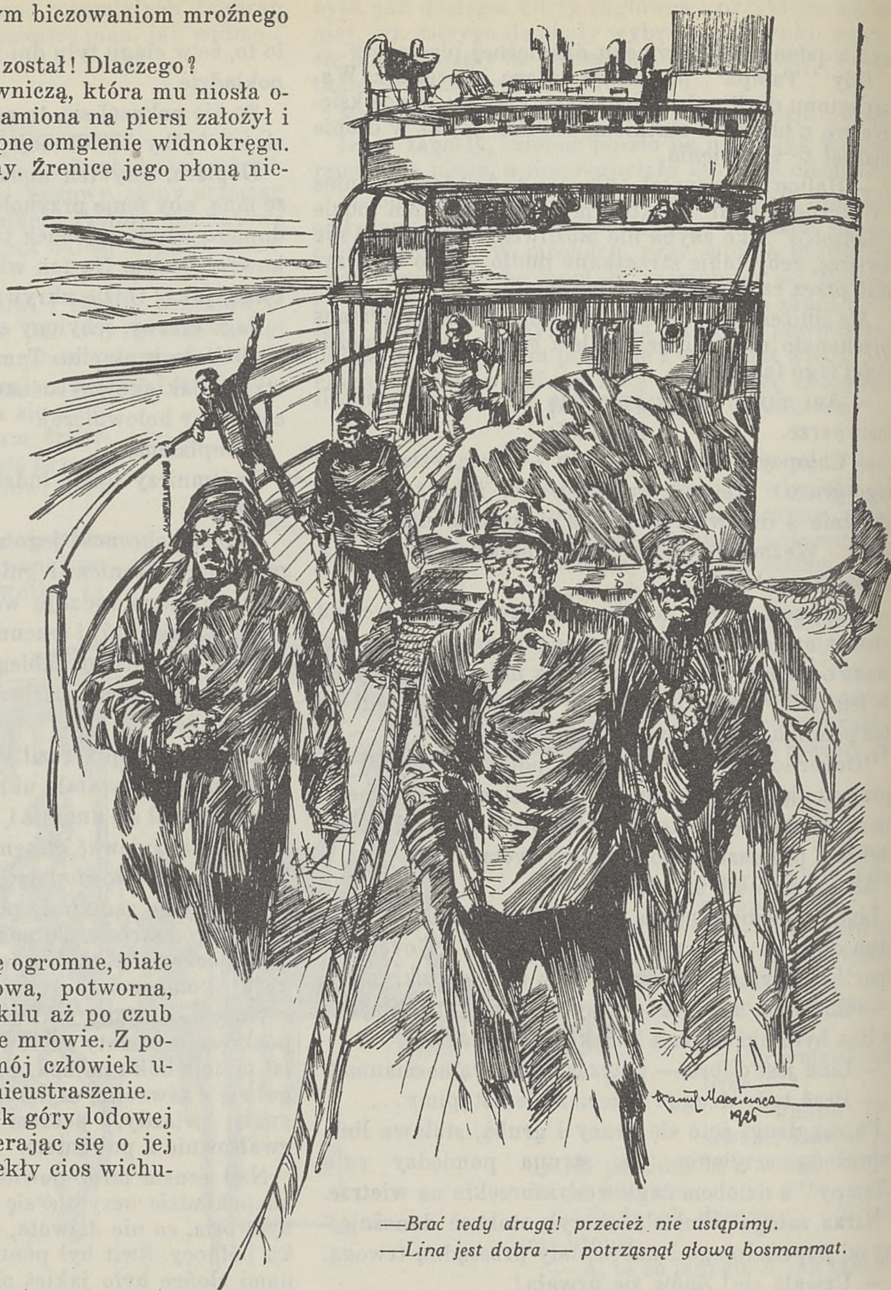
Patrzy on i patrzę ja, patrzymy oboje, jak na horyzoncie zjawiają się zdrętwiałe zarysy lądu, białe i błyszczące grozą.

— Labrador — mówi szyper.

Tak, to jest Labrador, półwysep śnieżnego pustkowia i nieprzebytych lasów. Śnieg poczyna padać bezszelestnie, przysypując mnie miękkim puchem. Mróz sroży się i na wąsach szypra widzę bryłki lodu. Czyni się ćma okrutna, wicher dmie i wyje przeraźliwie, a niebo znęca się nad nami coraz to gęstszą śnieżycą.

Na kursie, po którym gna mnie sztorm, zjawia się ogromne, białe widmo. Jest to góra lodowa, potworna, śmiercionośna bryła. Od kilu aż po czub grot-masztu przebiega mnie mrowie. Z podziwem spostrzegam, że mój człowiek uśmiecha się wzgardliwie i nieustraszenie.

I nagle przebiegamy obok góry lodowej bez szwanku, niemal ocierając się o jej ścianę, a zaraz potem wściekły cios wichury rozbija ją w drzazgi.



—Brać tedy drugą! przecież nie ustąpimy.
—Lina jest dobra — potrząsnął głową bosmanmat.

4.

Gdy w parę miesięcy potem z początkiem lipca o wybrzeża Europy obiły się wieści o zjawieniu się okrętu-widma w pobliżu wysp Kanaryjskich, wysłano z Lizbony holownik, któremu przykazano surowo, by zniszczył i zatopił owego straszaka Atlantyku.

Dufny w siebie i śmiały dowódca okrętu drwił sobie z zabobonów i twierdził, że dobre są one dla chłopców okrętowych i kuchtów z kambuzu. Klechdy portowe uważał za bezgraniczne bzdury i ani przez chwilę nie wierzył w to, by ów szalony żaglowiec, zwany "Governoor Paar", opętany był przez djabła.

Ale gdy statek jego, parskając parą, wykręcił się na południe, majtkowie żegnali się.

— Nic dobrego nie wyniknie z tej hecy — szemrali.

Jeden z nich, sternik najstarszy wiekiem, wziął na odwagę i poszedł do dowódcy.

— Panie—rzekł półgłosem.—Czy mamy naprawdę zniszczyć okręt-widmo?

— Nieinaczej — brzmiała odpowiedź.

—Panie, chciałbym cię ostrzec. Z nim nie należy zadzierać. Może nam się co przytrafić.

— Mam rozkaz.

— Rozkaz rozkazem, ale ten, kto się spotka z widmem, zginąć musi. To nie przelewki...

Ale przełożony jego wzruszył tylko ramionami i zaśmiał się, wobec czego sternik skrzywił się desperacko i powrócił z niczem do oczekującej nań z zapartym tchem załogi.

I oto rzecz niebywała.

W tej samej chwili, w której luneta strażnika wyśledziła na horyzoncie błędny statek, niebo zawaliło się chmurami i wściekły sztorm nadleciał ze świstem.

Chór fal zahuczał, jak sto dzwonów, a Bóg machnął z niebios olbrzymiem kropidłem rzęsistej ulewy. Holownik wzięty w nielada obroty z trudem wspinał się na bałwany wysokie na parę pięter, które rosły straszliwie ponad kominami statku i spadały na łby przerażonej załogi, zmuszając ją do łykania całych wiader wody.

"Governoor Paar" zagubił się bez śladu we mgle i deszczu, a wkrótce przyszedł taki zamęt i takie potworne oberwanie chmury z młóceniem piorunów i rozkolebaniem Atlantyku, że należało niezwłocznie brać nogi za pas i zmykać ku wybrzeżom.

Co też uczynić musiał ze wstydem i złością.

— Poznałem duszę mojego szypra.

Jest samotnikiem, tak jak i ja. Nie popełnię omyłki, twierdząc, że widok ludzi napełnia go wstrętem. Jest wyznawcą wielkiej, rozkołysanej swobody pod słońcem i pod gwiazdami. Kocha morze i moja miłość dla morza nie dziwi go, bo i on ją podziela. Obaj tedy mamy jedną kochankę.

Ale ja nie jestem o niego zazdrosny i nie obawiam się jego współzawodnictwa w moich żywiołowych, przepysznych zalotach. On jest tylko brodatym, kosmatym człowiekiem, którego trudnoby było dostrzec na bezbrzeżnem rozlewisku Oceanu. Ja zato jestem "Governoor Paar", okręt. Okręt—to pęd, to potęga, to niedościgniony wdzięk. Oddech mój, gdy owionie fale, napełnia je dreszczem lubości. Gdy spoglądam na nie, przeciągają się, prężąc w niewysłowionej rozkoszy. Miłują mnie i dla mnie tańczą.

W mojem ożaglowaniu gra niebo na fletni szalonych poświstów.

Moje maszty — to wykwit smukłości i strzelistości. Na ich bocianich gniazdach kołysze się majestatycznie morska duma, przesycona solą i niebem. Spójrzcie, jak się po wantach wspinają słodkie westchnienia, jak się na wielkich płachtach kliwerów kładzie łagodnie rozmarzone powietrze.

A kiedy zawyje wicher i dźwigną się falujące wzgórza, któż mi sprosta w przedziwnej urodzie? Pod napiętemi żaglami niecierpliwię się w biegu, ja, biegacz niedościgniony, wywiadowca nietkniętych szlaków.

Nic to, że mnie zszargała ta wyuzdana żegluga. Nic to, żem rozczochrany, jak piękna czarownica, i że się pławię po biodra w wodzie, ledwo nie tonąc. Urok mój inny teraz, dzikszy i bardziej rozpasany, ale mi go nikt i nic nie odejmie.

Płynę i marzę.

Pomiędzy zwrotnikami pluszczą dokoła mnie ciemno-zielone delfiny. Ryby latające eskortują mnie. Słońce rozjuszone miota na mnie z zenitu prostopadłe promienie, susząc me członki na szeleszczący wiór. Do płuc moich przenika żar nie ugaszony niczem za każdym oddechem.

Czasem nad masztami zahuczy wiatr, jak z wnętrza rozpalonego pieca, lecz zaraz cichnie. Brnę powściągliwie, wytrawny pływacz przez lazur i złoto. Rozwlekłe rozleniwienie otacza mnie błękitnem koliskiem.

Marzę o niezmierzonych oddalach, o lotach pomiędzy słońcami, o szkarłatnych banderach zachodów zanurzanych w morzu. Marzę o żegludze bez końca, o jędrnym okrzyku burz, o skudlonych bałwanach. Marzę o wyspach rozrzuconych jak szmaragdy po srebrnej topieli, o cieśninach przepuszczających mnie bezpiecznie pomiędzy dwiema ścianami gór bazaltowych, o zacisznych zatokach, w których spokojnie odzwierciedla się porosłe lasem dziewiczym wybrzeże. Marzę o ponurych, nagich cyplach, o szczerbatych przylądkach, ponad któremi z wrzaskiem unoszą się mewy i o które dzień i noc bębni nadąsane morze.

A poza tem wszystkiem w mglistych, nieokreślonych zarysach wyłaniają się przedemną jakieś miasta nadbrzeżne znane mi z opowieści braci-okrętów. Widzę złocone kopuły i półksiężyce minaretów, widzę wieżyce pagód i słyszę głuche uderzenia azjatyckich gongów.

I płynę, a wraz ze mną płynie samotny człowiek.

Statek "Zarja", płynący do Przylądku Dobrej Nadziei, dostrzegł mnie u wybrzeży Afryki. Była prześliczna pogoda od wielu już dni. Morze opalizowało, a niebo było przeczyste, bez jednej chmurki.

Gdy obcy zbliżał się do mnie, przeczułem odrazu, że mię coś niedobrego czeka. Szalupy podsunęły się i na pokładzie moim zaroiło się od ludzi. Chodzili, łomotali ciężkiemi krokami, hałasowali nieznośnie. Bałem się okrutnie, że znajdą mojego szypra, a wtedy kto wie, co by się stało. Może ci głupi, nieokrzesani ludzie zabiliby go. Ale nie było go nigdzie i uspokoiło mnie to. Zapewne skrył się głęboko w moich wnętrznościach.

Intruzi krzątali się na baku...

Zdumiałem się, widząc, jak suche części mego ciała polewają oni jakimś płynem, poczem poczęli rozniecać ogień.

Naraz zrozumiałem wszystko. Żałość i gniew wezbrały we mnie. Bezsilność moja napełniała mnie bezgraniczną rozpaczą.

Chcieli mnie spalić, spalić doszczętnie wraz z moim człowiekiem, a ja nie mogłem nic poradzić na to.

Szwargotali, śmiali się, poczem zażegli płomień.

Uciekli na łodzie i odpływali do swego statku, ciesząc się, że ogień obejmował mnie już. Suche deski trzeszczały, syczały wilgotne zwały lin, gęste, duszące kłęby dymu buchnęły w niebo. Czerwone jęzory wysunęły się łakomie i obmierźle z paszczy pożogi i lizały pokład, zbliżając się do śródokręcia.

A "Zarja" zadowolona ze swego dzieła ruszyła i wkrótce już zapadła się poza horyzont.

Po paru godzinach ogień uchwycił zębami za sztaksel napięty tak pracowicie przez mego szypra po ostatniej burzy i pożarł go w mgnieniu oka. Potem przyszła kolej na szczątki fokmasztu, który mi sztorm obalił przedwczoraj. Powoli zamieniałem się w słup dymu i, jęcząc z bólu, gorzałem, jak samotna pochodnia w pośrodku wodnego pustkowia. Pożar ześlizgiwał się w dół po trapie do kasztelu i nieubłaganie osaczał mój jedyny maszt sterczący dotąd dumnie w niebo z przepysznie umocowaną w belce kilu piętą.

Ale wtem zjawił się człowiek.

Skoczył na bak, rycząc. Oczy jego nabiegłe krwią ciskały gromy. Jak tygrys dawał potężne susy od płomienia do płomienia, walcząc zaciekle. Rąbał toporem, zażegnywał, dusił. Wiadrami nosił wodę i lał wprost w brzuch pożodze. Syczało, zwijało się, kłębiło chmurami dymu.

Aż zagasił i wtedy z ust jego wydobył się śpiew triumfalny...

Żyliśmy znowu!...

5.

W ciągu następnych dni szyper krzątał się fraso-

bliwie tu i owdzie, nic nie pomijając, zaglądając wszędzie i bruździąc śniade czoło. Czasami nieruchomiał i zamyślał się głęboko. Mózg jego pracował ustawicznie, a ciało coraz to zwiększało wysiłki.

Mamrocząc, wyciągał ze składów zapasowe płachty, choć nadgniłe nieco, ale zawsze możliwe do użycia, i zawieszał je na masztach. Znowu szył, pocąc się nad zardzewiałą igłą, znowu cerował zawzięcie, znowu łatał. Znużenie waliło go z nóg, ale on nie zaznał spoczynku. Liny wywlekał na pokład z czeluści trium, czyścił ster, nurkując, i usiłował podnieść rufę ponad powierzchnię morza.

Fokmasztu nie mógł postawić i to doprowadzało go do rozpaczy, widziałem bowiem, jak ściskał dłońmi skronie.

Tymczasem chłody nadciągały, szumiąc, i wichry wylęgały się poza widnokręgiem. Krótkie szkwały i przeciągłe wiejby wstrząsały nami bez końca.

Szyper zwijał się, jak duch. Napinał i zwijał żagle, przestawiał i mocował je, dysząc.

Dniami i nocami pchało nas na południe, a nagłe przechyły kładły mnie to na bakborcie, to na sztymborku. Dnie były jak z ołowiu, a noce czarne, jakby nas zanurzono w wiadrze ze smołą. Targało mną, zżymało się i podrzucało na huczące piętra wód. Widnokrąg tańczył, kołysał się i poprostu szalał. Niosło go w górę i strącało w przepastne otchłanie, a ja czubem masztu naśladowałem wahadło, to zamiatając nim niebiosa, to trzepiąc bezsilnie o wodę.

Aż raz nadleciał sztorm tak straszliwy, jakiego nie oglądały dotąd moje oczy. Stałem się wątłą łupiną na wściekłym żywiole. Spienione morze nadało mi pęd taki, że z krzykiem przecinałem powietrze. Nawałnica pchnęła ku niebu bałwany, jak potężna dźwignia. Gwiżdżąc, przerzynał przestrzeń czub grotmasztu przechylany błyskawicznie z jednej na drugą stronę, opisując łuk olbrzymi. Góry toczyły się z grzmotem głuchym; przeraźliwe, ziejące bruzdy otwierały się. Od czasu do czasu przy zwrotach wichura waliła się na mnie całem miażdżącem brzemieniem, a wtedy szła na mnie fala, jak niebosiężny taran, hucząca i wyższa ponad mój maszt. Kędzierzawa i ciemnozielona dymiła nad wierzchołem białem mlekiem pian, aż runęła na mnie, zalewając mnie zupełnie. Dusząc się, naprózno walczyłem z jej ogromem, dopóki nie wydobyłem się z niej zwycięski, lecz potrzaskany i ociekający wodą.



Wtedy człowiek ów wyprostował się dumnie i, wyrzucając ramiona w niebo, począł śpiewać. . .

A człowiek mój trzymał się wciąż.

Klaszcząc i hucząc, pękały żagle, a szczątki ich fruwały wokół niego. Uwieszony na rei pod szkotami, krzyczał dziko i, parskając, wypluwał słony napój, którym go nasyciła fala. Leciał wraz z masztem w szalonych pokłonach, maleńki chorąży na swoim poszarpanym sztandarze, i sił ostatkiem zmagał się z burzą. Wyglądał, jak morski bożek, półnagi, czarny i oślizgły, z włosem zlepionym na głowie i oplątany siecią wodorostów.

W tumulcie fal cwałowaliśmy oślepli i pijani obłędem. Rozłupywaliśmy z głuchym chrzęstem bałwany i tarzaliśmy się w rozwścieczonym Atlantyku. Całe niemal olinowanie poszło w zawieruchę jak na dziwne ptactwo, stosy zapasowych lin zmyło nam w morze, a kambuz zdruzgotało jak nędzny szałas.

I tak przez całe trzy dni gnaliśmy z olbrzymim miotem wód, gdy huragan chwytał nas na arkan i włókł w zaciśniętej pętli. Słuchaliśmy pieśni Oceanu, straszliwej, jak wycie tysięcy djabłów morskich, ale pięknej jak uroczysty dźwięk fanfary. Wśród kwiku fal, ryku, gwizdania i trzasku w gejzerach błyskawic drżeliśmy z zachwytu.

Aż ułagodziło się nieco, a oczom naszym przedstawił się obraz zniszczenia. Mój ostatni maszt złamany leżał bezsilnie, ciężarem swoim przechylając mnie tak, że całe środokręcie stało pod wodą.

Płynęliśmy na wschód pod lodowatym powiewem.

Jednego dnia ujrzeliśmy nowy statek. Zbliżał się ukośnie. Na jego widok szyper mój zaskowytał boleśnie i, unosząc ramiona, zawrzasnął:

— Hej ty, "Governor Paar", spójrz, znowu ścigają nas!

Tak, znowu osaczali nas ci wstrętni, nienawistni ludzie, a on, mój człowiek, mój własny człowiek — bał się ich.

— Mój cudny, stary gracie — wołał.—Chcesz raz jeszcze ulec ich ohydnym torturom? Czy znowu zbezczeszczą nam świętość naszej samotnej żeglugi, znowu w rozmowę naszą z morzem wplątają swoje obmierzłe języki!? Jakem twój szyper, nie zgodzę się na to!

I zniknął pod pokładem, a ja nie wiedziałem co chciał uczynić. Naraz przebiegł trapem do kajut-kompanji. Na plecach dźwigał czarną baryłkę. Raz jeszcze ujrzałem go, jak szedł ponury i natchniony, z płonącym lontem. Nareszcie pojąłem jego zamiary.

Szalupy parły ku nam wskroś odmętów...

Westchnąłem po raz ostatni.

A wtem huk potworny wstrząsnął niebem, płomień buchnął i niebo stanęło w czerwonym blasku, a moje wnętrzności przeszył ból przeraźliwy...



Tadeusz Bliziński

MAŁŻEŃSKIE WYWCZASY

Obrazek z Życia

— Baw się dobrze, a pisz często!

— A i ty nie zapominaj pisać!

Jeszcze jedno wszechogarniające spojrzenie, a w niem skondensowana tkliwość, czułość, melancholja i rzewny smutek.

Pociąg ruszył. Tonio wydobył pospiesznie chustkę, począł nią wywijać, idąc obok wagonu, z którego wybłysła raz jeszcze "łzawo" uśmiechnięta twarz jego żony. Za nim szła jakaś niewiasta i powiewała również chustką ku wychylającemu się po pas mężczyźnie, który posyłał jej raz po raz całusy.

W pewnej chwili Tonio przystanął, kiedy pociąg opuścił hallę i rozpłynął się w oddali, i, westchnąwszy (z żalu czy też z... ulgą?), zawrócił ku wyjściu. Przed nim szła nieznajoma jakaś kobieta. Chcąc nie chcąc Tonio musiał zauważyć, że ma przed sobą parę bajecznych nóżek, obciągniętych pajęczyną miedzianej pończochy. Reszta wydawała się niezgorsza, o ile można było stwierdzić stylu.

Tonio przyspieszył kroku, ale tylko tyle, aby nie spłoszyć "zwierzyny" i, wymijając ją, spojrzał przelotnie a wnikliwie w twarz...

— Klasa! — Zaopinjował, więcej z nałogu niż z przekonania i uśmiechnął się na wszelki przypadek. Z pod przesłony długich rzęs wyjrzały na chwilę turkusowe oczy... trochę zdziwione i zaniepokojone i, odwzajemniły, tak przynajmniej zdawało, jego uśmiech.

— Przywalić się, czy nie? — wahał się. — A może nie wypada... tak zaraz po odjeździe żony! A zresztą... było nie było... spróbować nie zawadzi...

Tonio odwrócił się twarzą do nieznajomej, która zwolniła kroku i... badał sytuację. W kącikach ust pięknej blondynki dojrzał ledwie dostrzegalny uśmieszek... To go zachęciło. Ale jak zacząć? Aha, mam już, mam...

— Przepraszam za śmiałość — zdobył się na odwagę, uchylając kapelusza — ale o ile mi się zdaje... łaskawa pani... to oboje jesteśmy w podobnej sytuacji... Ja odprowadziłem żonę a... pani zapewne męża?...

Milczenie.

— Pozwoli pani, że się przedstawię... Teofil Link, inżynier.

Nieznajoma przyspieszyła kroku, jakgdyby chciała uciec przed natrętem.

— Łaskawa pani jest zapewne oburzona na moją śmiałość... Rozumiem i przyznaję rację, że ulica nie jest stosownem miejscem do zawierania znajomości... i proszę z tego powodu nie sądzić źle o mnie... ale ta niezwykła, a podobna dla nas obojga sytuacja...

Milczenie.

— Myślę właśnie o tem, że jesteśmy oboje "słomiani"... ja "wdowcem", a łaskawa pani "wdową"...

Milczenie.

— Jeśli łaskawa pani czuje się dotknięta mojem natręctwem i życzy sobie, abym odszedł, to... przepraszam najmocniej — i uchylił znów kapelusza, jak gdyby zamierzał odejść.

— No... bezczelności to panu nie brakuje! — odezwała się wkońcu osaczona "zwierzyna" i obrzuciła natręta "wyniosłem" spojrzeniem, głos jej jednak świadczył nie tyle o wzburzeniu, co raczej o swego rodzaju uznaniu dla "wytrwałości" Tonia.

— Nareszcie! — zatriumfował w duchu Tonio, dumny, że atak "flankowy" odniósł sukces i "obraz przemówił".

Po wyruszeniu z "martwego punktu" rozmowa skleiła się jakoś i potoczyła się już gładko i Tonio dowiedział się wszystkiego, co mu było potrzeba. A więc, że piękna pani nie mogła towarzyszyć mężowi w podróży do Zakopanego, ponieważ musiała pozostać przy chorej matce, że mąż, który jest prokurentem banku, rozpoczął kilkutygodniowy urlop na który pojechał sam i... że... ostatecznie może nie miałaby nic przeciwko temu, aby, jak to proponował Tonio, pójść któregoś wieczora do kina, skoro Tonio, który urlop swój zaczynał dopiero za kilka tygodni, nie uważa za konieczne skazywać się na nudy.

Ani się spostrzegli, jak znaleźli się przed domem pani Olgi Żarskiej.

— Do widzenia...

— Do rychłego zobaczenia...

* * *

Z ciężkiem westchnieniem oderwała się pani Nina od okna, kiedy sylwetka męża powiewającego chustką rozpłynęła się w oddali. Weszła do przedziału, gdzie siedział jakiś pan "w sile wieku" i czytał gazetę.

Aby zabić nudę wlokącej się beznadziejnie jazdy, sięgnęła do torebki podręcznej po Wallace'a "Łowcę głów".

— Sześć godzin — myślała z przerażeniem i żal miała do męża, że nie pojechał z nią razem do Zakopanego. Wogóle nie mogła opędzić się przykremu wrażeniu, że mąż przyjął jej odjazd z pewnem, nie dającem się ukryć zadowoleniem, chociaż minę miał oficjalnie dość przeciągniętą...

— Naturalnie... tylko czekał na to, aby móc "zażyć" wolności i swobody — rozgoryczała się — i teraz zapewne układa już sobie plan kam-

panji donżuańskiej na czas najbliższy... Och, wstrętni ci mężczyźni...

Aby zamanifestować swój wstręt i pogardę dla wszystkich mężczyzn bez wyjątku, wydęła z niesmakiem usta i odwróciła się gwałtownie do okna, zwłaszcza, że poczuła wzrok podróżnego z naprzeciwka, łakomie pełzający po jej smukłych łydkach od bucików po kolana.

Pan z "chciwemi oczyma" zakrył się dla niepoznaki gazetą i udawał naraz niewiniątko, co jednak nie przeszkadzało mu od czasu do czasu zerkać poprzez płachtę dziennika, ale już krótko i rzeczowo. Pani Nina rozpłaszczyła rasowy nosek o szybę okna i ze skupieniem usiłowała liczyć białe słupki kilometrowe; ale to nie bawiło ją długo i powróciła znów do lektury kryminalnego romansu; cóż, kiedy żadną miarą nie mogła zorjentować się w mocno pogmatwanych perypetjach kryminalistycznych i z tępą rezygnacją postanowiła nudzić się... bez książki. W pewnej chwili wzrok jej mimowolnie poszybował w stronę pasażera, który, widocznie już całkiem skruszony, rozczytywał się zapamiętale w "Kurjerze".

Pani Nina stwierdziła, tak sobie, od niechcenia, że jest wcale... wcale "do rzeczy"; gustowny krawat, dobrze skrajany sportowy garnitur, zgrabna noga, włosy starannie przyczesane, osrebrzone na skroniach, rysy regularne... nos trochę krogulczy... Oczu nie widziała, bo utkwione były w gazetę.

Na to wszystko wystarczył jej jakiś ułamek sekundy, bo zaraz "uciekła" z oczyma do książki, aby nie zdążył zauważyć tej lustracji.

Ale jego czujnemu a raczej przyzwyczajonemu oku nie uszło to muśnięcie spojrzeniem zadąsanej towarzyszki i już zachęcony począł śmielej i bardziej jeszcze zachłannie wodzić żarłocznemi oczyma już nietylko po jej nóżkach, ale i wzdłuż wzorowej linji bioder i ramion i z uznakiem zatrzymał się dłużej na efektownie "zrobionej" twarzyczce z ciemną krwistą rysą ust, starając się wślizgnąć pod powieki, skrywające zazdrośnie tajemnicę ócz, aby tam zapuścić sondę wnikliwego spojrzenia.

Panią Ninę drażniły ale i podniecały mile te chłonne, uporczywe spojrzenia, przebiegające celowo i systematycznie wzdłuż i wszerz wypielęgnowanego ciała. Czuła, że prawdziwie się podoba i... zapragnęła podobać się jeszcze bardziej; dlatego otworzyła torebkę i stwierdziwszy w lusterku, że ton twarzy ucierpiał nieco spowodu upału, poczęła dyskretnie przypudrowywać koniec noska i umiejętnie rozprowadzać pyłek pudru po całej twarzy. Z kolei zwilżyła nieco językiem usta i "zrobiła" je wprawnie sztyfcikiem karminu i poprawiwszy, ale już tylko palcami wąski łuk brwi, zamknęła spowrotem torebkę i wsunęła się głęboko w plusz siedzenia, a oczy zapatrzone wgłąb swoją własną, utkwiła ponad głową swego towarzysza w jego walizce.

Nagle książka, porzucona przez panią Ninę obsunęła się i spadła z hałasem na podłogę. Towarzysz podróży porwał się szybko i podniósł "Łowcę".

— Dziękuję...

— Proszę bardzo. A... może służyć pani "Kurjerem", "Światowidem," "Wróblami na dachu"...? Bo, o ile zdążyłem zauważyć. Wallace nie zdołał łaskawą panią zainteresować na dłużej...

— Dziękuję... a zresztą, skoro pan już tak uprzejmy, to... poproszę o "Światowida"...

— Służę pani. Pani zapewne do Zakopanego?

— Tak jest.

— I to niezawodnie szanowny małżonek... odprowadzał panią na kolej?

— Tak...

— Podobnie jak mnie moja żona, która, niestety, nie mogła jechać razem ze mną do Zakopanego...

Rozmowa zawisła w powietrzu. Pani Nina poczęła przerzucać ilustracje, a pan z "żarłocznemi oczyma" powrócił z wymownem westchnieniem do swej lektury.

— Pozwoli pani — odezwał się, odczekawszy chwilę — że uczynię to, co zwykło robić się dopiero wtenczas, kiedy przygodni towarzysze podróży rozstają się z sobą, to jest, przedstawię się... Ludwik Żarski, bankowiec...

Pani Nina z wahaniem wyciągnęła rękę, na której Żarski wycisnął soczysty pocałunek, przytrzymując ją dłużej.

— Linkowa...

Teraz już było rzeczą inwencji, wymowy i wrodzonych Ludwikowi zdolności, aby rozmowę tak opornie nawiązaną, utrzymać i poprowadzić zajmująco, błyskotliwie, w miarę nawet pikantnie, to znów w tonie zwierzeń, któreby od biedy mogły uchodzić za szczere.

Specyficzna atmosfera pociągowa sprzyja bowiem, jak rzadko która, zwierzeniom i wylaniu; ludzie zupełnie obcy czują nagle potrzebę dzielenia się swemi przeżyciami i pozwalają wglądnąć, jeśli już nie w samą "głąb" swych dusz, to przynajmniej do ich przedsionka i to, czegoby nigdy nie powiedzieli przygodnemu sąsiadowi naprzykład w teatrze czy w tramwaju lub restauracji, mówią bez zastrzeżeń towarzyszowi podróży w pociągu.

Ludwik Żarski posiadał w znacznym stopniu ów kunszt zainteresowania swoją osobą kogoś, na kim mu zależało i emanował niejako ze siebie sympatyczną aurę. Naraz wydało się pani Ninie, że "łączy" ją z nim więcej, aniżeli z niejednym z jej oficjalnych adoratorów z kawiarni i dancingu i że... wogóle... Gniew na męża już się gdzieś zatracił i ustąpił miejsca jakiejś wdzięczności, że tak się stało a nie inaczej...

Wszystko składało się doskonale, jak zwykł mawiać przyjaciel Żarskiego, pan Władzio Górka i 'znajomość z pociągu" nie miała przejść bezskutecznie, skoro tak pani Nina jak i pan

Ludwik, całkiem przypadkowo, wynajęli ten sam pensjonat jako miejsce sezonowego pobytu...

* * *

"Drogi Ludwiku! O ile wnosić mogę z twojego milczenia, to musisz bawić się dobrze w Zakopanem tak, że nie masz czasu na napisanie kilku słów do żony. Nie sądź jednak, że robię ci z tego powodu wymówki. Owszem, cieszę się nawet, że tak jest i życzę Ci abyś odpoczął należycie i "odprężył" swe nerwy, na które tak często skarżyłeś się w domu. Spodziewam się, że Zakopane zrobi Ci dobrze i wrócisz odświeżony i bardziej zadowolony z życia i... z otoczenia. Wyobraź sobie, że odkąd wyjechałeś, Mamie jest coraz lepiej. Ja, o ile nie czuwam przy Mamie, chodzę nieraz do kina, aby nie uschnąć z nudów, przed któremi Ty uciekłeś do Zakopanego. Całuję Cię, Twoja Olga.

P. S. Aha... czy znasz może inżyniera Linka, którego przypadkowo poznałam?

* * *

Drogi Toniu! Zapewne musisz gniewać się już na Twoją Ninkę, że tak długo nie pisze, ale, faktycznie, nie mogłam znaleźć wolnej chwili, aby skreślić kilka słów do Ciebie. Otóż pensjonat mam dobry, jedzenie smaczne i obfite, towarzystwo wcale miłe. Czuję się coraz lepiej, nerwy w porządku, weranduję, robię wycieczki dolinowe i kąpię się w Jaszczurówce, a od czasu do czasu tańczę u Trzaski. Znajomych z Krakowa nie brakuje, ale mało interesujących, chyba z wyjątkiem niejakiego Żarskiego, bankowca, którego poznałam w pociągu. Przypuszczam, że musisz go znać z widzenia. Naturalnie żonaty.

Czy bardzo tęsknisz za swoją żonką? Sądzę, że nie... Znając Ciebie dobrze, ty stary łobuzie... tembardziej, że nic nie piszesz... zapewne musisz bawić się niezgorzej ode mnie. Ale... nie zdradzaj mnie i pilnuj domu, aby nas nie okradziono. Całuję Cię, Twoja Nina.

P.S. Przyślij mi moją drugą, liljową pyjamę, którą zostawiłam w szafie.

* *

— No... no... traf czy przeznaczenie? — mówili niemal w tym samym czasie Teodor Link i Ludwik Żarski, przeczytawszy listy od swoich małżonek. I zadumali się głęboko...



Orka jesienna na Dolnym Śląsku.

Tadeusz Kudliński

PANIENKA Z OKIENKA

Nowela

Pan Edmund był doprawdy przemiłym człowiekiem. Nic dziwnego więc, że w dniu jego imienin i tego roku nie brakowało nikogo ze znajomych w obszernym, wygodnie i ze znawstwem urządzonym salonie. Solenizant nie wymówił się oczywiście od tego, by zagrać ulubioną rapsodję Liszta. Zebranie odbywało się w miłym i wesołym nastroju. Było może nieco zbyt gwarno i można było obserwować, że piękna twarz pana Edmunda ściągała się chwilami skurczem zniecierpliwienia, szczególnie gdy głośny śmiech kobiecy psuł stylową atmosferę salonu.

Wtedy gładził ręką zaczesane wtył gęste, czarne włosy, przyprószone lekko siwizną.

Gdy wreszcie towarzystwo zaczęło się rozchodzić, pan Edmund jął nam, ściślejszym przyjaciołom, dawać sygnały, byśmy zostali, co było nieomylnym znakiem, że w gabinecie przygotowano znakomity koniak i czarną kawę po turecku.

Zasiedliśmy rzeczywiście w przyćmionem świetle gabinetu w miękkich fotelach. W powietrzu snuł się wonny dym cygar i papierosów. Przez chwilę panowało milczenie, którem napawaliśmy się z ulgą po ożywionej atmosferze salonu. Byliśmy w swojej zaufanej paczce. Wreszcie doktór R. zwrócił się do Edmunda:

— Wie pan, ile razy jestem u pana, zawsze dziwię się brakowi kobiety w tem, tak mile i systematycznie urządzonem życiu. Dlaczego właściwie nie ożenił się pan?

Pan Edmund uśmiechnął się lekko.

— Odstraszyło mnie jedno zdarzenie, które mnie... to jest jednego z moich przyjaciół spotkało. Było to zresztą dosyć dawno. Najlepiej gdy je wam opowiem. Ocenicie czy miałem rację. Nie chciałbym zresztą, by ktoś z was, moi drodzy, wyciągał jakiekolwiek konsekwencje z mego opowiadania. Życie jest tak różnorodne i nie waham się twierdzić, że zdarzenie takie może się jeszcze powtórzyć. Posłuchajcie więc i pozwólcie, że historję tę przedstawię z pewnemi upiększeniami.

Zapaliliśmy świeże cygara, rozsiedliśmy się wygodniej i pan Edmund zaczął mówić:

— Zaczęła się ta, dziwna swoją drogą, historja, całkiem poprostu, w pewnym pokoju na trzeciem piętrze. Był to zwyczajny pokój kawalerski, w którym mieszkali dwaj przyjaciele. Przyjaciół tych nazwiemy... no... Piotrem i Pawłem. Piotr był wysoki, ciemnowłosy, Paweł niższy, drobny o jasnych włosach. Paweł nosił okulary. Szczegóły te są zresztą najzupełniej obojętne. Tyle więc co do przyjaciół.

Pokój zaś, co jest okolicznością o wiele ważniejszą, miał duże weneckie okno, które wychodziło na wąwóz wąskiej ulicy śródmieścia, wydrutowanej elektrycznemi przewodami, pełnej ciągłego szumu i dalekiego rozgwaru, gęglenia dzwonków tramwajowych i trąbienia samochodów. Jeżeli to okno uważam za ważny czynnik tego całego wydarzenia, to dlatego, że było ono ważną przyczyną późniejszych psychicznych komplikacyj, a zarazem zaczątkiem przypadkowej i niewinnej zresztą znajomości z oknem naprzeciw.

Okno naprzeciw było poprostu ramą, w którą ujęte widniało życie dwu studentek. Znajomość rozpoczęła się od przelotnego uśmiechu, który odbił się w szybach tych okien, jak zabłąkany promień słońca lub jak światełko, rzucone zwierciadłem. Wzajemne pole widzenia było doprawdy niewielkie i sięgało najdalej jeden metr wgłąb pokojów i to przy dobrem oświetleniu.

Na tym tylko, pierwszoplanowym odcinku życia poznawano się wzajemnie. W czasie gdy przystępuję do opowiadania, znajomość ta i wzajemne stosunki były uregulowane. Jakkolwiek ta nić, przerzucona przez wąską ulicę, była wątła, niemniej jednak w życiu tych czworga a raczej trojga ludzi była bardzo ważna. Jeżeli ograniczam ilczbę osób do trzech, to dlatego, że w kontakcie byli z jednej strony Piotr i Paweł, a drugiej zaś tylko jedna lokatorka. Druga zdradzała nieprzystojną obojętność i właściwie nie brała udziału w stosunkach. Obracała się w sferze pokoju poza tym pierwszym planem jednometrowym. Tak więc uwaga przyjaciół zwrócona była na jedną tylko studentkę, z wyglądu starszą.

Była ładna, o ile sądzić można kobietę przez szerokość ulicy i z portretu górnej połowy ciała. W ile więc z tych danych wynikało, była ładna. Kokieteryjnie, kobieco, mile-ładna...

Z korespondencji tej międzyokiennej wynikała pewna zażyłość, a nawet sympatja, w której napewno było dużo płciowości, pokrytej niefrasobliwością wesołości i lekkością młodości. Przyjaciele wyładowywali w tej, nasuniętej przez przypadek okoliczności, swą tęsknotę za kobietą, którą u Piotra scharakteryzować można było nazwą "szczęścia do kobiet", u Pawła zaś marzeniem o posiadaniu własnej kobiety, żony.

Proceder znajomości wyglądał tak, że o ustalonych godzinach Piotr lub Paweł rzucał uwagę: "Jest przy oknie", lub: "wstała", czy też "ma nową suknię". Poczem obaj czekali na jej "przypadkowe" spojrzenie i zginali się wtedy w dwornym ukłonie. Ona odpowiadała energicznem skinieniem głowy, dołączając uśmiech

jakby zmieszany, co im obu niezmiernie pochlebiało, poczem z urywanych gestów, spojrzeń wyłaniała się już rozmowa na migi o pogodzie, o aktualnych drobnych wydarzeniach. Powolne doskonalenie się w tym systemie pozwalało "mówić" nawet komplementy, przyjmowane z jej strony z wesołą odwagą, podszytą może miłym strachem.

W rezultacie znajomość doprowadziła do poufałości i zażyłości, a utrzymana była ze strony przyjaciół w granicach dobrego tonu o obowiązującej grzeczności. Jakkolwiek nie można mówić w tych warunkach o uczuciu zazdrości między Piotrem i Pawłem, to jednak stwierdzić należy, że każdy z nich inną kroczył drogą. Piotr znajdował się w stanie pewnej podświadomej czułości wobec zjawiska znaprzeciw, pokrywając ten stan lekkim tonem przypadkowego a niewinnego flirtu. Paweł zaś, poważniej myślący, jak się zdaje, wyprowadzał dalsze konsekwencje, gdyż z niejasnych domówień, można było przypuszczać, że poza tym codziennym, międzyokiennym trybem, szukał zetknięcia. Tak naprzykład pewnego dnia oświadczył, że "jej na imię Jadzia" przyczem nie dodał skąd pochodzi ta wiadomość. W każdymbądź razie obaj nadawli sprawie znaczenie małoważne i za takie je może nawet uważali. Trudno osądzić, jak było w rzeczywistości.

Znajomość ta trwała już dwa lata i wedle oficjalnego stanu, nie wyszła poza ramy rozmowy na migi, jakkolwiek składano nawet w ten sposób życzenia imieninowe.

W czasie, o którym teraz mówię, Jadzia wyjechała na wakacje, a okno z naprzeciwka stało się puste i martwe. Nie otwierało się, zasnute było mgłą nieobecności ludzkiej, obce. W tym czasie Paweł również wyjechał na wieś, a Piotra powołano na ćwiczenia wojskowe. Lato było niezmiernie upalne.

Ćwiczenia takie dają porządną szkołę, jak wam wiadomo. Pozorna ta wojna tem różni się od prawdziwej, że nie grozi śmierć i że znacznie większe niewygody trzeba znosić. Na wojnie człowiek wżyty jest już w te osobiste warunki bytu, zadomowiony wprost w tym trybie. Na ćwiczeniach niema czasu by się przyzwyczaić i niewygody znosi się z przykrością.

Przeklinał więc Piotr upał i kurz, zimne noce i deszcze, niedostatek w jedzeniu, zapchlone chałupy chłopskie, nocne alarmy, marsze nużące i to bezustanne poganianie. Odbywał ćwiczenia przy swoim pułku, jako oficer artylerji. Maszerowali więc wśród spiekoty po jakichś rozpaczliwych piachach, w których działa grzęzły po osie i trzeba było wyciągać je na linach, wykonywali odwroty i przesunięcia. Powoli, pod koniec ćwiczeń wracał Piotr do wojskowego fasonu, zostawiwszy za sobą szarą neurastenję dnia codziennego.

Opalił się i wyszczuplał. Klął jak niegdyś. Pił jak wiarus. Więc te uciążliwości przestały dokuczać, bo wystarczającem zadośćuczynieniem za jakieś ciężkie ćwiczenie, był taki rozrumieniony, rozczochrany wieczór w wiejskiej karczmie z kolegami, kochanymi pijakami. Gdy zalewano pały i grasowały niemożliwe dowcipy, bratano się szczerze i z animuszem. Więc już miło było z baterją wjeżdżać do miasta przydrożnego i dać się nieść koniowi i czuć w sobie taką, psiamać, tężyznę, idącą od tego munduru, rzemieni i pasów siodeł, uprzęży i dział. Boskie poczucie opalonej cery i prostych pleców.

Tak więc to życie wojskowe, ten urok, ten czar munduru, zastrzyknęły Piotrowi tęgą dawkę drapieżności życiowej i śmiałości. Trudno tylko było jeszcze przyzwyczaić się do kwater. Manewrowali bowiem w dosyć ubogiej okolicy i ciężko bywało wśród kurnych i nędznych chałup wynaleźć czyste i wolne od owadów spanie. Stodoły i szopy zajęte były przez konie, a z ludnością toczyły się boje o bylejaki snopek zboża, zżarty przez konie, o naręcz siana, o każdy patyk. Nielepiej bywało też w miasteczkach.

Nie chciałbym was znudzić opowiadaniem, moi drodzy, więc pomijam wiele szczegółów...

Manewry się kończą. Baterja wchodzi do miasteczka N. Konie ciężko kiwają łbami, przysiędzionemi białym kurzem drogi, jakby delikatną siwizną. Mokre plamy potu widać na zadach końskich i na plecach ludzkich. Czerwone twarze świecą od potu. Maszeruje się z godnością i poczuciem własnej wyższości nad te rozdziawione gęby tubylców.

Działa dudnią po bruku uliczek, pnących się wgórę ku rynkowi. Stare miasteczko rozrzucone na wzgórzach. Z kłębów zieleni wystercza wieża kościoła. Na rynku jak się patrzy, fara, ratusz i strażnica. Rynek jak stadjon. Baterją można obrócić.

I rwetes zakwaterowania. Więc najpierw konie. Tyle, że się wpadło na flaszkę piwa do kółka rolniczego. Otwieranie stodół, szukanie właścicieli. Potem obrok. Noszą kanoniery wodę. Już rozmamane bractwo łazi, myje się pod studniami, podśpiewuje, zęby szczerzy do dziewcząt. Kuchnia dymi obiecująco.

No, nareszcie. Teraz kwatera dla siebie. Idzie Piotr zmęczony z poczciwym urzędnikiem magistratu, krętemi, wąskiemi uliczkami, z których sączy się niby chłód. Kilka kwater niemożliwych. Piotr chce raz porządnie się wyspać. Czysto i porządnie. Urzędnik jest zafrasowany mocno. Ociera pot z łysej pały.

Myśli poczciwina swą dużą głową, żeby przecież wyszykować porucznikowi porządną kwaterę, bo i szacunek wobec władz wojskowych i polecenie starostwa i burmistrz i tego... A tu upał myśleć przeszkadza urzędowo i pragnienia przywodzi pozasłużbowe, niemoralne, na ten przykład na flaszkę piwa w chłodnej salce kółka rolniczego... Więc urzędnik oczy przymyka by obraz flaszki stracić z głowy i decyzją ostatnią rusza jeszcze w "pewne miejsce".

Nauczycielką jest. Osoba szanowna i wiekiem podeszła. Więc, żeby cicho i ostrożnie. Kwatera byłaby jak ulał. Tyle, że wzmiankowana nauczycielka niechętnie tego, bo tam raz coś nie tego...

Zostawia Piotra na ulicy przed obszerną małomiejską posesją, a sam znika, sobie tylko wiadomemi drogami przez podwórze i ganki, by omówić sprawę kwatery. Wreszcie kwatera zostaje przyznana porucznikowi. W drodze przez stromy ganek napada go paskudny pies, który zdecydowanie broni dostępu. Mała i krótka bestja o moręgowatej sierści i zakręconym kilka razy ogonie, szczeka na całe gardło i czyni harmider na całe obejście. Piotr jest w zbyt dobrym humorze, by się gniewać. Wyciąga rękę i próbuje pogłaskać potworka. Równocześnie głosy domowników wzywają i zaklinają "Tuhaj beja", by dał pokój. Tuhaj-bej pozwala się głaskać, niemniej jednak szczeka coraz głośniej, jakby na wiwat i obwąchuje szczegółowo cholewy butów Piotra.

Widocznie woń była przyjazna i przyjemna dla psiego węchu, bo całe nieporozumienie rozpływa się. Tuhaj-bej milknie wreszcie i warcząc tylko dla zaznaczenia swej ważności, prowadzi gościa w domowe pielesze. Ze srogiego cerbera robi się niegroźny kundel, skapryszony i małomiasteczkowo ważny.

Pokoik okazuje się niewielki, ale czysty i choć za kuchnią położony, ale pod gwarancją wolny od robactwa. Pięknie. Można umyć się i ogolić. Wbrew pierwotnym horoskopom o niegościnności nauczycielki, ukazują się pierwsze objawy życzliwości. Stara kucharka znosi miednice, wiaderka, kubełki, ręczniki, ciepłą wodę, białą, pachnącą pościel. Pokoik staje się komfortowy. Roztacza się rodzinna atmosfera starania o zmęczonego przybysza.

Piotr jest przyjemnie zdziwiony.

— Ale to nie pani zasługa — mówi kucharka. — To panienka...

— Ach, tak! — uśmiecha się Piotr.

— Panienka jest na wakacjach, pani leży chora.

Piotr zrzuca mundur, wydecha gorąco i upał. Woda, ciepła i zimna woda, mydło i szczotki, woda kolońska... Chwila odpoczynku w chłodnej izdebce.

Piotr jest dobrze wychowany i chce podziękować, ostatecznie przedstawić się. Żeby te poprzednie jakieś nieporozumienia gospodyni z armją zatrzeć grzecznością i postępowaniem jak należy. No, i panienkę trzeba przecie zobaczyć... Zostają tu dziś i jutro. Czemu nie? Jutro niedziela. Zresztą ta atmosfera niemal rodzinnego domu pociąga go, przyswaja. Nie czuje się obco. Chce poznać te kobiety.

Stara prowadzi go przez jakieś ganki i sienie do mieszkania. I popatrzcie! Co za zdumienie!

No, nie... coś podobnego!

Piotr rumieni się wprost, bąka pod nosem, szasta nogami. Ona uśmiecha się kokieteryjnie, jak przez okno... Panienka z okienka!

Pierwsze zmieszanie mija. Piotr mówi już teraz to, co zamierzał. Przez drzwi oświadcza swe uszanowanie leżącej dobrodziejce i wpada w miłą i potoczystą rozmowę z Jadzią. Jest wprawdzie mniej ładna niż z obrazu w oknie, podkolorowanego fantazją Piotra. Tak, mniej ładna. To nie znaczy wcale, by była nieładna. Pewne szczegóły urody poprostu tracą zbliska swój urok. Choćby zęby niezbyt równe, usta może za pełne. To przelotne rozczarowanie daje Piotrowi więcej pewności siebie, swobody w rozmowie. Jest śmiały, nie przytłacza go zbyt oszołomiająco. No, dziewczyna, poprostu ładna dziewczyna, całkiem zwyczajnie na wakacjach u mamy.

O flircie z okien nie pada wyraźne słowo, tylko małoznaczące niedomówienia. Mama może usłyszeć z drugiego pokoju. Piotr jest wesoły, błyszczy dowcipem. Wszystkie ruchy i powiedzenia udają mu się.

Reszta dnia upływa mu na służbie. Wieczorem wraca do swego pokoju i rozkosznie zasypia w czystej i chłodnej pościeli.

Niedziela budzi go w sympatycznej postaci starej kucharki, która przynosi śniadanie. Nakarmiony doskonałą kawą, Piotr wymyty, ogolony, wyczyszczony, świecący, siedzi w ogrodzie. Pali papierosa. Jest jeszcze cudownie świeżo, a już pachnąco od idącego dnia. Miasteczko jest ciche. Odświętnie ubrani ludzie idą wolno ulicami. Tuhaj-bej wącha kwiaty na grządkach i dostojnym truchtem biegnie po żwirze. Siada u nóg Piotra. Poskrobawszy się z niecierpliwością w postrzępione ucho, ziewa i ogląda się na gościa, to na furtkę. Piotr jest mu za to wdzięczny. O... jest i Jadzia!

Idzie od furtki aleją ogrodu, zgrabnie stawiając nogi. Jest w lekkiej, kolorowej sukience z szalem na obnażonych ramionach. Piotr nie umiałby powiedzieć, jakiego koloru jest suknia, wie jednak że dziewczyna jest urocza i ma ją sfotografowaną na kliszy pamięci.

Ona pachnie świeżością i niewiadomo: dniem tym czy perfumami, których zapach miesza się z zapachem kwiatów. Wszystko razem spływa się w jedno wrażenie urody, kobiecości, niedzieli, słońca i śpiewu ptaków.

Piotr czuje niezmierną wdzięczność, że ona jest taka miła i tę kobiecość swą podaje mu z uśmiechem. Atmosfera podnosi się wraz z temperaturą o parę stopni. Piotr czuje się jak fabrykant samochodów na Riwierze. Chciałoby mu się cicho śpiewać, gładzić smukłe ramiona dziewczyny, twarz zanurzyć w jej włosach. W letniem rozleniwieniu mijają szybko słodkie chwile i... czas iść do kościoła.

Piotr ma zajęcia służbowe, więc się rozstają, pełni rozbudzonych pragnień, niewyrażonych a już skrystalizowanych.

...Nalejcie panowie, koniaku. Koloryzuję

trochę miejscami. Jednak samą rzecz przedstawiam wiernie — wtrącił opowiadający.

Rzecz dziwna, że w czasie popołudnia, gdy spacerowali po ogrodzie i siedzieli w altanie, nie doszło po tej porannej uwerturze... do niczego. Piotr, jakby umyślnie przedłużał ten stan niespokojnego i wreszcie podniecającego wyczekiwania. Być może, że działał tu nimb idealistyczny, którym otoczył tę dziewczynę jeszcze w mieście. Być może również, że były to skutki tego nienormalnego poznania się przez szerokość ulicy, że czynnik odległości i poczucie odgrdzenia przestrzenią, narzucone przez przypadek, teraz nie pozwalało jeszcze pokonać się okolicznościom jakoby sprzyjającym. Wreszcie Piotr może miał moralne skrupuły? Nie umiem odpowiedzieć na te wątpliwości.

Pod wieczór przeszli do mieszkania i wszczęli rozmowę o ostatnich filmach. Pewne znużone rozczarowanie spływało po białych firankach, kładło się wraz z żółtem światłem naftowej lampy na ich postacie, schylone nad obrusem. Za otwartem oknem leżał cichy wieczór, pachnący ciemnością przesyconą oddechem kwiatów.

Wieczór parny, wróżący gorącą lub burzliwą noc.

— Kto wie, czy nie będzie burzy?

Piotr miał następnego ranka ze świtem odmaszerować dalej. Miało się urwać to, co dziś się wiązało i ulec niewiadomemu działaniu, rozpuszczającego wszystko czasu. Coś jakby smutek rozstania wsączył się w rzeczywistość, że to już minęło, przeszło...

Ona wydobyła pamiętnik i z miłem zawstydzeniem i jakby żalem, prosiła o wpisanie się. Uczynił to odruchowo i bezmyślnie, dziwiąc się całemu spotkaniu i sobie.

Tymczasem rzeczywiście zbierało się na burzę. Huczące głucho grzmoty przetarczały się w czerni nocnej, a firanki wzdymały się lekko.

Wkońcu podziękował za tak miłą gościnę, pożegnał się i po wzajemnem "dobranoc" odszedł do swego pokoiku za kuchnią.

Teraz poczuł niesmak do siebie i żal za straconem przeżyciem. A powietrze było parne nad miarę. Nie zapalając światła, rozebrał się i w otwartem oknie palił papierosa. Poczęły kapać grube krople deszczu. Westchnął i zapalił drugiego papierosa. Niepokój nadchodzącej burzy udzielał mu się nieświadomie.

Czuł, że nie zasnąłby teraz. Wreszcie ulewa zaczęła szumieć po drzewach w sadzie, sycąc powietrze świeżym chłodem. Zamknął okno i wdziawszy piżamę, wyszedł jeszcze do kuchni po wodę.

W przeraźliwej błyskawicy, która lunęła światłem przez okno, ujrzał ją... w negliżu...

W tym momencie trzasnął głuszący grom i w oszołomieniu znaleźli się tak blisko siebie, że musiał objąć ją ramieniem. Nim blask błyskawicy zgasł, połączyły się ich usta gorącym pocałunkiem, wyzwalającym całą tęsknotę dnia dzisiejszego, a zarazem budzącym w ciemności pożądanie, które ciepłym prądem przepłynęło ich ciała, zamykając wreszcie ogniwo rozłączenia. W szumiącej i bulgocącej deszczem nocy przeżyli chwile szczęścia w małym pokoiku za kuchnią, nie widząc się wzajem w ciemności czarnej jak smoła.

Martw, chłodny świt, obmyty deszczem zbudził Piotra z ciężkiego snu tupotem koni w uliczce, dzwonieniem strzemion. Szybko ubrał się, wciągnął buty, zapiął ostrogi. Cicho wyszedł na ulicę, dosiadł konia i ruszył.

Już zmierzam do końca...

Skończyły się manewry i skończyły się też wakacje. Przyjaciele spotkali się w starem mieszkaniu. Po przywitaniu stoją chwilę w oknie, jakby czekając.

— Jadzia nie przyjechała — mówi wreszcie zamyślony Piotr.

— Mhm... — potwierdza Paweł.

Zdjął okulary i przeciera je długo. Piotr wie już, że chce mu coś ważnego powiedzieć, gdyż zawsze w takich razach przecierał okulary.

— No? — pyta.

— Co za "no"? — udaje Paweł. — Nie wolno mi okularów wyczyścić, czy co?

— No, gadaj, gadaj. Masz coś ważnego do powiedzenia, jestem przekonany. No, dostałeś spadek, wygrałeś na loterji, czy może się żenisz?

— A żebyś wiedział.

— No co? Spadek czy ślub?

— Zaręczyłem się.

— Warjat.

— Proszę cię bardzo, tylko bez...

— No, nie gniewaj się. Daj gęby.

Gdy tak porozumieli się w drażliwej między przyjaciółmi sprawie. Paweł rozgadał się jak jeszcze nigdy.

—Zdziwisz się, zdziwisz, Pietrek, jak mamę kocham...

— Cóż u djabła?

Tu Piotr począł już coś niejasno przeczuwać i tylko dzięki temu przygotowaniu zdołał się normalnie zachować, gdy mu Paweł z triumfem pokazał fotografję Jadzi.

—Widzisz frajerze! — mówił z rozrzewnieniem.

— Widzę. Co nie mam widzieć — pokrywał Piotr swe zmieszanie i palącą chęć zapytania o dokładną datę zaręczyn... Czy to było przedtem, czy potem?... Sprzeczne myśli przebiegały jego świadomość. Zdołał wreszcie uspokoić się i zapytał:

— Kiedy ślub?

— Za miesiąc.

Piotr wynalazł sobie wymówkę, by na miesiąc zniknąć z miasta i zastanowić się, co począć. W rezultacie, mając skłonność do bezbolesnych rozwikłań i ułatwiania sobie życia, pominął całe zajście zupełnem milczeniem i utopił je w niepamięci.

Gdy jako świadek ślubu "poznał" pannę młodą, najmniejszy odruch nie zdradził nicze-

go. Jadzia zresztą wyglądała na zakochaną w oblubieńcu. Piotr dziwił się tylko i milczał.

Gdy cokolwiek przed właściwym terminem urodził się synek państwu Pawłostwu, Piotr z dziwnem uczuciem patrzył w rysy noworodka, a gdy chrzest nawiązał między nim a chrześniakiem pokrewieństwo duchowe, nie był pewny czy łączą go z malcem bliższe węzły, węzły krwi. Sprawa ta nie wyjaśniła się nigdy.

Co do Jadzi — była najlepszą żoną i matką.

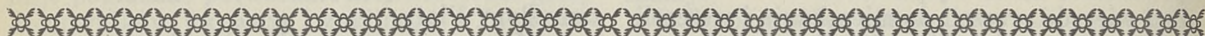
Więc czyżby to poznanie obu przyjaciół przez okno sprawiło, że miłość jej tak łatwo mogła przenieść się z Piotra na Pawła? Czy też może Pawła kochała, a to z Piotrem było tylko przypadkiem?

Może. Ale nie umiem na to odpowiedzieć. W każdym razie przypuszczam, że okno było dosyć ważne w tem wydarzeniu. Ot i macie całą historję.

* * *

Gdy pan Edmund skończył opowiadanie, chwilę panowała cisza i naraz przypomnieliśmy sobie wszyscy, co poznać można było po tem, że odruchowo spojrzeliśmy wszyscy na siebie, podobieństwo młodego Iksa, syna znanego adwokata, a kolegi Edmunda, z naszym gospodarzem.

Pan Edmund siedział pogrążony w cieniu i tylko ręka, która podnosił do ust kryształowy kieliszek, drżała lekko...



WARSZAWA. Kościół Karola Boromeusza.

Juljusz Znaniecki

DALEKI WSCHÓD

Nowela

OPIERAJĄC się skronią o twardą framugę okna, Mabel patrzyła przez szybę, zroszoną kropelkami wody. Ołowiany odblask świtu występował na niebie u kresu białawej płaszczyzny, ciemniejącej w nierozproszonym jeszcze mroku nocy pasmami krzewów.

W smutną jednostajność dali ulatywało dudnienie kół pociągu przeciągły gwizd lokomotowy na skrętach, gdzie wagony zataczały się, zgarniając z okna obraz poruszających się po łuku pustych pól.

Po korytarzu wagonu zaszurały kroki, przesunęła się koło drzwi przedziału niska sylwetka japońskiego żołnierza z eskorty. Widok jego przypomniał Mabel wszystkie opowiadania o chunchuzach. Nie mogła zasnąć. W półmroku słyszała pod sobą ciężkie oddechy śpiących towarzyszów podróży. Na ławce pod jej półką spał gruby jegomość, Wodden, angielski handlarz opjum z Szangaju, na drugiej ławce jakiś Azjata. Wiedziała o nim tylko tyle, że ma na imię "Czeng". Górna półka naprzeciw niej była wolna.

Wyjrzawszy znowu przez okno Mabel zobaczyła, że niebo na wschodzie czerwieniało, poświata ogarniać zaczęła coraz to szersze obszary popielatych chmur, różowiła śnieg, przedzierała się do wnętrza przedziału. Na przeciwległej ławce wyłaniała się z mroku nieruchoma twarz Czenga, osadzona w zakończeniu bezkształtnej masy ciała, podobna w śnie do pośmiertnej maski o ostrych rysach.

Tego Czenga Mabel spotkała kiedyś w Paryżu, w ogrodzie Luksemburskim. Była jesień; wielkie, czerwono-brunatne liście wolno opadały z drzew. Siedział, grzejąc się w ukośnych promieniach słońca i bawił się jakimś prętem, rysując nim na piasku alei. W zniszczonem, granatowem ubraniu wyglądał na robotnika lub ulicznego sprzedawcę zabawek. Gdy Mabel przechodziła, podniósł głowę i mijał jej twarz uważnem, wnikliwem spojrzeniem ciemnych oczu, nie zmrużonych przed słońcem. Właściwie nie byłaby zwróciła uwagi na niego, gdyż tak wielu Azjatów przebywa w Paryżu, gdyby nie to skupione, silne spojrzenie.

Potem poznała go odrazu, gdy w Berlinie wsiadł do pociągu, idącego na Daleki Wschód. Nie wiedziała czy i on ją poznał, w każdym razie nie pokazał tego po sobie. Rozmawiał z nią od Berlina zaledwie parę razy. W rozmowie był bardzo powściągliwy, mówił po niemiecku krótkiemi, prostemi zdaniami, nie wypowiadał żadnych głębszych myśli ani poglądów. Chwilami miała niedorzeczne wrażenie, że jest zamaskowany niewidzialną, a mimo to nieprzejrzystą maską.

W Moskwie na dworcu, wyglądając z okien zamkniętego i strzeżonego pilnie pociągu, odwrócił się nagle, patrzył przez chwilę w oczy Mabel, poczem rzekł:

— Nie przedstawiłem się pani dotychczas... Moje imię jest Czeng.

W Moskwie wsiadł do ich przedziału Anglik, Mr. Wodden. Był to wielki i tęgi mężczyzna o twarzy czerwonej, jak befsztyk. Zobaczywszy smukłą, ładną dziewczynę i zorjentowawszy się, że jedzie sama, bez towarzystwa, rozpoczął hałaśliwe zaczepki, zbyt brutalne nawet jak na Daleki Wschód.

Mabel przez kilka minut była oszołomiona bezczelnemi wycieczkami słownemi i nie odpowiadała. Czeng siedział milczący, widocznie nie rozumiał po angielsku. Wreszcie Mabel zdołała opanować zdenerwowanie. Chłód i pogarda jej odpowiedzi przebiły wreszcie grubą skórę handlarza opjum. Mister Wodden dowiedział się w ciągu następnych kilku minut, że Mabel jest córką oficera amerykańskiego, że lubi rozmawiać z ludźmi cywilizowanymi, a jeżeli tego nie może czynić, woli milczeć. Mister Wodden zamilkł, a gdy potem odezwał się, słowa jego nie raziłyby nikogo nawet w Wersalu.

Pochmurny ranek rozwinął się w słoneczny dzień. Za oknami topniał śnieg, leżący na polach rozfalowanych w nikłe wzgórza. Około południa przed okna wagonów nasunęły się linje płytkich rowów, omotane pasmami drutów kolczastych na krawędziach.

Pan Wodden uznał, że nadeszła pora rehabilitacji i począł objaśniać dziewczynie znaczenie tych okopów.

Mabel słuchała zaciekawiona. Jadąc pierwszy raz na Daleki Wschód do krewnych, wiedziała o nim tylko z gazet i z powieści. Teraz zaczynała zbliżać się ku niej rzeczywistość.

— To są, proszę pani, pozostałości po dawnych walkach japońsko-chińskich, gdy jeszcze armja nankińska walczyła o Mandżurję, zanim nie była zmuszona zwrócić broni przeciw Czerwonym i chunchuzom. Azja jest ciągle w ogniu i to stwarza jej pozory tajemniczości.

— Pod tą powłoką tajemniczości ludzie Azji są rasą leniwą i nikczemną. Ich osławiona pogarda śmierci to blaga. Wynika ona poprostu z apatji. Są za mało odważni, aby umierać z własnej woli, a zbyt leniwi żeby żyć. Dlatego opium ma wśród nich takie powodzenie. Daje im coś pośredniego...

Czeng odwrócił się do okna. Mabel widziała dotąd jego profil. Ładny, zlekka przypłaszczony nos, krótki podbródek, włosy siwiejące na skroniach. Teraz ujrzała zwartą, nieruchomą twarz i ostry błysk oczu. W tej chwili właśnie pociąg zaczął zwalniać biegu, wagony przeszył zgrzyt hamulców.

— ... coś pośredniego — mówił Wodden — między życiem a...

Czeng przerwał zimnym, sciszonym głosem:

— Niech się pani położy na ławce!

Słowa były angielskie. Wodden drgnął i spojrzał osłupiały na Mabel, Czeng dorzucił jeszcze jedno słowo:

— Chunchuzi...

Za oknami rozlegał się trzask dalekich strzałów, coś stuknęło w szybę, posypały się okruchy szkła. Mabel zobaczyła okrągły otwór, ślad kuli w szybie. Padła na ławkę i przycisnęła się do ściany.

Woddena już nie było. Skulony i przerażony wdrapywał się z pośpiechem na górną półkę, bełkocąc coś zmienionym ze strachu głosem.

Pociąg zatrzymał się i tkwił żałośnie nieruchomą bryłą żelaza i szkła, wydany na pastwę pocisków, równie jak ludzie w nim zamknięci.

— Teraz — rzekł Czeng — eskorta japońska wsuwa się pod wagony i rozpocznie się strzelanina na dobre.

— Dlaczego stoimy? — spytała nienaturalnie głośno Mabel.

— Szyny zerwane — odparł Czeng.

Na górnej półce Wodden przylegał do półki, skamląc i jęcząc. Kule karabinowe obsypywały boki wagonu głuchemi stuknięciami, brzmiącemi jak uderzenia drobnych kamyków.

Łoskot strzałów wzmagał się, przybierał na sile. W korytarzu wybuchały, to znów urywały się, histeryczne wrzaski przerażonych kobiet i płacz dzieci. Nagle wybił się ponad nie szorstki, twardy głos. Korytarzem przesuwał się zgięty wpół oficer japoński. Zaglądał do wszystkich przedziałów, ostrzegając przed patrzeniem przez okna. Głos jego jakby zmiażdżył, zdusił wszystkie inne. Wrzaski ucichły.

Szyby pryskały odłamkami raz po razu pod uderzeniami kul. W uchylonych drzwiach przedziału pokazała się głowa oficera.

— Spokojnie, miss — rzekł, widząc twarz Mabel — ta banda jest licho uzbrojona. Szkoda, że nie wzięliśmy karabina maszynowego.

Oficer znikł. W przedziale, pogrążonym w urok niebezpieczeństwa słowa "karabin maszynowy" utkwiły jak jedyna sposobność ratunku. Wodden bełkotał pośpiesznie i bezładnie, omotany strachem:

— Karabin maszynowy... karabin maszynowy... dlaczego nie mamy karabina maszynowego?

Z nad równiny świeciły promienie słoneczne i iskrzyły się w rozpryśniętych gwiaździsto dziurach szyb. Było to dziwaczne, że lotna śmierć w takiej właśnie ukazywała się formie, że każdy taki otwór w szybie mógł być dla ludzi drogą do zaświata. Promienie słoneczne rzucały do wnętrza przedziału prostokątne cienie i smugi świetlne, które odbijały się w ułamkach szkła na podłodze.

Mabel ostrożnie wyjrzała przez okno. Linja Chunchuzów zbliżyła się znacznie. Ciemne postacie wyskakiwały i nikły między plątaniną drutów kolczastych i przylegały przyczajone w okopach.

Powiedziała spokojnie, jakby do samej siebie wypowiadała najbardziej oczywistą prawdę:

— Zdaje mi się, że oni zdobędą pociąg...

Ściągnęła z półki skórzaną torebkę, otworzyła ją, zanurzyła w niej dłoń. Wydobyła mały browning. Niklowana powierzchnia zabłysła w słonecznem świetle. Wtedy usłyszała głos Czenga:

— Czy pani boi się śmierci?

Spojrzała. Uniósł się i siadł. Przytulony do ściany mówił dalej:

— Mam wstręt do bezużytecznej śmierci, więc postaram się przedłużyć nasz pobyt na ziemi...

Wstał.

Mabel przyglądała mu się zaciekawiona. Zaczął zdejmować z półki pokolei swoje trzy obszarpane walizy. Musiały być bardzo ciężkie, bo uginał się, a naprężone jego ramiona drżały pod ich ciężarem. Przykląkł nad walizami na podłodze i otwierał jedną po drugiej.

Mabel patrzyła ze zdumieniem, jak spod wzorzystych szlafroków wyłania się długa lufa, zamek i inne części maszynowego karabina. Z twarzą skupioną Czeng montował karabin. Stal szczękała pod sprawnemi chwytami jego palców.

Wodden, patrząc zgóry na to, przestał jęczeć.

— Ten człowiek należy do Czerwonych — pomyślał, spoglądając na pochylone plecy Czenga. Ten wyprostował się właśnie.

— Gotowe — rzekł i posunął ku Mabel koniec taśmy z nabojami. — Proszę to trzymać.

Wsunął drugi koniec taśmy w zamek, szybkim ruchem obrócił lufę karabina do okna wybijając resztki szyb. Szkło wypadło z brzękiem. Przyczajony, czekał kilkanaście sekund, błyskając oczami.

Chuchuzi skoczyli do ataku. Ciemne postacie wyrosły na białem tle śniegu, zaroiły się, sformowały linję. Biegły. Czeng zniżył lufę... Ostry huk zdawał się rozwalać przedział w kawały. Drgnienia strzałów następowały tak szybko po sobie, że niepodobna było rozróżnić pojedyńczych detonacyj.

Mabel, trzymając taśmę, uciekającą jej z rąk jak żywe stworzenie, patrzyła w okno. Między ruchami długiej, krążącej w półkole lufy, widziała białą płasczyznę śniegu i ludzi padających w gmatwaninę drutów i rowów. Linja biegnących chuchuzów rwała się, a chwilami nikła zupełnie, jakby ścierana niewidzialną dłonią.

Wreszcie rozleciała się zupełnie. Zapadła w najbliższy rów strzelecki. Równina przez chwilę pozostała pusta, a potem widać było między rowami pojedyńcze postacie, uciekające w panicznym popłochu. Za niemi goniły strzały eskorty.

Czeng podniósł głowę z nad karabina. Lewe oko miał jeszcze zmrużone od celowania, Przez okno buchała w twarz fala wilgotnego, zimnego powietrza; na śniegu opodal leżały ciemne plamy ludzkich ciał.

— Siedemset strzałów na minutę — rzekł.

Wodden zsunął się z górnej półki, stanął na podłodze. Obcasy zgrzytnęły po szkle. Chwilę przyglądał się Czengowi, rozmontowującemu karabin, potem położył palec na ustach, skinął na Mabel i wywołał ją na korytarz.

— Co to za człowiek? — spytał, wskazując Czenga.

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Być może Czerwony...

—To okropne! — rzekł Wodden. — On wiezie karabin. Czy pani wie, że Japończycy rozstrzeliwują za przewożenie ukrytej broni? Poprostu pod mur...

— No więc co? Ten człowiek ocalił nam życie...

— Ale teraz możemy je utracić. Japończycy, jak się dowiedzą, mogą jego i nas dwoje z tego przedziału wziąć pod sąd wojenny.

—Nie dowiedzą się...

— Już wiedzą napewno. Słyszeli przecież. Muszę uprzedzić podejrzenia. Powiem oficerowi, że to on... Więc?

Mabel nie odpowiadała. Zmagała się z sobą, by nie plunąć w twarz białego, należącego do rasy, która ma się na najkulturalniejszą i najbardziej cywilizowaną. Popatrzyła mu w oczy i splunęła na podłogę odruchem tak wynownym, że Wodden posiniał.

— Pogadamy później... — wykrztusił z pasją.

Oddalił się. Słyszała szkło, zgrzytające piskliwie pod ciężarem jego butów. Popatrzyła do przedziału na zgiętą postać Czenga. Dostrzegła ruch, jakim odgarnął włosy z czoła i opanował ją nagły żal. Weszła i dotknęła jego ramienia. Wyprostował się. Twarz miał powalaną oliwą, w dłoniach umazanych smarem trzymał zamek karabina.

— Pan musi uciekać — mówiła szybko. — Ten Anglik poszedł powiedzieć komendantowi eskorty, że pan wiezie broń. Mogą pana rozstrzelać... Niech pan ucieka, stąd jest niedaleka do stacji...

Brwi Czenga uniosły się zlekka. Wstał. Wytarł dłonie w jakąś szmatkę, ujął rękę Mabel i uścisnął ją mocno, przyjaźnie.

— Dziękuję — rzekł. — Pani jest bardzo dobra. Ale uciekać nie będę.

Po naprężeniu nerwów następiła reakcja. Mabel osłabła, siadła na ławce, oparła głowę o ścianę i patrzyła jak Czeng znów pochylił się nad karabinem, oddany pracy. Słuchała metalicznego szczęku.

Tymczasem Wodden, idąc wzdłuż pociągu dotarł do oficera, dowodzącego eskortą. Japończyk stał obok sześciu żołnierzy i przypatrywał się naprawie toru.

— Panie... — zaczął Wooden.

Oficer odwrócił się. Żółta, prawie kwadratowa twarz o spokojnych oczach.

— Słucham.

— Poczuwam się do obowiązku uprzedzenia pana. Zawsze stałem po stronie prawa... Z nami jedzie jakiś Czerwony, który ma w walizach ukrytą broń. Karabin maszynowy. Strzelał z niego do chachuzów. Niech go pan każe aresztować, bo gotów uciec...

Japończyk począł uderzać końcem buta w szynę. Wooden zniecierpliwy przyglądał się ruchowi jego nogi. Wreszcie oficer rzekł:

— Dobrze.

Odwrócił się i powiedział kilka słów do żołnierzy. Dwóch z nich ruszyło wzdłuż pociągu.

Chwile mijały. Oficer japoński nie odzywał się już ani słowem. Ludzie układali szyny, dźwięk młotów uderzał w powietrze. W dali, nad równiną zachodziło słońce. Czerwonawe refleksy wlokły się, smużyły po śniegu. Gdzieś w owym odblasku rozlegał się jęk rannego churchuza i przemijał w zupełniej obojętności świata.

Gdy ukończono naprawę szyn, oficer zwrócił się do Woddena:

— Chodźmy, panie, zobaczyć, czy więzień nie uciekł.

Przeszli koło przedziału, w którym zamajaczyła twarz Czenga i zbliżyli się do końca pociągu. Japończyk zatrzymał się. W tej chwili na twarz Woddena spadło kilka śnieżnych płatków.

— Przypuszczam, że rozstrzelacie go, zgodnie ze zwyczajem? — zagadnął.

Brunatna twarz oficera spoglądała nieruchomemi oczyma na coraz gęściej padające płatki śniegu.

— To dziwne — rzekł nagle — że nikt nie słyszał strzałów karabina maszynowego...

Wodden żachnął się. Tego jeszcze brakowało, żeby Japończyk miał skrupuły.

— Ja słyszałem i widziałem — rzekł zgryźliwie. — Doniosę o tem władzom na najbliższej stacji.

Pociąg ruszył bardzo powoli. Wysokie stopnie wagonów sunęły nad ośnieżonym torem. Wodden zrobił ruch, jakby chciał wsiadać, ale oficer położył dłoń na jego ramieniu.

— Mamy jeszcze czas — powiedział.

Ostatni wagon nadjechał Przesuwał się powoli. Japończyk wskazał na ciemne ciała leżących chunchuzów.

— Karabin maszynowy... — rzekł krótko.

Wodden odwrócił się ku odjeżdżającemu pociągowi.

— Do djabła z tem wszystkiem! Ja siadam... Ruszył naprzód.

W tej chwili oficer wyrwał z pochwy rewolwer, duży Colt, i uderzył w głowę białego. Wodden padł bezwładną masą. Głowa stuknęła o szyny, śnieg zabarwił się krwią. Japończyk dogonił pociąg i wskoczył na stopnie wagonu.

Czeng siedział milczący, patrząc w okno. Mabel wtuliła się w kąt przedziału, owinięta futrem. Przez okno przelatywał wiatr, niosąc płatki śnieżne. Pozornie uspokojona, dziewczyna drzemała, wzdrygając się na każdy szelest w korytarzu. Gdy za drzwiami rozległy się ciężkie kroki, wstała, czując chłód pod czaszką.

Wszedł oficer, niski i szary i powiedział do Czenga kilka słów po japońsku. Czeng podniósł się.

— Oby się tylko nie bronił—myślała Mabel.

Czeng uśmiechnął się, patrząc na jej przerażenie.

— Moje nazwisko brzmi Yatsui, pułkownik Yatsui. Wiozę model maszynowego karabina dla naszej armji. A to mój młody kolega, kapitan Ohito.

Machinalnie uścisnęła ich dłonie. Przez oszołomienie poczęła przebijać się jej świadomość faktów. Spytała:

— Gdzie jest Wodden?

Ohito wzruszył ramionami.

— Zdaje się, że poszedł oglądać ciała zabitych Chunchuzów. Może został... Chunchuzi wrócą jeszcze, zawsze wracają...

Zmierzch zapadał. Kapitan Ohito dawno już opuścił przedział. W półmroku widać było w resztkach światła twarz Czenga. Nieruchoma zdawała się zwisać z nad ławki, jak symbol. Stanowiła bratnie jedno z pustą równiną, obramowaną na krańcach ostatnią czerwienią zachodu. Twarz ta miała jedną tylko nazwę. Mabel pomyślała ją:

— Azja!



Widok frontu pałacu Wilanowskiego.

STELLA OLGIERD

GŁÓWNA WYGRANA

PAN Błażej Stojanowski już snać od samego urodzenia (a może nawet jeszcze i przedtem?) skazany był na to, by stać się w życiu tak zwaną "ofiarą". Już samo imię Błażej, jakie sobie malec, syn maszynisty kolejowego, przyniósł w dzień swego zjawienia się w małem acz dostatniem mieszkaniu swych rodziców dnia 3-go lutego, miało w sobie coś żałosnego, coś poprostu politowania godnego. A cóż dopiero mówić o nim samym?

Ukończył z trudem wielkim zaledwie pięć klas szkoły handlowej (bowiem ambicją rodziców było, mimo objawianych przekonań, skłaniających się mocno "na lewo" wykierować go na "pana"!), po długich zabiegach udało mu się dostać miejsce praktykanta w biurze technicznem.

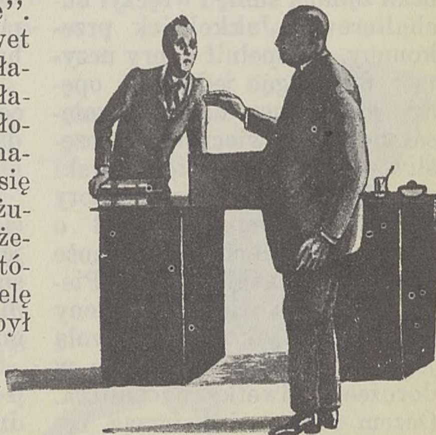
Młody Błażejek z wielkim zapałem wziął się do pracy. Kopjował listy, adresował koperty, naklejał marki, ekspedjował korespondencję, słowem wtajemniczał się od samego początku w arkana pracy biurowej. Jego wątła figurka, zakończona małą śpiczastą główką, osadzoną na długiej szyj, pochylała się całemi dniami nad powierzoną mu pracą. Po godzinach biurowych, gdy szef, główny buchalter, jego pomocnik, korespondent i maszynistki wychodzili roześmiani, radzi, że znów minął jeden dzień ciężkiej pracy, Błażejek zostawał i w skrytości wprawiał się w pisanie na maszynie. Blada twarz dostawał wypieków, małe, jakby ciągle załzawione oczki, błyszczały. Błażejek marzył... Marzył, że gdy miną lata praktyki, zostanie może pomocnikiem buchaltera, a może... może nawet... tu niekiedy sam się przerażał śmiałości swych marzeń... i buchalterem!...

Tymczasem jednak lata mijały, a w stanowisku społecznem Błażeja nie zachodziły żadne zmiany. Miał lat dziewiętnaście, gdy umarł mu ojciec; w trzy lata później przeniosła się do lepszego świata i matka, a pan Błażejek był ciągle popychadłem w biurach, w których pracował, był tym, którym się każdy chętnie wyręczał, gdyż wiedział, że pan Błażejek nigdy niczego nie odmówił; tym, od którego niejeden z współpracowników pożyczał pieniędzy, zgóry nie mając zamiaru ich oddać, wyzyskując po temu ambicję pana Błażeja i zwracając się do niego poufale: — "Słuchajcie, kolego, nie pożyczylibyście mi kilku "złociszów"? Za parę dni, gdy już będą dawali akonta, oddam wam". — I biedny "kolega", którego tamten niejednokrotnie nie poznawał na ulicy, szczególnie, gdy szedł w towarzystwie kobiety, pożyczał z miłym uśmiechem ciężko zapracowany grosz, odłożony z trudem na "czarną godzinę". Ot "ofiara"! Właściwie nawet nie na "czarną godzinę" odkładał groszaki i złote pan Błażej. Nie! W duszy tego człowieka, jakby dalszy ciągu marzeń rodzicielskich, lęgło się marzenie zostania "burżujem". Leżąc na wąskiem żelaznem łóżku, w pokoiku, który swem ubóstwem raczej celę więzienną przypominał, a był "kawalerskim pokojem" odnajmowanym na czwartaku, snuł pan Błażej najfantastyczniejsze marzenia.

..."Byle pierwszy tysiąc zebrać, to potem już pieniądz sam będzie robił na siebie", powtarzał sobie maksymy, zasłyszane od któregoś z szefów.

Tymczasem jednak z zebraniem nawet pierwszej setki szło bardzo ciężko. Co uskładał sobie jakieś kilkadziesiąt złotych, to licho nadało któregoś z "kolegów", którym pan Błażej nie umiał odmówić — i składanie zaczynało się znów od początku, bo prawie nigdy pożyczający nie zwracał mu pieniędzy, zaś pan Błażej był zbyt delikatny, by się o nie upominać. Aż pewnego razu... Pan Błażej marzył o posiadaniu obuwia, nabytego choć raz w życiu u pierwszorzędnego szewca. Zdawało mu się, że jego płaskie, duże nogi nabrałyby kształtów, że nawet ten chód jego niezgrabny, kołyszący, jak u kaczki, zmieniłby się pod wpływem dobrze zrobionych trzewików. Cóż, kiedy trzewiki takie, które obejrzał o tyle dokładnie, o ile pozwalała mu na to szyba wystawowa, kosztowały 55 złotych!

Właśnie szła wiosna, panie ukazywały ślicznie obute nóżki, mężczyźni mieli też ambicje w



Słuchajcie, kolego, nie pożyczylibyście kilku złociszów?

tym kierunku. Miał pan Błażej uskładanych wprawdzie 78 złotych, ale właśnie dlatego, że tak niewiele już do okrągłej setki brakowało, żal mu było zmniejszać tę sumę aż o 55 złotych.

A buciki tak go wabiły ku sobie! Śmiały się ku niemu zgrabnemi "noskami" jakby przeginały w jego oczach, ukazując się tam, za szybą wystawową. Aby nie ulec pokusie przechodził na drugą stronę ulicy. Pewnego dnia w biurze podszedł do niego buchalter Pietruszka, częściej od innych pożyczający "złote" od pana Błażeja.

— Słuchajcie "kolego" — rzekł, biorąc go poufale pod rękę — możebyście mi pożyczyli jeszcze 60 złotych? Wiem, że jestem wam coś tam winien...

— 80 złotych pomyślał pan Błażej... pomyślał, ale nie rzekł ani słowa — i w najbliższych dniach oddam wam to razem wszystko, ale muszę mieć 60 złotych. Żona mi ma rodzić dzisiaj —dokończył, nachylając się do ucha pana Błażeja.

Ten poczerwieniał cały. Jako kawaler, żyjący bardzo skromnie, nie stykał się nigdy z rozpoczęciem istnienia na ziemi, fakt przeto zakomunikowany mu przez buchaltera Pietruszkę wydał mu się tak wielkiej wagi, że bez słowa wyjął z ukrytego na piersiach woreczka żądaną sumę i wręczył buchalterowi. Jakkolwiek przekonany, że spełnił dobry uczynek, nie mogąc jednakże opędzić się pewnemu żalowi, wałęsał się długo, wieczór, nieszczęśliwy pan Błażej Stojanowski po ulicach, nie mając ochoty wrócić do domu. Myślał o ciężkich chwilach, jakie może przeżywa właśnie kolega Pietruszka w obawie o życie żony i oto naraz, jakby zjawa, wolą jego wywołana, minęła mu w dorożce sylwetka buchaltera. Oczom swoim nie wierząc, zawrócił niemal biegiem pan Błażej, a oto i dorożka właśnie się zatrzymała, jakby chcąc mu ułatwić przekonanie się o prawdzie. Z dorożki tej pomagał wysiąść pan Pietruszka eleganckiej damie...



Zgrzytnął zębami i zacisnął złowrogo pięści

W pierwszej chwili pan Błażej Stojanowski sądził, że może to żona buchaltera, którą tenże przywiózł do lecznicy, bliższe jednak obejrzenie damy zadało kłam temu przypuszczeniu. W spokojnym zwykle panu Błażeju coś nieznanego mu poczęło się budzić. Zgrzytnął zębami, zacisnął złowrogo pięści i krokiem ostrożnym sunął za wchodzącą parą w bramę, potem przez ciemne podwórko, na pierwsze piętro, aż do drzwi, na których widniał napis "gabinety". Na drugi dzień pan Błażej, nie dając nic poznać po sobie, podszedł ku buchalterowi:

— No i cóż, syn czy córka? — spytał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

Buchalter zająknął się i spojrzał na pytającego złemi oczami, usuwając się równocześnie z pod dotknięcia jego ręki.

— Pieniądze oddam panu w najbliższych dniach.

— To chwała Bogu, — ucieszył się pan Błażej, który pożałował już swej energji i pragnął wycofać się z honorem. Historja ta miała jednakże dla niego tę korzyść, że już nigdy nikomu nie chciał pożyczyć ani grosza. W tym czasie jakoś zaznajomił się bliżej z sąsiadem swym z przeciwka, woźnym dużego domu bankowego. Woźny ten, zarabiający bardzo dobrze wskutek otrzymywanych napiwków, miał słabość do loterji. Nie "szkodziło" to jego zdrowiu tak, jak naprzykład słabość do wódki lub do kobiet, nie mniej jednak sporo go kosztowało. Słabość tej uległ po pewnym przeciągu czasu i pan Błażej Stojanowski.

I zamiast marzyć teraz o uskładaniu tysiąca, marzył o głównej wygranej, o zbytku, jakimby się otoczył, o trzewikach kupowanych u najlepszych szewców i... o pannie Zosi...

Lecz tu marzenie jego padało w proch u stóp ukochanej i pokornie je całowało. Bo pan Błażej Stojanowski, jak niemal zresztą każdy śmiertelnik, co przeznaczenia uniknąć nie może, kochał... Kochał miłością pierwszą, niewinną i czystą, mi-



Oboje nakarmili psinę i odtąd zaczęła się ich znajomość

łością cichą a gorącą, do jakiej zdolne było jego dwudziestosześcioletnie serce. Przedmiot jego miłości, owa panna Zosia, mieszkała na tym samym korytarzu, w takim samym pokoiku, jaki zajmował pan Błażej Stojanowski. Była tak jak i on, zupełnie sama, wychodziła rano do pracowni, skąd wracała wieczorem i nieraz się zdarzyło, że spotkawszy się na schodach, rozmawiali. A zbliżył ich do siebie, jak zwykle, przypadek. Pewnego wieczoru, panna Zosia usłyszała pod drzwiami skomlenie, wyjrzała na korytarz i zobaczyła szczeniaczka, trzęsącego się z zimna. Było już późno. Panna Zosia nie miała w domu nic, czemby mogła psinę nakarmić. Z pod drzwi pana Błażeja dobywało się światło. Niewiele myśląc więc, zastukała do niego, zapytując, czy przypadkiem nie ma w domu mleka. Miał — oboje nakarmili więc psinę i odtąd zaczęła się ich znajomość, która u pana Błażeja przerodziła się w miłość.

Marzenia, w razie wygranej, obejmowały i "Lalusia" (tak nazwali pieska), który wdzięczny obojgu za zajęcie się nim (bo i pan Błażej w jego żywieniu brał duży udział) przywiązał się do nich bardzo...

Pan Błażej, bojąc się przegrać zbyt wiele odrazu, kupował ostrożnie, za namową sąsiada-woźnego, zawsze tylko ćwiartkę losu. Po kilkunastu bezowocnych kuszeniach fortuny, które jednakże nie zniechęciły pana Błażeja, los się nad nim zlitował o tyle, że na zachęcenie go snać do grubszego hazardu, pozwolił mu wygrać stawkę. Pan Błażej był w siódmem niebie: kraina bogactwa, w jego marzeniach, leżała przed nim otworem. I... za namową, tym razem panny Zosi, kupił cały los.

Ta karta zadrukowanego papieru przedstawiała dla niego obecnie wartość majątku — to też obawiał się nosić ją przy sobie, aby jej nie zgubić. Zostawić w domu? A może kto ukradnie? Wpadł przeto na oryginalny pomysł: przyniósł z biura gumy



Pana Błażeja wezwano do telefonu...

arabskiej i nakleił los na drzwiach od strony pokoju. Kładł się na łóżku i wpatrywał się weń z rozrzewnieniem. Był tak pewny wygranej, że zaraz nazajutrz wieczorem, ubrawszy się odświętnie, oświadczył się pannie Zosi i mimo, że nie czuła do niego szczególnego pociągu, lecz tylko zwykłą sympatję, oszołomiona horoskopami na przyszłość, przyjęła go bez wahania.

Dni płynęły. Pan Błażej zapraszał pannę Zosię do swego pokoiku i tu wpatrzeni oboje w cudotwórczą kartkę, marzyli o przyszłości, w której i dla Lalusia było miejsce.

Ciągnienie miało się odbyć nazajutrz. Im chwila ta była bliższa, tem pan Błażej stawał się smutniejszy. Otrząsnął się z marzeń, w jakich żył od paru miesięcy i spostrzegł, że popełnił głupstwo, obiecawszy kupić trzy pokoje z kuchnią, do których się po ślubie z panną Zosią przeniosą. Ślub miał się odbyć zaraz po Wielkiejnocy — zapowiedzi już szły, a o kupieniu mieszkania ani marzyć nie mógł. I te całe oświadczyny o pannę Zosię odbyły się o wiele przedwcześnie.

Co teraz zrobi? Jak się wytłumaczy? Jak mógł tak się zaślepić, by nietylko samemu marzenie za rzeczywistość brać, lecz jeszcze i ukochaną w to wciągnąć! Musi zaraz jutro, po powrocie do domu, pójść do panny Zosi i, padłszy przed nią na kolana, prosić o przebaczenie za to swoje szaleństwo. To z miłości do niej tak oszalała pan Błażej — miał przeto nadzieję, że może uda mu się wybłagać darowanie winy.

Nazajutrz w smutnym nastroju ducha opuścił pokój. Żałosnym wzrokiem spojrzał na przylepiony do drzwi los, sprawcę tylu zawodów.

Jakoś na godzinę przed ukończeniem zajęć w biurze, pana Błażeja wezwano do telefonu.

— Winszuję panu z całego serca!

— Co? kto mówi?

— To ja, woźny z Domu Bankowego, sąsiad pański z przeciwka.

— Czego mi pan winszuje?

— Jakto? To pan nic nie wie? Nie czytał pan popołudniowego wydania pism?

— Nie, nie czytałem. O czem mam wiedzieć?

— Na pański los, zakupiony u nas, padła główna wygrana. Chciałem być pierwszym winszującym panu z tej okazji...

Ale pan Błażej już nie dosłyszał końca rozmowy, gdyż



...trzymając ciągle w górze przed sobą — owe drzwi...

zemdlał z wzruszenia.

Gdy koledzy biurowi dowiedzieli się o boskim uśmiechu fortuny i to skierowanym ku takiemu Błażejowi Stojanowskiemu, zazdrość i zawiść ich przejawiła się w ogromnie uprzejmem składaniu mu życzeń z tej okazji. Otrzymawszy na jutro zwolnienie z biura, by mógł podnieść wygraną, pan Błażej, jak szalony, pobiegł do domu. Po drodze zakupił wszystkie gazety z uwidocznionym numerem, na który padła główna wygrana — jego numerem. Przed drzwiami pokoiku, na których, przylepiony, pysznił się los szczęśliwy, odprawił jakiś dziki taniec zwycięstwa i tak doczekał powrotu panny Zosi.

Nawet nie spostrzegli się, kiedy na projektach, opartych na tej cudownej karteczce, zbiegł im czas do rana. I teraz dopiero pan Błażej zatroszczył się, co będzie z losem. Siedział sobie na drzwiach przyklejony tak mocno, że ani marzyć nie można było o odjęciu go stamtąd. Ślinił go pan Błażej, wodą delikatnie maczał — na nic. Brzegi zadzierały się, ale los tkwił mocno na miejscu. Rozpacz zaczynała go ogarniać: co robić? Panna Zosia stała za nim bezradna z załamanemi dłońmi. Czyżby wszystko runąć miało w gruzy? Cudne plany miałyżby rozedrzeć się przez ten uparty świstek?... Naraz pan Błażej podskoczył wgórę, klasnął w dłonie i wydał jakiś wojenny okrzyk Mohikanina.

— Mam! Jest!

Panna Zosia spojrzała z trwogą na narzeczonego. Ale wyglądał zupełnie normalnie.

— Zosieńko! (Jak to pieniądze dodają ludziom pewności! Pan Błażej po raz pierwszy w tej chwili mówił do narzeczonej "ty".)

— Do zajęcia dziś nie pójdziesz, zato usiądziesz sobie z Lalusiem w pokoju tutaj i będziesz czekała na mnie, bo ja... patrz!

I, nim zdumiona panna Zosia zdobyła się na odpowiedź, pan Błażej wyjął drzwi z zawiasów i niby z zwykłą kartką papieru, zbiegł z niemi na ulicę.

Tu, trzymając ciągle wgórze przed sobą, jakby transparent na jakimś pochodzie, owe drzwi, nie zważając na zdziwienie przechodniów, wsiadł z niemi do dorożki i rzucił adres domu bankowego. Gdy jednak chciał z niemi wejść do wnętrza, odźwierny w żaden sposób puścić go nie chciał. Pan Błażej zaczynał tracić cierpliwość.

Dorożkarz, który z zaciekawieniem spoglądał na pasażera, wiozącego drzwi... pod adresem banku, nie odjeżdżał, czekając, co z tego wyniknie. Tymczasem przechodnie zaczynali gapić się bezmyślnie na miotającego się coraz bardziej pana Błażeja i na broniącego mu dostępu odźwiernego. Nieszczęśliwemu posiadaczowi szczęśliwego losu cisnęły się już niemal łzy do oczu. Jakto? O krok od fortuny... szczęścia... ta marna kreatura, ten odźwierny... miałby mu... Próbował i groźby i przekupstwa, nic nie pomagało.

A tłum gapiów, których nie brak nigdy w wielkiem mieście, rós ł z minuty na minutę. Zjawił się nareszcie, zwabiony zbiegowiskiem, posterunkowy.

W tej chwili zbawcza, zdawało się, myśl przyszła do głowy panu Błażejowi. Dzierżąc mocno, w obydwóch dłoniach drzwi, powód całego zajścia, stanowczym głosem rozkazał odźwiernemu:

— Proszę tu zawołać woźnego!

— A jakże, cóż to pan myśli, że nie mam nic lepszego do roboty, jak tylko biegać za woźnym?

W tłumie rozległy się śmiechy wyrostków, docinki gapiów. Posterunkowy w tej chwili dotarł już do pana Błażeja.

— Co to ma znaczyć? Co pan tu robi?

W oczach nieszczęśnika wyrosła naraz nowa przeszkoda w postaci posterunkowego, który... może odbierze czarodziejskie drzwi... może zamknie go do więzienia za przylepienie biletu loterji państwowej na drzwiach, może... może... najrozmaitsze możliwości przebiegały mu przez myśli, jak błyskawice. Doprowadzony do ostateczności, ten zawsze potulny i nieśmiały pan Błażej poczuł naraz w sobie siły Dawida, walczącego z Goljatem. Jak nie ryknie, ile tchu w piersiach:

— A panu co do tego! Idź pan pilnować złodziei, a nie mnie!

Aż się posterunkowy usunął przezornie, myśląc, że ma do czynienia z furjatem.

Ale ten wysiłek energji kosztował pana Błażeja tak wiele, że zaraz w następnym momencie sam się przeraził swego czynu. Zrozpaczony, nie wiedząc sam, co robi, przejęty jedną myślą dostania się za wszelką cenę do "Domu Bankowego", upadł na kolana, trzymając ciągle drzwi przed sobą:

— Panie naczelniku, niech mnie pan każe wpuścić do banku!

Tłum gapiów rósł coraz większy, tak że zaczął już tamować ruch kołowy.

Posterunkowy znalazł nagle sposób rozpędzenia tłumu.

— Aresztuję pana za zakłócenie porządku publicznego. Proszę za mną do komisarjatu!

I wszedł do dorożki, która przywiozła pana Błażeja; tylko że sprawca zakłócenia porządku publicznego (czyby pan Błażej mógł kiedykolwiek przypuścić, jaki to ukryty zbrodniarz drzemał w nim!), zamiast triumfalnej miny, z jaką wiózł przedtem swoje drzwi, ukrył teraz głowę za niemi, aby nikt nie spostrzegł, kto to jedzie do komisarjatu w asyście posterunkowego, za zakłócenie porządku publicznego.

W komisarjacie nareszcie sprawa się wyjaśniła. Po ponownem przybyciu do banku, dzięki interwencji tegoż samego posterunkowego, odźwierny

sprowadził woźnego, sąsiada pana Błażeja, który, ujrzawszy go stojącego z drzwiami od własnego pokoju, zamiast roześmiać się — nisko mu się ukłonił, następnie zaś sam pomógł wnieść owe drogocenne drzwi na piętro, by przedstawić je kasjerowi. Ten, wysłuchawszy opowieści pana Błażeja, podrapał się za uchem, poczem wziął się do odklejania biletu. Już... już... był w trzech czwartych odklejony; kasjer, zadowolony, że tak mu to gładko idzie — szarpnął mocniej i... kawałek biletu pozostał na drzwiach. Pan Błażej zbladł, jak trup...

Całe przecież jego życie zawisło od tego kawałka papieru... W jednej sekundzie przewinęło mu się w myślach i trzypokojowe mieszkanie, i nowe meble, i Laluś wierny, witający go radosnem szczekaniem na progu własnego "domu", w głębi którego czekały pana Błażeja białe ramiona jego ukochanej żony, Zosi... A oto wszystko wali się w gruzy... i dalsze jego życie, które mogło ułożyć się tak cudownie, popłynie rozerwane na strzępy, jak ten oto los, na który przecież padła główna wygrana!...

Pan Błażej wydał z gardła jakiś dźwięk nieartykułowany, podniósł dłoń ku głowie i nagłym ruchem, znamionującym najwyższą rozpacz, przesunął ją po rzadkich włosach, na których w tej chwili błyszczały kropelki potu. I z tak zjeżonemi włosami wybiegł z banku, zostawiając nieszczęsne drzwi pastwiącemu się nad niemi kasjerowi. Ile tchu w piersiach pędził do panny Zosi (teraz znów stracił chwilową pewność siebie!), by u niej szukać pocieszenia, by jej serce zadało kłam jego najczarniejszym przypuszczeniom.

A tymczasem panna Zosia, która w myślach, w czasie nieobecności narzeczonego, widziała się już w przyszłości conajmniej właścicielką sześciopiętrowej kamienicy, dowiedziawszy się o przebiegu sprawy w banku, najpierw aż zaniemówiła z oburzenia, a w następnej chwili, opuszczając strzeżony przez nią pokój bez drzwi, rzuciła przez ramię, spoglądając na pana Błażeja z druzgocącą pogardą:

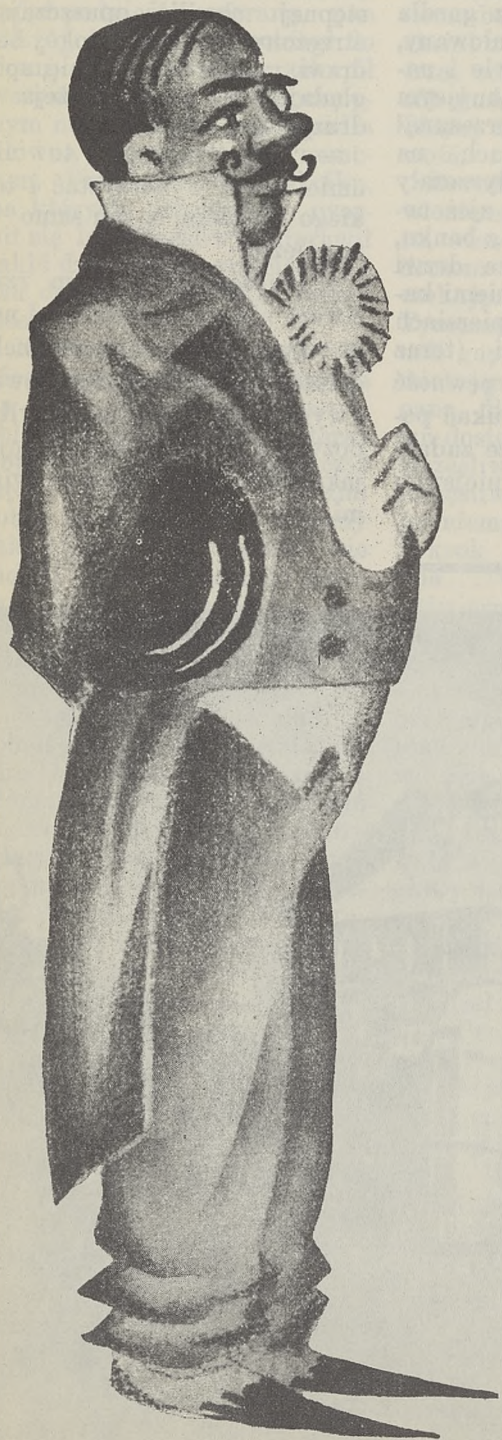
— Taki "fajtłapa" to nie umie nawet wykorzystać i takiego szczęścia, co mu samo w ręce lezie!

I, efektownym ruchem rzuciwszy nieszczęśnikowi pod nogi zdjęty z palca pierścionek, otrząsnęła dumnie pył z obuwia i wyszła, nie mogąc sobie tylko pozwolić na taką satysfakcję, jaką byłoby trzaśnięcie drzwiami...



KRAKÓW. Fragment Wawelu.

HUMOR ŚMIECH SATYRA



Szef biura opowiada dowcipy, a wszyscy pracownicy śmieją się do rozpuku. Jeden tylko młody urzędnik siedzi poważnie przy swem biurku.

— Dlaczego pan się nie śmieje? — zapytuje go kasjer.

— Przecież i tak mam wymówione miejsce — odpowiada urzędnik.

Pani Nowobogacka stanęła w pierwszorzędnym hotelu.

— O której godzinie mam podać śniadanie? — pyta uniżenie kelner.

— O jakiej porze jadają tu wykwintniejsi goście?

— O różnych porach.

— Doskonale. Ja także będę jadła o różnych porach.

— Wie pani — mówi stara, gadatliwa panna — gdy tu przyszłam, bolała mnie straszliwie głowa, teraz jednak ból ustał zupełnie.

— O nie, proszę pani — odpowiada gospodyni. — Ból nie ustał, tylko przeniósł się do mojej głowy.

Panna Dorobkiewiczówna pokazuje przyjaciółce willę rodziców:

— Oto pałac przodków naszych, który papa kupił zeszłego roku.

Podróżujący agent fabryki cygar zdołał wmówić w odbiorcę większą ilość towaru. Uradowany, chcąc okazać wdzięczność zarządzającemu sklepem, który dał mu zamówienie, daje mu pudełko doskonałych cygar. Zarządzający jednak nie chce przyjąć podarunku, mówiąc:

— Nie panie, darmo wziąć tego nie mogę. Pod żadnym warunkiem...

— Tak? W takim razie, skoro pan koniecznie chce płacić, policzę panu za to pudełko pół dolara, dobrze?

— Hm... Nalega pan tak natarczywie, że nie chcąc robić panu przykrości, wezmę po tej cenie pięć pudełek.

Tramwajem jedzie mocno podpity żołnierz. Na przystanku wsiada żołnierz Armji Zbawienia.

— Jak się masz, kolego! — woła wojak.

— Nie jestem twoim kolegą! Jestem żołnierzem nieba!

— Tak? O, to masz daleko do koszar — odpowiada żołnierz.

Nauczyciel: — Czemu przychodzisz tak późno do szkoły?

Uczeń: — Byłem w domu bardzo potrzebny ojcu — odpowiada spóźniony uczeń.

Nauczyciel: — Czy ojciec nie mógł się kim innym wyręczyć?

Uczeń: — Nie, proszę pana, bo to ja właśnie brałem w skórę.

Z opowiadań podróżnika: — Murzyni tego szczepu są tak nieucywilizowani, że chodzą całkiem nago. Gościnność ich jest jednak tak wielka, że gościowi chętnie oddają ostatnią koszulę...

Częstochowa Ziem Zachodnich

Obraz Naśw. Marii Panny z Rokitna

Mało który Polak, jeżeli nie zajmuje się specjalnie tym zagadnieniem, wie, że na Ziemiach Zachodnich są dwa cudowne obrazy, które od wieków łączą się z tradycją narodową.

Jeden z nich znaleziono w roku 1945 na strychu kościelnym, w którymś z powiatów Pomorza Zachodniego. Jak się okazało obraz ów ukryła polska rodzina zamieszkała na terenie ówcześnie zajmowanym przez Niemców. Rodzina tzw. autochtonów. Z jej rąk władze kościelne otrzymały pieczołowicie przechowywany dokument, który jest ściśle z obrazem związany. Oto jak brzmi jego treść: (Zachowuję autentyczną pisownię),

"A.D. 1777 ksiądz Józef Delerdt spisał dla WJMość Pani de Szwąndrowcy (nazwisko prawie nieczytelne) historyę cudownego obrazu Matki Boskiey powiatu wałeckiego. Łask Boskich nieprzebrana Najświętsza Maryo Bolesna w obrazie Skrzetuskim od dwóch wieków całej Wielkopolsce cudami słynąca.

TO IEST HYSTORIA Y POCZĄTEK Obrazu Skrzetuskiego oraz z cudami y łaski zebrane a od czterech Teologów po roztrząśnięciu tychże uznane, a przez Prześwietną Zwierzchność Duchowną aprobowane roku 1660.

W dalszym ciągu następuje opowieść o losach obrazu którego w roku 1575: gdy

..."Tak się pograniczne Miasta y Wsie w w Polszcze nowymi błędami byli zarazili... garncarz z miasta J. Król Mości w Starostwie Nyskim leżącego Piły, aby obraz Matki Boskiej znajdujący się we wsi Chwardym, a po niemiecku Mellentin, z rąk Heretyckich wybawił, pobożnie zażywa zdrady. Udając jakoby dla zabawy swych dziatek ten obraz gdyż był z drzewa rżnięty kupić chciał, pieniądze Heretyckiemu pospólstwu obiecał. Od których bez żadnej trudności ten obraz otrzymawszy z wielką duchowną pociechą do domu powracał".

Garncarz ów zatrzymał się na nocleg w Skrzetuszu i tam już obraz pozostawił.

Kronikarz mówi dalej o "Cudach y Łaskach" jakie cudowny obraz zesłał. Dokument kończy spis nazwisk tych osób, którzy wota dziękczynne na ołtarzu Matki Boskiej złożyli.

Nie znamy dalszych kolei obrazu od XVIII do XX wieku. Obecnie obraz znajduje się w konserwacji, gdyż 400 lat różnych odmian losu mocno nadwyrężyło dzieło nieznanego malarza. Jednak przytoczony dokument ukazuje wyraźnie raz jeszcze ciągłość tradycji polskiego kościoła na Ziemiach Zachodnich.

We wsi Rokitno, powiatu skwierzyńskiego, w województwie zielonogórskim znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej. Sława jego rozeszła się tak szeroko, że Rokitno zyskało miano "Częstochowy Ziem Zachodnich.

Obraz był niegdyś własnością wielkiego kanclerza koronnego Leszczyńskiego. Historię jego dało się odcyfrować do roku 1670, kiedy to w marcu został ogłoszony przez ks. Dziekana Steczewicza ze Zbąszynia na zarządzenie Władz Kościelnych za cudowny. Trudno ujrzeć piękniejszą i zawierającą więcej słodyczy twarz Matki Boski na jakimkolwiek ze znanych cudownych obrazów. Jego wartość wzrasta tym więcej, że mimo, iż podczas działań wojennych skradziono drogocenne wotywa i koronę, przez setki lat germańskiej niewoli zachował się na sukni Najśw. Marii Panni BIAŁY, POLSKI ORZEŁ Z NAPISEM: "DA PACEM DOMINE".

Do Rokitna rok rocznie udają się liczne pielgrzymki z całego województwa, a nawet z dalszych stron. Szczególnie repatrianci ukochali łaskami słynący obraz.

Stefan Krawczyk.

S. SUCHODOLSKI

CZŁOWIEK BEZ KOŚCI

I

CZAS płynął i płynął. Strzałka zegaru jakgdyby śpieszyła się, by zataczać koła i wskazać wreszcie Johnsonowi nieszczęsną cyfrę, gdy nie będzie już żadnej nadziei. A Johnson tymczasem łamał sobie głowę, ale pieniędzy żadną miarą nie mógł wykombinować.

W restauracji było pełno. W dusznej, nadymionej sali huczało jak w ulu.

Szczękały naczynia, kelnerzy uwijali się, trącając się nawzajem. Ludzie pracy śpiesząc się, regulowali rachunki i z ostatnim kęsem odchodzili. A Johnson siedział nad kuflem piwa, obrzucany przez kelnerów nieufnem spojrzeniem.

— Pan pozwoli, że przysiądę się do pańskiego stolika?

— Proszę — zgodził się machinalnie Johnson.

Długi, chudy jegomość o bladej twarzy, ostrym, jak u nieboszczyka, nosie, z podkrążonemi oczami usiadł obok na krześle.

"Jakby kij połknął" — pomyślał Johnson.

Nowoprzybyły zażądał czerwonego wina, które łykał powoli, raz wraz zaciągając się dymem cygara.

Obydwaj pili, milcząc.

— Za pozwoleniem, — zwrócił się nagle do Johnsona ów długi i chudy. — Ja, widzi pan, zajmuję się badaniem zjawisk z dziedziny psychologji, a raczej psycho-fizyki. Interesuje mnie zwłaszcza pewne zagadnienie: jak mianowicie odbijają się przeżycia duchowe na twarzy człowieka? Pan mi wybaczy natręctwo, ale, mam wrażenie, że gnębi pana jakaś myśl uparta, jakieś ciężkie zmartwienie...

Johnson doszedł do tego stanu, kiedy już zupełnie wszystko jedno, czy mówi się z kimś bliskim, czy z pierwszym lepszym z brzega.

— Tak, ma pan rację.

I opowiedział mu o swych niepowodzeniach, o ciężkiej sytuacji rodzinnej, o bezowocnej pogoni za zarobkiem.

— Jutro, święto, a w domu niema grosza. Jeśli nie wydostanę pieniędzy do 5-ej, zabiję się.

Długi i chudy uśmiechnął się dziwacznie, jak czaszka szczerząca zęby.

— A jednak nie skończy pan dziś samobójstwem.

— Czemu twierdzi pan to z taką stanowczością.

— Człowiek, który ma umrzeć niebawem, ma w swej twarzy szczególne znamiona. Nauczył mnie rozeznawać je pewien uczony, który dłuższy czas spędził w Indjach.

— Nic nie rozumiem! Jestem zupełnie zdrów, a bliski zgon mógłby dostrzec jedynie lekarz według całkowicie pewnych symptomów choroby. Samobójstwo natomiast zależy tylko ode mnie, od mego nastroju, a bardziej jeszcze od zewnętrznych okoliczności. Ot, teraz właśnie posłałem list do jednego z moich znajomych z prośbą o przysłanie mi pieniędzy. Jeśli odpowiedź będzie pomyślna, chętnie pogodzę się z życiem. Przecież żyć pragnę.

Długi i chudy raz jeszcze wyszczerzył zęby trupiej czaszki.

— Mówi pan, nie mając pojęcia o rzeczy. Znamiona śmierci kładzie na twarz nie choroba, jak pan sądzi, nie nastrój — ani okoliczności, ale coś innego, coś potężniejszego: stygmat śmierci!

Rozdrażnionemu niepowodzeniami Johnsonowi zrobiło się przykro. Przedziwny nieznajomy wywoływał w nim bezwiedny, zabobonny lęk. Przypomniały mu się wierzenia w gusła, w czary, w djabła.

Wtem zjawił się posłaniec z listem. Z koperty już sądząc, Johnson skonstatował, że pieniędzy w niej niema, jest tylko bilet wizytowy. Odmowa, rozumie się w najgrzeczniejszej formie.

— Cóż pocznę? — wyrwało się Johnsonowi. Ostatnia nadzieja zawiodła!

I ukrył twarz w dłoniach.

— Widzi pan — odezwał się suchym drewnianym głosem nieznajomy — ja mam pieniądze, ale z zasady nikomu nie pożyczam. Ani grosza! Każdy powinien sam zarobić na życie. I pan również.

— Ale jak? Ale jak? Niech mi pan poradzi! Czas ucieka...

— Niema pan już nic do zastawienia lub sprzedania?

— Nic...

— W takim razie niech pan sprzeda samego siebie.

Johnson zadrżał nagle, a po chwili oburzył się.

— Nie rozumiem...

Chudy i długi po raz trzeci wyszczerzył zęby szkieleta.

— Niech się pan nie boi i nie blednie. Nie proponuję panu jakiegoś okropnego i niesłychanego czynu. Słyszał pan, że instytut medycyny wojskowej skupuje szkielety, rozumie się, z warunkiem prawa korzystania z niego w celach naukowych po śmierci danego osobnika. Na paszporcie stawia się

stempel: "szkielet sprzedany" i daje się znać policji o dokonanej umowie. Oto cała tranzakcja. Niech pan tam pójdzie. Wydadzą panu 25 dolarów.

— Jakto? Tylko 25?

— A co pan sobie wyobraża, że pański szkielet wart jest miljon?

Zegar wskazywał czwartą.

— Niech się pan śpieszy. O 5-ej zamykają.

Johnson zerwał się z miejsca.

II.

Żona ucieszyła się na widok złota, pieściła je, przekładając z ręki do ręki i w sprytnych jej oczach zalśniły błyski radości.

— Nic się przecież nie stało, to tylko rozdrażnienie nerwowe — wmawiał w siebie Johnson. Lecz nie mógł oprzeć się uczuciu, że coś utracił.

W wyobraźni widział ponurą scenę, gdy on, to jest nie on, tylko jego kości nawleczone będą na drut, gdy czaszka będzie uśmiechała się swym niezmiennym, kościanym uśmiechem, a kręgosłup oparty będzie o żelazny statyw. Przyjdą profesorowie, zgromadzą się studenci o młodych, lecz poważnych twarzach.

Blady palec profesora o zmarszczonej, starczej skórze, będzie dotykał bezwstydnie obnażonych kości, jego, Johnsona kości, i suchy profesorski głos zacznie wymieniać łacińskie nazwy.

A on, szkielet martwy, będzie zęby szczerzył do żywego szkieletu nauki i do żądnych wiedzy młodych i silnych ciał.

Potem zrodziło się w nim inne uczucie — uczucie jakoby odpowiedzialności. "Szkielet nie należy do mnie, winienem go strzec i ochraniać"...

Johnson nie przestawał myśleć o tem, by nie dostać się pod tramwaj, wystrzegał się samochodów, wszelkich wypadków... I gdy razu pewnego złamał rękę, to sam przyłapał się na niedorzecznej myśli:

— Uszkodziłem powierzony mi szkielet.

Sytuacja stawała się coraz bardziej nieznośna i Johnson zaczął pić.

Upijał się nadal i podniecenie pijackie rozpalało mu i tak już zmęczony chorobliwą fantazją mózg.

Pewnego razu, włócząc się, zaszedł do często odwiedzanej restauracji, gdzie spotkał dwóch znajomych reporterów, siedzących smętnie nad wypitą karafką whisky. Ciężko opadł na krzesło.

— Czemuście nosy zwiesili? Pieniędzy nie macie?

— A jak się panu zdaje? — rzekł brunet.

— Zamiast zadawać głupie pytania, pożyczyłbyś pan lepiej ze dwa dolary, — rzekł ponuro blondyn.

— Pieniędzy pożyczyć nie mogę, ale dobrą radą chętnie służę.

— Niech pana djabli porwą! Radź pan!

— Sprzedajcie swoje szkielety w instytucie medycyny wojskowej. Dają 25 dolarów. Mogę wam podać numer telefonu.

Reporterzy ożywili się.

— Na serjo? Dziwna rzecz, żeśmy o tem nie wiedzieli? Sprzedać szkielet! A na djabła mi szkielet! Proszę bardzo — bierzcie!

— A nie boicie się tej tranzakcji?

— Czego mam się obawiać! Przecież to ciało nieżywe, zwłoki! A jakie korzyści. Niech pan pomyśli! Użyźnienie pól! Nauka! Margaryna, którą ludzie tędzy...

— Nie o to chodzi. Ale pomyśl pan, co się stanie, gdy dowiedzą się o tem wszyscy. New York ma 6 miljonów mieszkańców. Z tych conajmniej połowa chętnie sprzedałaby swoje szkielety. Toby utworzyło sumę tak olbrzymią, że wyasygnowanie jej powinien zatwierdzić parlament.

— Nie przejdzie w parlamencie, głowę dam...

Johnson był przerażony tym wybuchem wesołości z powodu rzeczy tak straszliwej jak sprzedaż szkieletu.

Wrócił do domu pijany, z głową ciężką i z trudem dowlókł się na piąte piętro. Nie rozbierając się, rzucił się na kanapę w gabinecie i usnął.

W nocy obudził się. Paliło go wewnątrz, napił się więc wody i znowu zasnął. Obudziło go dziwne uczucie, którego niepodobna oddać słowami.

Leżał na kanapie i czuł się jak dziecko, bezradny.

W całem ciele odczuwał niesamowite jakieś znużenie, działo się z nim coś niezwykłego. Nękał go jakiś ćmiący ból, coś go ciągnęło, darło — jak gdyby chciało wydobyć się na zewnątrz.

Wreszcie wyjaśniło się wszystko. O świcie Johnson ujrzał przed sobą biały, połyskujący szkielet z bezczelnym uśmiechem posyłający mu dłonią pocałunek.

— Dowidzenia, — rozległ się suchy drewniany trzask — au revoir! Idę do instytutu. Mówiąc szczerze, znudziło mi się sąsiedztwo pańskiego ciała, przesiąkniętego alkoholem.

— A co ze mną będzie? — jęknął żałośnie Johnson.

— A to już jak pan chce, drogi panie. Moja misja, oho, jest daleko szczytniejsza, niż pańska nędzna egzystencja. Good bye!

I szkielet, włożywszy cylinder na głowę i kręcąc laseczkę w ręku, rzeźkim krokiem podążył w stronę drzwi.

Johnson spełznął z kanapy, dosłownie spełznął, gdyż niepodtrzymywany przez kości, podobny był do wielkiego ślimaka o galaretowatem ciele.

Z trudem dowlókł się do okna.

Ulica dziwny przedstawiała widok. Sunęły po niej szkielety, małe, większe, maszerowały ochoczo, wyśpiewując wesołe piosenki... Zgodnie szły do instytutu medycyny wojskowej...

Johnson żyje po dziś dzień. Przebywa w zakładzie obłąkanych, gdzie pełza po podłodze i skarży się, że szkielet go porzucił i teraz biedaczek, nie może ani stać ani chodzić.

Sao Paulo w Brazylii

Sao Paulo to miasto olbrzym, miasto rosnące jak żadne inne w świecie, liczące już trzy miliony mieszkańców. Podobno codzien nie kończy się tam budowa kilkudziesięciu budynków. Przemysł, handeł, ruch.

Wielkie fale imigrantów polskich nie osiedlały się jednak w Sao Paulo: rolnicy szli na rolę, chcieli się urządzić tak jak w ojczystym kraju. Mało kusiła ich nawet kawa, będąca prawdziwym bogactwem Brazylii. Zostawili to bogactwo Włochom.

Duszpasterstwo polskie zorganizowane zostało w Sao Paulo o wiele później niż w stanie Parana, Santa Catarina i Rio Grande do Sul. Od czasu do czasu wyjeżdżał do stanu Sao Paulo jeden lub drugi Misjonarz z Kurytyby, ale dopiero przed 25 laty Księża Salezjanie (Zgromadzenie założone przez św. Jana Bosko i dlatego nazywane Sociedade Dom Bosco, SDB) zorganizowali zwolna duszpasterstwo dla Polaków. Pracował na tym polu Ks. Antoni Śliwiński, wielkie zasługi położył Ks. Teofil Twórz, który mimo swych 87 lat życia nadal pracuje przy kościele Serca Jezusowa w Sao Paulo.

Ośrodkiem Duszpasterstwa polskiego jest olbrzymi i okazały kościół pod wezwaniem N.M.P. Wspomożycielki (N.S. Auxiliadora). Pod tym wezwaniem czczą Księża Salezjanie, za wzorem swego Założyciela, Matkę Bożą.

W roku 1956, z okazji trzechsetnej rocznicy Ślubów Jana Kazimierza i obrania Matki Boskiej Królową Korony Polskiej, Duszpasterstwo Polskie postanowiło upamiętnić ten wielki jubileusz. Zbiorowym wysiłkiem (kosztem przeszło 200,000 kruzejrów zebranych wśród miejscowej Polonii) pokryto ściany i sklepienie kaplicy M.B. Częstochowskiej w "Auxiliadorze" piękną, artystyczną, polską polichromią, przedstawiającą wielkich katolików, jakich wydał nasz naród: Świętych i Błogosławionych.

Trudno te polichromię przedstawić na fotografii, bo pokrywa ona powyginane ściany i slepienie kaplicy.

Jest to dzieło polskiego artysty malarza Prof. Piotra Wróblewskiego, którego w tym celu zaproszono z Europy. Wywiązawszy się znakomicie z trudnego dzieła zamieszkał Prof. Wróblewski na stale w Sao Paulo, otwierając tam pracownię malarską, przy Avenida Angelica 958.

Duszpasterstwo wśród liczej Polonii sanpaulistańskiej spoczywa na barkach dwóch polskich księży Salezjanów. Ks. Dr. Antoni Łatka mimo wielu srebrnych włosów na skroniach podróżuje po olbrzymim mieście, odwiedza polskie rodziny, przygotowuje dzieci do Pierwszej Komunii, spełnia wszystkie zwyczajne obowiązki duszpasterskie. Ks. Janusz Kasprzyk, zamiłowany w muzyce i w śpiewe jest dyrektorem dobrego chóru, który się nazywa również skromnie jak pięknie "Nasz Chór". Ponadto wiele pracy wkłada Ks. Janusz w redagowaniu milutkiego, swojskiego, "bardzo polskiego", bo wypełnionego wiadomościami i artykułami o Polsce, Biuletynu Parafialnego, wychodzącego pod tytułem "Ziarna i Kłosy". — "Ziarna i Kłosy" docierają do wszystkich Polaków w Sao Paulo.

Duszpasterze nie ograniczają się do jednego ośrodka. Oprócz nabożeństw w "Auxiliadorze" odprawiają nabożeństwa, nie tylko niedzielne w kilku innych dzielnicach, na "Dezoito", w Sao Caetano, we Vila Yara, w Anastacio i na Presidente Altino.

O ile się można domyślać z artykułów w "Ziarniach i Kłosach" i z listów od wiernych, obaj Czcigodni Duszpasterze cieszą się dużym poparciem wielu dzielnych i chętnych współpracowników. "Auxiliadora" na Praca Coronel Fernardo Prestes 233 jest prawdziwym ośrodkiem polskim i katolickim.

We wrześniu 1957 roku odwiedził Sao Paulo Przełożony Generalny Księży Salezjanów i Polonia okazała mu swą wdzięczność za piękną pracę, jaką jego polscy konfratrzy prowadzą w Sao Paulo.

"Lud" — Brazylia.

Zapomniany Popularyzator Techniki

Pośród polskich pionierów myśli technicznej poczesne miejsce przypada XVII — wiecznemu konstruktorowi, wynalazcy i autorowi niezwykle cenych dzieł — Stanisławowi Solskiemu. Należy on do najmniej znanych postaci w dziejach polskiej nauki i techniki. Niemamy nawet dokładnych wiadomości o dacie jego urodzenia i jego pochodzeniu. Wieści o nim przekazało lipskie wydawnictwo 'Groesses Uniwersal Lexikon" z roku 1743 oraz on sam, w przedmowach do dwóch swoich książek.

Po ukończeniu studiów Solski wstąpił do zakonu, poczem w Krośnie wykładał od r. 1644 matematykę i retorykę. Pewnego dnia otworzył się przed nim szeroki świat: został wysłany do Kostantynopola jako kaznodzieja i spowiednik dla miejscowych chrześcijan. Tam właśnie najwięcej czasu mógł poświęcić największemu swojemu zamiłowaniu — matematyce i technice.

A były jego dzieła techniczną sensacją na owe czasy nie lada. Weźmy jego prace pod tytułem "Geometra Polski", wielki tom, zawierający 644 strony, ilustrowany 800 rysunkami i wieloma tablicami. W historii polskiej literatury geodezyjnej dzieło to — drugie po podręczniku geometrii Stanisława Grzepskiego — nie miało sobie równego aż do wieku XX.

Solski czynił również wynalazki i ulepszenia. Jego zasługą było na przykład wprowadzenie do Polski wózka do mierzenia odległości, do którego skonstruował licznik obrotów koła, składający się z systemu kółek zębatych. Wzorując się na holenderskich instrumentach mierniczych skonstruował stolik topograficzny.

Wydawszy "Geometrę Polskiego" rozpoczął Solski drugie swoje dzieło, którego niestety nie dokończył. Miała to być trzytomowa praca pod tytułem "Architekt polski". Zdołał wszakże wydać tylko pierwszą księgę, która zresztą nie zawiera ani słowa o architekturze, gdyż ta tematyka miała być treścią ksiąg następnych. Pierwsza księga "Architekta" jest pierwszym w języku polskim podręcznikiem mechaniki i hydrauliki. W przedmowie Solski stwierdzał, że chciał swym dziełem dopomóc polskim rzemieślnikom w opanowaniu tajemnic zawodu, znanych w innych krajach i dostępnych ludziom znającym obce języki.

Na początku "Architekta" w dwóch działach Solski opisywał różne maszyny, jak na przykład kołowroty, bloki, lewary i inne. Przytoczył przy tym ciekawy i mało znany wypadek podniesienia w Krakowie całego budynku, a mianowicie krakowskiej wieży ratuszowej, czego sam był świadkiem. A oto jak brzmi ów opis:

"Dwóch śrub siła jest przedziwna, także nimi cieśle budynki podnoszą: W roku 1686, sławny Piotr Beber, Budowniczy Królewski, całą wieżę ratuszową krakowską, nie według godności tego miasta przed kilkunastą lat postawioną, wyniósł z sześcią pomocników na łokci 12 od murów, nie opuszczając z niej dwóch wielkich cymbałów zegarowych po kilkadzisiąt centnarów ważących, i znacznej jej wspaniałości przydał, z ochroną znaczniejszą czasu i kosztów rozliczmych na ich rozbieranie, spuszczanie, powtórne ciągnienie i stawianie"...

Drugi rozdział zatytułowany był "O machinach prędkich"; zawierał szczególowe opisy młynów wodnych, wiatraków, młynów kieratowych oraz pił ramowych i cyrkularnych.

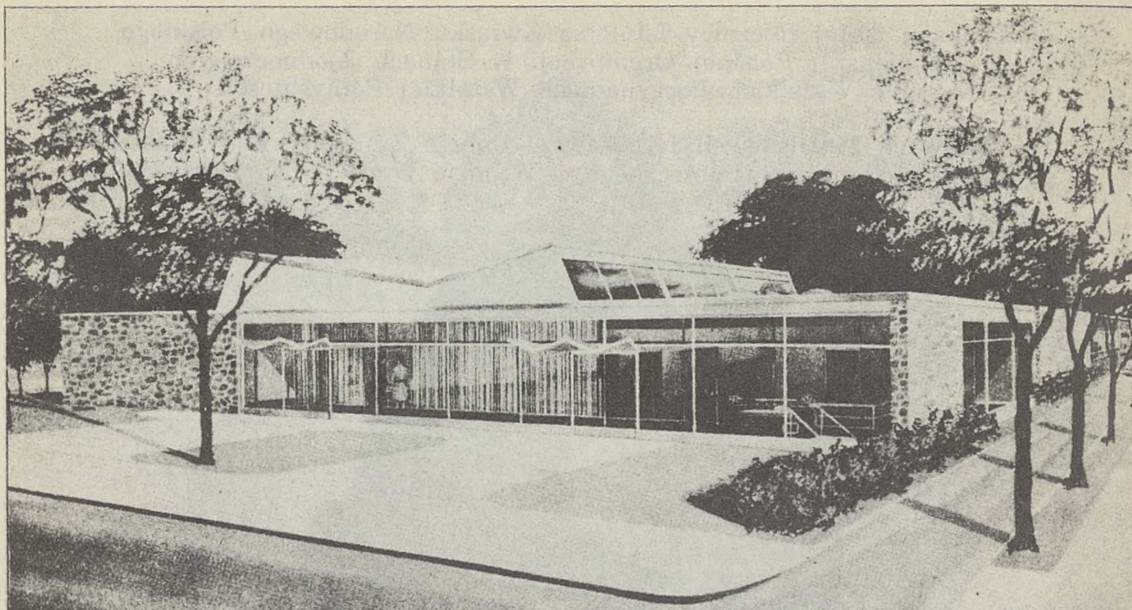
Trzeci rozdział "Architekta" to bogaty opis urządzeń i przyrządów hydraulicznych. Mamy tam około 30 różnych urządzeń do czerpania i pompowania wody, urządzenia wodne do foluszów, kuźnic, a wreszcie normalną pompę strażacką.

* * *

Techniczno-praktyczna wiedza Solskiego pozwoliła mu stworzyć wyborny, jak na owe czasy podręcznik. W nauce polskiej Solski pozostanie jako twórca encyklopedycznego podręcznika technicznego, a jednocześnie jako jeden z piewszych twórców polskiego słownictwa technicznego.

Zakończył swe pracowite życie w Krakowie, około roku 1701.

J. Dąbrowski.



MOŻECIE OSZCZĘDZAĆ PRZEZ POCZTĘ **WYSOKIE DYWIDENDY**

Niech Wasze Oszczędności Zarabiają w

United Savings
and Loan Association
4730 W. 79th Street

CZŁONEK
• Federal Savings and Loan Insurance Corporation

Narożnik Keating

CZŁONEK
• Federal Home Loan Bank System

Chicago, Illinois

MARTIN J. OLESZKIEWICZ
Prezes

ROBERT J. MOCNY
Wykonawczy Wiceprezes



Przesyłamy
Najlepsze Życzenia
Całej Polonii
Na Rok 1960



KONTA UBEZPIECZONE DO $10,000 PRZEZ FS & LIC

Składajcie Swe Pieniądze Tam Gdzie Będą Zarabiać Więcej



Oto stały zysk . . .bez ryzyka . . . na Oszczędnościowym Koncie Inwestycyjnym w FAIRFIELD. Ulokujcie swe pieniądze po $100 ($200, $300, $500 i t. p.) . . . i zarabiajcie w Fairfield hojny 4% rocznie — płatny czekiem co sześć miesięcy. Oczywiście, WSZYSTKIE Konta Oszczędnościowe w Fairfield oferują wartościową dywidendę . . i są UBEZPIECZONE Bezpiecznie . . . przez federalną agencję. Oszczędzajcie w FAIRFIELD . . . gdzie wasze pieniądze zarabiają WIĘCEJ i są BEZPIECZNE

4%

Rocznie Na Oszczędnościowych Kontach Inwestycyjnych





FAIRFIELD SAVINGS

AND LOAN ASSOCIATION

Narożnik Milwaukee, North i Damen Avenues

EVerglade 4-3600 **CHICAGO 47**

DR. JÓZEF F. KONOPA O WŁASNYCH SIŁACH WYKSZTAŁCIŁ SIĘ NA LEKARZA

OBECNIE JUŻ PRZEZ 43 LATA JAKO LEKARZ PRACUJE WŚRÓD POLONII



DR. JÓZEF F. KONOPA
z młodszych lat.

W dniu 7-go maja, 1917 roku, na stronie 6-tej DZIENNIK ZWIĄZKOWY podał z fotografią wiadomość zatytułowaną: "SIEROTA WZOREM DLA POLSKIEJ MŁODZIEŻY".

Treść tej wiadomości brzmi: "Ponad składem braci Sikorskich pnr. 2945 Milwaukee Ave. otworzył Dr. Józef F. Konopa swoje biuro i na stałe zamieszkał z początkiem bieżącego miesiąca.

Dr. Józef F. Konopa, kiedy miał trzy lata umarła mu matka. Ośmioro dzieci ojciec umieścił w sierocińcu. Młody Józef po ukończeniu szkoły parafialnej już pracował na plebanii Parafii Św. Jadwigi. Wykonywał tam różne prace fizyczne, a wieczorami kształcił się i został aptekarzem.

Kurs farmaceutyczny ukończył Józef F. Konopa na Uniwersytecie Stanu Illinois i po czterech latach złożył pomyślnie egzamin stanowy na registrowanego aptekarza. Następnie przez kilka miesięcy pracował w aptece Józefa Hellmutha na Jadwigowie i przez cały rok w aptece firmy Ashland Drug Co. w śródmieściu.

Nie był jednak aptekarz Józef P. Konopa zadowolony z dotąd zdobytej wiedzy i postanowił się kształcić w dalszym ciągu. Po uciułaniu więc nieco grosza wstąpił po trzech latach do Kolegium Lekarzy i Chirurgów przy ulicach Congress i Honore, w pobliżu szpitala powiatowego. Od roku 1912 uczył się pilnie medycyny, chirurgii i akuszerii, ale musiał opłacać koszta z własnej kieszeni i dlatego pracował jako klerk aptekarski co niedzielę i dwa wieczory w każdym tygodniu. Zatrudniony był w następujących aptekach: dra Jana Stawickiego w Gary, Ind.; Ed. Jankowskiego w Joliet, Ill.; Burdy na Stanisławowie, Kaczkowskiego na Town of Lake, Kujawskiego na Trójcowie, Schoenicha na Młodziankowie, Hottingera na Kantowie, Superczyskiego na Bridgeporcie, Panau na Wacławowie i Promińskiego na Annowie.

W kwietniu 1916 r., zapisał się Józef F. Konopa na specjalny kurs arkuszerii w szpitalu "Chicago Lying-in" przy ulicach Maxwell i Newberry pod dozorem prof. Jana DeLEE, sławnego specjalisty chorób kobiecych i dziecięcych.

Dyplom lekarza otrzymał w roku 1916, poczem zatrudniony był jako eksternista w szpitalu Polskim, a później jako internista w szpitalu "University", przy Ogden Ave., Lincoln i Congress ulicach, będąc szefem na wydziale akuszerii pod kierownictwem prof. C. S. Bacon'a.

Ostatnio zaś pracował jako internista w szpitalu przy Grand Place, Larrabee, Lincoln i Western Avenues.

Egzamin stanowy Dr. Józef F. Konopa złożył przed Wydziałem Zdrowia w październiku, 1916 roku w gmachu "Coliseum" przy South Wabash Avenue.

Licencję lekarską otrzymał z Springfield w styczniu, 1917 roku.

Dr. Józef F. Konopa spodziewa się praktykować medycyne, chirurgię i akuszerię wśród Polaków i Polek w Avondale Irving Park i Jefferson Park".—Tyle Dziennik Związkowy z dnia 7-go maja, 1917 roku.

Obecnie Dr. Józef F. Konopa to senior naszych lekarzy polskich. Jako lekarz stoi na stanowisku, spełniając tak zaszczytne i wniosłe zadanie lekarza — strzeże zdrowia ludzkiego przez okres 43 lat. Ciężką i żmudną pracą wykształcił się na lekarza, może być prawdziwym wzorem i przykładem dla naszej młodzieży polsko-amerykańskiej.

Silna wola i dobry charakter zawsze doprowadzą człowieka do wyznaczonego celu, gdy chce się kształcić i studiować, ponieważ tu są ku temu możliwości nieograniczone.

Dr. Józef F. Konopa należy przez wiele lat do sztabu lekarskiego w szpitalu ś.ś. Nazaretanek.

Praktykuje on dalej medycynę prowadząc swoje biuro lekarskie przy 1628 W. Division ul. Zamieszkuje pnr. 1057 No. Hoyne Ave., Chicago, Illinois.

Należy niemal do wszystkich organizacji polskich i także amerykańskich i sprawy polskie bardzo leżą mu na sercu, zawsze serdecznie, moralnie i materialnie je popiera.

Oby opatrzność Boża zachowała go, jak najdłużej dla ludzkości i Polonii.

Życie Jego to prawdziwa historia nadająca się do filmu, jako dokumentarny i żywy przykład do naśladowania dla naszej młodzieży.



"Co możecie dziś kupić za centa?"

MORAŁ: Jeśli rachunek za elektryczność wydaje się wysoki, nie jest to z tego powodu, że elektryczność jest droga, lecz z tego powodu, że elektryczność czyni, iż sposób życia jest o wiele lepszy, że używacie jej o wiele, wiele więcej (istotnie cztery razy tyle jak używaliście kilka lat temu).

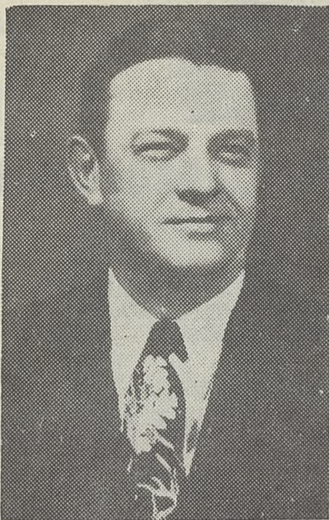
"Wiecie, że Elektryczność kosztuje dziś mniej niż kosztowała wiele lat temu!"

PATRZENIE na Telewizję

1 2/3 godziny tylko 1c

(Tylko jedna z wielu centowych taniości jakie elektryczność oferuje wam każdego dnia)

Commonwealth Edison
AND
Public Service Company



Compliments of

THEODORE A. SWINARSKI

Clerk of the Superior Court



KAROLINA BUDZ

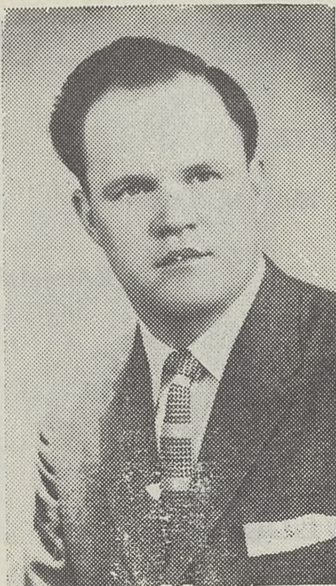
Wiceprezeską Kongresu Polonii
na Stan Illinois
Wiceprezeską Gminy 39ej ZNP
Kasjerka Tow. Białego Orła, Gr. 2727 ZNP

5226 SOUTH ARTESIAN AVENUE

Telefon GRovehill 6-2046

Dzielna nasza pracowniczka na polu pracy
Społecznej i Narodowej
Bardzo czynna w Związku Podhalan
w Północnej Ameryce

Kiedy chwile smutku i żałoby nawiedzą Wasz dom, prosimy zwrócić się do nas z całym zaufaniem, a uczynimy wszystko, aby Wam ulżyć w Waszym nieszczęściu. Jesteśmy na Wasze usługi we dnie i w nocy



WALTER L. SOJKA

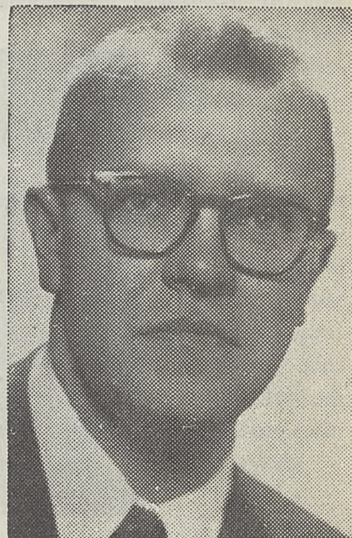
Pogrzebowy i Właściciel Zakładu Pogrzebowego
Nowocześnie Urządzonego i Odnowionego
Pod numerem
1427 W. Chicago Ave.—Tel. MOnroe 6-2673

Z Okazji zbliżającego się 80-ciolecia Istnienia
Związku Narodowego Polskiego

Największej Bratniej Organizacji Polskiej Na Świecie

Najserdeczniejsze Życzenia Wszelkiej Pomyślności w Obradach i Jak Najdonioślejszych Uchwał dla Dalszego Rozwoju ZNP oraz dla Dobra Stanów Zjedn. i Sprawy Polskiej

zasyła



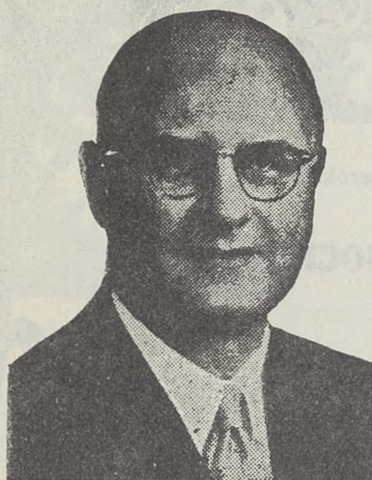
EDWARD J. DERWINSKI

KONGRESMAN 4-go DYSTRYKTU

Członek Tow. Obrońcy Wolności
Im. Tadeusza Kościuszki, Gr. 1876 ZNP

NASZ RODAK

Dlatego zawsze i wszędzie powinniśmy Go popierać. Jest on tym, który zawsze popiera wszystko, co polskie i co tak drogie i bliskie sercu polskiemu. Wielce uzdolniony prawnik, należący do naszych niemal wszystkich organizacji polskich, a tym jest



BERNARD J. KORZEN

KLERK SĄDU PROBACYJNEGO



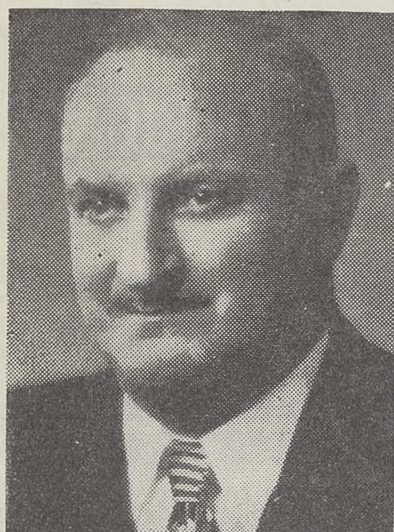
FRANCIS X. CONNELL

Komityman Centralnego Komitetu Partii Republikańskiej Powiatu Cook

Klerk Sądu Okręgowego

oraz Komityman 37 Wardy z Partii Republikańskiej

Znany jest on również jako jeden z tych, którzy nie słowem, ale czynem popierają sprawy naszej Polonii.



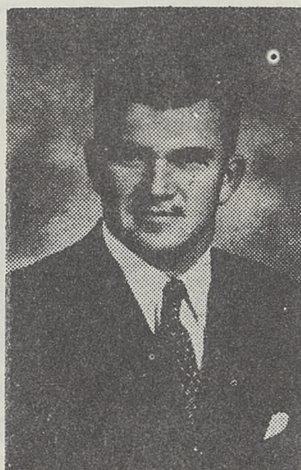
POWODZENIA

ŻYCZY

EMIL V. PACINI

ALDERMAN 10-EJ WARDY I COMMITTEEMAN

Dla pomyslności i rowoju Polonii chicagoskiej i amerykańskiej przesyłam również najserdeczniejsze ży[illegible]zenia dalszeg[illegible] pięknego rozwoju we wszelkich kierunkach i poczynaniach oraz kontynuowania tej pięknej i wzniosłej pracy dla dobra sprawy polskiej nietylko w Stanach Zjednoczonych, lecz wszędzie.



Kazimierz [Casey] Laskowski

ALDERMAN 35-ej WARDY



Serdeczne

ŻYCZENIA

Na Rok 1960

– przesyła –



JOHN A. SIEROCIŃSKI

E. JOHN SIEROCIŃSKI

SECOND FEDERAL SAVINGS
AND LOAN ASSOCIATION

26th STREET I PULASKI ROAD
CHICAGO, ILLINOIS

JOHN A. SIEROCIŃSKI, Prezes — E. JOHN SIEROCIŃSKI, Wiceprezes

---



Józef B. Słotkowski Założyciel

42 LAT RZETELNEJ OBSŁUGI DLA POLONII W STANIE ILLINOIS

FIRMA CIESZY SIĘ POPARCIEM PUBLICZNOŚCI DZIĘKI WYBOROWYM NASZYM PRODUKTOM SŁYNNEJ MARKI "BUYING BRAND"



Leonard P. Słotkowski Prezes



Firma założona przez JÓZEFA B. SŁOTKOWSKIEGO w 1918 roku

SLOTKOWSKI SAUSAGE CO.

NAJWIEKSZA POLSKA FABRYKA WYROBÓW MASARSKICH W STANIE ILLINOIS

2013-19 W. 18th St., Chicago 8, Ill. — **Tel. CAnal 6-1667**

Jeden z naszych rodaków, który zawsze sprawy polskie popiera materialnie i moralnie, oraz należy do wszystkich polskich organizacji, to—

DR. W. RÓŻYCKI
LEKARZ i CHIRURG
1543 W. Division St. Tel. BR 8-6080

Pamiętaj, że swój cię lepiej obsłuży i da lepszą cenę, więc poprzej swego Rodaka—

STANLEY A. STRZELECKI
WHOLESALE MEATS
4538 So. Marshfield Ave.
Tel. LAfayette 3-7336

PISARSKI I SYN
Pierwszorzędny
ZAKŁAD POGRZEBOWY
Dwie Kaplice
11739 SO. MICHIGAN ULICA
Telefon PUllman 5-3086



Steinbrecher's Recreation
Wilson Steinbrecher, Mgr.
2624-26 WEST CERMAK ROAD
BIshop 7-9676

OD WIELU LAT OBSŁUGUJEMY POLONIĘ
The Lawndale National Bank of Chicago
3337-45 West 26th Street BIshop 7-6800

Jeden z naszych dzielnych rodaków, popierających zawsze sprawy polskie materialnie i moralnie, to—

Dr. Henry C. Lewandowski
2800 West 59-tą Ulica—Tel. WAlbrook 5-0550

WYRÓB I SPRZEDAŻ
PIERWSZORZĘDNYCH WĘDLIN
i POLA PIEROGÓW
A. SZADZIEWICZ
3034 W. CERMAK ROAD
Telefon: YArds 7-6611
Chicago, Illinois

AL. KOSOBUCKI
WŁAŚCICIEL PIĘKNEJ GOSPODY I SALI
DO WYNAJĘCIA NA WSZELKIE OKAZJE, JAK POSIEDZENIA, ZABAWY, WESELA, PARTY itp.
5028 West 31st Place Cicero, Illinois
Telefon TOwnhall 3-9361

COMPLIMENTS OF
Chicago Rawhide Mfg. Co.
1301 N. ELSTON AVE.
CHICAGO, ILL.

COMPLIMENTS OF
C. D. L. B.

NAJWIĘKSZA POLSKA PIEKARNIA


Stanisław Grzegorczyk

W CHICAGO, ILLINOIS
ZDROWE I SMACZNE
PO STAROKRAJSKU PIECZONE
CHLEBY — CIASTA I TORTY
Znane są doskonałości po całym Chicago i Okolicy. Zapewniamy szybką obsługę na Wesela—Przyjęcia—Zabawy.
Na Każdym Polskim Stole Powinien Być P. W. Polski Chleb.

P. W. BAKING CO.
2500 W. Chicago Avenue
Telefon: HUmboldt 6-7766
Chicago 22, Illinois


Bolesław Mianowski

Wypełniamy Recepty Sumiennie
Również Na Wysyłkę Do Polski



POLSKA APTEKA
WIECZOREK DRUG CO.
W. W. WIECZOREK, Ph. G.
1174 Milwaukee Ave., blisko Division
Sprzedajemy Zioła z Gór—Harcu
Środek na Przeczyszczenie. Cena $1.00
Z przesyłką, $1.15
Tel. HUmboldt 6-2671 **Chicago, Ill.**
Wypełniamy Recepty Na Wysyłkę Do Polski

POLSKA APTEKA
Superczyński Pharmacy
3156 South May St. **Tel. VIrginia 7-9600**
V. H. Superczyński, właściciel
WYSYŁAMY LEKARSTWA DO POLSKI

POLSKA APTEKA
KARWOWSKI
3659 DIVERSEY AVE.
Narożnik Lawndale
Rzetelne i Sumienne Wypełnianie Recept do Polski
RZECZYWIŚCIE POLSKA APTEKA
DLA POLAKÓW
TELEFON SPAULDING 2-7185

POLSKA APTEKA
MADURA PHARMACY
6001 W. Diversey Ave. **BErkshire 7-5929**
Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski
Chicago, Ill.

POLSKA APTEKA
GAPINSKI PHARMACY
Wypełniamy Recepty Na Wysyłkę do Polski
814 N. Ashland Ave. **HAymarket 1-9412**

POLSKA APTEKA
KAZIMIERZ CABAŃSKI
APTEKA—PHARMACY
1147 N. Ashland Ave. **HUmboldt 6-9376**
RECEPTY Z POLSKI WYPEŁNIAMY
Wszelkie inne lekarstwa i zastrzyki
Po cenach najniższych. Proszę pisać po ceny.

HARRY ADAMS
Właśc. Pierwszorzędnej Apteki
Gdzie z Całą Dokładnością Wypełniamy
WSZELKIE RECEPTY LEKARSKIE
2252 N. Western Ave. **Tel. HUmboldt 6-9455**

POLSKA APTEKA
DUDEK PHARMACY
WOJCIECH J. DUDEK, właśc.
1801 West 35ta Ulica **Tel. VIrginia 7-9611**
Wypełniamy Recepty Wszystkich Doktorów
Na Wysyłkę Do Polski

POLSKA APTEKA
W. KRAMARCZYK, Właśc.
Wypełniamy wszelkie recepty
Również na wysyłkę do Polski
Mamy Żywokostową Maść MIRROS
3101 Milwaukee Ave. **Tel. JUniper 8-9785**

POLSKA APTEKA
PENCEK CIRCLE PHARMACY
J. S. PENCEK, R. Ph. C.
Wypełniamy recepty — Potrzeby dziecięce.
Przybory do izby chorych.
Telefon: GLadstone 3-4297
12½ Elmwood Parkway, **Elmwood Pk., Ill.**

POLSKA APTEKA
MARNOW DRUG CO.
3193 Halsted Ul. **Tel. CAlumet 5-7711**
Wypełniamy Recepty Na Wysyłkę Do Polski

POLSKA APTEKA
PARNELL PHARMACY
525 W. 123rd Street **PUllman 5-6371**
PAN NIEZGODZKI, Właściciel
Wypełniamy europejskie recepty

POPIERAJCIE POLSKICH APTEKARZY
A OTRZYMACIE GRZECZNĄ OBSŁUGĘ



Miasto Chicago w r. 1860—109,260 mieszkańców.

AVONDALE SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

Założone w Roku 1911

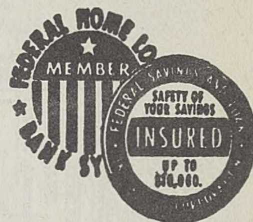
2965 MILWAUKEE AVE. Tel. DIckens 2-7700

4%

DYWIDENDY PŁACI OD WASZYCH OSZCZĘDNOŚCI

Oszczędności Zaasekurowane Do Sumy $10,000 Przez Federal Savings & Loan Insurance Corp. Zasoby

Przeszło 50 Milionów Dolarów



CYFRY mają bardzo przyjemne znaczenie. Nasze zestawienie wykazuje "Pożyczki na Domy" w sumie przeszło 40 milionów, lecz w rzeczywistości suma ta oznacza szczęście i zadowolenie tysięcy rodzin, którym dopomogliśmy do nabycia domów.

W dążeniu niesienia pomocy i stwarzania pewności w życiu, dajemy dwie specjalne usługi:

1. FINANSOWANIE DOMÓW, doprowadzające stale do posiadania domu bez zadłużenia, umożliwiające spłaty z bieżących dochodów.
2. KONTA OSZCZĘDNOŚCIOWE, zachęcające do oszczędzania przez wypłacanie poważnych zysków, przy jednoczesnym zabezpieczeniu kapitałów.

OSZCZĘDZAJCIE Z ZYSKIEM — OSZCZĘDZAJCIE Z ZAPEWNIENIEM
OSZCZĘDZAJCIE WYGODNIE

URZĘDNICY I DYREKTORZY

VINCENT NAJDOWSKI, Prezes
JULIUS M. BOBERSKI, Wiceprezes

FRANK KRZYKOWSKI, Skarbnik
FRANK IWICK, Sekretarz
ALYCE M. POCIASK, Asyst. Sekr.

JOSEPH MACK
GEORGE KOZY
DR. JÓZEF ULIS
HENRYK POCIASK
Dyrektorzy

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA

DALSZEGO ROZWOJU ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO, DOBRA POLONII AMERYKAŃSKIEJ W ROKU 1960 SKŁADAJĄ

URZĘDNICY

JOSEPH A. WIEWIORA
Prezes
A. A. MAZEWSKI
Wiceprezes
ANTON J. VALONIS
Asystent Wiceprezesa i Kasjer
BERNICE ZAUR
Asyst. Kasjer
ROBERT LOTARSKI
Asyst. Kasjer

DYREKTORZY

THOMAS J. BOWLER
Wspólnik
Brighton Building & Maintenance Co.
MICHAEL L. CHILETTI
Prezes
Black Top Roads Company
A. A. MAZEWSKI
Adwokat
PREMO WESTOL
Prezes
Alcon Metal Products, Inc.
JOSEPH A. WIEWIORA
Prezes



METROPOLITAN STATE BANK

2201 WEST CERMAK ROAD

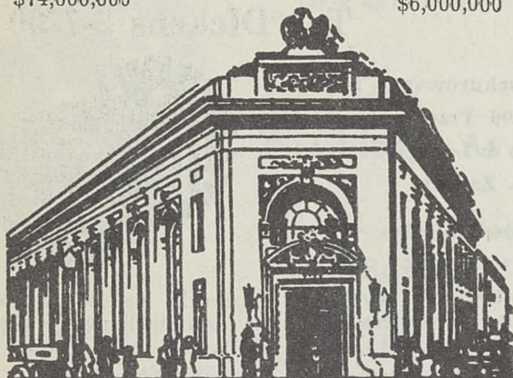
CHICAGO, ILL.

LARGE ENOUGH
TO ACCOMMODATE YOU,
SMALL ENOUGH TO
APPRECIATE YOU

SPÓŁKA
POŻYCZKOWO-OSZCZĘDNOŚCIOWA
PŁACIMY 4% DYWIDENDY

ZASOBY
$74,000,000

REZERWY
PONAD
$6,000,000



Standard Federal Savings & Loan Ass'n.

4192 ARCHER AVENUE

Tel. VIrginia 7-1141 Chicago, Ill.

JUSTYN MACKIEWICZ, Prezes

SERDECZNE ŻYCZENIA NA ROK 1960

COLUMBUS SAVINGS AND LOAN ASS'N



2525 W. 47th St.

Chicago 32, Illinois

LAfayette 3-4284



PRZEKONAJCIE SIĘ GDZIE SĄ WYPŁACANE NAJWYŻSZE DYWIDENDY

4% NA KONTACH INWESTYCYJNYCH

PRZEKONAJCIE SIĘ GDZIE OTRZYMACIE NAJLEPSZE WARUKI DŁUGO TERMINOWYCH POŻYCZEK

PRZEKONAJCIE SIĘ GDZIE OTRZYMACIE NAJLEPSZĄ OBSŁUGĘ

Godz. w Poniedz. i Czwartek do 8 wiecz., we Wtorek i Piątek 9 rano do 5 po południu, w Soboty 9 rano do 12 w południe. W środę nie załatwiamy żadnych interesów.

OSZCZĘDNOŚCIĄ I PRACĄ LUDZIE SIĘ BOGACĄ

Dla Dobra, Bezpieczeństwa i Lepszej Przyszłości Waszej Całej Rodziny Oszczędzajcie w Polskiej Spółce

WORKMEN SAVINGS and Loan Association

Telefon CLiffside 4-2121
2703 WEST 47th STREET
CHICAGO, ILLINOIS



WALTER KOWALKOWSKI
Prezes

FR. KRZYŻANOWSKI
Wiceprezes

RAY A. ZABER
Sekretarz i Kasjer

JOSEPH CHOJNACKI
Dyrektor

EDWARD A. KSIAZEK
Dyrektor

NOW 4% PER ANNUM ALL ACCOUNTS

FEDERAL SAVINGS AND LOAN INSURANCE CORPORATION — SAFETY OF YOUR SAVINGS — INSURED — UP TO $10,000

All money you save or invest by the 15th of the month will earn income from the 1st.

TRIDENT SAVINGS & LOAN ASSN.

1935 W. 51st Street Chicago 9

WINCENTY E. CIESLEWICZ
President

PIOTR PUCILO
Secretary-Treasurer

PRospect 8-5800

PANSTWO S. DYBA

WŁAŚCICIELE

●

AMERICAN SPRING & WIRE SPECIALTY CO.

●

816 N. SPAULDING AVE.

Telefon VAn Buren 6-0800

CHICAGO, ILL

POWINSZOWANIA
I NAJLEPSZE ŻYCZENIA

SKŁADA

BLYTH & CO. Inc.

135 S. LA SALLE ST.

RAndolph 6-7260

CHICAGO, ILL.

Oszczędnością i Pracą Ludzie Się Bogacą

DLA DOBRA, BEZPIECZEŃSTWA i LEPSZEJ PRZYSZŁOŚCI WASZEJ CAŁEJ RODZINY OSZCZĘDZAJCIE W POLSKIEJ SPÓŁCE



Wasze Oszczędności Przyniosą Wam Dobry Procent Jako Dywidendę

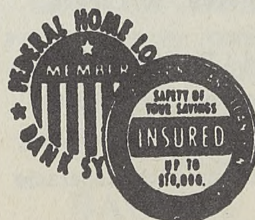




CAPITOL FEDERAL SAVINGS & LOAN ASS'N

3522-24 West 26th Street





UDZIELAMY POŻYCZEK

Na domy przy doskonałej obsłudze i dogodnych warunkach.

Telefon BIshop 7-6900

CHARLES T. SALAK
Prezes

ROSEN'S BAKERY

SKLEP DETALICZNY

2549 W. Division Street
CHLEB, BUŁKI I INNE
CIASTA
słynne w Chicago i okolicy
wypiekane przez

PIEKARNIA —i— HURTOWNIA 3015 West Lake Street Tel. VAn Buren 6-1614



Zawsze Byłem
Dla Ludu
i z Ludem
Dlatego Osobiście
Zawsze Jestem
Na Wasze Usługi

JOHN G. FARY

Reprezentant
Do Legislatury
Stanowej
28-go Dystryktu

DR. WALTER J. ŚWIATEK

OPTOMETRYSTA
2209 WEST CERMAK ROAD
Main Floor — Na Parterze

Długoletnie doświadczenie. Pierwszorzędne przyrządy do badania wzroku i gruntowna wiedza. Grzeczna staropolska obsługa i fachowe dopasowanie okularów.

Telefon VIrginia 7-6592



Stanowy
Reprezentant
15-go Dystryktu

CHESTER R. WIKTORSKI,

Junior



Jeżeli chcecie kupić dom, lub zaciągnąć pożyczkę na wasz dom lub inne posiadłości uczyni to dla was szybko i grzecznie

Mecenas
Stanisław R. Koy
oraz
KOY & CO.
Biuro Realnościowe
i Asekuracyjne
w budynku
Park National Bank
2936 N. Central Park Ave.
narożnik Milwaukee
Tel. BRunswick 8-0010

Dr. Kazimiera J. Sajewska
oraz
Dr. Konrad Mazeski

BIURO OPTOMETRYCZNE

1212 NO. ASHLAND AVE.

Telefon HUmboldt 6-3227

Dokładna Egzaminacja Oczu Przed Dobraniem Okularów. — Długoletnie Doświadczenie

Pierwszorzędne Przyrządy Do Badania Wzroku i Gruntowna Wiedza

CICERO STATE BANK

2446 South Cicero Ave., w Cicero

Kierownictwo, Zarząd i Personel Polski

Oszczędności ubezpieczone do $10,000

Od Waszych Oszczędności Płacimy Dywidendy

Udzielamy Pożyczki na Domy i Ich Reperację

Tel. OLympic 2-2000


V. Janicki

WESOŁYCH ŚWIĄT
Składa Całej Polonii
VAL. JANICKI

United Novelty & Mfg. Co.

1159 Milwaukee Avenue

WSZELKIE ARTYKUŁY
NA SREBRNE I ZŁOTE
JUBILEUSZE
NA WESELA, BANKIETY,
ZABAWY, ROCZNICE,
PIKNIKI I ZEBRANIA



Józef P. Rostenkowski

Demokratyczny Komityman 32-giej Wardy

Jeden z najpopularniejszych naszych rodaków. Sprawy naszej Polonii zawsze szczerze i życzliwie popiera z całego serca zawsze i wszędzie. Dlatego godny jest on naszego poparcia całej Polonii we wszelkich jego zamiarach.

Już od wielu lat obsługuje ku najpełniejszemu zadowoleniu Polonię w Cicero, Ill.

Skład Żelaztwa i Przyborów Domowych

W. T. CHOJNACKI & SON

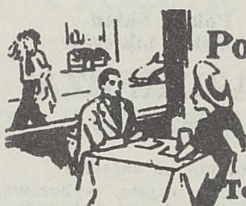
Paints - Hardware - Electric Appliance

2900-02 So. 48th Court Cicero 50, Ill.

Telefon OLympic 2-3205

Wszelkiej Pomyślności dla Członków Związku Narodowego Polskiego i Zarządu

---



Polska Restauracja

F. & T.

Telefon EVerglade 4-9777

Sandwich Shop

SMACZNE i ZDROWE PRZEKĄSKI i DANIA

Likiery i Wódki

1182 MILWAUKEE AVENUE

CAS' FLORAL SHOP

PLANTS and CUT FLOWERS
FOR ALL OCCASIONS

Flowers Telegraphed Anywhere

Telephone BRunswick 8-4738

2016 W. WEBSTER AVE.
Chicago 47, Ill.

C. L. BRZOZOWSKI
Właściciel

Adams Auto Construction Co. Inc.

Adam Waskowski i Synowie, Współwłaśc.

4116 BELMONT AVENUE

30 Lat w Interesie

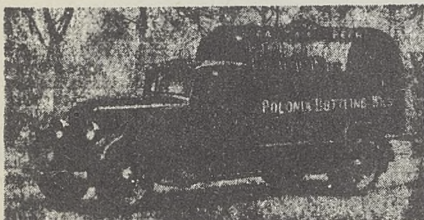
Kompletna reperacja automobilów, montowanie. Specjalne maszyny do balansowania kół. Prostowanie i malowanie fendrów.

Doświadczenie 2-ch generacji.

W Dziedzinie Mechaniki Wszelkich Automobilów.

Telefon KIdare 5-8453

NAJLEPSZĄ SODĘ I LEKKIE NAPOJE
Wyrabia i Sprzedaje



POLONIA BOTTLING CO.

1912 WEST HUBBARD STREET
TEL. SEELEY 3-5933 CHICAGO, ILL.

ZDEFORMOWANE STOPY




MOGĄ BYĆ NAPRAWIONE PRZY UŻYCIU ORTOPEDYCZNEJ WIEDZY—W SPECJALNYM DOPASOWANIU OBUWIA.



W SKŁADZIE

BACHTA BOOTERY

1741 W. CHICAGO AVE.
Chicago, Illinois





W GABINECIE SZEFA

— Kto telefonuje?
— Firma Rotgans et Compagnie.
— Czego chce?
— Powiada żeśmy go oszukali na jajach i że jesteśmy złodziejami i oszustami.
— Co znaczy jesteśmy? Co pan się pchasz do firmy? Złodziejem i oszustem jestem ja, a pan jesteś tylko moim buchalterem.

DOBRY GATUNEK WINA

Iks przychodzi do składu wina. — Chciałbym trzy flaszki wina pogańskiego?
— Czego? Jakiego? — dziwi się kupiec.
— Co to takiego?
— Ano nie chrzczone!

WSZYSTKO JEDNO

— Proszę funt chleba.
— Ciemnego, czy jasnego?
— Wszystko jedno, to dla ślepego biedaka.

NA POLOWANIU

— Cóż u licha? Widziałem najwyraźniej, że po moim strzale zając wywrócił koziołka...
— To z radości, że nie został trafiony.

PYTAJCIE SIĘ O SŁYNNE POLSKIE LIKIERY

Monastery
BRAND



Mamy 60 gatunków różnych likierów, wódek robionych na sposób wódek europejskich i polskich.





70 Proof

JEDYNA POLSKA WYTWÓRNIA POLSKICH LIKIERÓW W AMERYCE ZAŁOŻONA W ROKU 1902

★ **KRUPNIK** Staropolski Wyborny Trunek Wyrabiany z Miodu, Korzeni i Ziół. Mocny, Rozgrzewający. Doskonały Na Słotne i Mroźne Dnie.

★ **MALINOWA:** Znakomity Likier o Smaku i Aromacie Prawdziwych Świeżych Malin. Spróbujcie i Przekonajcie Się Sami.

★ **WIŚNIOWA:** Wyrabiana z Świeżych Dojrzałych Wiśni Zbieranych w Michigan. Kolor Naturalny — Smak Wyśmienity.

★ **WÓDKA** "Monastery" Brand & White Eagle.

Uwaga:—O ile Nie Możecie Dostać Naszych Wyrobów — Piszcie Wprost Do Firmy

NATIONAL CORDIAL CO. INC.

WYTWÓRCY MONASTERY BRAND LIQUEURS AND HENRI-C BRANDY

2129-35 N. WESTERN AVE. CHICAGO 47, ILLINOIS

Tel. BRunswick 8-6147



PIOTR P. KEZON
Sekretarz-Kasjer-Zarządca
Dyrektor

SUPREME

SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

— składa —

SERDECZNE ŻYCZENIA WSZYSTKIM
ZWIĄZKOWCOM I ZWIĄZKOWCZYNIOM,
ORAZ CAŁEJ POLONII
JAKNAJLEPSZEGO POWODZENIA
NA ROK 1960

Oszczędzajcie w Największej Polskiej Spółce w Town of Lake



NOWA RATA

4 1/4 %

ROCZNIE

SUPREME SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

1751-1755 WEST 47th STREET **YArds 7-3895** Chicago, Ill.

Największa Polska Spółka Na Town of Lake

ZARZĄD I DYREKCJA

PIOTR P. KEZON, Zarządca i Sekretarz

IGNACY ŚCIGALSKI, Prezes
PIOTR RADOCHONSKI, Wiceprezes
STANISŁAW E. KOSZOLA, Wiceprezes
FELICJA KIEBLES, Asyst. Zarządcy
JAN E. GIERUT, Asyst. Sekr.
CZESŁAW NIEDZIAŁEK, Skarbnik
IRENA S. KONECKI, Asyst. Skarbnika
JAN KRZYSKOWSKI, Dyrektor
FRAN. PORADZISZ, Dyrektor

STEFAN DOMINSKI, Dyrektor
PAWEŁ KUBALICA, Dyrektor
EDWARD KNYCH, Dyrektor
ADAM J. KEZON, Dyrektor
CZESŁAWA MESEVICH, Główna Kasjerka
LEOKADIA B. KALISKI, Stenografistka
JULIUS DZIUKALA, Kasjer
ARLENE TOMCZAK, Stenograf.-Klerk
ALICE M. BEMBENEK, Asyst. Głów. Kasjerki

JANET MOSCINSKI, Kasjerka
ANNE MODZELEWSKI, Kasjerka
GERTRUDE LYONS, Klerk
ANNETTE HOFFMAN, Klerk
H. TOMASZKIEWICZ, Kasjerka
MAŁGORZATA DUGGAN, Klerk
MARY ANN TABAK, Klerk
JACQUELINE LAPKA, Kasjerka
M. A. TOMASZKIEWICZ, Kasjer-Klerk

ELEANORA MAJDECKI, Kasjerka
DOROTHY KACZMAREK, Kasjerka



ZASOBY PRZESZŁO $27,000,000.00